

# A.G. RIDDLE

AUTOR GENU ATLANTYDZKIEGO



AKTA ZAGŁADY

# PANDEMIA

To już tylko kwestia czasu...

FILIA

# PANDEMIA

**A.G. RIDDLE**

Przełożyła  
Agnieszka Kalus

**FILIA**

Powieść dedykuję grupie bohaterów, o których rzadko się słyszy. Jedni z pierwszych docierają w miejsca dotknięte huraganami i innymi klęskami żywiołowymi i ostatni stamtąd wyjeżdżają. Pojawiają się w regionach objętych wojną, chociaż nie noszą broni. Bezustannie ryzykują życie, żeby nas chronić przed niebezpieczeństwami, które zagrażają każdemu na ziemi.

Mieszkają wśród nas, są naszymi sąsiadami, przyjaciółmi, członkami naszych rodzin. To mężczyźni i kobiety pracujący w służbie zdrowia w Stanach Zjednoczonych i za granicą. Zbieranie materiałów o ich działalności było dla mnie źródłem wielkiej inspiracji podczas pisania tej powieści. To oni są prawdziwymi bohaterami historii takich jak *Pandemia*.

## UWAGI O FAKTACH I FIKCJI

*Pandemia* jest zarówno fikcją literacką, jak i książką opartą na faktach. Próbowałem opisać działalność CDC<sup>[1]</sup> i WHO po wybuchu epidemii w Afryce. W pracy pomogło mi kilku ekspertów z tej dziedziny. Za błędy wyłącznie ja ponoszę odpowiedzialność.

Większość fragmentów dotyczących badań naukowych w *Pandemii* jest prawdziwa. W szczególności to, co dotyczy bakteriofaga M13 i białka gp3, jest w stu procentach oparte na faktach. Terapie oparte na M13 i gp3 są obecnie w fazie badań klinicznych i wykazują przydatność w leczeniu chorób Alzheimera, Parkinsona oraz amyloidozy.

Na mojej stronie internetowej ([agriddle.com](http://agriddle.com)) znajduje się sekcja dotycząca faktów i fikcji oraz dodatkowych informacji związanych z *Pandemią*.

Dziękuję za wybranie mojej książki.

Gerry (A.G. Riddle)

<sup>[1]</sup> CDC – Centra Zwalczenia Chorób i Zapobiegania Im (Centers for Disease Control and Prevention)

## PROLOG

Amerykański statek Straży Przybrzeżnej od trzech miesięcy przeszukiwał Ocean Arktyczny, chociaż nikt z załogi nie wiedział dokładnie, czego szukają. W ostatnim porcie na lodołamacz wsiadło trzydziestu naukowców i załadowano tuzin skrzyń wypełnionych dziwnymi instrumentami. Załodze nic nie powiedziano na temat gości ani tajemniczego sprzętu. Dzień za dniem lód pękał i spiętrzał się przed dziobem lodołamacza *Healy*, podczas gdy płynący nim ludzie wykonywali swoje obowiązki, zachowując całkowitą ciszę radiową, tak jak im nakazano.

Tajemniczy naukowcy i monotonna codzienna rutyna spowodowały, że wśród załogi zaczęły krążyć plotki. Ludzie trajkotali podczas posiłków, w godzinach wolnych, gdy grali w szachy, karty i gry wideo. Najczęściej obstawiali, że poszukują zatopionego okrętu podwodnego lub innej jednostki wojskowej – prawdopodobnie amerykańskiej lub rosyjskiej – a może frachtowca przewożącego niebezpieczne materiały. Kilka osób z załogi twierdziło, że szukają głowic jądrowych wystrzelonych dekady wcześniej podczas zimnej wojny, które jednak nigdy nie dotarły do celu, tylko spoczywały gdzieś na dnie Oceanu Arktycznego.

O czwartej rano strefy czasowej dla Anchorage zadzwonił telefon wiszący na ścianie obok koi kapitana. Mężczyzna podniósł słuchawkę, nawet nie włączając światła.

– Miller.

– Zatrzymaj statek, kapitanie. Znaleźliśmy to. – Głównodowodzący misją naukowców, doktor Hans Emmerich, przerwał połączenie bez

słowa wyjaśnienia.

Po wywołaniu mostka i wydaniu komendy „maszyny stop” kapitan Walter Miller szybko się ubrał i udał do głównego pomieszczenia badawczego na statku. Podobnie jak reszta załogi był ciekaw, co znaleziono. Przede wszystkim jednak chciał wiedzieć, czy to, co znajdowało się pod nimi, stanowiło zagrożenie dla stu siedemnastu mężczyzn i kobiet służących na jego okręcie.

Miller skinął głową strażnikom przy włączniku i wszedł do środka. Kilkunastu naukowców sprzeczało się przy monitorach. Podeszedł do nich, zerkając na obrazy pokazujące skaliste dno morskie skąpane w zielonej poświacie. Jedno z kilku podobnych zdjęć przedstawiało ciemny, podłużny przedmiot.

– Kapitanie. – Głos Emmericha zadziałał jak smycz i Miller zatrzymał się w pół kroku. – Obawiam się, że w tej chwili jesteśmy bardzo zajęci. – Emmerich stanął przed oficerem Straży Przybrzeżnej, próbując zasłonić monitory, jednak Miller ani myślał się wycofywać.

– Przyszedłem sprawdzić, czy potrzebujecie mojej pomocy – powiedział.

– Radzimy sobie, kapitanie. Proszę utrzymać obecną pozycję oraz ciszę radiową.

Miller wskazał monitory.

– Czyli szukaliście okrętu podwodnego.

Emmerich milczał.

– Amerykańskiego? Rosyjskiego?

– Wydaje nam się, że to okręt... sponsorowany przez kilka krajów.

Miller zamrugnął, zastanawiając się, co to może oznaczać.

– A teraz, kapitanie, naprawdę musimy pana przeprosić. Mamy dużo pracy. Niedługo zwozujemy podwodny pojazd ratunkowy.

Miller skinął głową.

– Zrozumiałem. Powodzenia, doktorze.

Kiedy kapitan wyszedł, Emmerich poinstruował dwóch młodszych badaczy, by stanęli przy drzwiach.

– Nikt inny nie może tu wejść.

Ze swojego komputera Emmerich wysłał zaszyfrowaną wiadomość.

Przypuszczalnie zlokalizowano wrak RSV *Beagle*. Zaczynamy przeszukiwanie. W załączniku współrzędne i pierwsze obrazowanie.

Pół godziny później doktor Emmerich i trzech inni naukowcy wsiedli do pojazdu ratunkowego i wyruszyli na dno oceanu.



Po drugiej stronie świata frachtowiec *Kentaro Maru* opuścił wybrzeże Somalii i wpłynął na Ocean Indyjski.

W sali konferencyjnej przylegającej do mostka przez całe popołudnie kłócili się dwaj mężczyźni, ich krzyki sprawiały, że załoga od czasu do czasu się wzdrygała.

Oficer stojący na mostku zapukał do drzwi i czekał podenerwowany. Zignorowali go i dalej wrzeszczeli na siebie.

Zapukał ponownie.

Cisza.

Przełknął ślinę i popchnął drzwi.

Conner McClain stał za długim stołem konferencyjnym. Jego rozszłoszczona mina sprawiała, że poorana bliznami twarz wydawała się jeszcze groźniejsza. Niemal wrzeszcząc, szybko wyrzucał z siebie słowa, w których pobrzmiwał australijski akcent.

– Dla twojego dobra, poruczniku, niech to będzie coś ważnego.

– Amerykanie znaleźli *Beagle*.

– Jak?

– Wykorzystują nową technologię mapowania dna morza...

– Z samolotu, okrętu podwodnego czy statku?

– Ze statku. *Healy*. To lodołamacz amerykańskiej Straży Przybrzeżnej.

Opuszczają podwodny pojazd ratunkowy.

– Czy już wiedzą, co znajduje się na *Beagle*?

– Nie mamy pojęcia. Raczej nie.

– Dobrze. Zatopić lodołamacz.

Po raz pierwszy odezwał się drugi mężczyzna z sali konferencyjnej.

– Nie rób tego, Conner.

– Nie mamy wyboru.

– Mamy. To dla nas pewna szansa.

– Szansa na co?

– By pokazać światu, co znajduje się na pokładzie *Beagle*.

– Proszę wykonać rozkaz, poruczniku. Odmaszerować – zwrócił się do młodego oficera.

Kiedy drzwi się zamknęły, Conner przemówił spokojnym tonem do drugiego mężczyzny.

– Niewiele nas dzieli od najważniejszego wydarzenia w historii ludzkości. Nie pozwolimy barbarzyńskim hordom na podejmowanie decyzji.



Hans Emmerich wstrzymał oddech, kiedy otworzył się właz pojazdu podwodnego.

Siedzący za nim Peter Finch wpatrywał się w ekran laptopa.

– Czysto. Szczelność w normie.

– Promieniowanie? – spytał Emmerich.

– W normie.

Emmerich i trzech naukowcy zeszli do statku po drabince. Powoli przechodzili przez ciasne korytarze, uważając, żeby o nic nie zahaczyć skafandrami. Rozszczelnienie groziło śmiercią. LED-owe światła w kombinezonach rzucały białe promienie na ciemny grobowiec.

Kiedy dotarli na mostek, Emmerich skierował lampy hełmu na tabliczkę z brązu wiszącą na ścianie.

– Prometeusz, tu Alfa Jeden. Czy mnie słyszycie?

Któryś z naukowców na *Healy* od razu odpowiedział.

– Mamy dźwięk i obraz, Alfa Jeden.

Na tabliczce napisano:



RSV Beagle  
Hongkong  
1 maja 1965  
Ordo ab Chao

Emmerich zszedł z mostka i zaczął przeszukiwać prywatną kabinę kapitana. Jak mu się poszczęści, znajdzie tu dzienniki pokładowe, a one wyjawią, gdzie *Beagle* pływał i co odkryła załoga. Jeśli się nie mylił, na statku znajdowały się dowody czegoś, co na zawsze zmieni bieg historii.

W jego słuchawce rozległ się głos Fincha.

– Alfa Jeden, Alfa Jeden, słyszymy się?

– Tak, Alfa Dwa.

– Dotarliśmy na poziom laboratorium. Mamy wejść?

– Zgoda, Alfa Dwa. Kontynuujcie, ale ostrożnie.

Emmerich czekał w ciemnym korytarzu.

– Alfa Jeden, widzimy dwa pokoje badań z metalowymi stołami długości około trzech metrów. Sale są zamknięte ze względu na zagrożenie biologiczne. Reszta laboratorium jest wypełniona długimi rzędami pojemników, podobnych do dużych skrytek depozytowych w skarbcu. Mamy otworzyć jeden?

– Nie, Alfa Dwa – powiedział szybko Emmerich. – Są ponumerowane?

– Tak – odparł Finch.

– Musimy znaleźć spis.

– Nie rozłączaj się. Na każdym pojemniku jest metalowa płytki. – Po chwili dodał: – Płytki zakrywa szczelinę, jakby wizjer. W tym są kości. Ludzkie. Nie, czekaj. Nie mogą być ludzkie.

– W tym jest jakiś kotowaty – odezwał się inny badacz. – Gatunek nieznan. Chyba został zamrożony za życia. Nadal jest w lodzie.

Emmerich słyszał klikanie odsuwanych metalowych płytek, co przypominało trzask migawki aparatu.

– Alfa Jeden, powinieneś tu zejść. To jak arka Noego.

Emmerich ruszył ciasnym korytarzem, nadal uważając, żeby nic nie przedziurawiło mu kombinezonu.

– Prometeusz, tu Alfa Jeden. Czy nagrywacie obraz i dźwięk Alfego Dwa,

Trzy i Cztery?

Nie nadeszła żadna odpowiedź, więc Emmerich stanął.

– Prometeusz, tu Alfa Jeden, słyszemy się?

Wezwał go ponownie i jeszcze raz. Potem usłyszał głośny wybuch i zadrżała pod nim podłoga.

– Prometeusz?

# DZIEŃ 1

**320** zarażonych

**0** ofiar śmiertelnych

## ROZDZIAŁ 1

Doktor Elim Kibet siedział w swoim pomalowanym na biało gabinecie i patrzył na słońce wschodzące ponad skalistym krajobrazem północno-wschodniej Kenii. Szpital Referral w Manderze był zaniedbanym budynkiem w jednym z najbiedniejszych zakątków świata, a on niedawno stał się za niego odpowiedzialny. Niektórzy w jego sytuacji uważaliby to za nadmierne obciążenie, ale dla niego był to zaszczyt.

Zza zamkniętych drzwi dobiegały przeraźliwe wrzaski. W korytarzu słychać było kroki i krzyk jednej z pielęgniarek.

– Doktorze, szybko!

Nie było wątpliwości, o którego doktora chodziło; Elim Kibet był jedynym lekarzem, który tu pozostał. Inni wyjechali po atakach terrorystycznych. Wiele pielęgniarek poszło w ich ślady. Rząd odrzucił prośbę o przydzielenie uzbrojonej ochrony wiejskiemu szpitalowi. Ponadto wynagrodzenie było nędzne i jeśli w ogóle przychodziło, to z opóźnieniem. Z tego powodu kolejna fala pracowników uciekła z popadającego w ruinę szpitala. Teraz została tylko garstka personelu. Pozostali albo nie mieli dokąd uciec, albo byli zbyt oddani swojej pracy, by rozważać odejście. Albo, jak u Elima Kibeta, w grę wchodziły obydwa czynniki.

Włożył biały fartuch i wybiegł na korytarz, gdzie potrzebowano jego pomocy.

Mandera była jednym z najbiedniejszych hrabstw Kenii. Roczny dochód na głowę wynosił 267 dolarów – mniej niż 75 centów dziennie.

Poprzecinane nieutwardzonymi drogami miasto Mandera leżało zarówno przy granicy z Somalią, jak i Etiopią. Ludzie utrzymywali się z uprawy ziemi, często z wielką trudnością wiązali koniec z końcem i cieszyli się z drobiazgów. To było miejsce o niewysłowionym uroku i niezmiernie brutalności.

W regionie występowały najbardziej śmiertelne choroby na świecie, lecz to nie one stanowiły największe zagrożenie w tej okolicy. Asz-Szabab, grupa terrorystyczna sprzymierzona z Al-Kaidą, często atakowała wioski i budynki rządowe. Jej działalność odznaczała się wyjątkowym okrucieństwem. Niecały rok temu bojówkarze Asz-Szabab zatrzymali autobus koło Mandery i kazali wysiąść wszystkim pasażerom będącym muzułmanami. Ci odmówili i otoczyli pasażerów chrześcijan. Ludzie z Asz-Szabab wywlekli wszystkich z autobusu, zarówno muzułmanów, jak i chrześcijan, ustawili ich w rzędzie i rozstrzelali. Tego dnia zginęło trzydzieści siedem osób.

Gdy Elim biegł zapuszczonym korytarzem, to była jego pierwsza myśl – kolejny atak Asz-Szabab.

Ku jego zaskoczeniu w pokoju przyjęć zastał dwóch spoconych młodych białych mężczyzn z ciemnymi, długimi włosami polepionymi w strąki i gęstymi brodami. Jeden z nich stał przy drzwiach i trzymał kamerę wideo. Drugi leżał na stole zabiegowym, miał zamknięte oczy i przewracał się z boku na bok. Odór biegunki i wymiotów był nie do zniesienia.

Dwie pielęgniarki pochylały się nad mężczyzną, przeprowadzając wstępne badanie. Jedna wyjęła termometr z jego ust i zwróciła się do Elima.

– Czterdzieści stopni, doktorze.

Młody człowiek z kamerą opuścił sprzęt i złapał Elima za rękę.

– Musi mu pan pomóc!

Elim wyrwał rękę, po czym wskazał mu miejsce w kącie z dala od stołu zabiegowego.

– Pomogę. Proszę się odsunąć.

Z początku lekarz myślał, że to malaria. Choroba szalała w regionach

tropikalnych i subtropikalnych zwłaszcza w ubogich regionach takich jak Mandera, która znajdowała się zaledwie czterysta kilometrów od równika. W ciągu roku na świecie ponad dwieście milionów ludzi zaraziło się malarią, a prawie pół miliona traciło życie. Dziewięćdziesiąt procent przypadków śmiertelnych przypadało na Afrykę, gdzie w każdej minucie na malarię umierało jedno dziecko. Ludzie z Zachodu również często na nią chorowali. Dało się ją wyleczyć, co napawało Elima pewną nadzieją, gdy naciągał winylowe rękawiczki i zaczął badanie.

Pacjent był ledwie przytomny. Majaczył, gwałtownie kręcąc głową. Kiedy Elim podciągnął mu koszulę, natychmiast zmienił diagnozę. Na brzuchu i piersi mężczyzny dostrzegł wysypkę.

Te objawy bardziej pasowały do duru brzuszego. Ta choroba również często występowała w regionie i była wywoływana przez bakterię *Salmonella typhi*, która rozwijała się w zbiornikach wodnych. Dur był uleczalny. Trzeba tylko podać fluorochinolon, jeden z nielicznych antybiotyków, które miał do dyspozycji.

Nadzieja Elima wyparowała, kiedy zajrzał pod powieki pacjenta. Spojrzały na niego żółte oczy. W kąciaku lewego oka zebrała się krew, po czym pociekła po twarzy mężczyzny.

– Odejść od stołu – powiedział Elim, rozłożył ręce i odsunął pielęgniarki.

– Co z nim? – zapytał drugi biały.

– Wyjść z sali – polecił Elim.

Pielęgniarki natychmiast wykonały polecenie, lecz młody człowiek nadal nie chciał się ruszyć.

– Nie zostawię go.

– Musi pan.

– Nie wyjdę.

Elim przyjrzał się młodzieńcowi. Coś tu nie pasowało. Kamera, jego wygląd, również to, że dotarli właśnie tutaj.

– Jak pan się nazywa?

– Lucas. Turner.

– Dlaczego tu jesteście, panie Turner?

- On zachorował...
- Nie, dlaczego przyjechaliście do Kenii? Co robicie w Manderze?
- Rozkręcamy biznes.
- Jaki?
- CityForge. Crowdfundingowy start-up skierowany do władz lokalnych
- odparł Lucas, jakby recytował wyuczoną frazę.

Elim pokręcił głową. *O czym on mówi?*

- Wie pan, co mu dolega? – spytał Lucas.
- Być może. Musi pan stąd wyjść.
- Nie ma mowy.
- Posłuchaj mnie, człowieku. Pana przyjaciel zapadł na bardzo niebezpieczną chorobę. Prawdopodobnie zaraźliwą. Pańskie zdrowie jest zagrożone.

– Co złapał?

– Nie...

– Nie ma pan pojęcia – odparł Lucas.

Elim rozejrzał się, upewniając, że pielęgniarki wyszły z pomieszczenia.

– Marburga – szepnął. Lucas nie zareagował. – Możliwe, że ebolę.

Spocona twarz Lucasa zbladła, przez co jego ciemne, rozczochrane włosy jeszcze bardziej kontrastowały z białą skórą. Popatrzył na przyjaciela leżącego na stole, po czym pospiesznie opuścił pokój.

Elim podszedł do stołu zabiegowego.

– Wezwę pomoc – powiedział. – Zrobię, co w mojej mocy.

Zdjął rękawiczki, wrzucił je do kosza na odpady i wyjął smartfon. Sfotografował wysypkę, poprosił mężczyznę o otwarcie oczu i pstryknął jeszcze jedno zdjęcie, po czym wysłał je do kenijskiego Ministerstwa Zdrowia.

Przy drzwiach poinstruował czekającą tam pielęgniarkę, żeby nikogo nie wpuszczała do pomieszczenia. Wrócił po chwili w maseczce ochronnej, kitlu, ochraniaczach na obuwiu i goglach. Przyniósł także jedyne leki, jakie mógł zapewnić swojemu pacjentowi.

Na wąskim drewnianym stole postawił trzy plastikowe wiadra. Na każdym przykleił kawałek brązowej taśmy klejącej z jednym słowem:

wymioty, kał, mocz. W stanie, w jakim znajdował się mężczyzna, Elim dość pesymistycznie podchodził do segregacji wydzielin, lecz zamierzał przestrzegać standardowych procedur obchodzenia się z pacjentami zarażonymi ebolą lub innymi gorączkami krwotocznymi. Mimo że miał niewiele zapasów i uszczuplony personel, był zdecydowany zapewnić pacjentowi najlepszą możliwą opiekę. Uważał to za swój obowiązek.

Podał mężczyźnie mały papierowy kubek wypełniony tabletkami – antybiotykami, żeby leczyć drugorzędne infekcje – oraz buteleczkę z napisem DPN: doustny płyn nawadniający.

– Proszę to zażyć.

Trzęsącą się dłonią mężczyzna włożył tabletki do ust i popił małym łykiem płynu z butelki. Skrzywił się, czując smak tej mikstury.

– Wiem. Straszna w smaku, ale musi pan ją wypić. Nie wolno się panu odwodnić.

Ebola zabija średnio połowę zarażonych osób. Nawet kiedy układ odpornościowy organizmu pokona samą chorobę, biegunka podczas swej najostrzejszej fazy często prowadzi do śmierci na skutek odwodnienia.

– Zaraz wrócę – obiecał Elim.

Na zewnątrz ostrożnie zdjął odzież ochronną. Wiedział, że nie mają jej wystarczająco dużo w szpitalu, żeby zabezpieczyć cały personel, który będzie musiał opiekować się mężczyzną. Rozpaczliwie potrzebowali wyposażenia i pomocy. Na razie musi odizolować chorego i poddać kwarantannie Lucasa, by stwierdzić, czy on też jest zarażony.

Lekarz zastanawiał się nad swoim kolejnym posunięciem, kiedy znowu usłyszał wołanie pielęgniarki.

Pospieszył do szpitalnej izby przyjęć, gdzie zastał kolejnego białego mężczyznę, opierającego się o framugę. Był starszy od tamtych dwóch, lecz też blady, spocony i śmierdziało od niego biegunką i wymiotami, jak od tego chorego.

– Czy on jest z tamtymi? – spytał Elim.

– Nie wiem – odparła pielęgniarka. – Przysłali go z lotniska.

– Proszę podnieść koszulę.

Mężczyzna zadarł koszulę, pod którą doktor dostrzegł rozległą



wysypkę.

Elim sfotografował ją i wysłał mailem do Ministerstwa Zdrowia.

– Proszę zaprowadzić go do drugiego pokoju badań – zwrócił się do pielęgniarki. – Nie dotykać go. Trzymać się na dystans. Wyjść z pokoju. Nikt nie może tam wchodzić.

Wybrał numer Centrum Działań Kryzysowych przy kenijskim Ministerstwie Zdrowia.

– Dzwonię ze szpitala Referral w Manderze. Mamy problem – powiedział, uzyskawszy połączenie.

## ROZDZIAŁ 2

Został pobity. To była jego pierwsza myśl po obudzeniu. Ból pulsował od żeber. Podniósł rękę i dotknął guza z lewej strony głowy, szybko jednak zabrał dłoń.

Leżał na wielkim, nieposłanym łóżku. Poranne słońce przesączało się przez przezroczyste firanki, oślepiając go i wywołując jeszcze większy ból głowy.

Zamknął oczy i odwrócił głowę.

Kilka sekund później powoli je otworzył. Na stoliku nocnym stała srebrna lampka i leżał mały bloczek papieru. W nagłówku widniał napis: *Hotel Concord, Berlin.*

Próbował sobie przypomnieć, kiedy się zameldował, ale nie pamiętał. Co gorsza nie wiedział, jaki jest dzień. Ani dlaczego znajdował się w Berlinie. Nie wiedział też, jak się nazywa. *Co się ze mną stało?*

Wstał i pokuśtykał do łazienki. Żebra bolały go przy każdym kroku. Ze spodni koloru khaki wyciągnął niebieską koszulę. Z lewej strony miał siniaka, granatowoczarne pośrodku i zaczerwienionego na krawędziach.

Przejrzał się w lustrze. Patrzył na szczupłą, zadbaną twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi. Blond grzywka sięgała brwi i trochę podwijała się na końcu. Miał lekką opaleniznę, lecz jego skóra i gładkie ręce nie pozostawiały wątpliwości, że wykonywał jakąś pracę biurową. Namacał guz na głowie. Był duży, ale cios nie rozerwał skóry.

Przeszukał swoje kieszenie i znalazł jedynie małą karteczkę wielkości

wizytówki. Wyjął ją i obejrzał: 20-procentowa zniżka z Taniej i Dobrej Pralni Chemicznej.

Na odwrocie on sam – a może ktoś inny – napisał trzy linijki tekstu.

W pierwszej:

MÓROUCY GŹ

W drugiej:

7379623618

A trzecia linijka przedstawiała tylko trzy romby w nawiasach.

(<><><>)

Jakiś kod.

Za bardzo bolała go głowa, by mógł myśleć o kodach.

Położył kartkę na toaletce, wyszedł z łazienki i przeszedł przez sypialnię do pokoju dziennego, gdzie stanął jak wryty. Na podłodze leżał jakiś mężczyzna. Siny na twarzy. Nie oddychał.

Obok trupa przy drzwiach do apartamentu zobaczył białą kartkę. Rachunek za pobyt, który, jak wynikało z wydruku, rozpoczął się tydzień wcześniej, i wyliczał kilka dań zamówionych do pokoju oraz nienaruszony minibar.

Co najważniejsze, na górze strony wydrukowano imię i nazwisko gościa. *Desmond Hughes*. Od razu wiedział, że to jego nazwisko, jednak widząc je, nie poczuł żadnego przyływu wspomnień, lecz zaledwie pewność, że to on.

Mężczyzna na podłodze był wysoki i szczupły. Miał siwe, przerzedzone włosy obcięte na jeża. Ubrany był w ciemny garnitur i białą koszulę bez krawata. Jego muskularną szyję otaczał wianuszek siniaków.

Desmond ukląkł obok ciała i chciał sięgnąć do kieszeni spodni mężczyzny, lecz instynktownie zatrzymał się w pół ruchu. Spod biurka wyciągnął mały kosz na śmieci, wyjął plastikowy worek i wsadził go sobie na rękę, żeby nie pozostawić odcisków palców ani DNA.

W kieszeni mężczyzny znalazł portfel i kartę identyfikacyjną pracownika Rapture Therapeutics. Na karcie nie było zawodu, tylko imię i nazwisko: Günter Thorne. Zdjęcie pasowało do bladej twarzy leżącej na cienkim dywanie. Na jego niemieckim dowodzie i kartach

kredytowych widniało to samo nazwisko.

Desmond wsunął wszystko do kieszeni mężczyzny i delikatnie odchylił połą jego marynarki, odsłaniając czarny pistolet w kaburze.

Przykucnął i poczuł ból w nogach. Wstał, próbując je rozciągnąć, i rozejrzał się po pokoju. Był nieskazitelnie czysty. Bez wątpienia niedawno posprzątany. Przeszukał go, ale nie znalazł żadnych wskazówek. Brakowało bagażu i ubrań w szafie. Mały sejf był otwarty i pusty. Nie znalazł nawet przyborów toaletowych.

Ponownie sprawdził rachunek. Żadnych telefonów.

Co to wszystko znaczyło? Wyglądało to tak, jakby przychodził tu jeść. Albo ukrywać się. Czy mieszkał w Berlinie? Gdyby nie ciało Güntera Thorne'a w pokoju dziennym, Desmond zadzwoniłby już do recepcji, żeby zamówić jakąś pomoc medyczną. Nie mógł tego zrobić, dopóki nie dowie się więcej. A miał tylko jeden trop.

Wrócił do łazienki i podniósł kupon z sekwencją liter i numerów. Kiedy na nie patrzył, uświadomił sobie coś na temat nawiasów. W zeznaniach finansowych oznaczały wartość ujemną – stratę. Sumę odjętą od rachunku bieżącego.

Skąd to wiedział? Zajmował się bankowością?

Usiadł na łóżku i wziął bloczek ze stolika. Jaki jest tu klucz? Odejmnowanie? Strata. Minus.

W nawiasach były trzy romby. Więc trzy minusy, odjąć trzy. Tak – dolny wers musiał być kluczem, pierwsze dwa wiadomością. W głowie zaświtała mu nazwa szyfru: prosty szyfr podstawieniowy. Co więcej, to było przesunięcie cezariańskie, dawniej używane przez Juliusza Cezara w tajnej korespondencji.

Desmond od każdej litery odjął trzy, to samo zrobił z cyframi. Wyszło mu:

OSTRZEŻ JĄ  
4046390385

Pomiędzy trzecią i szóstą cyfrę wstawił myślniki i otrzymał:

*Ostrzeż ją.* I numer telefonu. Przed czym ją ostrzec? Przez drzwi pomiędzy sypialnią i pokojem dziennym spojrzął na martwego Thorne'a. Czyżby Rapture Therapeutics lub ten, kto przysłał Güntera do tego pokoju hotelowego, również nastawał na „jej” życie? A może to było niepowiązane ze sobą. Albo Desmond sam zastawił tu pułapkę na Güntera. Niewykluczone, że ona jest moją współniczką, pomyślał. W każdym razie coś powinna wiedzieć.

Desmond podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Po trzecim sygnale odebrała jakaś kobieta i odezwała się półprzytomnym głosem.

– Shaw.

– Cześć. Tu... Desmond Hughes.

– Cześć – rzuciła, tym razem bardziej czujnie.

– Witam. – Nie wiedział, od czego zacząć. – Czy... spodziewałaś się mojego telefonu?

Westchnęła do słuchawki. Usłyszał jakiś szelest, chyba siadała w łóżku.

– O co ci chodzi, Desmondzie?

– Znamy się?

Teraz mówiła smutnym tonem.

– To nie jest śmieszne, Des.

– Słuchaj, czy możesz mi wyjaśnić, kim jesteś? Gdzie pracujesz? Proszę.

Cisza.

– Peyton Shaw. – Kiedy nic nie odpowiedział, dodała: – Pracuję teraz w CDC. Jestem epidemiolożką.

Rozległo się pukanie do drzwi apartamentu – trzy stanowcze uderzenia dochodzące z pokoju dziennego.

Desmond czekał i myślał. Zegar na stoliku nocnym wskazywał 7.34 rano. Za wcześnie na sprzątanie.

– Halo? – odezwała się Peyton.

Kolejne trzy uderzenia, tym razem głośniejsze, a zaraz potem męski głos.

– *Polizei!*

– Słuchaj, Peyton. Myślę, że grozi ci niebezpieczeństwo.

– Co? O czym mówisz?

Znowu pukanie, natarczywe, tak głośne, że mogłoby obudzić gości w sąsiednich pokojach.

– *Polizei! Herr Hughes, bitte öffnen Sie die Tür.*

– Zadzwoń później.

Odłożył słuchawkę i podbiegł do drzwi, nie zwracając uwagi na ból w nogach.

Przez wizjer zobaczył dwóch policjantów w mundurach i mężczyznę w ciemnym garniturze – prawdopodobnie ochroniarza hotelu.

Pracownik hotelu właśnie wyciągał klucz magnetyczny do pokoju.

## ROZDZIAŁ 3

W Atlancie doktor Peyton Shaw usiadła na łóżku z bezprzewodowym telefonem przy uchu.

– Desmondzie?

Połączenie zostało jednak przerwane.

Odłożyła słuchawkę i czekała, spodziewając się, że Desmond zaraz zadzwoni ponownie.

Była 1.43 w nocy z soboty na niedzielę, ona była sama w domu i spała już od trzech godzin. To znaczy teraz już nie spała, bo została wytrącona z równowagi.

Poczuła nagłą potrzebę rozejrzenia się po swoim dwupokojowym mieszkaniu, by upewnić się, że nie ma w nim nikogo prócz niej. Mieszkała sama, odkąd jako dwudziestolatka przeprowadziła się do Atlanty i, poza kilkoma wyjątkami, zawsze czuła się bezpiecznie.

Wzięła telefon komórkowy, wstała z łóżka i ostrożnie wyszła z sypialni. Co kilka sekund zimna drewniana podłoga skrzypiała w zetknięciu z jej stopami. Drzwi wejściowe były zamknięte, zasuwka zasunięta. Drzwi do drugiego pokoju, w którym urządziła domowe biuro, były również zamknięte, odgródzone od reszty mieszkania – pokoju z aneksem kuchennym. Już dawno temu odkryła, że zdjęcia epidemii z różnych stron świata są zabójcze dla miłej atmosfery, gdy przychodzą goście lub znajomi mężczyźni, więc zawsze zamykała swoje biuro.

Przez okna sięgające od podłogi do sufitu wyjrzała na ulicę Peachtree, która o tej porze zwykle była opustoszała. Poczuła chłód od szyb, było

zimniej niż zwykle pod koniec listopada.

Czekała w nadziei, że telefon domowy znowu zadzwoni. Wiele razy rozważała rezygnację z linii naziemnej, ale niektórzy znajomi mieli jeszcze jej numer, poza tym z niezrozumiałych dla niej powodów rachunki za telewizję kablową i Internet były niższe, gdy miało się domowy telefon.

Przejechała dłonią po brązowych, sięgających ramion włosach. Jej mama była w połowie Chinką, w połowie Niemką i obie miały porcelanową barwę skóry. Nie wiedziała dokładnie, skąd pochodził ojciec, który był Anglikiem i umarł, gdy miała sześć lat.

Usiadła na szarej sofie i podwinęła pod siebie lodowate stopy, żeby je ogrzać. Na telefonie komórkowym zrobiła coś, czego miała już nigdy nie robić: otworzyła Google i wyszukała Desmonda Hughesa. Jego głos nią wstrząsnął. A ostatnie słowa: „Myślę, że grozi ci niebezpieczeństwo”, wciąż dźwięczały jej w uszach.

Pierwszy link prowadził do strony internetowej Icarus Capital, funduszu venture capital. Desmond był wymieniony na stronie *Nasi pracownicy* jako założyciel i partner zarządzający. Miał pewny siebie uśmiech, być może nawet nieco arogancki.

Kliknęła na stronę *Inwestycje* i przeczytała wstęp:

Mówi się, że liczy się teraźniejszość. W Icarus Capital nie zgadzamy się z tym. Uważamy, że liczy się przyszłość. Dlatego inwestujemy w przyszłość. A raczej w ludzi, którzy wymyślają przyszłość. Oto niektórzy z nich i ich firmy. Jeśli sam wymyślasz przyszłość, skontaktuj się z nami. Pomozemy ci.

Peyton rzuciła okiem na listę firm: Rapture Therapeutics, Phaethon Genetics, Rendition Games, Cedar Creek Entertainment, Rook Quantum Sciences, Extinction Parks, Labyrinth Reality, CityForge i Charter Antarctica.

Żadna z nazw nic jej nie mówiła.

Kliknęła w kolejny link z wyników wyszukiwania i trafiła na film przedstawiający Desmonda na jakiejś konferencji. Osoba



przeprowadzająca z nim wywiad zadała pytanie:

– Icarus zainwestował w doprawdy eklektyczny miks start-upów, a także ekstremalne miejsca czasowe takie jak Antarktyka. Czy jest jakaś nić wiążąca te wszystkie inwestycje? Czy mógłby pan opowiedzieć przedsiębiorcom zgromadzonym na sali, jakie cechy start-upów są dla państwa atrakcyjne?

Siedząc w fotelu klubowym na scenie, Desmond ujął mikrofon i odpowiedział spokojnie, lecz z zaraźliwym entuzjazmem. Kąciki jego ust wyginały się ku górze. Miał skupiony wzrok i nie mrugał.

– Cóż, jak pan mówi, trudno jest skategoryzować dokładnie, jakiego typu firm poszukujemy. Mogę jednak powiedzieć, że każdy biznes, w który inwestujemy, jest częścią większego, złożonego eksperymentu.

Jego rozmówca uniósł brwi.

– Interesujące. A jaki to eksperyment?

– Eksperyment naukowy, który ma dać odpowiedź na bardzo ważne pytanie.

– Które brzmi?

– Dlaczego istniejemy?

Moderator udał zaskoczenie i zwrócił się do zebranych.

– Czy to wszystko?

Publiczność zaśmiała się, Desmond również.

Następnie pochylił się do przodu na fotelu, zerknął na moderatora, po czym skupił się na kamerze.

– Okej, chyba warto podkreślić, że wielu z was zgromadzonych tutaj na sali i oglądających to nagranie doszłoby do wniosku, że odpowiedź na to pytanie jest prosta: istniejemy, ponieważ właściwości fizyczne tej planety pozwalają podtrzymać życie biologiczne, więc pod względem biologicznym to nieuniknione, że istniejemy w środowisku ziemskim. To prawda, ale prawdziwe pytanie brzmi: dlaczego? Dlaczego wszechświat wspiera życie biologiczne? Do kiedy tak będzie? Jaki los czeka ludzkość? Wierzę, że istnieje jakaś odpowiedź.

– Och. To zabrzmiało prawie jak wypowiedź osoby wierzącej.

– Bo taką jestem. Jestem przepełniony wiarą. Wierzę, że wokół nas

zachodzi jakiś doniosły proces, z którego dostrzegamy zaledwie niewielki wycinek.

– Sądzi pan, że technologia, którą finansuje Icarus, dostarczy nam tej ostatecznej prawdy?

– Postawiłbym na to swoje życie.



Peyton właśnie usnęła, kiedy obudził ją jakiś hałas dochodzący ze stolika nocnego. Zamarła, nasłuchując, ale dźwięk nagle się urwał.

Znowu się rozległ: coś ocierało się o blat.

Wibracja.

Pod kloszem lampki zaświecił się telefon, rzucając blask na sufit.

Odetchnęła, wzięła wibrujący telefon i sprawdziła godzinę – 3.35 nad ranem. Nie rozpoznała numeru, ale знаła kierunkowy państwa, skąd do niej dzwoniło. 41. Szwajcaria.

Natychmiast odebrała.

– Peyton, przepraszam, że cię budzę – powiedział doktor Jonas Becker.

Niemiecki epidemiolog stał na czele zespołu szybkiego reagowania Światowej Organizacji Zdrowia. Peyton zajmowała podobne stanowisko w CDC. Pracowali razem wiele razy w gorących strefach na całym świecie i przez ten czas dość mocno się zżyli.

– W porządku. Co się stało?

– Właśnie wysłałem ci mail.

– Poczekaj.

Bose stopy zastukały w drewnianą podłogę, gdy pobiegła do drugiego pokoju. Usiadła przy tanim biurku z Ikei, otworzyła laptopa, uruchomiła sieć VPN i otworzyła link do swojego terminala w CDC.

Przeglądała zdjęcia dołączone do wiadomości, w myślach odnotowując każdy szczegół.

– Widzę – powiedziała.

– Kilka godzin temu dostaliśmy je od kenijskiego Ministerstwa Zdrowia. Zrobił je lekarz w szpitalu regionalnym w Manderze.

Peyton nigdy nie słyszała o Manderze. Otworzyła mapy Google i sprawdziła, że leży na północnym wschodzie Kenii, tuż przy granicy z Somalią i Etiopią. Najgorsze możliwe miejsce na wybuch epidemii.

– To chyba jakiś rodzaj gorączki krwotocznej – ocenił Jonas. – W regionie występuje gorączka Doliny Ryftowej. A także ebola i choroba marburska. Po epidemii eboli w Afryce Zachodniej wszyscy podchodzą tam poważnie do tematu. Dzwonili już do mnie z biura dyrektora generalnego.

– Czy to jedyne znane przypadki?

– W tej chwili tak.

– Co o nich wiemy? – spytała Peyton.

– Niewiele. Wszyscy trzech mężczyźni twierdzą, że są mieszkańcami Zachodu przebywającymi czasowo w Kenii.

To przyciągnęło uwagę Peyton.

– Dwaj młodszy są Amerykanami. Niedawno ukończyli studia na Uniwersytecie Karoliny Północnej w Chapel Hill. Przyjechali do Kenii jako przedstawiciele jakiegoś start-upu. Ten trzeci jest z Londynu. Pracuje w brytyjskiej firmie montującej systemy radarowe.

– Jakiego rodzaju systemy radarowe?

– Do kontroli ruchu powietrznego. Pracował na lotnisku w Manderze, kiedy zachorował.

– Mają lotnisko?

– Można tak powiedzieć. Dawniej to był tylko jeden pas startowy, lecz kilka miesięcy temu rząd rozbudował infrastrukturę: utwardzili pas, zakupili lepszy sprzęt. Otwarcie nastąpiło w zeszłym tygodniu.

Peyton masowała skronie. Lotnisko działające w gorącej strefie było koszmarnym scenariuszem.

– Wysyłamy zapytania o lotnisko, ruch, kto był na ceremonii otwarcia, o innych obcokrajowców, którzy mogli pracować przy projekcie. Skontaktowaliśmy się również z Public Health England<sup>[2]</sup> i już nad tym pracują. U nich jest teraz za dwadzieścia dziewięć rano, więc wkrótce skontaktują się z rodziną Brytyjczyka i jego współpracownikami. Kiedy dowiemy się, od jak dawna przebywa w Kenii, postanowimy, czy objąć

ich kwarantanną.

Peyton rzuciła okiem na tekst wiadomości i zauważyła nazwiska dwóch młodszych mężczyzn.

– Zaczniemy namierzać kontakty Amerykanów, sprawdzimy, czy uda nam się prześledzić, gdzie byli i jak długo przebywają w Kenii. Co jeszcze możemy zrobić?

– To na razie wszystko. Kenijczycy nie zwrócili się jeszcze o pomoc, ale jeśli sprawy potoczą się podobnie jak w Afryce Zachodniej, to lepiej przyjąć, że będą potrzebowali naszego wsparcia.

Wsparcie oznaczało pieniądze i zaopatrzenie. Podczas wybuchu epidemii eboli w Afryce Zachodniej CDC dostarczyło setki ludzi i sprzęt, w tym odzież ochronną, tysiące worków na ciała i niezliczone zestawy do przeprowadzania badań.

– Porozmawiam z Elliottem – powiedziała Peyton. – Włączymy stanową i amerykańską Agencję Rozwoju Międzynarodowego<sup>[3]</sup>.

– I jeszcze coś. Właśnie odbyliśmy naradę dotyczącą bezpieczeństwa w regionie. Hrabstwo Mandery jest bardzo niebezpiecznym miejscem. Działa tam organizacja terrorystyczna Asz-Szabab. Są równie brutalni jak ISIS, nie kochają Amerykanów i kiedy dowiedzą się, że działacie w okolicy, mogą stać się jeszcze bardziej niebezpieczni. Późnym wieczorem będziemy w Nairobi i pomyślałem, że tam poczekamy na wasz zespół. Możemy dostać eskortę wojskową od Kenijczyków i razem ruszyć na północ.

– Zanim tam dotrzemy, będzie sobota.

– Nie szkodzi, poczekamy. Jest dużo do zrobienia w Nairobi.

– Świetnie. Dziękuję, Jonasie.

– Bezpiecznej podróży.

Peyton odłożyła telefon na biurku, wstała i popatrzyła na mapę świata, która wisiała na ścianie. Kolorowe pinezki wbite były w każdy kontynent. Każda z nich, oprócz jednej, symbolizowała wybuch epidemii. We wschodniej Ugandzie, wzdłuż granicy z Kenią, pośrodku Parku Narodowego Mount Elgon, wisiała srebrna przypinka. Przedstawiała laskę z owiniętym wokół niej węzem – tradycyjny symbol lekarzy zwany

laską Eskulapa, najczęściej widywany w środku sześcioramiennej Gwiazdy Życia na ambulansach. Przypinka należała do brata Peyton, Andrew. To Andrew zainspirował ją do tego, że podjęła pracę epidemiologa, i zawsze zabierała ze sobą przypinkę, gdy udawała się w teren. To jedyne, co jej po nim zostało.

Zdjęła z mapy srebrną pamiątkę, włożyła ją do kieszeni i wetknęła czerwoną pinezkę w miejsce spotykania się Kenii, Etiopii i Somalii, zaznaczając punkt, gdzie wybuchła epidemia gorączki krwotocznej.

Zawsze miała spakowane torby: bagaż w podróż do krajów rozwiniętych i Trzeciego Świata. Wzięła tę przeznaczoną na wyjazd do Trzeciego Świata i dołożyła zasilacze działające w Kenii.

Jak tylko wszystko trochę się uspokoi, będzie musiała zadzwonić do matki i siostry, żeby powiedzieć im o wyjeździe. Za cztery dni przypadało Święto Dziękczynienia i Peyton miała przeczucie, że ominie ją rodzinna uroczystość.

Nie chciała tego przyznać, ale w pewnym sensie czuła ulgę. Siostra, Madison, była jej jedynym żyjącym rodzeństwem. Śmierć brata zbliżyła je do siebie, ale ostatnio każda rozmowa z Madison kończyła się tym, że siostra pytała Peyton, dlaczego z nikim się nie umawia, i utyskiwała, że jej szanse na założenie rodziny coraz bardziej maleją. Trzydziestoosmioletnia Peyton musiała jej przyznać rację, ale właściwie nie była do końca przekonana, że chciałaby założyć rodzinę. W zasadzie nie była nawet pewna, czy chciała jakiegoś życia poza pracą. Praca stała się jej życiem i wierzyła, że to, co robi, jest ważne. Lubiła telefony w środku nocy. Tajemnicę, jaką niósł za sobą każdy wybuch epidemii, świadomość, że dzięki ciężkiej pracy ratuje ludzkie życia oraz że każda sekunda ma znaczenie.

Zegar już zaczął odliczanie.



Na ulicy pod domem mężczyzna siedzący w samochodzie obserwował, jak Peyton wyjeżdża z podziemnego parkingu.

Uruchamiając samochód, odezwał się do słuchawki.

– Obiekt się porusza. Żadnych gości. Żadnych wiadomości tekstowych. Jedynie jeden telefon od jej kontaktu w WHO.

[2] Public Health England – instytucja podlegająca Ministerstwu Zdrowia, której zadaniem jest m.in. ochrona epidemiologiczna.

[3] United States Agency for International Development (USAID)

## ROZDZIAŁ 4

Desmond widział przez wizjer w drzwiach, jak ochroniarz hotelowy zbliża kartę magnetyczną do zamka. Dwóch mundurowych stało obok niego z rękami na biodrach.

Zamknął drzwi na zasuwę, żeby nie mogli otworzyć drzwi.

– Jeszcze chwilę – powiedział po angielsku, przybierając głos osoby zirytowanej. – Jestem nieubrany.

– Proszę się pospieszyć, panie Hughes – odparł ochroniarz.

Desmond patrzył na zwłoki na podłodze.

W głowie rozważał różne scenariusze.

Pierwszy: ucieczka przez okno. Podszedł do wysokiego okna. Znajdował się co najmniej na dziesiątym piętrze, nie było schodów pożarowych ani innych możliwości dostania się ziemię w jednym, nieroztrzaskanym kawałku. Poza tym wyglądało na to, że okno w ogóle się nie otwierało.

Drugi: próbować uciec korytarzem. Uznał, że ma zero procent szans na powodzenie. Nie był w formie, by wyminąć trzech czekających mężczyzn i im umknąć.

Zatem pozostaje scenariusz trzeci: ukrycie ciała i stawienie czoła tej sytuacji.

Ale gdzie?

W pokoju dziennym stało biurko, krzesło biurowe, sofa, dodatkowe krzesło i zestaw telewizyjny. Kaloryfery były pod wysokimi oknami i zasłonami sięgającymi podłogi. Szerokie przejście z podwójnymi drzwiami prowadziło do sypialni, w której znajdowało się duże łóżko

i dwa stoliki nocne, okno z kaloryferem pod nim oraz szafa. Do wąskiej łazienki można było wejść tylko z sypialni.

Desmond szybko podjął decyzję.

Ból przeszył całe jego ciało, gdy podniósł trupa. Jego zebra ostro zaprotestowały, w pewnym momencie zabrakło mu tchu. Mężczyzna był wysoki, podobnego wzrostu jak Desmond, czyli miał z metr osiemdziesiąt, lecz na szczęście był szczupły. Prawdopodobnie ważył tylko jakieś siedemdziesiąt kilo, ale gdy go Desmond dźwignął, odniósł wrażenie, że raczej dwa razy tyle. Zadziałało stężenie pośmiertne. Günter Thorne nie żył od kilku godzin.

Ciągnąc ciało, Desmond zastanawiał się, ile czasu potrzeba, by nastąpiło zeszywnienie. Jednak najbardziej dręczyło go to, że w ogóle nie przyszło mu do głowy, by otworzyć drzwi, wpuścić policjantów i wyjaśnić im sytuację, w jakiej się znalazł. Tak jakby podświadomie wiedział, że jest kimś, kto powinien unikać policji, że ma coś do ukrycia. Że jeśli wszystkie fakty wyjdą na światło dzienne, nie skończy się to dla niego dobrze. Teraz potrzebował swobody działania. Musiał dowiedzieć się, co się z nim stało.

Pocił się i sapał, kiedy znowu zapukali. Osuszył twarz, podbiegł do drzwi, uchylił je i wyjrzał podejrzliwie.

– Słucham?

– Możemy wejść, panie Hughes? – zapytał ochroniarz.

Odmowa wzbudziłaby ich podejrzliwość, więc Desmond nie mógł rozmawiać z nimi przez drzwi. Bez słowa otworzył je szerzej.

Trzej mężczyźni weszli do środka i rozejrzeli się po pokoju. Jeden z funkcjonariuszy poszedł do sypialni i zbliżył się do szafy i łazienki. Drzwi do obu były zamknięte.

– O co chodzi? – zapytał Desmond.

– Zostaliśmy powiadomieni o zakłóceniu spokoju – powiedział policjant w pokoju dziennym, nie patrząc mu w oczy. Zajrzał za sofę, potem za telewizor. Chyba on tu dowodził.

Przez drzwi prowadzące do sypialni Desmond widział, jak drugi mundurowy patrzy na drzwi szafy. Podniósł rękę, otworzył je



i znieruchomiał na chwilę. Jego wzrok wędrował od podłogi po sufit. Odwrócił się w stronę Desmonda.

– Żadnego bagażu?

– Odesłałem go już na dół – wyjaśnił szybko, starając się sprawiać wrażenie zniecierpliwionego. Musiał odwrócić rolę, przejść do ofensywy, żeby wyprosić ich z pokoju. – Jakiego rodzaju zakłócenia? Czy jesteście pewni, że trafiliście do właściwego pokoju?

Policjant w pokoju dziennym chyba już zakończył przeszukanie. Skierował swoją uwagę na Desmonda.

– Przyjechał pan w interesach czy dla przyjemności, panie Hughes?

– Jedno i drugie.

– Czym się pan zajmuje?

– Technologią – odparł wymijająco. – Słuchajcie, czy znalazłem się w niebezpieczeństwie? Czy powinienem zadzwonić do ambasady amerykańskiej? – Po każdym zdaniu podnosił głos, jak ktoś, kogo ogarnia panika. – Czy przynajmniej możecie mi powiedzieć, o co tu chodzi?

– Jak długo jest pan w Berlinie, panie Hughes?

– Od tygodnia. Jakie to ma znaczenie?

Policjant był niewzruszony. To na niego nie działało.

Kątem oka zobaczył, że ten drugi ustawia się po lewej stronie drzwi łazienki, jedną dłoń trzyma na pistolecie, drugą wyciąga do klamki.

Desmond zmienił taktykę. Skupił się na ochroniarzu hotelowym i powiedział szybko:

– Jak pan wie, to znajdzie się w mojej opinii na stronie hotelu. – Mężczyzna szerzej otworzył oczy. – Tak, oczywiście – naciskał Desmond. – Sądzę, że zatytułuję recenzję: Zatrzymaj się tutaj, jeśli chcesz zostać przesłuchany w gestapowskim stylu i zależy ci na gównianym wi-fi.

Ochroniarz popatrzył na policjanta.

– Skończył pan?

Desmond słyszał skrzypienie otwieranych drzwi łazienki. Sekundę później zapaliły się światła. Policjant popatrzył na swojego partnera i pracownika hotelu. Stojąc w tym samym miejscu, nadal z ręką na

broni, szybko pokręcił głową.

– Tak. Skończyliśmy – powiedział drugi funkcjonariusz. – Bardzo przepraszamy za niedogodności, panie Hughes. Miłego pobytu w Berlinie.

Trzej mężczyźni podeszli do drzwi. Ochroniarz właśnie chwycił za klamkę, gdy w apartamencie rozległ się dziwny dźwięk: skóry ślizgającej się po szkle. Pisk ustał, trzej mężczyźni zastygli na swoich miejscach, a następnie odwrócili się przodem do Desmonda. Niestety, grawitacja przejęła stery i pociągnęła ciało martwego Güntera Thorne'a na podłogę. Desmond oparł go o szybę w rogu pokoju i przykrył zasłonami, lecz teraz trup się uwolnił. Jego twarz przesunęła się po szybie, a sekundę później poleciała reszta ciała, uderzając najpierw w kaloryfer, a potem waląc się z hukiem na podłogę.

Desmond nie wahał się ani chwili. Rzucił się do przodu, w mniej niż sekundę pokonując odległość dzielącą go od trzech mężczyzn. Zamachnął się prawą ręką, wkładając w to całą siłę, i uderzył jednego pod lewe oko. Głowa gliniarza poleciała do tyłu i grzmotnęła w metalową framugę drzwi. Nokaut.

Desmond przetoczył się i stanął przy ochroniarzu, który znajdował się pomiędzy policjantami. Przytrzymał mu ręce. Drugi funkcjonariusz podniósł broń, ale Desmond szybko wykonał obrót o sto osiemdziesiąt stopni i wbił łokieć w czoło mężczyzny. Ten zatoczył się na drewniane drzwi, po czym nieprzytomny upadł na twarz, a broń wysunęła mu się z ręki. Desmond chwycił ją i wycelował w ochroniarza.

– Ręce do góry. Odsuń się od drzwi.

Ręce mężczyzny drżały, gdy je podniósł.

– Nie chcę zrobić ci krzywdy, ale jeśli krzykniesz, strzelę. Rozumiesz?

Pracownik hotelu potaknął.

– Dlaczego tu przyszliście?

– Było, jak mówili, mieliśmy telefon.

– Kto zadzwonił?

Pokręcił głową.

– Nie wiem...

– Kto?

– Mówili, że to było anonimowe zawiadomienie.

– Czy jest ich więcej na dole?

– Nie wiem...

– Nie kłam! – powiedział Desmond, podnosząc pistolet.

Mężczyzna zamknął oczy.

– Przyjechały dwa samochody. Nie wiem, czy wszyscy wysiedli.

– Odwróć się.

Ochroniarz się nie ruszył.

– No już.

Facet powoli się odwrócił, ręce mu drżały. Desmond zabezpieczył broń i zdzielił go pistoletem w głowę. Ochroniarz upadł.

Odciągnął ciało od drzwi, następnie wyjął magazynek z pistoletu, upewnił się, że w komorze nie ma naboju i że broń jest zabezpieczona. Wyciągnął koszulę ze spodni i wetknął broń za pas, po czym zabrał policjantom zapasowe magazynki. Zabrał też legitymację policyjną młodszemu z nich oraz sprzęt łącznościowy ochroniarza. Wetknął w ucho słuchawkę i przez chwilę przysłuchiwał się dochodzącym dźwiękom. Było ich niewiele i w języku niemieckim, ale większość udało mu się zrozumieć.

Musiał podjąć jakąś decyzję: schody lub winda. Drzwi frontowe czy boczne.

Każda droga miała wady i zalety. Gdyby zbiegał po schodach, zwróciłby na siebie uwagę tego, kto obserwował nagrania z kamer, wyjście bocznymi drzwiami też byłoby podejrzane. Wobec tego: winda i drzwi frontowe.

Zabrał całą gotówkę, jaką mieli przy sobie mężczyźni – w sumie trzysta dwanaście euro. Potrzebował pieniędzy, żeby uciec, a ponieważ już teraz można mu było zarzucić stawianie oporu przy aresztowaniu, napaść na policjanta oraz morderstwo, to rabunek nie skomplikuje za bardzo jego sytuacji.

Po wyjściu na korytarz swobodnym krokiem doszedł do windy i nacisnął guzik. Otworzyła się po kilku sekundach. W środku była

siwowłosa kobieta, która go nie rozpoznała.

Gdy jechał na dół, nie słyszał żadnych rozmów na kanale ochrony. Kiedy drzwi się otworzyły na hol, Desmond przepuścił kobietę przodem.

Wreszcie jakiś głos odezwał się po niemiecku.

– Gerhardt, jesteś jeszcze w pokoju tysiąc dwieście siedem?

Desmond schował się za kobietą.

– Gerhardt, odezwij się.

Przy obrotowych drzwiach stało dwóch mundurowych, uśmiechali się i rozmawiali. Znajdowali się parę metrów od niego. Kiedy zobaczyli Desmonda, ucichli.

## ROZDZIAŁ 5

Peyton dotarła do siedziby CDC przed czwartą rano. Kampus, choć związany z Atlantą, znajdował się tuż za granicami miasta, na północnym wschodzie w bogatej dzielnicy Druid Hills w hrabstwie DeKalb. Organizacja poprzedzająca CDC została założona w Atlancie z jednego prostego powodu: żeby zwalczać malarię. W tamtych czasach, w lipcu 1946 roku, ta choroba stanowiła największe zagrożenie dla zdrowia publicznego w Ameryce, zwłaszcza na gorącym, dusznym południowym wschodzie kraju. Centralne położenie w regionie najczęstszego występowania malarii było ważną zaletą.

Kiedy Peyton zaczęła pracę w CDC, wejście do budynku nie stanowiło żadnego problemu – wystarczyło tylko przeciągnąć kartę. Teraz środki bezpieczeństwa znacznie zaostrzono i obejmowały przejście przez bramkę i przeszukanie. Wiedziała, że ochrona jest ważna, ale nadal była zaniepokojona i chciała już rozpocząć pracę. Liczyła się każda sekunda.

Gdy została sprawdzona przez strażników, udała się bezpośrednio do Centrum Operacji Kryzysowych, skąd kierowano działaniami podczas wybuchu epidemii. Główna sala COK wyglądała jak centrum kontroli lotów kosmicznych w NASA, znajdowały się tam rzędy połączonych ze sobą biurek z płaskimi monitorami. Na zajmującym całą ścianę ekranie wyświetlała się mapa świata oraz zestawienia bieżących operacji. COK mogło pomieścić dwieście trzydzieści osób w systemie trzymianowym i wkrótce zacznie wypełniać się ludźmi. Nawet o tak wczesnej godzinie kilkunastu pracowników siedziało za biurkami, rozmawiając przez

telefon bądź wystukując coś na klawiaturach.

Peyton przywitała się z tymi, których znała, i zapytała o najnowsze doniesienia. Duża sala konferencyjna należąca do COK była pogrążona w ciemności, ale na drzwiach wisiała kartka zawiadamiająca, że spotkanie całego personelu w sprawie wybuchu epidemii w Manderze odbędzie się o ósmej.

Na ścianie widniał odpowiedni kolor kodu wskazujący bieżący poziom zagrożenia. Były trzy możliwe poziomy: czerwony oznaczał pierwszy – najwyższy, najbardziej krytyczny. Żółty wskazywał drugi, zielony – trzeci. Obecnie stan zagrożenia szacowano na kod żółty, co oznaczało, że Wydziały Operacji Kryzysowych działające przy COK w CDC będą wzywać personel i wysyłać wsparcie w miejsca dotknięte epidemią. Peyton ucieszyła się z takiego stanu rzeczy.

W swoim biurze zaczęła przygotowania do wyjazdu. W torbie miała podstawowy zestaw przydatny podczas badań w terenie: ubrania, przybory toaletowe, GPS, krem przeciwsłoneczny, fartuchy, rękawiczki, okulary ochronne, przenośny projektor i gotowe posiłki. Gotowe posiłki były szczególnie ważne podczas wyjazdów do krajów Trzeciego Świata; zwykle lokalne jedzenie i woda były wylęgarnią patogenu, z którym walczyli.

Peyton szybko złożyła zamówienie na inne rzeczy, których jej zespół będzie potrzebował w Manderze, w tym odpowiednie leki, moskitiery, środki odstraszające owady oraz nakładki SatSleeve, które montuje się do smartfonów, żeby mogły działać jak telefony satelitarne z dostępem do danych. Takie nakładki pozwolą członkom zespołu na zachowanie swoich numerów telefonów i kontaktów, a także na dostęp do poczty elektronicznej i innych danych. Zrobienie zdjęcia w terenie i natychmiastowe dodanie go do bazy może zmienić kierunek działań, a co się z tym wiąże, ocalić ludziom życie.

Następnie zaczęła przygotowywać pakiety dla zespołu. Wydrukowała mapy Mandery oraz pobliskich terenów, sporządziła listę kontaktów w biurze terenowym CDC w Kenii, w ambasadzie amerykańskiej, COK, WHO w Kenii oraz kenijskim Ministerstwie Zdrowia. Odnalazła

kwestionariusz, którego używała w terenie podczas epidemii eboli w Afryce Zachodniej, i dokonała w nim kilku zmian, dostosowując pytania do regionu. Wydrukowała setki kopii. Niektórzy epidemiolodzy woleli chodzić w teren bez żadnych papierów, ale ona nadal preferowała stare, dobre wydruki: nigdy się nie psuły, nie padały im baterie, a czający się przy drogach bandyci nie byli tak zainteresowani dokumentami jak tabletami. Papier się sprawdzał.

Pozostawała najważniejsza decyzja: personel.

Ktoś cicho zapukał do otwartych drzwi jej biura, odwróciła się i zobaczyła, że o framugę opiera się jej przełożony, Elliott Shapiro.

– Cześć – powiedziała.

– Jak to się dzieje, że zawsze jesteś tu tak szybko?

– Śpię z jednym otwartym okiem.

Uśmiechnął się.

– Dobrze. Nad czym pracujesz?

– Nad personelem.

– Świetnie. Widziałaś zdjęcia?

– Tak.

– Źle to wygląda.

– Fatalnie. Naprawdę musimy tam jechać – rzekła Peyton. – Jeśli przedostanie się do Nairobi, zrobi się gorąco.

– Zgadzam się. Podzwonię w kilka miejsc, zobaczę, czy uda się dotrzeć tam szybciej.

– Dzięki.

– Dzwon, jak będziesz mnie potrzebowała – dodał, wychodząc z jej biura.

– Jasne.

W firmowej książce telefonicznej Peyton sprawdziła numer telefonu do Josepha Ruto, współpracownika, którego nigdy nie poznała osobiście. Ruto stał na czele jednostki CDC działającej w Kenii. Miał tam stu siedemdziesięciu dwóch ludzi, zarówno pracowników amerykańskich, jak i Kenijczyków. Większość była zatrudniona w biurze CDC w Nairobi, gdzie koordynowali swoje działania z Ministerstwem Zdrowia.

Peyton przeczytała wewnętrzne raporty pisane przez Ruta. Miała już do niego zadzwonić, gdy wpadła na pewien pomysł, który mógł ocalić życie jednego, a może nawet obu Amerykanów. Szybko sprawdziła kilka rzeczy i upewniła się, że jest to wykonalne. Może nawet uda się zapobiec rozprzestrzenieniu się patogenu do Nairobi.

Elliott ponownie pojawił się w jej drzwiach.

– Zrobiłem sobie przerwę. Wojsko podrzuci cię do Nairobi.

– Świetnie.

– Nie będzie to lot pierwszą klasą. To samolot przewożący wojsko i sprzęt, ale możesz z nimi lecieć. Zabiorą cię z bazy lotniczej Dobbinsa o wpół do drugiej. To w Marietcie. Pojedziesz I-75/85, potem będziesz trzymała się 75 i zjedziesz zjazdem 261. Na pewno trafisz.

Elliott zawsze mówił jej, jak ma jechać, chociaż samochody wyposażano w GPS, nawet gdy udawała się w miejsca, które знаła, jak na przykład lotnisko Dobbinsa. Nigdy mu nie przerywała; po prostu potakiwała i robiła szybką notatkę. Domyślała się, że to wynika z różnic pokoleniowych, z tego, że jej szef nie dorastał z telefonem komórkowym przyklejonym do ręki i mapami Google. To było jedno z wielu dziwactw Elliotta, które Peyton nauczyła się tolerować, a nawet lubić.

– Jeśli mowa o samolotach – powiedziała – to chciałabym zasięgnąć twojej rady. Jeden z Amerykanów, Lucas Turner, nie miał objawów, kiedy przybył do Mandery. Zakładając, że był w bliskim kontakcie z tym drugim, i przyjmując, że mamy do czynienia z gorączką krwotoczną, sędzę, że i u niego powinniśmy się spodziewać wystąpienia objawów.

– Słusznie.

– Chciałabym opracować plan opieki nad nim. Jeśli zacznie chorować, nie możemy leczyć go w Manderze. Możemy rozważyć szpitale Dani Beach i Kenyatta National w Nairobi, ale nie faworyzowałabym żadnego z nich, bo ryzykujemy rozprzestrzenienie infekcji na personel i okolice.

– Chcesz go sprowadzić tutaj.

– Tak.

Elliott zmarszczył brwi.

– Co wymyśliłaś?



– Chcę, żeby ambulans powietrzny towarzyszył nam do Nairobi, a potem poleciał do Mandery i czekał w pogotowiu. Jeśli u Turnera pojawi się wysoka gorączka, zabierze go do Emory.

Szpital uniwersytecki Emory znajdował się w pobliżu CDC na Clifton Road – personel CDC mógł tam dotrzeć pieszo. Mieli specjalny oddział (jeden z czterech takich w Stanach Zjednoczonych), na który mogli przyjmować pacjentów zarażonych ebolą i innymi patogenami czwartego poziomu biobezpieczeństwa. Z dużym powodzeniem wykorzystywano go w leczeniu Amerykanów zarażonych ebolą podczas epidemii w 2014 roku.

– Sam nie wiem, Peyton. Sprowadzanie pacjenta z niezidentyfikowaną, śmiertelną chorobą zakaźną do Stanów? Jeśli to się rozniesie, prasa napędzi wszystkim strachu.

– Ale niewykluczone, że ocalimy mu życie. Poza tym możemy przywieźć krew, ślinę i próbki tkanek od innych zarażonych. Przebadamy je tutaj, w laboratorium BSL-4. Tym samym nie dostaną się do Nairobi, co pozwoli Kenijczykom ukryć wybuch epidemii, na czym, jak wiemy, bardzo im zależy. Za jednym zamachem możemy uratować komuś życie i dać sobie więcej czasu na ustalenie, z czym mamy do czynienia.

Elliott skinął głową i przeciągle westchnął.

– Dobrze, ale muszę uzyskać zgodę dyrektora, to on będzie musiał podjąć decyzję i radzić sobie z mediami, jeśli coś pójdzie nie po naszej myśli. Ale ode mnie masz pełne poparcie.

– Dzięki.

– A co z tym drugim Amerykaninem? – spytał Elliott.

– Trudna sprawa. Był w stanie krytycznym, kiedy zjawił się w Manderze, i wydaje mi się, że przywożenie go do Stanów to zły pomysł. Mówimy o podróży trwającej około osiemnastu godzin, pewnie nawet więcej. Umarłby podczas lotu. Zwalczenie infekcji to jego jedyna szansa. Zabiorę ze sobą ZMapp.

ZMapp był jedynym dostępnym lekiem na ebolę; przyniósł efekty podczas leczenia kilku lekarzy, którzy zarazili się chorobą w 2014 roku,

ale jeszcze nie przeszedł testów klinicznych na ludziach. Skutki jego działania nie zostały dobrze poznane.

Elliott potaknął.

– Chcesz, bym załatwił zgodę bliskich na leczenie?

– Tak, proszę. Pacjenci muszą być w stabilnym stanie, żeby udzielić wiążącej prawnie zgody.

– Zaraz zajmę się sprawdzeniem jego rodziny. – Elliott zerknął na dokumenty rozrzucone na biurku. – Wybrałaś już zespół?

– Prawie – powiedziała Peyton. – Jesteś gotowy na konferencję?

– Nie przygotuje mnie na nią żadna ilość kawy.

## ROZDZIAŁ 6

Idąc po marmurowej podłodze holu, Desmond uświadomił sobie, dlaczego policjanci na niego patrzyli: ponieważ on patrzył na nich. Naturalną ludzką reakcją jest zainteresowanie, gdy ktoś się na ciebie gapi, a ci, których zawód polega na egzekwowaniu prawa, są chyba na to wyczuleni. Tacy ludzie mają jakby szósty zmysł, dzięki któremu identyfikują drapieżników i zagrożenie.

Pomimo stoickiego zachowania w windzie siwowłosa kobieta była dość słabowita. Szła przez hol noga za nogą, ciężko oddychała. Desmond odwrócił wzrok od policjantów, odsunął się na bok i szybko ją wyminął. Ona oddalała się od szklanych drzwi obrotowych, kierując się w stronę drzwi wahadłowych. Boy hotelowy szukał czegoś na tablicy z kluczami nieświadomy zbliżającego się gościa.

Desmond otworzył drzwi i stanął w chłodzie listopadowego powietrza. Przytrzymał drzwi dla kobiety, patrząc w przeciwnym kierunku i nie nawiązując z nią kontaktu wzrokowego.

– *Vielen dank* – wyszeptała, wychodząc.

Otworzył dla niej drzwi taksówki, następnie wsiadł do następnej w kolejce.

Policjanci nadal byli w środku, lecz na kanale łączności ochroniarzy hotelowych zaczynało robić się gorąco; wkrótce wyślą kogoś, żeby poszukał Gerhardta. Kiedy tak się stanie, znajdą trzech żywych i jednego nieboszczyka.

Kierowca po niemiecku zapytał, dokąd jechać, co dało Desmondowi

wskazówkę, że ten hotel nie był typowym miejscem pobytu zagranicznych turystów i podróżujących w interesach, lecz raczej zatrzymywali się tam rodowici Niemcy. To kolejna wskazówka, kolejny fragment układanki, który może mu pomóc w przypomnieniu sobie, kim jest i dlaczego znalazł się w Berlinie.

Desmond prawie odparł *Bahnhof*, czyli dworzec kolejowy, ale ugryzł się w język. Wiedział, że zaczną go szukać, kiedy znajdą znokautowanych policjantów i martwego mężczyznę. Na dworcach i lotniskach zwiększą ochronę, prawdopodobnie także na autostradach i rzekach.

Musiał pomyśleć, zorientować się, co tu się działo. Odpowiedzi zapewne należy szukać w Berlinie.

Po niemiecku polecił kierowcy ruszać. Samochód wciąż stał. Taksówkarz mierzył wzrokiem swojego pasażera, wpatrując się w lusterko wsteczne.

– Muszę wiedzieć, dokąd mam jechać – powiedział po angielsku.

– Niech pan po prostu jedzie. Pokłóciłem się z dziewczyną i muszę gdzieś wyjść na chwilę. Chcę zobaczyć miasto.

Desmond odetchnął, kiedy kierowca uruchomił taksometr i odjechał spod hotelu.

Teraz mógł się zastanowić, dokąd jechać. Najważniejsze to zniknąć z ulic Berlina. Wyglądało na to, że policja nie miała jego rysopisu, bo kiedy wychodził z hotelu, gliniarze w holu go nie rozpoznali. Widocznie było tak, jak mówił ochroniarz: anonimowe zgłoszenie o zakłóceniu spokoju w hotelu. Ale kto mógł zadzwonić? Czy chcieli sprawdzić, co dzieje się z Günterem Thorne'em, którego zwłoki znalazł? A może gdy Thorne ginął, towarzyszył temu taki hałas, że zaalarmował gościa w pokoju obok, który zadzwonił na policję zamiast do ochrony hotelowej?

Jadąc przez ulice Berlina, Desmond coś sobie przypominał: wchodził do jakiegoś magazynu, jego kroki odbijały się echem od cementowej podłogi. Wysoko nad jego głową wisiały metalowe krokwie, a po obu stronach alejki stały jakieś boksy z mlecznobiałego plastiku. Słyszał ciche, rytmiczne popiskiwanie elektrokardiografów i wewnątrz boksów widział szpitalne łóżka. Przy pacjentach, którzy byli różnych ras, płci i wieku,

wisiały plastikowe worki wypełnione przezroczystym płynem. Skąd się tam wzięli w tym prowizorycznym szpitalu?

Pracownicy w ubraniach ochronnych krzżeli się przy boksach z pacjentami. Na końcu korytarza stał wózek wypełniony czarnymi torbami na zwłoki. Dwóch ludzi wyniosło kolejny worek z jednego z boksów i rzuciło na stos.

Desmond miał na sobie kombinezon. Było mu w nim ciepło. Nienawidził poczucia zamknięcia; nie mógł się doczekać, kiedy go zdejmie.

Nagle przypomniał sobie inną scenę: stał w jakimś biurze z rzędem okien, z których widać było szeregi plastikowych boksów. W sali roiło się od ludzi, byli zwrócenii do niego plecami i wszyscy patrzyli na duży ekran wyświetlający mapę świata. Duże miasta zaznaczono na niej czerwonymi kropkami. Pomiedzy kropkami biegły zakrzywione linie oznaczające połączenia lotnicze pomiedzy miastami. Mężczyzna z blizną na twarzy i długimi, jasnymi włosami stanął przed nimi i powiedział: „Wkrótce świat się zmieni. Dokończcie dzieła. Nadchodzące dni będą najtrudniejsze w waszym życiu. Ale kiedy wszystko dobiegnie końca, świat pozna prawdę: ocaliliśmy ludzkość przed wyginieniem”.

Wspomnienie rozmyło się tak niespodziewanie, jak się pojawiło, i Desmond znowu siedział w taksówce w Berlinie, a za szybą widział rozmazane miasto.

Rozpaczliwie pragnął wymyślić kolejny ruch. Potrzebował informacji, zwłaszcza o okolicy. Wyjął z kieszeni dwadzieścia euro i wsunął je w szczelinę w plastikowej przegrodzie.

– Mógłby mi pan trochę opowiedzieć o Berlinie? Jestem tu pierwszy raz.

Kierowca z początku się wahał, ale w końcu zaczął mówić. Jadąc przez zatłoczone ulice, z dumą opisywał miasto, które odgrywało kluczową rolę w europejskiej historii przez prawie tysiąc lat.

Desmond poprosił, żeby opowiedział o położeniu miasta, charakterystyce dróg wjazdowych i wyjazdowych, najważniejszych dzielnicach i osiedlach. Mężczyzna tak się nakreślił, że mówił prawie bez

przerwy, wyglądało na to, że zupełnie nie przejmuje się już celem podróży.

Berlin jest dużym miastem, zajmuje teren o powierzchni prawie dziewięciuset kilometrów kwadratowych – więcej niż Nowy Jork i dziewięć razy tyle co Paryż. Jest także jednym z szesnastu niemieckich krajów związkowych. Dzieli się na dwanaście okręgów administracyjnych. Każdy z nich zarządzany jest przez radę i burmistrza.

Desmond uznał, że to dobra wiadomość. Berlin był dużym miastem, co czyniło z niego niezłą kryjówkę.

Kierowca powiedział mu, że nowy berliński *Hauptbanhoff* jest największym dworcem kolejowym w Europie, a przez miasto przepływa kilka rzek, których brzegi łączy tysiąc siedemset mostów – więcej niż w Wenecji. Popularne były rejsy statkami i do wielu miejsc można było się dostać od strony rzeki.

Desmond zapytał o turystykę. Taksówkarz, który do 1989 roku, czyli do upadku muru berlińskiego, mieszkał w Berlinie Wschodnim, z dumą obwieścił, że miasto było obecnie najbardziej popularne wśród turystów w całych Niemczech i znajdowało się w pierwszej trójce w Europie. Poprzedniego roku do Berlina, który miał tylko trzy i pół miliona mieszkańców, przyjechało prawie trzydzieści milionów turystów. Ten napływ odwiedzających spowodował kryzys na rynku mieszkaniowym, berlińczycy mają spory problem ze znalezieniem porządnego mieszkania na wynajem. Wielu pośredników nieruchomości i przedsiębiorczych mieszkańców podpisuje roczne umowy na wynajem tylko po to, by podnajmować mieszkania turystom za pośrednictwem takich stron jak Airbnb. W rezultacie rada miasta ostatnio uchwaliła rozporządzenie, zgodnie z którym wynajmujący muszą zgłaszać właścicielowi mieszkania każde podnajmowane lokum. Mimo to prawie dwie trzecie z dwunastu tysięcy mieszkań jest podnajmowane nielegalnie.

Desmond trawił te informacje, układając plan.

Z kieszeni wyjął jedyną wskazówkę, jaką miał – kupon z pralni. Zastanawiał się, czy poprosić taksówkarza, by go tam zawiózł, ale

wiedział, że policja wkrótce odnajdzie podstarzałego kierowcę i dowie się od niego, gdzie wysadził Desmonda. Musiał zatrzeć za sobą ślady.

– Jaka jest najczęściej odwiedzana atrakcja turystyczna Berlina?

– Brama Brandenburska – powiedział kierowca. – Albo Reichstag.

Znajdują się blisko siebie, więc to obojętne.

– Proszę mnie tam wysadzić.

Piętnaście minut później Desmond zapłacił taksówkarzowi i wysiadł.

– Niech pan na siebie uważa – ostrzegł go mężczyzna, zanim przyjął nowe zlecenie i odjechał.

Od Bramy Brandenburskiej Desmond szybko przeszedł do Grosser Tiergarten, najstarszego parku w Berlinie, zajmującego dwa kilometry kwadratowe, i jednego z największych parków miejskich w Niemczech. Niegdyś był prywatnym terenem polowań dla berlińskiej elity i w dużej mierze zachował dawny charakter. Desmond poruszał się ścieżkami spacerowymi aż do wyjścia na Tiergartenstrasse, gdzie zatrzymał riksę. Jechał przez dwadzieścia minut, aż zobaczył innego rikszarza, który właśnie wysadzał pasażera. Dał znak swojemu, który zdawał się nigdy nie męczyć, zapłacił mu i wskoczył do drugiego pojazdu. Zrobił jeszcze jedną taką zmianę, następnie wsiadł do taksówki i pokazał kierowcy kupon z Taniej i Dobrej Pralni Chemicznej.

– Wie pan, gdzie to jest?

Kierowca skinął głową.

– To w Wedding, w Mitte.

– Czyli gdzie?

– W centrum miasta.

– Doskonale. Jedźmy.

Dwadzieścia minut później Desmond stał przed drzwiami pralni, która była wąskim pomieszczeniem za szklaną witryną. Budynki na tej ulicy były zaniedbane, ale na chodnikach roiło się od młodzieży i imigrantów z całego świata. Ponad nimi unosiła się chmura dymu papierosowego, na dachach wisiały rzędy anten satelitarnych. Przez okna otwarte na drugim piętrze dobiegały audycje radiowe i telewizyjne nadawane chyba po arabsku i turecku.

Za ladą w pralni siedział niski, łysy Azjata w okrągłych okularach, który zajmował się zszywaniem koszuli. Odłożył igłę i nitkę, wstał ze stołka i skinął głową.

– Chciałbym odebrać.

– Kwit?

– Nie mam.

Mężczyzna pochylił się nad klawiaturą i monitorem stojącym na ladzie.

– Nazwisko.

– Hughes. Desmond – przeliterował.

– Dowód? – zapytał pracownik, wpisując dane.

Desmond stał w milczeniu, zastanawiając się, co robić.

Azjata mierzył go wzrokiem.

– Nie ma dowodu, nie ma odbioru.

Desmond pokazał mu policyjną blachę, którą zabrał gliniarzowi w pokoju hotelowym.

– Prowadzę śledztwo. Szukamy Desmonda Hughesa.

Pracownik lekko uniósł rękę.

– Dobrze, dobrze.

Azjata powtórzył nazwisko, specjalnie kładąc nacisk na każdą literę, i ponownie sprawdził je w systemie. Pokręcił głową.

– Nic nie ma. Żadnego Desmonda Hughesa.

Desmond zastanawiał się, czy źle zinterpretował wskazówkę. Może miał się tu z kimś spotkać, a nie chodziło o odebranie prania.

– Ile osób tu pracuje?

To chyba wystraszyło mężczyznę.

– Nikt. Tylko ja.

– Słuchaj, to nie ma nic wspólnego z interesem, który prowadzisz, ani pracownikami. Czy jest ktoś na zapleczu, z kim mógłbym porozmawiać?

– Nie, nie ma nikogo.

Desmond obejrzał się za siebie, wyjrzał przez duże okno w samą porę, by zobaczyć przejeżdżający ulicą samochód policyjny. Odwrócił się i poczekał, aż zniknie z pola widzenia.



Nie dowie się niczego więcej od właściciela pralni. Może to tylko przypadkowy kupon i nie ma nic wspólnego z tym, kim jest, ani z tym, co tu się dzieje.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Dziękuję. Był pan bardzo pomocny.

Na ulicy ruszył wraz z tłumem ludzi, starając się być niewidoczny dla kierowców przejeżdżających samochodów. Dwie przecznice za pralnią zauważył sklep z telefonami, gdzie kupił komórkę na kartę. Były powszechne w Europie; korzystali z nich turyści i pracownicy tymczasowi, żeby uniknąć kosztów roamingu za rozmowy i pobrane dane. Telefon i karta przedpłacona mocno nadwerężyły jego fundusze. Za chwilę pieniądze staną się prawdziwym problemem. Postanowił, że będzie korzystał z Internetu w telefonie tylko w nagłych wypadkach, do czasu aż rozwiąże problem z gotówką.

Kupił kebab od ulicznego sprzedawcy, zjadł go z apetytem i wszedł do zatłoczonej kafejki z darmowym wi-fi. Zamknął się w kabinie toalety, żeby kamery monitoringu go nie nagrały. Pierwszy impuls kazał mu zajrzeć do Internetu, by znaleźć informacje o sobie, żeby zgłębić tajemnicę tego, kim jest, a także by sprawdzić tę Peyton Shaw. Ale najpierw musiał załatwić ważniejsze sprawy. Jak najszybciej musiał zniknąć z ulic miasta.

Taksówkarz miał rację. W Berlinie można było znaleźć mnóstwo pokoi na wynajem na jedną noc, ale na stronach takich jak Airbnb trzeba się było zarejestrować i zapłacić kartą kredytową. To się nie uda. Znalazł stronę, na której reklamowali się właściciele, i zaczął zaznaczać odpowiadające mu lokale. Na szczęście w Wedding znajdowało się sporo kawalerek do wynajęcia. Większość była zaniedbana, ale za to tania.

Zadzwoił pod numer oferujący znośne mieszkanie w pobliżu. Bez zastanowienia przemówił z akcentem z Nowej Anglii, znacznie różniącym się od jego neutralnego akcentu z Środkowego Zachodu.

– Dzień dobry, czy wciąż jest wolne mieszkanie na Amsterdamer Strasse?

– Tak, oczywiście – odparła kobieta bezbarwnym tonem.

– Czy będzie dostępne przez kolejne trzy dni?

– Tak.

– Cudownie, cudownie. Przyjechałem do Berlina w interesach i potrzebuję pomocy. Jechałem pociągiem i kiedy się obudziłem, okazało się, że wszystko zniknęło – bagaż, laptop, portfel, paszport, pieniądze, karty kredytowe i tak dalej. Te gnoje zdjęły mi nawet obrączkę z palca!

– Och, coś okropnego. – W głosie kobiety pojawiła się odrobina współczucia.

– Żona przesłała mi trochę pieniędzy i rozglądam się za mieszkaniem do wynajęcia. Możemy się spotkać? Przekona się pani, że dobrze mi z oczu patrzy! – Desmond roześmiał się głupkowato, co pasowało do fałszywego, irytującego akcentu, z jakim mówił.

– No dobrze. – Powiedziała, że dotrze do mieszkania za trzy godziny. Desmond zgodził się i zakończył połączenie. Zakładając, że mu się uda, niedługo nie będzie musiał ukrywać się na ulicach.

Otworzył przeglądarkę internetową i przebiegł wzrokiem najważniejsze niemieckie portale informacyjne. W Bild nie znalazł wiadomości na swój temat, ale na portalu Spiegel Online widniał czerwony nagłówek: *Berlińska policja poszukuje obywatela pochodzenia amerykańskiego w związku z morderstwem i napaścią na dwóch policjantów.*

Desmond kliknął w link i szybko przeczytał artykuł. Pościg koordynował Landeskriminalamt, znany także jako LKA – oddział policji zajmujący się najpoważniejszymi przestępstwami i odpowiadający za pościgi. LKA miał do dyspozycji kilka wydziałów. Przeczytawszy tę listę, Desmond zaczął zastanawiać się nad sensem pozostania w mieście.

W pogotowiu czekało Spezialeinsatzkommando, czyli SWAT. Mobiles Einsatzkommando – specjaliści operacyjni LKA zostali wysłani do każdego okręgu, żeby koordynować pościg. Wasserschutzpolizei – policja rzeczna miała monitorować drogi wodne w mieście. Zentraler Verkehrsdienst – drogówka – czuwała na lokalnych drogach, a autostrady patrolowała Autobahnpolizei. Mieli nawet Diensthundführer – oddział psów policyjnych K9, który podjął jego trop w hotelu.

Zamierzali przewrócić miasto do góry nogami, żeby go odnaleźć.

Chociaż podali jego nazwisko, artykuł nie zawierał żadnych informacji o tym, kim jest i co robi. Z jednej strony poczuł ulgę, z drugiej rozczarowanie. Trudniej będzie im go znaleźć, lecz on niczego nie dowiedział się na swój temat.

Otworzył w telefonie aplikację z mapami i znalazł to, czego potrzebował. Mimo zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań Wedding sprawiało wrażenie doskonałego miejsca na kryjówkę. Jednak nadal miał poczucie, że coś mu umyka – że pralnia jednak była częścią układanki.



Trzy przecznice dalej Desmond usiadł w przebieralni sklepu z używaną odzieżą. Dwa zestawy ubrań wisiały po wewnętrznej stronie drzwi, oba produkcji tureckiej, swobodniejsze niż jego zapinana na guziki koszula i spodnie khaki.

Kiedy zdjął spodnie, zaparło mu dech w piersiach. Od stóp do kolan miał blizny po poparzeniu. Cętkowana skóra wyglądała, jakby poprzecinały ją kremowobiałe korzenie. Blizny były pozostałością po jakimś okropnym wydarzeniu z przeszłości. To go wytrąciło z równowagi – nie mógł sobie przypomnieć ognia, który tak poparzył mu nogi. Obejrzał resztę ciała. Nad miednicą, poniżej żeber po prawej stronie znalazł pomarszczoną, okrągłą bliznę. *Czyżby zagojona rana po postrzale?* Na całym torsie i rękach miał mniejsze, proste blizny wyglądające jak stare rany po nożu. W pokoju hotelowym tak bardzo skupił się na bolących plecach i granatowym siniaku z lewej strony, że nie zauważył niczego innego. Teraz pragnął się dowiedzieć, skąd się wzięły i jakie życie dotychczas prowadził. A przynajmniej jaki był kiedyś.

Patrzył na podłogę, bo coś w pogniecionych spodniach przyciągnęło jego wzrok: różowa karteczka przypięta do metki z instrukcją prania. Widział już podobne karteczki, zaledwie godzinę temu, były przypięte do

przezroczystych toreb wiszących w rzędzie... w pralni.

Odnalazł kwit.

Odczepił go i dokładnie przeszukał zarówno koszulę, jak i spodnie, nie znajdując niczego interesującego. Sprzedał koszulę i spodnie przy ladzie – potrzebował pieniędzy, a policja w całym mieście na pewno miała już zdjęcia, na których jest w nie ubrany. Tabliczka na ścianie informowała, że wszystkie rzeczy w sklepie są prane przed wystawieniem na sprzedaż, i miał nadzieję, że to prawda; jeśli nie, psy policyjne mogą podjąć tu trop. Dokupił czapkę z daszkiem, okulary przeciwsłoneczne i plecak. W przebieralni włożył do środka swój dobytek, czyli ubranie na zmianę i magazynki do pistoletu.

Dziesięć minut później ponownie pojawił się w pralni. Starszego Azjaty już nie było; za ladą siedział młodszy człowiek, również Azjata, pochylał się nad podręcznikiem z ołówkiem w ręku i robił jakieś notatki.

Desmond wszedł do środka i bez słowa podał mu kwit.

Nastolatek przeszukał rzędy wiszących ubrań, kilkakrotnie sprawdzając kwit. Po kilku minutach pokręcił głową i wrócił za ladę.

– Spóźnił się pan z odbiorem. Będzie dodatkowa opłata.

– Ile?

– Trzy euro za dzień.

– Ile dni się spóźniłem?

Desmond miał już bardzo mało gotówki; jedynie tyle, by opłacić trzydniowy czynsz w byle jakim mieszkaniu, a miał się spotkać z właścicielką za niecałą godzinę.

Nastolatek sprawdzał coś w komputerze, wklepując numer z kwitu.

– Czternaście dni spóźnienia. Czterdzieści dwa euro plus opłata za czyszczenie. W sumie pięćdziesiąt pięć z podatkiem.

Jeśli zapłaci, nie starczy mu na czynsz za trzy noce. Rozważał ponowne pokazanie policyjnej blachy, ale to tylko przysporzyłoby mu problemów. Wobec tego wyjął pieniądze i czekał, aż nastolatek wróci z zaplecza, co trwało chyba godzinę. Desmond miał nadzieję, że czekanie będzie tego warte, że to, co sam, lub ktoś inny, tutaj ukrył, pozwoli mu wykaraskać się z tej trudnej sytuacji.

Chłopak pojawił się z plastikową torbą, okrywającą drogi granatowy garnitur. Desmond z trudem powstrzymywał się przed rozerwaniem worka i sprawdzeniem go na miejscu. Niedługo miał spotkać się z właścicielką mieszkania, więc przerzuciwszy garnitur przez ramię, ruszył na umówione miejsce.

Kobieta w wieku około dwudziestu pięciu lat stała z papierosem w ręce przed zaniedbanym dwupiętrowym budynkiem. Czterech nastolatków z Bliskiego Wschodu siedziało na stopniach przed drzwiami wejściowymi i kłóciło się w języku, którego Desmond nie rozpoznawał.

– Pani jest Ingrid? – zapytał z tym samym akcentem z Nowej Anglii, którego używał wcześniej.

– *Ja.* – Zgasiła papierosa i uściśnięła wyciągniętą dłoń Desmonda.

– Jestem Peter Wilkinson. To ja do pani dzwoniłem. Dziękuję, że zgodziła się pani spotkać tak szybko.

Wprowadziła go do środka po wąskich kręconych schodach i weszli do maleńkiego, lecz czystego mieszkania.

– Doskonale – powiedział Desmond. – Proszę pani, ten garnitur to właściwie wszystko, co mi zostało. Domyślam się, że nie wiedzieli, że należy do mnie! – Uśmiechnął się głupkowato. – Potrzebuję go na jutrzejsze spotkanie i... – westchnął – zaczyna brakować mi pieniędzy.

Kobieta pokręciła głową.

– Jeśli nie może pan zapłacić, nie może pan tu zostać. To proste.

– Mam dość na jedną noc. – Podał jej zwitek euro. – Dopłacę resztę.

Ingrid się wahała.

– Jeśli nie zapłacę jutro, to wyjadę. Obiecuję. Żona ma mi przesłać pieniądze. Przymierzam. Okej?

Ingrid odwróciła od niego wzrok.

– Dobrze. Wrócę jutro z narzeczonym. Zapłaci pan albo opuści mieszkanie.

– Nie ma problemu. Jeszcze raz dziękuję.

W chwili gdy zamknęły się drzwi, Desmond rozerwał folię z pralni i przeszukał garnitur. Wszywka w kieszeni wewnętrznej informowała, że został uszyty przez Richarda Andersona przy Savile Row 13.

Zastanawiał się, czy to kolejna wskazówka. Przesuwał palcami po szwach – nagle poczuł jakieś zgrubienie. Serce zabiło mu szybciej. Coś zaszyto w garniturze.

## ROZDZIAŁ 7

W siedzibie CDC w Atlancie Peyton usiłowała rozwikłać zagadkę pojawienia się choroby w Manderze, pracując przy pacjentach. Wydawało jej się, że właśnie dokonała przełomu.

Dwóch młodych Amerykanów założyło organizację non-profit CityForge. Jej misją była pomoc w rozwoju wsi poprzez finansowanie infrastruktury i zapewnienie mentoringu władz różnych miast w krajach rozwiniętych. CityForge finansowały osoby, które wpłacały pieniądze przez stronę internetową. Inwestycje były traktowane jak obligacje komunalne, co oznaczało, że wpłacający będą czerpać korzyści materialne, jeśli wsie zaczną się rozwijać. Wsie wykorzystywały fundusze na doprowadzenie elektryczności, edukację, lepsze drogi, służbę zdrowia, Internet, infrastrukturę sanitarną, policję i inne cele ważne dla mieszkańców.

Lokalni liderzy uczestniczący w projekcie zostali wyszkoleni, by filmować stopniową transformację wsi. Te nagrania umożliwiały śledzenie zmian ich opiekunom z krajów rozwiniętych. Przewodniczący rad miejskich, burmistrzowie, komendanci policji i inni mogli zobaczyć, jak zmieniają się wioski, i oferować niezbędną pomoc. Poszczególni wpłacający mogli również obserwować postęp niemal jak w programie typu reality i przekonać się, że pieniądze, które wpłacili, poprawiają jakość życia mieszkańców i kładą fundament pod rozwój kolejnych pokoleń.

Założyciele CityForge wpadli na ten pomysł, kiedy przygotowywali się

do licencjatu na Uniwersytecie Karoliny Północnej w Chapel Hill i gdy w maju tego roku ukończyli studia, przekuli swój pomysł w rzeczywistość. Całe lato poświęcili na promowanie swojego start-upu, zbieranie pieniędzy wśród przyjaciół, rodzin i osób, które zapalały entuzjazmem do projektu. Wykorzystali fundusze na wyjazd do Kenii, gdzie planowali udokumentować każdy postój w podróży i znaleźć pierwszych beneficjentów CityForge. Z jakiegoś powodu, którego Peyton nie rozumiała, obaj mężczyźni umówili się, że podczas podróży nie będą się golić ani strzyc.

Kliknęła stronę *Wspierający*, żeby przeczytać nazwiska. Icarus Capital znajdował się wśród sponsorów korporacyjnych. Widziała już tę nazwę kilka godzin temu w swoim mieszkaniu. To była firma inwestycyjna Desmonda Hughesa. Czy miał z tym coś wspólnego? Pomyślała, że to dziwny zbieg okoliczności, ale nie miała pojęcia, co dalej zrobić z tym fantem.

Wstrząsnęła nią sama myśl o Desmondzie. Trudno było jej się skupić.

Kolejna podstrona na CityForge zawierała mapę z zaznaczoną trasą, jaką przebyli dwaj młodzi mężczyźni. Do większości miejsc przypisany był co najmniej jeden filmik, na którym Amerykanie pokazywali wieś i przeprowadzali wywiady z jej mieszkańcami. W większości nagrań podkreślali, jak infrastruktura może zmienić ich życie. W kilku wioskach nagrania rejestrowano nawet po wyjeździe Amerykanów. Nowsze filmiki zostały udostępnione przez lokalnych przywódców w nadziei, że uda im się zdobyć wsparcie finansowe.

Relacja z podróży była marzeniem epidemiologa. Peyton zastanawiała się, czy na którymś z filmów zostało zarejestrowane źródło epidemii. Może nawet uda się prześledzić drogę jej rozprzestrzeniania.

Kluczem do powstrzymania epidemii było zahamowanie. Pierwszym krokiem było izolowanie wszystkich zarażonych, drugim – przesłuchanie zarażonych pacjentów i sporządzenie listy osób, z którymi się kontaktowali – ten etap nazywał się namierzaniem kontaktów. Od tego etapu Peyton i jej zespół rozpoczną działania zapobiegawcze. Będą szukać kontaktów. Jeśli ci ludzie zostali zarażeni, odizolują ich



i namierzą każdego, kto z kolei kontaktował się z *nimi*; jeśli kontakt nie będzie miał objawów, przejdzie testy wykrywające chorobę i zostanie poddany kwarantannie do momentu, aż Peyton i jej zespół upewnią się, że nie jest zainfekowany. Przy eboli okres kwarantanny trwał dwadzieścia jeden dni. W końcu, gdy nie będzie nowych kontaktów do odszukania, zakończą swoje działania, mając dwie grupy: zarażonych i poddanych kwarantannie.

Listy kontaktów szybko się rozrastały. Z każdą mijającą godziną patogen docierał do coraz większej liczby ludzi. Czas był kwestią najistotniejszą; na ogół pierwsze kilka dni po ujawnieniu się choroby determinowały wszystkie późniejsze wydarzenia.

Peyton zanotowała nazwiska dwóch Amerykanów, Stevena Cobba i Lucasa Turnera, a także Brytyjczyka, Andrew Blaira. Pomiędzy nimi narysowała duży znak X. X był niewiadomą, tym, czego musiała się dowiedzieć. W pewnym momencie Brytyjczyk spotkał się z jednym lub obydwojma Amerykanami. Albo wszyscy trzej mieli kontakt z kimś innym – kimś, kto wciąż nie został zidentyfikowany i nadal rozprzestrzeniał chorobę. Najważniejsze to dowiedzieć się, z kim się kontaktowali. Relacja z podróży może być kluczowa.

Jeśli Peyton i jej zespół dobrze wykonają swoją pracę, uda im się odtworzyć drzewo kontaktów, które doprowadzi ich do osoby będącej na samym dole: pierwszej, która zaraziła się chorobą, nazywanej pacjentem zero.

To była praca detektywistyczna w terenie: szukanie źródła patogenu, docieranie do każdej dotkniętej nim osoby i leczenie pacjentów lub czekanie, aż epidemia sama wygaśnie.

Ale nawet mając sfilmowaną trasę podróży, Peyton z zespołem będą potrzebowali mnóstwo wsparcia ze strony kenijskiej.

Podniosła słuchawkę służbowego telefonu i zadzwoniła do Josepha Ruto, szefa biura CDC w Kenii. Ruto właśnie kończył późny lunch w Nairobi, ponieważ różnica czasu wynosiła osiem godzin.

Poinformowała go o tym, co planują, z zastrzeżeniem, że po porannej konferencji mogą zajść jakieś zmiany. Mężczyzna wydał jej się

kompetentny i skupiony, co uznała za dobry znak.

Dochodziła szósta rano, gdy się rozłączyła. Musiała odczekać przed wykonaniem następnego telefonu; chciała, by jej ludzie byli maksymalnie wypoczęci. Sen może być luksusem w nadchodzących dniach.

Wybrała numer szefa ochrony COK i poprosiła, by skontaktował się ze wszystkimi pracownikami Służby Wywiadu Epidemiologicznego (EIS[4]).

– Wszystkimi? – upewnił się.

– Z każdym, kto jest przypisany do CDC. Proszę ich poinstruować, żeby stawili się w siedzibie do siódmej rano na naradę przedkonferencyjną. Muszą być spakowani i gotowi do wyjazdu za kilka godzin. Zostaną wysłani albo do Nairobi, albo na tereny wiejskie w Kenii. Proszę przekazać, żeby odpowiednio się przygotowali.

– Zrozumiano, doktor Shaw.

Program EIS był dwuletnim szkoleniem zapoczątkowanym przez CDC w 1951 roku, kiedy podczas zimnej wojny zaczęto obawiać się bioterroryzmu. Dzisiaj stał się jednym z najbardziej prestiżowych i pożądaných kierunków podyplomowych w epidemiologii stosowanej, znanym z najlepszych detektywów epidemiologicznych na świecie. Kandydaci ubiegający się o udział w programie musieli być: lekarzami z co najmniej rocznym stażem, weterynarzami, doktorami nauk ścisłych z doświadczeniem w pracy w służbie zdrowia lub pracownikami służby zdrowia z tytułem magistra. Obecnie EIS miało 160 oficerów, z czego siedemdziesiąt procent stanowiły kobiety.

W trakcie szkolenia ludzie z EIS pracowali w terenie, na linii frontu. Podczas epidemii eboli w 2014 roku zaangażowano wszystkich 158 pracowników. Służyli w siedemnastu krajach, ośmiu stanach, w Waszyngtonie oraz w Centrum Operacji Kryzysowych przy CDC. W tym czasie razem przepracowali 6903 dni, łącznie prawie dziewiętnaście lat. Peyton miała nadzieję, że dla dobra wszystkich nowa epidemia zakończy się znacznie szybciej.

Peyton była głównym epidemiologiem w CDC, a także instruktorką

w EIS. Oba zadania traktowała z całą powagą. Oficerowie EIS, których szkoliła, podczas kolejnych wybuchów epidemii prawdopodobnie będą podejmowali ważne decyzje lub prowadzili kluczowe działania na poziomie stanowym bądź za granicą. Szkolenie ukończyli między innymi obecny dyrektor CDC, byli i obecni naczelnicy chirurdzy, szefowie wydziałów i filii CDC oraz stanowi i lokalni epidemiolodzy w całym kraju.

Nie miała okazji pracować z każdym słuchaczem na tym roku, więc teraz zyskała dobrą okazję, by ich poznać. Zaczęła przeglądać ich akta personalne, żeby skompletować zespół.



O siódmej Peyton stanęła na podium w auli A w budynku 19 na kampusie CDC. Jedna czwarta ludzi z EIS została rozmieszczona w biurach lokalnych i stanowych i brała udział w wideokonferencji. Oficerowie pracujący w siedzibie CDC zebrali się w sali. Sto dwadzieścia par oczu wpatrywało się w Peyton.

– Dzień dobry. Zaraz zapoznam państwa z naszym stanem wiedzy na temat wybuchu epidemii – prawdopodobnie gorączki krwotocznej – w kenijskim mieście. Proszę uważać. Niektórzy z was dziś wyruszą w drogę; po południu lecimy do Kenii. Inni na razie wesprą operację z siedziby CDC. Zależnie od tego, jak sprawy się potoczą, niektórzy mogą zostać wezwani w teren nieco później. Proszę notować, zadawać pytania i uczyć się wszystkiego, co ważne. Od tego może zależeć wasze życie. A także życie innych ludzi. Na razie wiemy, że...

[\[4\]](#) Epidemic Intelligence Service

## ROZDZIAŁ 8

O ósmej rano w sali konferencyjnej Centrum Operacji Kryzysowych zebrał się tłum ludzi. Przyszli pracownicy kilku wydziałów CDC oraz wysłannicy Departamentu Stanu i Agencji Rozwoju Międzynarodowego.

Peyton siedziała przy stole obok Elliotta Shapiro. Agenci EIS, których wybrała do pracy w terenie, znajdowali się w auli A i oglądali konferencję na ekranie.

Po przedstawieniu się Elliott streścił obecną sytuację.

Następny odezwał się przedstawiciel Departamentu Stanu, Derek Richards.

– Naszym zdaniem jest to najgorsze możliwe miejsce i najgorszy możliwy czas na epidemię. Zaczniemy od szerszego kontekstu.

Richards kliknął myszką i pojawiło się zdjęcie spalonego budynku.

– Sierpień tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Przed budynkami ambasady amerykańskiej w Nairobi w Kenii i Dar es Salaam w Tanzanii wybuchły samochody pułapki. W Nairobi zginęło dwustu trzynastu ludzi. Cztery tysiące zostało rannych. Za atak odpowiedzialna była Al-Kaida. To wydarzenie przyczyniło się do umieszczenia przez FBI Osamy bin Ladena na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych terrorystów. Niecałe dwa tygodnie później administracja Clintona wysłała pociski samosterujące na Sudan i Afganistan podczas operacji „Infinite Reach”. Atak na bin Ladena się nie powiódł. W odpowiedzi Talibowie postanowili go chronić, a reszta tej opowieści przeszła już do historii. Postanowiliśmy nie odbudowywać

zniszczonej ambasady w Nairobi. Ze względów bezpieczeństwa postawiliśmy nową ambasadę naprzeciw budynków ONZ. W latach po ataku w Nairobi bezpieczeństwo w Kenii mocno się pogorszyło. W całym kraju panuje wysoka przestępczość. Zwłaszcza w większych miastach: Nairobi, Mombasie, Kisumu i miejscowościach leżących na wybrzeżu. W samym Nairobi codziennie dochodzi do dziesięciu kradzieży samochodów, podczas których brutalnie atakowany jest kierowca. W maju dwa tysiące czternastego roku Stany, Wielka Brytania, Francja i Australia zaczęły wydawać ostrzeżenia dla obywateli podróżujących do Kenii. Stany Zjednoczone posunęły się dalej i wycofały część personelu z ambasady w Nairobi. Anglia zamknęła swój konsulat w Mombasie. Skutki ostrzeżeń okazały się druzgoczące dla kenijskiego przemysłu turystycznego. Europejczycy praktycznie przestali tam jeździć. Jednakże naszym największym zmartwieniem jest Asz-Szabab. To grupa terrorystyczna pochodząca z Somalii, z komórkami i podgrupami działającymi w całej Kenii. Chcą zmienić Somalię w fundamentalistyczny kraj islamski. Są w Afryce Wschodniej odpowiednikiem ISIS. Charakteryzują się brutalnością, dobrą organizacją i bezwzględnością. Unia Afrykańska wysłała do Somalii dwadzieścia dwa tysiące żołnierzy do walki z nimi. Bezskutecznie.

Richards ponownie kliknął myszką i pojawiły się mapy Somalii i Kenii. Zaznaczono na nich obszary działalności terrorystycznej.

– W marcu dwa tysiące szesnastego roku otrzymaliśmy wiadomość, że Asz-Szabab planuje atak na dużą skalę na siły amerykańskie i Unii Afrykańskiej stacjonujące w regionie. Lotnictwo przy użyciu samolotów załogowych i bezzałogowych MQ-9 uderzyło na obóz treningowy terrorystów w północnej Somalii. Zabiliśmy około stu pięćdziesięciu bojowników, w tym tego, który był u nich numerem drugim. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że Asz-Szabab szuka okazji do zemsty. Będzie prześladować amerykański personel pracujący w Kenii. Z tego powodu personel ambasady amerykańskiej musi uzyskać zgodę na wyjazd z Nairobi lub wjazd do niektórych dzielnic miasta. Wasz status pracowników cywilnych prawdopodobnie nie będzie miał żadnego

znaczenia dla Asz-Szabab. W kwietniu dwa tysiące piętnastego roku ich ludzie zaatakowali studentów Uniwersytetu Garissa. Wybrali chrześcijan, po czym ich zastrzelili. W ataku zginęło stu czterdziestu siedmiu ludzi. Na koniec chciałbym zaprezentować najnowsze decyzje organizacji medycznych i humanitarnych, które, jak wiem, są darzone przez was szacunkiem.

Richards przełożył kilka dokumentów; widocznie nie nauczył się na pamięć tej części prezentacji.

– W maju dwa tysiące piętnastego roku Lekarze Bez Granic ze względów bezpieczeństwa ewakuowali personel z obozu uchodźców w Dadaab. W sumie odesłali czterdziestu dwóch pracowników do Nairobi i zamknęli dwa z czterech ośrodków zdrowia. W lipcu dwutysięcznego roku Korpus Pokoju zawiesił swoją działalność w Kenii i ewakuował cały personel ze względu na zagrożenie.

Richards spojrział znad papierów i skupił wzrok na Elliotcie. Mówił stanowczym, niemal agresywnym tonem.

– W Departamencie mamy świadomość, że to poważny przypadek i są przesłanki, że epidemia może się rozprzestrzenić. Nasza oficjalna rekomendacja jest następująca: amerykański personel powinien pozostać w Nairobi, skąd będzie wspierał i koordynował działania. Kenijczykom i pracownikom WHO grozi znacznie mniejsze niebezpieczeństwo w terenie, co więcej, obecność Amerykanów może postawić ich w trudnej sytuacji. Jeśli zdecydujecie się działać poza Nairobi, zalecamy, żebyście zawsze zabierali ze sobą ochronę kenijskiego wojska, zaprawioną w walce i mającą dostęp do ciężkiej artylerii. Radzilibyśmy również, żebyście czekali do czasu, aż NRO[5] namierzy satelitę na orbicie geosynchronicznej odpowiedniej dla terenu, na którym będziecie działać. Nalegamy, abyście wstrzymali się do chwili, aż marynarka wojenna ustawi na pozycji okręt z oddziałem szybkiego reagowania, który w razie potrzeby będzie mógł przyjść wam z pomocą.

Peyton przygryzła wargę. Wiedziała, że zalecenia są ważne, ale miała świadomość, że zabierają czas – zwłaszcza żądania Narodowego Biura Rozpoznania, gdzie panowała okropna biurokracja.

– Ile to wszystko może potrwać? – zapytał Elliott.

– Nie wiemy. Departament Obrony musi zasięgnąć rady w sprawie radionamiernika i pozycji okrętu; nie mamy szczegółowych informacji na temat obecnej pozycji floty, ale można założyć, że w Zatoce Adeńskiej, na Morzu Arabskim i Oceanie Indyjskim znajdują się odpowiednie okręty. NRO będzie musiało namierzyć i zarekwizować odpowiedniego satelitę.

– A w przybliżeniu?

– Jakieś siedemdziesiąt dwie godziny – odparł Richards – jednak nalegam, żebyście nie lecieli do Mandery, a jeśli to zrobicie, czekajcie na miejscu. Somalia to zwodniczy kraj. Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku nie mamy tam ambasady. Zamknięto ją dwa lata przed bitwą o Mogadiszu, podczas której zestrzelono black hawka. Szczerze mówiąc, czeka was coś podobnego, jeśli bojownicy Asz-Szabab was namierzą i nawiążą walkę z kenijskim wojskiem. Na lotnisku w Mogadiszu mamy kilkuset żołnierzy, ale nie umiem powiedzieć, czy będą mogli pomóc w nagłym wypadku. Wiem, że CIA ma agentów w Somalii. Ale ich status jest nieznan.

Elliott popatrzył na Peyton. Współpracowali ze sobą od dawna, znali się tak dobrze, że wiedziała, o czym myśli jej szef. Nieznacznie skinęła głową, co znaczyło: *Oboje wiemy, co do nas należy.*

– Dobrze – powiedział Elliott – chcielibyśmy wystosować prośbę do NRO i Departamentu Obrony i skorzystać z ich pomocy. Poproszę dyrektora, żeby wykonał niezbędne telefony.

– Będziecie czekać? – spytał Richards.

– Nie. Zamierzamy wyruszyć do Mandery jak najszybciej.

Richards z niedowierzaniem pokręcił głową.

Elliott podniósł rękę.

– Proszę zrozumieć, jeśli nie powstrzymamy rozprzestrzeniania się choroby w Manderze, będziemy z nią walczyć w Nairobi i Mombasie, a potem w Kairze, Johannesburgu i Casablance. Jeśli nie powstrzymamy jej w Afryce, będziemy ją mieli u siebie w Atlancie, Chicago, Nowym Jorku i San Francisco. Siedemdziesiąt dwie godziny to różnica pomiędzy lokalną epidemią i globalną pandemią, pomiędzy

śmiercią kilkunastu ludzi a milionami ofiar. W tej chwili zarażone jednostki mogą wsiadać do autobusów, pociągów i samolotów. Nie wiemy, kim są i dokąd zmierzają. Być może właśnie jadą zarażać mieszkańców miast na całym świecie – miast, które nie są na to przygotowane, których władze nie mają pojęcia, że śmiertelny patogen dostał się za ich granice. Naszą jedyną szansą na powstrzymanie tej epidemii jest opanowanie jej na miejscu. To musi stać się teraz, a nie za trzy dni. Nasi ludzie są jednymi z najlepiej wyszkolonych na świecie. Muszą tam znaleźć się natychmiast. Nie możemy kontrolować choroby stąd przez telefon.



Kiedy konferencja dobiegła końca, Peyton porozmawiała na osobności z oficerami EIS, których wybrała do działań w terenie.

– Poznaliście zagrożenia. Jeśli ktoś z was czuje, że nie da rady, muszę wiedzieć o tym teraz. Nie zamierzam umieszczać żadnej adnotacji w waszych dokumentach. Wybiorę kogoś innego i nigdy nie wrócimy do tematu.



O pierwszej po południu Peyton zeszła na dół i nerwowo przemierzała hol, nie wiedząc, ilu ludzi będzie tam na nią czekało.

Gdy znalazła się na dworze, potrzebowała kilku sekund, żeby przyzwycząić się do słońca. Kiedy odzyskała jasność widzenia, zobaczyła, że wszyscy wybrani przez nią ludzie czekają przed furgonetkami z torbami podróżnymi. Skinęła im głową, wsiedli do samochodów i pojechali w stronę bazy lotniczej Dobbinsa.

Niecałą godzinę później lecieli już do Nairobi.





Mężczyzna, który śledził Peyton, obserwował start samolotu wojskowego zza siatki ogrodzenia otaczającej lotnisko Dobbinsa. Gdy samolot zniknął mu z oczu, wysłał wiadomość do swoich mocodawców:

OBIEKT JEST W DRODZE DO STREFY DOCELOWEJ.

[5] National Reconnaissance Office (NRO) – Narodowe Biuro Rozpoznania – jedna z agencji Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych, zajmująca się rozpoznaniem strategicznym i dozorem z przestrzeni kosmicznej.

## ROZDZIAŁ 9

W małym berlińskim mieszkaniu w dzielnicy Wedding Desmond ostrożnie rozpruł szwy, pod którymi znajdowała się wyczuwalna bruzda. Metka z nazwą producenta skrywała sekretną kieszonkę, a w niej dwie przedpłacone karty kredytowe Visa.

Karty pojawiły się w samą porę – Desmond był prawie bez grosza – jednak miał nadzieję na coś więcej. W szczególności spodziewał się, że znajdzie jakąś wskazówkę mówiącą mu, kim jest i dlaczego znalazł się w Berlinie, a przede wszystkim, co się z nim stało, zanim ocknął się tego ranka w hotelu Concord, niczego nie pamiętając.

Coś go tknęło, gdy oglądał karty: każda miała małe, pionowe zadrapanie po dziesiątej cyfrze. Nienawykłe oko mogłoby to zignorować, jednak fakt, że na obu kartach był ten sam znak, wzbudził jego podejrzliwość. Pod znaczkiem na pierwszej karcie znajdowały się jeszcze cztery małe zadrapania. Na drugiej karcie były dwa małe zadrapania z prawej strony pionowej linii, tuż nad numerem karty.

Czy to kolejny szyfr? Jeśli tak, prawdopodobnie należy posłużyć się podobnym wzorem jak w przypadku kuponu z pralni. Dodać cztery do każdej z pierwszych dziesięciu cyfr na pierwszej karcie i dwa do pierwszych dziesięciu cyfr na drugiej karcie. Dziesięć cyfr miały amerykańskie numery telefonów.

Desmond wyjął smartfon na kartę i wybrał numer, prowadząc obliczenia w pamięci. Nerwowo nasłuchiwał pierwszego sygnału. Drugiego. Trzeciego. Nagle odezwała się poczta głosowa. Ku swemu

zdziwieniu, usłyszał własny głos.

– Jeśli dodzwoniłeś się pod ten numer, wiesz, co masz robić. Jeśli nie, lepiej szybko się dowiedz.

Kiedy odezwał się sygnał nagrania, Desmond zaczął zastanawiać się, co zrobić. Czy to poczta głosowa, czy może jakiś rodzaj cyfrowej skrzynki kontaktowej, z której ktoś inny odbiera wiadomości? A może powinien spróbować dostać się do zawartości tej skrzynki? Postanowił zrobić obie rzeczy.

– Tu Desmond. Potrzebuję pomocy. – W ostatniej chwili powstrzymał się przed podaniem swojego numeru telefonu. Poczta głosowa mogła zostać zhakowana przez tego, kto przysłał Günтера Thorne'a do jego pokoju hotelowego, lub też została już namierzona przez policję. Gdyby wyjawiał swój numer, równie dobrze mógłby paradować po ulicy z tarczą strzelecką na plecach; policja przypisałaby numer do najbliższego nadajnika i za pomocą triangulacji ustaliła jego przybliżoną pozycję. Potrzebował własnej cyfrowej skrzynki kontaktowej, do której miały łatwy dostęp w miejscu publicznym.

– Zostaw wiadomość na Craigslist[6] dla Berlina w dziale „Poszukiwana Pomoc” w ogłoszeniach dla przewodników turystycznych. Użyj słów „człowiek na autostradzie”. Pospiesz się.

Gdy odłożył słuchawkę, miał więcej pytań niż odpowiedzi. Licząc na to, że uzyska jakieś odpowiedzi, wybrał numer z drugiej karty i ponownie usłyszał własny głos.

– Dodzwoniłeś się do Labirynth Reality. Jeśli nas znasz, wiesz, że rozmowa jest najmniej interesującą rzeczą, jaką możesz zrobić z telefonem. No wiesz, trzymasz w ręce mały komputer, który zna twoją lokalizację. Zrób z tym coś fajnego.

Po sygnale Desmond zignorował swoje słowa i pozostawił tę samą wiadomość, co na pierwszej poczcie głosowej.

*Labirynth Reality*. Wyszukał tę nazwę w Internecie i znalazł stronę start-upu. Miał siedzibę w San Francisco, ale numer telefonu różnił się od tego, pod który właśnie zadzwonił. Kliknął na stronę *Nasz zespół*, ale nie rozpoznał żadnej z kilkunastu twarzy. Wszyscy mieli po dwadzieścia

parę lub trzydzieści lat, kilku nosiło okulary od Warby'ego Parkera, niektórzy mieli tatuaże. Wszystkie zdjęcia były niepozowane: zrobione podczas gry w ping-ponga, przy biurkach, gdzieś na korytarzu. Ich stanowiska były dziwaczne, podobnie jak opisy biograficzne.

Desmond otworzył link *Inwestorzy* i przeczytał nazwy wymienionych tam firm: Seven Bridges Investments, Icarus Capital, Pax-Humana Fund, Invisible Sun Securities, and Singularity Consortium. Nazwy wydawały mu się znajome, ale nie pojawiły się żadne konkretne skojarzenia.

Produktem Labirynth Reality była aplikacja mobilna związana z lokalizacją telefonu, której można było używać w rzeczywistości rozszerzonej. Użytkownicy podnosili telefony, znajdując się w pewnych miejscach, a apka pokazywała cyfrową warstwę – zdjęcia i wirtualne obiekty niewidoczne gołym okiem. Aplikacja również miała funkcję rozszerzonej rzeczywistości o filmiki lub tekst związany z danym miejscem. Używano jej w korporacjach przy organizowaniu gier dla pracowników, w których uczestnicy muszą zbierać różne zestawy przedmiotów, innych grach miejskich oraz w geocachingu. W Chicago i San Francisco wykorzystywano ją podczas zorganizowanych wycieczek po mieście. Aplikacja pozycjonowana była jako platforma umożliwiająca twórcom gier, korporacjom, organizatorom konferencji i użytkownikom indywidualnym stworzenie własnych scenariuszy Labirynth Reality w celu uatrakcyjnienia swojej działalności.

Baner na górze strony zachęcał go do pobrania aplikacji. Kliknął w link i czekał na załadowanie się programu. Kiedy go otworzył, okno dialogowe zapytało go, czy chciałby dołączyć do prywatnego labiryntu, czy wybiera przestrzeń publiczną. Wybrał prywatną, więc w następnym kroku został poproszony o hasło. Zastanawiał się przez chwilę, po czym wpisał drugi numer telefonu, pod którym dodzwonił się do Labirynth Reality.

Na ekranie pojawiła się wiadomość: *Witamy w Prywatnym Labiryncie Kraina Cieni*. Wyświetliły się dwie ikony. Ta z lewej przedstawiała bestię z głową byka i ciałem człowieka; z prawej był wojownik w zbroi

z tarczą i mieczem. Pod spodem widniał napis:

*Określ się – Minotaur czy Bohater.*

Desmond musiał się zastanowić. W pewnym sensie cały czas rozmyślał nad tym, kim był, odkąd się ocknął. Czy był potworem, który zabił człowieka w pokoju hotelowym? Zaatakował policjantów i ochroniarza bez chwili wahania. I był w tym dobry; prawdopodobnie nie po raz pierwszy walczył o życie lub wolność. Jego pokryte bliznami ciało potwierdzało tę wersję. Gdzieś w zakamarkach umysłu wiedział, że robił złe rzeczy, chociaż nie mógł ich sobie przypomnieć.

Jednak czuł, że jest dobrym człowiekiem. A może po prostu chciał nim być.

Ta myśl pomogła mu podjąć decyzję: wejdzie do labiryntu jako ten, kim *chciał* być, a nie ten, kim jest lub był w przeszłości.

Wybrał ikonkę z Bohaterem. Obraz się rozmył i wyskoczyło okienko: *Szukam wejścia...*

Po minucie litery zmieniły kolor na czerwony i pokazał się napis: *Nie znaleziono wejścia. Szukaj dalej, Tezeuszu. Nigdy się nie poddawaj.*

Desmond zastanawiał się, co to znaczyło. Poszukał paru rzeczy w Sieci, próbując połączyć kropki. Labirynt po raz pierwszy pojawił się w mitologii greckiej. Dedal i jego syn Ikar zbudowali labirynt, żeby w samym środku konstrukcji uwięzić Minotaura, pół człowieka, pół bestię. Dedal był uzdolnionym architektem i artystą, jego twór okazał się tak wspaniały, że sam niemal zgubił się we własnym labiryncie.

W tej chwili Desmond uświadomił sobie to, co podejrzewał, odkąd usłyszał własny głos na nagraniu poczty głosowej: podobnie jak Dedal został uwięziony w labiryncie, który sam skonstruował. Ale dlaczego? Czy istniał jakiś Minotaur – bestia lub tajemnica, którą chciał ukryć przed światem lub przed którą pragnął uchronić świat? Czy to on sam był potworem, którego trzeba się bać?

A potem uświadomił sobie coś jeszcze. Jeśli zbudował ten labirynt, musiał wiedzieć, że w pewnym momencie wejdzie do środka i straci pamięć – albo z własnego wyboru, albo na skutek działania kogoś innego. Czy ten labirynt był planem awaryjnym? Czy zaprowadzi go

tam, gdzie zaplanował? Czy pozwoli mu odzyskać wspomnienia?

Wstał i złożył łóżko chowane w ścianie. Dzięki temu miał miejsce na zrobienie kilku kroków w malutkim mieszkaniu. Ścianę naprzeciw łóżka można było nazwać aneksem kuchennym, znajdował się tam blat ze zlewem, mała lodówka, kuchenka, mikrofalówka i telewizor. W łazience nie było ani trochę dodatkowego miejsca.

Podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Była szósta po południu, na ulicach roило się od ludzi. Warstwa dymu papierosowego mieszała się ze spalinami samochodów, autobusów i motocykli. Toksyczna chmura unosiła się i spowijała ulicę mgiełką. Słońce wisiało nisko na listopadowym niebie i niedługo miało zająć.

Odwrócił się. Właścicielka mieszkania przymocowała pod łóżkiem duże lustro i kiedy je złożył, lustro sprawiało, że pokój wydawał się większy. Desmond popatrzył na swoje odbicie: na swoją opaloną twarz, jasne włosy sięgające brwi, na mężczyznę, który był dla niego całkowitą zagadką. Jego wygląd nie rzucał się w oczy w Berlinie – jako uciekinier bardziej wyróżniałby się w Szanghaju lub Egipcie, ale mimo to musi go zmienić. To będzie jego pierwsze zadanie po zapadnięciu zmroku.

W tej chwili przede wszystkim należy się dowiedzieć, co się dzieje. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest coś, co powinien zrobić.

Skupił się nad tym, co wiedział: założył dwa konta telefoniczne i zostawił powitanie w pocztach głosowych, wiedząc, a może po prostu mając nadzieję, że uda mu się je odnaleźć. Powitanie w drugiej poczcie głosowej zawiodło go do prywatnego labiryntu. A dokąd zaprowadzi go pierwszy numer? Prześladowały go słowa nagrania, według których będzie wiedział, co ma zrobić.

Domyślił się, że najpierw musiał kupić przedpłacone karty kredytowe, następnie wykupić numery telefoniczne odpowiadające numerom na kartach. Poszukał trochę w Sieci i odkrył, że pierwsze trzy cyfry numerów telefonu odpowiadały liniom Google Voice. Usługa była bezpłatna i udostępniała internetową tablicę kontrolną, dzięki której użytkownik mógł dostać się do swojej skrzynki głosowej, przekierować numer na inne linie telefoniczne i tak dalej.

To o to chodziło: mógł dostać się do skrzynki głosowej przez aplikację Google Voice. Ściągnął ją na komórkę i wypróbował kilka kombinacji hasła, ale bez powodzenia.

Co mi umyka?

Jeszcze raz przeszukał garnitur, ale nie znalazł żadnych ukrytych kieszonek, niczego wartego odnotowania. Usiadł na drewnianym stołku przy oknie, żeby się zastanowić. Plastikowy worek, w którym przyniósł garnitur z pralni, leżał porzucony w kącie pokoju. Przez przezroczyste warstwy Desmond zauważył różową karteczkę przymocowaną zszywką na samej górze worka.

Rozdarł plastik i przyjrzał się metce.

To była odbitka paragonu z pralni. Zleceniodawca nazywał się Jacob Lawrence.

Desmond chwycił telefon i wprowadził nazwisko jako hasło do aplikacji Google Voice. Ku jego uldze właśnie o nie chodziło.

Aplikacja otworzyła się i wyświetliła się skrzynka odbiorcza, w której znajdowały się trzy wiadomości, wszystkie z tego samego numeru telefonu. Pierwsza została nagrana dwa dni temu. Kliknął w nią i przeczytał transkrypcję:

*Wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi. Nie jestem pewien. Nie oddzwaniaj. Spotkajmy się tam, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy. Jutro o 10 rano.*

Desmond kliknął w drugą wiadomość, która została nagrana wczoraj w południe.

*Gdzie byłeś? Przeszukali moje mieszkanie. Jestem tego pewien. Jeśli nie zadzwonisz, pójdę na policję.*

Ostatnia wiadomość była z dzisiaj, z jedenastej rano.

*Mówią o tobie we wszystkich wiadomościach. Zabiłeś go? Zadzwon albo*

*pójdę na policję – mówię poważnie. Powiem im wszystko, co wiem od ciebie i o tobie. Dałem znajomemu teczkę ze wszystkimi swoimi notatkami. Jeśli coś mi się stanie, znajdzie się w rękach policji w ciągu godziny.*

Głowę Desmonda przebiegało tysiąc myśli na minutę. Czy osoba, która zostawiła te wiadomości, była jego sprzymierzeńcem czy wrogiem? Bez wątpienia wiedziała, kim jest.

Połączył się z Google Voice, upewniając się, że jest podłączony do wi-fi w mieszkaniu, bo chciał, żeby jego kolejna wiadomość została przekazana przez serwery Google. Numer, który zostawił w skrzynce, miał berliński kierunkowy. Kliknął w aplikację i słuchał, jak wybiera numer.

Odezwał się jakiś mężczyzna, mówiący po angielsku z niemieckim akcentem.

– Co się stało?

– Musimy się spotkać – oznajmił Desmond.

– Nie. Chcę poznać odpowiedzi teraz. Zabiłeś tego mężczyznę?

– Nie – odparł automatycznie, nadal nie mając pewności, czy to prawda.

– Czy to ma jakiś związek ze Zwierciadłem?

*Zwierciadło.* To słowo poruszyło jakąś czułą strunę. Zwierciadło miało jakieś znaczenie, ale nie mógł sobie przypomnieć jakie.

– Jesteś tam jeszcze?

– Tak – potwierdził Desmond. – Wyjaśnię, kiedy się spotkamy.

Cisza przez dłuższą chwilę.

– Ktoś mnie śledzi. Zatrzymałem się u przyjaciółki i wszystko jej opowiedziałem. Ma nagrania naszych poprzednich rozmów. Jeśli to ty przeszukałeś moje mieszkanie i jeśli coś mi się stanie, zgłosi to władzom.

– Rozumiem. Uwierz mi, nie zamierzam cię skrzywdzić. Sam jestem ofiarą.

Pauza.

– Gdzie? Kiedy? – zapytał z wahaniem.



Desmond rozważał kilka możliwości. Był wyczerpany i musiał przygotować się do spotkania.

– Jutro w południe. Pod Bramą Brandenburską. Stań tam, gdzie turyści, z tabliczką *Wycieczki „Zwierciadło”, ceny do negocjacji*. Włóż granatowy płaszcz, niebieskie dżinsy, czarny kapelusz bez żadnych ozdób.

– Chcesz się spotkać w miejscu publicznym?

– Tak będzie bezpieczniej. Zostaw telefon w domu. Przyjdź sam. Nieuzbrojony.

Mężczyzna zachnął się.

– I to mówi człowiek poszukiwany za morderstwo – rzucił z przekąsem.

– To, że poszukują mnie w związku z morderstwem, nie oznacza, że je popełniłem. Chcesz odpowiedzi, przyjdź jutro.

– Zgoda.

Kiedy się rozłączył, zaczął planować spotkanie: rozważał każdy jego aspekt, każdą ewentualność. Jeśli właściwie rozegra tę partię, wkrótce zapewne dowie się, co się dzieje.

[6] Craigslist – amerykański internetowy serwis ogłoszeń drobnych

## ROZDZIAŁ 10

Tego wieczoru doktor Elim Kibet po obchodzie w szpitalu Referral wrócił do swojego gabinetu, gdzie zdjął zniszczony biały fartuch i zaczął pisać mail do Kenijskiego Ministerstwa Zdrowia:

Do wszystkich zainteresowanych:

Sytuacja na miejscu się pogorszyła. Ponownie proszę o bezzwłoczne przysłanie pomocy.

Umarł Amerykanin, który pojawił się tutaj dziś rano z objawami niezidentyfikowanej jeszcze gorączki krwotocznej. Jesteśmy nieodpowiednio wyposażeni, żeby przeprowadzić jego autopsję lub przechowywać zwłoki. Zapieczętowałem salę, w której leży, i zakazałem do niej wstępu.

Ta śmierć mocno przygnębiła jego towarzysza. Co gorsza, mężczyzna, który nazywa się Lucas Turner, również ma objawy choroby, ostatnia zanotowana temperatura jego ciała wynosiła 39 stopni. Obawiam się, że będzie rosła i wkrótce dołączą pozostałe objawy podobne do tych, które miał jego zmarły kolega. Jeśli tak się stanie, prawdopodobnie podzieli jego los.

Staram się prowadzić szczegółowe notatki na temat stanu zdrowia pacjenta

i poinstruowałem personel, żeby co godzinę go fotografował. Szczerze mówiąc,

dokumentowanie rozwoju choroby jest prawdopodobnie jedyną pożyteczną rzeczą, jaką mogę zrobić. Poświęciłem dużo czasu na odtworzenie trasy, którą przebyli Amerykanie, w tym odnotowanie osób, które odwiedzili i z którymi rozmawiali. Ponadto zapytałem Lucasa, jak rozwijała się choroba u jego przyjaciela. Wydaje mi się, że te informacje mogą przydać się epidemiologom badającym ten przypadek. Prześlę notatki w wolnej chwili.

Brytyjski pacjent, który został przywieziony z lotniska, pozostaje w stanie krytycznym. Nie wydaje mi się, żeby przeżył tę noc.

Na koniec chciałbym poinformować, że mamy duży kryzys w szpitalu. Dziś rano okazało się, że połowa personelu nie stawiała się do pracy. Nie mogę ich za to winić. Jak powiedziałem,

brak nam odpowiedniego wyposażenia, żeby zajmować się tymi pacjentami. Poinstruowałem pielęgniarki, żeby wkładały fartuchy ochronne, ochraniacze na buty, maski na twarz i gogle, ale obawiam się, że te środki mogą okazać się niewystarczające, a nasze zapasy odzieży ochronnej już niedługo się wyczerpią.

Jeszcze raz proszę:

Gdzieś na korytarzu zaczął go wołać pielęgniarz.

– Doktorze Kibet!

Po kilku sekundach otworzyły się drzwi. Mężczyzna pochylał się do przodu, opierając dłonie na kolanach i próbując złapać oddech.

– Więcej zarażonych – wysapał.

Elim włożył fartuch i obaj pobiegli do izby przyjęć. Elim zatrzymał się w wejściu, przyglądając się horrorowi rozgrywającemu się na jego oczach.

Dziesięć osób, mieszkańcy okolicznych wsi, wszyscy w zaawansowanym stadium choroby. Pot i plamy po wymiotach pokrywały ich ubrania. Kilku popatrzyło na niego zażółconymi, nabiegłymi krwią oczami.

Pielęgniarka wyjęła termometr z ust jednego z mężczyzn i zwróciła się do Elima.

– Czterdzieści i pół.

Rozniosło się do wsi. Elim zastanawiał się, czy pomoc nie dotrze za późno – dla nich wszystkich.

## ROZDZIAŁ 11

Kiedy samolot transportowy USAF wzniósł się na wysokość przelotową, Peyton rozciągnęła się na fotelach, przypięła pasami i zasnęła.

Poprzedniej nocy spała tylko cztery godziny i przez cały dzień dawała z siebie wszystko. Mimo to nastawiła budzenie za pół godziny. Chciała być świeża i niezaspana przed kolejnymi zadaniami.

Przypuszczalnie najcenniejszą umiejętnością, jakiej nabyła podczas pracy w CDC, było to, że nauczyła się zasypiać niemal w każdej sytuacji. Osiągnięcie doskonałości w tej materii zajęło jej wiele lat. Według niej myślenie było największym wrogiem spania. Kiedy walczyła z epidemią, jej umysł nigdy nie przestawał pracować; myślenie stawało się kompulsywne. Jednak podczas drugiego roku pracy w terenie nauczyła się pewnej techniki zasypiania, którą wykorzystywała do tej pory. Kiedy musiała odpocząć, zamykała oczy, nie pozwalała głowie myśleć i skupiała się na oddechu. Najpierw zmuszała się do głębokiego oddychania przeponą, nie klatką piersiową. Z każdym wydechem koncentrowała się na czubku nosa, który omiatało powietrze wypuszczane z płuc, i liczyła oddechy. Rzadko udało jej się dojść do czterdziestu.

Kiedy w jej kieszeni zadzwonił budzik, wstała, przeciągnęła się i zrobiła kilka lekkich ćwiczeń.

Mogła lecieć powietrznym ambulanszem zamiast samolotem transportowym USAF. Byłoby jej tam wygodniej, ale wolała zostać z zespołem. Dla niej była to kwestia zasad. Poza tym miała sporo pracy.

Nalegała, by trzej starsi pracownicy CDC zajęli miejsca w ambulansie. Wszyscy będą pracowali w Nairobi, nie w terenie, i wszyscy podziękowali jej za odstąpienie wygodniejszego środka transportu.

Elliott również zdecydował się lecieć samolotem wojskowym, który miał duży przedział ładunkowy oraz oddzielną przestrzeń dla pasażerów. W sekcji pasażerskiej znajdowało się pośrodku dwanaście rzędów po pięć siedzeń, a przy burtach maszyny po rzędzie foteli. Na przodzie były dwa wąskie przejścia oraz biała tablica na ścianie.

Peyton przypuszczała, że tablicę zwykle wykorzystywano podczas odpraw i do utrwalania szczegółów misji. Miała zamiar zrobić to samo. W zasadzie postronny obserwator mógłby uznać, że właśnie odbywa się odprawa żołnierzy marynarki wojennej.

Wśród zgromadzonych byli mężczyźni i kobiety w mundurach koloru khaki, identycznych z tymi, które nosili amerykańscy żołnierze, miały nawet podobne naszywki. Jednak jej oddział nie składał się z oficerów marynarki. To byli oficerowie innej, równie ważnej służby mundurowej.

Peyton była pracownikiem CDC, lecz także oficerem Służby Zdrowia Publicznego (PHS[7]). Korpus Służby Medycznej działający przy tej organizacji był elitarną ekipą złożoną z wysoce wyspecjalizowanych medyków i jedną z siedmiu amerykańskich służb mundurowych (pozostałe sześć to: Siły Lądowe, Marynarka Wojenna, Siły Powietrzne, Piechota Morska, Straż Przybrzeżna oraz Narodowa Służba Oceaniczna i Meteorologiczna). Ponad sześć tysięcy mężczyzn i kobiet służyło w Korpusie Służby Medycznej i nosiło mundury podobne do żołnierzy marynarki wojennej: służbowy niebieski, letni biały i khaki do zadań w terenie. Oficerowie korpusu mieli takie same stopnie jak ci z marynarki i Straży Przybrzeżnej: od podporucznika do admirała.

Oficerowie Korpusu Służby Medycznej służyli w Agencji Ochrony Środowiska (EPA), Urzędzie ds. Żywności i Leków (FDA[8]), Departamencie Obrony (DOD[9]), Narodowych Instytutach Zdrowia (NIH[10]), Departamencie Rolnictwa Stanów Zjednoczonych (USDA[11]), Straży Przybrzeżnej, CDC i wielu innych organizacjach. Często pierwsi ruszali do działania podczas katastrof naturalnych

i pomagali podczas huraganów, trzęsień ziemi i wybuchów epidemii. W 2001 roku ponad tysiąc oficerów PHS wyruszyło do Nowego Jorku po atakach 11 września. W 2005 roku pomagali usuwać skutki huraganów: Katrina, Rita i Wilma. Ponad dwa tysiące osób stawiało szpitale polowe i opiekowało się ofiarami.

W CDC na pełen etat zatrudniano przeszło ośmiuset oficerów Służby Zdrowia Publicznego. Goście często mylili ich z oficerami marynarki.

Peyton miała rangę komandora. Elliott był kontradmirałem. Ze stu sześćdziesięciu oficerów EIS stu dwóch służyło w PHS.

Wśród sześćdziesięciu trzech osób siedzących przed Peyton aż pięćdziesiąt jeden wchodziło w skład jednostki Służby Zdrowia Publicznego. Podobnie jak ona byli ubrani w mundury khaki, w lewej klapie mieli insygnia Służby Zdrowia Publicznego, w prawej naszywkę wskazującą stopień.

Peyton ściągnęła włosy w koński ogon i wygładziła pognieciony mundur. Poprawiła przekrzywiony srebrny liść dębowy, który symbolizował jej rangę, i podeszła do tablicy.

Skupiła na sobie wzrok sześćdziesięciu trzech osób. Widziała ich zdenerwowanie i podekscytowanie, lecz przede wszystkim zaufanie, całkowitą ufność w jej umiejętność przeprowadzenia ich przez kolejne zadanie, w to, że będą przy niej bezpieczni i że nauczą się od niej tego, co muszą wiedzieć. Czuła wagę ich zaufania i swoich obowiązków. Była epidemiologiem, ale uważała, że jej najważniejszą misją jest nauczanie. Jako instruktorka EIS przygotowywała słuchaczy na to, z czym mogą się zetknąć po ukończeniu szkolenia. Siedzący przed nią mężczyźni i kobiety byli następnym pokoleniem liderów w służbie zdrowia. I pewnego dnia któreś z nich prawdopodobnie zajmie jej miejsce: będzie dowódcą podczas jakiejś misji CDC na poziomie stanowym lub miejskim, a może będzie prowadziło ważne badania dla Narodowych Instytutów Zdrowia.

Zależało jej na byciu dobrą nauczycielką, ponieważ ten zawód był ważny i na swojej ścieżce kariery zawodowej miała szczęście natykać się na dobrych nauczycieli, którym zależało na uczniach. Piętnaście lat temu Peyton siedziała wśród innych oficerów. Była jedną z nich, a przed

nimi stał Elliott i prowadził podobny wykład. Pamiętała, jak się denerwowała podczas pierwszego wyjazdu w teren. Nadal odczuwała cień tej nerwowości. Czasami zastanawiała się, czy czuła również ekscytację – dreszczyk emocji związany z wyjazdem na misję, ryzykiem, wyścigiem z czasem, by dotrzeć do źródła epidemii i zatrzymać ją, zanim dojdzie do katastrofy. Żyła dla takich chwil. Wolała znajdować się w samym centrum kryzysu, wolała to od okresów przestoju w Atlancie.

W związku z tym, że lot był długi i będą musieli przystosować się do ośmiogodzinnej różnicy w czasie pomiędzy Kenią i Atlantą, Peyton postanowiła podzielić swoje wystąpienie na dwie części. W pierwszej poda najważniejsze informacje – te, które stały i sezonowy personel CDC znał na pamięć. Wielu oficerów EIS również, ale należało je przypomnieć i był to dobry sposób na przełamanie lodów. To była pierwsza zagraniczna misja dla wielu ludzi i Peyton miała świadomość, że są zdenerwowani. Powtórzenie tego, co już wiedzieli, zwiększy ich pewność siebie.

Podniosła niebieski marker.

– No dobrze, zaczynamy. Jak wiecie z wcześniejszego zebrania, w Nairobi się rozdzielimy. Jedenaście osób zostanie na miejscu, żeby koordynować działania; pozostali pojedają ze mną do Mandery, gdzie prawdopodobnie będziemy przemierzać okolice miasta. Jednakże chciałabym, żeby każdy z was był zaznajomiony z wytycznymi dotyczącymi odzieży ochronnej podczas misji, dlatego też podam teraz najważniejsze informacje. Dyrektywy dotyczące tego konkretnego zadania omówię pod koniec lotu.

Szybko zaprezentowała im odzież ochroną, w której skład wchodziły fartuchy, kombinezony, nakrycia głowy, gogle, ochraniacze na buty, rękawice i inne elementy używane do ochrony przed skażonym materiałem.

– Jest szansa, że każde z was w jakiejś sytuacji wejdzie w kontakt z patogenem. Ci, którzy pozostaną w Nairobi, być może nie będą pracować w terenie. Po pierwsze, pamiętajcie, że w kombinezonach będzie wam gorąco. Kenia leży w strefie tropikalnej. Nairobi znajduje się

zaledwie sto czterdzieści kilometrów od równika. Mimo że jest listopad, w południe można się ugotować. Będziecie spoceni, zanim jeszcze włożycie kombinezon, a potem jeszcze bardziej zlejecie się potem. Poza tym prawdopodobnie będziecie zdruzgotani tym, co zobaczycie. Niektórzy z nas nigdy nie przyzwyczajają się do widoku ludzkiego cierpienia, jakie obserwujemy podczas misji. Nie ma w tym nic złego. Zobaczycie ludzi mieszkających w ekstremalnym ubóstwie i okoliczności, jakich zapewne nigdy sobie nie wyobrażaliście. Jeśli poczujecie się przytłoczeni, nie obwiniajcie się o nic, to normalne. Poinformujcie wówczas kogoś z zespołu i wyjdźcie na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza. Jednak cokolwiek będziecie robić, nigdy nie zdejmujcie kombinezonu. Ważne jest noszenie i sprawdzanie kombinezonu, lecz jeszcze ważniejsza jest ostrożność przy jego zdejmowaniu. Po kontakcie z pacjentami na zewnątrz waszej odzieży ochronnej, również na ochroniaczach głowy, goglach, rękawicach i butach mogą znajdować się wirusy i bakterie. Jeśli rozerwiecie jakikolwiek element odzieży ochronnej, narazicie się na poważne ryzyko. Przy zdejmowaniu kombinezonu nie wolno się spieszyć. Nie będzie łatwo, nikt nie jest w stanie wytrzymać dłużej niż godzinę w takim ubraniu w tym upale i pod koniec tej godziny zapragniecie uwolnić się z niego za wszelką cenę. Ale powtarzam, nie wolno się spieszyć. Od tego zależy wasze życie. No dobrze, jaki jest cel naszej misji? Słucham?

Ludzie z EIS, większość przed trzydziestką lub około trzydziestki, usiedli z przodu. Stały personel CDC, który wyruszył w teren, był nieco starszy i przeważnie uczestniczył już w kilkunastu podobnych wyjazdach. Gdy nadszedł czas na pytania, siedzieli w tylnych rzędach i milczeli, żeby dać oficerom EIS możliwość odpowiedzi i nauki.

Pierwsza odezwała się Hannah Watson, zajmująca miejsce w drugim rzędzie. Miała blond włosy w ciepłym odcieniu związane w kucyk podobnie jak Peyton i była ubrana w służbowy mundur khaki.

- Zahamowanie i leczenie.
- Dobrze. – Peyton zapisała te słowa drukowanymi literami na tablicy.
- Co jeszcze?



– Identyfikacja – dodał Millen Thomas. Był weterynarzem pochodzenia hinduskiego i siedział kilka rzędów za Hannah.

Peyton skinęła głową i zapisała słowo na tablicy.

– Tak, byłoby miło, gdybyśmy mogli stwierdzić, z czym dokładnie mamy do czynienia. Co jeszcze?

Odezwał się oficer EIS w ubraniu cywilnym.

– Wsparcie efektywności.

– Bardzo dobrze. Do naszych zadań należy identyfikacja, leczenie i zahamowanie choroby, ale powinniśmy również pomóc Kenijczykom rozwinąć własne sposoby na powstrzymanie epidemii. CDC wpompowało miliony dolarów w Kenię z nadzieją, że stworzą system rozpoznawania i nadzoru oraz procedury wdrażane w razie pojawienia się chorób. Podczas walki z epidemiami – kontynuowała Peyton – mamy nadzieję, że powstrzymamy chorobę tam, gdzie się rozpoczęła. Żeby tego dokonać, musimy zaangażować Kenijczyków. Osoby, które pracują w terenie, zajmą się przeszkoleniem kenijskich epidemiologów. W Nairobi należy wzmocnić personel w Ministerstwie Zdrowia i w ich Centrum Operacji Kryzysowych oraz zapewnić im niezbędne szkolenia. W porządku. – Peyton odwróciła się do tablicy i wzięła w kółko słowo „identyfikacja”. – W jaki sposób jej dokonamy?

– Przez testy laboratoryjne – odparła czarnowłosa dziewczyna.

– Tak. Mamy polowy test wykrywający ebolę: ReEBOV Szybki Test na Antygeny. ReEBOV da nam rezultaty w piętnaście minut. Jego dokładność wynosi dziewięćdziesiąt dwa procent wśród osób zarażonych i osiemdziesiąt pięć procent dla osób z wynikiem negatywnym. Co jeszcze?

– Objawy. Rozwój choroby – powiedział czarnoskóry mężczyzna z pierwszego rzędu.

– Prawidłowo. Jeśli ustalimy niezmienny zestaw objawów, będziemy mogli z dużym prawdopodobieństwem ustalić, z czym mamy do czynienia. Zbadamy historie pacjentów z różnych miejsc. W Nairobi zbierzecie wszystkie dane i stworzycie przejrzysty schemat rozwoju choroby. Szukamy punktów wspólnych i powtarzalnych. A teraz,

zakładając, że to ebola, przypomnijmy, jakie są jej objawy?

Odezwały się różne głosy:

- Wysoka gorączka.
- Silny ból głowy.
- Biegunka.
- Wymioty.
- Ból brzucha.
- Zmęczenie i osłabienie.
- Krwawienie.
- Siniaki.

Peyton szybko zapisywała.

– Dobrze. Pacjenci z Mandery mieli większość z nich. Miejscowy lekarz widział też wysypkę. Zatem może nie mamy do czynienia z ebolą, tylko z całkowicie nowym filowirusem lub arenawirusem. Wiemy, że choroba, z którą będziemy się mierzyć, jest śmiertelna i, jak sądzimy, zapadły na nią osoby w dwóch miejscach. Objawy eboli pojawiają się od dwóch do dwudziestu dni po kontakcie z zarażonym. Średnio trwa to od ośmiu do dziesięciu dni po zetknięciu z wirusem. No dobrze. Jeśli jest to ebola, to jak ją leczymy?

- Nie leczymy – powiedział lekarz z trzeciego rzędu.
- ZMapp – wtrąciła rudowłosa dziewczyna.
- Właściwie oboje macie rację. Urząd do spraw Żywności i Leków nie określił zasad leczenia eboli. Nie ma szczepionki. Jeśli stwierdzimy chorobę u pacjenta, po prostu podajemy mu płyny, elektrolity i leczymy następcze infekcje. Pacjent musi sobie radzić sam. Mamy nadzieję, że jego układ odpornościowy pokona wirusa. Mniej więcej połowa sobie radzi; średnia umieralność na ebolę wynosi pięćdziesiąt procent. Warto zapamiętać, że zidentyfikowano pięć szczepów wirusa eboli: Zaire, Côte d'Ivoire, Sudan, Bundibugyo i Reston. Tylko ebola Reston jest przenoszony drogą powietrzną. Otrzymał nazwę Reston, ponieważ został wykryty w Reston w Wirginii, zaledwie kilka kilometrów od Białego Domu. To prawdopodobnie największy fart w historii ludzkości, że szczep Reston powoduje zachorowania tylko wśród naczelnych

niebędących ludźmi. Co prawda podczas epidemii Reston, która rozpoczęła się w ośrodku dla ssaków naczelnych, zaraziło się kilku badaczy, na szczęście jednak nie doszło do rozwoju choroby. Gdyby wirus ebola Reston był śmiertelny dla ludzi, na pewno nie spotkalibyśmy się dzisiaj w pełnym składzie. Cztery pozostałe szczepy eboli są jednymi z najbardziej niebezpiecznych patogenów na naszej planecie. Wirus Zaire jest najgorszy, zabija do dziewięćdziesięciu procent zarażonych. Podawanie ZMapp to jedyna skuteczna terapia w leczeniu eboli. Bardzo dobrze sprawdziła się w próbach na naczelnych. Podczas epidemii w Afryce w dwa tysiące czternastym roku leczylimy siedmiu Amerykanów za pomocą ZMapp i leku powodującego interferencję RNA o nazwie TKM-Ebola. Niestety, dwóch pacjentów zmarło, ale pięciu ocalonych na siedmiu to i tak dobry wynik. Mamy ze sobą zapas ZMapp, ale tylko niewielką ilość, więc chcę jeszcze raz podkreślić, że nie jest to lek zatwierdzony przez FDA i z różnym skutkiem działa na ludzi. Czy ktoś może powiedzieć, jakiego typu terapią jest leczenie ZMappem?

– Opartą na przeciwciałach monoklonalnych – odezwał się jakiś głos.

– Dobrze. ZMapp jest przeciwciałem monoklonalnym, w skrócie mAb. W zasadzie ma trzy przeciwciała. Co ciekawe, hodzi się je w tytoniu, wiążą białko eboli tak, jakby były przeciwciałami wyprodukowanymi przez układ odpornościowy samego pacjenta. Jaki więc ma to wpływ na przyszłe leczenie? Słucham.

Peyton umilkła i spojrzała na swoją grupę. Kiedy nikt nie odpowiedział, kontynuowała:

– Ocaleni. Badanie ich przeciwciał może dać nam wskazówki dotyczące nowych terapii i sposobów walki z wirusem. To niewiarygodnie ważne, żeby dokumentować każdy przypadek ozdrowienia. W tej chwili prowadzi się w tym kierunku badania polegające na analizowaniu układów odpornościowych ludzi, którzy lata temu przeżyli epidemię w Marburgu. W najgorszym wypadku my również będziemy starali się wykorzystywać krew lub osocze ozdowieńców do leczenia personelu w Kenii. Osoby, które przeżyły, pomagają również w badaniach nad szczepionką na ebolę. Obecnie prowadzone są nad nią testy

w przedsiębiorstwie farmaceutycznym Merck. Jak na razie wydaje się, że jest nadzwyczaj skuteczna, ale raczej nie zapewni odporności na całe życie. Nie została jeszcze zatwierdzona i nie chroni przed każdym szczepem eboli, więc identyfikacja jest najważniejsza. Niemniej jeśli to jest ebola, szczepionka Mercka może zostać zatwierdzona w przyspieszonym trybie i pomóc w ratowaniu niezarażonych ludzi. Pytanie dodatkowe: czy ktoś umie podać inną terapię na chorobę marburską i ebolę, która obecnie znajduje się na etapie badań?

Peyton obrzuciła grupę spojrzeniem. Ponownie nie usłyszała odpowiedzi.

– Krótki interferujący RNA – ciągnęła. – Efekty są bardzo obiecujące, ale przed nim jeszcze długa droga na rynek. No dobrze, porozmawiajmy teraz o zahamowaniu. Jakie są kluczowe działania?

– Namierzanie kontaktów – powiedziała Hannah.

– Właśnie. Naszym celem jest odnalezienie pacjenta zerowego i zbudowanie drzewa kontaktów dla każdego, z kim stykali się zarażeni, a także dla tych, którzy znajdują się w pierwszym drzewie. To może być przytłaczająca praca. W niektóre dni będziecie mieli wrażenie, że lista kontaktów pęka w szwach, każdego dnia będziecie dodawali do niej setki nazwisk. Nie traćcie jednak wiary i miejcie cierpliwość. W końcu lista zacznie się kurczyć, wtedy my zaczniemy wygrywać. Dobrze. A co z rozprzestrzenianiem się eboli?

– Przenosi się przez płyny ustrojowe – wyrwał się lekarz z drugiego rzędu.

– To prawda. Co jeszcze możemy dodać?

– Jest chorobą odzwierzęcą – dodał Millen.

– Tak. Bardzo dobrze. Ebola i inne filowirusy są odzwierzęce, przeskakują od zwierząt do ludzi i z powrotem. Choroby tego typu są poważnym problemem w środkowej Afryce. Siedemdziesiąt pięć procent wszystkich chorób zakaźnych w tym regionie pochodzi od zwierząt. Nie możemy się więc skupiać tylko na ludziach, gdy chcemy powstrzymać rozprzestrzenianie się wirusa. Proszę, niech podniosą rękę weterynarze.

W górę wystrzeliły cztery ręce. Trzy osoby były członkami służb

mundurowych, czwarta miała ubranie cywilne.

– Każdy z was zostanie przydzielony do jednego z zespołów działających w terenie i namierzających kontakty. Czego macie szukać?

– Nietoperzy – odpowiedzieli chórem.

– Świetnie. Czym są nietoperze?

– Ssakami – odparł jeden z weterynarzy.

– Rezerwuarem zarazków – dodał inny.

– Bardzo dobrze. Naturalny rezerwuuar eboli pozostaje nieznany, ale jesteśmy niemal pewni, że afrykańskie rudawkowate przenoszą wirusa, chociaż same nie wykazują żadnych objawów choroby. Kiedy jednak wirus przechodzi z nietoperza na człowieka, zaczyna się spustoszenie. Szukamy zatem każdego, kto mógł mieć kontakt z nietoperzami lub ich odchodami. Może weszli do jakiejś jaskini lub zjedli mięso nietoperza bądź inne zwierzę, które weszło w kontakt z rudawką. Bardzo możliwe, że gdy już znajdziemy pacjenta zero, okaże się, że złapał wirusa od nietoperza. A co robimy z ludźmi, którzy mają już objawy? – zwróciła się do całej grupy.

– Izolujemy – odparli chórem.

– A z ludźmi, którzy mieli kontakt, ale nie wykazują objawów?

– Poddajemy kwarantannie.

– Prawidłowo. W tej chwili okres kwarantanny trwa dwadzieścia jeden dni od pierwszego kontaktu z zarażonym. Jeśli nie mają objawów po tym czasie, możemy ich zwolnić.

Spojrzała na zebranych.

– Czy są jakieś pytania?

Nikt się nie odezwał, więc odłożyła marker.

– Dobrze. Podzielmy się na grupy. Mamy jeszcze dużo do zrobienia przed przylotem na miejsce.

[7] Public Health Service

[8] Federal Drug Administration

[\[9\]](#) Department of Defence

[\[10\]](#) National Institutes of Health

[\[11\]](#) United States Department of Agriculture

## ROZDZIAŁ 12

W Berlinie Desmond przygotowywał się do spotkania, które czekało go następnego dnia.

Wyszedł z mieszkania zaraz po zachodzie słońca, kiedy ulice wypełnione były ludźmi. Włożył kapelusz i ubrania ze sklepu z używaną odzieżą, poruszał się szybko i nikomu nie patrzył w oczy. W drogerii kupił potrzebne artykuły.

Teraz stał w małej łazience wykończonej białymi płytkami i przy dźwięku brzęczącej golarki przyglądał się, jak jasne włosy spadają do umywalki. Zostawił sobie półcentymetrowego jeża, którego ufarbował na czarno, i usiadł na składanym łóżku.

Czekając, aż włosy nabiorą odpowiedniego koloru, wyjął komórkę i zaczął szukać w Internecie informacji na swój temat, czyli zrobił coś, na co czekał od chwili, gdy kupił telefon.

Pierwszy link prowadził do artykułu w Spiegel Online. Policja odnalazła już kierowcę taksówki. Co więcej, władze amerykańskie przeszukały jego dom na przedmieściach San Francisco. Czyli był Amerykaninem, a przynajmniej tam znajdował się jego dom.

Drugi link przenosił do Icarus Capital, gdzie został wymieniony jako założyciel i partner zarządzający. Szybko przeczytał swój biogram, ale dotyczył tylko kariery zawodowej: sukcesów inwestycyjnych, wygłoszonych przemówień oraz kilku działań na rzecz społeczności lokalnej. Jak się okazało, patronował orkiestrze California Symphony. Żadna z nazw organizacji nic mu nie mówiła.

Kliknął w link prowadzący do podstrony *Inwestycje* i odczytał nazwy: Rapture Therapeutics, Phaethon Genetics, Rendition Games, Cedar Creek Entertainment, Rook Quantum Sciences, Extinction Parks, Labyrinth Reality, CityForge i Charter Antarctica.

Rapture Therapeutics. Widział tę nazwę tego ranka w dokumentach martwego mężczyzny znalezionej w pokoju hotelowym.

Wszedł na stronę Rapture Therapeutics.

Była to firma biotechnologiczna zajmująca się terapiami neurologicznymi. Początkowo skupiała się na pomaganiu pacjentom z depresją, schizofrenią, chorobą dwubiegunową i innymi chorobami psychicznymi. Ich najnowsza terapia, Rapture Transcend, dotyczyła blaszek amyloidowych w mózgu i eliminowania ich poprzez działanie genetycznie zmodyfikowanych białek.

Desmond zastanawiał się, czy ich praca może być związana z tym, co mu się przydarzyło. Jego firma była inwestorem w Rapture Therapeutics. Czy odkrył coś, o czym nie chcieli, żeby wiedział? Czy stał się ofiarą jakiejś nieudanej próby klinicznej?

Nadal przeglądał stronę Rapture, zaintrygowany tym, czego się dowiedział. Firma wyraźnie stała na skraju jakiegoś przełomowego odkrycia. Dwa lata temu wykupiła licencję na wprowadzenie terapii, która mogłaby pomóc w leczeniu parkinsona, alzheimera, płasawicy Huntingtona, amyloidozy oraz wielu innych chorób neurodegeneracyjnych.

Jak wynikało z tekstu, klucz do tej potencjalnej kuracji został odkryty przez przypadek. W 2004 roku izraelska badaczka, Beka Solomon, podczas badań nad alzheimerem odkryła nową terapię, która aż o osiemdziesiąt procent redukowała blaszki amyloidowe powodujące tę chorobę. Była o wiele bardziej efektywna niż jakakolwiek inna kuracja dostępna na rynku.

Jednak Solomon rozpoczęła testy, skupiając się na zupełnie innej terapii. Genetycznie zmodyfikowała myszy, żeby rozwinęła się u nich choroba Alzheimera, i leczyła je przeciwciałami uzyskanymi od ludzi, które podawała zwierzętom przez dziurki od nosa. Problem polegał na



tym, że jej lek niezbyt dobrze radził sobie z przekraczaniem bariery krew–mózg i nie docierał do mózgu, by niszczyć nagromadzone tam blaszki. W pewnym momencie, który przejdzie do historii jako jeden z największych fuksów w nauce, Solomon postanowiła połączyć przeciwciała z wirusem o nazwie M13, by ten przetransportował je przez barierę krew–mózg.

M13 był bakteriofagiem – wirusem, który zarażał jedynie bakterie. A konkretnie tylko jeden gatunek bakterii – *Escherichia coli*. Ku zaskoczeniu Solomon przeciwciała dołączone do M13 odniosło wielki sukces podczas prób klinicznych. Jednak najbardziej zdziwiło ją to, że grupa myszy leczona samym wirusem M13, bez terapii przeciwciałami, również wykazywała dużą poprawę. Zdawało się, że pozytywny rezultat podczas prób przynosiło zastosowanie M13, a nie opracowana przez Solomon terapia przeciwciałami.

Po roku badań myszy, które otrzymały M13, miały średnio mniej niż jedną czwartą blaszek niż te z grupy kontrolnej. Kolejne eksperymenty pokazały, że M13 może rozpuszczać inne nagromadzone amyloidy – spletki neurofibrylarne charakterystyczne dla choroby Alzheimerera oraz blaszki amyloidowe związane z innymi chorobami, w tym alfa-synukleinę (parkinson), zmutowaną huntingtynę (choroba Huntingtona) i dysmutazę ponadtlenkową (stwardnienie zanikowe boczne). M13 działał nawet na amyloidy w chorobach wywołanych przez priony, w tym na chorobę Creutzfeldta-Jakoba. Odkrycie było zaskakujące i mogło stanowić przełom w walce z chorobami neurodegeneracyjnymi.

Następnie zaczął się długi proces sprawdzania, w jaki sposób M13 tak cudownie sobie radził. Po latach badań naukowcy odkryli, że chodziło o zestaw białek – zwany gp3 – znajdujący się na czubku wirusa i niezbędny do jego niesamowitego działania. Białka gp3 umożliwiały M13 przyłączenie się do *E. coli*, otwarcie bakterii i wpuszczenie do środka własnego DNA. Dzięki łutowi szczęścia białka gp3 również otwierały zlepki sfałdowanego białka charakterystycznego dla chorób Alzheimerera, Parkinsona, Huntingtona i innych.

Desmond zastanawiał się nad tymi informacjami. Nie miał

wątpliwości, że Rapture Therapeutics było dużą częścią układanki. W końcu to ich pracownik – Günter Thorne – został znaleziony martwy w jego pokoju hotelowym.

Może jutro, podczas spotkania, uzyska jakieś odpowiedzi.

Zamknął stronę Rapture Therapeutics i wrócił do wyszukiwania informacji o sobie. Jednak pozostałe linki nie okazały się pomocne. Nie miał kont na portalach społecznościowych, a pozostałe łącza prowadziły do artykułów o firmach, z którymi był związany, lub sfilmowanych konferencji, podczas których przemawiał, czy wywiadów. Jego całe życie ograniczało się do zawodowego zaangażowania w start-upy z branży hi-tech.

Następnie wyszukał w Internecie Peyton Shaw. Kiedy zadzwonił do niej rano, wiedziała, kim jest. Gdyby mógł się dowiedzieć, kim jest ona i skąd go zna, mógłby wpaść na jakiś trop związany z własną tożsamością.

Dowiedział się, że była ważną epidemiolożką w CDC. Ciekawe. Czy była w jakiś sposób związana z Rapture Therapeutics? Raczej mało prawdopodobne, bo w kręgu jej zainteresowań znajdowały się choroby zakaźne.

Odtworzył nagranie, na którym kilka miesięcy wcześniej wygłaszała przemówienie podczas Amerykańskiego Szczytu Zdrowia Publicznego. Pojawiła się na ekranie, stała na szerokiej scenie z białym tłem. Miała jasną skórę i ciemnobrązowe włosy sięgające ramion. Wyglądała na kogoś z europejskimi korzeniami, lecz Desmond podejrzewał, że w jej drzewie genealogicznym znajduje się przodek pochodzenia wschodnioazjatyckiego. Była szczupła i poruszała się po scenie z wdziękiem, jak ktoś, kto regularnie ćwiczy jogę lub tańczy.

Uwagę przykuwały jej oczy. Duże, błyszczące, o magnetyzującym spojrzeniu, które zrobiło na nim natychmiastowe wrażenie. Nie była olśniewająca, nie była kobietą, za którą ludzie się odwracają, ale gdy na nią patrzył, coś go w niej pociągało. Jej urok brał się z pewności siebie i tego, że dobrze się czuła we własnej skórze. Gdy przemawiała, uświadomił sobie coś jeszcze: była niewiarygodnie inteligentna.

Desmond nie wiedział, z jakimi kobietami wcześniej się umawiał, ale jeśli miałby wybrać kogoś w tej chwili, byłaby to osoba podobna do Peyton Shaw.

Na ekranie projektora za Peyton pojawił się obraz przedstawiający szpital polowy w jakiejś wsi na terenie strefy tropikalnej Trzeciego Świata.

– Ludzkość toczy wojnę – powiedziała do niewidocznej widowni. – To globalna wojna, która trwa od czasów, gdy nasi przodkowie postawili pierwsze kroki na ziemi. Może nigdy się nie skończyć. W tej wojnie nie ma granic, rozejmów, zawieszenia broni. Nasz wróg mieszka wśród nas. Jest niewidoczny, nieśmiertelny i z łatwością się przystosowuje, poddaje próbom nasze umocnienia i słabości. Uderza, kiedy najmniej się go spodziewamy. Zabija i okalecza każdego, kto stanie na jego drodze. Zaatakuję każdy naród, każdą osobę, rasę, religię. Nasz nieśmiertelny wróg znajduje się też w tej sali. Żyje w was. I we mnie. Tym wrogiem są patogeny, które nosimy w swoim organizmie. Przez większość czasu żyjemy w niewygodnej równowadze z bakteriami i wirusami, zarówno tymi w nas, jak i tymi na zewnątrz. Ale od czasu do czasu dochodzi do wznowienia walki. Powraca stary, od dawna uspiiony patogen. Dochodzi do jakiejś nowej mutacji. Te zdarzenia to epidemie i pandemie i z nimi musimy się mierzyć. To bitwy, w których walczymy. Dla ludzkości sukces to wygrana w każdej z tych bitew. Stawka jest wysoka. Choroba jest jedynym wrogiem, który łączy wszystkich na świecie niezależnie od rasy i narodowości. Kiedy dochodzi do pandemii, stajemy do walki razem, jako jeden gatunek. W historii naszej bitwy z pandemiemi były okresy spokoju i szerzenia się ich w błyskawicznym tempie, wzloty i upadki. Najbardziej znamy błyskawiczne szerzenie się choroby, bo ono przeszło do historii. To czas, gdy przegrywamy bitwę. Te ciemne lata, kiedy ludzkość masowo wymiera. Nasza populacja gwałtownie się kurczy. Kulimy się ze strachu i czekamy.

Na monitorze pojawił się obraz przedstawiający Europejczyków, których ciała pokrywają guzy.

– W drugim wieku zaraza Antoninów wybiła jedną trzecią populacji

Europy. A kiedy liczba ludzi zaczęła wracać do normy, dżuma Justyniana w szóstym wieku zabiła prawie połowę Europejczyków. Szacuje się, że na chorobę, którą prawdopodobnie była dżuma dymienicza, zmarło około pięćdziesięciu milionów ludzi. W latach czterdziestych czternastego wieku dżuma ponownie zawitała do Europy, na zawsze zmieniając bieg historii. W tym czasie na świecie żyło około czterystu pięćdziesięciu milionów ludzi. Czarna Śmierć zabiła co najmniej siedemdziesiąt pięć milionów. Niektórzy szacują, że nawet dwieście milionów. Proszę wyobrazić sobie okres czterech lat, podczas którego umiera od dwudziestu do pięćdziesięciu procent populacji. Europa, ze względu na duże miasta, zagęszczenie ludności i rozwinięte szlaki handlowe, regularnie stawała się miejscem wylęgarni pandemii. Ale nie jest sama.

Obrazek zmienił się na malowidło przedstawiające hiszpańskich konkwistadorów spotykających tubylcze plemię gdzieś na wybrzeżu, statki przybyszów kotwiczą w zatoce za nimi.

– Proszę wziąć pod uwagę Nowy Świat po pojawieniu się Europejczyków. Wiele słyszeliśmy o niedoli tubylców na terenie obecnych Stanów Zjednoczonych, ale przyjrzyjmy się sytuacji populacji Nowej Hiszpanii, leżącej na terenie współczesnego Meksyku. W tysiąc pięćset dwudziestym roku ospa zabiła tam prawie osiem milionów ludzi. Dwadzieścia pięć lat później tajemnicza gorączka krwotoczna zabiła piętnaście milionów – wówczas stanowiło to około osiemdziesięciu procent całej populacji. Proszę to sobie wyobrazić: tajemnicza choroba zabija osiem na dziesięć osób. W Ameryce to byłoby dwieście czterdzieści milionów ludzi. Nie można tego sobie wyobrazić, ale tak było, zdarzyło się to tutaj, w Ameryce Północnej, mniej niż pięćset lat temu. Nadal nie zidentyfikowaliśmy patogenu, który zdziesiątkował ludność Meksyku w szesnastym wieku, ale wiemy na pewno, że wrócił dwadzieścia lat później, w tysiąc pięćset siedemdziesiątym szóstym roku, po dwóch latach suszy. Zabił kolejne dwa miliony z mocno już przetrzebionej populacji. Do dzisiaj w zasadzie nie mamy pojęcia, co spowodowało tę pandemię. Co ważniejsze, nie wiemy, czy i kiedy powróci.

Na ekranie pojawiła się czarno-biała fotografia szpitala polowego z rzędami żelaznych, wąskich łóżek, na których leżeli pacjenci przykryci wełnianymi kocami.

– Tysiąc dziewięćset osiemnasty rok. Hiszpanka. Albo, jak ostatnio zwykło się ją nazywać, pandemia grypy z tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. Mniej niż sto lat temu. Szacuje się, że jedna na trzy osoby na świecie zaraziła się patogenem. Z tych, co zachorowały, umarła jedna na pięć. W sumie pięćdziesiąt milionów ludzi. Dwadzieścia pięć milionów umarło w pierwszych sześciu miesiącach epidemii. Tak to jest. Historia ludzkości się powtarza; walczymy z pandemiemi, przegrywamy, umieramy, choroba sama się wypala, a my odbudowujemy populację. Zawsze wychodzimy z tego silniejsi. Ale teraz żyjemy bliżej siebie niż kiedykolwiek wcześniej. Ludzi jest czterokrotnie więcej niż w czasie ostatniej globalnej pandemii w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku. Naruszamy coraz więcej siedlisk zwierząt. Co gorsza, naruszamy te siedliska, gdzie mieszkają rezerwuary najbardziej śmiertelnych chorób. Rudawki, szczury, wiewiórki, ptactwo i inni nosiciele chorób odzwierzęcych z większą częstotliwością wchodzą w kontakt z ludźmi. Jeśli zapytacie dowolnego epidemiologa, odpowie, że to nie jest kwestia tego *czy*, lecz *kiedy* dojdzie do następnej globalnej pandemii. Dlatego wasza praca jest tak ważna. Stoicie na liniach frontu w bitwie przeciw chorobom zakaźnym. Wasze działania mogą być decydujące w chwili, gdy dojdzie do kolejnej pandemii. Na poziomie lokalnym i państwowym wasze decyzje zaważą na tym, czy kolejna epidemia zatrzyma się w miejscu, czy rozprzestrzeni na cały świat. Zaryzykuję twierdzenie, że co najmniej jedno z was w pewnym momencie swojej kariery zawodowej może decydować o losie milionów, a nawet miliardów ludzi. Niewielka odpowiedzialność.

Publika się roześmiała, Peyton uśmiechnęła i nagranie dobiegło końca.

Desmond myślał o słowach Peyton, kiedy zmywał farbę z włosów w zlewie i nakładał bronzer na twarz, szyję i uszy, żeby jego cera wyglądała na ciemniejszą. Co ich łączy?

Musiał znowu z nią porozmawiać. Mogła podsunąć mu jakiś trop, na

który nie zwrócił uwagi. To wiązało się ryzykiem, ale pomyślał, że warto je podjąć.

Otworzył aplikację Google Voice i wybrał jej numer w Atlancie.

Po trzech sygnałach zgłosiła się poczta głosowa. Postanowił zostawić wiadomość.

– Cześć. Tu Desmond. Dzwoniłem wcześniej. Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem. Bardzo chciałbym z tobą porozmawiać, Peyton. Oddzwon. – Zostawił swój numer i zastanawiał się, czy do niego zadzwoni.

Gdy bronzer wysechł, Desmond ponownie wyszedł z mieszkania. Potrzebował na jutro gotówki. W sklepie ze sprzętem elektronicznym kupił dwa iPady, płacąc za nie kartą Visa, a potem sprzedał je w lombardzie. Pieniądze, które dostał, rozwiązywały najbardziej naglący problem i umożliwiały mu przeprowadzenie planu podczas nadchodzącego spotkania.

W sklepie sportowym nabył pięć przedmiotów, które przydadzą mu się, gdy coś pójdzie niezgodnie z planem. Zakupy mogły wzbudzić podejrzenia, przede wszystkim dlatego, że płacił gotówką, ale zamierzał ulotnić się z Berlina, zanim stanie się to problemem.

Po powrocie do mieszkania położył się na łóżku. To był długi dzień, a następny może być jeszcze dłuższy.

Opatulił się kołdrą i gapił na odłazący z sufitu tynk. Przedpotopowy kaloryfer zbudził się do życia, warcząc jak stary żelazny potwór i buchając ciepłym powietrzem na wyziębione mieszkanie. Jednak ciepło nie miało szans w zetknięciu z chłodem przedostającym się do środka przez nieszczelne okna. Powoli w pokoju robiło się coraz zimniej. Desmond okrutnie marzył, chociaż okrył się też kilkoma kocami.

Ku jego zaskoczeniu zasypianie w tym zimnie przywróciło mu pewne wspomnienie. Zobaczył siebie brnącego przez śnieg. Mroźny pył sięgał kostek. W oddali stał mały domek. Unosiła się nad nim smużka dymu i gdy zbliżała się do wiszącego na niebie księżyca w pełni, zaczynała się rozplýwać jak szara lina zawieszona w powietrzu. Z każdym jego krokiem śnieg padał coraz intensywniej, wybielając kolumnę dymu oraz

domek pod nią.

Wkrótce śnieg sięgał już kolan i spowalniał ruchy. Nogi bolały go z wysiłku, gdy brnął przed siebie. Płuca bolały z zimna. Chciał się tylko położyć i odpocząć. Ale oparł się pokusie. Wiedział, że to oznaczałoby koniec. Musiał iść dalej. Z oczu płynęły mu łzy, ściekały po policzkach i zamarzały. Coś niósł w rękach. Coś ciężkiego i zimnego, ale nie mógł tego upuścić. Od tego zależało jego życie.

Przez białą ścianę śniegu przedarł się pomarańczowy promień nadziei: blask z okna domu. Bezpieczna przystań znajdowała się w zasięgu wzroku. Widok ciepłego domu dodał Desmondowi energii, chociaż najchętniej położyłby się na śniegu i poddał.

Na ganku chwycił się drewnianej kolumny, stał, sapiąc, i pragnął znaleźć się po drugiej stronie drzwi. Wyobrażał sobie, że się otwierają i gospodarz prowadzi go do ciepłego kominka. Jednak Desmond wiedział, że tak się nie stanie; demon w chatce nie był tego rodzaju człowiekiem. Wolałby raczej sam ogrzewać się przy ogniu w nadziei, że chłopak, którego nigdy nie chciał, jest już martwy, zakopany w przykrytej śniegiem ziemi, gdzie zniknął na zawsze.

Ta myśl wzmocniła w Desmondzie wolę życia. Zrobił kilka kroków, otworzył drzwi, rzucił na podłogę przedmiot, który przyniósł, i patrzył na mężczyznę siedzącego przy dużym kamiennym kominku z butelką bursztynowego płynu pod ręką. Nie podnosząc wzroku, potwór wyrzucił z siebie kilka słów z angielskim akcentem.

– Zamknij te cholerne drzwi, chłopcze.

Desmond trzasnął drzwiami, zdjął oblepioną śniegiem kurtkę i podszedł do ognia. Z początku żar go parzył, więc się odsunął, usiadł na podłodze i zaczął ściągać przemoczone i zamarznięte ubrania. Drżąc, patrzył na mężczyznę i cicho zapytał:

– Dlaczego nie poszedłeś mnie szukać? W ogóle ci na mnie nie zależy?

Mężczyzna tylko chrząknął, wbił wzrok w ogień i chwycił butelkę. Wypił duży łyk i podał ją Desmondowi.

– Pij. To najlepsze lekarstwo.

Desmond wahał się, ale wziął butelkę i napił się trochę. Płyn palił go

w gardło jak ogień, z początku czuł płomień, po chwili, gdy alkohol spłynął niżej, nadeszło odrętwienie. Alkohol okropnie smakował, ale zrobiło mu się cieplej. I zmniejszył się ból. Po sekundzie pociągnął kolejny łyk whisky.

Wspomnienie zaczęło znikać, pozostawiając w jego ustach smak trunku.

Leżąc w mieszkaniu w Berlinie i marznąc, Desmond uświadomił sobie, czego potrzebował w tej chwili: dużej butelki whisky. Wyobraził sobie, że wychodzi z mieszkania, schodzi po schodach i kupuje butelkę. Wyobraził sobie, jak pierwszy łyk rozlewa się w jego ustach, to uczucie ciepła, to poczucie odprężenia, ten lepszy sen i lepsze rzeczy, które mogłyby go spotkać następnego dnia.

Ale gdy już zamierzał wstać z łóżka, jego umysł przypomniał sobie coś jeszcze: Desmond już nie pił. Pamiętał również dlaczego: picie odebrało mu zbyt wiele. Chociaż nie umiał wymenić, co konkretnie, wiedział, że lata temu przyrzekł sobie, iż nie pozwoli, by alkohol odebrał mu coś jeszcze. Wiedział, że dotrzymuje obietnic, zwłaszcza takich, które złożył samemu sobie. Tego wieczoru oraz w następne nie będzie szukał ciepła w butelce. Zniesie ziąb i fizyczny ból, a także przykre wspomnienia. Zniesie je w samotności. Już wcześniej to robił.



# DZIEŃ 2

**900** zarażonych

**13** ofiar śmiertelnych

## ROZDZIAŁ 13

Doktor Elim Kibet włożył nieprzepuszczalny fartuch, ochraniacze na buty, maskę na twarz, gogle i dwie pary rękawiczek. Idąc korytarzem, nie poznawał sennego wiejskiego szpitala. Teraz było w nim gwarno jak w ulu. Każdy, kto pozostał na stanowisku, uwijał się przy swoich obowiązkach.

Otworzył drzwi i przywitał się z pacjentem, Lucasem Turnerem. Młody człowiek rozchorował się w nocy. Mimo dolegliwości i osłabienia był niezwykle uprzejmy. Elim wiedział, że zapach chloru wydzielający się z jego ubrania jest trudny do zniesienia dla pacjenta, jednak ten się nie skarżył. Wziął butelkę płynu nawadniającego, którą podał mu Elim, i upił trochę, krzywiąc się podczas przełykania.

– Wiem – powiedział Elim. – Paskudne. Ale pomoże panu przeżyć.

Lucas tylko potaknął.

– Wysłałem kolejną prośbę o pomoc. Jestem przekonany, że niedługo ktoś się zjawi.

Chłopak miał zaczerwienione policzki, pod jego oczami zaczęły się tworzyć czerwone kręgi. Mówił zachrypniętym głosem.

– Zastanawiałem się, czy mógłby pan wysłać mail do moich rodziców. Padła mi bateria w telefonie. – Podniósł kartkę ze stolika i podał ją lekarzowi. Był na niej adres poczty elektronicznej i krótka, odręcznie napisana wiadomość.

Elim sięgnął po nią, lecz Lucas cofnął rękę.

– A może woli pan, no nie wiem, wsadzić ją do jakiegoś plastikowego

woreczka albo... zrobić zdjęcie telefonem czy coś w tym rodzaju.

– Tak, to dobry pomysł, panie Turner.

Elim zdjął zewnętrzną rękawiczkę z prawej dłoni, wyjął telefon z kieszeni i zrobił zdjęcie.

Kiedy znalazł się przy swoim biurku, napisał wiadomość do rodziców Lucasa.

Temat: Wiadomość od Państwa syna Lucasa

Drodzy Państwo,

Jestem lekarzem w szpitalu Referral w Manderze i obecnie opiekuję się Państwa synem.

Poprosił mnie o wysłanie poniższej wiadomości.

Z poważaniem,

Dr Elim Kibet

\*\* Wiadomość od Lucasa\*\*

Kochani Rodzice,

Proszę, nie martwicie się o mnie. Wiem, że zamartwiacie się bezustannie.

Od mojego ostatniego maila nabawiłem się gorączki. Nie wiedzą, czy to jest to samo, co złapał Steven, ale lekarze i pielęgniarki robią, co w ich mocy. Nic mnie nie boli.

Chcę, żebyście wiedzieli, że Was kocham i doceniam to, co dla mnie uczyniliście. Jestem szczęściarzem. Miałem okazję pracować przy tym, w co wierzę, i zwiedzić dużą część świata, której inni nie mają okazji zobaczyć.

Mam poczucie, że moje życie miało cel i znaczenie. Nie chciałbym, żebyście smucili się i martwili. Do zobaczenia wkrótce.

Kocham Was. Proszę, nie martwcie się.

Lucas

Elim wysłał wiadomość i zaczął dzwonić w różne miejsca – do komisarza hrabstwa Mandery, szefa wydziału zdrowia, krajowego Centrum Operacji Kryzysowych i każdego, kto zechciał z nim porozmawiać.

Kiedy skończył, rozparł się na krześle i coś sobie uświadomił: miał gorączkę. Podciągnął koszulę i znieruchomiał. Zmiany na skórze były niewielkie, ale nie dało się ich z niczym pomylić. Początki wysypki. Zaraził się tym, co spowodowało chorobę i śmierć Amerykanina.

W drzwiach jego gabinetu pojawił się administrator szpitala, więc Elim

szybko opuścił koszulę.

– Mamy towarzystwo, Elim.

Poszli do wejścia i osłonili oczy przed słońcem. Na zewnątrz zatrzymały się trzy duże ciężarówki. Dopiero co przyjechały – chmura pyłu, którą wzbili, otaczała pojazdy, w związku z czym Elim nie mógł dostrzec żadnych charakterystycznych napisów.

Z chmury pyłu wyłoniły się sylwetki. Przybysze byli w kombinezonach ochronnych, lecz nieśli ze sobą karabiny. Stanęli w grupie i czekali. Dziesięć sekund później z chmury wyszła kolejna grupa w odzieży ochronnej i ruszyła w stronę Elima.



W pobliżu Półwyspu Somalijskiego frachtowiec *Kentaro Maru* powoli płynął wzdłuż wybrzeża w stronę Kenii. Trzymał się w pewnej odległości od brzegu i poza zasięgiem piratów, których atak pewnie i tak by odparł.

Conner McClain siedział przy biurku w swojej kabine i oglądał nagranie z drona pokazujące ciężarówki jadące do szpitala Referral w Manderze.

Za jego plecami otworzyły się drzwi i usłyszał kroki.

Nie odwrócił się, żeby zobaczyć swojego gościa, który zatrzymał się i przyglądał przez chwilę nagraniu.

– Sądysz, że zabiorą chłopaka do Stanów?

– Tak. Wydaje mi się, że tak.

– Namierzyliśmy Desmonda Hughesa. Nadal jest w Berlinie. Zdejmiemy go za kilka godzin.

– Bądźcie ostrożni. Niedocenywanie go może kosztować was życie.

Kiedy drzwi się zamknęły, Conner otworzył program pocztowy i wysłał kilka wiadomości. Czas zaczynać fazę drugą.

Na innym ekranie pojawiła się mapa i statystyki wskazujące liczbę zarażonych na świecie.

Tak jak się spodziewał, liczby zaczynały rosnać.

## ROZDZIAŁ 14

### SPIEGEL ONLINE

Z ostatniej chwili

Berlińska policja prosi o pomoc w odnalezieniu Desmonda Hughesa, Amerykanina poszukiwanego w związku z morderstwem i napaścią na dwóch funkcjonariuszy policji. Hughes, którego zdjęcie przedstawiamy, ostatnio był widziany w pobliżu Bramy Brandenburskiej. Jeśli są państwo w posiadaniu jakichś informacji na jego temat, prosimy o kontakt ze specjalną linią policji: (030) 4664-8.

Wczoraj rano, około 7.30, dwaj umundurowani funkcjonariusze policji oraz pracownik ochrony hotelu udali się do pokoju zajmowanego przez Desmonda Hughesa, żeby sprawdzić zgłoszenie o zakłócaniu spokoju. Wkrótce po ich wejściu do apartamentu Hughes zaatakował policjantów i groził bronią pracownikowi hotelu. Następnie obrabował mężczyzn, ukradł legitymację policyjną i uciekł z miejsca przestępstwa taksówką, która została już namierzona przez policję. Kierowca opisał Hughesa jako spokojnego człowieka, który twierdził, że jest turystą interesującym się topografią miasta i drogami wyjazdowymi. Przepuszczalnie Hughes nadal przebywa w Berlinie. Jest uzbrojony i wyjątkowo niebezpieczny.

Kilka godzin temu siły policyjne przeszukały dom Hughesa na przedmieściach San Francisco w Kalifornii. Prasa dowiedziała się tylko, że do budynku niedawno się włamano i został splądrowany.

## ROZDZIAŁ 15

Desmond niewiele spał. Jego myśli zdominowały oczekiwanie na rozmowę oraz nadzieja, że w końcu dowie się, co mu się przydarzyło.

O brzasku wziął telefon i zaczął wyszukiwać potrzebne informacje. Zastanawiał się, czy ten, kto wysłał Güntera Thorne'a do jego pokoju hotelowego, będzie grasował po ulicach, żeby go odszukać. Wiedział, że berlińska policja już to robi. Jedna lub obie grupy mogą wiedzieć o jego spotkaniu z tajemniczym mężczyzną, do którego zadzwonił – osoby, która porozumiewała się z nim, korzystając z Google Voice. To oznaczało, że dzisiaj odbędzie się konkurs na najsprytniejszego, a jeśli go odnajdą, również runda sprawności fizycznej. Desmond chciał być przygotowany. Kilka godzin zajęło mu poukładanie kawałków na miejscu, ale przed południem skończył i zmierzał do centrum Berlina, gdzie miała rozpocząć się jego wyrafinowana gra.

Założył okulary przeciwsłoneczne, a bejsbolówkę naciągnął prawie na oczy. Dobrze się wtopił w turystów i miejscowych. Swobodnym krokiem, ze wzrokiem skupionym przed sobą szedł wzdłuż zadrzewionej alei Unter den Linden. Zza szkieł okularów obserwował każdego, kto go mijał, i każdy pojazd.

Pod koniec Unter den Linden znajdował się Pariser Platz, zamknięty dla ruchu drogowego, za nim natomiast leżał Tiergarten, bujny park poprzecinany ścieżkami dla pieszych. Przy placu stały amerykańska i francuska ambasada, a ambasada Wielkiej Brytanii też znajdowała się niedaleko. Jeśli Desmond zostanie przyparty do muru przez policję lub

grupę, która przysłała Günтера Thorne'a, skryje się w jednej z ambasad – ale to była ostatnia deska ratunku.

Stał przez minutę na skraju placu i patrzył na największą atrakcję turystyczną Berlina i najbardziej rozpoznawalny symbol jego historii: Bramę Brandenburską. Wczoraj przeczytał trochę na ten temat. Brama została zbudowana w latach 80. XVIII wieku przez Fryderyka Wilhelma II, króla Prus, państwa, z którego potem narodziły się Niemcy. Początkowo miała być wjazdem na Unter den Linden, która wówczas prowadziła do pruskiego pałacu znajdującego się na jej końcu. Budowla z piaskowca została zbudowana na wzór propylejów ateńskiego akropolu. Wspiera się na dwunastu rzeźbionych kolumnach – sześć stoi z przodu i sześć z tyłu – jest potężna, ma 26 metrów wysokości i 65,5 metra szerokości.

Podczas drugiej wojny światowej Pariser Platz został zrównany z ziemią, a Bramę Brandenburską poważnie uszkodzono. Jej odbudowę ukończono w 1957 roku, ale była rzadko zwiedzana przez turystów, ponieważ stała na granicy podzielonego murem berlińskim miasta. Obecnie, podobnie jak mur, jest symbolem podzielonego kraju i stolicy.

Przed potężnymi kolumnami bramy w 1987 roku stanął prezydent Ronald Reagan i powiedział: „Zburz pan ten mur, panie Gorbaczow”. Ale to sami Niemcy go rozebrali – po tym jak 9 listopada 1989 roku Niemcy Wschodnie ogłosiły, że mieszkańcy ich kraju mogą przejechać do Niemiec Zachodnich. Półtora miesiąca później, 22 grudnia 1989 roku, kanclerz Niemiec Zachodnich, Helmut Kohl, przeszedł przez Bramę Brandenburską, żeby spotkać się z premierem NRD Hansem Modrowem, formalizując zjednoczenie Niemiec po prawie czterdziestu pięciu latach podziału.

Gdy Desmond na nią patrzył, słońce oświetlało budowlę, która rzucała cienie na tłumy przewalające się przez Pariser Platz, i miał nadzieję, że historia bramy będzie dla niego dobrą wróżbą – a ten dzień pomoże mu wrócić na kurs ku wolności.



Kilkadziesiąt metrów dalej Garin Meyer wysiadł z taksówki i poszedł na sam środek Pariser Platz. Był ubrany w granatowy płaszcz, dzinsy, czapkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne. Wyjął notes z plecaka, otworzył go i trzymał blisko piersi, eksponując stronę z napisem wykonanym drukowanymi literami:

## WYCIECZKI ZWIERCIADŁO

Przez kilka minut stał bez ruchu, potem zaczął się rozglądać, jakby coraz bardziej się denerwował.



W białej furgonetce zaparkowanej w pobliżu Pariser Platz dwaj mężczyźni ze słuchawkami na uszach pochylali się nad rzędem monitorów, patrząc na transmisję wideo, na której widoczny był mężczyzna z napisem.

– Jedyńka i Dwójka, obiekt się denerwuje. Miejcie go na oku, bo może próbować uciec.

Rozległy się kliknięcia, co oznaczało, że rozkaz został przyjęty.

– Trójka, potwierdź, że umieściłeś nadajnik na obiekcie.

Kolejne kliknięcia na linii.

Będą wiedzieli, dokąd poszedł Garin Meyer, a jeśli uśmiechnie się do nich szczęście, niedługo doprowadzi ich do Desmonda Hughesa.



Biegacz w jaskrawym stroju zatrzymał się przed Garinem, zawiązał sznurowadło, następnie podał mu wizytówkę i pobiegł dalej.

Garin przeczytał karteczkę, włożył notes do plecaka i truchtem przebiegł przez plac. Wsiadł do rikszy z budką, która ruszyła wzdłuż



Pariser Platz i wjechała na ścieżki dla pieszych w Tiergarten.



– Obiekt w ruchu – oświadczył agent Dwójka przez radio. Po sekundzie dodał: – Przesiadł się. Teraz jedzie rikszą z niebieskim daszkiem.

Mężczyźni w furgonetce słyszeli sapanie biegnących agentów.

– Zgubiłem go – zameldował Dwójka.

– Trójka i Czwórka, zgłóście się.

– Tu Trójka. Mam go. Znowu się przesiadł obok ogrodu różanego.

Długa pauza.

– Odjeżdża.

– Szóstka – powiedział kobiecy głos. – Mam go. Mija pomnik Bismarcka.

Sapanie i tupot butów. Cisza.

– Obiekt wysiadł z rikszy. Uwaga, wsiadł do niej podobnie ubrany mężczyzna: płaszcz i dzinsy. Buty, okulary i kapelusz są inne. Właściwy obiekt porusza się na piechotę.

Zabrał głos jeden z mężczyzn z furgonetki.

– Przyjąłem, śledzę poruszający się nadajnik.

Oddech kobiety się uspokoił.

– Wchodzi do Ogrodu Angielskiego, kieruje się do herbaciarni. Potwierdź.

– Obserwuj i idź za nim – polecił agent w samochodzie. – Piątka, Siódemka kierujcie się do herbaciarni. To może być miejsce spotkania. Uważajcie na Hughesa i bądźcie gotowi do zatrzymania.



Herbaciarnię w Ogrodzie Angielskim w Tiergarten wypełniali turyści. Garin przecisnął się pomiędzy nimi i wszedł do męskiej toalety. Ostatni rikszarz dał mu kolejną karteczkę.

*W toalecie, szukaj Zwierciadła i czekaj na instrukcje.*

Garin nie był pewien, co oznaczały te słowa, ale w łazience na drzwiach drugiej kabiny znalazł przypiętą kartkę:

*AWARIA*

*Zakład Sanitarny Zwierciadło*

Powoli pchnął drzwi.



Na zewnątrz herbaciarni Szóstka widziała, jak Garin Meyer wychodzi z lokalu i podbiega do taksówki. Szybko ruszyła za nim, mówiąc do mikrofonu.

– Obiekt wyszedł z budynku, wsiadł do taksówki o rejestracji B WT 393.

– Potwierdzam na podstawie nadajnika – powiedział agent prowadzący z furgonetki. Piątka i Siódemka, jedziecie za nim. Jedyńska Powietrzna, macie oko na taksówkę?

– Potwierdzam, Alfa, cel namierzony. Śledzimy go.

Gdy taksówka odjechała, agenci Piątka i Siódemka uruchomili motocykle i pojechali za nią, trzymając się kilka aut dalej i uważając, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Dwadzieścia minut później obiekt wysiadł z taksówki i wszedł do małej kawiarni na Reichsstrasse, kilka przecznic od stadionu olimpijskiego zbudowanego na igrzyska w 1936 roku. Usiadł przy stoliku z tyłu sali i wyjął telefon komórkowy.



Na dworze czekało dwóch agentów na motocyklach oraz oddział w śmigłowcu.

Trzydzieści minut później odezwał się jeden z agentów w furgonetce.

- Myślisz, że Hughes stchórzył?
- Może.
- Chcesz, żebym zadzwonił?
- Nie. Poczekajmy jeszcze kilka minut.

Obaj nie chcieli wykonywać tego telefonu ze względu na konsekwencje. Conner McClain nie będzie zadowolony.

Obiekt wstał i ruszył do łazienki. Kiedy nie wyszedł po pięciu minutach, agent dowodzący powiedział:

– Piątka i Siódemka, aresztujcie obiekt. Powtarzam, wejdźcie do kawiarni i aresztujcie obiekt. Jednostka naziemna Dwa, podjedź furgonetką.

Agenci weszli do kawiarni, skierowali się do łazienki, wpadli do środka z bronią w rękę.

Toaleta była pusta.



W furgonetce stojącej w pobliżu Pariser Platz dwaj agenci wymienili nerwowe spojrzenia. Agent dowodzący wyjął swój telefon i wybrał numer.

W pobliżu Półwyspu Somalijskiego odebrał Conner McClain płynący *Kentaro Maru*.

- Raportuj.
- Straciliśmy go.

Conner westchnął i odsunął się od biurka. Patrzył na ekran na ścianie. Wyświetlała się na nim mapa z zaznaczonymi na czerwono najważniejszymi miastami świata.

– Posłuchaj mnie uważnie – powiedział. – Desmond Hughes jest sprytniejszy od ciebie. Jest sprytniejszy ode mnie. Jest sprytniejszy od każdego, kogo kiedykolwiek poznałeś. Naszą jedyną szansą na jego ujęcie jest zrobienie czegoś, czego on nie miałby ochoty zrobić, czegoś, co nigdy nie przyszłoby mu do głowy. A teraz powiedz mi, jak masz zamiar go znaleźć. Szybko.

– Proszę poczekać. – Agent w furgonetce wyciszył swój nadajnik, prawdopodobnie po to, by naradzić się z kolegą.

– Dobrze – odezwał się po chwili. – Możemy obejrzeć nagrania naszych agentów w kawiarni przy Reichsstraße i w herbaciarni i poszukać jakichś osób w przebraniu...

– Hughes tak by nie myślał. Pamiętajcie, jest mądrzejszy od was. Wymyślcie coś oryginalnego. Jaka jest jedyna rzecz, którą macie?

Szef zespołu znowu wyciszył swój mikrofon.

– Przykro nam, niczego tu nie mamy – odezwał się po minucie.

– Znacie tożsamość osoby, która spotyka się teraz z Hughesem.

– Z pomocą naszych kontaktów próbujemy namierzyć komórkę Meyera...

– Hughes pomyślałby o tym: Meyer nie będzie miał telefonu przy sobie. Pomyślcie, co macie.

– Hmm...

– Wiecie, że Meyer się boi. Będzie miał przy sobie inny telefon, prawdopodobnie na kartę, na wszelki wypadek dał go komuś, kogo kocha i komu ufa. Znajdźcie tę osobę, a dotrzecie do Garina Meyera. Jak go szybko dorwiecie, dopadniecie też Desmonda Hughesa. Proponuję, żebyście brali się do roboty dla dobra nas wszystkich.



W toalecie herbaciarni Garin Meyer spodziewał się zobaczyć Desmonda Hughesa czekającego w kabinie, ale ta była pusta.

Garin wszedł do środka, zamknął drzwi na zasuwkę i czekał.

Ktoś siedzący w kabinie obok wsunął pod ścianką działową paczkę owiniętą w brązowy papier. Napisano na niej:

*Włóż to. Swoje ubrania podaj dołem. Odczekaj dwadzieścia minut. Potem wyjdź z herbaciarni i wsiądź do taksówki z rejestracją B FK 281.*

W paczuszce Garin znalazł ubrania na zmianę włącznie z butami. Szybko się przebrał w ciasnej kabinie i podał swoje rzeczy dołem.

Chwilę później usłyszał, jak otwierają się drzwi kabiny obok oraz szept, ale nie mógł rozróżnić słów. Następnie dotarł do niego dźwięk otwieranych drzwi prowadzących do łazienki.

Dwadzieścia minut później wstał, wyszedł z herbaciarni i wsiadł do taksówki. Kierowca ruszył, nie pytając o to, dokąd chce jechać.



W Cafe Einstein przy Unter den Linden, kilka przecznic od Pariser Platz i Bramy Brandenburskiej, Desmond Hughes siedział przy stoliku na zewnątrz i przeglądał „Die Welt”. Nadal miał okulary przeciwsłoneczne i czapkę nasuniętą nisko na czoło, niczym nie odróżniał się od turystów. Jego spokojne zachowanie skutecznie maskowało niepokój towarzyszący oczekiwaniu.

Gdy przerzucał strony, w oko wpadło mu pewne zdjęcie: fotografia przedstawiająca chorych Afrykanów leżących na matach w jakimś obszernym pomieszczeniu. Pochylał się na nimi personel w kombinezonach z tyveku. Nagłówek głosił:

### KOLEJNY ATAK EBOLI?

Szybko przeczytał artykuł. Cytowano w nim Jonasa Beckera, niemieckiego lekarza pracującego w Światowej Organizacji Zdrowia, który niedawno został skierowany do Kenii, by zająć się przypadkami choroby objawami przypominającej ebolę. Jednak to nie nazwisko Beckera przykuło wzrok Desmonda, lecz nazwisko doktor Peyton Shaw. Becker miał połączyć siły z Shaw, z którą pracował już w 2014 roku podczas epidemii eboli w Afryce Zachodniej. Mówił: „Peyton Shaw to najlepszy detektyw epidemiologiczny na świecie. Jestem zaszczycony, że mogę pracować z nią i kenijskim Ministerstwem Zdrowia nad powstrzymaniem epidemii. Bez wątplenia nasza misja zakończy się sukcesem, podobnie jak kilka lat temu w Afryce Zachodniej”.

Peyton Shaw jest kluczem do tego wszystkiego, pomyślał Desmond.

Ale w jaki sposób? Ostrzeż ją, odczytał wiadomość w swoim pokoju hotelowym. Czy miał ją powiadomić o wybuchu epidemii? Znowu przypomniał sobie to, co powróciło do jego pamięci wczoraj rano: scena, w której idzie przez jakiś magazyn pełen izolatek. To wszystko się jakoś łączyło, był tego pewien. Kawałki musiały do siebie pasować.

W tej chwili przed Desmondem zatrzymał się mężczyzna w czapce z włóczki i w dużych okularach przeciwsłonecznych.

– To było bardzo sprytne, Desmondzie.

## ROZDZIAŁ 16

Na Unter den Linden tłoczyli się ludzie. Slalomem wymijali stoliki na zewnątrz Cafe Einstein, idąc w stronę Bramy Brandenburskiej i innych atrakcji na Pariser Platz, i nie zwracali najmniejszej uwagi na Desmonda i stojącego przed nim mężczyznę.

Gość usiadł, ale cały czas chował ręce, jedną pod stolikiem, drugą w kieszeni kurtki.

– Zabiłeś go? – zapytał.

Desmond powoli położył „Die Welt” na stoliku i odchylił się na krześle.

– Co ci mówiłem przez telefon?

– Zadałem ci pytanie.

– Celuję do ciebie pod stołem z pistoletu – oznajmił Desmond. – Jeśli nie jesteś tym człowiekiem, z którym rozmawiałem przez telefon, zastrzelę cię, a potem dowiem się, kto cię nasłał i go odnajdę, żeby wycisnąć z niego to, co chcę wiedzieć.

Mężczyzna znieruchomiał.

– Powiedziałeś, że mam się ubrać w granatowy płaszcz, dzinsy, okulary przeciwsłoneczne i kapelusz. I że mam trzymać tabliczkę z napisem *Wycieczki Zwierciadło* na Pariser Platz.

– Gdzie masz ubrania?

Mężczyzna przełknął ślinę, nadal się denerwował.

– Przekazałem je komuś pod ścianką działową między kabinami w toalecie w herbaciarni.

– Jak się nazywasz?

Na twarzy mężczyzny pojawiło się zakłopotanie.

– Bądź tak miły.

– Garin Meyer.

Poprzedniego wieczoru i cały poranek Desmond zastanawiał się, co powinien powiedzieć temu mężczyźnie. Postanowił niczego przed nim nie ukrywać. Potrzebował odpowiedzi i miał wrażenie, że kończy mu się czas.

– Garin, wczoraj rano, kiedy obudziłem się w hotelu Concord, w salonie leżał martwy człowiek. Miałem dużego siniaka na żebrach i guza na głowie, nie pamiętam niczego, co zdarzyło się wcześniej – nie wiem, kim jestem, co mi się przydarzyło i jak zginął ten człowiek.

Garin pokręcił głową, nie kryjąc niedowierzania.

– Kłamiesz.

– Nie kłamię. W kieszeni znalazłem liścik. Doprowadził mnie do twojego numeru telefonu.

Garin zmrużył oczy i oderwał wzrok od Desmonda, jakby zastanawiał się, czy może mu wierzyć.

– Czego ode mnie chcesz?

– Odpowiedzi. Próbuję się dowiedzieć, co mi się przydarzyło.

Garin wyglądał na zaskoczonego.

– Ty chcesz ich ode mnie?

– A co w tym złego?

– Bo to ty jesteś winien mi odpowiedzi. – Garin rozejrzał się wkoło. – Zapomnij o tym. Ja stąd spadam.

Zaczął wstawać, lecz Desmond poderwał się i złapał go za rękę.

– Wspomniałeś, że ktoś cię śledzi. A jeśli ten ktoś zabił Güntera Thorne'a?

Wzbudził tym zainteresowanie Garina.

– Naprawdę chcesz odejść, nie wysłuchawszy tego, co mam do powiedzenia?

Garin wypuścił powietrze z płuc i ponownie usiadł.

– W porządku. Zacznijmy od początku. Skąd się znamy? Czym się zajmujesz?



– Jestem dziennikarzem śledczym. Publikuję w „Der Spiegel”. Skontaktowałeś się ze mną kilka tygodni temu.

– Dlaczego?

– Żeby porozmawiać o artykule, który napisałem. Dotyczył międzynarodowych korporacji, które prawdopodobnie są ze sobą w zмовie w wielu kwestiach, od ustawiania przetargów po manipulacje walutowe i nieautoryzowane badania kliniczne. Twierdziłeś, że natknąłem się na coś większego i że widzę tylko czubek góry lodowej. Chciałeś się spotkać. Obiecałeś mi największą sprawę w mojej karierze, a może „największą w ogóle”.

– Czego miała dotyczyć?

– Zwierciadła.

To słowo wzbudziło w nim strach, ale choć bardzo się starał, nie mógł sobie przypomnieć dlaczego.

– Czym jest Zwierciadło? – zapytał.

– Według ciebie jest to projekt, który trwa od ponad dwóch tysięcy lat. Przedsięwzięcie naukowe na skalę, której świat nigdy wcześniej nie widział. Powiedziłeś, że największe umysły w historii przez wiele pokoleń pracują nad Zwierciadłem i projekt zbliża się do końca. Twierdziłeś, że Projekt Manhattan i skonstruowanie bomby atomowej to przy tym jak wynalazek gimnazjalisty pokazywany w szkole podczas Dnia Talentu.

– Zwierciadło jest bronią?

– Nie wiem, nigdy mi tego nie wyjaśniłeś. Mieliśmy się spotkać cztery dni temu. Obiecywałeś, że mi o tym opowiesz, a ja zamierzałem napisać artykuł i wrzucić go do Sieci. Uważasz, że to jedyny sposób na powstrzymanie tego, co ma nastąpić. Twierdziłeś, że ulokowali swoich ludzi na wszystkich szczeblach administracji rządowych na całym świecie i ujawnienie działań tych ludzi jest jedynym sposobem na ich powstrzymanie.

– Powstrzymanie kogo?

– Nie wiem.

– I nie masz pojęcia, czym jest Zwierciadło ani czym się zajmuje?

– Chciałbym wiedzieć. Nie zdradziłeś mi tego przez telefon, wspomniałeś jedynie, że niedługo naukowcy, którzy je budują, będą kontrolować rasę ludzką i na zawsze zmienią przyszłość ludzkości.

Desmond nie umiał ukryć swojego rozczarowania. Obudził się rano z nadzieją, że dziś pozna odpowiedzi. Okazało się, że Garin Meyer również pragnął je poznać. Mężczyzna miał tyle samo pytań co Desmond.

– Czy mógłbyś jeszcze coś dodać? Może mówiłem coś, co uważasz za nieistotne.

– Jest coś takiego. Wymieniłeś trzy elementy Zwierciadła: Rook, Rendition i Rapture.

Rapture Therapeutics, pomyślał Desmond. Martwy mężczyzna w pokoju hotelowym pracował tam w ochronie. A jeśli chodzi o Rook i Rendition... był pewien, że już gdzieś widział te słowa, ale nie potrafił ich sobie przypomnieć.

Garin wsadził rękę do kieszeni i wyjął telefon.

– Powiedziałem, żadnych telefonów.

– Poszukują cię również w sprawie morderstwa. To telefon na kartę, który kupiłem na wypadek kłopotów. Numer zna tylko moja narzeczona.

Garin otworzył telefon, przystawił go do ucha, przez chwilę słuchał i coraz bardziej się spinał. Mówił po niemiecku, gorączkowo szepcząc, więc Desmond musiał się mocno skupić, żeby zrozumieć jego słowa.

– Nie martw się, jest dobrze. Wszystko pod kontrolą. Kocham cię. Do zobaczenia wkrótce.

Coś poszło niezgodnie z oczekiwaniami. Desmond rozglądał się wokół, patrzył na każdą twarz, każdy samochód i motocykl, skupił się jak zwierzę na otwartej prerii, które wyczuło drapieżnika wkraczającego na jego terytorium.

Garin wcisnął kilka guzików w telefonie.

– Daj mi komórkę, Garin.

Niemiecki reporter przełknął ślinę, lecz nie podniósł głowy i pisał jeszcze szybciej.

Desmond sięgnął ręką przez stół i wyrwał telefon z rąk Garina,

zwracając na siebie uwagę kilku osób przy sąsiednich stolikach. Na ekranie wyświetlało się okienko do wysyłania wiadomości tekstowych, gdzie Garin napisał tylko jedną linijkę:

Cafe Einstein

– Przepraszam – wyszeptał Garin. – Mają moją narzeczoną. Powiedzieli, że ją zabiją, jeśli nie zdradzę im, gdzie jesteście, i nie zatrzymam cię na miejscu.

Ponad ramieniem Garina, w głębi ulicy Desmond dostrzegł białą furgonetkę ruszającą z piskiem opon, za nią jechały dwa motocykle. Wszystkie trzy pojazdy kierowały się w ich stronę.

– Mnie też jest przykro, Garin.

Pod stołem Desmond wyciągnął zawlecзки z trzech taktycznych granatów dymnych. Dym buchnął spod stołu i zasnuł ulicę. Wyjął dwa pozostałe granaty z plecaka, wstał, wyciągnął zawlecзки i rzucił je w przeciwnym kierunku. Teraz dym zakrył całą aleję. Ludzie krzyczeli, popychali się i próbowali uciec.

Desmond rzucił na stół telefon Garina i ruszył biegiem, zasłaniając usta ramieniem, w drugiej ręce trzymał pistolet. Skręcił z Unter den Linden, oddalając się od zamieszania.

Za sobą słyszał pisk opon i wjeżdżające na chodnik auta. Samochody zderzały się ze sobą. Ryk motocykli ustał.

Przecznąć za Unter den Linden, na Mittelstrasse, wsiadł do taksówki, którą wcześniej opłacił, by na wszelki wypadek czekała tam na niego. Arab za kółkiem ruszył w miejsce, które podał, jednak podejrzliwie zerkał w lusterko.

Desmond wiedział, że musi zniknąć z ulicy. Gdyby udało mu się dotrzeć do Tränenpalast i wsiąść na łódź zacumowaną na Sprewie, miałby jakąś szansę.

Taksówka skręciła.

Desmond nawet nie zauważył czarnej furgonetki dostawczej, która wbiła się w taksówkę z lewej strony. Mocno uderzył głową w szybę.

Pociemniało mu przed oczami, ale nie stracił przytomności. Otworzył drzwi i wysiadł. Nie mógł skupić wzroku. Sięgnął do kieszeni po broń. Czekąca go walka.

Czyjeś buty załomotały na chodniku: trzech ludzi w czarnych kamizelkach kuloodpornych z karabinami szturmowymi. Biegli w jego stronę. Uniósł pistolet, ale ktoś złapał go za rękę. Ktoś inny przyłożył mu do ust szmatę.

Powoli ogarnęła go całkowita ciemność.

## ROZDZIAŁ 17

Światowa Organizacja Zdrowia i Agencja Zdrowia Kanady wprowadzają system wczesnego ostrzegania przed pandemiemi. System nazywa się Globalną Siecią Informacyjną Zdrowia Publicznego, w skrócie GPHIN[\[12\]](#), i ocalił już niezliczone miliony istnień ludzkich.

W 2003 roku GPHIN zidentyfikowała SARS w Hongkongu na długo przed tym, jak lokalne służby zdrowia zorientowały się, co się dzieje. Epidemia SARS nie rozprzestrzeniła się i nie stała globalną pandemią dzięki GPHIN i rozważnym działaniom kilku pracowników, w tym lekarza, który kazał wybić półtora miliona kurczaków i ptaków mogących być zarażonych wirusem.

W 2012 roku GPHIN ponownie odkryła sygnały ostrzegawcze epidemii – tym razem choroby układu oddechowego w Jordanii. System ponownie zadziałał prawidłowo, hamując rozprzestrzenianie się koronawirusa MERS-CoV, zanim ten przedostał się do innych części świata.

W pewnym sensie GPHIN jest dla globalnych pandemii tym, czym sejsmometr i skala Richtera dla trzęsień ziemi. Każdego dnia GPHIN zbiera dane od wydziałów zdrowia na poziomie lokalnym, stanowym, regionalnym i krajowym. Przeczesuje również media społecznościowe i blogi w poszukiwaniu sygnałów o nowej epidemii.

Kilka godzin po tym, jak Peyton z zespołem przybyła do Kenii, GPHIN zidentyfikowała coś, co można nazwać wstrząsem. Dane, które wywołały alarm, pochodziły z wielu miejsc na świecie i potwierdzały je oficjalne i nieoficjalne źródła. Występujące objawy były identyczne. Na całym

świecie ludzie chorowali na jakąś tajemniczą chorobę układu oddechowego.

W ciągu kilku minut analityk z Agencji Zdrowia Kanady sprawdził alert i wystosował następującą wiadomość:

Alert w związku z chorobą układu oddechowego 22–list–A93. Silny, globalny sygnał zgodny z chorobą zakaźną ujawniającą się na różnych kontynentach w krótkich odstępach czasu. Patogen jest na razie nieznany, lecz prawdopodobnie to jakiś szczep grypy, być może nowy wariant. Zalecanie dalsze monitorowanie i badanie przez lokalne wydziały zdrowia.

Personel GOARN[13] (Globalnej Sieci ds. Przeciwdziałania Epidemiom) działającej przy WHO dołączył tę informację do pliku innych raportów spływających tego dnia ze świata.

[12] Global Public Health Intelligence Network

[13] Global Outbreak and Alert Response Network

## ROZDZIAŁ 18

Ze swojego gabinetu Elim przyglądał się żołnierzom patrolującym okolice szpitala. W środku po korytarzach chodzili ludzie ubrani w kombinezony ochronne. Bardzo długo przesłuchiwali jego, personel szpitala oraz młodego Amerykanina, Lucasa Turnera. Byli bezlitośni.

Cztery godziny temu w przygnębiających okolicznościach zmarł Brytyjczyk. Był prawie nieprzytomny, odkąd pojawił się w szpitalu, gorączka i zmęczenie pozbawiły go sił. W ostatnich godzinach jednakże próbował wstać z łóżka i uciec z sali, krzycząc i miotając się po pomieszczeniu. Nie dawał się uspokoić. Elim zaczął wkładać odzież ochronną, żeby wejść do niego, ale zatrzymano go. Zamiast niego do pacjenta udał się zespół w kombinezonach ochronnych. Na stole w rogu pomieszczenia postawili kamerę i wyszli, nie udzielając choremu żadnej pomocy, tylko zaplombowali jego pokój do czasu, aż całkiem ucichł. Potem przynieśli worek na ciało, do którego bezceremonialnie włożyli zwłoki mężczyzny.

Kiedy się pojawili, Elim sądził, że szpital jest uratowany. Teraz podejrzewał, że wszyscy byli więźniami i wydostaną się stąd w ten sam sposób co Brytyjczyk.

## ROZDZIAŁ 19

Kiedy wojskowy transportowiec miał jeszcze dwie godziny do lądowania w Nairobi, Peyton ponownie podeszła do tablicy.

– Słuchajcie. Niedługo będziemy lądować, więc powtórzmy kilka procedur. Nadal nie wiemy, co to za patogen. Możemy nie dowiedzieć się jeszcze przez pięć dni albo i dłużej. Wobec tego trzeba postępować tak, jak przy eboli. Ci, którzy będą pracować w Nairobi, powinni wracać do pokoju hotelowego przynajmniej godzinę przed zachodem słońca. Proponuję, żebyście wspólnie jedli posiłki, sprawdzali, czy są wszyscy, i wracali do swoich pokoi. Zamykajcie drzwi i blokujcie je czymś od środka. Jeśli kogoś będzie brakować lub będzie się spóźniał, natychmiast do niego dzwońcie. Jeśli nie odbierze albo coś wyda wam się podejrzane, dzwońcie do amerykańskiej ambasady i Centrum Zarządzania Kryzysowego. Porwania dla okupu nie są niczym niezwykłym w Kenii. W terenie sytuacja może być zmienna; sprawdzajcie zasady postępowania w biuletynie Standardowych Procedur Operacyjnych i czekajcie na bieżące informacje ode mnie. Jeszcze parę słów o jedzeniu, zwracam się zwłaszcza do tych, którzy będą pracować w terenie: jedzcie tylko posiłki gotowe do spożycia. Ludzie, których spotkacie, są często bardzo gościnni i będą niezmiernie wdzięczni za naszą pomoc. Mogą was częstować jedzeniem. Nierzadko więcej nie mają do zaproponowania. Żywność może być nawet bezpieczna, ale zgodnie z wytycznymi musicie odmawiać. Mówcie im, że wasi przełożeni żądają, byście jedli jedynie żywność zatwierdzoną przez rząd, i że jest wam przykro, ale musicie



odmówić. Czy są jakieś pytania?

Przez kilka sekund panowała cisza, potem odezwała się jedna z kobiet.

– Czy będziemy coś sobie organizować w Święto Dziękczynienia?

Pytanie zaskoczyło Peyton. Już zapomniała o Święcie Dziękczynienia.

– Hm, tak – powiedziała. – Osoby pozostające w Nairobi prawdopodobnie otrzymają zaproszenie do ambasady Stanów Zjednoczonych lub kenijskiego oddziału CDC. Sprawdzę szczegóły i przekażę szefom grup. Musimy zadbać o bezpieczeństwo. Jeśli chodzi o zespoły działające ze mną w terenie, to coś sobie zorganizujemy. Czy są jeszcze pytania?

Odezwał się oficer Korpusu Służby Medycznej i lekarz, Phil Stevens.

– Czy to oznacza, że w czwartek uchylamy dyrektywy związane z jedzeniem żywności pochodzenia lokalnego i jemy z tubylcami?

– Tak, lecz tylko dla pana, doktorze Stevens. Daniem głównym będzie pieczeń z rudawki. Słyszałam, że ludzie się o nią zabijają.

Kiedy umilkł śmiech, Peyton wróciła do podawania instrukcji poważniejszym tonem.

– Dwie bardziej osobiste rady. Jeśli jest to wasz pierwszy wyjazd w teren, zachęcam was do zadzwonienia do najbliższych zaraz po wylądowaniu. Ktokolwiek to jest – małżonek, matka, ojciec, rodzeństwo – będzie się o was martwić niezależnie od tego, co wam mówią. Dajcie znać, że wszystko u was dobrze i że sprawy nie wyglądają tak źle jak w filmach. Teraz kilka słów o rozrywkach.

To zdanie zawsze wywoływało ten sam efekt: większość mężczyzn w grupie podnosiła głowy i skupiała się na jej słowach.

– Poszukajcie sobie dobrej książki do poczytania.

Uwaga mężczyzn od razu zmaląła.

– Mówię poważnie. Kolejne dni będą długie i intensywne. Dobrze mieć jakieś ujście emocji, sposób na wyrwanie się z tego świata i odpoczynek, podczas którego nie trzeba się niczym martwić. Zdarzy się, że będziecie chcieli jedynie dotrzeć do swojego pokoju w hotelu czy do namiotu i zalać się w trupa. Wolałabym, żebyście tego nie robili. Trudno tam o dobre nawodnienie organizmu. Dla waszego bezpieczeństwa najważniejsze jest

zachowanie trzeźwego umysłu. Jeśli chcecie się zalać, zróbcie to po powrocie do domów. Jeśli nie zabraliście ze sobą czytnika e-booków, możecie ściągnąć aplikację do czytania na swoje smartfony. A jeżeli będziecie zbyt zmęczeni, by czytać, polecam ściągnięcie jakiegoś audiobooka na telefon. Nie umiem zliczyć, ile razy zasypiałam w terenie, słuchając dobrej książki. Jednak proszę, ściągajcie książki tylko wtedy, gdy jesteście połączeni z wi-fi. I nie, powtarzam, nie oglądajcie Netflixa, Amazon Prime, YouTube i nie korzystajcie z innych platform przesyłających filmy przy użyciu nakładki satelitarnej. To kosztuje fortunę. Nie wiem dokładnie ile, ale dwa lata temu jeden z oficerów EIS nałogowo oglądał jakieś programy telewizyjne. Kiedy przyszedł rachunek, człowiek z księgowości niemal padł na zawał. Popędził do biura Elliotta i zagroził obcięciem nam dostępu do łącza satelitarnego lub ustanowieniem limitu poboru danych. Sprawa była poważna. Elliott nieco go udobruchał, ale nadal jesteśmy na cenzurowanym. Pamiętajcie, jeśli będziecie oglądać Netflixa, stracimy dostęp do łącz satelitarnych i umrą dzieci w Afryce. Rozumiecie? Jeśli jesteście podłączeni pod wi-fi, róbcie, co chcecie, ale nie przez łącze satelitarne. Ostatnia rzecz. Lecimy do Kenii, żeby powstrzymać wybuch epidemii i częściowo zostaliśmy poproszeni o pomoc, ponieważ wielu odważnych, pracowitych Amerykanów pojechało tam przed nami i stworzyło sojusze oraz sieć kontaktów. Niektórzy z nich nadal pracują w CDC w Kenii, każdego dnia budując partnerskie relacje. Powinniśmy o tym pamiętać. To szczególnie istotny czas dla CDC w tym regionie. Rozmawiałam z Joem Ruto, szefem naszego biura w Kenii. Na początku dwa tysiące piętnastego roku odkryliśmy, że zniknęły miliony dolarów, które CDC przekazało Kenijskiemu Instytutowi Badań Medycznych – KEMRI[14]. Audyt wykazał nieprawidłowości w zarządzaniu oraz machlojki finansowe dokonywane przez urzędników różnych szczebli w KEMRI. Gdy pieniądze wyparowały, zwolniono tysiące dobrych ludzi. Przez wiele dni trwały protesty przed siedzibą KEMRI. I chociaż CDC nie miało nadzoru nad finansami tej instytucji, wielu protestujących i zwolnionych pracowników zrzucało winę na nas. Ta misja może być krokiem do

odbudowania naszych stosunków. Każdy z nas reprezentuje CDC i Stany Zjednoczone. Nasze działania mogą mieć wpływ na stosunki w regionie. To z kolei może rzutować na nasze bezpieczeństwo i bezpieczeństwo ludzi, którzy znajdą się w kolejnym samolocie przy wybuchu następnej epidemii. Nie każę wam obchodzić się z każdym jak z jajkiem, nie bójcie się też zdecydowanych działań. Powinniśmy popracować nad stosunkami z miejscowymi, tak by w dniu naszego wyjazdu były lepsze niż w dniu przyjazdu.



Kiedy pilot ogłosił, że zbliżają się do lotniska Jomo Kenyatty w Nairobi, prawie połowa członków zespołu CDC postanowiła wykorzystać ostatnie chwile na drzemkę. W przedziale pasażerskim panował półmrok, świeciły tylko ekrany kilku laptopów z tyłu oraz nieliczne lampki do czytania. Śpiący podłożyli sobie pod głowy torby lub złożone ubrania. Wełniane koce spływały na podłogę i okrywały wypoczywających ludzi.

Peyton położyła się w rzędzie z pięcioma siedzeniami. Kiedy się obudziła, uświadomiła sobie, że jej nogi splątały się z nogami osoby dzielącej z nią ten rząd. Podniosła głowę i spotkała się wzrokiem z Philem. Szybko usiadł, wyciągnął rękę i pomógł jej się podnieść. Przez chwilę na siebie patrzyli, a następnie zajęli się zbieraniem swoich rzeczy i szykowaniem do lądowania, które przebiegło zaskakująco łagodnie.

Wygładziła mundur, zarzuciła torbę na ramię i ruszyła w dół rampy samolotu.

W Nairobi była noc, za wieżą kontrolną lotniska migotały światła miasta. Chłodny wiatr rozwiewał kosmyki błyszczących, czarnych włosów Peyton.

Przed nią na płycie lotniska czekało dwanaście japońskich SUV-ów. Otworzyły się przednie drzwi od strony pasażera w drugim samochodzie i wysiadł Jonas. Wyraz jego twarzy sprawił, że Peyton zatrzymała się w pół kroku.

Zaszły jakieś komplikacje.

[\[14\]](#) Kenya Medical Research Institute

## ROZDZIAŁ 20

Czarne SUV-y jechały przez Nairobi, na światłach stawały obok siebie. Przez resztę czasu ustawiały się w rzędzie i wyglądały jak wąż skradający się przez pole drapaczy chmur.

W drugim pojeździe Peyton siedziała z tyłu z Jonasem Beckerem, jej odpowiednikiem w strukturach Światowej Organizacji Zdrowia. Na płycie lotniska powiedział jej tylko, że ma ważne informacje. Jednak nie chciał nic mówić w obecności innych osób.

– Jak minął lot? – zapytał.

– Dobrze. Długi.

– Spałaś?

– Trochę.

– Przepraszam, że wczoraj obudziłem cię tak wcześnie.

– Nie ma za co. Potrzebowałam czasu na przygotowania.

Po dojechaniu do hotelu Jonas po raz kolejny zaproponował, że poniesie torbę Peyton. A ona po raz kolejny odmówiła.

Hotel nie był zbyt elegancki, ale znajdował się w bezpiecznej części miasta w pobliżu ambasady amerykańskiej. Oddziały kenijskie trzymały straż na parkingu, a policja ustawiła kilka samochodów wzdłuż ulicy.

W chwili gdy zamknęły się drzwi do pokoju Peyton, Jonas zaczął mówić.

– Rozeszło się po wioskach.

Rozłożył mapę na jednym z szerokich łóżek i wskazał trzy zaznaczone obszary w pobliżu Mandery.

Peyton wzięła laptop, podłączyła go do wi-fi i wyświetliła dziennik podróży ze strony CityForge.

– Dwaj Amerykanie nagrali i zamieścili na stronie trasę swojej podróży – poinformowała go. – Powinniśmy porównać je, żeby sprawdzić, czy odwiedzili te wioski.

Jonas przeczesał dłonią swoje krótkie, brązowe włosy i odwrócił wzrok, jakby się czegoś lękał. Był tylko kilka centymetrów wyższy od Peyton, więc ich oczy znajdowały się na podobnym poziomie. Oparł się o drewnianą brązową komodę i szukał właściwych słów.

– No co? – spytała Peyton.

– Amerykanin, który pierwszy zgłosił się z objawami, Steven Collins, zmarł, gdy znajdowaliście się w powietrzu. Brytyjski pracownik firmy lotniczej również nie żyje. – Jonas umilkł na chwilę. – Ten drugi Amerykanin, Lucas Turner, walczy z chorobą.

Tego Peyton obawiała się najbardziej. Upłynęło kilka sekund, zanim uświadomiła sobie, że powiedział „chorobą”, a nie ebolą, chorobą marburską czy żółtą febrą.

– Kenijskie Ministerstwo Zdrowia wczoraj wysłało tam swój zespół. Założyli obóz leczenia eboli w Manderze – dodał Jonas.

– Udało im się kogoś przebadać?

– Przebadali wszystkich: Amerykanów, Brytyjczyka i większość mieszkańców wiosek. U nikogo nie wykryto eboli.

– Z czego korzystali?

– ReEBOV. To potwierdzone: mamy tu jakiś nowy patogen.

Szybki Test na Antygeny ReEBOV mógł dać fałszywie pozytywne lub fałszywie negatywne wyniki u jednego na dziesięciu pacjentów badanych na obecność eboli, ale w dużej grupie testowej musiał zadziałać poprawnie. Fakt, iż u wszystkich wypadł negatywnie, przesądzał sprawę. Pojawił się nowy czynnik zakaźny.

To oznaczało, że cały plan Peyton okaże się nieprzydatny. Nie wiadomo, czy ZMapp zadziała na ten patogen. Przetransportowanie Lucasa Turnera do Emory również stawało się bardziej ryzykowne, skoro nie wiedzieli, jaką chorobę sprowadzą do Stanów.

Przedyskutowała z Jonaszem kilka nowych pomysłów. Zaplanowali kolejne etapy postępowania po wylądowaniu w Manderze, wyznaczyli grupy do śledzenia kontaktów na lotnisku i inne, które miały udać się do wsi, by tam zebrać potrzebne dane. Kiedy ukształtował się ich wspólny plan, zaprosili do hotelowego pokoju doradców do spraw bezpieczeństwa, żeby zasięgnąć ich rady.

Ich kenijski łącznik wojskowy, pułkownik Magoro, poinformował, że jedna brygada wyruszyła wczoraj rano do hrabstwa Mandery i już dotarła na miejsce. Rząd kenijski w razie potrzeby był gotowy wprowadzić kwarantannę na terenie całego kraju.

Oficer ds. bezpieczeństwa przy ONZ powiedział, że oddziały Unii Afrykańskiej w południowej Somalii zostały ostrzeżone i właśnie zakładają punkty kontrolne na drogach. Etiopczycy również podejmowali podobne działania.

W pokoju znajdowali się także dwaj mężczyźni z amerykańskiej ambasady. Jeden był przedstawicielem Departamentu Stanu – wysłuchał sprawozdania o zabezpieczeniach, zadał wiele pytań i zachęcił pułkownika Magoro do wysłania oddziałów, które chroniłyby zespół Peyton poza Manderą. Pułkownik zgodził się bez słowa protestu.

Drugi Amerykanin przedstawił się tylko jako pracownik ochrony w ambasadzie i mimo że pilnie słuchał sprawozdań, sam nie zabierał głosu. Peyton założyła, że był z CIA. Gdy mężczyźni wychodzili z pokoju, podał jej karteczkę z numerem telefonu w Nairobi.

– Proszę natychmiast dzwonić, jeśli wpakuje się pani w jakieś kłopoty. Zrobimy, co w naszej mocy.

Kiedy wyszli, Jonas złożył mapę i spakował swoje rzeczy. Peyton myślała, że wyjdzie, ale on zwlekał, jakby coś go jeszcze dręczyło.

– Przegapisz Święto Dziękczynienia, prawda? – powiedział.

– Tak.

– Rodzice pewnie są rozczarowani?

– Chyba nie. Wiedzą, że nie przyjechałabym tutaj, gdyby to nie było ważne.

– Wiem, co masz na myśli. Masz... siostrę, prawda?

– Tak. Starszą, Madison.

– I siostrzenicę albo siostrzeńca?

– Już jedno i drugie. Madison urodziła drugie dziecko w zeszłym roku, dziewczynkę. Olivię.

Skinął głową, nadal skrepowany. Peyton była zaskoczona tym nagłym zainteresowaniem jej życiem osobistym. Jonas przez lata był świetnym współpracownikiem, ale ich relacje utrzymywały się na płaszczyźnie zawodowej.

– A ty? – zapytała, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

– Nikt nie tęskni za mną w Genewie. Ani w Heidelbergu. Rodzice zmarli kilka lat temu. Mam siostrę w Londynie, ale jest zajęta swoją karierą zawodową i rodziną. – Przez chwilę przekładał torbę z ręki do ręki, potem powiedział: – Nie ma więc żadnego przystojnego młodego mężczyzny odliczającego godziny do twojego powrotu do Atlanty?

– Nie, w tej chwili nie. – Peyton rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się, czy Jonas będzie to komentował. W końcu spytała: – A ty masz kogoś?

– Nie, ja też nie. Ciężko o to z taką pracą.

– Wiem, o czym mówisz.

Nastrój Jonasa trochę się poprawił, zniknęło jego zdenerwowanie. Założył plecak na ramię i podszedł do wyjścia.

– No dobrze. Zamknij drzwi. Do zobaczenia.

– Na razie – rzuciła Peyton, patrząc, jak wychodzi, i nadal nie mogąc otrząsnąć się z zaskoczenia.

Wyjęła trójkątny, drewniany klin z torby i wetknęła go pod drzwi. Na wszelki wypadek odsunęła również drewniane krzesło od biurka i podstawiła je pod klamkę. Postawiła przy łóżku puszkę z gazem, a pod poduszkę wsadziła nóż w pochwie.

Domyśliła się, że pościel była prana regularnie, ale zauważyła, że narzuty nie były zbyt często czyszczone, jedynie przetrzepane i kładzione z powrotem na łóżko, gdzie zbierały wszystkie zarazki i robaki od setek gości zajmujących pokój każdego roku. Zdjęła narzutę z łóżka, w którym zamierzała spać i położyła ją na komodzie. Z całą pewnością nie chciała



jej mieć nigdzie w pobliżu twarzy. W sumie w pracy zajmowała się zarazkami, wiedziała o nich co nieco.

Przez pierwsze kilka lat pracy postępowała dokładnie tak, jak radziła agentom EIS: dzwoniła do matki, ilekroć wyjeżdżała na misję. Z biegiem lat przestała to robić regularnie, ale tego wieczoru w Nairobi, siedząc na łóżku bez narzuty, wybrała numer do mamy.

Lin Shaw odebrała po drugim sygnale, a Peyton odniosła wrażenie, że płakała.

– Wszystko u ciebie w porządku? – zapytała Peyton.

– Oczywiście. Gdzie jesteś?

Peyton powiedziała jej i przez chwilę porozmawiały o locie, jej siostrze i robótkach ręcznych matki. Po śmierci ojca Peyton Lin sama wychowywała syna i dwie córki. Peyton zawsze była blisko z matką, ale tego wieczoru, po raz pierwszy od lat, mama zakończyła rozmowę słowami: „Bardzo cię kocham”.

Kiedy się rozłączyła, zastanawiała się, czy mama przypadkiem nie jest chora. Miała przeczucie, że coś przed nią ukrywa.

Z jakiegoś powodu jej myśli skierowały się na brata, Andrew. Umarł w Ugandzie w 1991 roku, kiedy pracował dla WHO i ugandyjskiego rządu podczas kampanii zwiększającej świadomość o AIDS. Pewnego upalnego sierpniowego dnia przebywał w wiosce we wschodniej części kraju, na terenie Parku Narodowego Mount Elgon, kiedy wioska została pochłonięta przez pożar, który zabił Andrew, jego ugandyjskiego łącznika oraz wszystkich mieszkańców. Musieli go zidentyfikować po użębieniu oraz rzeczach osobistych. Nie było za bardzo czego chować podczas pogrzebu, który odbył się w San Francisco w pochmurny dzień.

Peyton miała wtedy trzynaście lat i kiedy nabożeństwo dobiegło końca, podeszła do nich kobieta z kręconymi blond włosami i przedstawiła się, mówiąc z australijskim akcentem. Była przyjaciółką i współpracowniczką Andrew, Peyton odniosła wrażenie, że tak naprawdę kimś więcej. Kobieta wyjęła z kieszeni przedmiot, który Peyton dobrze знаła: srebrną przypinkę, którą Andrew dostał kilka lat wcześniej tuż przed ukończeniem studiów medycznych – prezent od ojca.

Kobieta dała ją Peyton.

– Z pewnością twój brat chciałby, żebyś to miała – oświadczyła.

Peyton obracała ją w palcach, przyglądając się wężowi owiniętemu wokół laski Eskulapa. Przypinka nie była osmolona, co wydało się jej dziwne.

– Myślałam, że się spaliła.

– Została wyczyszczona i naprawiona. Chciałam, żebyś dostała ją taką, jak wyglądała, gdy nosił ją twój brat. Wszystko można naprawić, Peyton. Niektóre rzeczy po prostu potrzebują więcej czasu niż inne.

Tego ponurego sierpniowego dnia, gdy wiatr rozwiewał jej ciemne włosy, a ona trzymała w dłoni przypinkę Andrew, wiedziała już, że chce zostać lekarzem, pracować w terenie i pomagać ludziom. Może podjęła tę decyzję dlatego, że chciała kontynuować pracę Andrew – był dla niej zarówno bohaterem, jak i autorytetem – a może uważała, że praca epidemiologa w jakiś sposób pomoże jej zrozumieć brata i zbliżyć się do niego. Była jednak pewna, że chce zostać lekarzem. I nigdy nie żałowała, że dokonała takiego wyboru. Znała ryzyko, lecz uważała, że warto je podjąć.

Wstała i zaczęła szykować się do spania. Umyła zęby, puściła wodę pod prysznicem i zdjęła swój służbowy strój khaki. Naga usiadła na zamkniętym sedesie i czekała, aż zacznie lecieć ciepła woda. Jej myśli powędrowały ku decyzji, którą wkrótce będzie musiała podjąć: Lucas Turner, dwudziestodwuletni Amerykanin. Peyton zastanawiała się, czy będzie jeszcze żył, gdy przyjedzie do Mandery. Jeśli tak, w jakim będzie stanie? Czy ZMapp okaże się skuteczny w walce z gorączką krwotoczną nieznanego typu? Czy może sprawi, że pacjent poczuje się jeszcze gorzej? Czy Lucas przeżyje podróż do Ameryki ze ZMappem lub bez niego? Wszystko zależy od tego, czy będzie trzymała się pierwotnego planu, który omówiła z Elliottem – planu, który zatwierdził dyrektor CDC. Ten plan opierał się na pewnych założeniach, ale w ciągu ostatnich kilku godzin te założenia uległy zmianie. Patogen nie był ebolą.

W Emory mieli zaawansowany technologicznie oddział, którego potrzebował Lucas, ale jeśli zawiozą go do Atlanty, sprowadzą do

Stanów Zjednoczonych niewiadomą, śmiertelny patogen, który może narazić setki milionów ludzi. Wszystko po to, by ocalić jednego człowieka. Ale jeśli zostawi Lucasa w Afryce, sam będzie musiał zwalczyć infekcję lub umrzeć, a to nie do końca odpowiadało Peyton.

W wypełnionej parą łazience zaczął się krystalizować pewien plan.

# DZIEŃ 3

**32 tys. zarażonych**

**41 ofiar śmiertelnych**

## ROZDZIAŁ 21

### OSTRZEŻENIE AGENCJI REUTERSA

Władze Hongkongu i Singapuru wystosowały zakaz wjazdu dla osób z objawami niezidentyfikowanej choroby atakującej drogi oddechowe. Członkowie każdego z rządów, wypowiadając się anonimowo, powiedzieli, że choroba, o której mowa, raczej nie jest kolejną epidemią SARS, lecz infekcją przypominającą przewlekłą grypę. Nie wiadomo, u jak wielu mieszkańców wyżej wymienionych miast pojawiły się objawy w ostatnim czasie.

## ROZDZIAŁ 22

O piątej rano Peyton, Jonas i ich zespoły wsiedli do transportowca i polecili z Nairobi do Mandery. Za nimi podążył ambulans powietrzny i kenijski samolot wojskowy.

Przedział pasażerski w maszynie był zatłoczony. W sumie znalazło się w nim miejsce dla siedemdziesięciu ośmiu członków obu zespołów, którzy siedzieli w fotelach, na podłodze i opierali się o ściany. Niektórzy młodzi mężczyźni na zmianę stali i siadali, podczas gdy Peyton i Jonas prowadzili odprawę, omawiając z zespołami przydzielone im zadania.

Kiedy wylądowali, słońce wstawało nad skalistymi, jałowymi wzgórzami otaczającymi lotnisko. Czekał na nich konwój pojazdów wojskowych z przykrytymi brezentem pakami. Doktor Phil Stevens zabrał ze sobą grupę, która miała przesłuchać pracowników lotniska, stworzyć oś czasu i skontaktować się z osobami powiązanymi z brytyjskim technikiem zajmującym się radarami.

Gdy dołączył do nich pułkownik Magoro, żołnierze armii kenijskiej załadowali na samochody ich sprzęt i szybko przewieźli Peyton, Jonasa i ich zespół przez Mandere. Droga wiodąca przez miasto była rozjeżdżonym nieutwardzonym pasem ziemi, nierównym i pylistym. Czerwone kłęby pyłu zbierające się za ciężarówką przesłaniały Peyton widok na rolnicze miasto.

Widziała przede wszystkim bezładnie rozmieszczone parterowe budynki. Stały wzdłuż Mandera Road, głównej drogi, która biegła przez centrum miasta. Po ulicach chodziły zwierzęta – bydło, wielbłądy i kozy,

przywiezione na handel przez gospodarzy. Mieszkańcy pchali przed sobą taczki wyładowane tym, co wyhodowali. Dzieci stały przy każdej przecznicy i gapiły się na ich konwój, niektóre przestawały grać w piłkę, żeby popatrzeć.

Miejscowy przewodnik opowiadał trochę o Manderze, najbiedniejszym z czterdziestu siedmiu kenijskich hrabstw. Edukacja była na bardzo niskim poziomie; na stu uczniów przypadał jeden nauczyciel. Służba zdrowia miała najgorsze warunki w całym kraju. Mieszkańcy Mandery byli przede wszystkim rolnikami produkującymi na swoje potrzeby i hodowcami. Sytuacja ekonomiczna była trudna.

W 2013 roku rząd Kenii zaczął proces przekazywania władzy, oddając niektóre urzędy pod zarząd władz hrabstwa. Z pomocą organizacji pozarządowych takich jak Czerwony Krzyż i ONZ, a także przy wsparciu rządu kenijskiego hrabstwo zaczęło poprawiać swoją sytuację. Rozpoczęli kilka dużych projektów mających na celu ulepszenie infrastruktury, w tym rozbudowę lotniska i budowę nowego kompleksu rządowego, stadionu i międzynarodowego targu żywego inwentarza. Konwój mijał kilka z tych projektów, które nadal były w fazie budowy. Lotnisko i nowa rezydencja gubernatora były chyba jedynymi ukończonymi inwestycjami.

Rząd unowocześnił i wyremontował również szpital Referral w Manderze. Zmiany objęły przede wszystkim kwestie związane z bezpieczeństwem pacjentów, chociaż lokalne ataki terrorystyczne oraz niedawne problemy z płynnością finansową sprawiły, że postęp nie był zbyt widoczny. Hrabstwo zakupiło również swój pierwszy ambulans i zamówiło siedem kolejnych w Czerwonym Krzyżu. Jednak ogólnie szpital nadal mocno odbiegał od wyobrażeń administratorów i nie był taki, jakiego pragnęli dla hrabstwa i ludzi tu mieszkających.

Peyton słuchała w skupieniu opowieści o działaniach tutejszej administracji, która usilnie starała się poprawić sytuację ludzi. Epidemia pojawiła się w najgorszym momencie.

Konwój zatrzymał się przy szpitalu Referral, stojącym w centralnym punkcie miasta. W pobliżu były dwa przystanki autobusowe oraz ratusz

i poczta. Sam szpital składał się z kilku zaniedbanych parterowych budynków połączonych wiatami. Nad wejściem od strony dziedzińca wisiał drewniany szyld z niebieskimi i białymi literami.

Kenijskie Ministerstwo Zdrowia wysłało tu swój zespół zaraz po tym, jak zgłoszono wybuch epidemii, a oni przywieźli ze sobą eskortę wojskową, która miała chronić pracowników przed terrorystami z Asz-Szabab i powstrzymać lokalnych mieszkańców od wkraczania na niebezpieczny teren. Na pierwszy rzut oka wyglądało, że Kenijczycy świetnie się spisali: oddziały wojska w odzieży ochronnej i z karabinami w pogotowiu patrolowały teren wokół szpitala. Według Peyton to miejsce bardziej przypominało więzienie niż szpital, ale wiedziała, że to dla ich dobra, ponieważ dzięki temu można trzymać niezarażonych z dala od chorych.

Kenijczycy rozbili miasteczko namiotowe tuż obok szpitala, więc Peyton i Jonas udali się od razu w to miejsce. Przy długim, składanym stole raport składała szefowa misji z ramienia kenijskiego Ministerstwa Zdrowia, Nia Okeke. Była trochę starsza od Peyton, jej czarne włosy lekko zaczynały siwieć na skroniach. Mówiła beznamytnie, zwięźle opisywała sytuację.

Peyton była pod wrażeniem tego, jak wiele Kenijczycy osiągnęli w tak krótkim czasie. Na tablicach suchościeralnych, które stały przy ścianach namiotu, widniały drzewa kontaktowe narysowane niebieskim i czerwonym kolorem. Mapy były podpisane. Liczby odpowiadały zapisanemu czasowi.

Kiedy Nia zakończyła raport, Peyton poprosiła o spotkanie z Lucasem Turnerem.

– Oczywiście. Jest jeszcze ktoś, z kim, moim zdaniem, powinna pani również porozmawiać – powiedziała Nia.

Peyton włożyła kombinezon, spryskała go roztworem chloru i ruszyła w stronę szpitala. Jonas trzymał się blisko niej, a z nimi szła Hannah Watson, lekarka będąca pierwszy rok w EIS. Peyton nigdy nie pracowała z Hannah podczas misji, ale gdy przeglądała jej teczkę, dowiedziała się, że młoda lekarka chciała pracować jako epidemiolog



w terenie i pozostać w CDC po odbyciu stypendium w EIS.

Peyton nie zazdrościła Hannah tego, przez co ta miała przejść. Pamiętała swoją pierwszą misję w miejscu podobnym do Mandery; pojawiała się wszędzie tam, gdzie powinien być epidemiolog. Ale nie dało się tego uniknąć: Hannah musiała się nauczyć, a studiowanie i nauka w sali wykładowej nie wystarczały. Musiała zdobyć doświadczenie w terenie, a wyjazd do Mandery był do tego doskonałą okazją.

Peyton pozwoliła, by Jonas wszedł do szpitala pierwszy.

– Wiesz, co masz robić? – Peyton zapytała Hannah, która niosła zamrożone pudełko.

Młoda lekarka skinęła głową. Przez plastikowe okulary ochronne Peyton widziała, że na jej jasnych brwiach już pojawiły się kropelki potu.

– Jeśli poczujesz, że ci za gorąco, lub będziesz potrzebowała chwili wytchnienia, wyjdź na zewnątrz i poddychaj świeżym powietrzem. Jeśli zechcesz zrobić sobie przerwę, nie wahaj się ani chwili. Nie ma nic złego w wyjściu na kilka minut.

Hannah znowu potaknęła, a Peyton wydało się, że zauważyła, iż z młodej lekarki schodzi napięcie. Miała nadzieję, że naprawdę tak jest.



Hannah zaczęła się pocić pod kombinezonem. W szpitalu było dwa razy goręcej niż na zewnątrz.

Nia zaprowadziła ich trójkę do dużej sali, gdzie na matach, kocach i poduszkach rozłożonych na podłodze spoczywało co najmniej czterdziestu pacjentów. Hannah poczuła, jak przyspiesza jej puls. Widziała zdjęcia z oddziałów zajmujących się chorymi na ebolę, ale nie przygotowały jej na tę chwilę. Czas zdawał się stać w miejscu, a ona rejestrowała każdy szczegół tej sceny. Plastikowe wiadra przeznaczone na wymioty, kał i mocz stały w rzędach wzdłuż wąskich przejść pomiędzy prowizorycznymi łózkami. Puste butelki po płynie nawadniającym leżały na podłodze. Brzęczące wiatraki pod sufitem toczyły przegraną walkę z upałem, który wsączał się przez zamknięte

okna i unosił znad ciała. Zażółcone gałki oczne wpatrywały się w nowo przybyłych.

Z każdym krokiem cienki gumowy kombinezon zdawał się przytłaczać Hannah jak plastikowy worek, z którego wyssano całe powietrze. Kombinezon lepiący się do jej spoconych rąk i ud przypominał, że ta cienka warstwa to jedyne, co oddziela ją od patogenu zabijającego tych ludzi. Każda nieszczelność, najmniejsza dziura może sprawić, że patogen przedostanie się do środka, a ona będzie walczyć o życie w tym szpitalu.

Słyszała własny oddech. Z zewnątrz dochodziły do niej jęki i płacz pacjentów. Jednak pośród odgłosów agonii usłyszała piękny dźwięk – czyjś śpiew. Małe grupki wykonywały hymny kościelne i piosenki ludowe. Kontrast bólu oraz piękna i odwagi był inspirujący, ale także wytrącał z równowagi.

Pudło, które niosła, z początku wydawało się lekkie. Teraz miała wrażenie, że dźwiga kowadło. Postawiła je obok młodej kobiety leżącej w rogu.

– Jestem doktor Hannah Watson z CDC. Muszę pobrać od ciebie próbkę krwi do badania.

Kobieta powoli otworzyła zażółcone, nabiegłe krwią oczy, ale nic nie powiedziała. Czarna mucha usiadła na jej twarzy, ale pofrunęła dalej, gdy chora odwróciła głowę.

Hannah wyjęła zestaw testowy ReEBOV, pobrała kroplę krwi z palca kobiety i założyła mały opatrunek na miejsce, które nakłuła. Wsadziła próbkę do chłodziarki i podniosła butelkę z płynem nawadniającym leżącą obok kobiety. Była do połowy opróżniona.

– Ile takich butelek wypija pani w ciągu dnia? – zapytała Hannah.

Kobieta tylko pokręciła głową.

– Musi pani się nawadniać. Czy coś pani przynieść?

– Nie, pani doktor. Dziękuję – odparła chora, ciężko oddychając.

Rozglądając się wokół, Hannah zauważyła, że na jednej ze ścian ktoś napisał litery od A do F, żeby oznaczyć rzędy, a na drugiej ścianie liczby od jeden do dwanaście, by oznaczyć kolumny. Zapamiętała, że osoba leżąca w A1 nie przyjmuje dość płynów i że nie ma żadnych życzeń.

Wyjęła kolejny test, podniosła chłodziarkę i podeszła do A2.

Dwadzieścia minut później Hannah wyszła ze szpitala. Było jej tak gorąco, że miała ochotę zerwać z siebie odzież ochronną, która przylgnęła do jej spoconej skóry, zupełnie jakby gorąca plastikowa błona stopiła się z jej ciałem. Jednak pamiętała o ostrzeżeniu doktor Shaw. Nie spieszyła się, zdejmując kombinezon, ale zaraz szybko ruszyła do namiotu, gdzie oficer EIS badał próbki z rzędu A.

Podniósł głowę znad testów.

– Wszystkie negatywne. To nie ebola.

Hannah potaknęła. Shaw powiedziała jej, że można się tego spodziewać. Ale chociaż Kenijczycy już przebadali pacjentów i okazało się, że test nie wykazał eboli, procedury nakazywały, żeby dla pewności przeprowadzić własne testy przy wykorzystaniu preparatów z innej partii produkcyjnej.

Hannah wiedziała, że Shaw mogła zaplanować to jako część jej szkolenia. Wkrótce przecież będzie badała więcej pacjentów w terenie, w wioskach otaczających Manderę. I będzie zdana tylko na siebie. Utrwalanie sobie całej procedury w miejscu, gdzie ktoś mógł jej od razu pomóc, było świetnym pomysłem.



Nia zaprowadziła Jonasa i Peyton do kąta w głębi dużej sali, gdzie o pożątkłą ścianę opierał się mężczyzna w średnim wieku. Miał zamknięte oczy i był ubrany w przepocony podkoszulek. Obok niego leżał złożony biały fartuch.

– Doktorzy Shaw i Becker, a to jest doktor Elim Kibet, szef personelu lekarskiego w szpitalu w Manderze – dokonała prezentacji.

Kibet otworzył oczy, popatrzył na gości i otarł pot z czoła. Lekko się uśmiechnął.

– Ściśle mówiąc, byłem jedynym lekarzem w Manderze. – Skupił wzrok na Peyton. – Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy dla młodych Amerykanów. Przykro mi. Na niewiele się to zdało.

Peyton kucnęła przy nim, żeby znaleźć się na tym samym poziomie co siedzący lekarz.

– Wszyscy doceniamy pańskie starania, doktorze Kibet. CDC, rząd amerykański, a zwłaszcza rodzice tych chłopaków.

Kibet wsadził rękę pod biały fartuch i wyjął notes. Podał go Peyton.

– Zanim przyjechali z ministerstwa, długo rozmawiałem z panem Turnerem.

Peyton upewniła się, że ma suche rękawiczki, po czym przejrzała notes, rzucając okiem na strony w linie wypełnione schludnym pismem. Doktor Kibet był bardzo dokładny. Peyton miała nadzieję, że w jego zapiskach znajdzie wskazówki, które doprowadzą ich do pacjenta zero.

– Dziękuję, doktorze – powiedziała. Popatrzyła na Nię, która nie spuszczała jej z oka. Peyton miała wrażenie, że dzieje się tu jeszcze coś ważnego, ale nie wiedziała co.

– Jesteście gotowi na spotkanie z panem Turnerem? – zapytała Kenijka.

W pomarańczowym kombinezonie z tyveku Peyton miała wrażenie, że temperatura nagle podskoczyła o pięć stopni. Była świadoma swojego oddechu i wagi decyzji, którą wkrótce będzie musiała podjąć. Jeden telefon wpłynie na los młodego człowieka, a być może również milionów innych ludzi.

## ROZDZIAŁ 23

Lucas Turner czuł się tak, jakby w szpitalnej sali w Manderze spędził już kilka lat. Wiedział, że minęło zaledwie kilka dni, ale były to najdłuższe dni w jego dwudziestotrzyletnim życiu.

Choroba zaczęła się od bólu karku i gorączki, ale w zasadzie nie czuł się bardzo źle. Jednak już po kilku godzinach zwracał prawie wszystko, co zjadł. Biegunka opróżniała jego jelita w chwili, gdy dotarł do nich najmniejszy kęs jedzenia, a potem chciała jeszcze więcej i zachowywała się jak szlauch zasysający jego wnętrzności.

Był słaby i ciągle zmęczony. Nie mógł się skupić. Zapadał w sen i budził się, nigdy nie wiedział, czy jest dzień czy noc, kiedy otwierał oczy. Pił elektrolity, które z każdą butelką robiły się coraz ohydniejsze. Nie miał apetytu, ale po namowach doktora Kibeta zmuszał się do jedzenia. Wzdrygał się na samą myśl o jakimkolwiek pokarmie, wiedział, że jego ciało w taki czy inny sposób go odrzuci. Czuł, że przegrywa tę bitwę, ciało zwróciło się przeciw niemu.

Smród chloru w małej sali był nie do wytrzymania. Kibet zostawił mu przy łóżku kilka powieści w miękkich okładkach i Biblię, ale chociaż się nudził, nie miał dość energii, żeby je przeczytać. Myślami był przy rodzicach i siostrze. Będą zdruzgotani. W pewnej chwili zaczął żałować, że w ogóle przyjechał do Afryki; przeklinał się za to, że był aż tak naiwny. *Marzyciele głupio umierają*. Natychmiast zawstydził się tej myśli. W ten sposób się poddawał i rezygnował z walki o życie, toteż zaraz się poprawiał, nie kryjąc żalu. Podążył za swoim marzeniem,

doprowadziło go tutaj i o to właśnie chodziło. Życie jest niepewne; na samym końcu możemy kontrolować tylko jedno – własne myśli. Wobec tego zaczął kontrolować swoje myśli. Będzie myślał pozytywnie, nawet jeśli jest mu pisana śmierć w tym kraju.

W pewnym momencie, nie wiedział dokładnie kiedy, Kibet przestał zaglądać do jego pokoju. Pojawił się nowy personel w lepszych kombinezonach ochronnych. Obchodzili się z nim z wielką ostrożnością. W przeciwieństwie do doktora nie zadawali żadnych pytań i nigdy nie zostawali ani sekundy dłużej, niż musieli. Kibet postępował z nim jak z człowiekiem. Ci ludzie traktowali go z klinicznym chłodem.

Słońce zachodziło. Przez wąskie okno Lucas zobaczył grupę nowego personelu, skupioną wokół ogniska, w którego płomień wrzucali swoje kombinezony. Z ognia wydobywał się gęsty, czarny dym, tym gęstszy, im więcej kombinezonów lądowało w płomieniach. Odwrócił się w stronę małego lustra na ścianie, w którym widział swoje nabiegłe krwią, łzawiące oczy i pobladłą skórę. To była twarz kogoś obcego. Potwora.



Mając Jonasa tuż za sobą, Peyton poszła za nią do sali, w której leżał Lucas Turner. Chory spał, a Peyton bardzo nie chciała go budzić, ale musiała. Zegar tykał – a oni potrzebowali odpowiedzi jak najszybciej, jeśli mieli zatrzymać rozprzestrzenianie się patogenu.

Nia wyciągnęła rękę, żeby potrząsnąć młodym mężczyzną, lecz Peyton położyła dłoń na jej ramieniu i stanęła między nią a łóżkiem. Usiadła na skraju łóżka, chwyciła dłoń Lucasa, delikatnie potrząsnęła jego przedramieniem i dotąd wypowiadała jego imię, aż otworzyły się zażółcone, przekrwione oczy. Peyton zmusiła się do uśmiechu. Widok tego młodego Amerykanina, który w najlepszych latach swojego życia zapadł na tak poważną chorobę, rozdzierał jej serce. Przyjechał tutaj, żeby choć trochę polepszyć warunki mieszkańców tego miejsca. Ta ścieżka doprowadziła go tutaj, do tej sali, w której teraz umierał.

Lucas spojrzał na dłoń trzymającą go za rękę, wydawał się zaskoczony

tym, że go dotyka. Peyton wiedziała, że był wystraszony i prawdopodobnie traktowano go z najwyższą ostrożnością, co było oczywiście słuszne. Mimo to zawsze ją zdumiewało, jak wiele potrafił zmienić dotyk. Widząc nadzieję w jego oczach, poczuła się dumna ze swojej pracy i jeszcze bardziej nabrała przekonania, że znajduje się we właściwym miejscu i robi to, co powinna.

Pochyliła się nad nim i spokojnie zaczęła mówić.

– Słyszysz mnie, Lucas?

Skinął głową.

– Nazywam się Peyton Shaw. Jestem lekarzem z CDC. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ci pomóc.

– Dziękuję – odpowiedział Lucas ledwo słyszalnie.

Peyton podniosła ze stolika nocnego butelkę z płynem nawadniającym.

– Wypij trochę. Wiem, że ma obrzydliwy smak. – Przytknęła mu ją do ust, a on napił się, lekko krzywiąc.

Odstawiła butelkę na stół i poczekała, aż przełknie płyn.

– Czytałam notatki doktora Kibeta i wiem, że Steven rozchorował się jakieś siedem dni temu. Możesz mi powiedzieć, gdzie wtedy byliście?

Lucas zamknął oczy, żeby się zastanowić. Pokręcił głową.

– Przykro mi. Dni zlały mi się w jedną całość.

– W porządku. Czy przypominasz sobie, kiedy ostatnio obaj byliście zdrowi? Może jakieś wydarzenie, które was uszczęśliwiło?

– W Mount Kenya. W parku – odparł po chwili.

– Co się tam stało? Czy weszliście w kontakt z jakimś zwierzęciem? Nietoperzem? Albo małpą?

– Nie. – Zamilkł. – Nie, na pewno. To był nasz ostatni przystanek, zanim dotarliśmy do wioski. – Uśmiechnął się. – Zrobiliśmy sobie grilla. Piliśmy piwo.

Peyton uniosła brwi.

– Grilla z lokalnego mięsa? Co to było za mięso?

– Nie. Z Karoliny Północnej. Z kraju. Piwo też. Warzone w Raleigh.

– Skąd mieliście?

– Z paczki od sponsora.

– Sponsora?

– Icarus Capital. Desmond Hughes. Jest w zarządzie.

Peyton zamarła. Myśl o tym, że Desmond może być w to zamieszany, była szokująca i straszna zarazem. Przypomniała sobie jego słowa wypowiedziane przez telefon. „Myślę, że grozi ci niebezpieczeństwo”.

– Czy w paczce znajdowało się coś jeszcze? – Próbowwała nie pokazać po sobie zaskoczenia.

– Tak, jedzenie było tylko dodatkiem. W paczce przysłał nasze kamery wideo. Postanowiliśmy nie zabierać ich w bagażu, na wypadek gdyby miał zostać ukradziony po drodze, ponadto nie chcieliśmy ich ze sobą taszczyć, dopóki nie będziemy gotowi do wjazdu do wioski. Nie wiedzieliśmy nawet, ilu potrzebujemy. Desmond zaproponował, że nam je wyśle, kiedy dotrzemy do Mount Kenya. Wysłał paczkę na adres naszego kempingu. Mięso na grilla i piwo było niespodzianką. W liście życzył nam powodzenia i napisał, że przesyła domowe przysmaki.

– I to wszystko? – spytała Peyton. – Kamery, mięso i piwo?

– Tak.

Lucas podniósł drżącą rękę i pomasaował gardło. Peyton ponownie podstawiła mu do ust butelkę z płynem nawadniającym i poczekała, aż się napije.

– W jaki sposób Desmond Hughes związany jest z waszą firmą?

– Jest inwestorem – wyjaśnił Lucas nieco silniejszym głosem. – Spotkaliście się zaledwie kilka razy. Inwestuje w technologie i jest filantropem. Raczej energiczny. Naprawdę bystry. Interesują go dość szalone projekty.

– Na przykład jakie?

– Takie, które mają na celu zmianę świata. Wszystko od badań medycznych po fizykę kwantową. Powiedział, że jedyne, czego ludzkość dotąd nie udoskonaliała, to samej siebie. Uważa, że nadeszła już pora. Że czas na kwantowy skok. Postanowił nawet, że sam zostanie królikiem doświadczalnym.

– Dlaczego zainteresował się CityForge?

– Jego zdaniem budowa lepszych miast jest jedyną szansą Trzeciego



Świata.

– Szansą na co?

– Na przeżycie.

To przyciągnęło uwagę Peyton.

– Na przeżycie?

– To jego słowa, nie moje. Uważa, że jeśli Trzeci Świat nie będzie nadażał za resztą świata, nastąpi duża katastrofa – wydarzenie na skalę wymarcia gatunku. Właśnie dlatego nasza praca jest ważna.

– Ciekawe. Dlaczego tak uważał?

– Ze względu na brak kosmicznych śmieci.

– Kosmicznych śmieci?

– Sond innych cywilizacji. Ta rozmowa toczyła się przy obiedzie, więc może był pijany. – Lucas zastanowił się nad tym. – Nie, właściwie to wydaje mi się, że nie pił. Nieważne, twierdził, że najbardziej niepokojącymi odkryciami w historii ludzkości jest istnienie dwóch pozornie niemożliwych rzeczy: tego, że wszechświat liczy miliardy lat i że Księżyc nie jest pokryty szczątkami sond kosmicznych wysłanych przez inne zaawansowane cywilizacje, które były tam przed nami.

Peyton nie miała pojęcia, co o tym myśleć.

– Jak to jest powiązane z nieuchronnie zbliżającym się wydarzeniem, które grozi wyginięciem?

– Nie wiem. Powiedział, że niewielka grupa ludzi wie, dlaczego nie ma kosmicznych śmieci. I że niedługo będą sprawdzać swoją teorię. Szczerze mówiąc, był dość enigmatyczny, a my, jak sądzę, byliśmy nim oczarowani, więc nie zadawaliśmy zbyt wielu pytań. Jest dość ekspansywny, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. A jego czek na sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów sprawił, że tylko słuchaliśmy i potakiwaliśmy. – Zamilkł na chwilę. – Po co te wszystkie pytania o Desmonda? Czy jest z tym jakoś związany? Zachorował?

– Nic nie wiemy na ten temat. – Peyton nadal rozmyślała nad tym, co usłyszała.

– Czy jedzenie było zakażone? Czy ludzie w Karolinie Północnej chorują?

– Nie – odparła Peyton. – Nadal sądzimy, że to odizolowana epidemia. Po prostu zbieram wszelkie informacje. Słuchaj, byłeś bardzo pomocny, Lucasie. Niedługo wrócę.



Poza szpitalem Peyton, Jonas i Nia odkazili swoje kombinezony i ostrożnie je zdjęli. Weszli do innego namiotu, gdzie Peyton zdjęła przemoczoną koszulkę i ręcznikiem wytarła się z potu. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła wpatrującą się w nią Nię, również nagą i pokrytą warstwą potu. Jonas odwrócił się, unikając patrzenia na obie kobiety, i zajął się wkładaniem suchych ubrań.

– Zamierza pani podać ZMapp panu Turnerowi? – spytała Nia. Patrzyła na Peyton, nie mrugając oczami.

Peyton również spojrzała na nią.

– Może.

– Potrzebuję tego leku dla doktora Kibeta.

W tej chwili Peyton uświadomiła sobie, dlaczego kenijskie Ministerstwo Zdrowia chciało, żeby spotkała się z Kibetem. Trudno odmówić lekarstwu człowiekowi w potrzebie, a jeszcze trudniej takiemu, którego poznało się osobiście.

– Nie mogę...

– Sama mu je podam. Proszę tylko o lek, który może ocalić mu życie. Jeśli nie uda nam się go uratować, to przynajmniej będziemy mieć świadomość, że zrobiliśmy, co w naszej mocy, inaczej będzie trudno prosić innych, żeby się narażali. Wydaje mi się, że to minimum, jakie możemy uczynić dla człowieka, który narażał się na długo przedtem, nim Amerykanie stanęli w drzwiach szpitala.

Peyton włożyła świeżą koszulkę.

– Będę musiała zadzwonić.

Odeszła, zanim Nia zdążyła coś dodać.

W głównym namiocie znalazła Hannah, która siedziała przy długim stole i pisała coś na laptopie. Młoda lekarka wstała, gdy zobaczyła

szeffową.

– Mamy wyniki? – spytała Peyton.

Hannah potaknęła.

– Wszystkie negatywne. Pobrałam próbki krwi i śliny, tak jak chciałaś.

– Dobrze. Niedługo wrócę. Przygotuj próbki do transportu.

Była 8.37 w Manderze; 0.37 w Atlancie. Peyton założyła na telefon nakładkę satelitarną i wybrała numer Elliotta Shapiro. Nienawidziła dzwonić do niego o takiej porze, ale musiała.

– Tak – odezwał się zaspany Elliott.

– Przepraszam, że cię obudziłam.

Peyton usłyszała szelest pościeli, a potem jego stopy plaskające o podłogę i odgłos zamykanych drzwi.

– W porządku. Co się dzieje?

– To nie jest ebola. Kenijczycy wszystkich przebadali. My też.

– Objawy? – zapytał.

– Wszystkie klasyczne objawy filowirusa. Gdybym nie znała wyników, powiedziałabym, że to ebola lub choroba marburska. Jednak ten wirus przenosi się szybciej niż ebola. Śmiertelność wydaje się duża; jeszcze nikt nie przeżył.

Elliott czekał.

Peyton jako profesjonalistka próbowała panować nad głosem.

– Steven Cole nie żyje. Lucas Turner jest zarażony, znajduje się w stanie krytycznym. – Przy ostatnim zdaniu jej głos odrobinę się załamał, więc wzięła głęboki oddech. – Ten dzieciak umiera, Elliotcie.

– Co chcesz zrobić?

– Chcę zaaplikować mu ZMapp i odesłać go do Emory. Właśnie to bym zrobiła, gdyby to był mój syn. Ale... to nie ebola. Nie wiem, czy ZMapp w ogóle mu pomoże, a poza tym narazilibyśmy całą kontynentalną Amerykę.

– I?

– I możemy uratować mu życie, poza tym niewykluczone, że uda nam się zidentyfikować patogen i wynaleźć na niego szczepionkę lub sposób leczenia.

- Właśnie – odparł Elliott.
- To biurokratyczny koszmar.
- Wsadzisz go do samolotu i skupisz się na swojej pracy na miejscu. Ja zajmę się biurokracją. To moja praca.
- Dobrze. Jeszcze jedno. Kenijczycy poprosili mnie o ZMapp, bo chcą go podać lekarzowi z Mandery.
- Ile masz dawek?
- Dla dwunastu pacjentów.
- Trudna sprawa – powiedział Elliott. – Chciałbym się zgodzić, ale możemy potrzebować leku dla naszych ludzi, jeśli zachorują. Nie wyprodukujemy go z dnia na dzień.
- To prawda.
- Z drugiej strony, jeśli okaże się, że wylatujemy stamtąd z jedną dawką w zapasie, to zupełnie niepotrzebnie skazemy człowieka na śmierć.
- Tak. To sytuacja patowa.
- Zrób, jak uważasz za słuszne, Peyton. Poprę cię w każdym wypadku.
- Boże, nie pomogłeś mi. Miałam nadzieję, że podejmiesz decyzję.
- Podejmowanie ważnych decyzji jest częścią twojej pracy, droga pani. A te decyzje staną się wkrótce jeszcze poważniejsze. Nie zawsze będę w pobliżu. Kiedy odejdę, to ty pokierujesz firmą.
- Nie chcę tej pracy.
- Tym gorzej. Zamierzam nalegać, żeby dali ją właśnie tobie.
- To przejdę na emeryturę.
- To najbardziej bezpodstawna groźba, jaką słyszałem. Zrobisz dokładnie to, co należy. Napisz do mnie, jak wsadzisz chłopka do samolotu. Spróbuję zdobyć więcej ZMappu.



Wróciwszy do głównego namiotu, Peyton zastała Nię rozmawiającą z trzema wysłannikami rządu kenijskiego, wskazywali coś na mapie i sprzeczali się. Wysoka, czarnoskóra kobieta ucichła i wyprostowała się,

gdy Peyton się zbliżyła.

– Damy wam lek dla jednego pacjenta – oznajmiła Peyton. – Pod warunkiem że Ministerstwo Zdrowia dostarczy nam pismo, w którym zapewni, że lek zostanie wykorzystany tylko na potrzeby badań i użyty na wyłączną odpowiedzialność rządu Kenii. CDC nie ponosi odpowiedzialności za to, co stanie się z lekiem, ani nie zobowiązuje się do zapewniania wam kolejnych dawek.

Nia pokręciła głową.

– Nie mamy czasu na biurokrację.

– Wobec tego proponuję, żebyście zajęli się tym od razu. Wątpię, by mieli jakieś zastrzeżenia. Poza tym jesteś bardzo przekonująca.



Peyton wyjęła dawkę ZMappu ze skrzynki z zapasami, ponownie włożyła kombinezon i wróciła do sali Lucasa. Uklękła przy nim.

– Cześć, Lucas. Zaraz podam ci lek, który, mamy nadzieję, pomoże zwalczyć infekcję. Zostanę tu dłużej, żeby upewnić się, że nie nastąpiła żadna niespodziewana reakcja, okej?

Skinął głową.

– Jeśli wszystko dobrze pójdzie, położymy cię na specjalnych noszach i przetransportujemy na lotnisko. Zostaniesz zabrany do Atlanty, gdzie otoczymy cię najlepszą opieką. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Z jego żółto-krwawego prawego oka spłynęła łza. Odchrząknął i spojrzał na nią.

– Dziękuję.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Proszę bardzo.



Lucas odpłynął w sen, kiedy przyjechali, by zabrać go do samolotu. Gdy Shaw pomogła mu wstać z łóżka i wsunąć się do specjalnych noszy,

chciał ją uściskać. Zanim przyjechała, był pewien, że umrze. Teraz pojawiła się nadzieja. Po raz pierwszy od czasu, gdy wystąpiła u niego gorączka, uwierzył, że ma szansę przeżyć.

Wydawało mu się, że jest najszczęśliwszą osobą na świecie.



Na lotnisku Peyton patrzyła, jak personel powietrznego ambulansu wkłada Lucasa do samolotu razem z próbkami pobranymi przez Hannah.

– Sądzisz, że przeżyje? – spytała Hannah.

– Mam nadzieję – odparła. Zerknęła na młodszą lekarkę. – Świetnie się dzisiaj spisałaś. Pierwszy kontakt z oddziałem chorych bywa strasznym przeżyciem. Nigdy się do tego nie przyzwyczaisz, ale potem robi się trochę łatwiej.

## ROZDZIAŁ 24

Elim Kibet usilnie starał się czytać, kiedy Nia Okeke weszła do sali i mijała rzędy umierających wieśniaków. Za nią jakiś mężczyzna prowadził pusty fotel inwalidzki.

Zatrzymali się przed Elimem i Nia ukucnęła, żeby popatrzeć mu w oczy przez plastikowe gogle ochronne.

– Przenosimy cię, Elim.

Zamknął książkę.

– Dokąd?

– Zwolniła się sala po jednym z pacjentów.

Elim poczuł wielki smutek. Tej odpowiedzi bał się najbardziej. Jeśli zwolniła się sala, to oznaczało, że młody Amerykanin zmarł.

Próbował wstać, ale osłabione nogi nie były w stanie go utrzymać. Złapały go czyjeś ręce i posadziły w wózku. Gdy wywożono go z sali, czuł na sobie bezradne spojrzenia, jednak wszystko rozmyło się we mgle, jakby śnił jakiś koszmar.

Tak jak przypuszczał, wózek zatrzymał się przy sali, gdzie ostatnio widział Lucasa Turnera.

– Kiedy zmarł?

– Nie zmarł. Amerykanie zabrali go do kraju.

Elim podniósł głowę zaskoczony.

– To dobrze.

– Tak. Dobrze. A teraz położymy cię do łóżka.

Nia i jej pomocnik pomogli Elimowi wstać, ułożyli go na łóżku i wyszli,

pozostawiając za sobą odór chloru.

Leżąc w ciszy, Elim myślał o tym, jak szybko może się odmienić ludzki los, jak cenne jest życie i zdrowie. Dwa dni temu wchodził do tej sali jako praktykujący lekarz, człowiek mający kontrolę nad wszystkim, mógł leczyć i patrzeć na chorego Amerykanina leżącego na tym samym łóżku, w którym go teraz umieszczono. Nie miał pojęcia, jak odmiennie wygląda świat z poziomu łóżka chorego.

Przysięgł sobie, że jeśli wyzdrowieje, będzie cieszył się każdym dniem. I chociaż nigdy nikomu nie życzył źle, to teraz przyszła mu do głowy myśl, że chyba każdy lekarz mógłby w pewnym sensie skorzystać na chorobie – *prawdziwej* chorobie. Zastanawiał się, czy gdyby zachorowali, gdyby na krótki czas przebywali po drugiej stronie, a ich życie i zdrowie znajdowało się w rękach kogoś obcego, to potem staraliby się bardziej, pracowali sumienniej. Uważał się zawsze za bardzo rzetelnego lekarza, ale teraz sobie uświadomił, że jeśli przeżyje, będzie jeszcze bardziej oddany pacjentom.

Wpatrując się w sufit, przypomniał sobie stare indiańskie powiedzenie: *Zdrowa osoba ma sto życzeń, chora natomiast tylko jedno.*

Drzwi się otworzyły i weszła Nia. Niosła trzy wiadra, które Elim doskonale znał, kilka butelek płynu nawadniającego oraz pudełko z napisem CDC.

Podeszła do kroplówki i zaczęła coś do niej przyłączać.

– Co to jest?

– Podarunek od amerykańskich przyjaciół.

– Jaki podarunek?

– ZMapp.

Elim usiadł.

– Nie podawajcie go mnie.

Oparła swoją dłoń na jego ramieniu, położyła go z powrotem na łóżku i usiadła przy nim.

– Na twoje szczęście nie jesteś już lekarzem odpowiedzialnym za pacjentów w tym szpitalu, doktorze Kibet.

– Dajcie go komuś młodszemu, komuś, kto ma przed sobą całe życie.



Nia po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego.

– Według mnie masz jeszcze sporo życia przed sobą, Elimie. Poza tym nie wiemy nawet, czy lek pomoże. To tylko próba. Nie mamy do czynienia z ebolą, więc potrzebujemy królika doświadczalnego, by sprawdzić, czy ZMapp zadziała. Kogoś, kto zrozumie i świadomie wyrazi zgodę na leczenie. Kogoś, kogo warto ocalić.

– Wielu ludzi warto ocalić.

– To prawda. Wybraliśmy ciebie. Muszę już iść, bo mam sporo rzeczy do zrobienia. Wołaj mnie, jeśli będę potrzebna.

Zanim Elim zdążył odpowiedzieć, wyszła.

Gdy zamknął oczy, uświadomił sobie, że jeśli przeżyje, stanie się odporny na ten okropny patogen. Będzie mógł pomagać innym, wrócić do pracy i niczym się nie martwić. Miał na co czekać. Miał po co żyć.

## ROZDZIAŁ 25

Czterdzieści kilometrów od granicy kenijskiej, w obozie treningowym w południowej Somalii, jeden z członków siatki terrorystycznej Asz-Szabab włączył swój smartfon i wszedł na stronę Daily Nation, największego portalu informacyjnego w Kenii. Pobieźnie sprawdzał wiadomości, szukając takich, które mogłyby pomóc sprawie.

Wpadł mu w oko nagłówek na samej górze strony:

### **EPIDEMIA W MANDERZE**

Wyprostował się, gdy przeczytał podtytuł artykułu:

*Pracownicy służby zdrowia z ramienia WHO i CDC pracują przy epidemii, prawdopodobnie eboli, w hrabstwie Mandera.*

Pobiegł do koszar i zaczął budzić członków swojej komórki. Mieli robotę do wykonania.



Peyton i Jonas siedzieli z tyłu SUV-a, podskakującego na zatłoczonej drodze gruntowej. Silnik ryczał, gdy przedzierali się przez chmurę pomarańczowego pyłu. W konwoju jechało sześć SUV-ów, a oprócz nich dwa transportery opancerzone wojska – jeden na przodzie konwoju, drugi tuż za SUV-ami, a także zamykająca procesję haubica samobieźna

Nora B-52.

Peyton i Jonas skorzystali z notatek Kibeta oraz strony internetowej CityForge, żeby prześledzić trasę, którą pokonali Lucas i Steven. Opierając się na wywiadach z chorymi wieśniakami w szpitalu w Manderze, a także na tym, czego dowiedzieli się z nagrań umieszczonych w Sieci, wytypowali wioskę, która według nich była źródłem epidemii. Teraz jechali do tego miejsca.

– O co chodziło ci w szpitalu? – spytał Jonas.

– Nie rozumiem.

– Wtedy, gdy rozmawiałaś o Desmondzie Hughesie. Czy on ma z tym jakiś związek?

– Nie wiem – odparła Peyton. Zastanawiała się, czy powiedzieć Jonasowi o telefonie od Desmonda, ale postanowiła to przemilczeć.

– Znasz go? Tego Hughesa?

Peyton się zawahała.

– Kiedyś znałam.

Jonas patrzył na nią, jakby próbował przejrzeć ją na wylot.

– Chyba coś nam umyka – powiedziała Peyton.

– Na przykład co?

– Jeszcze nie wiem. Coś mi... tu nie pasuje.

– Sądzisz...

– Sądzę, że ktoś jest odpowiedzialny za wybuch tej epidemii.

– Bioterroryzm? Tutaj?

– No wiem. To miejsce nie ma żadnego znaczenia strategicznego, politycznego ani symbolicznego.

– Chyba że... – Jonas zastanowił się przez chwilę. – Chyba że chce się przetestować patogen przed wypuszczeniem go na większą skalę.

Peyton chciała kontynuować tę rozmowę, ale samochód zwolnił, silnik ucichł. Gdy opadła chmura pyłu wzniecona przez konwój, po raz pierwszy ujrzała wioskę, do której zmierzali.

Zaschło jej w ustach.

– Wycofaj się – wykrztusiła z trudem. – Powiedz innym jednostkom, żeby się nie zbliżały.

## ROZDZIAŁ 26

### TRANSKRYPCJA PROGRAMU

Studio telewizyjne CNN

*Dzień dobry i dziękuję, że nas oglądacie. Najważniejszą informacją jest teraz śmiertelna epidemia w Kenii. Zabiła już dziesiątki ludzi, w tym jednego Amerykanina i jednego obywatela Wielkiej Brytanii. Anonimowe źródła w CDC i Departamencie Stanu podają, że objawy choroby przypominają ebolę, chociaż zastrzeżono, że testy na obecność tego wirusa jeszcze nie zostały przeprowadzone.*

*Co gorsza, stacja CNN właśnie się dowiedziała, że w tej chwili do Stanów Zjednoczonych przewożony jest zarażony pacjent. Władze CDC zdradziły, że Lucas Turner jest niedawnym absolwentem Uniwersytetu Karoliny Północnej, który zaraził się chorobą podczas podróży po północno-wschodniej Kenii.*

*Będziemy informować o dalszych szczegółach, w tej chwili chcielibyśmy jednak dowiedzieć się, jakie jest państwa zdanie. Czy CDC powinno sprowadzać pacjenta z niezidentyfikowaną, śmiertelną chorobą do Stanów Zjednoczonych? Czekamy na wasze opinie na Twitterze, pamiętajcie o hasztagu EpidemiiwAfryce.*

## ROZDZIAŁ 27

Kiedy Desmond się ocknął, był przypięty plastikowymi opaskami do fotela w samolocie. Maszyna leciała poziomo, czyli osiągnęła już chyba wysokość przelotową, ale właśnie pojawiły dość duże turbulencje.

Ręce przymocowano mu do podłokietników, nogi związano. Lekko uchylił powieki. Naprzeciw niego siedział muskularny mężczyzna z krótko ostrzyżonymi włosami, wpatrywał się w tablet, w uszy miał wetknięte słuchawki.

Desmond obmyślił plan ucieczki. Nie otwierając do końca oczu, zaczął kręcić głową i mamrotać. Mężczyzna wyjął z uszu słuchawki i odłożył na bok tablet. Jego potężna sylwetka pochyliła się nad bełkoczącym więźniem, który nagle zamachnął się głową i uderzył w górną część czoła swojego porywacza. Żołnierz padł na podłogę nieprzytomny.

Desmond pochylił się i zębami próbował uwolnić rękę z opaski. Gdyby tylko mógł lepiej uchwycić, udałooby mu się, zabrałby broń mężczyzny i...

Jakaś ręka chwyciła go za kark, odciągnęła mu głowę do tyłu i zakryła usta szmatką. Słodki aromat wypełnił nos i usta, Desmond znowu pogrzył się w czerni.

## ROZDZIAŁ 28

Pierwszy rzut oka na wioskę przeraził Peyton. Było zbyt cicho, zbyt pusto. Coś tu nie pasowało, obawiała się najgorszego.

Wraz z Jonasem i zespołem ruszyli pieszo w stronę wsi, wszyscy w strojach ochronnych, kilku członków grupy niosło zestawy do pobierania próbek, butelki z płynem nawadniającym i leki. Za nimi stanął biały kompleks namiotów. Mając za plecami słońce zachodzące nad jałowym, czerwonym krajobrazem, wyglądali jak kosmonauci na powierzchni Marsa.

Przed nimi dwa tuziny okrągłych chat smażyły się w ostatnich promieniach słońca, ściany z błota i strzechy pokrywające dachy opierały się upałowi. Na głównej drodze przecinającej wieś szwendały się kozy, co chwila wchodząc w czerwone chmury pyłu unoszącego się na wietrze.

Pierwsza chata była pusta. Ale w drugiej Peyton znalazła to, czego się spodziewała: zwłoki. Dwie dorosłe osoby, zapewne mąż i żona, leżały na plecach. Zaschnięta krew pokrywała ich twarze i klatki piersiowe. Obsiadły ich muchy. Obok leżało troje dzieci – dwóch synów i córka.

Peyton skinęła na Hannah, która podeszła do chatki, odstawiła przenośną lodówkę i zabrała się do pobierania próbek. Peyton uklękła przy dorosłych, odgoniła muchy i zaczęła szukać wskazówek, które pomogłyby jej w ustaleniu prawdopodobnej daty ich śmierci. Na pierwszy rzut oka ludzie ci nie żyli co najmniej od kilku dni. Niedobrze.

Znaleźli więcej ciał w innych chatach i kilka poza nimi. Niektórzy mieszkańcy prawdopodobnie chcieli umrzeć, czując na twarzy ciepło

słońca lub blask gwiazd. Peyton nie winiła ich za to.

Gdy odwracała się, żeby zawrócić do namiotów, kątem oka zauważyła jakiś ruch. Znieruchomiała i czekała. Tak, tam ktoś był, tuż za wsią, przyczaił się i przyglądał ich zespołowi.

Przez interkom powiedziała:

– Jonasie, widziałeś to?

Niemiecki epidemiolog już wracał do namiotów. Zatrzymał się.

– Co mianowicie?

Peyton odstawiła na ziemię pojemnik z próbkami i przygotowała się do biegu. Nie będzie łatwo w kombinezonie, ale nie mogła pozwolić sobie na jego zdjęcie. Pospiesznie odezwała się przez radio.

– Pułkowniku Magoro, słyszy pan?

– Tak, doktor Shaw.

– Natychmiast potrzebujemy grupy pańskich ludzi w miejscu, gdzie jestem. Nie przechodźcie przez wieś, poruszajcie się wokół niej i bądźcie czujni. Starajcie się pozostać w ukryciu i zachować ciszę. Proszę kazać swoim ludziom zająć stanowiska sto metrów na północ ode mnie.

– Zrozumiano – odrzekł kenijski oficer.

– Hannah, zabierz zespół z powrotem do namiotów i zdejmijcie kombinezony. Wsiądźcie do samochodów i bądźcie gotowi do odjazdu.

Jonas powrócił, stanął obok Peyton i zerknął na nią pytająco. Peyton skinęła nieznacznie w stronę krzaków. Jonas zrobił krok w ich kierunku, ale złapała go za rękę.

Po chwili odezwał się pułkownik Magoro.

– Jesteśmy na pozycji.

– Proszę uformować szyk i ruszyć w stronę wsi – zarządziła Peyton.

Kenijscy żołnierze podnieśli się, trzymając karabiny w pogotowiu, zaczęli cichutko się zakradać, jakby brali udział w polowaniu na grubego zwierza. Jeśli się myliła w kwestii tego, co zauważyła, jej błąd mógł okazać się brzemienny w skutkach. Pot płynął jej po czole. Pragnęła zdjąć hełm, otrzeć twarz i wlać trochę zimnej wody do kombinezonu.

Nagle krzaki pomiędzy kenijskim wojskiem a Peyton zadrżały i wybiegły z nich trzy postacie. Kobieta, młody chłopak i nastolatka,

wszyscy bardzo wychudzeni. Wieśniacy, którzy przeżyli, pomyślała Peyton. Ich spojrzenia były całkiem szalone, gdy biegli w stronę Peyton i Jonasa, uciekając przed żołnierzami. Potykali się, bo ugiwały się pod nimi nogi. Pułkownik Magoro i jego ludzie byli tuż za nimi, wrzeszczeli coś w suahili.

– Nie róbcie im krzywdy! – krzyknęła Peyton. – I trzymajcie się z daleka. Mogą być zarażeni.



Piętnaście minut później zespół Peyton znalazł się z powrotem w kompleksie namiotów. Umieściła troje mieszkańców wioski w polowym namiocie izolacyjnym, na wypadek gdyby nadal zarażali. Usiadła po drugiej stronie plastikowej przegrody i przyglądała się, jak troje Kenijczyków pożera posiłki z gotowych porcji, które wyjęła ze swojej torby. Chociaż słońce już zaszło, nadal mocno się pociła.

Pułkownik Magoro usiadł obok niej, mógł zacząć tłumaczyć.

Nastolatka oddychała ciężko po zjedzeniu posiłku z plastikowego pudełka. Popatrzyła na Peyton i ku jej zaskoczeniu odezwała się po angielsku.

– Dziękuję.

– Proszę – odparła Peyton. – Jak się nazywasz?

– Halima.

– Halimo, możesz mi powiedzieć, co się tutaj stało?

Nastolatka popatrzyła w stronę wsi.

– Zachorowali. Kaszleli, kichali. Jakby się przeziębili. A potem im przeszło, ale wszystkim się pogorszyło. Zaczęli umierać. To stało się bardzo szybko.

– Kto kasłał i kichał? Kilkoro ludzi?

Halima pokręciła głową.

– Wszyscy. My wszyscy. I pozostali.

Peyton rozmyślała nad jej słowami. Jeśli to była prawda, odmieni zupełnie patogenezę choroby. Jakikolwiek wirus był w Manderze,



wywoływał chorobę dróg oddechowych, a potem gorączkę krwotoczną. To był wyjątkowy morderca – łatwo się rozprzestrzeniał w dniach po zakażeniu, a wkrótce potem prawie wszystkich zabijał.

W oddali zauważyła postać odzianą w kombinezon ochronny, która zmierzała do wioski. Wstała, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale pojawił się Jonas, oparł się o maszt namiotu i podniósł rękę.

– To Hannah. Wydawało jej się, że coś zauważyła w jednej z chat. Poszła to sprawdzić.

Peyton zwróciła się do Magoro:

– Niech pan kogoś za nią wyśle. Tylko niech trzyma się skraju wioski i zabierze ze sobą noktowizor.

– Dobrze, pani doktor.

Magoro wstał i szybko powiedział coś do radia. Kilka sekund później dziesięciu mężczyzn wybiegło z kompleksu namiotowego.

Peyton podniosła tablet, żeby był widoczny przez plastikowe przepierzenie.

– Halimo, czy widziałas któregoś z tych trzech mężczyzn?

Na ekranie były zdjęcia dwóch amerykańskich absolwentów uniwersytetu oraz Brytyjczyk.

Nastolatka pokręciła głową.

– Możesz spytać pozostałych?

Halima przemówiła w języku, którego Peyton nie rozpoznawała. To nie było suahili, być może jakiś lokalny dialekt.

– Nie. Nie widzieli ich.

– Dziękuję. Czy pamiętasz, kiedy ludzie zaczęli chorować? Kiedy poumierali?

Halima naradziła się z pozostałą dwójką.

– Trzy lub cztery dni temu.

– A ten kaszel i katar? Jak dawno temu się zaczęły?

W namiocie izolatce wszyscy troje zaczęli coś mówić i sprzeczać się ze sobą.

– Nie jesteśmy pewni. Może tydzień temu. Albo trochę więcej.

Peyton skinęła głową.

– Dziękuję. Bardzo nam pomogłaś. To bardzo przydatne informacje.



Dziesięć minut później Hannah wróciła do namiotów, niosąc ciemny przedmiot, którego Peyton nie umiała nazwać. Czymkolwiek to było, obchodziła się z nim jak z jajkiem. Zapakowała go do worka, zanim weszła do komory dekontaminacyjnej.

Po krótkiej chwili Hannah położyła plastikowy worek na stole konferencyjnym. Peyton, Jonas, Millen Thomas i kilku przedstawiciele kenijskiego Ministerstwa Zdrowia pochyliłi się nad nim, żeby bliżej przyjrzeć się zawartości.

To była ręczna kamera wideo, pokryta krwią.

Hannah zajęła miejsce przy stole.

– Byli tu. Ci dwaj Amerykanie.

– Dobra robota, doktor Watson – pochwaliła Peyton.

Młoda lekarka rozpromieniła się.

Peyton wskazała zniszczony notes ze spiralą na grzbiecie leżący na stole.

– Przeczytałam zapiski doktora Kibeta. Spisał szczegółową historię opowiedzianą przez Stevena Collinsa przed śmiercią. Dużo rozmawiał też z Lucasem Turnerem, zanim odesłaliśmy go do Atlanty. Obaj mężczyźni mówili, że kasłali, bolała ich głowa, mieli gorączkę i osłabienie tydzień przed tym, jak Steven zachorował.

– Mój Boże – powiedział Jonas.

– Mamy do czynienia z zupełnie nowym, niezidentyfikowanym patogenem – oświadczyła Peyton. – Na samym początku wywołuje objawy podobne do grypy. Tydzień, może dwa tygodnie później zabija.

– Skąd się wziął? – spytał Jonas.

– Widzę dwie możliwości – odparła Peyton. – Albo wywodzi się stąd, z Kenii, albo został sprowadzony tutaj przez Amerykanów.

– Paczka od Desmonda Hughesa – rzucił Jonas.

Peyton się zawahała.

– Niewykluczone.

Kenijczycy, Hannah i Millen popatrzyli na siebie, nic nie rozumiejąc.

Peyton skupiła się na szefie zespołu kenijskiego Ministerstwa Zdrowia.

– Wysłaliście zespoły do wsi wokół Mandery, z których do manderskiego szpitala zgłaszali się chorzy, prawda?

– Tak. Ale tam było inaczej niż tutaj. Kilka osób umarło. Wszyscy pozostali są chorzy.

Peyton wstała i podparła się pod boki.

– Dobrze, podsumujmy, co wiemy. Naszym pacjentem zero jest albo Steven Collins, którego ciało znajduje się właśnie w drodze do CDC, albo jeden z tych martwych mieszkańców wsi, których przed chwilą zobaczyliśmy.

Millen, który był weterynarzem, odezwał się po raz pierwszy.

– Jeżeli jeden z mieszkańców wsi wszedł w kontakt z rudawką lub jej odchodami, rezerwuar wciąż może być w pobliżu.

Wysłannik kenijskiego Ministerstwa Zdrowia zapytał lokalnego tłumacza, czy w okolicy znajdują się jakieś jaskinie lub inne miejsca występowania nietoperzy.

Mężczyzna przytaknął.

– Jest wiele jaskiń.

Millen szybko wstał od stołu.

– Przygotuję się.

Peyton podniosła rękę.

– Spokojnie, kowboju. – Gestem wskazała księżyc, który jaśniał na niebie. – Masz wyruszyć z samego rana, kiedy twój umysł będzie świeży, a zespół wspierający dobrze wypoczęty. Poza tym tu na miejscu jest też dużo do zrobienia. Temperatura wkrótce spadnie jeszcze bardziej i będziemy mogli dłużej popracować w kombinezonach. Wybuch epidemii eboli w Afryce Zachodniej przypomniał nam o jednej ważnej kwestii: zwłoki będące nosicielami patogenu mogą być równie niebezpieczne jak żyjący nosiciele. Do wielu zakażeń ebolą w Afryce Zachodniej doszło podczas pogrzebów, gdzie afrykańskie obrzędy, takie jak całowanie zmarłego, przyczyniły się do rozprzestrzenienia zarazy poza tereny

wiosek.

Peyton przyjrzała się mapie wiszącej na ścianie, po czym wzięła w kółko wsie przylegające do B9, głównej drogi prowadzącej na południe.

– Jonasie, sądzę, że powinniśmy wysłać zespoły do tych wiosek i postępować zgodnie z procedurą bezpieczeństwa: izolacja i kwarantanna. Wydaje mi się, że są spore szanse na to, że znaleźliśmy tutaj punkt zerowy.

– Zgoda – odparł Jonas. – Zadzwońię do Mandery i wyznaczę zespoły.

– Pułkowniku, chyba pora na rozstawienie punktu kontrolnego na B9 – powiedziała.

Kenijski oficer skinął głową.

– I chciałabym, żeby pańscy ludzie wykopali dół pod ognisko.

– Jak duży?

– Wystarczająco duży, by spalić nasze kombinezony z całego dnia i wszystko w wiosce, co może zawierać patogen.

– Ciała też? – spytał pułkownik.

– Jeszcze nie. Chcemy zapakować je do worków w ciągu kolejnej godziny. Później o tym porozmawiamy. Teraz musimy zapobiec dalszemu przenoszeniu się patogenu. Leżą martwi co najmniej od kilku dni, więc nietoperze, ptaki, szczury i inne zwierzęta żywiły się ciałami i mogły się od nich zarazić.

– Kiedy chce pani palić materiał?

– Najlepiej pod koniec każdego dnia.

– Odradzam – rzekł pułkownik Magoro. – Terrorysty z Asz-Szabab zapewne są już świadomi waszej obecności w Kenii. Duże ognisko uczyni z nas dobry cel.

– Co pan sugeruje?

– Możemy wykopać teraz dół, wypełnić go materiałem, przykryć plandeką i jak najlepiej zabezpieczyć. Kiedy wyjedziemy, zostawię tu dwóch ludzi, żeby spalili wszystko, gdy oddalimy się o kilka godzin jazdy.

Peyton spojrzała na Jonasa, który lekko skinął głową.

– Pasuje nam.



Trzy godziny po zachodzie słońca okazały się fizycznie i psychicznie wyczerpujące. Kiedy skończyli, dół wykopany przez ludzi pułkownika Magoro był wypełniony kombinezonami i różnymi rzeczami wyniesionymi z wioski, od szczoteczki do zębów po zabawki, ubrania i jedzenie. Nad kraterem rozciągał się patchwork oliwkowozielonych plandek połączonych ze sobą taśmą klejącą, która wyglądała jak srebrna nić łącząca plastikową narzutę.

W białym namiocie leżał stos czarnych worków na zwłoki. Z każdą mijającą godziną odór śmierci i rozkładających się ciał malał, aż w końcu nocny wiatr wywiał go z wioski.

W swoim namiocie Peyton usiadła ciężko na łóżku i zaczęła w nogi i ręce wcierać masć, żeby ukoić ból mięśni. Była ubrana w biały podkoszulek i spodenki gimnastyczne, które kończyły się wysoko na udzie; jedno i drugie przesiąkło potem.

Chociaż bolało ją całe ciało, czuła się komfortowo, o wiele lepiej niż ostatnimi czasy. Od ostatniej misji, uświadomiła sobie. To była prawda: ten namiot w Trzecim Świecie, a nie jej apartament w Atlancie, był jej prawdziwym domem. Tutaj była najspokojniejsza i miała przed sobą jasny cel. Mimo stresu i długich godzin pracy czuła się zrelaksowana.

Jej praca polegała na namierzaniu epidemii, ale to był również styl życia. Wirusy były przewidywalne: można je było zlokalizować i zrozumieć. W przeciwieństwie do ludzi, którzy zachowywali się irracjonalnie i nigdy nie było ich w pobliżu, gdy byli potrzebni. Ludzie zawsze wydawali jej się zagadkowi. I ranili innych. Szczególnie mężczyźni.

Peyton zdawała sobie sprawę, że niedługo będzie musiała podjąć najważniejszą decyzję w życiu: założyć rodzinę i ustatkować się czy poświęcić się pracy. Nadal nie wiedziała, czego chce, ale tutaj, w Afryce, w samym środku epidemii, była na swoim miejscu. Jednak jednocześnie czuła w środku pustkę. Pobyt tutaj nie wypełniał jej, ale pozwalał na

trochę o niej zapomnieć.

Jonas odchylił klapę i wetknął głowę do namiotu. Zatrzymał się, skrzywił, gdy do jego nozdrzy dotarł zapach maści.

– Fuj, jakie to mocne.

– Przepraszam. Mogę to zrobić na zewnątrz.

– Nie, zostań. Ja też skorzystam. Potwornie bolą mnie plecy.

Nie pytając, wyjął tubkę z jej ręki.

– Daj trochę. – Wycisnął porcję żelu. – Co sobie smarowałaś?

– Nogi i ręce.

– Daj, posmaruję ci plecy. – Suchą ręką pokazał jej, że ma usiąść na podłodze, tyłem do niego. Peyton usiadła ze skrzyżowanymi nogami, plecami wygiętymi w łuk, ramionami pochylonymi do przodu. Jonas wyciągnął przed siebie nogi, jego łydki dotykały jej kolan.

Kiedy ręka z żelem zetknęła się z jej plecami, Peyton gwałtownie wciągnęła powietrze i jeszcze bardziej naprężyła kręgosłup.

– Przepraszam – powiedział Jonas.

– Spoko. Następnym razem najpierw mnie ostrzeż.

Jonas powoli wmasowywał kojący żel w krzyż Peyton, najpierw ugniatając ciało nad jej pośladkami. Poczowała, jak opuszcza jej szorty, a potem podciąga przepocony, biały podkoszulek, żeby natrzeć skórę powyżej.

– Nigdy nie pozbędziesz się tego zapachu z ubrań.

Bez słowa zsunęła spodenki i rzuciła je w kąt. Przez głowę zdjęła podkoszulek i położyła go na łóżku. Nie pierwszy raz Jonas widział ją w bieliźnie, ale nadal odczuwała lekkie zdenerwowanie.

Jego ręce zsunęły się z jej pleców i zaczęły masować mięśnie brzucha. Dłonie robiły duże, rytmiczne koła, delikatnie dotykając skóry pod piersiami.

Peyton poczuła łaskotanie w brzuchu.

– Świetna robota ze znalezieniem tej wsi – pochwalił ją Jonas. – Być może jesteśmy blisko rozwiązania sprawy.

– Tylko zgadywałam... – Próbowała zapanować nad swoim głosem, chociaż oddychała szybciej.

– Z doświadczenia wiem, że twoje przypuszczenia często są słuszne. – Wmasował żel w jej boki, pokrywając skórę od żeber aż po pachy. – Długo ze sobą pracujemy, a nigdy tak naprawdę nie mówiłaś o sobie. Praktycznie nic o tobie nie wiem.

– Nie ma wiele do opowiadania.

– Nie wierzę. Powiedz mi coś, czego o tobie nie wiem. Co robisz dla przyjemności?

– Niewiele. Cały czas pracuję.

– A kiedy nie pracujesz?

– Czytam. Biegam.

Peyton usłyszała, że Jonas wyciska kolejną porcję żelu z tubki, poczuła jego dłonie poruszające się w górę pleców, ich nacisk, gdy wsunęły się pod pasek stanika, przyciągając go bliżej jej piersi.

– Mogę zadać ci osobiste pytanie?

– Pewnie – wyszeptała.

– Sądzę, że jesteś wspaniałą osobą. Mądrą. Dowcipną. Masz cudowne serce. Dlaczego nie założyłaś rodziny?

Peyton poczuła, że jego dłonie zatrzymują się na jej ramionach, czekał na odpowiedź. Przez chwilę myślała o swoim bracie. Potem o ojcu. W końcu o mężczyźnie, który odszedł kilka lat temu.

– Nigdy nie spotkałam mężczyzny, który byłby ze mną, gdy go najbardziej potrzebowałam.

– Ja zawsze byłem tam, gdzie mnie potrzebowałaś – powiedział Jonas.

– To prawda.

Jonas zabrał nogi i przesunął się przed nią. Siedzieli w ciszy przez dłuższą chwilę. Szukał jej oczu, jakby chciał zadać pytanie, na które Peyton zupełnie nie była gotowa. Kiedy jego usta zbliżyły się do jej ust, poczuła całkowicie nowy rodzaj strachu.



W sąsiednim namiocie Hannah Watson zajęta była nakładaniem maści przeciwzapalnej na skórę. Rozebrała się do stanika i majtek; jej

przesiąknięte potem ubrania wisiały na sznurze, który przywiązała do stelaża namiotu. Zakładała, że niedługo wyschną. Reszta jej rzeczy pozostała nierozpakowana, torby stały schludnie przy jednej ze ścian. Strona, którą zajmował jej współlokator, była całkowitym przeciwieństwem jej części namiotu: przedmioty osobiste należące do Millena leżały rozrzucone, jakby przez namiot przeszła rodzina niedźwiedzi.

Stojąc pośrodku namiotu, pochyliła się z szeroko rozstawionymi nogami, żeby oburącz wetrzeć białą maść w łydki i uda.

Za sobą usłyszała odgłos odsuwanych klap namiotu, zerknęła więc między nogami i zauważyła Millena, na jego twarzy malowała się mieszanina zaskoczenia i oszołomienia.

– Ojej, przepraszam – rzucił zażenowany. Odwracał się, żeby wyjść, kiedy Hannah się wyprostowała.

– W porządku. Po prostu... odwróć się na chwilę.

Skończyła nakładanie maści i wsunęła się pod nakrycie na łóżku.

– Już.

Odwrócił się, a ona podała mu tubkę.

– Chcesz trochę? Pomaga.

– Nie, dzięki. Jestem zbyt zmęczony. – Millen otworzył buteleczkę z ibuprofenem i zażył cztery tabletki.

– Ja też – powiedziała Hannah. – Jestem zbyt zmęczona, żeby czytać.

– Czuję się podobnie. Ale wydaje mi się, że nie będę mógł zasnąć.

Hannah przytaknęła.

– Za bardzo się nakręciłem.

Popatrzyła na sufit z materiału.

– Jestem wyczerpana, ale nie mogę przestać myśleć o jutrze.

Millen podniósł telefon, pokazując Hannah aplikację do odtwarzania audiobooków ze ściągniętą książką.

– Będę słuchał *Słowika*. Dopiero zaczynam.

Hannah podparła się na łokciu, zrobiła zaskoczoną minę.

– Co, czytałaś to?

– Nie. Ale od jakiegoś czasu mam na liście.



– Na jakiej liście?

– Książek do przeczytania.

– Aha. Nie mam takiej listy – przyznał się Millen. – Po prostu wybieram jakąś książkę i ją czytam.

To jej nie zaskoczyło w najmniejszym stopniu, ale zdziwiona była tym wyborem i on to chyba zauważył.

– No co?

– Nic, po prostu nie sądziłam, że będzie ci się podobała taka książka.

Millen zerknął na telefon i przyjrzał się okładce.

– A co to za książka?

– To... literatura piękna.

Odsunął się, udając oburzenie.

– Musisz wiedzieć, że jestem niezwykle odcytany. Jestem nadliterackim typem.

– W porządku, panie nadliteracki, jak to działa?

– O tak. – Millen przyłączył do telefonu białe słuchawki, wsadził słuchawkę w lewe ucho, następnie przyklęknął przy łóżku Hannah i wsadził drugą słuchawkę do jej prawego ucha. Usiadł na podłodze namiotu i oparł się o jej łóżko, by jego głowa znalazła się na tyle blisko jej głowy, żeby koleżanka mogła się poruszyć. Włączył przycisk w telefonie i Hannah usłyszała słowa, od których zaczynało się tak wiele dobrych książek w jej życiu: *To wersja audio*.

Wyjęła słuchawkę z ucha.

– Nie bądź bohaterem – powiedziała. – Wskakuj.

Przesunęła się na łóżku, robiąc mu miejsce. Zdjął buty i położył się obok niej.

W pewnej chwili, nie wiedziała dokładnie kiedy, odwróciła się tyłem do niego i położyła na boku, żeby zrobić więcej miejsca. Zaraz potem poczuła jego rękę na swoim brzuchu. Przyciągnął ją bliżej siebie.



Kiedy usta Jonasa znalazły się tuż przy twarzy Peyton, odwróciła

głowę.

– Przepraszam – powiedział i uciekł wzrokiem w bok.

– Nie – zaprotestowała szybko. – Nie o to chodzi. Coś usłyszałam.

– Co?

Peyton zamilkła na chwilę.

– Śmigłowce.

Wstała, ubrała się i wyszła przed namiot. Dwa czarne helikoptery lądowały obok wioski. Kilka sekund później w jej stronę biegli żołnierze uzbrojeni w karabiny szturmowe.

## ROZDZIAŁ 29

Gdy śmigłowce wylądowały, wyskoczyli z nich żołnierze pułkownika Magoro, którzy następnie wpadli do kompleksu namiotów i uformowali krąg wokół Peyton, Jonasa i innych pracowników służby zdrowia. Magoro wybiegł z namiotu i wydawał przez radio rozkazy.

Kiedy opadł pył, Peyton zdołała jedynie dostrzec oznakowanie kenijskiej armii na obu maszynach.

– Co się stało? – zapytała Magoro.

– Rozprzestrzenia się. Poprosili o waszą pomoc. To pilne.

Peyton ruszyła z powrotem do namiotu, żeby się spakować.

– Zabierzcie jedzenie i wodę – doradził Magoro. – Podróż może być długa.



W ciemności nocy śmigłowiec leciał ponad rzadko zaludnionym regionem wschodniej Kenii wzdłuż granicy z Somalią. Od czasu do czasu, dzięki światłom samochodów, Peyton widziała jałową, kamienistą ziemię oraz wzgórza w oddali.

Była potwornie zmęczona, ale chciała porozmawiać z Jonaszem o tym, co się stało – lub niemal stało – w namiocie. Jednak nie mogła się przełamać. Nie wiedziała, od czego zacząć. Wytłumaczyła sobie, że milczy, bo jest zmęczona, a poza tym helikopter hałasuje. Nie chciała zakładać słuchawek i rozmawiać, gdy piloci słuchają. Jednak żaden

z tych powodów nie był istotny. Zamiast tego oparła głowę o zagłówek. Lekka wibracja odczuwana w śmigłowcu wkrótce zaczęła ją uspokajać. Po kilku minutach zasnęła.



Kiedy się obudziła, jej głowa spoczywała na ramieniu Jonasa. Z ust wypłynęła jej strużka śliny. Podniosła rękę, próbując ją zetrzeć.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. – Ledwie słyszała jego głos przez hałasujące wirniki śmigłowca.

Nad dużym miastem zeszli nieco niżej. W dole błyskały światła. Paliło się wiele ognisk, niektóre z nich dość duże.

Peyton zerknęła na zegarek. Byli w powietrzu od kilku godzin. Jeśli choroba rozprzestrzeniła się tak daleko – do miejsca gęsto zaludnionego – wszystko uległo zmianie.

Gdy śmigłowiec lądował, Peyton zobaczyła, że ulice miasta zostały zaprojektowane na planie siatki. Jeździło po nich niewiele aut, jedynie wojskowe ciężarówki, lecz na drogach zebrały się tłumy ludzi, którzy popychali barierki i krzyczeli.

Drugi pilot odwrócił się do nich i wskazał swoje słuchawki.

Peyton i Jonas założyli zestawy.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała.

– Dadaab. W obozie uchodźców – odparł drugi pilot.

Peyton przypomniała sobie obóz uchodźców Daadab ze sprawozdania Departamentu Stanu. Leżał w Kenii, około stu kilometrów od granicy z Somalią i był największym skupiskiem uchodźców na świecie, gdyż żyło tam ponad trzysta tysięcy ludzi, wielu w skrajnej nędzy. Ponad osiemdziesiąt procent mieszkańców stanowiły kobiety i dzieci i prawie wszyscy byli Somalijczykami, którzy uciekli przed suszą i wojnami od lat toczącymi się w ich kraju. Ostatnio rząd Kenii zagroził, że zamknie obozy w odpowiedzi na ataki terrorystyczne grupy Asz-Szabab w tej okolicy, które, jak uważano, mogły zostać przeprowadzone przy

współudziale współników zamieszkujących obozy. Tylko w zeszłym roku ponad sto tysięcy uchodźców zostało odesłanych z powrotem do Somalii.

– Ilu jest zarażonych? – zapytała Peyton.

Odpowiedział żeński głos. Peyton od razu ją rozpoznała: Nia Okeke, przedstawicielka kenijskiego Ministerstwa Zdrowia, którą poznała w Manderze. Widocznie również leciała tym śmigłowcem.

– Tysiące. Choruje przynajmniej dwa tysiące uchodźców. Są również przypadki zachorowań w obozie organizacji pomocowych, w tym wśród pracowników Czerwonego Krzyża i ONZ.

Nia opisała rozkład wielkiego kompleksu, który składał się z czterech obozów: Ifo II, Dagahaley, Hagadera i obozu organizacji pomocowych.

W oddali Peyton zauważyła samolot transportowy lądujący na jedynym pasie lotniskowym.

– Co przywozicie?

– Wojsko i zapasy. Zarządziliśmy kwarantannę Dadaab.

– Jak możemy pomóc? – spytał Jonas.

– Potrzebujemy waszej rady. Co byście zrobili w tej sytuacji?

Peyton i Jonas zadali jeszcze kilka pytań, a potem porozmawiali na osobności, chociaż podniesionymi głosami, żeby przekrzyczeć hałas wirników helikoptera. W końcu ustalili listę rekomendacji. Zasugerowali Kenijczykom podzielenie obozu na cztery oddzielne sekcje: obszar kwarantanny dla osób podejrzewanych o kontakt z zainfekowanymi, strefę izolacji dla potwierdzonych przypadków i dwa obozy wspierające. Pierwszy obóz wspierający byłby dla personelu, który wszedł w kontakt z potencjalnie zainfekowanymi ludźmi. W drugim mieszkaliby pracownicy, którzy nie mieli styczności z patogenem. Pracownicy z bezpiecznego obozu będą mogli rozładowywać transporty i wchodzić w interakcje z ludźmi spoza kompleksu obozowego.

W ciągu wielu lat walk z epidemiami ani Peyton, ani Jonas nie mieli do czynienia z sytuacją taką jak ta tutaj; musieli więc wymyślać zasady postępowania na bieżąco. Poradzili Kenijczykom poddanie kwarantannie Garissy, najbliższego miasta, i zamknięcie A3 oraz drogi łączącej Habaswein z Dadaab, dwóch głównych tras prowadzących do obozu.

Kiedy już omówili szczegóły, śmigłowiec zawrócił i poleciał w stronę wsi, gdzie Peyton i Jonas rozbili obóz.

Jonas zdjął zestaw słuchawkowy i pochylił się nad Peyton.

– Źle to wygląda. To może być najgorszy kryzys uchodźczy od czasów Rwandy.

– Zgadzam się. – Peyton wyjrzała przez szybę. – To nie ma sensu. Dadaab znajduje się za daleko Mandery i za daleko od tej wioski. Te amerykańskie dzieciaki nigdy tu nie były, a przynajmniej tak wynika z ich strony internetowej i tego, co mówili Kibetowi.

– Co o tym sądzisz?

– Coś tu nie gra.

– Co na przykład?

– Nie wiem. Muszę odpocząć. I trochę pomyśleć.

Rozwiązanie było w zasięgu ręki, ale w wibrującym śmigłowcu zmęczona Peyton nie mogła się skupić. Z jakiegoś powodu po raz drugi tej nocy zaczęła myśleć o swoim bracie. Umarł przy wschodniej granicy Ugandy, kilkaset kilometrów stąd, pewnej nocy w listopadzie 1991 roku.



Słońce wschodziło nad wsią, kiedy kenijskie śmigłowce wojskowe wysadziły Peyton i Jonasa. Miasteczko białych namiotów wydawało się lśnić w słońcu, gdy zbliżali się w jego stronę, podmuchy wywołane łopatom wirnika szarpały ich włosami.

Peyton była wyczerpana, ale musiała zadzwonić do Elliotta, a także do Centrum Operacji Kryzysowych przy CDC. Sytuacja się zmieniła. Epidemia rozprzestrzeniła się dalej, niż się spodziewała.

# DZIEŃ 4

**1 mln 200 tys. zarażonych**

**500 ofiar śmiertelnych**

## ROZDZIAŁ 30

Kiedy Desmond się ocknął, leżał na boku na ubitej ziemi w maleńkim pomieszczeniu. Z trzech stron otaczały go drewniane ściany, czwarta natomiast była kratą. Z początku myślał, że siedzi w jakiejś obskurnej celi więziennej. Dopiero po bliższej inspekcji poznał prawdę: leżał w boksie stajni.

Ręce i nogi nadal miał mocno związane. Bolało go całe ciało – nawet bardziej niż pamiętnego poranka w Berlinie. Nie obchodzili się z nim delikatnie, gdy przynosili go z miejsca na miejsce.

Z wysiłkiem usiadł i pochylił się do przodu. Przez kraty zobaczył przejście biegnące środkiem stajni. Na zewnątrz panował mrok. Od jak dawna był nieprzytomny?

Ten, kto przystosował boks do przetrzymywania w nim więźnia, robotę wykonał skrupulatnie. Chociaż podłoga była klepiskiem, drewniane ściany zostały wzmocnione poziomymi zbrojeniami, które ciągnęły się od góry i sięgały ziemi. Mając dość czasu, mógłby wykonać podkop, ale nie w obecnej sytuacji.

Ból w ciele i świadomość tego, że został uwięziony, przywróciły wspomnienie pewnego wydarzenia. Widział je tak wyraźnie, jakby znowu w nim uczestniczył.



Desmond miał pięć lat. Obudził się wcześniej, włożył na siebie jakieś



brudne ubrania i wybiegł z domu. Jego mama pojawiła się na ganku, gdy dobiegał do pierwszej bramy.

– Wróć na lunch, Des, bo złożę ci skórę!

Wybiegł przez furtkę, udając, że jej nie słyszy.

Szedł przez brązowe pole, a towarzyszył mu pies. Zwierzę miało często czerwony nos, ponieważ wgryzało się w ciało dziczyzny, którą upolowało; z tego powodu Desmond wołał na psa Rudolf.

Desmond był pewien, że Rudolf był najszybszym psem w Australii i najlepszym opiekunem stada na świecie. Chociaż nie przeprowadził dokładnego przeglądu innych wiejskich psów, nie miał żadnych wątpliwości. Rudolf był również gwiazdą wśród robotników ojca, dzisiaj tato zostawił psa w domu dla Desmonda. Ojciec mógł sobie bez niego poradzić, a Rudolf uwielbiał, gdy we dwóch wybierali się na poszukiwanie przygód.

Na szczycie wzgórza Desmond zatrzymał się, żeby popatrzeć na gospodarstwo, stajnię oraz pomalowany płot otaczający ich teren.

Ujrzał ojca siedzącego na koniu. Stado owiec przed nim wyglądało jak brudna chmura. Zdjął kapelusz i pomachał nim, przyzywając syna do siebie.

Niekiedy udawał, że nie słyszy wołania mamy, ale polecenia ojca nie zamierzał zignorować. Mama łatwiej przebaczała.

Desmond od razu ruszył przed siebie i kiedy stanął przed koniem ojca, usłyszał:

– Nie oddalaj się, Des. Wracaj do domu i pomóż mamie przygotować lunch.

– Dobrze, tato – wymamrotał Desmond, który odniósł wrażenie, że po słowach ojca wyrosła mu kula u nogi.

– I przynieś to, co upoluje Rudolf. – Odczepił worek od siodła i rzucił go na ziemię. – No, idź już. Baw się dobrze.

Desmond ruszył z torbą w ręce i Rudolfem przy nodze. Raz odwrócił się za siebie, jego ojciec i stado byli już prawie niewidoczni. Stan Australii Południowej doświadczał najgorszej suszy od lat. Każdego tygodnia jego ojciec musiał gnać owce coraz dalej, żeby znaleźć pastwisko i wodę.

Niemiłosierne słońce i bezchmurne niebo zabijało ich inwentarz.

Pół godziny później Desmond dotarł do zarośli, gdzie budował swój fort. Nie marnując ani sekundy, przystąpił do ciężkiej pracy – przynosił kamienie z leżącego nieopodal wyschłego koryta rzeki i okładał je błotem, żeby postawić z nich ściany. W krzakach zostawił siekierę i szpadel, którymi pomagał sobie w pracy. Gdyby jego ojciec o tym wiedział, byłby zły. Desmond postanowił odnieść je na miejsce jeszcze tego samego dnia.

Nie miał zegarka, ale od czasu do czasu zerkał na niebo i sprawdzał, jak daleko do południa. Rudolf potulnie siedział na warcie, podczas gdy Desmond ustawiał kamień na kamieniu. Gdy słońce powiedziało, że ma już wracać, błoto pokrywało go od stóp do głów.

Żałował, że w strumieniu nie było wody, chociażby małej strużki, w której mógłby umyć ręce. Rzeka wyschła dwa tygodnie wcześniej.

Ruszył w drogę powrotną do domu.

W chwili gdy wyszedł spośród drzew, poczuł dym.

Ciemne chmury wznosiły się na wschodzie. Pożar buszu nadciągał z tej strony, w którą pojechał jego tata, i zmierzał w kierunku ich domu.

Desmond upuścił siekierę i szpadel i zaczął biec. Musiał dotrzeć do domu i ostrzec rodzinę. Ojcu nic nie będzie. Był najtwardszym człowiekiem na świecie, Desmond miał całkowitą pewność w tej kwestii.

Rudolf biegł tuż obok niego i czekał.

Z każdym krokiem wiatr się wzmacniał. Smagał go po twarzy. Na grani po jego lewej stronie wiatr gnał ogień, podnosił go, rozrzucał, walił nim o ziemię. Płomień wirował jak derwisz, podskakiwał, owijał się wokół drzew, zmieniał je w dym i sadzę.

Na wzgórzu, gdzie Desmond się zatrzymał, zaczął wołać o pomoc, mając nadzieję, że ktoś go usłyszy. Otoczył go dym, zamknęła się czarna kurtyna. I kiedy wiatr na chwilę rozwiął zasłonę, Desmond przeraził się tym, co ujrzał.

Jego dom stał w płomieniach.

Krzyczał ile sił w płucach. Rudolf wył.

Desmond zszedł do doliny i ruszył biegiem w stronę płomieni. Na linii

ognia, w miejscu gdzie płomienie pochłaniały wysoką trawę, zatrzymał się i zastanowił przez chwilę. Rudolf ledwie przy nim wyhamował i zaczął się rozglądać wokół. Desmond zdjął worek przytroczony do pasa, rozdarł go na dwie części, owinał je sobie wokół przedramion i przymocował sznurkiem.

Podciągnął koszulkę, żeby okryć twarz przed dymem. Zebrał się na odwagę i ruszył biegiem w płomienie, by ratować życie swojej rodziny.

Nie zniechęciły go pierwsze kroki. Napędzała go adrenalina. Płomienie osmaliły mu włosy na nogach. Czarny popiół i czerwone rozżarzone drobinki pryskały mu spod nóg, parzyły, gdy spadały na skórę.

Kiedy stopiły się podeszwy butów, ból zwyciężył. Krzyknął, prawie się przewrócił. Ogień sięgał mu do pasa i zobaczył, jak zapada się dach domu, a płomienie wszystko pożerają. Wraz z dachem w pył rozpadła się również jakaś jego część: emocjonalny mur, nadzieja, której się trzymał. Wrzeszczał z całych sił – z bólu, który rozchodził się po jego ciele i w sercu.

Odwrócił się i skierował w przeciwną stronę, nie był tak szybki jak wcześniej, teraz drżały mu nogi. Znowu wołał o pomoc w nadziei, że ojciec wjedzie na koniu w ogień, zarzuci go na grzbiet zwierzęcia i galopem wywiezie z tego piekła.

Jednak ojciec się nie pojawił.

Desmonda zawodziły własne nogi. Nie da rady. Słyszał szczekanie Rudolfa. Kierował się w stronę dźwięku. Zgubił się w chmurze dymu. Kręciło mu się w głowie, czuł się tak, jakby miał zaraz zemdleć. Dym wypełniał usta, dławił go. Kasłał, zgiął się wpół, ale żar buchający z płomieni sięgających pasa sprawił, że się wyprostował. Nie mógł myśleć. Zwolnił. Teraz już tylko szedł.

Przez przerwę w płomieniach zobaczył Rudolfa, szczekającego i tańczącego na spalonej ziemi. Ten widok dodał mu sił. Wyrwał do przodu, ostatkiem sił rzucił się do biegu.

Upadł w chwili, gdy wybiegł z ognia. Rozżarzone grudy leżące na wypalanej ziemi wbijały mu się w nogi. Zaczął się czołgać, worek, którym obwiązał ręce, sprawił, że nie poparzył rąk tak bardzo jak gołych nóg.

Rudolf piszczał, lizał go po szerniałej, pokrytej sadzą twarzy, zachęcał do większego wysiłku. Zanim Desmond zemdłał, pomyślał: Nie udało mi się. Mogłem ich uratować. Powinienem ich uratować.



Kiedy się ocknął, nadal czuł zapach dymu w nosie i jego smak w ustach. Bolało go ciało, nogi paliły, jakby wciąż osmalał je ogień. Gdy przyzwyczał się do bólu, uświadomił sobie, że coś spoczywało na jego piersi: jakiś zimny metalowy dysk. Otworzył łzawiejące oczy. Pochyliła się nad nim jakaś młoda brązowowłosa kobieta i osłuchiwała go stetoskopem. Desmond pomyślał, że jest niewiarygodnie piękna.

Uśmiechnęła się.

– Cześć.

Rozejrzał się. Znajdował się w dużej sali, na podłodze leżały grube koce. Na naciągniętych sznurkach wisiały białe prześcieradła przytrzymywane spinaczami do bielizny, które oddzielały od siebie kilka prowizorycznych łóżek.

Była noc, tak wywnioskował z panującej tam atmosfery. Salę oświetlały lampy naftowe.

Na końcu rzędu białych prześcieradeł dostrzegł czarną tablicę, na górze wypisano litery alfabetu.

*Sala lekcyjna.* W szkole, do której wkrótce będzie chodził. Albo i nie.

Jęki i krzyki dobiegały z każdego kąta. Od czasu do czasu słyhać było wrzask. I ten zapach... nie przypominał niczego, co Desmond znał. Najbardziej przypominał zapach grilla, ale nieco się różnił. Wiedział dlaczego. Kiedy zarzynano zwierzęta, patroszono je, a mięso pieczono. Ale tutaj... nie było ognia. Wonie atakowały go z każdej strony. Węgiel drzewny. Słodkie perfumy. Spalony tłuszcz. Krew. I zgnilizna, jakby ktoś przez kilka dni trzymał padlinę w stodole.

Kiedy jego wzrok zatrzymał się na kobiecie, zaczęła do niego mówić.

– Będzie dobrze, Desmondzie. Miałeś szczęście.

Nie czuł się jak szczęściarz.

– Gdzie moja rodzina?

Jej uśmiech zniknął. Wiedział, zanim otworzyła usta. Zamknął oczy i płakał. Nie przejmował się tym, że ktoś to zobaczy.



Wróciła następnego dnia przed lunchem, zbadała go tak jak poprzedniej nocy i zmieniła mu bandażę na nogach i w kilku innych miejscach. Zaciskał zęby z bólu, ale nie krzyczał. Z jej miny wywnioskował, że to zajęcie może być dla niej bardziej przygnębiające niż dla niego.

Wyjaśniła mu, że ma na imię Charlotte i jest wolontariuszką, jedną z wielu pracujących na południowym wschodzie Australii po tym, jak rejon został dotknięty katastroficznymi pożarami buszu.

– Co się ze mną stanie?

– Skontaktujemy się z twoimi krewnymi. Niedługo przyjadą, żeby cię zabrać.

– Nie mam żadnych krewnych.

Charlotte zamilkła.

– Cóż. Nie martw się. Jakoś to załatwimy.

Pozostali wolontariusze spoglądali na niego ze smutkiem. Widzieli załamane, bezdomne sierotę. Niektórzy odwracali oczy, gdy roznosili jedzenie i wodę lub zmieniali koce i pościel. Tak jakby ranił ich jego widok. Może tak było. Może im więcej tragedii widzieli, tym bardziej je przeżywali, tym bardziej były dla nich bolesne. Desmond ich nie obwiniał. I zawsze im dziękował. Jego mama była zasadnicza w kwestii dobrych manier.

Charlotte różniła się od reszty. Patrzyła na niego tak, jak ludzie patrzyli przed tą tragedią, jakby był zwykłym chłopakiem, jakby nic mu nie dolegało. Sprawiała mu tym przyjemność.

Gdy wyszła, Desmond wpatrywał się w sufit i słuchał wiadomości w radiu, które należało do staruszka leżącego w rzędzie naprzeciw niego.

– Władze nadal szacują straty po pożarach lasu w środe popielcową,

które przeszły przez południowo-wschodnią Australię. Co najmniej siedemdziesiąt osób straciło życie, tysiące zostało rannych, straty materialne wycenia się na setki milionów. W samej Wiktorii wczoraj spłonęło pół miliona akrów ziemi. Ponad milion akrów w sumie w tym sezonie. Są również duże straty żywego inwentarza. Zaginęło ponad trzysta tysięcy owiec i prawie dwadzieścia tysięcy sztuk bydła. Po raz pierwszy w historii w Australii Południowej ogłoszono stan wyjątkowy. Straż pożarna nadal walczy z ogniem. Do regionu przybywają wolontariusze z całego kraju, żeby pomagać przy gaszeniu pożaru. Ponad sto tysięcy osób dołączyło do nich, w tym wojsko, pracownicy organizacji humanitarnych i inni. Nie jest jeszcze znane źródło ognia, ale na pewno przyczyniła się do niego przedłużająca się susza. Podmuchy wiatru i burze pyłowe rozprzestrzeniły ogień. Doszły mnie słuchy, że powierzchnia dróg wrzała i płonęła, piasek zmieniał się w szkło, w zamrażarkach znajdowano dobrze wysmażone steki...

Tego popołudnia Charlotte wróciła z prezentem. Owinęła go nawet w gazetę.

– Przepraszam, nie mogłam znaleźć niczego lepszego.

Desmond rozdarł papier, a potem próbował ukryć swoje rozczarowanie, gdy obracał w rękach książki i patrzył na ich okładki.

– O co chodzi? – spytała Charlotte.

– Nie umiem czytać.

Zmieszała się w jednej chwili.

– Och. No tak. Oczywiście.

– Mam tylko pięć lat.

– Naprawdę? – Była zaskoczona. – Sądziłam, że jesteś starszy.

Desmondowi bardzo się to spodobało.

– Cóż, będę musiała ci je przeczytać. – Zamilkła na chwilę. – Jeśli chcesz.

Kilka minut później Desmond zanurzył się w świat historii, zapomniał o otaczającym go horrorze, zniknął wszechobecny odór. Rozmyły się jęki osób leżących w tej samej sali – trwało to aż do chwili, gdy przerwał im wysoki, czarnowłosy mężczyzna. Był mniej więcej w wieku Charlotte,

stanął w przejściu między łózkami i patrzył na nią w taki sposób, że Desmond najchętniej by wstał i zasłonił mu sobą widok.

– Idziesz, Charlotte?

– Nie. Ale ty możesz już iść.

– Twoja zmiana skończyła się godzinę temu, moja droga.

Desmondowi nie podobał się sposób, w jaki powiedział „moja droga”.

– Wiem. Zostanę trochę dłużej.

– Poczekam na ciebie.

– Nie czekaj.

Mężczyzna westchnął przeciągle tak jak ojciec Desmonda, kiedy miał do czynienia z upartym koniem.

Kiedy poszedł, Charlotte nadal mu czytała, jakby nikt im nie przeszkodził.

Byli w połowie opowieści, kiedy zamknęła książkę.

– Czas spać, Des.

Opatuliła go i odgarnęła mu jasne włosy z twarzy, następnie zgasiła lampę naftową. To była jego pierwsza spokojna noc od czasu pożaru.



Następnego dnia rano chciał, żeby mu dalej czytała, ale Charlotte miała dla niego inną niespodziankę. Przyproceedziła fotel inwalidzki i spytała, czy chciałby wyjść na dwór i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Nie musiała dwa razy pytać.

Wyproceedziła go z sali, powiozła w dół korytarza i znaleźli się na dworze. Z przyjemnością poczuł dotyk lutowego słońca na twarzy. Lato było upalne, na bardzo długo zapisze się w pamięci Australijczyków. Wiatr smagał jego twarz, szarpał włosami, Desmond głęboko wdychał powietrze, ciesząc się, że nie oddycha wylzewami śmierci.

Sam zaczął kierować wózkiem, ciesząc się namiastką wolności. Jego stopy jeszcze nie wydobrzały. Lekarze zapewniali go, że wróci do dawnej sprawności.

„Ani się obejrzysz, a znowu będziesz chodził” – obiecywali mu. Nie mógł się doczekać. Wcześniej nie miał pojęcia, jak cennym darem jest możliwość poruszania się na własnych nogach.



Charlotte wróciła późnym popołudniem i czytała mu aż do zgaszenia świateł. To stało się ich zwyczajem: rano spacer na dworze, wieczorem czytanie.

Tydzień później Desmond ponownie spytał, co się z nim stanie.

– Pracujemy nad tym, Des. Nie musisz się niczym martwić.

Z każdym mijającym dniem jego stopy były w lepszym stanie. Zaczął chodzić po szkole. Obszedł kafeterię, inne sale, a nawet pokój nauczycielski, który bardzo go ekscytował, zanim tam trafił. Nie zrobił na nim jednak żadnego wrażenia.

Zgłosił się nawet na ochotnika do przygotowywania posiłków. Gruby kucharz dał mu metalową chochlę i nazywał go „zuperowym nalewaczem”. Mężczyzna głośno rechotał, a jego śmiech zmieniał się za każdym razem w suchy kaszel. Mimo to Desmond lubił gościa.

Wracał do łóżka, kiedy usłyszał głos Charlotte dochodzący z jednego z biur usytuowanych w innej sali lekcyjnej dostosowanej do tego celu. Była smutna.

– Musi pan.

Cisza.

– Nie, proszę pana. Musi pan go wziąć. Próbowaliśmy...

Znowu cisza.

– Tak, to prawda. Jest pan jego jedyną rodziną.

Usłyszał, jak ktoś odkłada słuchawkę telefonu na widełki, a potem płacz. Miał już wejść do pokoju, gdy usłyszał głos czarnowłosego mężczyzny.

– Za bardzo się z nim zżyłaś, Charlotte.

Desmond nie zrozumiał stłumionej odpowiedzi, ale tamten mężczyzna tak. I nie spodobała mu się. Przemówił ostrzejszym tonem.



- Wiem, o czym myślisz.
- Wątpię – odparła.
- Zamierzasz go adoptować.

Cisza.

- Upadłeś na głowę?
- A co w tym złego?

– Nawet nie wiem, od czego zacząć. Zamierzasz rzucić studia medyczne? Jak go utrzymasz? Chcesz prosić rodziców o pieniądze? Czy to ja będę musiał go utrzymywać? Czy w ogóle miałaś zamiar omówić to ze mną?

Potem się kłócili, padały różne okropne słowa. Desmond z trudem tego słuchał, ale nie mógł się wycofać. Słowa paliły go jak płomień, które poparzyły mu nogi.



Charlotte była odmieniona, kiedy przysłała do niego po południu. Smutna. Bardziej powściągliwa.

Czytała mu książkę, jakby ktoś ją do tego zmuszał, nie tak jak wcześniej, kiedy naśladowała różne głosy, żeby ożywić czytana historię.

To ponownie go zasmuciło.

Następnego dnia rano stała przy jego łóżku, gdy się obudził.

- Udało nam się znaleźć dla ciebie opiekuna.

Przełknęła ślinę, po czym powiedziała Desmondowi dwie rzeczy, o których już wiedział: jego ojciec pochodził z Anglii, a rodzice jego ojca, dziadkowie Desmond, umarli dawno temu.

Potem dodała coś, czego nie wiedział.

– Twój ojciec miał brata – Orville’a. Oni... niezbyt się dogadywali. Jednak zgodził się przejąć opiekę nad tobą.

Desmond skinął głową, nie wiedział bowiem, co ma powiedzieć.

- Czy ja... – Chciał zapytać, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy.

Pokręciła głową. W kąciku jej oka uformowała się łza.

- Za dwa dni zabiorę cię do Melbourne na lotnisko. Polecisz do

Oklahoma City. To miasto w Ameryce. – Przełknęła ślinę, zmusiła się do uśmiechu i nieudolnie próbowała przybrać lżejszy ton. – Słyszałeś o nim?

Desmond pokręcił głową.

Spodziewał się, że zaraz potem wyjdzie, ale została z nim. Czytała mu, wróciło jej zaangażowanie. Naśladowała głosy, tak jak lubił, pytała, co według niego zdarzy się dalej w czytanej historii, i odczytywała nazwy rozdziałów, modulując głos.

Wróciła następnego dnia rano i nie opuściła go aż do zgaszenia świateł.

Nigdy więcej nie widział czarnowłosego mężczyzny, co go w ogóle nie martwiło. Dobrze, że się zmył.

Charlotte zawiozła go na lotnisko, pocałowała w czoło i podała mu torbę wypełnioną ubraniami. Były nowe i odniósł wrażenie, że to Charlotte je dla niego wybierała.

– Coś na drogę, Des.

Chciał coś powiedzieć, ale ona już zaczęła płakać.

– Dziękuję – wykrztusił.

– Och, nie ma za co. – Próbowała jakoś się trzymać. Otarła łzy płynące jej po policzku i położyła mu dłoń na ramieniu. – Lepiej już biegnij, Des. Na pewno nie chcesz spóźnić się na samolot.

Kobieta z linii lotniczych, która wcześniej poznała jego sytuację, wzięła go za rękę i przeprowadziła przez kontrolę bezpieczeństwa. Kiedy Desmond się odwrócił, Charlotte nadal tam stała, szlochając i machając do niego.

Człowiek, który czekał na niego w Oklahoma City, był całkowitym przeciwieństwem Charlotte. Przez to Des tęsknił za nią jeszcze bardziej.

## ROZDZIAŁ 31

Millen Thomas otworzył oczy i skrzywił się. Poranne słońce, chociaż przefiltrowane przez tkaninę namiotu, nadal oślepiało. Hannah leżała na łóżku obok niego i spokojnie spała. Jej oddech ledwie słyszał. Była rozgrzana i przez chwilę zastanawiał się, jak może spać w tym upale. Potem przypomniał sobie, jak zmęczeni byli poprzedniego wieczoru.

Delikatnie zabrał rękę spoczywającą na jej brzuchu, dwa razy przestawał się ruszać, bojąc się, że ją obudzi. Ale nie poruszyła się ani nie obudziła. Wstał z łóżka i okrył ją cienkim prześcieradłem. Cuchnął obrzydliwie maścią, którą obficie posmarowała się wieczorem. Jej smród przeszedł na niego. Warto było, pomyślał. Naprawdę warto.

Piętnaście minut później zjadł śniadanie i był gotowy na nadchodzący dzień. Stał przy starym SUV-ie toyoty wraz z Kito, lokalnym przewodnikiem, którego zapewnił im kenijski rząd. Na masce leżała mapa tego regionu.

– Zacząłbym od jaskiń w tej części, doktorze Thomas. – Kito wskazał na mapie to miejsce.

– Mów mi Millen. Dlaczego tam?

– Mniejsza szansa, że natkniemy się na lwy.

To był wystarczająco dobry powód dla Millena. Nadal pamiętał film *Duch i mrok*, nakręcony na podstawie prawdziwej historii, w której na przełomie wieków dwa lwy zabiły kilkudziesięciu ludzi w Tsavo w Kenii.

– Podoba mi się ten plan, w którym jest mniejsza szansa na spotkanie lwów.

Poszedł do namiotu Shaw, wetknął głowę do środka i ku wielkiemu zaskoczeniu zobaczył, że nadal śpi na swoim łóżku. Doktor Becker siedział na drugim legowisku i wpatrywał się w otwarty laptop. Niemiec podniósł palec do ust, pokazując Millenowi, że ma się nie odzywać, potem wstał i poprowadził Millena z dala od namiotu.

– Co się dzieje?

– Wybywam. – Millen zerknął na namiot. – Wszystko z nią w porządku?

– Jest zmęczona. To była długa noc. Wiesz, dokąd jechać?

– Tak. Wybraliśmy jaskinie i powinniśmy wrócić po południu.

– Dobrze. Musisz mieć pewność. Nie spiesz się, jak będziesz w środku; upadek może skończyć się fatalnie. Gdybyś musiał zejść głęboko, pamiętaj, że może przestać działać radio. Jak już będziesz miał próbki, wychodź. Na zwiedzanie przyjdzie czas, gdy zamkniemy tę sprawę.

– Obiecuję.

– Powodzenia, Millen.



Dotarcie do pierwszej jaskini zajęło im mniej niż dwie godziny. Czterej mężczyźni w SUV-ie przez większość czasu jechali w milczeniu. Millen i Kito rozmawiali trochę o mapie i jaskiniach, ale dwaj kenijscy żołnierze na przednich siedzeniach tylko patrzyli przez okna i obserwowali okolicę, wypatrując zagrożenia.

Millen był podekscytowany. W pewnym sensie przez całe życie uczył się, żeby móc wziąć udział w takiej wyprawie. Był synem hinduskich imigrantów w Ameryce i to oni zachęcali go do pogłębiania zainteresowań, gdy był dzieckiem. Przeszedł wiele faz, od muzyki po taniec. Ale zawsze powracał do swojej największej miłości – zwierząt. Był pod wrażeniem różnorodności i złożoności stworzeń, które dzieliły świat z ludźmi. Uwielbiał ich nieprzewidywalność, to, że każdy gatunek posiadał jakąś szczególną umiejętność. Nigdy nie nudziło mu się oglądanie nowych zwierząt i wchodzenie z nimi w interakcje.

Interesowały go zwłaszcza egzotyczne gatunki i miejsca ich występowania. Czytał wszystko, co znalazł na ich temat, i często oglądał programy przyrodnicze. Rozważał zatrudnienie się w zoo, ale uznał, że woli pracować ze zwierzętami w ich środowisku naturalnym. Ponadto chciał robić coś ważnego nie tylko dla zwierząt, lecz również dla ludzi.

Kiedy ukończył studia weterynaryjne, rodzice nalegali, żeby został praktykującym weterynarzem – praca ta zapewniała godziwe zarobki i zwrot sporych wydatków, które ponieśli na jego edukację. Ale ich uparty syn wybrał coś innego. Zamiast otworzyć własną praktykę, zatrudnił się w EIS i poświęcił epidemiologii stosowanej. To była doskonała ścieżka kariery zawodowej. Podróżował po kraju i świecie, badał epidemie, poszukiwał zwierzęcych rezerwuarów chorób, które przenosiły się na ludzi. Zapewnił rodziców, że zawsze może wrócić do pomysłu własnej praktyki weterynaryjnej, jeśli sprawy nie ułożą się po jego myśli.

Ulegli w końcu, a kiedy włożył odzież ochronną i zajrzał do jaskini, nigdy nie był bardziej zadowolony, że tak się stało. Miał właśnie przeprowadzić badanie, które mogło okazać się jednym z najważniejszych w jego karierze.

Kito życzył Millenowi powodzenia przed wejściem do jaskini, gdzie zabierał zestaw do pobierania próbek. Wyschnięte, pożółkłe wylinki węży leżące tuż za wejściem do grotty trochę go zaniepokoiły, ale parł do przodu. Kombinezon zapewni mu dobrą ochronę.

Z każdym krokiem pochłaniał go mrok. Kiedy było już zupełnie ciemno, włączył noktowizor, który skąpał wszystko w zielonkawym świetle. Kito co minutę puszczał mu sygnał kontrolny przez radio, a on za każdym razem odpowiadał.

Po dziesiątym razie zasięg zaczął się rwać. Millen co minutę zostawiał za sobą zielony świetlik, ale kiedy padł zasięg, zamknął torbę z zielonymi świetlikami i zaczął zostawiać pomarańczowe. Patyczki świeciły w ciemnej jaskini, jak zielone i pomarańczowe okruszki chleba znaczące jego drogę. Używało ich wojsko i działały przez dwanaście godzin. Planował je pozbierać w drodze powrotnej, na długo przed

zachodem słońca.

Gdy wchodził w głąb jaskini, grunt stawał się bardziej skalisty i wilgotny. Dziesięć sekund po tym, jak upuścił dwudziesty pomarańczowy świetlik, zauważył to, po co tu przyszedł – odchody nietoperzy.

Schylił się, żeby pobrać kilka próbek, oznaczył je liczbą wyznaczającą głębokość, na jakiej zostały znalezione, po czym położył numerowany niebieski znacznik oraz chorągiewkę w miejscu, skąd pobrał próbki.

Podeksytowany tym, że ma pierwszą próbkę, wszedł głębiej do jaskini, nie zabierając zestawu do pobierania próbek. W prawej ręce trzymał pistolet ze środkiem obezwładniającym, w lewej ręce – dużą siatkę. Czuł, że jego buty ślizgają się na mokrej skale, ale nie przerywał marszu. Nietoperze musiały znajdować się gdzieś blisko. Jeśli były nosicielami tajemniczej choroby, miałoby przełom, możliwe, że klucz do znalezienia pacjenta zero, a nawet leku. Opierałoby się na tym całe śledztwo, które ocalałoby tysiące, jeśli nie miliony istnień. Szedł coraz szybciej.

Gdy skręcił, jego lewa stopa osunęła się po wilgotnym kamieniu, przez co wylądował na ziemi. Wypuścił z ręki pistolet i siatkę, gdy zderzył się z twardym podłożem. Wystraszył się, ale nic mu się nie stało. Wstał i zaczął rozglądać się za bronią.

W pobliżu rozległ się pisk nietoperzy – dźwięk plasujący się gdzieś pomiędzy nawoływaniem wron a skowytem gryzoni – a zaraz po nim usłyszał łopot skrzydeł.

Odwrócił się w samą porę, by zobaczyć stado nietoperzy lecących prosto na niego.

Zwierzęta go otoczyły. Podniósł ręce, żeby ochronić maskę, i odsunął się na bok, próbując zejść im z drogi. Poczł pazury wbijające się w kombinezon, skrzydła ocierające się o ręce i nogi. Odwrócił się i zaczął biec pochylony. Skala załamała się pod jego stopami. Poślizgnął się, ale nie zderzył z ziemią, bo nie było jej pod nim.

## ROZDZIAŁ 32

Żółta plama przepalała brezent białego namiotu nad Peyton jak lampa grzewcza. Skrzywiła się, ale to ją zaintrygowało. A potem uświadomiła sobie, że to słońce, bo jest już połowa dnia. Szybko usiadła i sięgnęła po telefon, zdziwiła się, gdy zobaczyła, która godzina. Wpół do dwunastej. Łóżko Jonasa było puste, pobiegła więc do głównego namiotu.

Jonas i Hannah siedzieli przy stole, za nimi wisiała duża mapa przypięta do tablicy. Było na niej więcej czerwonego niż poprzedniego dnia.

- Raportujcie – powiedziała, próbując uspokoić oddech.
- Chcesz jakieś śniadanie? – spytał Jonas, ignorując jej polecenie.
- Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Jonas zerknął na Hannah, która wstała i wyszła.

- Lepiej usiądź, Peyton.
- Tak źle?
- Dość źle.

Jonas szybko streścił jej doniesienia od grup działających w terenie. Zarażeni byli jeszcze mieszkańcy piętnastu wsi. Włączając ofiary śmiertelne z obozów dla uchodźców w Dadaab, epidemia pochłonęła już ponad sześć tysięcy istnień ludzkich.

Peyton pokręciła głową.

- To niemożliwe.
- Słucham?
- Założmy, że doktor Kibet został zarażony wtedy, gdy dwaj

Amerykanie przyszli do jego kliniki.

– Dobrze.

– Choroba ujawniła się u niego w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin.

– Zgadza się.

– Ale nie miał żadnych objawów przeziębienia. Zbyt szybko nastąpiła u niego faza gorączki krwotocznej, znacznie szybciej niż w tej wiosce.

– To prawda.

– Dlaczego?

– Może dlatego, że zaraził się od kogoś, kto był już w fazie gorączki krwotocznej. I jakoś ominął fazę infekcji górnych dróg oddechowych.

– Co oznacza, że choroba rozwija się na dwa sposoby w zależności od tego, od kogo się zarazisz, a raczej w jakiej fazie jest osoba, która zaraża.

– Peyton pomyślała przez chwilę. – I jeszcze coś: ludzie w obozie w Dadaab zostali zarażeni mniej więcej w tym samym czasie co mieszkańcy tej wioski.

Jonas przytaknął.

– Nie mogli ich zarazić Amerykanie – powiedziała Peyton. – Z ich dziennika podróży wynika, że znajdowali się dość daleko na północ od Dadaab.

– Może mieli styczność z jakimś kierowcą ciężarówki, który pojechał na południe?

– Niewykluczone. Ale wydaje mi się dziwne, że patogen z taką szybkością się rozprzestrzenił. – Wskazała mapę. – Wszędzie pojawiał się nagle w tym samym czasie. Jak to możliwe?

Jonas wpatrywał się w mapę.

– Pacjent zerowy, który zaraził dużą grupę podróżnych, może uczestników pogrzebu albo spotkania starszyny wioski? A może zarażone było jedzenie.

Peyton przemknął przez myśl Desmond Hughes. Wysłał Amerykanom paczkę z jedzeniem. A jeśli mieszkańcy wioski otrzymali podobne paczki? Przypomniała sobie telefon od Desmonda sprzed kilku dni. Zakończył go słowami: „Myślę, że grozi ci niebezpieczeństwo”.

Rozejrzała się wokół, żeby upewnić się, że są w namiocie sami.



– Wiem, że to zabrzmie niedorzecznie – szepnęła – ale myślę, że to przypadek bioterroryzmu.

Jonas wypuścił powietrze z płuc.

– Okej, przyjmijmy, że tak jest, i zastanówmy się nad tą hipotezą. Na tym terenie znajdują się obozy Asz-Szabab. Jeśli dostaliby do rąk jakąś broń biologiczną, na pewno użyliby jej w celu destabilizacji sytuacji w Kenii. Chcą obalić rząd i utworzyć tu fundamentalistyczny kraj islamski. Epidemia jest dość drastycznym sposobem, ale mogłaby być dla nich pewną okazją.

– Zatem mamy motyw.

– Tak, ale zwróć uwagę, że to wykracza poza ich możliwości.

– Chyba że ktoś im pomógł – podsunęła Peyton.

– Ale kto i dlaczego? – Jonas wpatrywał się w mapę. – Zrozum, biorę pod uwagę taką ewentualność, ale nie uważam jej za dość prawdopodobną. Może po prostu szukamy grupy pięciu ludzi, którzy zarazili się w tym samym czasie i doprowadzili do wybuchu epidemii w Dadaab, na lotnisku, w Manderze i w otaczających ją wioskach. To mi się wydaje bardziej prawdopodobne.

Do namiotu weszła Hannah i podała Peyton podgrzaną porcję żywnościową oraz butelkę wody. I jednego, i drugiego bardzo potrzebowała. Podziękowała młodej lekarce, która skinęła głową i stanęła kawałek dalej. Kiedy Peyton i Jonas studiowali mapę, Hannah wyjęła swój telefon satelitarny, wybrała numer i czekała.

Najpierw rozmawiała spokojnie, ale po chwili podniosła głos.

– Jak długo? – Zamilkła. – Nie rozłączaj się.

Hannah przytknęła telefon do ramienia.

– Millen jest w pierwszej jaskini już od półtorej godziny. Nie przesłał sygnału już ponad godzinę.

– Z kim rozmawiasz? – spytała Peyton.

– Z Kito, lokalnym przewodnikiem.

– Przełącz go na głośnik.

Hannah przycisnęła coś na ekranie.

– Kito, mam tutaj doktorów Shaw i Beckera.

– Dzień dobry.

– Kito, czy Millen zabrał dodatkowy kombinezon ochronny? – spytała Peyton.

– Tak, proszę pani.

– Czy mógłbyś włożyć kombinezon i wejść do jaskini, żeby nawiązać z nim kontakt radiowy lub go odnaleźć?

– Tak, proszę pani – powiedział mężczyzna bez namysłu. – Zrobię, co w mojej mocy.

– Dobrze. Millen powinien zostawiać świetliki na drodze. Jeśli urwie się szlak ze świateł, przeszukaj teren w pobliżu. Może przydarzył mu się jakiś wypadek.

– W porządku.

– Daj nam znać, co ustaliłeś. I dziękuję.

Hannah rozłączyła się, a Peyton spojrzała głęboko w oczy młodej pracownicy EIS.

– Znajdziemy go, Hannah.



Troje lekarzy spędziło całe wczesne popołudnie, koordynując pracę zespołów w innych wioskach i przygotowując się do zwinięcia obozu. Chcieli wyruszyć o świcie następnego dnia.

Do drugiej po południu nadal nie mieli żadnych wieści od Kito i Millena. Hannah próbowała dodzwonić się na telefon satelitarny Kito, ale nie odebrał. Martwiła się coraz bardziej. Podobnie Peyton i Jonas, chociaż starsi epidemiolodzy nie mówili głośno o swoich obawach. Peyton postanowiła wysłać do pierwszej jaskini SUV-a z czterema ludźmi pułkownika Magoro, na wypadek gdyby Kito odnalazł ранego Millena i potrzebował pomocy w wyciągnięciu go z jaskini.

O wpół do trzeciej Peyton zadzwoniła na komórkę Elliotta Shapiro. Mimo że od pięciu lat pracowała w terenie bez niego, musiała przyznać, że uspokoił ją głos przyjaciela. Gdy omówiła z nim bieżącą sytuację, lepiej jej się myślało.

Stała przed głównym namiotem, z dala od Jonasa i reszty personelu.

– Co o tym sądzisz? – spytał Elliott. – Jak mogła rozprzestrzenić się tak szybko?

– Mamy kilka teorii. Grupa czterech do dziesięciu ludzi, w której znajdował się pierwszy zarazony, podróżowała po tym regionie i przeniosła patogen w inne miejsce.

– To ma sens.

– Jednak wciąż myślę o tym, że mogła być inna droga.

– Jaka? Zarazona krew? Pogrzeb?

– Może. Nie wiem. – Peyton patrzyła na kenijskich żołnierzy patrolujących obóz. – A co u ciebie? – Bardzo chciała dowiedzieć się, jak czuje się Lucas Turner, ale powstrzymała się od wypytywania o niego.

– Dużo się dzieje – powiedział Elliott. – Stany zawiesiły wszelkie połączenia z Kenią, Etiopią i Somalią. Zakazaliśmy również wjazdu osobom mieszkającym w tej części świata lub z niej przybywającym. Nie jesteśmy wyjątkiem: Europa, Australia i większa część Azji poszły w nasze ślady. Mówią, że to będzie ostatni gwóźdź do trumny kenijskiej gospodarki.

– Prawda. Ale według mnie to słuszne posunięcie.

– Zgoda. Ponadto mamy kolejne źródło. Badamy jeszcze jeden wybuch epidemii.

Peyton zaczęła chodzić tam i z powrotem.

– Naprawdę? Jakie są objawy?

– Podobne do grypy, ale początkowo nie tak intensywne. Poza tym nie są niezmiennie. Jednego dnia pacjent ma silne objawy: ból głowy, kaszel, gorączkę, wyczerpanie, następnego dnia czuje się dobrze. Umieralność jak na razie jest wyjątkowo niska.

Dreszcz przeszedł Peyton. Właśnie opisał te same objawy, które mieli dwaj Amerykanie, zanim rozwinęła się u nich gorączka krwotoczna. Po paru dniach zabiła jednego z nich, a także Brytyjczyka.

Z trudem zachowywała spokój.

– Ile przypadków?

– Ponad milion w Azji, kolejny milion w Europie. Jakież dwieście

tysięcy w Ameryce Południowej, jak dotąd. Ale sądzymy, że jest ich więcej. W Stanach mamy pół miliona przypadków, ale dostajemy jeszcze uaktualnione dane ze stanowych departamentów zdrowia, więc spodziewamy się, że ta liczba wzrośnie.

To naprawdę była pandemia. Peyton chciała przedstawić swoją teorię, ale musiała najpierw poznać wszystkie fakty.

– Jak mogła się tak szybko rozprzestrzenić? Jak umknęła Globalnej Sieci Informacyjnej Zdrowia Publicznego? Jak nam umknęła?

– Objawy niewiele się różnią od grypy lub przeziębienia. Kiedy w departamentach zdrowia uświadomiono sobie, że pacjenci szczepieni na grypę również zaczęli chorować, kolejnym zaczęli przyglądać się uważniej. Zmienna natura choroby również utrudniła opisanie objawów. Ale mamy już próbkę w laboratorium i niedługo wyodrębnimy patogen. Niezależnie od tego, jaki to rodzaj wirusa, sądzymy, że powstaje z niego dużo wirusów wektorowych. To dość trudne. Dobra wiadomość jest taka, że z prawie trzech milionów potwierdzonych przypadków zachorowań zmarło tylko kilkadziesiąt osób. Patogen jest wyjątkowo mało groźny dla życia.

– Ciekawe. – W związku z przypadającym na następny dzień Świętem Dziękczynienia Peyton spytała: – Czy szef rozważa wprowadzenie zakazu przemieszczania się?

– Tak, ale uważam, że to mało prawdopodobne. Biały Dom już wypowiedział się przeciw temu. Lepiej pozwolić ludziom zarazić się przeziębieniem, niż zabić gospodarkę – to ich sposób myślenia. Gdyby śmiertelność była wyższa, decyzja byłaby bardziej rozważna.

– No tak. Domyślam się. Słuchaj, wiem, że to ryzykowne stwierdzenie, ale chcę ci coś powiedzieć. Kenijski lekarz, który początkowo zajmował się Amerykanami, spisał szczegółowo ich historię leczenia. Obaj mężczyźni mieli najpierw objawy grypy, zanim zapadli na gorączkę krwotoczną.

Długa chwila ciszy.

– Sądysz, że... – odezwał się wreszcie Elliott.

– Sądzę, że powinniśmy porównać genomy obu wirusów, żeby

sprawdzić, czy są ze sobą powiązane, tak na wszelki wypadek.

Niewypowiedziana groźba sugerowała, że miliony ludzi na świecie są już zarażone śmiertelnym wirusem, który zabił tyle osób w Kenii.

Elliott nadal mówił spokojnie.

– To dobry pomysł. Nadam mu bieg.

Peyton wypuściła powietrze i przestała chodzić.

– A co z dzieciakiem?

Wahanie Elliotta zdradziło jej wszystko.

– Naprawdę mi przykro, Peyton. Umarł w czasie transportu kilka godzin temu.

Odczuła te słowa tak, jakby ktoś zdzielił ją w brzuch. Mniej niż dwadzieścia cztery godziny wcześniej weszła do szpitalnej izolatki Lucasa Turnera i obiecała mu, że zrobi wszystko, co w jej mocy. Zastanawiała się, czy zrobiła.

– To by było tyle, jeśli chodzi o ZMapp – powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał profesjonalnie, ale nie zdołała ukryć emocji.

– Zrobiłaś wszystko, co się dało, Peyton. I wysłałaś nam próbki, żebyśmy się nimi zajęli. Pozwól nam robić to, co do nas należy.

Peyton pomyślała o liście młodego człowieka napisanym do rodziców, który Kibet zamieścił w swoim notesie. Lucas Turner był odważny. I bezinteresowny. I zbyt młody, żeby umrzeć. Kibet dobrze się nim zajmował. Miała nadzieję, że sam skończy lepiej niż Turner, ale nie była optymistką.

Znowu skupiła się na rozmowie telefonicznej.

– Dobrze. Mamy tu jeszcze jeden problem: zaginionego oficera EIS, Millena Thomasa. Badał położone w pobliżu jaskinie, nie mamy z nim żadnego kontaktu od kilku godzin. Wysłałam ekipę poszukiwawczą.

– Zrozumiałem. Znajdzie się, Peyton. Może zgubił telefon albo padły mu baterie.

– Mam taką nadzieję.

– Mogę jakoś pomóc?

– Nie, radzimy sobie.

– No dobrze. Zadzwoń, jak będziesz czegoś potrzebowała. I głowa do

góry.



Gdy wróciła do namiotu, Jonas stukał w klawiaturę laptopa.

– Lucas Turner zmarł w drodze do Emory – powiedziała Peyton, starając się ukryć emocje.

Jonas podniósł głowę, wielkimi piwnymi oczami popatrzył na Peyton.

– Przykro mi.

– Mnie również.



Kilka godzin później Hannah wetknęła głowę do namiotu, przy uchu trzymała telefon satelitarny.

– Druga ekipa dojechała już do jaskini. SUV-a nie ma. Kito nie nawiązał łączności radiowej.

– Jakież oznaki walki? – spytała Peyton.

– Nie – odparła Hannah.

Peyton zastanowiła się przez chwilę.

– Może padły im baterie. Powinni już wracać lub wybrali inną jaskinię.

– Albo nie mogą wyjść z pierwszej – zauważyła Hannah.

– To niewykluczone. Niech dwóch ludzi włoży kombinezony i wejdzie do środka. Powiedz im, żeby się nie rozdzielali i co minuta odzywali przez radio. Zadzwoń do kenijskiego Ministerstwa Zdrowia. Poproś, by wysłali na miejsce helikopter ratunkowy; mamy powód przypuszczać, że jeden z członków naszego personelu i jeden z ich ludzi zostali ranni. Jeśli nie znajdziemy Millena ani żadnych znaków, które zostawił, pojedziemy w następne miejsce w ich planie podróży.

– Czy może pan wysłać więcej ludzi? – spytała pułkownika Magoro.

Magoro miał nie najszcześliwszą minę.

– Tak, ale zaczyna ich nam brakować.

– Niech pan to zrobi – powiedziała Peyton. – I proszę jak najszybciej

wezwać posiłki.

– Oczywiście.



O szóstej po południu zespół uprzątnął część rupieci zalegających na długim stole konferencyjnym i zasiadł do posiłku. Nadal nie mieli informacji od drugiego zespołu pułkownika Magoro. Trzeci powinien dotrzeć na miejsce za godzinę.

Szybko robiło się ciemno, światło włączono tylko w głównym namiocie. Żołnierze zmieniali się na warcie, dwunastu weszło do namiotu, żeby coś zjeść.

Peyton wydawało się, że słyszy jakieś ciche terkotanie, jakby na zewnątrz ktoś strzelał z wiatrówki. Jonas popatrzył na klapy namiotu. Oboje podeszli do wejścia. Tuż za obozowiskiem dwa lądujące helikoptery wzbijały w powietrze pył.

Chwilę później z czerwonej chmury pyłu wyszło kilkunastu ludzi. Mieli na sobie czarne kamizelki kuloodporne i trzymali w rękach karabiny. Dwóch ludzi pułkownika Magoro upadło pod gradem kul.

Peyton usłyszała krzyk Jonasa:

– Kryć się!

W jednej chwili w obozie zapanował chaos.

## ROZDZIAŁ 33

Kenijscy żołnierze, którzy mieli rozkaz chronić Peyton, Jonasa i ich zespół, padali pod gradem pocisków jeden po drugim, podczas gdy napastnicy zbliżali się do centrum obozu. W ciągu kilku sekund połowa ludzi pułkownika Magoro nie żyła. Kule dziurawiły białe namioty i szatkowały kryte strzechą chaty.

– Uciekajcie! – wrzeszczał Magoro. – Do wozów i jazda!

Zamiast uciekać spomiędzy namiotów, Peyton wbiegła między nie i dotarła do izolatki, w której znajdowało się troje Kenijczyków z wioski. Popatrzyli na nią z przerażeniem. Otworzyła pomieszczenie i pokazała im, że mają uciekać z obozu.

– Biegnijcie. Schowajcie się tak jak przedtem. Nie wracajcie, dopóki ktoś z nas po was nie przyjdzie.

Peyton poczuła, że ktoś kładzie dłoń na jej ręce. Odwróciła się i zobaczyła spanikowanego Jonasa.

– Musimy jechać.

Razem pobiegli do trzech SUV-ów zaparkowanych na obrzeżach obozu. Hannah biegła przed nimi, znajdowała się już w połowie drogi do samochodów. Wokół niej śmigwały pociski. Cichy odgłos strzałów oddawanych przez napastników posługujących się tłumikami przerywały głośne odpowiedzi ze strony wojska Magoro. Kule posiekały karoserię dwóch pierwszych SUV-ów, żłobiąc linię z boku i rozbijając szyby.

– Do ostatniego! – krzyknął Jonas.



Peyton schyliła głowę i biegła ile sił w nogach. Serce waliło jej jak oszalałe, jak basowy bęben grający w innym rytmie niż wygrywana przez karabiny symfonia śmierci.

Usłyszała czyjś krzyk przed sobą – to był kobiecy głos. Zobaczyła upadającą Hannah. Młoda lekarka mocno krwawiła. Peyton znalazła się przy niej w kilka sekund, uklękła i obejrzała ranę postrzałową ramienia. Łzy wypełniały oczy Hannah, ale zacisnęła zęby i próbowała wstać. Peyton objęła ją i ruszyły w stronę samochodu, przy którym stał już Jonas, trzymając dla nich otwarte tylne drzwi.

Zatrzasnął je, gdy wsiadły.

– Schylcie się! – krzyknął.

Usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i dodał gazu.

Wybuch wstrząsnął miasteczkiem namiotowym, w powietrze pofrunęły białe skrawki materiału i czerwona ziemia. Szczątki spadały na auto, jakby walił w nich grad. Jonas kierował się na główną drogę, byle dalej od wioski, nie oszczędzał samochodu. Jechał przez wertepy, a przy każdym podskoku Hannah krzyczała z bólu. Peyton wsunęła jej jedną rękę pod głowę, drugą objęła ją w pasie i położyła dziewczynę na sobie, chcąc własnym ciałem zamortyzować podskakiwanie pojazdu. Leżały twarzą w twarz, Peyton czuła na swoich policzkach łzy Hannah, a w ustach ich słony smak. Kula rozbiła tylną szybę, opryskując je drobinkami szkła. Peyton osłoniła rękami twarz rannej. Inne pociski wbijały się w bok SUV-a, najpierw kilka, potem już całe mnóstwo.

– Trzymajcie się! – wrzasnął Jonas.

SUV skręcił ostro, dwa razy podskoczył i wyrwał do przodu przy dźwięku wyjącego silnika.

Ogłuszająca eksplozja wstrząsnęła pojazdem i oderwała go od ziemi. Peyton poczuła, że przez sekundę unosi się w powietrzu. Aż zakreśliło jej się w głowie, przypominało to ten moment, kiedy wagonik kolejki górskiej znajduje się na szczycie tuż przed gwałtownym zjazdem w dół.

SUV uderzył o ziemię od strony kierowcy, rzucając splecione ciała Peyton i Hannah na sufit, a potem waląc nimi o boczną ścianę auta. Kiedy ucichł dźwięk rozdzieranego metalu i pękającego szkła, Peyton

usłyszała ogłuszający wrzask Hannah.

Na przodzie Jonas odpiął pas i sięgnął do schowka, który teraz znajdował się nad nim. Otworzył go i wyjął pistolet, odciągnął zamek, wprowadzając nabój do komory.

– Nie, Jonas! – krzyknęła Peyton, ale było już za późno. Wstał, stopy oparł na drzwiach od strony kierowcy, jego głowa i ramiona wystawały przez okno od strony pasażera, które teraz znajdowało się na górze SUV-a. Zaczął strzelać, ale oddał tylko trzy strzały, potem odezwał się karabin automatyczny, którego kule przeszły Jonasa, rozpryskując krew na siedzeniach. Upadł, broń wysunęła mu się z dłoni i poleciała na tylne siedzenia, blisko ręki Peyton.

Hanna płakała i trzęsła się, ból był nie do wytrzymania. Peyton objęła ją, ale nie spuszczała pistoletu z oczu.

Chwilę później ktoś otworzył bagażnik SUV-a. Czyjeś ręce wyciągnęły na zewnątrz obie kobiety.

## ROZDZIAŁ 34

Desmond patrzył na swoje nogi. Po raz pierwszy od dnia, kiedy ocknął się w hotelu w Berlinie, wiedział, jak nabawił się blizn. Wspomnienia się urwały, pozostawiając go w stanie niedosytu. W tej chwili jednak miał ważniejsze rzeczy na głowie: musiał uciec z tej prowizorycznej celi.

Położył się na plecach i przez kilka minut nasłuchiwał, mając nadzieję, że znajdzie jakieś wskazówki co do miejsca swojego pobytu oraz osób, które mogą znajdować się w pobliżu. Ale w stodole panowała cisza, pozostałe boksy zapewne były puste.

Rozejrzał się za czymś, czego mógłby użyć jako broni. Najlepszym rozwiązaniem wydawało się wyrwanie jednego z prętów wzmacniających. Przeszedł wkoło celi, przyglądając się dolnym częściom prętów, szukając słabiej osadzonego. Zdecydował się na pręt przy ścianie z lewej strony, następnie zaczął przesuwając rękami po podłodze w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu posłużyć do kopania. Znalazł odpowiedni kamień i zaczął nim odgarniać ziemię.

Kiedy usunął dość ziemi, by pręt trochę się obluzował, zaparł się nogami o podłogę, chwycił go oburącz i pociągnął. Poczul fale bólu rozchodzące się po całym ciele. Rytmicznie ciągnął i popychał, mając nadzieję, że dzięki temu puści spaw.

Dziesięć minut później był cały mokry od potu, obolały, a spaw nadal był tak samo solidny jak na początku.

Usiadł pod ścianą i sapał. Nie namyślając się długo, odwrócił się i na drewnianej ścianie wydrapał: *Był tutaj Desmond Hughes*. Odchylił się do

tyłu i przyglądał swojemu dziełu. Pochylił się i dopisał drugą linijkę: *Jestem niewinny.*

Napisał to bez namysłu. Zastanawiał się, czy to prawda. W swoich wspomnieniach widział siebie w magazynie, gdzie ludzie byli leczeni w prowizorycznych szpitalnych izolatkach. Ale na co byli chorzy? Wiedział, że wybuchła epidemia w Afryce – prawdopodobnie eboli – i że na miejscu była Peyton Shaw. Peyton, kobieta, którą on lub ktoś inny miał ostrzec.

Czyżby wiedział, że wybuchnie epidemia?

Ktoś wiedział. W innym wspomnieniu widział mężczyznę z brzydko pokiereszowaną twarzą, stojącego przed grupą ludzi i mówiącego, że świat się wkrótce zmieni.

Desmond położył się na plecach i zaczął myśleć. Gdziekolwiek się znajdował, było tu gorąco i sucho, co najmniej dwadzieścia cztery stopnie Celsjusza w środku nocy. Wylądował gdzieś w tropikach, w jakimś bardzo suchym regionie: w Afryce, a może na jakiejś wyspie na Karaibach. Nie, wyspa raczej odpadała, nie czuł soli morskiej.

Zaczął układać plan ucieczki. Wiedział, że jego przeciwnicy są profesjonalistami. Mieli jakiś powód, żeby pojmać go żywego.

Splunął na ostry kawałek kamienia i wytarł o spodnie, próbując go oczyścić. Następnie podniósł koszulę i wbił kamień w swój bok, tak żeby przebić skórę i żeby pojawiła się krew. Rozsmarował ją wkoło, a później przytknął koszulę do rany, żeby nią nasiąkła.

Skupił się, słysząc dźwięk butów na korytarzu. Położył się na zranionym boku i spowolnił oddech, starając się wyglądać na osłabionego. Miał nadzieję, że oszuka człowieka, który wejdzie do celi. Jeśli mu się to nie uda, będzie musiał zaatakować go przez kratę i liczyć na to, że dosięgnie klucza. Może rzuci w niego kamieniem. Mając związane ręce, nie rzuci zbyt mocno, ale jeśliby dzięki temu mężczyzna podszedł bliżej krat, Desmond mógłby sięgnąć przez nie i go przytrzymać.

Żołnierz zatrzymał się przed jego boksem. Miał na sobie kompletny strój bojowy, w tym czarny hełm i noktowizor.

– Potrzebuję lekarza – powiedział Desmond słabym głosem. – Ktoś rozerwał mi bok, gdy mnie tu ciągnął.

Pot na jego twarzy potwierdzał kłamstwo, ale żołnierz milczał i nie wykonał najmniejszego ruchu.

– Słyszałeś? Potrzebuję lekarza.

– Czy to ci wygląda na szpital? – odparł mężczyzna szorstko.

– Nie. Widocznie jest to miejsce dla durnych najemników. Jak sądzisz, co twój mocodawca zrobi, jeśli umrę na sepsę zaraz po tym, jak mnie do niego dostarczycie? – Desmond zamilkł. – Pewnie teraz obliczasz, o ile spadła przewidywalna długość twojego życia.

– Pokaż. – Brawura prawie zniknęła z głosu mężczyzny.

– Lekarza.

– Kłamiesz.

Desmond odwrócił się i lekko odchylił rękę, pokazując kawałek zakrwawionego boku. Gdy się znowu odezwał, postarał się, żeby jego głos brzmiał jeszcze słabiej.

– Domyślam się, że i tak mnie zabiją. Przynajmniej zginę razem z tobą.

– Podejdź tu.

– Pieprz się. – Desmond splunął.

Przez chwilę wydawało mu się, że mężczyzna otworzy celę. Jednak ten odwrócił się na pięcie i odszedł.

Wrócił po dziesięciu minutach, niosąc tacę pełną jedzenia i małe pudełko. Desmond poczuł przyływ nadziei, która wyparowała, gdy żołnierz przepchnął tacę pomiędzy prętami. Była miękka, ze styropianu – bezużyteczna.

– Jedz – polecił.

– Nie jestem głodny. Zbyt mnie zajmuje umieranie. – Desmond był niewiarygodnie głodny, ale wiedział, co jest w jedzeniu; straciłby przytomność zaraz po pierwszym kęsie. Obejrzeliby ranę, odkryli oszustwo, a potem nie uwierzyliby ani jednemu jego słowu, przez co straciłby szansę na ucieczkę.

– Naprawdę chcesz wszystko komplikować?

– Sądziłem, że jest już dość skomplikowane.

Żołnierz postawił pudełko na ziemi, otworzył je i coś wyjął. Desmond podniósł się, przygotował do rzutu kamieniem i szarży na metalową kratę, ale przeciwnik był szybki: wyjął pistolet z pudełka i strzelił tylko raz, trafiając Desmonda w pierś.

## ROZDZIAŁ 35

Millen ocknął się nagle. Bolała go cała górna część ciała, ale uwagę zwróciło coś, co owijało się wokół lewej łydki. Leżał bez ruchu, zbierając siły. Wkrótce przekona się, czy może się poruszyć. Jednak to coś zacisnęło się mocniej, chwytając go jak imadło. Wydawało mu się, że ma nie więcej niż dwa centymetry szerokości, ale było silne i z każdą mijającą sekundą odcinało krążenie.

Spadł do pionowego szybu; nie był pewien, na jaką głębokość. Otaczała go całkowita ciemność, oprócz małego świecącego punkciku w oddali, wyglądającego jak latarka na końcu tunelu kolejowego.

To coś na jego nodze ścisnęło go coraz bardziej. Ku zaskoczeniu Millena zaczęło go ciągnąć z niewiarygodną siłą, przesuając po kamiennym podłożu w stronę ściany.

Światło miało teraz większą moc i oświetliło jego ciało. Zauważył, co go pętało: sznur z pętlą zarzucony jak lasso na nogę.

– Przestań! – krzyknął.

Sznur dalej się napinał. Nacisk na lewą kostkę, gdzie zacisnęła się lina, był nie do wytrzymania. Jego ramiona leżały na ziemi, ale z każdą sekundą podnosił się coraz wyżej.

Nie słyszeli go. Nadal miał na sobie kombinezon, który tłumiał głos.

Nie miał wyboru. Wiedział, że to może oznaczać jego koniec, ale zdarł hełm z głowy i krzyczał z całych sił.

– Przestańcie!

Na jego nieszczęście reakcja była natychmiastowa. Z hukiem zwalił się

na nierówne podłoże. Ból rozszedł się po całym ciele. Przetoczył się na bok, ale bolało jeszcze bardziej. Zamarł w bezruchu, modląc się, by przestało. Przez chwilę miał wrażenie, że zwymiotuje. Mdłości minęły i powoli zaczął do niego docierać sens słów wykrzykiwanych przez kogoś na górze.

– Doktorze Thomas! Dobrze się pan czuje?

– Nie do końca – wymamrotał.

– Słucham? – To był Kito, jego przewodnik i tłumacz.

– Po prostu... daj mi chwilę! – krzyknął Millen.

Podnosił się centymetr po centymetrze, aż wreszcie usiadł i obmacał swoje ciało. Mocno się poturbował podczas upadku. Miał stłuczone żebra i prawdopodobnie każdą część ciała podrapaną lub posiniaczoną. Jednak nie dolegało mu nic poważnego. Przeżyje. Wyjdzie stąd. Uznał, że miał ogromne szczęście. Kombinezon trochę zamortyzował upadek.

Ale szybko, do którego wleciał, miał co najmniej sześć metrów głębokości, a obolałe żebra nie pomogą mu we wspinaczce.

Na szczęście Kito zadzwonił do obozu po wsparcie. Teraz towarzyszyło mu czterech ludzi i razem wyciągnęli Millena na górę – chociaż sam proces nie przebiegł bezboleśnie.

Kiedy tylko uspokoił oddech, wylewnie podziękował mężczyznom. Przynieśli do jaskini jedzenie i picie, za co był im wdzięczny. Nie zdawał sobie sprawy, jaki jest głodny, dopóki nie zaczął jeść. W połowie posiłku coś przyszło mu do głowy. Nałożył z powrotem hełm i wstał.

– Czy może pan chodzić? – spytał Kito.

– Raczej nie ustanowię nowego rekordu prędkości, ale dam radę poruszać się samodzielnie – odparł Millen. – Jednak najpierw skończę to, po co tu przyszedłem.

Dwadzieścia minut później Millen wypatrzył nietoperza lądującego w pobliżu otwartej porcji żywnościowej i częstującego się jedzeniem. Wycelował, pociągnął za spust i uspił zwierzę. Przez chwilę drżało, lecz zaraz zwiotczało. Millen podniósł je i wsadził do worka.

– Teraz możemy iść.





Kiedy dotarli do zielonych świetlików chemicznych, nawiązali kontakt radiowy z dwoma pozostałymi żołnierzami kenijskimi, czekającymi przy SUV-ach u wejścia do jaskini. Kito poinformował Millena, że dwaj żołnierze, którzy przywieźli ich na miejsce, zniknęli razem z samochodem.

– Prawdopodobnie zdezerterowali – dodał Kito. – Oni też mają rodziny. Bez wątplenia martwili się, że wirus już do nich dotarł.

Ci, którzy czekali przy SUV-ach, mieli dla nich gorszą wiadomość: kiedy dojechali do jaskiń, próbowali połączyć się z obozem w wiosce, ale nikt nie odpowiedział.

Millen natychmiast pomyślał o Hannah, o tym, jak spokojnie spała dziś rano. Mimo bólu w żebrach i nogach przyspieszył. Pięciu Afrykanów z łatwością dotrzymywało mu kroku i w niecały kwadrans wyszli z jaskini.

Millen zdjął hełm.

– Pospieszmy się – rzucił.



Droga powrotna do obozu była dla niego bolesnym doświadczeniem. Siedział na tylnym siedzeniu SUV-a, kurczowo trzymał się rączki przy suficie i zaciskał zęby.

Kiedy światła SUV-ów oświetliły białe namioty, samochody zatrzymały się z piskiem hamulców, wzbijając w powietrze chmurę pyłu, która wyglądała jak zjawa zmierzająca od auta w stronę obozu. Pył opadł i potwierdziły się najgorsze obawy Millena: ani śladu żywej duszy w okolicy. Wcześniej miał nadzieję, że przerwa w komunikacji może wynikać z awarii sprzętu.

Ośmiu mężczyzn wysiadło z pojazdów. Kito zadzwonił do Ministerstwa Zdrowia, żeby poinformować o sytuacji. Jeden z kenijskich oficerów połączył się z dowództwem na lotnisku w Manderze. Pozostali, w tym

Millen, ostrożnie zbliżali się do obozu. Kenijscy żołnierze nieśli półautomatyczne karabiny, palce trzymali na językach spustowych.

Obóz wyglądał jak scenografia z horroru. Wszędzie leżeli martwi ludzie: żołnierze, personel WHO, pracownicy CDC oraz kenijskiego Ministerstwa Zdrowia.

Ten, kto napadł na obóz, nie pozostawił nikogo przy życiu. Jak dotąd Millen nie odnalazł Hannah. Jeśli jakimś cudem przeżyła, nie wołała o pomoc.

Rozdzielili się, przeszukiwali okolicę, ale znaleźli tylko kolejnych zabitych. Strach Millena narastał z każdym krokiem. Wciąż trzymał się nadziei, że Hannah żyje, że jakoś udało jej się uciec. Wstrzymał oddech, kiedy odsuwał tkaninę zamykającą wejście do ich namiotu.

W środku było pusto.



Millen szybko policzył SUV-y. Jednego brakowało. Czyli może jednak uciekła.

Jeden z żołnierzy coś krzyknął. Millen znalazł się obok niego na obrzeżach obozu minutę później i spojrzał z przerażeniem na ciało Jonasa Beckera, które leżało bezwładnie w przewróconym na bok SUV-ie.

Umarł, walcząc, pomyślał Millen. Ale z kim walczył? Z terrorystami z Asz-Szabab?

– Doktorze Thomas! – zawołał żołnierz, który obszedł SUV-a dokoła.

Kłapa bagażnika była otwarta, na podłodze auta zebrała się spora kałuża krwi. Wszędzie leżały odłamki rozbitej szyby.

Millen wyjął swój telefon satelitarny i wybrał numer do Atlanty. Podczas lotu na miejsce Shaw wyraźnie zaznaczyła, że gdyby stało się najgorsze, członkowie EIS powinni zadzwonić do Elliotta Shapiro, pomijając drogę służbową.

W Atlancie była wpół do szóstej wieczorem. Ktoś odebrał telefon po

pierwszym dzwonku.

– Shapiro.

– Doktorze Shapiro, nazywam się Millen Thomas. Jestem agentem EIS w pierwszym roku służby, obecnie oddelegowanym do Mandery.

– Słucham – powiedział Elliott. Millen słyszał jego kroki w tle, kakofonię głosów i stukania w klawiaturę. – Co mogę dla ciebie zrobić, Millen?

– Proszę pana, mamy problem.

## ROZDZIAŁ 36

Telefon wstrząsnął Elliottem. Właśnie po raz ostatni robił obchód przed wyjściem z pracy, ale teraz usiadł za biurkiem i zastanawiał się, jak powinien postąpić. Kolejne posunięcia mogą skutkować życiem lub śmiercią jego ludzi w Kenii – w tym jednej młodej kobiety, która wiele dla niego znaczyła.

Elliott i jego żona Rose mieli dwóch synów. Jeden w wieku trzech lat utopił się w przydomowym basenie. Po wypadku wypełnili basen ziemią i na jego cześć zasadzili w nim kwiaty. Drugi był anestezjologiem w Austin i widywali go kilka razy w roku. Peyton często przychodziła do nich do domu, a z biegiem lat Elliott i Rose zaczęli myśleć o niej i traktować ją, jakby była ich córką.

Zdawał sobie sprawę, że pierwsze godziny po porwaniu były najważniejsze i zadecydują o tym, czy przeżyje i bezpiecznie wróci; mogło ją ocalić tylko szybkie działanie.

Najpierw zadzwonił do Narodowego Biura Rozpoznania, gdzie jego prośba spotkała się z natychmiastowym sprzeciwem.

– Potrzebujemy telemetrii satelitarnej na już, rozumiecie? – powiedział. – Zaraz się rozłączę, zadzwonię do Departamentu Stanu i porozmawiam z kimś postawionym wyżej niż pan. Na pewno wspomnę pana nazwisko. Jeśli telemetria nie będzie dostępna, gdy oddzwonię, źle to się dla pana skończy.

Nie blefował; skontaktował się z Departamentem Stanu, a później ze swoim człowiekiem w CIA.

W chwili gdy się rozłączył, odezwał się telefon na jego biurku. Dzwonił dyrektor CDC. Elliott poinstruował Millena, że ma skontaktować się z Centrum Działań Kryzysowych i bezzwłocznie poinformować ich o zaistniałej sytuacji; widocznie wieść o kryzysie dotarła już na sam szczyt łańcucha pokarmowego.

– Zadzwońeś do Departamentu Stanu, Elliotcie?

– Tak. – Elliott stukał w klawiaturę swojego komputera, wysyłał wiadomość do Joego Ruto, szefa placówki CDC w Kenii, żeby jak najszybciej skontaktował się z Kenijczykami i ustalił, jakimi siłami dysponują w okolicy.

– Straszyleś ich, Elliotcie?

– Hm, tak. Chyba tak, nie wiem. A co?

Elliott przełożył telefon do drugiego ucha, żeby szybciej pisać.

– Bo właśnie do mnie dzwoniłi. Nie są zadowoleni.

– Aha. Czy Biały Dom zgadza się na siły szybkiego reagowania?

Elliott sądził, że siły szybkiego reagowania przeczesujące okolicę w poszukiwaniu Peyton i innych jeńców są najlepszym rozwiązaniem i dają największą szansę na ich odbicie; starał się, żeby je wysłano.

– Nawet nie mają jeszcze namierzonego celu – odparł dyrektor.

– Z pewnością mają: obozy Asz-Szabab w Somalii.

– Bądź realistą, Elliotcie.

– Jestem. A twoim zdaniem, kto to zrobił? W okolicy działa tylko jedna grupa terrorystyczna: Asz-Szabab. Nienawidzą Ameryki. Jesteśmy niezwykle cennymi celami. To oni. To oni ją mają.

– Ją?

– Naszych ludzi.

Dyrektor odetchnął.

– Nasi ludzie mogą być w jednym z wielu obozów.

– Zgadzam się. Uderzymy w nie w tym samym czasie. To jedyny sposób.

– Jezus, Elliotcie. Chcesz rozpętać wojnę w południowej Somalii?

– Chcę uderzyć na znane obozy terrorystów w poszukiwaniu amerykańskich jeńców. Od kiedy tak trudno was namówić do tego typu

działań?

Dyrektor zamilkł na dłuższą chwilę.

– Poczekaj – powiedział wreszcie, a Elliott usłyszał klikanie myszką. – Dobrze, za piętnaście minut ma się odbyć telekonferencja w Białym Domu...

– Chcę brać w niej udział...

– Nie, Elliotcie. Tylko dla osób zaproszonych. Będą obecni prezydent i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Proszę, nigdzie na razie nie dzwoń. Wiem, że się martwisz. Skontaktuję się, gdy narada dobiegnie końca, dobrze?

– W porządku.

Elliott walnął telefonem i przez dłuższą chwilę siedział, wsłuchując się w swój oddech. Na komórkę leżącą na biurku przyszedł esemes.

Od: Rose

Wiadomość: Chyba zmienię rezerwację z Miller Union na Kyma. Pasuje ci?

Elliott dotknął kilku przycisków i zadzwonił do żony.

– Będziemy musieli odwołać kolację.

Po tonie jego głosu natychmiast rozpoznała, że coś się wydarzyło.

– Co się stało?

– Chodzi o Peyton.

– O Boże.

Elliott nie podał żadnych szczegółów, tylko poinformował ją, że nie mają kontaktu z Peyton i jej zespołem i próbują ustalić, czy chodzi o problem techniczny, czy coś innego. Niewinne kłamstewka stały się nieodłączną częścią jego pracy, zwłaszcza gdy znajdował się w terenie, ale rzadziej się do nich uciekał, odkąd uzyskał awans i pracował w głównej siedzibie CDC. Wolałby pomówić szczerze z Rose, ale teraz nie było na to czasu.



Dziesięć minut później w skrzynce odbiorczej Elliotta pojawiła się nowa wiadomość. Narodowe Biuro Rozpoznania udostępniło przekaz satelitarny.

Elliott kliknął w link i patrzył, jak odziani na czarno żołnierze zaatakowali obóz o zmierzchu. Nagranie skończyło się w chwili, gdy żołnierze wyciągali dwie kobiety przez bagażnik przewróconego SUV-a. Włożyli im na głowy czarne worki, zaciągnęli je na polanę, gdzie stały dwa śmigłowce, i gdzieś z nimi odlecieli.

Elliott chwycił za telefon służbowy i wybrał numer analityka NRO, ignorując rozkaz dyrektora CDC.

– Dokąd odleciał ten śmigłowiec?

– Nie wiem. To duży obszar, nie obejmujemy go w całości.

– Czy maszyna pojawiła się ponownie na jakimś nagraniu lub obrazie z innego satelity?

– Nie wiemy...

– Co to ma, do cholery, znaczyć, że nie wiecie?

– To nieoznakowany sikorsky. Nie mamy pewności, że to ten sam helikopter.

– Macie satelity skierowane na obozy terrorystów z Asz-Szabab?

Analityk się zawahał.

– Tak czy nie?

– To... tajna informacja, proszę pana.

– Tajna? Naprawdę nie zamierza mi pan powiedzieć, czy jakiś podobny śmigłowiec wylądował w bazie terrorystów?

– Mogę przez to stracić pracę, proszę pana.

– Stracić pracę? Proszę posłuchać. W tej chwili jakiś osiłek torturuje i prawdopodobnie wykorzystuje seksualnie amerykańskie obywatelki, pracowników rządu amerykańskiego, służących naszemu narodowi, tak jak pan i ja, mężczyzn i kobiety, którzy ryzykują życie, żeby chronić nasze rodziny i naszych przyjaciół, żebyśmy mogli dziś wrócić do domu i spokojnie spać. Jeśli nie jest to panu obojętne, żądam, żeby pan przejrzał wszystkie przekazy z baz terrorystów i jeśli zauważy pan ten śmigłowiec lub inne podejrzane działania, zadzwonił i zapoznał

z sytuacją doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego czy kogo tam, do jasnej cholery, musicie informować. Zrobi pan to?

– Tak, proszę pana, zrobię.



Do Elliotta przysłała kolejna wiadomość tekstowa.

Od: Rose

Wiadomość: Coś już wiadomo?

Elliott odpisał:

Jeszcze nie. Wszystko będzie dobrze. Nie martw się.



O szóstej wieczorem zadzwonił telefon na biurku Elliotta. Odebrał i słuchał, był zaskoczony tym, kto do niego zadzwonił: szef nadzoru Centrum Działań Kryzysowych.

– Elliotcie, toniemy pod zalewem sygnałów; ta choroba górnych dróg oddechowych wciąż przybiera na sile. Miliony nowych przypadków...

– Aha, aha, aha – powiedział Elliott, przerywając mu. – Obserwujcie. Oddzwonię.

– Ale sądzę, że...

– Oddzwonię.

Odłożył słuchawkę i przez krótką chwilę zastanawiał się, czy zadzwonić do dyrektora, żeby sprawdzić, czy ten próbował się do niego dodzwonić.

Wstał i zaczął krążyć po gabinecie. Wolał nie myśleć o tym, jak skoczyło mu ciśnienie. Cieszył się, że nie widzi go Rose. Wziął tabletkę z fiolki trzymanej w górnej szufladzie biurka i połknął lek na obniżenie ciśnienia.





Po pewnym czasie, dłużącym się w nieskończoność, ponownie zadzwonił telefon Elliotta.

– Dobrze – powiedział dyrektor CDC. – Będziemy mieli dwa oddziały szybkiego reagowania w pogotowiu, wysyłają też lotniskowiec do Zatoki Adeńskiej. Specjalne jednostki operacyjne CIA czekają w gotowości na lotnisku w Mogadiszu. Jak tylko będziemy znali lokalizację jeńców, ruszą do ataku.

– To tyle?

– To wszystko, co możemy zrobić, dopóki nie dowiemy się, gdzie je przetrzymują.

– Wobec tego zamierzamy czekać, aż porywacze wystosują swoje żądania? A może zmuszą naszych ludzi do odczytania swojego komunikatu? A my mamy tylko czekać i mieć nadzieję, że ktoś zaleje się w trupa w jakimś barze w Mogadiszu i zacznie opowiadać o amerykańskich jeńcach?

– Czego chcesz, Elliotcie?

– Chcę, żeby siły specjalne zaatakowały te obozy w Somalii. Powinniśmy wywrócić je do góry nogami.

– A jeśli ich tam nie ma? A jeśli zabrali je do Etiopii albo nadal są w Kenii? Atak na obozy doprowadzi do strat w ludziach po naszej stronie. Poza tym porywacze w ramach odwetu mogą zabić jeńców.

– Po pierwsze, żołnierze wiedzą, co robią – powiedział Elliott. – Oddziały specjalne znają ryzyko, wiedzą, że ich miejsce jest na pierwszej linii frontu, by chronić życie Amerykanów. To ich praca. I kiedy nasi ludzie wyjeżdżają w teren, jadą z przekonaniem, że jeśli coś im będzie zagrażać, Stany Zjednoczone przyjdą im z pomocą. A my nie dotrzymujemy obietnicy. Jakie mamy prawo prosić o wyjazd na misję kolejny rocznik agentów EIS, żeby narażali swoje życie, skoro nie mamy ochoty chronić tego rocznika? Co?

– Będę cię informował na bieżąco. Idź do domu. Postaraj się odpocząć.

Rozłączył się. Elliott rzucił telefonem. Szary kabel sieciowy, który

wychodził ze ściany, zadziałał jak jo-jo i aparat uderzył w biurko.

Drzwi gabinetu się otworzyły, do środka zajrzał Josh, jego asystent. Zawsze zostawał w pracy do czasu, aż Elliott wychodził do domu. Spojrzał na zepsuty telefon.

– Zadzwoń... do obsługi technicznej.

Kiedy drzwi się zamknęły, Elliott wyjął swoją komórkę i wybrał numer do starego przyjaciela.

– Mam coś dla ciebie.

– Oficjalnie?

– Absolutnie nieoficjalnie.

– Ma to związek z epidemią w Kenii czy to coś nowego?

– Kenia. Pracownicy CDC zostali uprowadzeni. Biały Dom wie o tym. Nawet nie kiwną cholernym palcem w tej sprawie.

## ROZDZIAŁ 37

Kiedy Elliott wrócił do domu, nalał sobie drinka i szybko go wychylił. Potem wypił jeszcze jednego i usiadł w dużym fotelu w kącie swojego biura wykończonego mahoniem, wbił wzrok w jedno miejsce, ale tak naprawdę na nic nie patrzył. Jego wzrok padł na zdjęcie zrobione siedem lat wcześniej na Haiti. On i Peyton patrzyli w obiektyw, obejmował ją ramieniem. Fotografia została zrobiona w dniu, kiedy okazało się, że nie ma żadnych nowych przypadków zachorowań na cholere. To był szczęśliwy dzień – jeden z nielicznych podczas tej męczącej misji.

Podniósł pilota i włączył telewizor.

*CNN dowiedziała się, że do porwania doszło we wschodniej Kenii w pobliżu granicy z Somalią...*

Elliott obejrzał tę relację do końca. Została podsumowana w następujący sposób:

*Biały Dom wystosował oświadczenie, w którym twierdzi, że śledzi sytuację i rozważa wszystkie możliwości, by zapewnić bezpieczny powrót amerykańskiemu i kenijskiemu personelowi.*

Poszedł do kuchni, żeby poszukać Rose, ale zamiast niej znalazł całego, surowego kurczaka w szklanym naczyniu na środku wyspy kuchennej, a obok niego posiekane warzywa. Żona wysłała mu wiadomość, że sama coś ugotuje, i teraz zastanawiał się, co mogło się stać.

Rose zrezygnowała z pracy w szkole, kiedy urodził się ich pierwszy syn. Była wspaniałą matką. Po śmierci dziecka poświęcała większość czasu na dogłębne oglądanie ogrodu, który stworzyli w tym miejscu, a także na

gotowanie samodzielnie wyhodowanych warzyw.

Kuchenka była włączona. Elliott pochylił się i nacisnął odpowiedni guzik, żeby zapalić światelko w środku. Piekarnik był rozgrzany, ale pusty.

– Rose?! – zawołał.

Żadnej odpowiedzi.

Wszedł do jej gabinetu obok kuchni. Na biurku leżała poczta z całego dnia, koperty były zamknięte.

Znalazł ją w sypialni, w półmroku leżała na kołdrze w ubraniu. Zasłony były rozsunięte. Zachodzące słońce przesączało się przez żaluzje w drzwiach prowadzących na taras.

– Rose?

Nie poruszyła się.

Elliott usiadł na skraju łóżka i wziął ją za rękę, badając puls palcem. Była rozpalona, serce biło jej bardzo szybko. Położył dłoń na jej czole. Z całą pewnością miała gorączkę.

Otworzyła oczy i widząc Elliotta, od razu się zmartwiła. Spojrzała na zegarek na stoliku nocnym.

– O nie, chyba zasnęłam.

Uniosła się na drżących rękach, zaczęła kasłać i z powrotem opadła na łóżko, sięgając po pudełko chusteczek. Gdy kasłała w chusteczkę, Elliott słyszał, że infekcja jest poważna. W koszu na śmieci przy łóżku było wiele zużytych chusteczek.

– Kiedy źle się poczułaś? – spytał.

– Zaraz po tym jak wyszedłeś rano do pracy. Ale to nic. Muszę skończyć obiad.

Elliott zbadał jej szyję. Miała powiększone węzły chłonne, organizm walczył z infekcją.

Wydmuchała nos w chusteczkę, potem jeszcze raz. Elliott wziął pudełko i położył je obok niej na łóżku.

– Nie, Rose. Zostajesz w łóżku, ja zajmę się obiadem.

Popatrzyła na niego sceptycznie.

– No dobra. Zamówię coś.

Uśmiechnęła się i ścisnęła jego dłoń.

Pomógł jej się rozebrać i wejść pod kołdrę, a potem poszedł do łazienki, żeby sprawdzić, co mają w apteczce. Wszystkie tabletki na grypę i przeziębienie już od dawna były przeterminowane. Znalazł paczkę glukonianu cynku do ssania i wrócił z nią do sypialni.

– Zostań w łóżku, kochanie. I weź to – pomoże ci. Idę po jakiś obiad i leki na przeziębienie. Niedługo wrócę.

Elliott przegryzł coś, żeby wypity alkohol szybciej się wchłonał, następnie wyłączył piekarnik, a kurczaka wsadził do lodówki. Ukończenie obiadu przygotowywanego przez Rose przekraczało jego możliwości; kiedy wyjeżdżała z miasta, radził sobie dzięki gorącym daniom z Whole Foods. To będzie musiało im starczyć dziś wieczorem.



Parking przy aptece był wypełniony do ostatniego miejsca; Elliott musiał czekać, aż jakieś się zwolni. Zszokowało go to, co zastał w środku. Ludzie tłoczyli się pomiędzy półkami i kłócili w kolejce do kas.

Co się tutaj dzieje?

Podszedł do półek, na których powinien znaleźć leki na przeziębienie i grypę, ale okazało się, że są zupełnie puste. Wszystko zostało wykupione. W tylnej części sklepu, w okolicach okienka obsługiwanego przez aptekarza, doszło do jakiegoś zamieszania.

– Moje dziecko jest chore...

– Kiedy będziecie mieli...

Farmaceutka przechodziła obok okienka i napotkała wzrok Elliotta.

– Przepraszam – powiedział Elliott. – Czy są jeszcze jakieś leki na przeziębienie?

Młoda kobieta pokręciła głową, jakby już wiele razy słyszała to pytanie.

– Nie, nie wiemy, kiedy przyjdzie dostawa.

Jeśli coś takiego działo się w Atlancie, to prawdopodobnie w innych częściach kraju było podobnie. Sprawy wyglądały gorzej niż

w statystykach – znacznie gorzej. Elliott musiał wracać do pracy. Potrzebne są stanowcze działania. Teraz najpilniejsze było wyodrębnienie wirusa, by mogli go porównać z próbkami z Mandery. Jeśli wirusy są takie same... Nie chciał nawet rozważać takiej możliwości. Stany nie były na to gotowe. Żaden kraj nie był.

Zastanawiał się, czy zadzwonić do Rose, ale bał się, że może ją obudzić. Potrzebowała odpoczynku i prawdopodobnie niewiele zdoła zjeść. W lodówce nadal leżały resztki z wczorajszej kolacji, jeśli zgłodnieje.

W drodze do CDC Elliott zadzwonił do swojego syna w Austin. Ryan z żoną i synem mieli przylecieć wieczorem do Atlanty, żeby spędzić z nimi Święto Dziękczynienia. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Cześć, tato.

– Cześć. Miałem nadzieję, że złapię cię, zanim wsiądziecie do samolotu.

– Elliott słyszał klaksony aut w tle.

– Dlaczego? Wszystko u was w porządku?

– Tak – skłamał Elliott. – Oczywiście. Tylko sprawdzam, co u was.

Mamy tu jakiegoś wirusa.

– U nas też. Wydaje się, że pół miasta zachorowało.

– A Adam i Samantha? – spytał Elliott.

– Nic im nie jest. Mamy szczęście, jak dotąd nic nam nie dolega. Jednak wczoraj odesłano do domu dzieci z przedszkola, do którego chodzi Adam. – Umilkł. – Jesteśmy już prawie na lotnisku. Jesteś pewien, że mamy przylecieć?

Elliott sam się nad tym zastanawiał. Jeśli wirus przeniósł się na południe, to wolał raczej mieć rodzinę przy sobie. I nie chciał ich martwić.

– Oczywiście. Czekamy na was.

– Dobrze. Widzimy się wieczorem.

– Szczęśliwej podróży. Kocham was.

– My ciebie też, tato.



Przy wejściu do głównego budynku CDC przy Clifton Road Elliott wsunął kartę do czytnika. Czerwone światło. Spróbował ponownie. Podszedł do niego ochroniarz.

– Chyba mam jakiś problem z kartą – powiedział Elliott.

– To nie karta, doktorze Shapiro. Odebrano panu możliwość wstępu na kampus.

– Co? Na czyj rozkaz? – Kątem oka Elliott zobaczył dwóch innych ochroniarzy podchodzących do bramki obrotowej.

– Przykro mi, ale nie wiem.

Elliott odsunął się kilka kroków od bramki, żeby zrobić miejsce innym wchodzącym ludziom. Patrzyli na niego. Wyjął komórkę i wybrał numer dyrektora.

– Steven, mam problem z wejściem do budynku.

– Przywykniesz. Jeśli będę miał coś do powiedzenia, to już nigdy tu nie wejdiesz.

Elliott zastanawiał się, czy udawać głupiego, ale uznał, że lepszym posunięciem będzie zaapelowanie do poczucia obowiązku dyrektora.

– Słuchaj, nie chcę wiedzieć, o co mnie obwiniasz, bo co się stało, to się nie odstanie. Mamy tu poważny problem. Potrzebujemy każdej pary rąk dla dobra Amerykanów...

– Oszczędź sobie tej gadki, Elliott. Jesteśmy świadomi tego, jak wygląda sytuacja. Idź do domu. I nie próbuj ponownie kontaktować się z mediami.

# DZIEŃ 5

**50 mln zarażonych**

**12 tys. ofiar śmiertelnych**



## ROZDZIAŁ 38

Desmond obudził się, czując nowy, jeszcze intensywniejszy ból. Opuchlizna pokrywająca lewą stronę klatki piersiowej wyglądała jak po użądleniu pszczoły – pszczoły rozmiaru volkswagena.

Kiedy był nieprzytomny, przeniesiono go w inne miejsce. Nowa cela wyglądała inaczej. Znajdował się w zamkniętym bardzo nowoczesnym i eleganckim pomieszczeniu. Z trzech stron otaczały go metalowe ściany pomalowane na biało, a gruba szklana tafla oddzielała od szerokiego korytarza. Leżał na wąskim łóżku z cienkim materacem i bez żadnej pościeli. To było właściwe więzienie – bardzo nowoczesne. W suficie znajdował się głośnik, w ścianie naprzeciw szklanej tafli – otwór, przez który, jak się domyślił, wsuwano jedzenie.

Środek usypiający, który mu zaaplikowano w stajni, musiał mieć dużą moc; Desmond czuł, że był dość długo nieprzytomny. Tymczasem sporo musiało się wydarzyć: zdjęli mu ubranie, zastąpili je zielonym strojem i opatrzyli wszystkie jego rany. Podciągnął koszulę i obejrzał opatrunek na boku. Przykrywał płytką ranę, którą sam sobie zadał.

Nie skrępowali mu rąk i nóg. Dobrze było wreszcie poczuć choć tę namiastkę wolności.

Nie wiedział, skąd wzięło się przekonanie, że znajduje się na statku. Może wyczuł delikatny ruch lub zasugerował się proporcjami pomieszczenia oraz tym, że ściany, podłoga i sufit były z metalu.

Usiadł na łóżku i czekał. Brzęczenie jarzeniówek zaczynało go powoli denerwować, potem ogłuszać.

Usłyszał ciężkie stąpanie po metalowej podłodze. Jakiś mężczyzna zatrzymał się przed szklaną taflą i przez chwilę mu się przyglądał. Desmond od razu go rozpoznał: człowiek z poharataną twarzą z jego wspomnień. Teraz miał dłuższe włosy. Jasne loki opadały mu na twarz, częściowo zasłaniając blizny. Cętkowana, poparzona skóra rozciągała się od klatki piersiowej, przez szyję, brodę i policzki, sięgając czoła. Miał niechlujną jasną bródkę, która wyrastała w nierównych kępkach. Nie za dobrze maskowała rany, które kiedyś musiały być bardzo bolesne. Wyglądał prawie nieludzko.

Desmond wstał i powoli zbliżył się do szklanej ściany.

– Dlaczego? – Pytanie porywacza było przepełnione złośliwością i, ku zaskoczeniu Desmonda, również urazą. Mężczyzna wydawał się rozwścieczony, ale również w jakiś sposób zraniony.

– Kim jesteś? – zapytał Desmond.

Mężczyzna uśmiechnął się złośliwie, po czym odezwał z wyraźnym australijskim akcentem.

– Przestań udawać, Desmondzie. Nie wierzę w tę całą twoją amnezję.

– Zrozum, nie mam zielonego pojęcia, kim jesteś. Obudziłem się w hotelu w Berlinie kilka dni temu i niczego nie pamiętałem. Nie wiem nawet, kim jestem.

– Zaraz coś na to zaradzimy. – Mężczyzna podniósł do ust krótkofalówkę. – Kontynuujcie – rozkazał.

W celi dał się słyszeć cichy syk. Desmond rozejrzał się wokół, poszukując jego źródła: otwór w ścianie, gdzie, jak założył, wsuwano jedzenie. W ciągu kilku sekund stracił przytomność.



Świadomość wracała powoli, falami. Miał ciężką głowę. Słyszał jakieś głosy, jakby ludzie cicho rozmawiali nad studnią, a on znajdował się na jej dnie.

Światło nad głową było oślepiające. Został przywiązany do czegoś na kształt fotela dentystycznego, nogi miał wyciągnięte przed siebie, głowę

przypiętą pasem do zagłówka. W zgięciu ręki miał założony wenflon i przypiętą kroplówkę. Jakieś urządzenie piszczało gdzieś poza jego polem widzenia.

– Co zrobiłeś z Rendition? – spytał jasnowłosa mężczyzna z bliznami na twarzy.

– Jest przytomny – powiedział ktoś inny.

– Jeszcze jedna dawka!

– To za dużo. Musisz poczekać, aż ta przestanie działać.

– Zrób to.



Kiedy Desmond się obudził, znowu leżał na wąskim materacu w metalowo-szklanej celi. Miał zamglony umysł, wciąż znajdował się pod wpływem nieznaną substancji.

Tuż za szklaną ścianą przy stoliku, na składanym krześle siedział blondyn i założywszy nogę na nogę, czytał coś na tablecie. Kiedy Desmond się poruszył, mężczyzna odłożył urządzenie na bok. Jego postawa uległa zmianie: zniknęła nienawiść z oczu, zamiast niej pojawiło się łagodne, refleksyjne spojrzenie.

Desmond usiadł.

– Wierzysz mi już? – zapytał.

– Tak. – Mężczyzna wstał i podszedł do szyby.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Conner McClain. Czy to coś ci mówi?

Desmond pokręcił głową.

Conner odwrócił się plecami do szyby.

– W tej chwili zachodzą zdarzenia, które na zawsze zmienią bieg historii. Za kulisami, z dala od nagłówek gazet, toczy się wojna. Wkrótce wybuchnie na całym świecie.

Nagłówki, pomyślał Desmond.

– Epidemia w Kenii.

– Tak.

– Ty jesteś za nią odpowiedzialny. Ty ją rozpocząłeś.

– Nie, Desmondzie. *My* ją rozpoczęliśmy.

Te słowa miały miazdzącą moc. Skupił się na swoich uczuciach, zastanawiając się, czy to prawda.

– Kończy nam się czas – ciągnął Conner. – Potrzebuję twojej pomocy. Musisz mi powiedzieć, co ci się przydarzyło, pomóc powstrzymać to, co niechybnie grozi nam wszystkim.

– Wypuść mnie.

– Nie mogę.

– Możesz.

– Postaw się w mojej sytuacji, Desmondzie. Nie wiem, co ci się przydarzyło.

– A jak sądzisz, co się ze mną stało?

– Są dwie możliwości. Pierwsza jest taka, że dopadł cię któryś z naszych wrogów. Wykorzystuje cię, żeby nas powstrzymać.

– Jeden z naszych wrogów?

– Tak. Jeszcze kilka dni temu ty i ja byliśmy partnerami.

– Partnerami w czym?

– W największym projekcie naukowym w historii.

– Zwierciadło.

– Tak.

– Co to jest?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Dlaczego?

– Z drugiego możliwego powodu.

– Czyli?

– Że sam to sobie zrobiłeś, że zdradziłeś nas i naszą sprawę. To właściwie jest ten gorszy scenariusz. Tak czy owak nie mam pewności, po której stronie stoisz, Desmondzie. Ale jeśli odzyskasz pamięć, poznasz prawdę o tym, co nas czeka. Będziesz wiedział, że jesteśmy jedyną nadzieją ludzkości – że Zwierciadło jest naszą jedyną nadzieją.

– Są trzy części: Rook, Rendition i Rapture.

– Pamiętasz?

– Nie. Dowiedziałem się od dziennikarza. – Desmond pomyślał o mężczyźnie i strachu na jego twarzy, kiedy mówił: „Mają moją narzeczoną”. – Co się z nim stało?

Conner odwrócił wzrok.

– Zadałem ci pytanie.

– Wysłaliśmy go na bezpłatną wycieczkę do Disneylandu, Desmondzie. A jak myślisz, co się z nim stało?

– Czego chcecie ode mnie?

– Rendition.

– Czyli czego?

– Dzieła twojego życia. Jednej z części Zwierciadła.

Siedząc na wąskim łóżku, Desmond próbował przypomnieć sobie coś o Rendition. Nic nie przychodziło mu do głowy. To słowo nie wzbudzało żadnych wspomnień, wiedział natomiast jedno: trzeba tego strzec. Instynktownie przeczuwał, że jeśli Conner położyłby łapę na Rendition, mogłoby dojść do niewyobrażalnej katastrofy, śmierci na skalę nieznaną do tej pory.

Podniósł głowę.

– A co z pozostałymi częściami składowymi Zwierciadła?

– Rook to mój projekt. Jest już na ukończeniu.

– A Rapture?

– Jest zabezpieczony przez naszego partnera. Słuchaj, Des. Najważniejsze, żebyś przypomniawszy sobie, co zrobiłeś z Rendition. Chodzi o ludzkie życie, przyszłość ludzkości.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie, próbując zgadnąć, o czym myśli ten drugi.

Na korytarzu otworzyły się drzwi, przez które weszli mężczyzna i kobieta. Postawili laptop na stoliku, z którego wcześniej korzystał Conner. Odwrócili komputer tak, żeby Desmond widział z celi obraz na monitorze.

– Co to jest?

– Zamierzamy pomóc ci w odzyskaniu pamięci.

Kobieta wcisnęła jakieś przyciski na klawiaturze i na ekranie pojawił

się obrazek. Przystawiał młodego, blondwłosego chłopca, w wieku około siedmiu lat, stojącego obok wysokiego mężczyzny z rumianą twarzą, ubranego w kombinezon. Za nimi widać było szyb wiertniczy.

Desmond przyjrzał się obu twarzom.

– To ja, prawda?

– Tak. A jego sobie przypominasz?

Desmond widział już twarz starszego mężczyzny – w swoich wspomnieniach.

Ale instynktownie skłamał.

– Nie.

Conner zwrócił się do kobiety.

– Kontynuuj. Zadzwońcie, jeśli nastąpi jakiś przełom.

## ROZDZIAŁ 39

Gdy Conner zniknął z pola widzenia, Desmond ponownie spojrzął na zdjęcie na ekranie. Jego widok tak naprawdę obudził w nim pewne wspomnienie. Raczej nieprzyjemne.



Wkrótce po przyjeździe do Oklahomy Desmond przekonał się, dlaczego Charlotte tak bała się jego wyjazdu. Mimo że Orville Hughes był jego najbliższą rodziną, Desmond nie miał z niego żadnego pożytku, żaden pięciolatek na świecie by nie miał. Facet był wredny i wiecznie niezadowolony.

Mieszkał na południe od Oklahoma City w małym gospodarstwie obok Slaughterville i pracował na polach naftowych, zazwyczaj na dwu- lub trzytygodniowych zmianach, po których wracał do domu na kilka tygodni. Desmond najczęściej zostawiany był samemu sobie. Wyczekiwał tych dni, gdy zostanie sam.

Kiedy Orville był w domu, do późnej nocy pił whisky i spał przez pół dnia. Czasami słuchał muzyki, głównie kowbojskich piosenek. Przez resztę czasu oglądał powtórki starych westernów. *Gunsmoke*, *Bonanzę*, *Have Gun – Will Travel* lubił najbardziej. Kiedy leciał film z Charlesem Bronsonem, Johnem Wayne'em lub Clintem Eastwoodem, Desmond nie mógł się odzywać ani hałasować. Jednakże musiał gotować i sprzątać. Wuj tylko raz wymierzył mu karę za niewykonanie obowiązków. To

Desmondowi wystarczyło.

Dość szybko poznał pijackie zwyczaje wuja. Pierwsza połowa butelki prawie go nie ruszała. Pozostała część działała jak magiczny wywar, zmieniając go nie do poznania. Z każdym łykiem robił się coraz wredniejszy. Więcej gadał, czasami sam do siebie, czasami do Desmonda, z każdą minutą miał coraz silniejszy angielski akcent.

Mówił o swoim dzieciństwie w Londynie zaraz po wojnie. Wszystko zaczynało się od słów „po wojnie”.

– Myślisz, że masz ciężkie życie, chłopcze? Nie masz pojęcia, co to jest ciężkie życie. Po wojnie to dopiero było ciężko. Ty jesteś miękki. Twój tata też był miękki. Przejął tę owczą farmę od rodziny twojej matki i żył sobie wygodnie. I wychował rozpuszczonego mięczaka.

Dużo gadał o polach naftowych, jak trudno się tam pracuje, jaki jest bohaterski. Późno w nocy, kiedy był już mocno pijany, opowiadał o wypadkach: o ludziach tracących palce, ręce, całe kończyny. O śmierci. Jego opowieści były przerażające. Kiedy Desmond nie mógł już słuchać kolejnej, wstał, żeby wyjść. To był błąd. Wuj nawrzeszczał na niego, że ma nie odchodzić, gdy z nim rozmawia.

– Jesteś takim mięczakiem, że nie możesz nawet słuchać o pracy prawdziwych mężczyzn, co nie?

Pociągnął kolejny łyk whisky.

– Co nie?

Przyglądał się Desmondowi.

– Widziałeś, jak umierają, prawda? A potem uciekłeś. To dlatego masz blizny na nogach.

Chciał wytłumaczyć. To był jego najgorszy błąd. Potem już wiedział. Wuj chciał tylko mieć worek treningowy dla swoich obraźliwych wypowiedzi. Wyglądało to tak, jakby Orville dzięki tym słowom usuwał truciznę ze swojego ciała. Desmond nie chciał, żeby ta trucizna pojawiła się ponownie. Nauczył się więc siedzieć cicho.

Kilka tygodni po jego przyjeździe do Oklahoma City dowiedział się, dlaczego ten zgorzkniały człowiek przyjął go pod swój dach. Orville stał w kuchni, gdzie ze ściany wychodził przewód telefoniczny, i mamrotał,



ile kosztuje go połączenie z Australią. Kiedy uzyskał połączenie, chciał wiedzieć, kiedy nadejdą pieniądze. Desmond siedział w salonie i słuchał.

– Nie interesuje mnie, że spaliło się do szczętu! Macie sprzedać tę cholerną ziemię i wysłać mi pieniądze. Taka była umowa.

Cisza.

– Przyślijcie forszę albo odeślę z powrotem smarkacza i sami będziecie się z nim użerać.

Desmond poczuł, że zbiera mu się na płacz. Nie chciał, żeby ten potwór to zobaczył, nie chciał też tutaj zostać minuty dłużej. Wziął stojący przy drzwiach karabin i wybiegł z domu. Było wczesne marcowe popołudnie.

Postanowił, że ucieknie. Będzie żył z tego, co znajdzie lub upoluje, zbuduje kolejny fort, gdzie będzie miał schronienie do czasu, aż zdobędzie prawdziwą pracę.

Godzinę później siedział na drzewie i czekał. Przy pierwszym strzale do jelenia spudłował. Stary karabin kopał jak uparty osioł i Desmond prawie spadł z drzewa – zwierzę uciekło, zanim przeładował. Nadal siedział i czekał. Zaczął padać śnieg, najpierw pojedyncze płatki, a potem gęsty puch.

Desmond nigdy wcześniej nie widział śniegu. W Australii, jak mówił tata, padało tylko w górach na północnym wschodzie.

Obserwował białe płatki na wietrze.

Kiedy przy linii drzew pojawił się drugi jelen, wykazał się większą cierpliwością. Zwierzę było mniejsze niż poprzednie, młodsze, mniej ostrożne. Czekał, aż podejdzie bliżej, westchnął, wstrzymał oddech, tak jak uczył go ojciec, i nacisnął spust.

Zwierzę się przewróciło.

W kilka sekund znalazł się na ziemi i rzucił biegiem przez otwarte pole. Szybko dobił biednego jelenia.

Gdy przyglądał się zdobyczy, uświadomił sobie nedorzeczność własnego planu. Nie miał jak oprawić zwierzęcia ani gdzie przechowywać mięsa, ani nawet ugotować posiłku, którego domagał się pusty żołądek.

Mógł go jednak zabrać do domu i pokazać wujowi, że potrafi zarobić na

swoje utrzymanie. Że nie będzie dla niego ciężarem. Spodziewał się, że jeleń zmieni nastawienie wuja. Był tego pewien.

Chwycił go za nogi i zaczął ciągnąć przez śnieg. Nie uszedł daleko. Desmond miał z metr dwadzieścia wzrostu i siłę odpowiednią do swojego wieku, ale zwierzę ważyło prawie dwa razy tyle co on. Będzie musiał pobiec po wuja, żeby mu pomógł.

Brnął przez śnieg, głęboki na kilkanaście centymetrów. Zimny wiatr chłostał go po twarzy i przenikał przez kurtkę, którą wysłała mu Charlotte.

Z każdym krokiem biała ściana robiła się bardziej nieprzenikniona. Nie wiedział o tym, ale właśnie przedzierał się przez szalejącą burzę śnieżną. Wiatr szarpał nim we wszystkie strony, tracił orientację.

To przypominało pożar w Australii: znowu znalazł się w piekle, tylko tym razem było to lodowe piekło.

Wiatr tyle razy go obrócił, że nie wiedział, gdzie szukać drogi do domu. Zarośla i pastwiska wokół domu rodziców znał jak własną kieszeń. Tej okolicy nie znał. Nie było tu żadnych wskazówek, którymi mógłby się kierować. Zgubił się.

Umrze tu z zimna w samotności. Był tego pewien. Przeżył ogień, został przywrócony do życia przez anioła tylko po to, by umarł tutaj w lodzie, pozostawiony na śmierć przez diabła.

Bolały go nogi. Tak bardzo chciał usiąść, odpocząć. Ale instynktownie wiedział, że jeśli to zrobi, nigdy już nie wstanie.

Parł do przodu, kurczowo trzymając karabin. Wiedział, że jeśli go upuści, zgubi, wyda na siebie wyrok śmierci. Próbował wystrzelić w powietrze, żeby wezwać pomoc, ale miał zbyt zgrabiałe palce.

Przez lukę w śnieżycy zauważył słup dymu unoszący się nad domem wuja. Resztkami sił skierował się w tamtą stronę.

Kiedy dotarł na ganek, spodziewał się, że wuj otworzy mu drzwi. Pozostały zamknięte. Żółty blask ognia oświetlał okna od środka. Zbawienie.

Otworzył drzwi, oparł karabin o ścianę i wszedł do środka. Wuj nawet na niego nie spojrzał, krzyknął jedynie, żeby zamknął drzwi.

Desmond dostrzegł butelkę. Była prawie pusta. Będzie musiał uważać i schodzić mu z drogi.

## ROZDZIAŁ 40

Conner oddalał się od celi więziennej, jego kroki dudniły w korytarzu. Cała załoga *Kentaro Maru* uwijała się jak w ukropie, przygotowując do kolejnej fazy. Będą musieli działać szybko, żeby skompletować Zwierciadło. Opóźnienie może kosztować życie miliardy ludzi, być może nawet doprowadzi do wyginięcia całej ludzkości.

Jeśli nie dowie się wkrótce, co stało się Desmondowi, ich projekt może się źle potoczyć. Desmond miał klucz do Zwierciadła i do wszystkiego, na czym im zależało.

W sali konferencyjnej przy izbie chorych ekrany na ścianie wyświetlały prześwietlenia, rezonans magnetyczny i inne wyniki, których Conner nie umiał nazwać.

– Co znaleźliście? – zapytał trzech badaczy rozmawiających przy końcu stołu.

Młodszy lekarz odwrócił się razem z krzesłem obrotowym.

– Jego ciało to prawdziwy horror. Nigdy nie widziałem tylu złamań...

– Miał ciężkie dzieciństwo. A teraz powiedzcie, co znaleźliście.

Odezwał się Henry Anderson, starszy siwowłosy naukowiec.

– Implant w mózgu. Umieszczony w hipokampie.

– Co to za implant?

– Model z Rapture Therapeutics. Ale zmodyfikowany.

– W jakim celu?

– Nie wiadomo – powiedział Anderson. – Jednak dodany element wygląda jak odbiornik i nadajnik danych.

- Z czym się łączy? Z satelitą?
- Niewykluczone. Ale wydaje się mało prawdopodobne. Nie ma dość mocy. To raczej coś o znacznie krótszym zasięgu. Bluetooth. Wi-fi.
- Może być używany do komunikacji ze smartfonem, który korzysta z Sieci – zwrócił uwagę młodszy naukowiec. – Albo pobierać instrukcje, które mają odblokować pamięć.
- Ciekawe – wyszeptał Conner. – Jak to miałyby działać? – spytał głośniej.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

- Kto wie? Wszystko to są spekulacje. Nigdy nie pracowałem dla Rapture i nie znam ich projektów; jedyne, co wiem, pochodzi z opublikowanych wyników badań. Wiemy, że oryginalne implanty Rapture Therapeutics były wykorzystywane do leczenia depresji, schizofrenii, choroby dwubiegunowej i innych chorób psychicznych. Monitorowały poziomy kluczowych związków chemicznych w mózgu i stymulowały neuroprzekaźniki. Krótko mówiąc, miały pomóc w zrównoważeniu neurochemii pacjenta. Ostatnia wersja implantu Rapture, jak ta w głowie Hughesa, skupiała się na innych obszarach mózgu. Ich opublikowane wyniki prób klinicznych mówiły o rozpuszczaniu blaszek amyloidowych. Implant brał na cel blaszki i uwalniał białko gp3, które je rozpuszczało. Próby wykazały możliwość leczenia wielu chorób neurodegeneracyjnych – alzheimera, choroby Huntingtona, parkinsona i innych.

Conner podniósł rękę.

- Jak to się ma do naszego przypadku? Znaleźliśmy jakieś blaszki amyloidowe w jego mózgu?
- Nie. Sprawdziliśmy. Jednak znaleźliśmy coś innego: nieznaną substancję w całym hipokampie.
- Co to, według was, może być?
- To jedynie spekulacje...
- Zatem niech pan spekuluje – powiedział Conner, tracąc cierpliwość. Doktor Anderson zaczerpnął duży haust powietrza.
- Kilka lat temu badacze z MIT odkryli sposób na wyizolowanie

położenia pewnych wspomnień w mózgu. To był przełom, ponieważ dowiedli, że poszczególne wspomnienia są przechowywane biochemicznie w pewnych grupach neuronów w hipokampie. Sądzę, że ta substancja w hipokampie Hughesa łączy neurony powiązane z różnymi wspomnieniami, czyniąc je niedostępnymi – w sposób podobny do tego, jak działają blaszki amyloidowe, które również mają wpływ na pamięć w chorobie Alzheimera lub sprawność fizyczną w parkinsonizmie.

– Sądzicie, że Rapture Therapeutics zaaplikowała mu tę substancję. I że implant w hipokampie może w jakiś sposób rozpuszczać ją i odblokowywać wspomnienia, podobnie jak gp3 rozpuszcza blaszki w mózgu?

– Tak, to nasza hipoteza. Ponadto wydaje nam się, że składnik odpowiedzialny za komunikację dodany do implantu jest wyzwalaczem. Za pomocą telefonu z bluetoothem lub przez wi-fi można kazać implantowi odblokować pamięć. Przypuszczalnie te zwolnienia blokady pojawiają się według zaplanowanego schematu albo kiedy dochodzi do jakichś wydarzeń. Albo gdy Hughes znajduje się w ustalonych miejscach lokalizowanych przez GPS. Niewykluczone, że wspomnienia zostają odblokowane na skutek pojawiania się jakichś wskazówek, uczuć, obrazów lub wrażeń. Implant może być tak zaprogramowany, żeby określać, które wspomnienia można bezpiecznie uwolnić.

Conner oparł głowę o zagłówek i wpatrywał się w sufit.

– Cóż, panowie, wydaje się, że jest bardzo prosty sposób na potwierdzenie tego zalewu przypuszczeń. Zadzwońcie do Rapture Therapeutics. Zapytajcie ich. W końcu to my jesteśmy właścicielami tej firmy.

– Już z nimi rozmawialiśmy – odparł Anderson. – Ich główny specjalista potwierdził, że rzeczywiście pracuje dla nich zespół zajmujący się badaniami nad manipulacją pamięcią. I że projekt jest wciąż w fazie badań. Albo był do niedawna.

Conner wyczuł, że zaraz usłyszy jakąś złą wiadomość.

– Projekt nazywa się Rapture Aurora. Przeprowadzali swoje badania zgodnie z wytycznymi Zwierciadła: kategoryzowanie, dostęp w każdej

chwili. Zespół pracujący nad terapią pamięci był zupełnie niezależną komórką, z własnym budżetem i infrastrukturą. Dla dobra większego projektu związanego ze Zwierciadłem ograniczono z nimi kontakt. Rapture nie miało żadnych wiadomości od tego zespołu od trzech tygodni.

– Przecież muszą mieć jakiegoś kierownika – rzucił Conner. Prawda zaświtała mu w głowie w chwili, gdy wypowiadał te słowa. – Nie, czekajcie. Pozwólcie, że zgadnę. Projekt Aurora realizowano w Niemczech. A jego kierownikiem był Günter Thorne.

– Zgadza się.

Conner pokręcił głową.

– A co z dokumentacją Thorne’a? Zasady wyraźnie określają, że musi być bezpieczna kopia zapasowa na wypadek, gdyby coś mu groziło.

– Rapture szuka jej, odkąd okazało się, że został znaleziony martwy w pokoju hotelowym Desmonda Hughesa. Nie znaleźli jej. Zakładają, że Desmond mógł ukryć lub zniszczyć pliki.

Conner przez chwilę chodził tam i z powrotem, potem zwrócił się do naukowców.

– No dobrze, cofnijmy się do początku, jeszcze raz zbierzmy wszystko, co mamy, i spróbujmy wyciągnąć jakieś wnioski. Fakt: dwa tygodnie temu Desmond Hughes ukrywa Rendition. Znika każdy naukowiec pracujący nad projektem. Znika cała dokumentacja. Hughes pojawia się w Berlinie, gdzie kontaktuje się z dziennikarzem „Spiegla” – Garinem Meyerem. Hughes zamierza nas wydać i zdradzić cały projekt Zwierciadło.

– Rapture Aurora i utrata pamięci musiały być jego planem awaryjnym – wtrącił Anderson.

– No właśnie. Des wiedziałyby o Aurorze. Icarus Capital był inwestorem w Rapture Therapeutics, w zasadzie za pośrednictwem Icarusa finansowaliśmy większość projektów Zwierciadła związanych z Rapture.

– Wobec tego – powiedział Anderson – Hughes kontaktuje się z zespołem Aurory, namawia ich, by zastosowali na nim technologię sterowania pamięcią, a potem albo zabija, albo ukrywa cały zespół.

W jakiś sposób dowiaduje się, gdzie Günter Thorne przechowuje dokumentację i ją również niszczy lub ukrywa, sprawiając, że nie mamy możliwości dowiedzenia się, jak działa Aurora.

– Bardzo sprytnie – mruknął pod nosem Conner.

– Ale Thorne najwyraźniej domyślił się, co Hughes chce zrobić – kontynuował Anderson. – Może zauważył, że zniknęła dokumentacja, a może miał jakiś system sygnalizujący przedostanie się osoby nieupoważnionej, o którym Hughes nie miał pojęcia. Namierza Hughesa w hotelu Concord i konfrontuje się z nim. Wywiązuje się walka. Desmond jest górą. Zakłada, że Thorne już nas powiadomił. Aktywuje Aurorę i wymazuje swoją pamięć.

Conner pokręcił głową.

– To się nie trzyma kupy.

– W pewnym sensie to doskonały plan – podsumował Anderson. – Nie jesteśmy w stanie niczego z niego wydusić za pomocą tortur, pamięć jest zablokowana bez względu na to, jak wielki zada mu się ból. A bez badań nad Aurorą raczej nie uda nam się jej odblokować.

Conner potaknął.

– Jest cwany, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. – Conner usiadł i zaczął stukać palcami po stole. Próbował zebrać myśli. – Czy sama Aurora jest częścią Rapture? Czy utrata Aurory może zaszkodzić Zwierciadłu?

– Nie. Rapture jest nietknięte. Projekt dotyczący pamięci został ukończony lata temu. Te dodatkowe badania nad wykorzystaniem implantów wydają się kontynuacją, która nie jest niezbędna do działalności Rapture.

– Dobrze. Jakie mamy możliwości?

– Wydaje się, że jest tylko jedna – odparł siwowłosy naukowiec. – Biopsja mózgu.

Connerowi nie spodobał się ten pomysł.

– W jaki sposób? – zapytał jednak.

– Nie zalecałbym przeprowadzania jej na pokładzie *Kentaro Maru*. Mamy tu zaawansowany sprzęt, ale biorąc pod uwagę zagrożenia, należy



przeprowadzić ją w szpitalu, który specjalizuje się w neurochirurgii. Najbardziej rekomendowałbym klinikę Mayo lub Johns Hopkinsa. Odpowiednie byłyby też Szpital Prezbiteriański w Nowym Jorku, Mass General lub klinika w Cleveland. Problem polega na tym, że wkrótce pandemia opanuje każdy szpital na całym świecie, a także lekarzy, którzy będą nam potrzebni do przeprowadzenia biopsji.

– Zakładając, że uda nam się rozwiązać te problemy, czego możemy dowiedzieć się po biopsji?

– Moglibyśmy lepiej przyjrzeć się implantowi i pobrać próbkę substancji z hipokampu. Spróbować ją zidentyfikować, przeprowadzić testy i sprawdzić, czy da się ją rozpuścić w taki sposób, żeby nie uszkodzić neuronów.

– Domyślam się, że nie jest to zadanie, które dacie radę wykonać w trzy dni.

– Nie, na pewno.

– Ile czasu potrzeba?

– Nie umiem...

– Mniej więcej.

– Dwa miesiące? Kto wie. Powinienem również dodać, że każda biopsja mózgu niesie ze sobą ryzyko dla pacjenta. W tym szczególnym wypadku nie wiemy, z jakim ryzykiem mamy do czynienia.

– W jakim sensie?

– Zabezpieczeń. Jeśli implant i blokada pamięci są częścią jakiegoś planu Hughesa lub kogoś, kto nim manipuluje, mogli zaprogramować zabezpieczenie na wypadek uszkodzenia. Ciało obce w mózgu w okolicach implantu może zainicjować jakąś reakcję obronną i całkowicie zniszczyć wspomnienia albo zabić obiekt. Nie potrafimy wszystkiego przewidzieć.

– To bez sensu. Nie mamy dwóch miesięcy. – Conner masował skronie. Czuł nadchodzącą migrenę. – Mamy Rook i Rapture, ale on ukrywa Rendition. Bez niego nie ukończymy Zwierciadła. Dwa tysiące lat pracy będzie można spuścić do rynsztoka, a wraz z nią całą ludzkość.

Starszy naukowiec rozsiadł się wygodniej na krześle.

– Moglibyśmy go uwolnić i zobaczyć, jak to się dalej potoczy.

– A potoczy się?

Anderson przytaknął.

– Hughes z pewnością ma jakiś plan awaryjny. Związany z określonymi wydarzeniami lub miejscami, być może również jakimś sygnałem, który aktywuje jego pamięć przez implant. Może pozwolimy odzyskać mu pamięć? A potem go zgarniemy.

– To bardzo dużo przypuszczeń, doktorze. I myśli pan, że tak po prostu go zgarniemy, kiedy będziemy gotowi? Już tym razem nie było łatwo. Kiedy odzyska pamięć, kiedy będzie świadomy tego, czego może się po nas spodziewać, stanie się to niemal niewykonalne.

– Nie mamy żadnych innych opcji.

– Wręcz przeciwnie. Mamy jedną bardzo dobrą, panowie. I zamierzam z niej skorzystać.

## ROZDZIAŁ 41

Żołnierze brutalnie wyciągnęli Peyton i Hannah z SUV-a. Krzyki Hannah nie robiły na nich żadnego wrażenia. Założyli im worki na głowy, związali ręce i zaprowadzili je do śmigłowca, gdzie skrępowali również ich nogi. W ciemności huk silników i wirników był ogłuszający. Helikopter wylądował jakiś czas później, zostały z niego wywleczone, podniesione i rzucone na pakę ciężarówki.

Jazda była straszna. Ciężarówka podskakiwała na wybojach, a one obijały się o wszystko wokół. Ze związanymi rękami i nogami nie mogły się osłonić. Odnosiły wrażenie, że zostały oślepione i wrzucone do pralki nastawionej na niekończące się wirowanie. Hannah od czasu do czasu szlochała.

Peyton zupełnie straciła orientację. W końcu przestała odczuwać ból; być może nerwy w jej ciele po prostu już nie reagowały na ciągłe uderzanie. Zastanawiała się, czy nie doznała trwałych uszkodzeń.

Wreszcie ciężarówka się zatrzymała i Peyton usłyszała szelest rozsuwanej plandeki. Promień światła padł na czarny worek na jej głowie. Ktoś chwycił ją za nogi, wyciągnął z paki, po czym przytrzymał, gdy zwała się na ziemię. Gdy postawiono ją, trzęsły się jej nogi. Odwróciła się, szarpnęła, próbując wyrwać się porywaczom. Jej zachowanie sprawiło, że mężczyźni zaczęli coś głośno mówić, prawdopodobnie w suahili. Rozległ się śmiech. Usłyszała krzyki Hannah, kiedy wyciągali ją z ciężarówki.

– Nie dotykajcie jej! – wrzasnęła Peyton. – Potrzebuje pomocy

lekarskiej. Doktora.

Odpowiedział jej jakiś mężczyzna po angielsku z afrykańskim akcentem.

– Niedługo już niczego nie będzie potrzebowała. Zabierzcie je.

Czyjeś ręce złapały Peyton pod pachy, podniosły i pociągnęły do przodu. Jej związane nogi sunęły po wysuszonej kamienistej ziemi. Ku jej zaskoczeniu porywacze zdjęli jej worek z głowy, zanim rzucili ją na ziemię. Światło było oślepiające. Usłyszała metal uderzający o metal i dźwięk klucza przekręcanego w zamku.

Kiedy jej oczy przywykły do światła, rozejrzała się wokół.

Porywacze umieścili ją w boksie w stajni. Metalowe pręty wzmacniały drewniane ściany. Odwróciła się i zamarła.

Na deskach dostrzegła dwa wyskrobane zdania:

*Był tutaj Desmond Hughes.*

*Jestem niewinny.*

Peyton wpatrywała się w nie w osłupieniu. *Był tutaj Desmond? Dlaczego?*

Usłyszała dźwięk rozrywanego materiału i ciężki oddech Hannah. Młoda lekarka była gdzieś w pobliżu, pewnie w sąsiedniej celi.

– Hannah! – zawołała Peyton.

– Tak – odezwała się cicho dziewczyna.

– Jak się czujesz?

Hannah mówiła powoli i cicho.

– Zatomowali krwawienie. – Zamilkła, żeby złapać oddech. – Założyli opatrunek. Kula przeszła na wylot. Tak myślę. – Odetchnęła kilka razy.

– Straciłam dużo krwi. Zimno mi.

– Trzymaj się. Wyjdziemy stąd, jasne? Przyjdą po nas bardzo dzielni Amerykanie. Oszczędzaj siły i bądź gotowa na wszystko. Rozumiesz?

– Tak, proszę pani.

W tej chwili coś się zmieniło w Shaw. Zawsze miała przed sobą jakiś cel, ale dotychczas żyła w sposób pozbawiony żaru, z zimnym, klinicznym wręcz wyrachowaniem. Nigdy nie pozwalała sobie, by rządziły nią emocje. Nigdy nie traciła kontroli. Przejęła to od swojej

matki, jak sądziła. Lin Shaw zawsze była opanowana. A Peyton kochała ją za to. To samo opanowanie dobrze służyło jej w życiu zawodowym.

Trzymanie uczuć na wodzy było najważniejszą częścią pracy. Uczucia przyćmiewały zdrowy rozsądek, zmieniały sposób patrzenia na zagadnienie. Emocjonalne zaangażowanie podczas wybuchu epidemii niosło ryzyko; mogła za bardzo skupiać się na jakimś pacjencie lub miejscu i przez to nie widzieć szerzej problemu lub jakiegoś szczegółu, mogła przeoczyć istotny kontakt lub informację, które przyczyniłyby się do uratowania czyjegoś życia. Emocjonalne oderwanie Peyton ratowało ludzkie życie i przez lata zaoszczędziło jej wiele smutku.

Jednak teraz w tej prowizorycznej celi, gdy leżała na klepisku, runęła ściana obojętności, którą latami tak troskliwie wznosiła. Emocje napłynęły wielką falą. Przybrały postać surowej, nieokiełznanej wściekłości. Wściekłości na ludzi, którzy zabili Jonasa – jej przyjaciela, współpracownika i kogoś, kto mógł stać się dla niej kimś więcej. Wściekłości na ludzi, którzy przyczynili się do wybuchu epidemii w Kenii i zabili Lucasa Turnera oraz tysiące innych. Znajdzie ich. Powstrzyma. I każe im za wszystko zapłacić, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

## ROZDZIAŁ 42

Millen Thomas usłyszał, że obóz budzi się do życia. Ciężkie buty stukały o ubitą kenijską ziemię. Trzaskały drzwi. Worki z ciałami rzucono na pakę ciężarówki.

Wstał z łóżka, odsunął klapę namiotu i wyszedł na zewnątrz. Kenijscy żołnierze, którzy zostali wysłani po niego do jaskini, przeczesywali wioskę, szukając należących do nich rzeczy, a także martwych towarzyszy, którzy zginęli podczas nocnego ataku na obóz.

Millen wiedział, że stąd wyjadą, ale nie spodziewał się, że nastąpi to tak szybko. Zeszłej nocy CDC i WHO ewakuowały cały personel z Kenii. Z Mandery odleciał samolot z zespołami terenowymi; kolejny, startujący z Nairobi, zabrał personel pomocniczy. Millen usłyszał, że ma wsiąść w samolot w Manderze, ale odmówił. Ewakuacja oznaczała, że musiałby zostawić Hannah i Shaw. Postanowił sprzeciwić się rozkazom – zostać, czekać i mieć nadzieję, że jest coś, co może dla nich zrobić na miejscu.

A teraz, kiedy żołnierze wyjadą, pozostanie w wiosce zupełnie sam.

Podszedł do niego Kito.

– Wyjeżdżamy, doktorze Thomas. Takie mamy rozkazy.

– Dokąd?

– Do Nairobi. Rząd ogłosił stan wyjątkowy w całym kraju. Stan wojenny. W każdym większym mieście zakładają obozy kwarantanny.

Millen skinął głową.

– Niech pan jedzie z nami – dodał Kito.

– Nie. Muszę czekać na swoich ludzi.

– Jeśli zostaną uratowani, nie wrócą w to miejsce.

Millen doszedł do tego samego wniosku.

– Dokąd ich zabiorą? – zapytał.

– Nie wiem.

– Co zwykle się dzieje po uwolnieniu zakładników?

Kito zastanawiał się przez chwilę.

– Zależy od tego, kto ich uwalnia. Jeśli będą operować ze statku, zabiorą ich na statek, zapewne gdzieś na Oceanie Indyjskim. Albo na najbliższe lotnisko. Prawdopodobnie w Manderze.

*Mandera to najlepszy wybór.*

Kito domyślił się, co planuje.

– Jeśli mógłbym coś doradzić, doktorze.

– Słucham?

– Niech pan wyruszy o świcie. Będzie bezpieczniej.

– Tak, to dobry pomysł.

– Zostawimy panu auto z napędem na cztery koła, wodę i racje żywnościowe. – Kito umilkł. – I broń.

– Nie będę jej potrzebował.

– I tak ją zostawimy, na wszelki wypadek. Czy ma pan ładowarkę solarną do telefonu?

Millen potwierdził skinieniem głowy.

– Bardzo dobrze. Powodzenia, doktorze.

– Wzajemnie, Kito.

Gdy Kenijczyk odchodził, Millen krzyknął:

– Kito! Dziękuję jeszcze raz, że wyciągnąłeś mnie z jaskini.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić. Przybyliście tutaj, żeby nam pomóc. Nie zapomnimy o tym.

Kiedy opadła chmura pyłu wzbita przez odjeżdżający konwój, Millen wrócił do namiotu, rozerwał opakowanie z racją żywnościową i zjadł w ciszy, patrząc na schludnie uporządkowaną część namiotu należącą do Hannah.

Spotkał ją sześć miesięcy temu podczas wstępnego szkolenia kandydatów do EIS. Z początku wydała mu się neurotyczna i spięta. Ale

gdy lepiej ją poznał, zrozumiał, że jej po prostu zależało. Chciała się odpowiednio przygotować i wykonywać swoją pracę z oddaniem. Miała dobre serce, które zawiodło ją na medycynę. Zależało jej na pacjentach, podobnie jak jemu na zwierzętach. zaproponował, żeby zamieszkali razem w obozie podczas tej misji, żeby porównywali notatki sporządzone z punktu widzenia lekarza i weterynarza.

Kto wie, dodał, może po godzinach uda nam się dokonać przełomu i powstrzymać pandemię. Ale miał nadzieję na zupełnie inny przełom.

Kiedy skończył jeść, wyjął telefon. Pojawiła się aplikacja programu do odtwarzania audiobooków z okładką *Słowika*, gotowa do kontynuowania historii od miejsca, w którym on i Hannah zatrzymali odtwarzanie. Musiał oderwać myśli od rzeczywistości, potrzebował czegoś, co pomogłoby mu choć na chwilę zapomnieć o zmartwieniach. Chciał włączyć odtwarzanie i słuchać książki, aż zapadnie w sen, ale pomyślał, że w zasadzie pragnie zakończyć słuchanie z Hannah, kiedy wróci bezpiecznie cała i zdrowa.

Odłożył telefon i zamknął oczy. Shaw miała rację: myślenie było wrogiem snu.



## ROZDZIAŁ 43

Elim Kibet odzyskiwał przytomność, po czym znowu odpływał w nieświadomość. Dzień zmienił się w noc kilka razy, jakby ktoś włączał i wyłączał światło. Gorączka pojawiała się jak przyływ, zagarniając go, przypiekając jego ciało od środka, a potem wycofywała się, a on zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek powróci.

Każdego dnia objawy się nasilały. Coraz trudniej zbierał myśli. Tracił nadzieję na wyzdrowienie. Jej miejsce zajął strach. Kiedy znikła ostatnia iskierka nadziei, uświadomił sobie, jak wiele jej zawdzięczał.

Ognisko za oknem każdej nocy było większe. Z początku wrzucali do niego tylko kombinezony i skażony materiał. Potem również ciała.

A później nadeszła noc, kiedy nie rozpalono ogniska – a Elim wiedział, że nie tylko on jest w niebezpieczeństwie. Cała okolica miała kłopoty. Czekał na wieści, które z pewnością nadejdą bardzo szybko.

Otworzyły się drzwi, do środka ponownie weszła Nia Okeke. Przedstawicielka kenijskiego Ministerstwa Zdrowia podała mu ZMapp i kazała zająć izolatkę, w której leżał Amerykanin. Teraz przywiozła cały wózek butelek płynu nawadniającego, czyste wiadra na odchody, pudełka antybiotyków i środków przeciwbólowych. Ustawiła wózek w miejscu, do którego mógł sięgnąć z łóżka, i usiadła przy nim na materacu.

- Wyjeżdżamy, Elim.
- Nie możecie.
- Musimy.

Spuścił wzrok, jego zżerany przez gorączkę umysł szukał argumentów, żeby zatrzymać ich tutaj dla dobra pacjentów.

Chyba czytała w jego myślach.

– Nie ma takich argumentów, które by nas zatrzymały. Po prostu nie zostało tu dość pacjentów.

– Ilu jest?

– Dwóch, razem z tobą. Ten drugi to młody mężczyzna, który prawdopodobnie umrze, zanim wyjedziemy.

Elim westchnął i skinął głową.

– Dokąd się udajecie?

– Do Dadaab. A potem do Nairobi. Zakładamy obozy z żołnierzami i pracownikami służby zdrowia.

Elim wyobraził sobie, co może się stać, jeśli nie powstrzymają epidemii. Rząd się nie utrzyma. Pojawią się watażkowie. Wybuchnie kolejna wojna domowa, wzniecając na nowo niekończącą się walkę o ziemię i bogactwa naturalne. Na drogach będą rządzić bandyci. Ta zaraza cofnie Kenię o sto lat. I zaczęła się tutaj, w Manderze, dokładnie w tej izolatce.

– Zanim przyjechaliście – powiedział z trudem – zastanawiałem się, jak długo uda mi się utrzymać otwarty szpital. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że wszystko skończy się w ten sposób. Że będę ostatnim pacjentem, który tu umrze. Że szpital umrze razem ze mną.

– Nie trać wiary, Elim. To najlepsze lekarstwo. A będziesz potrzebował jej jeszcze bardziej, jeśli lek nie zadziała.

## ROZDZIAŁ 44

Elliott Shapiro siedział w swoim gabinecie w Atlancie i odczuwał coraz większą frustrację.

– To nie pora na politykę. Mowa przecież o życiu naszych ludzi. Znaleźliście ich? Powiedz. Proszę.

Słuchał, a potem przerwał rozmówcy.

– Nie interesują mnie wasze rozkazy, słyszysz... Halo? Halo?

Odłożył telefon i potarł brwi. Z każdą mijającą godziną wymykała się szansa na znalezienie Peyton i jej zespołu. Miał wrażenie, że przygląda się umierającym członkom rodziny na filmie puszczone w zwolnionym tempie. To była tortura.

Zeszłej nocy nie zmrużył oka. Rose również. Siedział w gabinecie, oglądał programy nadające wiadomości, przeglądał portale internetowe, czekając na jakieś wieści i słuchając kaszlącej i kichającej Rose. Od czasu do czasu przynosił jej wodę i jedzenie z kuchni, siadał przy łóżku i pytał, jak podoba jej się czytana książka. Objawy Rose się ustabilizowały, ale nadal bał się, że wirus, którego złapała podobnie jak tak wielu innych, był tym samym, który zabił już tak wielu w Kenii.

Stworzyli w domu prowizoryczny obszar objęty kwarantanną: syn Elliotta, synowa i wnuk mieli nie ruszać się z piętra, podczas gdy Elliott i Rose zajmowali parter. Jego wnuk biegał również po dodatkowym pokoju nad garażem, dobrze się bawił, a rodzice dotrzymywali mu towarzystwa. Każda grupa podgrzewała mrożonki z zamrażarki i jadła oddzielnie. Nie było to wymarzone Święto Dziękczynienia, ale

przynajmniej dało się powstrzymać rozprzestrzenianie wirusa.

Elliott włączył telewizor w salonie.

– Mimo rosnących obaw związanych z wirusem podobnym do wirusa grypy, który szaleje w Stanach Zjednoczonych, wiele rodzin postanowiło nie zmieniać swoich planów związanych ze Świętem Dziękczynienia.

Nagranie pokazało mężczyznę w średnim wieku stojącego przed domem z cegły.

– Okazało się, że wszyscy jesteście chorzy, więc równie dobrze możemy święto spędzić razem. Tradycja jest dla nas ważna...

Elliott przełączył na inny kanał, szukając jakichś wiadomości.

– Szacuje się, że zainfekowanych jest obecnie dwadzieścia milionów osób w samych Stanach Zjednoczonych. Wirus, który władze nazywają X1, daje zmienne objawy podobne do grypy. Osoby zarażone opisują, że przez kilka dni czują się słabo, potem następuje jedno- lub dwudniowy okres lepszego samopoczucia poprzedzający nawrót objawów choroby. Przedstawiciele CDC i Narodowych Instytutów Zdrowia zalecają dużą ostrożność podczas okresu zachorowań na gripę, mycie rąk i...

Elliott ponownie zmienił kanał.

– Amerykański Związek Motorowy donosi, że mimo wzrostu zachorowań na gripę spodziewa się rekordowej liczby podróży na drogach w świąteczny weekend. Zaplanowano również rekordową liczbę lotów. Sprzedawcy spodziewają się dużych obrotów podczas Czarnego Piątku, a analitycy z Wall Street przewidują dziesięcioprocentowy wzrost obrotów w porównaniu z zeszłym rokiem...

Zanosilo się na doskonały atak biologiczny. Wysoce zaraźliwy wirus – pojawiający się dokładnie w momencie, gdy w całym kraju panuje najbardziej wzmożony ruch.

Elliott wrócił do swojego gabinetu, zamknął drzwi i wybrał numer do CDC. Ku jego zaskoczeniu zgłosiła się poczta głosowa.

– Jacobie, tu Elliott. Oddzwon. Dzięki.

Zadzwoił na komórkę Jacoba i poczuł ulgę, gdy ten odebrał.

– Jacobie. Proszę, powiedz mi, czy już wyizolowaliście wirusa powodującego infekcję dróg oddechowych i porównaliście go z próbkami

z Mandery?

Elliott aż się wyprostował, słysząc odpowiedź Jacoba.

– Co?... Wiem, że jest Święto Dziękczynienia... – Zamilkł, żeby posłuchać swojego rozmówcy. – Słuchaj, Jacobie, to będzie ostatnie Święto Dziękczynienia, jeśli te wirusy są takie same... Nie, Jacobie. W poniedziałek będzie za późno. Musisz wrócić i to skończyć. Wezwij członków swojego zespołu... Słucham? Jacobie... – Elliott miał ochotę wrzeszczeć.

Ponownie zadzwonił do centrum kryzysowego, mając nadzieję, że połączą go z innym operatorem. Odpowiedź była taka sama: szef poinstruował każdego operatora, by nie udzielał Elliottowi żadnych informacji o sytuacji bieżącej. Był oficjalnie zawieszony – być może w najbardziej krytycznym momencie istnienia agencji.

# DZIEŃ 6

**300 mln zarazonych**

**70 tys. ofiar śmiertelnych**

## ROZDZIAŁ 45

Z początku Millenowi wydawało się, że to wiatr wiejący w obozie, szarpiący pustymi namiotami, trzepoczący i wyjący jak człowiek. Gdy otrząsnął się ze snu, uświadomił sobie, że słyszane przez niego dźwięki naprawdę były głosami – kilka osób kłóciło się po cichu tuż obok jego namiotu. Odwrócił się na łóżku, uważając, żeby nie hałasować.

Na białej tkaninie namiotu poranne słońce oświetlało trzy postacie, jakby zbliżali się do niego aktorzy w teatrze cieni. Zatrzymali się na chwilę, pokazywali coś palcami i przeszli obok niego, szybko rozmawiając. Millen słyszał, jak wchodzi do głównego namiotu. Otwierali skrzynie i plądrowali.

Wstał i włożył buty.

SUV, który zostawił mu Kito, zaparkowano na skraju obozu.

Główny namiot znajdował się z dala od niego i Millen widział w środku trzy poruszające się cienie. Czegoś szukali, bo rozwalali wszystko dookoła.

Naturalnie sądzili, że są tu sami. Rozmawiali dość głośno w języku, którego Millen nie rozpoznawał. Millen chciał pobiec do SUV-a i uciec, ale jeśli ci ludzie wiedzieli coś ważnego... A jeśli to oni porwali Hannah i Shaw?

Nałożył kamizelkę kuloodporną z logo CDC i złapał karabin, który zostawił mu Kito. Był półautomatyczny i miał magazynek w kształcie banana. Millen strzelał w życiu tylko z jednej broni – karabinu kalibru .22, kiedy należał do skautów. Broń, którą trzymał w rękach, wyglądała

znacznie groźniej. Bardziej śmiertelnie.

Podniósł ją, sprawdził, czy jest zabezpieczona, i ostrożnie zbliżył się do głównego namiotu. Klapy były opuszczone, więc rabusie nie widzieli, jak podchodzi. Z każdym krokiem ogarniał go coraz większy strach. Przełknął ślinę, zbierając się na odwagę. Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi. Jeśli nie zaatakuje lub nie ucieknie w tej chwili, dostanie zawału.

Z karabinem gotowym do strzału zanurkował do namiotu.

Trzy postacie siedziały przy długim stole i... objadały się. Otwarte kartony z racjami żywności leżały na podłodze i na stole. Millen ich rozpoznał: to byli mieszkańcy wioski, którzy chowali się w zaroślach, kiedy ich zespół tu przyjechał. Kenijczycy patrzyli na niego oczami szeroko otwartymi ze strachu, następnie wstali i potykając się o składane krzesła, próbowali uciec.

– Czekaście. Zatrzymajcie się. Jestem z CDC. – Wskazał na logo na swojej kamizelce. – Byłem tu wcześniej. Jestem Amerykaninem. Pomagam. – Rozłożył ramiona, blokując wyjście. Dziewczynka, na oko trzynastolatka, zatrzymała się.

– Tak, jestem Amerykaninem – powtórzył Millen. – Jestem tu, żeby pomagać.

Millenowi w końcu udało się zatrzymać wszystkich Kenijczyków i po kilku minutach przekonał ich, żeby powrócili do przerwanej posiłku. Nastolatka, Halima, jako jedyna potrafiła porozumieć się po angielsku. Jedząc, opowiedziała o ataku na wioskę. Ta relacja z pierwszej ręki była dla Millena bolesnym doświadczeniem.

Kiedy zaczęła się strzelanina, trzech mieszkańców wsi ukryło się pod łózkami w namiocie służącym za izolatkę. Uciekli na rozkaz Peyton. Z krzaków na skraju wsi obserwowali przebieg ataku.

– Uciekali, ciemnowłosa pani z gładką białą skórą i jakiś pan, a także dziewczyna z rudymi włosami. Zastrzelili ją...

– Kogo?

– Tę z rudymi włosami.

Millen opadł na krzesło, nie był w stanie mówić.



– Przykro mi – rzekła cicho Halima.

Wbił wzrok z białe płótno kołyszące się w porannym wietrzyku.

– A co stało się później? – spytał głucho.

– Ciemnowłosa pani ją podniosła. Pobiegli do auta i odjechali. A potem był wybuch. Auto miało wypadek. Znowu strzelali. A potem już nie widziałam, co się stało. Przepraszam.

Millen skinął głową.

– Dziękuję, że mi opowiedziałaś.

Kiedy skończyli jedzenie, zapytał ich, dokąd chcą iść.

Nastolatka tylko wzruszyła ramionami.

– Ja jadę do Mandery – oznajmił Millen. – Jak chcecie, możecie zabrać się ze mną.

Zawahała się.

– Jestem pewien, że rząd kenijski założy obozy dla osób, które przeżyły. Będzie tam jedzenie i woda. Prawdopodobnie także praca. Będzie wam tam lepiej, niż gdybyście tu zostali.

Nastolatka porozmawiała ze swoimi dwoma towarzyszami. W końcu zwróciła się do Millena.

– Tak, pojedziemy z tobą.



Podczas operacji w terenie standardowa procedura wymagała informowania centrum operacyjnego o zmianie ustalonej pozycji. Ale skoro centrum operacyjne zostało ewakuowane, Millen zadzwonił do Atlanty.

– Nie zostałeś ewakuowany? – spytał operator.

– Nie. Nadal tu jestem...

– Nie rozłączaj się.

Millen słyszał jakieś krzyki w tle. Brzmiało to tak, jakby sto głosów mówiło w tym samym czasie, jakby dodzwonił się na parkiet Giełdy Papierów Wartościowych w Nowym Jorku. Udało mu się wyłapać fragmenty zdań.

– Pięćdziesiąt tysięcy w Kansas.

– Marynarka potwierdziła zachorowania na trzech transportowcach.

Operator wrócił na linię.

– Zostań tam, gdzie jesteś, doktorze Thomas. Mamy tu pewne problemy. Ktoś się z tobą skontaktuje.

– Nie mogę tu zostać – powiedział Millen, lecz połączenie już zostało przerwane.

Po tej rozmowie telefonicznej zaczął się zastanawiać, co też dzieje się w Atlancie i pozostałych częściach Ameryki. *Pięćdziesiąt tysięcy w Kansas*. Czyżby wirus, który znaleźli w Kenii, dotarł do Stanów?

Bardzo chciał dowiedzieć się, co się dzieje, i dać komuś znać, dokąd zmierza.

Był tylko jeden numer, pod który mógł zadzwonić.

## ROZDZIAŁ 46

Elliott nie pamiętał, kiedy zasnął na fotelu, ale obudził się w środku nocy przykryty kocem, z pilotem na kolanach, telewizor był włączony.

Kilka razy kaszlnął, dotknął ręką szyi i wymacał węzły chłonne. Były nabrzmiałe. Czoło miał spocone. Gorączka nie była wysoka, ale bez wątplenia się zaraził.

W telewizji mówił reporter programu ekonomicznego, omawiał wykres, na którym czerwona linia ostro pikowała w dół, gdy zbliżała się do prawej strony.

– Azjatyckie rynki finansowe straciły dzisiaj ponad czterdzieści procent swojej wartości po tym, jak Singapur obwieścił, że zamyka granice i ogłasza stan wyjątkowy, a Chiny wkrótce zaczną zamykać porty, by powstrzymać dalsze rozprzestrzenianie się wirusa X1. WHO przestała upubliczniać szacunkowe dane dotyczące liczby osób zarażonych, podsycając tym samym obawy, że ich liczba jest znacznie wyższa, niż informowano. Ten sam strach zdaje się docierać na rynki finansowe. Nowojorska Giełda Papierów Wartościowych i Nasdaq zamkną się o trzynastej zgodnie ze zwyczajem panującym w Czarny Piątek, spodziewane straty będą bardzo duże. Transakcje terminowe tracą dwadzieścia procent...

Zadzwoił telefon Elliotta, popatrzył na numer, ale go nie rozpoznał, bo wciąż jeszcze był zamroczony po śnie.

– Shapiro.

– Tu Millen Thomas. Dzwoniłem do pana przedwczoraj. Pracowałem

w zespole doktor Shaw.

Elliott się wyprostował.

– Pamiętam. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Centrum Działań Kryzysowych w Atlancie jest prawdopodobnie zasypane robotą. Jestem w naszym obozie w wiosce, w której doszło do ataku.

Elliott był zaskoczony. Cały personel CDC w Kenii został ewakuowany po ataku.

– Jesteś nadal w Kenii?

– Tak, proszę pana... Postanowiłem zostać. Pomyślałem, że może się do czegoś przydam.

Elliott skinął głową.

– Dobrze. Co tam się dzieje?

– Kenijska eskorta wojskowa wyjechała wczoraj. Rozważam udanie się do Mandery, ale nie mam pojęcia, czy to właściwe posunięcie.

– To lepsze miejsce niż wioska, ale trudno mi cokolwiek doradzać w tej sytuacji. Nie wiem, kto jest w Manderze, nie znam statusu operacji w Kenii. Przykro mi, Millen, nie należę do kręgu decydentów.

– Zrozumiałem. Mimo wszystko lepiej się czuję, że dałem panu znać i zna pan moje miejsce pobytu. Mam tu troje ocalałych – znaleźliśmy ich w wiosce, kiedy tu przybyliśmy. Zabiorę ich i pojedziemy do Mandery.

*Ocaleni?* Elliott poczuł iskierkę nadziei. Jeśli przeżyli atak choroby, analiza ich przeciwciał – tych, które pokonały wirusa – może być kluczem do znalezienia leku.

– Posłuchaj mnie, Millen. Musimy dostarczyć tych ludzi do CDC, żeby przeprowadzono analizy.

– W jaki sposób?

– Zorganizuję transport. Jedź do Mandery i znajdź bezpieczne miejsce. Zadzwoń do ciebie. Miej naładowany telefon.

Elliott wykonał trzy telefony, zanim połączono go z kimś, kto mógłby przewieźć Millena i ocalałych do Atlanty. Zanim dotrą do Ameryki, miną trzy dni, ale zawsze to lepsze niż nigdy.



Elliott drzemał w salonie aż do momentu, gdy poranne słońce wdarło się przez żaluzje. W domu było cicho, wykorzystał więc okazję, żeby zająć się czymś, czego nie chciał zrobić, choć musiał.

W gabinecie włączył komputer i sporządził listę wszystkich osób, które trzeba ostrzec. Następnie stworzył listę swoich sąsiadów. Tę dzielnicę, znajdującą się w pobliżu kompleksu CDC, zamieszkiwały starsze osoby. Domy nie miały rozmiarów posiadłości, lecz były oryginalne, solidne i drogie. Na jego ulicy znaleźli się lekarze, prawnicy, właściciele firm. Elliott spisał nazwiska sąsiadów, na których, jak sądził, można polegać, tych, którzy będą pomocni w sytuacji kryzysowej. A kryzys nadciągał, święcie w to wierzył.

O siódmej rano sprowadził Rose, Ryana i Sam do swojego gabinetu i zdradził im swój plan. Zanim skończył, Rose cicho płakała. Ryan i Sam poważnie przytaknęli i powiedzieli Elliottowi, że ma ich całkowite wsparcie.

Następnie zaczął wydzwaniać do ludzi, których chciał ostrzec.

Przed dziesiątą w jego salonie siedziało pięciu mężów i pięć żon.

– Przepraszam, że odciągnąłem was od rodzin – powiedział Elliott – ale sądzę, że wasze rodziny, podobnie jak moja, wkrótce znajdą się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Patrzyli na niego zaskoczeni i zdezorientowani.

– O czym...

Elliott uniósł dłoń.

– Po prostu... daj mi chwilę, Bill. Zaraz zrozumiecie.

– W dwa tysiące czwartym roku Kongres uchwalił Projekt BioTarczy. Na pierwszy rzut oka był to przepis określający wydatki w wysokości pięciu miliardów dolarów na sporządzenie zapasów szczepionek i innych środków zaradczych na wypadek bioterroryzmu i pandemii. Ale opinia publiczna nie wie, że w ustawie znalazły się również sekretne zapisy, które należy przywołać tylko w razie wystąpienia jakiejś katastrofy biologicznej. Sądzę, że właśnie jesteśmy świadkami początku takiej

katastrofy. Uważam, że wirus atakujący górne drogi oddechowe – X1 – może być wczesnym stadium gorączki krwotocznej podobnej do eboli, która właśnie zbiera żniwo w Kenii. Jeśli to są takie same wirusy, przypuszczalnie wkrótce zostaną przywołane ukryte zapisy Projektu BioTarcza w celu powstrzymania epidemii. Kiedy to się stanie, Ameryka, którą znamy i kochamy, drastycznie się zmieni. To, co powiem, nie może wyjść poza ten pokój.

Kiedy Elliott skończył mówić, jeden z mężczyzn pochylił się do przodu.

– Załóżmy, że się nie mylisz. Co powinniśmy zrobić?

– To dlatego was tu zaprosiłem. Mam plan. I potrzebuję waszej pomocy.

## ROZDZIAŁ 47

Desmond leżał na wąskim łóżku w metalowo-szklanej celi i oglądał niekończący się pokaz slajdów. Kilka zdjęć pochodziło z jego dzieciństwa, lecz większość przedstawiała go podczas pokazów na targach lub spotkań biznesowych. Zaczęły się, gdy miał niewiele ponad dwadzieścia lat i obejmowały okres aż do chwili obecnej. Albo porywacze nie mieli jego zdjęć z życia prywatnego, albo takie zdjęcia w ogóle nie istniały. Ludzie, którzy przychodzili do niego, a następnie znikali, zadawali mu mnóstwo pytań, uważając, by nie wyjawić mu nic na temat swoich pobudek i celów, ale tu i ówdzie wyłapywał małe wskazówki, które zbierał w nadziei, że pomogą mu w ucieczce.

Kiedy wyszli, Desmond poczuł, że burczy mu w brzuchu. Dawali mu niewiele jedzenia, bo pewnie chcieli, żeby był słaby i uległy.

Jednak uczucie głodu przywołało kolejne wspomnienie.



Przez pierwszy rok pobytu Desmonda w Oklahomie wuj zostawiał go w przedszkolu, kiedy pracował na platformie wiertniczej. Dzieci były w różnym wieku, ale jako sześciolatek Desmond trafił do grupy najstarszych. Kilku innych robotników również zostawiało swoje dzieci, więc zaprzyjaźnił się z niektórymi. Ale za każdym razem gdy Orville wracał, żeby go zabrać do domu, kłócił się z właścicielami o cenę i narzekał, że to rozbój w biały dzień.

Pewnego dnia Orville oświadczył, że zostawi go w domu. Położył jakieś pieniądze na kredensie i powiedział Desmondowi, że pożąda, jeśli on będzie musiał wrócić do domu, żeby się nim zajmować.

Desmond wykorzystał pieniądze na zakup jedzenia w małym sklepie spożywczym w mieście. Właściciel pomógł mu przeliczyć pieniądze i wykorzystać sumę jak najlepiej. Posiłki Desmonda składały się z fasoli i mięsa z puszki. Mimo to pieniądze skończyły się kilka dni przed powrotem wuja. Nie chciał prosić o zakupy na kredyt w sklepie. Zapytał więc, gdzie mógłby znaleźć jakąś pracę.

– Pracę dla sześciolatka? – rzucił rozbawiony chudy facet w małych okularach.

Desmond wbił wzrok w swoje buty.

– Dam ci parę rzeczy na kredyt, Desmondzie. Rozliczysz się, kiedy wróci wujek.

– Wolałbym nie – odparł cicho.

Na szczęście sklepikarz kazał mu pozamiatać magazyn i poustawiać towar na półkach, zanim odesłał go do domu z jedzeniem, które wystarczyło mu na pozostałe dni.

Kiedy wuj wrócił, od razu zapytał:

– Ile forsy ci zostało?

– Nic.

– Nic? Wszystko wydałeś? Na co? Kupiłeś sobie nową lalkę Barbie?

Wybiegł z domu, marudząc, że Desmond przeżre cały dom i obejście.

Ten człowiek miał obsesję na punkcie pieniędzy. Wybierał pracę przy tej wieży wiertniczej, gdzie najlepiej płacili. Nie przejmował się tym, że jest tam niebezpiecznie i że w części dla pracowników panują złe warunki. Chciał pieniędzy. I trzymał je u siebie. Nie miał zaufania do banków.

– To sami oszuści – powiedział pewnego wieczoru, kiedy rozpoczął już drugą połowę butelki. – I głupcy. Udziela pożyczki jakiemuś tam Tomowi, Dickowi czy Harry’emu – dadzą im twoje pieniądze, tak, dokładnie te same, które zdeponowałeś w ich banku. Najgorsze są drobne firmy oferujące małe pożyczki i wysoko oprocentowane lokaty.



Zaraz ktoś cię na nich wykiwa.

Desmond był bardzo zaskoczony, kiedy kilka lat później upadło ponad tysiąc takich firm, co kosztowało amerykańskich podatników przeszło sto trzydzieści miliardów dolarów. Była to chyba jedyna teoria konspiracyjna wuja, która naprawdę się sprawdziła.

Wuj nadal zostawiał go w domu po tym pierwszym razie i Desmond wkrótce odkrył, co zrobić, żeby starczało mu pieniędzy: uzupełniał posiłki mięsem upolowanych przez siebie zwierząt. Niektóre zabijał poza sezonem polowań, ale uznał, że strażnik leśny raczej nie ukarze grzywną sześciolatniego chłopca przymierającego głodem.

Zadbał o to, żeby zawsze zostawało mu kilka dolarów, zostawiał je na kredensie, żeby wuj je zobaczył, gdy wracał do domu. Czasem udawało mu się zaoszczędzić trochę więcej, wtedy odkładał je dla siebie.

Kiedy miał już trochę oszczędności, udał się do lombardu na skraju miasta. Kilkadziesiąt razy stał przed witryną tego sklepu i gapił się przez szybę na rower, wyobrażając sobie, jak będzie na nim jeździł, i miejsca, do których się uda.

Teraz wszedł do środka i położył pieniądze na szklanej gablocie.

– Proszę ten rower z wystawy – powiedział.

Sprzedawca wziął pieniądze i przeliczył.

– Brakuje ci dziesięciu dolarów.

– To wszystko, co mam.

Mężczyzna patrzył na niego w milczeniu.

Desmond pozbiierał pieniądze.

– Bierze pan czy nie? Jeśli nie, pójdę do sklepu obok i złożę im propozycję.

Sprzedawca roześmiał się śmiechem palacza.

– Gdybyś był dorosłym facetem, kazałbym ci spierdalać. Ale podobasz mi się, dzieciaku. Weź go. Ten cholerny rower stoi na wystawie już od roku.

Wówczas Desmond po raz pierwszy zasmakował wolności, po raz pierwszy w życiu zaoszczędził i kupił coś dla siebie. Było to dla niego cenniejsze niż jakikolwiek prezent, który dostał w życiu.

Oczywiście ukrył go przed wujem. Ukrywał rower przez sześć miesięcy. To był najlepszy czas jego dzieciństwa.

Mając do dyspozycji rower, mógł przemierzać większe odległości, był w stanie dojechać do sąsiedniego miasteczka, Noble, gdzie na głównej ulicy znajdowały się sklepy, poczta, małe kino i biblioteka. W bibliotece chodził pomiędzy półkami, szukając książek, które czytała mu Charlotte. Chciał jeszcze raz zobaczyć okładki, żeby przypomnieć sobie te tygodnie, które razem spędzili.

Siwowłosa kobieta wyciągała książki z wózka i układała je na półkach.

– Czy pomóc ci w znalezieniu jakiejś książki?

Desmond pokręcił głową.

– Możesz wypożyczyć, co ci się podoba – oznajmiła. Przez długą chwilę na niego patrzyła. – To nic nie kosztuje. Oddajesz je, kiedy skończysz czytać.

To mu nic nie dawało, nadal nie potrafił czytać.

– Czy... macie tu głośne czytanie książek?

Kobieta zawahała się.

– Hm, tak, mamy.

– Kiedy?

– Kilka... kilka razy w miesiącu. Kiedy ci pasuje?

Powiedział jej, a ona potwierdziła ten termin. Miała na imię Agnes.

Desmond lubił jej głos. Był kojący i neutralny, podobnie jak u innych ludzi w Oklahomie. Nie było w nim nuty nikczemności jak w głosie wuja.

Gdy wychodził, uświadomił sobie, że nie zapytał o książkę. Przecież mogła to być jakaś powieść, która mu się spodoba, na przykład o zakochujących się w sobie ludziach.

Starając się wypaść jak najgrzeczniej, zapytał Agnes, jaka książka będzie czytana.

– Jest kilka do wyboru. A jakie lubisz?

– Przygodowe – odparł bez namysłu. – Kiedy bohaterowi udaje się uciec.

– Wobec tego nie będziesz zawiedziony.

I nie był. Następnego dnia wrócił do biblioteki, zastał Agnes przy

biurku, gdzie robiła na drutach. Odłożyła robótkę i wzięła książkę.

– Jesteś gotów?

Przytaknął. Tak jak podejrzewał, był jedynym słuchaczem podczas sesji czytania. Pasowało mu to.

Zatracił się w słowach, które wypowiadała, w jego głowie zmieniały się w obrazy, a bohaterowie stawali się tak realni jak ludzie, których znał. Opowieści były dla niego drugim życiem, o którym zapomniał, życiem o wiele lepszym niż to, które wiódł.

Czas czytania był czasem ucieczki. Tygodnie, kiedy wuj przebywał w domu, były więzieniem.

Lato skończyło się i nadeszło pismo ze szkoły, wynikało z niego, że został przydzielony do podstawówki przy przedszkolu, do którego uczęszczał jesienią.

Orville z pogardą wrzucił je do ognia.

– Szkoła. – Wymówił to słowo, jakby miało smak skwaśniałego mleka.

– Nie trzeba cię jeszcze bardziej rozpieszczać.

Desmondowi to pasowało. O wiele bardziej wolał bibliotekę.

Po Świącie Dziękczynienia Agnes zaczęła uczyć go czytać. Szybko złapał. Miała dobrą metodę: najpierw czytała mu fragment książki, tyle, żeby go zainteresować treścią, a potem pomagała mu przeczytać resztę. To przypominało naukę jazdy na rowerze – na początku było ciężko, ale gdy już złapało się, o co chodzi, szło z górki.

Jeszcze przed Wielkanocą to on czytał jej na głos.

A ona zaczęła stopniowo się zmieniać. Zasypiała podczas czytanych historii. Coraz częściej sięgała do torebki, wyjmowała jakieś tabletki i połykała je.

Pewnego dnia latem przyjechał do biblioteki, lecz ta była zamknięta. I pozostała zamknięta przez cały tydzień. Desmond wszedł na pocztę, która znajdowała się zaraz obok, i zapytał urzędnika za ladą, czy widział gdzieś Agnes.

– Jest w Norman.

– Kim jest Norman?

Urzędnik spojrział na Desmonda jak na idiotę.

- Szpitalem. Miejski szpital Norman. W zasadzie teraz jest okręgowy.
- Co tam robi?
- Znalazła się tam z powodu raka. A co myślałeś?

Desmond stał na poczcie, a jego świat właśnie legł w gruzach.

- Wróci?

Z miny mężczyzny wywnioskował, że nie wróci.

- Jak tam dojechać?

- Lepiej najpierw porozmawiaj o tym z rodzicami.

- Którą drogą mam jechać?

- Do Norman jest kawał drogi, młody człowieku. Niech rodzice cię podwiozą. A teraz zmykaj, mam sporo pracy.

Na stacji benzynowej na skraju miasta Desmond kupił mapę. Szpital był zaznaczony dużą literą H.

Następnego dnia rano Desmond zaplanował trasę i spakował jedzenie do torby. Nigdy dokładnie nie wiedział, kiedy Orville pojawi się w domu, ale zwykle wracał wczesnym popołudniem, więc Desmond odczekał do szesnastej, zanim wyruszył, żeby mieć pewność, że tego dnia już nie przyjedzie. Nie umiał sobie nawet wyobrazić, co wuj by mu zrobił, gdyby przyłapał go na jeżdżeniu rowerem kupionym za jego pieniądze.

Obliczył, że przejazd piętnastu kilometrów do szpitala zajmie mu mniej niż godzinę, ale mylił się – zabrał mu prawie trzy. Słońce zachodziło, kiedy dotarł na miejsce, parking oświetlały już latarnie. Porzucił rower przed wejściem i wszedł do środka.

Kobieta z recepcji podała mu numer sali, w której leżała Agnes. Po raz pierwszy w życiu jechał windą. Na trzecim piętrze powoli skierował się do sali Agnes, bojąc się tego, co może tam zobaczyć. Drzwi były zamknięte. Nacisnął klamkę i uchylił skrzypiące drzwi. W środku paliło się słabe światło. Agnes leżała na boku, wokół niej popiskiwały różne maszyny.

Odwróciła się, słysząc skrzypienie drzwi, i zobaczyła Desmonda. Na jej ustach pojawił się uśmiech, do oczu napłynęły łzy.

- Nie powinienes tu przychodzić, Desmondzie.

Nie wiedział, co ma powiedzieć. Po prostu wszedł do środka, podszedł

do łóżka i złapał jej drobną rękę.

– Dlaczego nie... – Nie dokończył pytania, ponieważ nie miał pojęcia, o co zamierzał zapytać. Nie przemyślał tej części wyprawy. W głębi serca nigdy nie pogodził się z tym, czego dowiedział się na poczcie. Spodziewał się, że przyjedzie i okaże się, że zaszła jakaś pomyłka.

Westchnęła.

– Zamierzałam ci powiedzieć, że się wyprowadzam. Nie chciałam, żebyś wiedział, że jestem chora, nie chciałam, żeby to było twoje ostatnie wspomnienie o mnie.

Desmond wbił wzrok w swoje buty.

– Przywiózł cię wujek? – spytała.

Pokręcił głową.

– No chyba nie przyjechałeś tu na rowerze?

Jego milczenie musiała wziąć za potwierdzenie swoich obaw.

– Desmondzie – powiedziała powoli. – To bardzo niebezpieczne. Gdzie jest twój wujek?

– Na polu naftowym. Wróci dopiero za kilka dni.

W otwartych drzwiach pojawiła się pielęgniarka.

– Czy czegoś pani potrzebuje, pani Andrews?

– Tak, moja droga. Jakichś koców dla mojego bratanka. Będzie tu nocował. I, być może proszę o zbyt wiele, ale czy macie jakieś książeczki dla dzieci w szpitalu?

– Tak, proszę pani. Zaraz przyniosę.

Tej nocy Agnes czytała Desmondowi po raz ostatni. Była druga w nocy, kiedy odpłynął w sen na rozkładanym krześle przy oknie.

Rano kazała mu obiecać, że już nigdy nie wróci, bo to zbyt niebezpieczne, a ona może się przez to bardziej rozchorować.

– To moje życzenie, Desmondzie. Czy uszanujesz je?

– Tak, proszę pani.

W drodze powrotnej pedałowal wolniej, wiatr mu nie sprzyjał. Dlaczego każdy, na kim mu zależało, umierał? A ludzie, których nienawidził, czyli jego wuj, żyli? Życie było niesprawiedliwe. Świat był okrutny.

Było południe, kiedy Desmond dojechał do domu. Zaszło mu w ustach,

gdy zobaczył wuja pijącego na ganku.

– Ładny rower, Des. Skąd go masz?

Desmond próbował przełknąć ślinę, ale miał wrażenie, że jego usta są pełne trocin.

– Znalazłem – odparł, kaszłąc.

– Czyli ukradłeś.

– Nie. Znalazłem go...

– Jeśli go znalazłeś, należy do kogoś innego – kogoś, komu go ukradłeś. Odłóż go na przyczepę. Zawiozę go do miasta i oddam jutro prawowitemu właścicielowi.

– Jest mój – oświadczył Desmond, kiedy złość wzięła górę nad strachem. – Kupiłem go.

– Kupiłeś – powtórzył wuj, udając, że jest pod wrażeniem. – A skąd miałeś pieniądze? – Splunął.

Desmond odwrócił wzrok.

– Odpowiedz, kiedy pytam, chłopcze. Skąd miałeś pieniądze?

– Zaoszczędziłem.

– Zaoszczędziłeś? – Wuj był wściekły. – Nie. Kupiłeś go z pieniędzy, które ukradłeś mnie. Dawałem ci pieniądze, żebyś miał co wsadzić do swojej niewdzięcznej jadaczki. Miałeś oddawać mi to, co ci zostanie. A ty zostawiałeś forszę dla siebie i kupiłeś sobie zabaweczkę.

Desmond umilkł, czekał, aż wuj zacznie gadać, jaki z niego nieużyteczny mięczak. Tyrada trwała prawie dwa tygodnie, do czasu aż wuj wrócił do pracy. Zamiast położyć pieniądze na kredensie, kazał Desmondowi pakować torbę.

– Czas pokazać ci prawdziwy świat.

Prawdziwy świat, który Orville zamierzał mu pokazać, był obozowiskiem przy wiertni położonej na północ od granicy Oklahomy z Teksasem. Kazał Desmondowi pracować: sprzątać obejście, prac ubrania, obierać ziemniaki i robić wszystko to, czego nie chcieli robić pracownicy szybów naftowych. To była ciężka praca, ale nie niebezpieczna. Wuj powiedział, że Desmond jest zbyt słaby, by zostać prawdziwym robotnikiem. Zawsze już będzie takim mięczakiem,

powtarzał.

Robotnicy wyglądali jak beczki, mieli umięśnione ramiona, które trzymali pod pewnym kątem w stosunku do tułowia, nigdy nie zwisały im prosto w dół. Przypominali mu robota z *Zagubionych w kosmosie*, serialu, który Desmond oglądał podczas nieobecności wuja. Jednak w przeciwieństwie do robota ci mężczyźni byli nieustannie umazani ropą. Każde ich słowo było przekleństwem. Sprośne żarty i opowieści o prostytutkach stanowiły jedyny temat rozmów. Pracowali przez dwanaście godzin, potem mieli dwanaście godzin przerwy, podczas której nieustannie pili kawę, jeśli nie spali, i nigdy nie palili w pobliżu szybów. Mieli mały odbiornik telewizyjny z zajęczymi uszami przykrytymi folią i walczyli o niego po każdej zmianie. Zwykle leciały mecze bejsbolowe i zawsze w którymś namiocie grano w karty.

Tylko jeden mężczyzna czytał w wolnym czasie. Desmond zaprzyjaźnił się z nim, a on był tak miły, że pożyczył Desmondowi książkę, którą już przeczytał i którą bardzo mu polecał.

Desmond bardzo się starał zrozumieć powieść o ludziach polujących na rosyjski okręt podwodny.

Co dziwne, czas spędzony na polu naftowym poprawił jego stosunki z wujem. Mężczyzna prawie nie zwracał na niego uwagi, nawet dawał mu część zarobionych pieniędzy i pozwolił zatrzymać rower. Jednak Desmond nie miał ochoty na wycieczki. Był potwornie zmęczony, kiedy wrócili z obozu do domu.

Przed kolejnym wyjazdem pojechał jednak do biblioteki. Została ponownie otwarta, za biurkiem siedziała młodsza kobieta, czytała jakiś podręcznik i robiła notatki. Desmond jej unikał.

Wypożyczył pięć książek, które przeczytał podczas następnej zmiany.

Kilka dni po ich kolejnym powrocie do domu w chmurze pyłu na podwórko wjechał cutlass, a w nim mężczyzna w przypinanym krawacie i koszuli z krótkim rękawem.

– Panie Hughes! – zawołał z ganku.

Desmond patrzył, jak wuj wychodzi na zewnątrz na wpół pijany i kłóci się z przybyszem.

Mężczyzna włożył w kłótnię więcej energii, niż Desmond się po nim spodziewał. W końcu pokręcił głową i zszedł po schodach, ale zanim wsiadł do auta, odwrócił się po raz ostatni.

– Jeśli ten pana chłopiec nie znajdzie się w szkole w przyszłym miesiącu, to nie ja będę z panem rozmawiał. Przyjedzie tu opieka społeczna. A potem szeryf. Dobrego dnia, panie Hughes.



W pierwszej klasie Desmondowi podobało się nieco mniej niż na polu naftowym. Dzięki Agnes już umiał czytać, z matematyką był do przodu dzięki właścicielowi sklepu spożywczego, który ocalił go od śmierci głodowej.

Okazało się, że nie ma wspólnych tematów z rówieśnikami. Dla niego byli dziećmi, niemal dzidziusiami. Najbardziej lubili się bawić. Rozmawiali o sprawach interesujących smarkaczy. Czuł się wyobcowany, jakby trafił do klasy z dziećmi o wiele młodszymi. Nauczycielka to zauważyła, próbowała dawać mu trudniejsze zadania, ale miała mnóstwo pracy. W związku z czym Desmond przez większość czasu był zostawiony samemu sobie. Siedział w kącie i czytał, podczas gdy reszta klasy pracowała w grupach.

Dyrektor zgodził się przenieść go do drugiej klasy, ale tam również nie miał wiele do roboty.

Nadeszło lato i ponownie dołączył do wuja na polu naftowym. Z każdą zmianą praca była coraz cięższa.

To stało się rutyną w jego życiu: pola naftowe każdego lata, szkoła w ciągu reszty roku, wuj w domu jedynie przez połowę czasu.

Nie wiedział, czy to ze względu na śmierć rodziców, czy też odejście Agnes, a może dlatego, że tak został wychowany przez wuja, ale nie potrafił się do nikogo zbliżyć. Jakby był w nim jakiś mur. Kilka razy, gdy przyprowadził kolegów do domu, wuj go zawstydził, strofując przy nich, więc Desmond szybko się nauczył, żeby nikogo nie zapraszać. Wuj nigdy nie pozwalał mu zostawać na noc u kolegów. Desmond nie był tak głupi,



żeby mu się sprzeciwiać.

Kiedy przyniósł do domu formularz zgłoszeniowy do Małej Ligi, wuj rzucił go do ognia. Powiedział, że to strata czasu i jego pieniędzy. Zabronił też Desmondowi zapisać się do kółek zainteresowań w szkole, skautów oraz na zajęcia pozalekcyjne.

Chłopak czuł się całkowicie odizolowany. Z nikim i z niczym nie był związany. Był najszczęśliwszy, kiedy czytał, ale zanim skończył osiem lat, przeczytał wszystkie ciekawe książki z lokalnej biblioteki.

Julie, dobiegająca dwudziestki bibliotekarka, zauważyła, że bez celu chodzi pomiędzy regałami. Desmondowi wydawało się, że za każdym razem gdy przychodził, miała inną fryzurę. Tego dnia prezentowała kok na czubku głowy.

– Jeśli czegoś brak, możemy to zamówić – powiedziała.

– Skąd?

– Z innej biblioteki.

Wysunęła klawiaturę spod komputera.

– Możemy zamówić dowolną książkę w systemie bibliotecznym Pionier, a oni ją nam przyślą. Czego szukasz?

Desmond nie wiedział. Nie miał pojęcia, co mógłby jeszcze przeczytać.

– Nie... jestem pewien.

– No dobrze, a jakie książki lubisz czytać? – spytała Julie.

Ostatnio bardzo podobała mu się powieść Carla Sagana *Kontakt*. Na końcu książki przeczytał, że Sagan ma program na PBS. Desmond chciał go oglądać, ale wiedział, że Orville mu nie pozwoli; o wiele bardziej interesował go John Wayne niż życie obcych i miejsce ludzi w kosmosie. Desmond jednakże był zafascynowany wizją życia pozaziemskiego i innymi światami. Wydawało mu się, że wszędzie musi być lepiej niż tutaj. Obecnie książki były jego jedyną ucieczką.

– Mogę wyszukać również po autorze.

– Carl Sagan – rzucił bez wahania.

Właśnie w tej chwili cały nowy świat stanął otworem przed Desmondem. Czytał książki naukowe, historyczne, biografie. Fascynowało go, jak to się stało, że świat stał się takim miejscem,

a także ciekawili ludzie, którzy uczynili go takim, jaki jest. Do pewnego stopnia próbował dowiedzieć się, dlaczego świat był tak okrutny i niesprawiedliwy.

Rok później Julie zaczęła przynosić mu książki, które nie znajdowały się w systemie bibliotecznym. Studiowała na Uniwersytecie Oklahomy, gdzie znajdowała się znacznie większa biblioteka. Desmond dbał o książki jak o skarby.

Jego życie w domu toczyło się niezmiennym rytmem. Latem wyjeżdżał z Orville'em na pola naftowe. Dowiedział, że przez ostatnie kilka lat wuj podpisywał kontrakty bliżej Slaughterville – bezpieczniejsza praca na polach położonych tak blisko, że szybko mógł wrócić do domu, gdyby Desmondowi coś się stało lub wpadł w jakieś tarapaty. Zanim Desmond z nim zamieszkał, Orville pracował na bardziej oddalonych polach, czasem na morzu. Lepiej tam płacili. W tamtych miejscach panowały na ogół gorsze warunki, było też niebezpieczniej.

Z każdym mijającym rokiem Desmond dostawał więcej obowiązków, był bardziej narażony na wypadki. Prawą rękę złamał koło Abilene, kiedy miał jedenaście lat, nogę w pobliżu Galveston rok później. W maju 1995 roku, na polu naftowym przy Nacogdoches, naćpany kokainą robotnik upuścił krętlik na jego stopę i zmiażdżył mu kości. Orville pobił faceta niemal na śmierć. Nigdy go już nie zobaczyli na żadnym innym polu naftowym.

Kiedy Desmond wyszedł ze szpitala, wuj powitał go w domu dużą szklanką taniej whisky. To było jedyne, co miał na uśmierzzenie bólu, więc Desmond wypił do dna. Z początku smakowała obrzydliwie, ale nie była gorsza od bólu pulsującego w stopie. Po chwili piło się o wiele łatwiej.

Ku jego zaskoczeniu wuj nie zostawił go samego. Przynosił mu jedzenie do pokoju i zabierał go na wizyty kontrolne. Po tym zdarzeniu ich relacje uległy jeszcze większej zmianie.

Gdy Desmond miał trzynaście lat, rozpoczął szkołę średnią. Dzięki czasowi spędzonemu na polach naftowych był szeroki w barach i miał ręce umięśnione jak nogi rasowego konia. Nadal był odludkiem. Nie

pasował do żadnej z grup i wiele lat temu przestał próbować się do nich dopasowywać. Był silniejszy niż chłopaki z farm i szkolnej reprezentacji futbolowej, a także mądrzejszy od dzieciaków z miasta, których rodzice byli właścicielami sklepów i pokończyli studia. Dzięki systemowi bibliotecznemu wiedział więcej o historii niż większość nauczycieli. Na polu naftowym przydawała się matematyka. Nie była to co prawda analiza matematyczna, ale i jej szybko się nauczył. Mógł chodzić do szkoły przez pół roku i zdać wszystkie testy. Chodzenie do szkoły przypominało odwiedzanie więzienia na obcej planecie. Ludzie bez przerwy tam plotkowali. Futbol dominował nad wszystkim. Nie było osoby, która nie czekałaby na jakiś ważny mecz. Desmond czekał jedynie na nadejście następnej książki do biblioteki – a także na kolejną robotę dla siebie i Orville'a. Fascynowało go położenie pól naftowych. Luizjana i południowy Teksas były barwnymi światami.

Coraz rzadziej przychodził do szkoły. Kiedy nauczyciele zaczęli marudzić, Orville udał się do dyrektora i wyjaśnił mu, że potrzebuje pomocy bratanka na polu naftowym i że chłopak na pewno zda wszystkie testy. Dogadali się i od tego czasu Desmond chodził na lekcje tylko po to, żeby napisać kilka testów, które uspokoiłyby nadzór pedagogiczny, gdyby ktokolwiek się nim zainteresował.

Relacje pomiędzy Desmondem i Orville'em nie przypominały tych między ojcem a synem. Nie byli też przyjaciółmi. Bardziej przypominali tułaczy ze starych westernów, które oglądał Orville, związanych ze sobą jakąś wspólną potrzebą, razem zmierzających przez życie w poszukiwaniu czegoś lub kogoś, chociaż nigdy nie było wiadomo, czego lub kogo konkretnie szukają. Jeździli od miasta do miasta, każde miasto było jednym odcinkiem serialu, i zawsze znalazł się jakiś nowy zły charakter do pokonania lub jakaś zagadka do rozwiązania. Tajemnicą niezmiennie pozostawało, ile czasu zajmie wywiercenie nowego szybu, czy trafią na ropę i czy przeżyją te dni po zakończeniu zmiany, które Orville nazywał „upuszczaniem pary”.

Dla Orville'a oznaczało to zadekowanie się w najbliższym mieście na tydzień, upijanie się do nieprzytomności w lokalnym barze, hazard

i przygodny seks. Sporo się bił. Gdy już porządnie się zalał, bił się z każdym, kto krzywo na niego spojrzał. Unikał jedynie bójkę z weteranami wojskowymi, a ich żony były jedynymi, których nie zabierał do domu. Nie lubił też, gdy robili to inni mężczyźni; to zawsze był powód do bijatyki, w którą nieuchronnie angażował się również Desmond, nieważne jak usilnie starał się trzymać od niej z dala. W końcu stawał jednak obok wuja w chwili, gdy do niej dochodziło. W ten sposób walka szybciej dobiegała końca.

Desmond był dość dobry w ocenianiu ludzi, wiedział, kto może przysporzyć im kłopotów, kto ucieknie i czy to oni powinni zrejterować. Miał jakiś szósty zmysł, dzięki któremu wiedział, czy będzie potrzebował butelki po piwie, kija bilardowego, czy wystarczą mu same pięści. Nie lubił używać noża, ale nauczył się odbierać go innym. Kilka razy mieli zatarg z prawem, ale Orville zawsze przedstawiał jakąś wymówkę i płacił kilka setek właścicielowi baru na pokrycie szkód. Desmond prawie zawsze miał obite zębra, stłuczony palec, złamaną kość dłoni, podbite oko lub jakieś rozcięcie; ból był dla niego codziennym doznaniem, więc żył w ten pokręcony sposób narzucony mu przez Orville'a.

W hotelach pili i do świtu słuchali piosenek Roberta Earla Keena, The Highwaymen, Jerry'ego Jeffa Walkera i Johnny'ego Casha. Trzeźwieli dopiero kilka dni przed kolejną zmianą i nie pili podczas pracy. To było zbyt niebezpieczne. Ta część również należała do ich rutyny.

Desmond w końcu zrozumiał, dlaczego jego wuj tak bardzo go nienawidził, gdy się do niego wprowadził. Właśnie od takiego życia go odrywał, a teraz Orville do niego wracał. To czyniło go szczęśliwym, a Desmond miał więcej luzu w domu. Nawet od czasu do czasu razem chodzili na polowania.

Tygodnie, kiedy pracował, były dla niego doświadczeniem niemal terapeutycznym. Kiedy znajdowali się na polu naftowym, cały czas coś się działo i groziło im niebezpieczeństwo. To była harówka, dzięki której nie musiał zbyt dużo myśleć. Kiedy pracował, nie myślał o swojej rodzinie, o Charlotte, Agnes ani o niczym innym. Kiedy nie miał pracy,

whisky i piwo pomagały przegonić natrętne myśli. To jedyne, co działało oprócz książek. To wypełniało jego życie: pola naftowe, picie i czytanie.

Ukończenie szkoły w 1995 nie było dla niego żadnym ważnym wydarzeniem. Jego życie niewiele się zmieniło, tyle że nie musiał już pisać testów. Niektóre dzieciaki wyjeżdżały na studia, inne wyprowadzały się do Oklahoma City, gdzie zaczynały pracę, pozostałe nadal mieszkały z rodzicami. Desmond pragnął się wyrwać, zacząć wszystko od nowa. Ale potrzebował pieniędzy, więc zaczął oszczędzać każdy grosz. Do stycznia 1996 roku w starej puszcze po kawie, którą chował w materacu, miał dwa tysiące sześćset osiemdziesiąt pięć dolarów. To były wszystkie jego zarobione pieniądze i zamierzał wydać je na zakup urządzenia, które, jak miał nadzieję, zmieni jego życie, pozwoli mu wyjechać z Oklahomy i raz na zawsze uwolnić się od pól naftowych.

## ROZDZIAŁ 48

Przed celą Desmonda zawsze przebywały dwie osoby: jedna obsługiwała pokaz slajdów na laptopie i zadawała mu pytania, a druga zapisywała odpowiedzi i go filmowała.

Doszedł do wniosku, że jedyną szansą na ucieczkę jest zjednanie sobie kogoś z przesłuchujących go ludzi. Cela została dobrze zaprojektowana i urządzona; nie uwolni się przy użyciu siły. Pierwszym krokiem jego planu było sporządzenie profilu tego z porywaczy, który mógłby mu pomóc. Zaczął szukać ich słabości i rzeczy, w które mocno wierzyli, aby móc je wykorzystać, ale jak dotąd próby wyciągnięcia z nich takich informacji spełzły na niczym. Domyślił się, że Conner zabronił im z nim rozmawiać. Żaden z nich nigdy nie odpowiedział na osobiste pytania. Co więcej, zaczynali się denerwować, gdy zwracał się bezpośrednio do nich – to znaczy denerwowali się wtedy bardziej niż zwykle. Z każdą nieudaną próbą czuł, że ma coraz mniejsze szanse na ucieczkę.

Zapamiętał kilka nazw, które wydawały mu się znajome.

– Pamiętasz Stowarzyszenie Zeno? – zapytali.

– Nie.

– A Zakon Citium?

Znowu skłamał. W zasadzie znał tylko nazwy, ale nie pamiętał, co znaczą i z czym się wiążą.

Posiłki przynoszono rzadko, a Desmond zjadał je bez większych obaw. Jeśli porywacze chcieli go uśpić, mogli użyć gazu, a potem zaaplikować

mu, co tylko chcieli. Poza tym musiał jeść. Wpadł w pewną rutynę: ćwiczenia, jedzenie, odpowiadanie na pytania, sen, powtórka. Zupełnie stracił poczucie czasu.

W pewnym momencie zaczęli odtwarzać muzykę, zapewne mając nadzieję, że pobudzi jego pamięć. Desmond rozpoznał piosenki: *American Remains*, *Highwayman*, *Silver Stallion*, *Desperados Waiting for a Train*, *The Road Goes On Forever*, *Angels Love Bad Men* i tę, która właśnie leciała, *The Last Cowboy Song*. Wykonywali je The Highwaymen, kwartet składający się z Johnny'ego Casha, Waylona Jenningsa, Williego Nelsona i Krisa Kristoffersona. Desmond miał przed oczami ich twarze na okładce starej kasety magnetofonowej, którą puszczał mnóstwo razy. Piosenki przypominały mu Orville'a, ale nigdy nie powie o tym Connerowi.

Jedno wiedział na pewno: to Conner spowodował epidemię.

A skoro był zdolny do czegoś takiego, mógł zrobić dosłownie wszystko. Conner czegoś potrzebował, ale Desmond mu tego nie da. Będzie się opierał do samego końca.



Serwerownia statku znajdowała się głęboko pod pokładem, przylegało do niej centrum zarządzania. Czterech strażników siedziało przy rozkładanym stole i grało w karty przed głównym wejściem. Wstali, gdy Conner się zbliżył, i otworzyli dla niego wejście.

Conner nigdy nie był w centrum zarządzania serwerami. Robiło wrażenie. Od biurka aż po sufit ciągnęły się płaskie ekrany. Wykresy i grafiki, których nie rozpoznawał, aktualizowały się w czasie realnym. Na kilku wyświetlała się temperatura. Słupki rosły do stu procent. Na jednym z monitorów leciał serial *Battlestar Galactica*. Wysoce wyspecjalizowane centrum zarządzania przypominało mu statek kosmiczny, chociaż tym konkretnym leciały chyba same flety. Na podłodze leżały zgniecione puszki po Red Bullu i Mountain Dew. Puste opakowania po przekąskach z mikrofalni poskręcały się i posklejały.

Wyglądały jak zużyta serpentyna po przejściu parady. Stosy okruchów po ciastkach zaśmiecały klawiatury.

Cztery twarze odwróciły się jednocześnie, żeby spojrzeć na Connera: chuda Azjatka z ciemnymi, tłustymi włosami sięgającymi do połowy pleców, dwóch białych facetów z nadwagą, którzy mogli być bliźniakami, oraz Hindus, nieco starszy od nich i znacznie chudszy.

Hindus wstał z zaskoczoną miną.

– Tak, sir?

– Potrzebuję programisty.

– Aha. – Zawahał się, po czym wskazał drzwi na końcu pomieszczenia.

– Są tam.

– A wy nie jesteście programistami?

– Nie, proszę pana. Administratorami systemu i sieci.

Conner jeszcze raz omiółł wzrokiem chlew. *A więc to te brudasy zawiadują wszystkimi informacjami?*

Pokręcił głową.

– Dobrze. Wracajcie do pracy.

– Sir... Warto najpierw zapukać.

Conner zastanawiał się, co to może oznaczać. Ale posłuchał rady i trzy razy głośno zapukał w drzwi. Żadnej odpowiedzi.

Zerknął na hinduskiego administratora, który tylko wzruszył ramionami, jakby mówiąc: *Chyba może pan po prostu wejść.*

Conner otworzył drzwi i zajrzał do środka. Ciasna przestrzeń sprawiała, że pomieszczenie do monitorowania serwera przypominało strefę kwarantanny. Nie było widać podłogi spod papierów, pustych opakowań, puszek i magazynów pornograficznych. Trzej młodzi faceci garbili się nad laptopami, na uszach mieli słuchawki i wściekle walili w klawiatury, a na czarnych ekranach przed nimi pojawiały się białe linie tekstu. Co kilka sekund jeden z nich klął, odchyłał się do tyłu lub podnosił ręce. Trochę to przypominało wańkę wstańkę w wykonaniu ludzi.

– Halo! – krzyknął Conner.

Zdjęli słuchawki. Trzy zirytowane twarze zwróciły się w jego stronę.



Odezwał się ten siedzący najbliżej, dzieciak z ciemnymi włosami i akcentem z Europy Wschodniej.

- Co do cholery, gościu?
- Chcę, żebyście coś dla mnie zhakowali.
- Nie da rady. Pracujemy nad CDC.
- Zapomnijcie o CDC. Zajmę się tym. Mamy inny priorytet.

Odezwał się inny programista.

– Słuchaj, pogadaj z mostkiem. To oni dyktują warunki. I zamknij za sobą drzwi.

– Posłuchaj mnie, człowieku. To ja rozkazuję tym na mostku. To ja dyktuję warunki. Lepiej, żebym nie musiał tego teraz udowadniać.

Wszyscy gapili się na niego.

– Och – powiedział chłopak z Europy Wschodniej. – Hm, dobrze. Co mamy zhakować?

– Czyjś mózg.



W centrum operacyjnym w pobliżu mostka statku jeden z analityków podał Connerowi raport; jeszcze ciepły, prosto z drukarki.

– Infekcja minęła punkt krytyczny.

– Dobrze – odparł Conner, rzucając okiem na liczby.

– I jest jeszcze coś. Miejsce Alfa donosi, że w południowej Somalii aż roi się od dronów. Boją się, że Stany wkrótce odkryją farmę.

– W porządku. Dziś wieczorem przetransportujcie Shaw i tę drugą na statek.

– Właśnie to im zaproponowaliśmy. Chcą więcej pieniędzy.

Conner przewrócił oczami.

– To im zapłaćcie.

To nie miało żadnego znaczenia. Za kilka dni pieniądze nic nie będą znaczyły.

## ROZDZIAŁ 49

Najnowsza próba ucieczki w wykonaniu Peyton wypadła najlepiej z dotychczasowych, ale niestety skończyła się tym, że porywacze jeszcze bardziej jej pilnowali. Odziany na czarno żołnierz korzystał teraz z drewnianego kija, którym na jej stronę przepychał przez kratę styropianowe tacki. Akumulator samochodowy znajdował się poza jej zasięgiem, ale jego kable podłączono do najbliższego metalowego pręta, który brzęczał pod wpływem przepływającego przez niego prądu.

Umierała z głodu. Wolałaby nic nie jeść, ale nie mogła się dłużej powstrzymać. Przypelzła do tacki i zaczęła jeść.



Kilka minut później Peyton upadła bez przytomności twarzą do przodu. Żołnierz odłączył akumulator, otworzył celę i wziął szczupłą kobietę na ręce. Nie wyglądała na taką hardą sztukę. Dobrze, że jej się pozbywali.

## ROZDZIAŁ 50

Po rozmowie telefonicznej z Elliottem Millen zaprezentował swoją ofertę trzem mieszkańcom wioski. Halima przetłumaczyła ją i rozmawiała głównie ze starszą kobietą, Dhamirią. Od czasu do czasu zwracały się do sześciolatniego Tiana.

Millen próbował sobie wyobrazić, co dla nich znaczyła jego prośba. Niedawno byli świadkami śmierci swojej rodziny i znajomych, zostali zupełnie sami. Teraz obcy facet prosi ich, żeby pojechali do jakiegoś nieznanego kraju, gdzie zostaną poddani eksperymentom medycznym mającym na celu wynalezienie leku – zostaną królikami doświadczalnymi. To musi być przerażające, pomyślał.

Halima zwróciła się do Millena.

– Jesteś pewny, że znajdziecie lek?

– Nie. Nie jestem. Ale to prawdopodobne. Niczego wam nie obiecuję, ale wasza trójka ma szansę ocalić życie wielu ludzi.

– Czy będziemy mogli potem tu wrócić i czy odwieziesz nas z powrotem, kiedy skończycie?

– Macie moje słowo.

– Wobec tego jedziemy z tobą, doktorze.

– Mówcie do mnie Millen.



Było południe, kiedy Millen i mieszkańcy wioski dotarli do Mandery.

Japoński SUV trzeszczał na czerwonej, ubitej drodze, a ich czwórka w ciszy przyglądała się opuszczonemu miastu. Madera była karykaturą miejsca, które Millen widział zaledwie kilka dni wcześniej.

Kiedy po raz pierwszy tu przyjechali, dzieciaki przerywały mecz piłki nożnej, gdy przejeżdżał konwój, albo wybiegały na ulicę, by na nich popatrzeć. Wieśniacy pchający wózki z płodami rolnymi i popędzający żywy inwentarz tarasowali drogi. Teraz w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Budynki, zarówno nowe, jak i te zniszczone, stały puste. Według Millena to, co widział, przypominało miasto duchów z amerykańskiego zachodu – afrykańską wersję Dodge City. Miasto, które przeżyło boom, by w krótkim czasie podupaść. Madera podupała z powodu bomby biologicznej, być może bardziej śmiertelnej niż wszystkie inne, które dotąd widziano.

Millen spodziewał się, że ostatni ocalali z miasta, być może również z regionu, będą skupieni w szpitalu. Jednak miasteczko namiotowe było puste i przetrząśnięte. Każdy zabrał to, co uznał za przydatne. Jedzenie oraz wszystkie skrzynie z lekami zniknęły. Zostało trochę wody, prawdopodobnie dlatego, że była zbyt ciężka.

– Skończy się jedzenie, zanim dotrze tu nasz transport – powiedział Millen. – Żołnierze niewiele mi zostawili.

– Przeszukamy miasto – oznajmiła Halima. – Jesteśmy nieźli w wynajdowaniu resztek.

Millen wyjął z bagażnika kombinezon ochronny i zaczął go wkładać.

Halima wskazała szpital.

– Wejdiesz tam?

– Tak. To moja praca.



Korytarze szpitala zastawione były pustymi wiadrami, butelkami i pudełkami, w których kiedyś znajdowały się artykuły medyczne. Resztki ułożono w rozsypujących się stosach, pozostawiając między nimi jedynie wąskie przejście – w górze medycznych śmieci powstała wąska

przełącz. Millen stawiał ostrożnie kroki, uważając, by nie przedziurawić kombinezonu i nie nadebrać na igłę. Jeden błąd mógł skończyć się śmiercią.

W dużej sali, w której Hannah pobierała próbki, znalazł rząd ciał. Niektórzy zmarli trzymali na piersiach drewniane krzyże, mieli zamknięte oczy. Inni patrzyli w górę, ich szkliste oczy wpatrywały się w wiatraki na suficie, które ani drgnęły. W tylnej części pomieszczenia przy ścianie ułożono worki ze zwłokami, czarne, plastikowe schody śmierci prowadzące donikąd. Wszędzie roiło się od much.

Nie było żadnych nieotwartych i nieużytych zapasów medykamentów. Żadnych niezjedzonych porcji żywnieniowych. Ta sala opowiadała historię misji medycznej powoli przegrywającej bitwę z chorobą. Pakowali i palili ciała zmarłych, dopóki mogli, następnie skupili się na tych, którzy mieli szansę przeżyć. A potem stąd wyjechali.

Millen był pewien, że nie znajdzie tu żywych. Ani jedzenia.

Chodził po korytarzu, zaglądał do sal, był dokładny, szukał wskazówek i dowodów, które mógł przekazać do Atlanty. Znalazł jedynie trupy, wszystkie z tymi samymi objawami gorączki krwotocznej, zażółconymi oczami i oznakami odwodnienia.

Nagle usłyszał szelest. W pobliżu na podłogę spadły jakieś pudła. Ruszył w stronę dźwięku tak szybko, jak się dało w niewygodnym kombinezonie. Stał w otwartych drzwiach i zajrzał do środka.

Pusto.

Coś wybiegło zza wózka. Rzuciło się w jego stronę, przemknęło mu między nogami i wypadło na korytarz.

Millen cofnął się i szybko odwrócił. Otocjon. Widok zwierzęcia natchnął go optymizmem. Czytał o nich przed wyjazdem, ale nigdy żadnego nie widział. Bardzo chciałby zobaczyć go z bliska. Mały lis żywił się głównie termitami i innymi insektami – przede wszystkim pajakami, mrówkami i stonogami, ale czasami zadowalał się grzybami i małymi ssakami. Do polowania nie wykorzystywał wzroku ani zmysłu węchu, lecz słuch, a jego duże uszy pomagały mu zlokalizować nawet najmniejsze owady na wielkich sawannach Afryki. Te zwierzęta były w głównej mierze

monogamistami, a samce, nie samice, zajmowały się młodymi.

Z sali wyszedł jeszcze jeden otocjon, a za nim następny. Te zwierzęta trzymały się w stadach i tak też polowały.

Za sobą Millen usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Ku jego wielkiemu zdziwieniu stanął w nich Afrykanin i oparł się o framugę. Był słaby, ledwie żył. Ale po raz pierwszy od chwili, gdy Millen wszedł do szpitala, patrzył na niego inny człowiek.

Ocalały próbował zrobić krok, ale nogi się pod nim ugięły. Millen znalazł się obok mężczyzny w ciągu sekundy, wyciągnął rękę, żeby go podtrzymać.

– Nazywam się Thomas Millen. Jestem z CDC.

Afrykanin w średnim wieku przyjrzał się Millenowi przez szybkę w hełmie.

– Miło pana poznać. Elim Kibet.

Millen znał to nazwisko.

– Jest pan lekarzem w tym szpitalu?

Elim uśmiechnął się słabo.

– Byłem lekarzem. Teraz jestem pacjentem.

– Myślę, że może być pan ostatnim pacjentem w tym szpitalu.

– Obawiam się, że tak.

– Niech pan wraca do łóżka – powiedział Millen.

– Nie. Dziękuję, muszę chodzić. Dziś rano spadła mi gorączka. Zbyt dużo czasu spędziłem w tej sali. Za długo leżałem. Trzeba rozruszać mięśnie, zanim zanikną.

Przez kolejne pół godziny Millen pomagał Elimowi dreptać po szpitalu. Starszy lekarz zaglądał do sal, które mijali. W dużym otwartym pomieszczeniu zatrzymał się na dłużej, jego zaczerwienione oczy wypełniły się łzami.

Millen nie mógł sobie wyobrazić, co czuł lekarz – miejsce jego pracy stało się pułapką, wcześniej ratował tutaj życie i uczynił tyle dobrego dla innych. Więzień w swoim niedomagającym ciele, ledwie zdolny do chodzenia, niemogący uciec z wyludnionej postapokaliptycznej rzeczywistości. Millen zastanawiał się, jak by zareagował, gdyby utknął

w budynku CDC w Atlancie, a w tym samym czasie cały zewnątrz świat rozpadałby się na kawałki. To byłby koszmar. Ale horror tego miejsca nie złamał woli życia kenijskiego lekarza. Millen cieszył się z tego.

Przez większość czasu spacerowali w ciszy. Elim sapał, z trudem łapiąc oddech, stawiając nogę za nogą. Millen starał się go podtrzymać. W kombinezonie było gorąco jak w piecu, pot spływał mu po twarzy. Nie mógł się doczekać chwili, gdy zdejmie strój ochronny, ale nie chciał zostawiać tego mężczyzny w środku, dopóki nie skończą.

Kiedy Elimowi zabrakło siły, by iść dalej, Millen pomógł mu wrócić do pokoju i położył go do łóżka.

– To niesłychane, jak szybko następuje atrofia mięśni – powiedział Elim. – Jeśli nie zabije cię choroba, to dzieła dokończy leżenie w łóżku.

Millen skinął głową.

Elim wskazał na wózek.

– Jest tu jedzenie. Proszę trochę zabrać.

– Dziękuję, ale ludzie, którzy są tu ze mną, przeszukują miasto. Damy sobie radę.

– Czy reszta zespołu jest tu z panem?

– Nie. Wyjechali. Nasz obóz został zaatakowany, kiedy nie było mnie w pobliżu. Większość zespołu zginęła razem z kenijskimi żołnierzami, którzy mieli nas bronić. Dwie osoby porwano.

Elim westchnął ciężko.

– Przykro mi. Klęski tego rodzaju sprawiają, że ujawniają się najgorsze ludzkie cechy. A także najlepsze.

Cisza.

– Czy był pan blisko związany ze swoimi współpracownikami? – zapytał wreszcie Elim.

Millen się zawahał.

– Pracowałem z nimi dopiero od sześciu miesięcy. Ale zbliżyłem się zwłaszcza do jednej osoby. Mojej... – szukał właściwego słowa – współlokatorki.

Elim się uśmiechnął.

– Czy ta współlokatorka jakoś się nazywa?

– Hannah Watson. – Nie wiedząc, co jeszcze ma powiedzieć, Millen pokrótce ją opisał. Mówienie o niej mu pomagało; nie zdawał sobie wcześniej sprawy, jak trudno było o niej myśleć, a nawet wymówić jej imię.

Elim zastanawiał się przez chwilę.

– Tak. Pamiętam ją. Pobierała próbki, kiedy tu ostatnio byliście. Bardzo dokładna.

Millen się uśmiechnął.

– Tak. To ona. – Zamilkł. – Ranili ją, kiedy napadli na obóz. Została porwana. Nie wiem, czy jeszcze żyje.

Elim przemówił powoli.

– Niedawno poznałem wartość czegoś, co nigdy nie było dla mnie ważne: wiary. Ostatniej nocy sądziłem, że nigdy nie uda mi się opuścić tej sali. Miej wiarę i cierpliwość, doktorze Thomas. Czas czyni cuda. Musimy mieć odwagę na nie czekać.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, pot kapał z czoła Millena, moczył mu twarz, czuł słony smak w ustach.

Kiedy Elim wyrównał oddech, zadał pytanie.

– Skoro pana zespół wyjechał, to kto przeszukuje miasto?

– Ocaleni. Z pobliskiej wioski.

Elim wyglądał na zaskoczzonego.

– Dostali ZMapp?

– Nie. Przeżyli atak wirusa.

– To dobrze.

– Zabieram ich do Atlanty. Miejmy nadzieję, że uda nam się zbadać ich przeciwciała i znaleźć jakieś wskazówki, jak leczyć tę infekcję.

– Powiedział im pan?

– Tak. Wiedzą, na co się piszą. Zgodzili się.

– Dobrze. To świetny plan.

– Kiedy będzie pan gotów na kolejny spacer? – spytał Millen.

Elim wyjrzał przez okno i popatrzył na pozycję słońca.

– Jeśli pan musi, proszę wrócić o zachodzie słońca. Będzie chłodniej.





Halima i pozostali ocaleni wrócili, pchając przed sobą wózek wypełniony po brzegi warzywami i pakowanym jedzeniem. Dołączyli do Millena w głównym namiocie i usiedli przy długim stole, posilając się zbieraniną produktów: śmieciowym jedzeniem, pakowanymi racjami żywnościowymi, świeżymi produktami i napojami bezalkoholowymi.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić za skaliste wzgórza w oddali, Millen ponownie włożył kombinezon. Miał go właśnie spryskać chlorem, kiedy ze szpitala wyszedł Elim, pchając wózek wypełniony zapasami, który stał w jego sali.

W jednej chwili Millen i pozostała trójka znaleźli się obok niego.

– Nie chciałem spędzać tam kolejnej nocy – powiedział Elim, sapiąc.

– Rozumiem – odparł Millen.

Przedstawił mieszkańcom wioski kenijskiego lekarza i cała piątka udała się do namiotów, które zaraz zaczęli przekształcać w prowizoryczny oddział rehabilitacyjny dla Elima.

## ROZDZIAŁ 51

W Atlancie dzień minął tak, jak Elliott się spodziewał. Wszyscy byli wstrząśnięci załamaniem się giełdy. To była chmura, która zawisła nad euforią Czarnego Piątku.

Najtrudniejszą częścią jego planu było przekonanie pozostałych pięciu rodzin do połączenia oszczędności w celu dokonania zakupów, które w sumie kosztowały setki tysięcy dolarów. Zaczęli od wypożyczenia dwóch ciężarówek. Podjechali nimi pod Costco i wypełnili je towarem niezbędnym do przetrwania. Kupili głównie jedzenie; Elliott planował osiedlenie się w pobliżu źródła słodkiej wody, gdyby doszło do najgorszego.

Następnie nabyli dwa luksusowe kampery. Cena zwałała z nóg, lecz dostali gwarancję zwrotu pieniędzy w ciągu trzydziestu dni i musieli tylko wpłacić zaliczkę – reszta była do zapłaty w ratach. Elliott zapewnił sąsiadów, że w ciągu trzydziestu dni albo będą niewiarygodnie szczęśliwi, że mają dwa domy na kółkach, albo dostaną zwrot zainwestowanych środków.

Teraz siedział w swoim gabinecie, oglądał wiadomości i czekał na wydarzenie, które według niego miało nadejść.

Wolałby się mylić.

# DZIEŃ 7

**900 mln zarazonych**

**180 tys. ofiar śmiertelnych**

## ROZDZIAŁ 52

Porywacze Desmonda zmienili metodę. Zniknęły dwuosobowe zespoły, które wyświetlały mu zdjęcia i puszczały muzykę. Teraz przed całą przy długim składanym stole rozsiedli się trzej chudzi młodzi mężczyźni stukający w klawiatury laptopów. Czarne kable wychodzące z ich komputerów łączyły się z dziesiątkami telefonów komórkowych i tabletów.

Od czasu do czasu trzej pajace, jak nazywał ich Desmond, wszczynali między sobą kłótnię. Wstawali, krzyczeli, tupali, wskazywali palcami i podnosili ręce. Nie słyszał ich jednak, ponieważ wyłączyli głośniki w jego celi, mógł tylko przyglądać się kłótni trzech facetów jak w niemej, slapstickowej komedii.

Prawie odpłynął w sen, kiedy za grubą szklaną ścianą pojawiła się czwarta postać. Mocno różniła się od chłopaków z tłustymi włosami. Była wysoką blondynką, o przenikliwym spojrzeniu zielonych oczu. Zerknęła na Desmonda, w jej oczach pojawił się błysk rozpoznania, a następnie odwróciła się tyłem. Wymiana spojrzeń była tak krótka, że zaczął się zastanawiać, czy jej sobie nie wymyślił. Skupiła swoją uwagę na tablecie, w który postukała kilka razy.

Włączył się głośnik w celi. *Czy to ona go uruchomiła? Dlaczego?*

– Gdzie jesteśmy? – spytała napastliwym tonem.

– Chwytny się brzytwy – powiedział najbliższy programista.

– Chwytny się mocniej. Kończy nam się czas.

Desmond chciał się odwrócić w ich stronę, ale instynkt wziął górę.

Wyczuł, że ona – lub ktoś inny, kto włączył głośnik – chciała zachować to działanie w tajemnicy przed programistami i każdym, kto przeglądał nagranie z celi. Wobec tego nadal leżał w łóżku, od czasu do czasu odwracał się, wykazując nikłe zainteresowanie tym, co się tam działo.

– Wiesz, że popędzanie nas w pracy wcale nie pomaga, Avery. Tylko marnujesz nasz czas. – Jeden z pajaców wyszczerzył zęby. – Słyszałem już, że kończy nam się czas.

– Widzę, co już zrobiliście. Sprytne – mówiła głośniej. – Co by wam się przydało?

– Och, nie wiadomo, może jakaś wskazówka, czego właściwie szukamy. – Programista podniósł chude, blade ręce i potrząsnął nimi teatralnie. – Wiem, że to brzmi superwariacko. Bo właściwie po co mielibyśmy wiedzieć, czego szukamy?

Avery odwróciła się i jeszcze raz obrzuciła Desmonda przelotnym spojrzeniem. Wydawało mu się, że to spojrzenie mówiło: *Teraz uważaj*. Skądś ją znał. Rozumieli się bez słów jak dwoje przyjaciół, którzy znają się od dawna. Albo kochanków.

Kiedy ponownie odezwała się do programistów, mówiła w bardziej wyważony sposób.

– Słuchaj, Byron, macie wszystkie informacje, których potrzebujecie. Hughes ma w mózgu implant Rapture Therapeutics. Sądzymy, że został tak zmodyfikowany, żeby uwalniał wspomnienia. Wiemy, że w jego hipokampie jest jakaś substancja – w tej części mózgu, która odpowiada za pamięć. Coś wysyła sygnał do implantu, który odblokowuje pamięć. I gdzieś w tej pamięci znajduje się klucz do znalezienia Rendition. Bez Rendition Zwierciadło nigdy nie zadziała. To bardzo proste: dowiadujecie się, jak uruchomić ten implant, on odzyskuje pamięć, przesłuchujemy go, odzyskujemy Rendition, a potem wszyscy żyją długo i szczęśliwie. A jak wam się nie uda, cały projekt Zwierciadło możemy wyrzucić na śmietnik.

Byron z niechęcią pokręcił głową i spojrzał na faceta siedzącego obok.

– Wiesz, chciałbym, żeby jakaś bezużyteczna gorąca laska powiedziała mi parę bzdur, które są oczywiste, i udawała, że mi pomaga.

Głos Avery nie zdradzał żadnych emocji.

– Pomagam wam ogarnąć szerszy obraz, na wypadek gdybyście coś przeoczyli. I próbuję zrobić na was wrażenie, żebyście bardziej się postarali.

– Sądzisz, że nie wiem?

– Sądzę, że brakuje wam motywacji.

– Żartujesz sobie? McClain powiedział, że lepiej, żeby mi się udało, i to wystarcza mi za całą motywację. Ten gość jest chodzącym *Koszmarem z ulicy Wiązów*. Freddy Krueger to przy nim małe miki.

Avery posłała mu złośliwy uśmiech.

– Wiesz, że on to ogląda.

Byron zbladł. Pozostali programiści szybko się od niego odsunęli.

Avery się zaśmiała.

– Żartowałam.

– To nie jest śmieszne.

– Oczywiście, że jest. Właśnie tak powinniście się bać przez cały czas, wtedy bardziej się postaracie. Przecież Hughes musiał zostawić sobie jakąś drogę powrotną do odzyskania pamięci. Może już ją odkrył. Przeczytaliście zapis jego przesłuchania?

– No jasne. Właśnie znalazł jakieś przedpłacone karty kredytowe i jakieś ślepe uliczki. Nic mu to nie pomogło.

Avery skinęła głową.

– Nawet jeśli to jakaś apka, którą damy radę zhakować, to może na nic się nie przydać.

– Co masz na myśli?

– Implant może być tak zaprogramowany, żeby uwalniać wspomnienia w konkretnym czasie lub miejscu. Jeśli tak jest, nic się nie stanie, dopóki nie nadejdzie ten czas albo nie znajdzie się w tym miejscu. Być może zaprogramował go tak, że jakiś zestaw wspomnień pojawi się niezależnie od okoliczności, ale zablokował to, co chce przed nami ukryć. Naprawdę nie wiadomo, jak to urządzenie działa, może wspomnienia są powiązane z odczuciami, obrazami, dźwiękami. Kto wie?

– Dlaczego sądzisz, że wspomnienia mogą być uwalniane na różne sposoby?

Byron wzruszył ramionami.

– To logiczne. Nie chciał błędzić w ciemności, ale pragnął również ukryć przed nami pewne poufne informacje. Jeśli natknie się na coś, o czym musi wiedzieć, implant może uwolnić pamięć, żeby mu pomóc, a poufne dane nadal zostaną ukryte.

Avery przygryzła wargę.

– No dobrze. Tego się trzymajcie. Dajcie mi znać, do czego się dokopaliście. – Ponownie podniosła tablet i wykonała jakąś operację. Głośnik w celi Desmonda wyłączył się, lecz Avery nadal rozmawiała z programistami. Byron wzruszył ramionami i coś jej odpowiedział, następnie kobieta odwróciła się, ponownie przelotnie zerknęła na Desmonda, spotykając się z nim wzrokiem na ułamek sekundy, i opuściła korytarz przed celą.

W chwili gdy zamknęły się za nią drzwi, Byron wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem, mówiąc coś do pozostałych programistów. Oni wskazali na monitory swoich laptopów i odchyłili się na krzesłach.

Desmond zastanawiał się, dlaczego kobieta pozwoliła mu podsłuchać ich rozmowę. Czy była jego sprzymierzeńcem? A może próbowała zdobyć jego zaufanie? Czy to było częścią ich planu?

Szukali aplikacji. Czy mogła to być aplikacja Labirynth Reality? W Berlinie raczej nie zadziałała. Może Byron miał rację – może aplikacja czekała na właściwy czas lub położenie. Ale niektóre wspomnienia do niego wracały – wspomnienia z dzieciństwa. Nie zdradzały tego, co zrobił z Rendition. Może taki był jego plan: ukryć większość poufnych informacji w pamięci do czasu, gdy nadejdzie na nie pora. Albo aż on będzie gotowy.

Zamknął oczy i pomasował skronie. Naprawdę znalazł się w labiryncie, który sam stworzył. Zastanawiał się, czy wyjdzie z niego żywy. Jego oddech uspokoił się, a wtedy nadeszło kolejne wspomnienie.



Pewnej soboty, kiedy Orville się obudził i był trzeźwy, Desmond

obwieścił mu, że musi pojechać do Oklahoma City.

– Po co? – z niechęcią spytał mężczyzna.

– Muszę coś kupić.

Orville pokręcił głową z niezadowoleniem.

– Muszę kupić komputer.

Starszy mężczyzna popatrzył na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Desmond wiele razy odtwarzał w głowie możliwy przebieg tej rozmowy, wyobrażając sobie słowa Orville'a. Że Desmond nie potrzebuje komputera. Że potrzebny mu jest jak dziura w moście. Że to strata pieniędzy.

Zamiast tego Orville wsadził do ust sporą szczyptę tabaki Copenhagen.

– No dobrze. Wsiadaj do auta – powiedział.

Minutę później Desmond siedział w jeepie i czekał.

Orville przeszedł obok i skierował się do szopy za domem. Desmond słyszał, jak otwiera bagażnik zepsutej furgonetki studebakera, którą od lat zamierzał naprawić. Powyciągał jakieś narzędzia, a potem zatrzasnął klapę, wsiadł do jeepa i pojechali do miasta.

Sklep sieci CompUSA był większy, niż Desmond sądził, wybór też był znacznie większy, niż się spodziewał. Rozważał zamówienie komputera przez telefon od jakiegoś sprzedającego z magazynu „Computer Shopper”, ale wydawało mu się to zbyt ryzykowne; gdyby sprzęt się zepsuł, wolał mieć dokąd go zanieść i wykonać naprawę gwarancyjną.

Spodziewał się, że Orville zostanie w samochodzie albo, co bardziej prawdopodobne, uda się do najbliższego baru i będzie pił, dopóki nie przyjdzie Desmond. On jednak wszedł z Desmondem do środka. Wyglądali na wieśniaków z kompletnego zadupia, gdy chodzili pomiędzy nieskazitelnie czystymi regałami w swoich kombinezonach i brudnych kufajkach, a z ogorzałymi twarzami i dużymi dłońmi na pewno nie sprawiali wrażenia fanów komputerów. Większość sprzedawców, którymi byli młodzi faceci w okularach, unikała z nimi kontaktu wzrokowego.

Przy ladzie Desmond wyjaśnił, o jaki komputer mu chodzi, i ile



pieniędzy chce na niego przeznaczyć.

– Brakuje panu.

– Ile?

– Z podatkiem dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Desmond zwrócił uwagę sprzedawcy, że w wielu miejscach reklamowanych w „Computer Shopper” dostanie sprzęt o tych samych parametrach w dużo niższej cenie. To podziało na sprzedawcę jak płachta na byka. Zaczął perorować o niskiej jakości komputerów, które tam mają, porównywał mało ważne szczegóły, upierał się, że ważny jest dostęp do serwisu w pobliżu.

– To co pan sugeruje? – spytał Desmond, gdy mężczyzna wreszcie skończył.

– Rezygnację z dodatkowego osprzętu. Na przykład modemu. Można też wybrać tańszą kartę graficzną. Mniejszy monitor.

Zanim Desmond się odezwał, do przodu wysunął się Orville, wyjął z kieszeni trzysta dolarów i położył je na ladę.

– Zapomnij o tym. Sprzęt ma być taki, jak opisał.

Mężczyzna uniósł brwi.

– Słucham?

– Słyszałeś, co powiedziałem. Pospiesz się. Nie mamy czasu.

Orville chciał wstawić dwa pudła na pakę pikapa, ale Desmond nie chciał o tym słyszeć. Przewożenie ich w zimnie i na wietrze było zbyt ryzykowne. Wobec tego postawili komputer pomiędzy sobą w kabinie, tworząc barierę, przez którą ze sobą rozmawiali.

– Dzięki.

Jego wuj prychnął.

– Potrzebuję modemu, żeby łączyć się z Internetem.

– Wiem, po co go potrzebujesz.

– Będę mógł...

– Nie musisz wyjaśniać. Kupno komputera to najmądrzejsza rzecz, jaką zrobiłeś od dłuższego czasu.

Desmond nie miał pojęcia, jak na to zareagować.

– Myślałem, że zechcesz kupić samochód – powiedział Orville.

Desmond też to rozważał.

– Bardziej potrzebowałem komputera.

Sprzęt z dostępem do Internetu był dla siedemnastoletniego Desmonda tym, czym była dla niego biblioteka, gdy miał sześć lat: wrotami do świata pozornie nieskończonej wiedzy. Sieć karmiła jego umysł i inspirowała ciekawość. Zawsze prowadziła do stawiania nowych pytań, wyszukiwania miejsc do zbadania.

Za każdym razem gdy słyszał popiskiwanie modemu 28.8 Texas Instruments, ożywiał się jak nigdy wcześniej.

Wchodził na czaty na kanałach IRC, gdzie spotykał ludzi myślących podobnie. Wielu mieszkało w San Francisco, Seattle i Nowym Jorku, ale równie dużo pochodziło z małych amerykańskich miasteczek, podobnie jak on. Większość była młoda, przesiadywała w piwnicach lub swoich pokojach i całe noce surfowała w Sieci.

Pobrał kilka języków programowania: C++, Phytona, Javę i Perl. Stworzył stronę na GeoCities i zaczął się uczyć HTML-u oraz Javascript. Uwielbiał logikę programowania komputerowego – była przeciwieństwem chaosu i nieprzewidywalności cechujących ludzi na polach naftowych. Każdy dzień przynosił nową zagadkę do rozwiązania.

Tego lata złamał trzy zebra na platformie wiertniczej. Został sam w domu, żeby odzyskać siły po wypadku, kiedy na podjeździe zatrzymały się dwa auta: lśniący mercedes benz, a za nim poobijany pikap, z którego przez okna wystawały dwa karabiny myśliwskie.

Z mercedesa wysiadło dwóch mężczyzn w garniturach. Byli gładko ogoleni, krótkie włosy mieli zaczesane na bok i pocili się jak świnię. Desmond nie znał żadnego. Znał jednak chudego faceta, który wyszedł z pikapa i zmierzał w stronę domu, jakby był właścicielem tego miejsca. Nazywał się Dale Epply. Najmował się do pracy na polach naftowych i był prawdopodobnie jedynym znanym Desmondowi człowiekiem wredniejszym od Orville'a.

Ci w garniturach przedstawili się, powiedzieli, że są z West Texas Energy Corporation i zapytali, czy mogą wejść do środka. Desmondowi wypadły z głowy ich nazwiska w chwili, gdy je wypowiedzieli. Wiedział

już, o co chodzi.

W środku usiedli, przyjęli zaproponowaną im wodę i mrożoną herbatę i w wyćwiczony sposób oznajmili Desmondowi, że jego wuj zginął w wypadku na platformie wiertniczej w zatoce. Czekali na jego reakcję.

– Dziękuję, że pofatygowali się panowie, żeby mi o tym powiedzieć. – Usłyszeli od Desmonda.

Miał suche oczy. Nie mógł się doczekać, kiedy wyjdą.

Jeden z elegancików podał mu kopertę nad poszczerbioną ławą. Desmond domyślił się, że jest prawnikiem. To, co powiedział, potwierdziło jego przypuszczenia.

– Pański wuj, jak wszyscy pracownicy WTE, podpisał kontrakt...

Desmond nie mógł się skupić na słowach. Słyszał tylko fragmenty i niektóre wyrażenia. Częścią kontraktu był wiążący arbitraż. Być może jacyś prawnicy będą kontaktować się z Desmondem, chcąc zaskarżyć firmę o spowodowanie śmierci jego wuja, ale tylko zmarnują czas. W firmie obowiązywała standardowa zapomoga na wypadek śmierci pracownika, która była hojna, jak powiedzieli, i znajdowała się w tej kopercie.

Desmond otworzył ją. Czek opiewał na dziesięć tysięcy dolarów.

Obaj mężczyźni patrzyli na niego nerwowo. Dale wyglądał na znudzonego. Desmond domyślał się, dlaczego się tu znalazł.

– Zapłaćcie dwadzieścia pięć tysięcy i nigdy nie ujrzycie mnie na oczy.

Prawnik wymienił spojrzenie z drugim mężczyzną.

– Jestem upoważniony do zapłacenia maksymalnie dwudziestu tysięcy – rzekł ten drugi.

– Umowa stoi – skwitował Desmond beznamiętnym tonem.

Dale uśmiechnął się szyderczo.

Przedstawiciel firmy naftowej wyjął książeczkę czekową z wewnętrznej kieszeni garnituru, otworzył okładkę ze skóry aligatora i wypisał drugi czek na dziesięć tysięcy dolarów.

Prawnik zaszeleścił papierami w swojej aktówce i podał Desmondowi dwie kopie czterostronicowej ugody.

– Ten dokument potwierdza zrzeczenie się dalszych roszczeń...

Desmond podpisał je, zanim mężczyzna skończył zdanie.

Prawnik pozbiierał dokumenty ze stolika i wyjął kopertę.

– Odesłaliśmy ciało pana wuja do domu pogrzebowego Siedem Mostów w Noble. Ze względu na obrażenia został już poddany kremacji. Oczywiście pokryjemy wszelkie koszty.

Prawnik czekał. Kiedy Desmond nic nie powiedział, otworzył kopertę.

– Pana wuj, jak wszyscy pracownicy, musiał złożyć testament. W tej chwili go odczytam.

Zerknął na kartkę. W ostrym świetle wpadającym przez okno Desmond zauważył, że znajdowała się tam tylko jedna linijka tekstu.

Spocony mężczyzna w garniturze odchrząknął.

– Ostatnia wola i testament Orville’a Hughesa jest następująca: Zostawiam wszystko mojemu bratankowi Desmondowi Barlowowi Hughesowi. 39-21-8.

Z kanapy dobiegł śmiech Dale’a.

– Cóż, przynajmniej wiemy, że Orville był trzeźwy, gdy to pisał.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego.

Dale wzruszył ramionami.

– Kiedy nie pił, był bardzo oszczędny w słowach.

Nikt tego nie skomentował.

Przedstawiciel firmy naftowej wyraził swoje kondolencje, tym razem bez wymuszonej wylewności. Spieszyli się do wyjścia. W kilka sekund znaleźli się za drzwiami.

Dale wyjaśnił im, że chce zostać, „na wypadek gdyby Desmond czegoś potrzebował”, jakby byli kimś więcej niż zwykłymi znajomymi z pracy. Kiedy ludzie z firmy naftowej odjechali, Dale i Desmond usiedli naprzeciw siebie w obskurnym pokoju, Dale zaczął coś mówić bez większego sensu, nie przejmując się milczeniem Desmond. Chyba do czegoś zmierzał. Albo zbierał się na odwagę.

– Chodzi o to, Des, że twój wuj wisiał mi pieniądze.

– Naprawdę?

Desmond nigdy nie widział, żeby jego wuj pożyczał od kogoś choćby dolara – albo wstawał od kart, nie uregulowawszy należności.

– Jasne.

Desmond widział zarys małego rewolweru w kieszeni spodni Dale'a. Wyglądał mu na trzydziestkęosemkę.

– Wiesz co – powiedział Desmond. – Pojedziemy do banku, spieniężę te czeki i wtedy się rozliczymy.

Dale zastanawiał się przez chwilę.

– Dobry pomysł. A może byś po prostu podpisał te czeki na rewersie.

Jego oczy przewiercały Desmonda na wylot.

Powoli nastolatek odwrócił czeki i podpisał je.

– Stary Orville nie przepadał za bankami, co nie? Nie ufał im.

Wzrok Desmonda zatrzymał się na sztucerze, który Orville trzymał przy drzwiach. Orville postawił go tam na wypadek, gdyby koło domu pojawił się jakiś jelen. Dale zobaczył, że chłopak na niego zerka, próbował się zachowywać tak, jakby niczego nie zauważył, i starał się mówić neutralnym tonem.

– Psiakrew, co za testament zostawił! Te numery na końcu brzmiały, jakby to był szyfr otwierający sejf. Co sądzisz, Des?

Desmond kombinował, co zrobić. Musiał wydostać się z tego pokoju. Nic nie powiedział.

– Tak, na pewno. Sprawdźmy, czy ta kombinacja zadziała. Zabiorę to, co jest mi winien, i uciekam.

Szybko wstał.

– Gdzie jest sejf, Des?

Desmond unikał kontaktu wzrokowego.

– Pod jego łóżkiem.

Dale się uśmiechnął.

– Wątpię. Orville był za sprytny na coś takiego. Ktoś, kto chce cię obrabować, będzie przeszukiwał dom. Każdy patałach mógłby położyć na nim łapy. Albo mógłby strawić go pożar, stopić zamki.

Wsadził rękę do kieszeni, w której miał rewolwer.

– Gdzie on jest? Nie będę pytał po raz drugi.

– W szopie za domem.

Dale podszedł, wziął testament ze stolika.

– Pokaż mi.

Otworzył drzwi i stanął plecami do sztucera, blokując Desmondowi dostęp do broni. Zachodzące słońce oświetlało zaniedbane obejście. Desmond maszerował obok Dale'a, wyszli na ganek, zeszli ze schodów. Trawa była skoszona. Brązowe plamy na trawniku upodobiały go do płaszcza łatanego mnóstwo razy.

Szopa znajdowała się trzydzieści metrów dalej. Wyglądała tak spokojnie w jesiennym wietrze, dębowe ściany i pordzewiały dach cicho czekały na zdarzenie, które miało na zawsze zmienić życie Desmonda. Budynek był dość duży, by w latach sześćdziesiątych pomieścić traktor. Teraz stała tam zepsuta furgonetka oraz kosiarka John Deere, której Desmond używał do koszenia trawy.

– Jak zginął, Dale? – Desmond szedł szybko, próbując zachować dystans.

Dale przyspieszył kroku.

– Wybuch.

To było kłamstwo. Desmond rozpoznał je po sposobie, w jaki Dale to powiedział, wiedział, że nigdy nie dowie się od niego prawdy.

Przy drzwiach Desmond przystanął, zachowując się tak, jakby spodziewał się, że otworzy je Dale.

Za sobą zobaczył, że Dale trzyma prawą rękę za plecami, a jego kieszeń jest pusta.

– Otwieraj – polecił.

Desmond przesunął zasuwkę i pchnął drzwi, które zatrzymały się na trawie. Szybko wskoczył do środka.

Zaskoczony Dale rzucił się za nim przez szparę między drzwiami a ścianą.

Oczy Desmonda nie miały czasu, żeby przystosować się do ciemności, ale to nie miało znaczenia; wiedział, czego potrzebuje i gdzie to leży.

W ciemności sięgnął ręką w odpowiednie miejsce i chwycił zapasowe ostrze kosiarki wiszące ponad stołem warsztatowym, uważając, żeby nie odciąć sobie palców. Zamachnął się nim na oślep.

Dosięgnęło celu ze śmiertelną precyzją, wbijając się w szyję Dale'a.

Krew pomalowała ściany jak ropa tryskająca z niezaczopowanego odwiertu. Prawa ręka Dale'a opadła bezwładnie. Rewolwer wysunął się z dłoni na ziemię.

Dale chwycił Desmonda za gardło lewą ręką. Desmond poluzował uchwyt na ostrzu i wypchnął mężczyznę z szopy. Krew tryskała z szyi Dale'a na trawę, jakby ktoś spryskiwał pobocze drogi herbicydem.

Uchwyt Dale'a zelżał. Desmond pchnął go na ziemię i nadepnął mu na lewą rękę. W ciągu kilku sekund mężczyzna pobladł, krew zamiast tryskać, zaczęła ciec strużką, a potem już tylko powoli się sączyć. Zacharczał coś niezrozumiale, a potem jego oczy znieruchomiały i stały się szkliste.

Desmond stał, patrzył na zwłoki Dale'a Epply'ego, jakby był to pechowy rewolwerowiec, który okazał się nie dość szybki.

*Co ja zrobiłem?*

Wiatr szarpał jasnymi włosami Desmonda. Z palców jego prawej ręki kapłała krew, bo za mocno ścisnął ostrze kosiarki. Zabił człowieka. W samoobronie, ale mimo wszystko odebrał mu życie. To stało się tak szybko.

Desmond spodziewał się wyrzutów sumienia, ale w zasadzie niczego takiego nie czuł. *Zrobiłem, co trzeba było.* Wiedział, że jego życie teraz jeszcze bardziej się skomplikuje. Powinien zadzwonić do szeryfa i opowiedzieć mu, co tu zaszło. Prawdopodobnie by mu uwierzyli: Dale zapewne miał kartotekę dłuższą niż Missouri. Jednak Desmond również nie miał czystej kartoteki: był aresztowany w trzech stanach, głównie za udział w pijackich burdach, w które wciągnął go Orville. Poza tym Dale miał przyjaciół w biurze szeryfa lub też takich, którzy mogli chcieć, żeby śledztwo przebiegało w odpowiedni sposób. Desmond nie miał nikogo.

Gdyby zadzwonił do szeryfa, jego los byłby niepewny, prawdopodobnie utknąłby tutaj na długo.

W domu umył ręce i wziął kluczyki do samochodu wuja. Wycofał go, wrócił do szopy i zabrał to, czego potrzebował: plandekę (z której korzystali, kiedy przeciekał dach, a oni byli zbyt pijani, żeby go reperować), szpadel, kanister benzyny, której dolewali do kosiarki,

butelkę wybielacza Clorox i kilka niemalowanych desek, którymi łąтали ściany domu.

Położył plandekę obok Dale'a i wyjął z jego kieszeni kartkę z ostatnią wolą Orville'a. Desmond widział już ludzi umierających na polu naftowym, orientował się, ile czasu potrzeba, by ciało zeszywniało. Ten nieboszczyk jeszcze przez jakiś czas będzie wiotki jak nitka spaghetti. Z tej przyczyny położył koło mężczyzny kilka dębowych desek, a następnie przetoczył go razem z nimi na plandekę. Mając usztywnienie z desek, podniósł rulon, oparł jeden koniec o otwarty bagażnik, po czym wepchnął go do środka.

Zgarnął zakrwawioną ziemię i trawę do wiadra z pokrywką. Ręczną piłą wyciął zakrwawione kawałki desek w szopie i wsadził je do worka, który następnie również wrzucił na tył pikapa. Zdjął swoje zakrwawione ubrania i wetknął je pod plandekę.

W samej bieliźnie wrócił do domu, umył się i włożył świeże ubranie, pozbierał swoje rzeczy, które ledwie wypełniły część pasażera w kabinie pikapa. Komputer stał na podłodze; piętnastocalowy monitor leżał ekranem w dół na siedzeniu, a torba z trzema zmianami odzieży chroniła komputer przed upadkiem. Za siedzenie wsadził sztucer.

Następnie udał się do pokoju Orville'a; wiedział, że wuj trzyma przy łóżku starego smitha & wessona magnum .357. Ale kiedy otworzył szufladę szafki nocnej, zamarł w pół ruchu zaskoczony tym, co tam zobaczył. Pistolet też tam był, ale znalazł coś jeszcze: trochę pogniecione zdjęcie. Zobaczył na nim siebie – mniej więcej ośmioletniego – na tle szybu naftowego. Trochę z tyłu stał Orville. Byli pokryci pyłem i ropą. Żaden z nich się nie uśmiechał.

Desmond bez namysłu sięgnął po zdjęcie i wsadził je do kieszeni. Potem szybko je wyjął, jakby go parzyło. Nie chciał go pognieść.

Wrócił do jeepa i włożył zdjęcie do schowka, a pistolet wetknął pod siedzenie, żeby go mieć pod ręką. W szopie otworzył klapę studebakera i zaczął wyjmować narzędzia. Kilka minut później przesunął tłumik i znalazł sejf. Zabrał się do pracy jeszcze energiczniej i wkrótce widział już cały przód. Czy Orville zespawał sejf z furgonetką? Raczej tak, żeby



złodziej nie mógł go tak łatwo zabrać. Sprytnie.

Desmond ustawił pokrętko sejfu na liczby, które znalazł w testamencie, i przekręcił rączkę. Oniemiał, kiedy otworzył drzwiczki. W życiu nie widział tylu pieniędzy. Pliki zielonych banknotów ułożone w zwitkach po dziesięć tysięcy dolarów wydawały się halucynacją. Desmond wyciągnął rękę i wziął jeden z nich, żeby upewnić się, że jest prawdziwy. W sejfie był również dokument poświadczający prawo własności do domu, jeepa oraz zestaw nieśmiertelników z armii amerykańskiej z nazwiskiem Orville'a. Pod nimi leżała zaklejona koperta podpisana wielkimi, koślawymi literami układającymi się w jedno słowo: Desmond.

Wsadził identyfikatory do kieszeni i rozerwał kopertę. Był w niej list napisany przez Orville'a z datą z zeszłego roku. Nie mogąc się powstrzymać, przeczytał pierwszą linijkę. Chciał czytać dalej, stać i czytać, ale miał świadomość, że powinien poczekać, aż będzie miał czas na przetrawienie zawartych w nim informacji. W tej chwili myślał tylko o tym, jak pozbyć się ciała Dale'a i wydostać z miasta.

Akty notarialne oraz list wsadził do schowka w samochodzie i wrócił z workiem po pieniądze. Z zaskoczeniem doliczył się trzydziestu dwóch plików po dziesięć tysięcy dolarów w każdym.

Wsiadł do jeepa i odjechał spod domu, gdzie przybył trzynaście lat wcześniej po tragicznym w skutkach pożarze buszu, w którym zginęła jego rodzina. Nie odjeżdżał wyleczony, lecz na pewno zmieniony.

Pojechał Slaughterville Road na zachód, po dziesięciu minutach skręcił i zatrzymał się przy bramie opuszczonego rancza. Zdjął zapętlony drut, którym zamknięto bramę, wjechał samochodem, po czym zamknął ją za sobą. Ruszył i zatrzymał się dopiero z dala od drogi i ludzi.

Następnie wykopał dół. Zanim skończył, ociekał potem.

Wrzucił do niego ciało trupa razem z ubraniami i zakrwawionymi deskami. Polał je benzyną z kanistra, poczekał, aż słońce skryje się za horyzontem, i rzucił zapaloną zapałkę.

Swąd palonego ciała przyprowadził go o mdłości, przypomniał mu szkołę podstawową, w której przebywał wraz z innymi poparzonymi w pożarze buszu. Pomyślał o Charlotte, gdy oddalał się od płomieni, potem

pomyślał o Agnes, a na końcu o Orville'u. Mężczyzna był podły. Trudno się z nim żyło. Ale był jedynym krewnym Desmonda. Teraz nie miał już nikogo.

Przy ogniu płonącym kilka kroków dalej Desmond wyjął kopertę i przeczytał list Orville'a.

*Desmondzie,*

*weź pieniądze. Nie roztrwoń ich. Szanuj je, zainwestuj i zadbaj o nie, a one zadbają o ciebie. Oszczędzałem przez całe życie. Kiedy zamieszkałeś ze mną, zacząłem podchodzić do oszczędzania poważniej i przestałem wydawać każdego zarobionego centa. Reszta pochodzi ze sprzedaży rancza należącego do twoich rodziców w Australii, kwotę zachowałem w całości.*

*Mam nadzieję, że wyjedziesz gdzieś daleko od tego miejsca. Nie ma tu niczego dla człowieka z takim umysłem jak twój.*

*Ludzie często mówią, że co cię nie zabije, to cię wzmocni. Bzdury. Po niektórych wydarzeniach człowiek nie jest w stanie się otrząsnąć. Nie czynią silniejszym, tylko słabszym, bez względu na to, jak bardzo próbujesz to ukryć i udawać, że jesteś silny. To przydarzyło się mnie, kiedy miałem dwadzieścia pięć lat. Nie będę pisał, co się wtedy stało. Nie staraj się tego dowiedzieć. To przeszłość. Kiedy ze mną zamieszkałeś, byłem na dobrej drodze, żeby zapisać się na śmierć. Prawdopodobnie wylądowałbym w grobie za kilka lat, gdyby najpierw nie upomniało się o mnie pole naftowe. Powiedziałem tej kobiecie przez telefon, że nie dam rady się tobą zająć. Wyjaśniłem, że tutaj jest bardziej niebezpiecznie niż w każdym innym miejscu, do którego mogłeś trafić. Ale nie chciała słuchać. I tak cię tu przysłała. Cieszę się, że tak się stało. Ze względu na mnie samego. Uratowała mnie opieka nad tobą. Zmieniła mnie. Po tym, co ci się przytrafiło, myślałem, że zrobisz to, co ja zrobiłem, uschniesz z tęsknoty i umrzesz w środku. Ale tak się nie stało. Toczysz wewnętrzną walkę, która jest silniejsza niż każdy, kto stanął na mojej drodze. Na polach naftowych, w dżunglach Wietnamu i Kambodży, na ulicach Londynu, kiedy spadały bomby.*

*Ten świat mnie złamał. Znajdowałem spokój na dnię butelki. Picie dawało mi oparcie. Nie pozwól, żeby stało się tym dla ciebie. Nie wybieraj drogi, którą ja poszedłem. Picie i narkotyki sprawiają, że zapominasz na chwilę, wpędzają cię w jeszcze głębszą rozpacz. Nie polegaj na nich, Desmondzie. Bądź czysty. Przestań pić. Rzuć pracę na polu naftowym. Nie wiem, gdzie*

*jest twoje miejsce na świecie, ale na pewno nie tam. Żyj tak, żeby być z siebie dumnym. Gdy będą mijać lata, ta дума da ci siłę. Żal cię zatopi.*

*Orville*

Desmond złożył list i patrzył na dopalający się ogień, dopóki płomienie nie schowały się w dole. Siedząc na polu w Oklahomie, złożył sobie obietnicę: rzuca picie raz na zawsze. I zrobi to, co zaproponował Orville: wyjedzie stąd i nigdy nie wróci. Wiedział, dokąd musi jechać.

Wyjął szpadel z bagażnika, stłumił ostatnie płomienie, zgarnął resztki po ogniu i wsadził je do dwóch pięciogalonowych wiader. Wypełnił ziemią dziurę, podjechał jeepem niecały kilometr do brzegu rzeki Canadian i włożył wysokie buty wędkarskie. W rzece obmył plandekę z krwi, następnie pociął ją na małe kawałki i rozrzucił razem z prochami z wiader. Przez pół godziny rozrzucał resztki w rzece i przyglądał się, jak spływają z prądem. Następnie umył tył jeepa wybielaczem i wyczyścił ręce.

W sklepie spożywczym w Noble zaopatrzył się w zapasy.

Rozbił obozowisko na innym polu, ale nie rozpałał ogniska.

Z samego rana udał się do prawnika. Przyniósł testament wuja oraz dokumenty potwierdzające własność domu. Mężczyzna był profesjonalistą, miał rozsądne stawki i zgodził się poświadczyć to, co zaproponował Desmond, chociaż przyznał, że to bardzo niezwykła prośba.

Dwie godziny później Desmond podpisał kilka dokumentów, które zostały poświadczone przez notariusza. Cała trójka udała się do sądu, gdzie odbyło się krótkie spotkanie, które przebiegło zgodnie z oczekiwaniami.

Jeszcze tego samego dnia Desmond wyjechał z miasta, kierując się w stronę miejsca, w którym nigdy wcześniej nie był, ale które miało odmienić jego życie – do Doliny Krzemowej.

## ROZDZIAŁ 53

Peyton otworzyła oczy. Powoli pokój stawał się coraz wyraźniejszy: metalowe ściany, wąskie łóżko oraz szklane przepierzenie. Bolała ją głowa, zupełnie jakby miała kaca. Usiadła i zalała ją fala mdłości. Kiedy minęła, nadal czuła lekkie kołysanie, jakby wibracje. Domyśliła się, że jest na statku.

Mężczyzna z brzydko pobliźnioną twarzą i długimi jasnymi włosami siedział na metalowym krześle za szklaną taflą i czytał coś na tablecie.

– Dzień dobry – rzucił z wymuszoną wesołością.

– Kim pan jest?

– Conner McClain.

Peyton przez chwilę mu się przyglądała.

– Czego chcecie?

– Informacji.

Peyton też chciała informacji. Wyczuwała, że ten mężczyzna mógłby ich udzielić.

– To wy zapoczątkowaliście epidemię w Kenii, prawda?

– Po prostu przyspieszyliśmy to, co nieuniknione.

– Pandemie nie są nieuniknione.

– Wiesz, że to nieprawda, Peyton. Sama to mówiłaś.

– Powiedziałam, że pandemie przez całą historię ludzkości były nieuniknione. Nic ponadto. Mogą być czymś, co już się nie powtórzy. Poświęciłam całe życie tej pracy. A wy wszystko niszczyacie.

Conner patrzył na nią z nieskrywanym rozbawieniem.

– W tym pomieszczeniu znajduje się jeden człowiek, który zamierza ocalić ludzkość stojącą w obliczu pandemii. I to nie jesteś ty. Praca twojego życia jest kroplą w morzu w porównaniu z naszym planem. My stosujemy prawdziwe rozwiązanie – jedną ostateczną pandemię, która zakończy wszystkie inne epidemie.

Jedna pandemia.

– Są ze sobą powiązane, prawda? Pandemia grypy i gorączka krwotoczna w Kenii.

– Jesteś dość inteligentna, żeby sama sobie odpowiedzieć na to pytanie.

– Dlaczego?

– Ze strachu.

Kawałki zaczęły do siebie pasować. Wypuścili jakiś szczep wirusa grypy w odizolowanych częściach Kenii tydzień przed tym, jak uwolnili ją na całym świecie. W kolejnych stadiach choroba przypomina ebolę – epidemia jest wystarczająco groźna, żeby przyciągnąć uwagę każdego rządu. Chcieli zademonstrować, co stanie się na świecie w ciągu tygodnia, jeśli nie poda się lekarstwa przeciwwirusowego.

– Macie lek, prawda?

Uśmiechnął się protekcyjnie.

– Nie jesteśmy potworami, Peyton. Mamy sposób na powstrzymanie wirusa, jak tylko rząd pozna swoje miejsce w nowym porządku. – Odwrócił się tyłem. – Miło się gawędzi, ale mam kilka pytań, na które musisz mi odpowiedzieć.

– Pieprz się.

– Twoja przyjaciółka, doktor Watson, straciła dużo krwi. Moi ludzie mówią, że potrzebuje natychmiast operacji.

Peyton patrzyła na niego i aż kipiała ze złości. Ten człowiek był odpowiedzialny za śmierć Jonasa i Lucasa Turnera, a także wielu innych. Nie można mu ufać.

– Jak odpowiesz, to jej pomożemy – rzucił Conner.

– Nie wierzę ci.

Odwrócił tablet w jej stronę, pokazując nagranie przedstawiające Hannah na stole operacyjnym, z jej ust wystawała rurka, rana na

ramieniu została przygotowana do operacji.

Troje ludzi w maskach i fartuchach chirurgicznych stało przy stole. Ręce w rękawiczkach trzymali w górze.

– Skąd będę miała pewność, że to zrobicie?

– Proszę być dobrej myśli, doktor Shaw. – Conner dotknął swojego obojczyka. – Zaczynajcie.

Na ekranie personel medyczny ruszył do działania i zajął się raną. Pojawili się też inni, wcześniej stojący poza zasięgiem kamery, zbliżyli się z instrumentami leżącymi na tacach.

– Przystaniesz odpowiadać albo zaczniesz kłamać, przerwiemy operację – ostrzegł.

Peyton skinęła głową, nadal patrząc na ekran, gdzie widziała monitor z odczytem pomiaru ciśnienia krwi.

– Czy miałaś jakieś kontakty z Desmondem Hughesem?

Peyton podniosła wzrok. *Desmond Hughes* – jakby ktoś raził ją prądem.

– Tak – potwierdziła cicho.

– Kiedy?

– Przed wyjazdem.

– Jak?

– Zadzwoił do mnie.

Conner wyglądał na zaskoczonego.

– Kłamiesz.

– Nie...

– Nagrywaliśmy rozmowy z twojej komórki, Peyton.

– Zadzwoił pod domowy numer.

Conner mówił powoli, nadal nie wyzbył się podejrzeń.

– Co powiedział?

– Nic...

– Mów – nalegał Conner.

– Był dezorientowany. Nie wiedział, kim jestem. Powiedział, że jestem w niebezpieczeństwie. Potem się rozłączył.

– W jakim niebezpieczeństwie?

– Nie wyjaśnił.

Conner przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami.

– Kiedy ostatnio rozmawiałaś z matką?

– Słucham?

– Odpowiedz.

– Kiedy wylądowałam w Nairobi.

– Co mówiła?

Peyton streściła rozmowę.

– Kiedy ostatnim razem rozmawiałaś ze swoim ojcem?

– Z ojcem? W latach osiemdziesiątych. Miałam sześć lat...

– Nie rozmawiałaś z nim od tej pory? Żadnych maili? Żadnych spotkań?

– Martwi ludzie nie piszą maili.

Kąciki ust Connera wygięły się w uśmiech. Odwrócił głowę.

– Kiedy ostatnio rozmawiałaś ze swoim bratem?

Peyton była wstrząśnięta pytaniem.

– Moim bratem? Umarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku.

Peyton czekała, ale Conner tylko się na nią gapił.

– Był pracownikiem WHO podczas kampanii zwiększającej świadomość na temat AIDS w Ugandzie. Zginął w pożarze w pobliżu Mount Elgon.

– Wiem jak, kiedy i gdzie umarł twój brat. A teraz odpowiedz na pytanie.

Peyton patrzyła na poparzoną twarz potwora, na blizny, które pokrywały jego policzki, brodę i znikały pod kołnierzem koszuli.

– Znałeś go? Byłeś tam w dziewięćdziesiątym pierwszym?

Conner ponownie dotknął obojczyka.

– Przerwa.

Peyton zobaczyła na ekranie, że lekarze podnoszą ręce. Ale nie cofają się. Zerkają na siebie, jakby czekali na decyzję, po czym wznowili operację. Po chwili pojawiła się inna osoba w masce chirurgicznej z uniesioną bronią, którą wycelowała w najbliższego lekarza.

Wszyscy troje zamarli.

Peyton przełknęła ślinę.

– Nie widziałam brata ani nie rozmawiałam z nim od świąt Bożego Narodzenia w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku.

– To nie było takie trudne, prawda? Ostatnie pytanie. Twój login i hasło do sieci wewnętrznej CDC.

– Nie.

Conner wskazał na tablet, gdzie lekarze nadal stali przy stole i czekali. Z otwartej rany na ramieniu Hannah płynęła krew.

– Jak sądzisz, ile jej zostało? Może jeszcze kilka minut?

Peyton zastanowiła się nad jego żądaniem. Miała najwyższe uprawnienia dostępu: do raportów w centrum kryzysowym, stanu zapasów w magazynach strategicznych, protokołów z laboratoriów badających nowe patogeny. Bioterrorysty znający jej login mieliby pełen dostęp do amerykańskiej strategii walki z ich atakiem. To oznaczało, że zyskaliby bieżący wgląd w dane, które mogą wykorzystać, żeby zabić więcej ludzi.

– Mój login to pshaw@cdc.gov. Hasło: ashaw91#io.

Conner odwrócił tablet i szybko wpisał dane.

– Łatwo odkryjemy, jeśli skłamiesz w sprawie hasła. Wiesz o tym. Mówię poważnie, Peyton, musisz mi dać to hasło. W tej chwili.

Przełknęła i włożyła w swoją wypowiedź całą siłę, na jaką mogła się zdobyć.

– Jestem członkiem Korpusu Służby Medycznej Stanów Zjednoczonych. Przysięgamy, że będziemy chronić społeczeństwo. Hannah również złożyła tę przysięgę. Gdybym zdradziła ci hasło, złamałabym przysięgę. A ja ją traktuję bardzo poważnie.

– Dobry Boże. Dlaczego każdy musi wszystko tak utrudniać? – Conner coś ponaciskał na ekranie tabletu.

Kilka sekund później Peyton usłyszała syk gazu wsączającego się do jej celi. Prawie od razu straciła przytomność.

Conner dotknął obojczyka.

– Kontynuujcie. Możemy potrzebować Watson, żeby wywierać większy



nacisk. I przygotujcie dla Shaw pokój przesłuchań. Szybko.

## ROZDZIAŁ 54

W pokoju obserwacyjnym na *Kentaro Maru* Conner przyglądał się, jak technicy podają narkotyk Peyton Shaw. Zaczął zadawać pytania chwilę potem i w ciągu kilku minut uzyskał hasło dostępu do CDC. Podał je zespołowi w sali operacyjnej.

– Jesteśmy w Sieci – oznajmił operator przez radio.

– Co macie? – spytał Conner. – Wiedzą już?

– Nie. Testy porównawcze wirusów zostały opóźnione. Ich modele infekcji są jeszcze daleko w tyle.

– Dobrze. Zapiszcie wszystko i wychodźcie.

W swojej prywatnej kabinie oglądał przekaz z kamer. Desmond właśnie wykonywał pompki. Trzej programiści obozowali za szybą, gdzie wściekle walili w klawiatury. Podłoga wokół nich zaczęła przypominać chlew, jaki Conner zastał w ich pokoju: zgniecione puszki po Red Bullu i aluminiowe tacki po daniach z mikrofalą leżały na podłodze.

Inne nagranie pokazywało rudowłosą lekarzkę z CDC. Była przypięta do łóżka w skrzydle szpitalnym. Spała po operacji.

Conner przełączył się na kamerę pokazującą Peyton Shaw. Właśnie się budziła. Poczłapała do małej łazienki w celi i stała nad umywalką, obmywając wodą twarz. Raz pojawił się u niej odruch wymiotny, więc schyliła się nad toaletą i czekała, ale nie zwymiotowała. Oparła głowę o ścianę i przez dłuższą chwilę patrzyła przed siebie.

Powoli wstała i zdjęła ubrania. Woda spływała najpierw po jej ciemnych włosach, potem po krągłościach ciała. Conner przyglądał się

przez chwilę. Nie była piękną, nie przypominała tych dziewczyn, za którymi uganiają się mężczyźni, ale uznał, że ma w sobie coś niebywale atrakcyjnego – bezpretensjonalną pewność siebie. Przyciągała ludzi jak magnes, sprawiała, że czuli się swobodnie i chcieli przebywać w jej towarzystwie.

On był jej przeciwieństwem. Już od dziecka działał na ludzi odpychająco. Odrzucało ich od niego. Każdy, kto go zobaczył, od razu reagował tak samo. Znikały uśmiechy. Oczy rozszerzały się na widok blizn na jego twarzy. Wkrótce stworzy świat, gdzie takie rzeczy będą pozbawione znaczenia, gdzie żadne dziecko nie będzie musiało dorastać jako potwór, samotne i odrzucone przez wszystkich.



Po prysznicu Peyton położyła się na wąskim łóżku, włosy zmoczyły materac. Bała się. O swoje bezpieczeństwo, o Hannah i o ludzi w Kenii i poza nią. Jeśli wirus rozprzestrzeni się na cały świat, może pochłonąć miliony istnień. Nawet więcej. Odnosiła wrażenie, że cały świat został wywrócony do góry nogami. Czuła się tak tylko raz w życiu, kiedy miała sześć lat. Jej rodzina wówczas mieszkała w Londynie, w apartamencie w Belgravii. Spała w swoim pokoju, kiedy otworzyły się drzwi. Mama wpadła do środka, potrząsnęła nią i zaczęła ponaglać.

– Obudź się, kochanie. Wyjeżdżamy.

Kazała jej się ubrać i wyjść z domu w tym, co miała na sobie. Zagarnęła Peyton, jej siostrę Madison i brata Andrew do czarnej taksówki i pojechali na Heathrow. Cała czwórka tej nocy na zawsze opuściła Londyn.

Pierwszy samolot zabrał ich do Amsterdamu, drugi do Paryża. Jakiś prywatny samochód zawiózł ich nocą do Le Mans. O świcie wsiedli do małego samolotu i polecili do Ameryki.

Przez kilka miesięcy mieszkali w hotelach, nigdy nie zatrzymywali się na dłużej niż kilka nocy w jednym miejscu. Mama Peyton mówiła dzieciom, że są to długie wakacje i „objazd Ameryki”. Jednak Peyton

wyczuwała, że coś jest nie w porządku. Jej siostra i brat też tak uważali.

Czasami pytała mamy, gdzie jest tata i dlaczego nie może do nich przyjechać.

– Jest zajęty, kochanie.

Peyton próbowała podsłuchiwać rozmowy telefoniczne, które mama prowadziła w tajemnicy, często zabierając słuchawkę do hotelowej łazienki, puszczając wodę pod prysznicem i zamykając drzwi. Peyton udawało się usłyszeć tylko fragmenty. Ktoś zgubił swojego psa. Beagla. Mama bardzo się tym martwiła. Cały czas pytała o jego poszukiwania, co było dziwne, bo nigdy nie należała do wielkich miłośniczek psów ani żadnych innych zwierząt.

W końcu, po czterech tygodniach, mama posadziła trójkę dzieci na kanapie i oznajmiła im, że ojciec do nich nie dojedzie.

– Zdarzył się wypadek. Jest mi bardzo przykro, ale wasz tata nie żyje.

Te słowa w jednej chwili zdruzgotały Peyton. Andrew nie chciał uwierzyć w tę wiadomość i stał się sceptyczny. Potem wpadł w złość. Zadawał pytania, na które mama nie chciała odpowiedzieć.

– Jak umarł? Kiedy był pogrzeb? Gdzie?

Milczenie rozwścieczyło Andrew jeszcze bardziej. Krzyczał i wyklócał się z matką.

– Chcę go zobaczyć. Mogę zobaczyć własnego ojca. Chcę zobaczyć jego grób. Nie powstrzymasz mnie. Chcę wrócić do Londynu. Tam jest nasz dom.

Andrew coraz bardziej się od nich oddalał. Peyton niemal wpadła w katatonię. Była przy niej Madison, która przytulała ją, gdy przez cały tydzień noc w noc płakała. Ich mama zachowywała stoicką postawę, wycofała się. Rozmowy telefoniczne nie ustawały. To tajemnicze zachowanie sprawiało, że nie bardzo jej wierzyli. Może dlatego, że to ona im powiedziała, ale w pewnym stopniu cała ich trójka obwiniała ją o śmierć ojca.

Pomimo żądań Andrew, by wrócili do Londynu, matka Peyton nie ustępowała. Osiedlili się w pobliżu San Francisco w Palo Alto. Zmienili nazwisko na Shaw, a Andrew ukończył dwa ostatnie lata szkoły średniej

i wyjechał na studia medyczne.

Potrzeba było czasu, żeby rodzina znowu zbliżyła się do siebie. W zasadzie potrzeba było czegoś więcej niż czasu, ponieważ nastąpiło to dopiero po śmierci Andrew w 1991 roku. Znowu były sobie bliskie – Peyton, Madison i ich matka, Lin.

Peyton od dawna nie myślała o tej nocy w Londynie w 1983 roku. Odpływając w sen, zastanawiała się, dlaczego przypomniała sobie o tym właśnie teraz.



Obudziła się z najgorszym bólem głowy w życiu. Wróciła do umywalki i wypila dwa łyki wody. Patrzyły na nią nabiegłe krwią oczy. Zadarła koszulę, bojąc się tego, co może zobaczyć. Przełknęła ślinę, kiedy jej wzrok padł na wysypkę pokrywającą brzuch i sięgającą piersi.

Była zarazona.

# DZIEŃ 8

**2 mld zarażonych**

**400 tys. ofiar śmiertelnych**

## ROZDZIAŁ 55

Millen siedział na leżaku w świetle łagodnego popołudniowego słońca, przyglądając się, jak Elim spaceruje po zakurzonej polu w pobliżu szpitala w Manderze. Starsza kobieta z wioski, Dhamiria, pomagała mu w chodzeniu i zachęcała go do wysiłku. Halima zapisywała jego postępy, a Tian robił dla Elima tor przeszkód, przesuając różne przedmioty, nad którymi mężczyzna musiał przechodzić lub które miał okrążyć. Sześciolatek był zachwycony swoim zadaniem.

Millen puszczał muzykę z telefonu, co zdawało się sprawiać przyjemność czworgu Kenijczykom. Gdyby nie miał ładowarki solarnej, nie odważyłby się rozładowywać baterii telefonu, ale w tej chwili słońca i mocy miał pod dostatkiem. Przez ostatnie dwa dni, podczas których czekali na transport zorganizowany przez Elliotta, słuchali muzyki i zajmowali się rehabilitacją Elima. Millen chciał już wracać do domu. W piątkowy wieczór, kilka godzin po przyjeździe do Mandery, założył nakładkę satelitarną na telefon i otworzył Google News. Zszokował go pierwszy przeczytany artykuł:

### AMERYKAŃSKA GIEŁDA UGINA SIĘ POD NAPONEM PANDEMII

Narastający strach przed skalą i siłą epidemii X1 zaraził również rynki finansowe. Indeksy giełdowe w USA spadły dzisiaj o 25% podczas krótkiej sesji, która zakończyła się o trzynastej i zyskała nazwę Czerwonego Piątku. Spadek jest największym krachem w historii giełdy. Przekroczył nawet wskaźniki z Czarnego Poniedziałku, 19 października 1987 roku, kiedy zanotowano 22-procentowy spadek wartości w ciągu jednego dnia.

Podobnie jak w przypadku krachu z 1987 roku pogrom na giełdzie został zapoczątkowany na rynkach azjatyckich i rozciągnął się na zachodnią Europę oraz USA...

Millen kliknął kolejny nagłówek.

## ŚWIAT ZMIENIA SIĘ W WIĘZIENIE PO WYBUCHU DWÓCH EPIDEMII

Chociaż WHO przestało podawać szacunkowe liczby zarażonych wirusem X1, eksperci przewidują, że jest ich co najmniej 50 milionów, a prawdopodobnie znacznie więcej. Kraje na całym świecie uciekają się do drastycznych środków.

Dziś rano w Wielkiej Brytanii zamknięto granice. Niemcy, Francja, Włochy i Rosja również poszły za jej przykładem.

Być może najbardziej niepokojącym i tajemniczym aspektem wybuchu epidemii X1 jest to, że wirus ma nieograniczony zasięg. Zanotowano przypadki zachorowań na pokładach statków wojskowych odbywających długie misje, w oddalonych wioskach oraz na statkach wycieczkowych.

Najwięcej przypadków śmiertelnych zanotowano w Kenii, co przyciągnęło uwagę i pomoc reszty świata. Choroba przypominająca ebolę, nazywana wirusem z Mandery, do tej pory zabiła już tysiące ludzi. Nie ma danych dotyczących szacunkowej liczby zarażonych.

W nadziei na zatrzymanie epidemii doszło do bezprecedensowego sojuszu mocarstw zachodnich i wschodnich, w tym USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Chin, Japonii, Australii i Indii, które ogłosiły całkowitą blokadę wszystkich wschodnioafrykańskich portów – od Morza Czerwonego po Republikę Południowej Afryki.

Szczegóły dotyczące blokady nie są jeszcze dostępne.

Chociaż Millen poświęcił godzinę na przetrząsanie Sieci, nie znalazł żadnej informacji na temat, który go interesował: poszukiwanie uprowadzonych pracowników CDC i WHO, zwłaszcza doktor Shaw i Hannah. Wyglądało na to, że o ich porwaniu zapomniano w chaosie ogarniającym świat.

W sobotę rano, gdy Elim się obudził, znowu spacerował wokół miasteczka namiotowego, dając z siebie wszystko. Dhamiria podtrzymała go pod rękę. Uśmiechali się i wybuchiali śmiechem. Prowadzili rozmowę w suahili i chociaż Millen nie mógł ich zrozumieć,



ich język ciała mówił mu wszystko, co powinien wiedzieć.

Zamknął oczy i udawał, że jeszcze śpi. Jeśli dobrze zrozumiał artykuły przeczytane poprzedniego dnia, w najbliższej przyszłości nie będzie zbyt wiele tak przyjemnych chwil i drobnych radości.



Tego samego dnia Millen jeszcze raz wszedł do Internetu.

#### KENIA Z WIRUSEM PODOBNYM DO EBOLI

W nocy wybuchły zamieszki w największych miastach w Kenii, podczas których tłumy domagały się od rządu zdecydowanych działań zmierzających do zwalczania wirusa z Mandery. Nie są znane dokładne liczby ofiar śmiertelnych walk i pożarów wzniesionych w Nairobi, Mombasie i Garissie, ale źródła przy Ministerstwie Zdrowia szacują, że ponad 40 tysięcy osób umarło na skutek zarażenia wirusem, a znacznie więcej jest zarażonych.

Kryzys w kenijskich największych miastach doprowadził do masowej migracji mieszkańców...

Millen przewinął zdjęcia. Wielkie ogniska na skrzyżowaniach. Przewrócone samochody. Tłum walczący z policją w rynsztunku bojowym. Postanowił nie pokazywać ich Elimowi i mieszkańcom wioski. Mieli dobry dzień, którego nie chciał zniszczyć. Elim uczył się chodzić na nowo. Czwórka Afrykanów była żyjącym dowodem na to, że można wyjść cało z epidemii. Dzięki nim odnosił wrażenie, że nie cały świat się rozpada.

To, że ta czwórka żyła, napawało go otuchą.

Elim z każdą sesją ćwiczeń w prowizorycznym programie rehabilitacyjnym robił się silniejszy. Coraz krócej spał i pewniej stał na nogach. Po obiedzie w sobotę wziął Millena na stronę i poruszył temat, którego wypłynięcia młodszy mężczyzna spodziewał się od pewnego czasu.

– Chciałbym porozmawiać o tym, co się stanie jutro, gdy przyleci

samolot – powiedział Elim.

– Jeśli ona chce zostać, niech tak będzie – odparł Millen, uprzedzając pytanie, które miało paść.

– Chce. Jednak wcześniej się zobowiązała. I to jest ważne. Najważniejsze jest znalezienie leku.

– Myślałem o tym. Powinno wystarczyć, jeśli pobierzemy dużo próbek od ciebie i od niej. – Umilkł na chwilę. – Jest też inna możliwość.

Elim uniósł brwi.

– Pojedź z nami.

Elim pokręcił głową.

– Moje miejsce jest tutaj. Teraz nawet bardziej niż wcześniej. Kraj mnie potrzebuje.



Millen był spakowany i gotowy, kiedy w niedzielę zadzwonił jego telefon.

– Doktorze Thomas, zbliżamy się do lotniska w Manderze.

– Będziemy na miejscu – odparł Millen.

Na lotnisku poprowadził dwoje młodszych mieszkańców wioski do prywatnego samolotu i wrócił do SUV-a, gdzie za kierownicą siedział Elim, a Dhamiria zajmowała miejsce pasażera.

– Dokąd pojedziecie? – spytał Millen.

– Tam gdzie jesteśmy potrzebni – powiedział Elim. – Ruszymy na południe, stamtąd zaczniemy.

– Powodzenia.

– Mam nadzieję, że twoi przyjaciele i współpracownicy bezpiecznie wrócą.

– Ja również.

Kilka minut później samolot oderwał się od ziemi. Millen patrzył przez okno na opuszczone lotnisko. Kiedy tu przybył w zeszłym tygodniu, tętniło życiem. Teraz było martwe – wyglądało jak osmolone resztki po testach bombowych na pustyni. Zastanawiał się, co zastanie w Ameryce.

Jeśli wierzyć wiadomościom, wielu ludzi było zarażonych i czekał ich los mieszkańców Mandery. Nie mógł na to pozwolić. Miał nadzieję, że wiezie do kraju klucz do znalezienia lekarstwa.

## ROZDZIAŁ 56

W niedzielny poranek w Atlancie Elliott czekał na wydarzenie, które, jak sądził, na zawsze zmieni Amerykę. W wiadomościach nie znalazł jednak żadnego dowodu na to, co wydawało mu się nieuniknione. Ludzie, do których zadzwonił, też nic nie wiedzieli.

Pierwsze oznaki pojawiły się dzień wcześniej w mediach społecznościowych. Cały personel wojskowy, w tym Gwardia Narodowa, został wezwany do najbliższej bazy wojskowej lub miejsca zbiórki. Wezwano również personel szpitali, ratowników medycznych oraz policję i straż pożarną.

Osoby bez objawów choroby wywołanej przez wirusa X1 miały stawić się pierwsze. Osoby chore miały zameldować się trzy godziny później.

Pierwsi, którzy odpowiedzieli na wezwanie, dzwonili i pisali do rodzin i przyjaciół, informując ich, że są wysyłani na szkolenie przygotowawcze do sytuacji kryzysowej i przez kilka dni nie wrócą do domu. Niektórzy dodali, że podczas szkolenia mogą nie mieć dostępu do telefonu i Internetu.

Elliott spodziewał się, że zaraz zadzwoni jego telefon. Był nie tylko lekarzem i epidemiologiem, lecz również kontradmirałem w Korpusie Służby Medycznej Stanów Zjednoczonych. Ponadto pracował w CDC, przynajmniej do niedawna.

Jego sytuacja zawodowa, odkąd przekazał prasie informacje o porwaniu Peyton, nie była jasna. Bez wątpienia powinien znaleźć się na liście najważniejszego personelu, a raczej na kilku listach. Ale telefon

nie zadzwonił. Jego nazwisko zostało wykasowane.

Nie musiał się domyślać, komu to zawdzięcza, doskonale wiedział. Nigdy jeszcze nie był tak zły. To nie do pomyślenia, żeby w takiej chwili, kiedy mógł ratować ludzkie życie, ktoś bawił się w osobistą zemstę i polityczne zagrywki. Ale nic nie mógł poradzić w tej sprawie, a to niepokoiło go nawet bardziej.

Reszta soboty upłynęła spokojnie. W salonie Elliott usiadł na kanapie, Rose na rozkładanym krześle obok niego. Dzisiaj jej się pogorszyło. Bez przerwy kasłała, chociaż próbowała się pohamować i wychodziła z pokoju, gdy nie mogła go opanować. Ryan i Sam na górze bawili się ze swoim synem, Adamem. Gdyby ktoś patrzył na nich z boku, wyglądałoby to na doskonałą sobotę po Święcie Dziękczynienia: w telewizji leciał mecz futbolowy pomiędzy drużynami uniwersyteckimi (alma mater Elliotta, Michigan, grała z Ohio State), ich wnuk się bawił, cała rodzina razem pod jednym dachem.

Elliott zastanawiał się, jak długo będzie trwało dzieciństwo pięciolatka. Czy powinno się je odmierzać dniami, czy tygodniami? Wiedział, co nastąpi dalej, i bał się tego – ze względu na siebie i Rose, ale przede wszystkim ze względu na swojego syna, synową i wnuka.

Elliott oglądał telewizję, krzywiąc się za każdym razem, gdy puszczano wiadomości. W Czarny Piątek zanotowano rekordowy ruch w sklepach stacjonarnych. Ich akcje zanotowały wielki spadek podczas skróconej sesji w piątek i bez wątplenia właściciele mieli nadzieję, że się odbiją i zyskają zaufanie inwestorów podczas otwarcia rynków w poniedziałek.

Przed każdym domem na ulicy Elliotta leżały paczki dostarczone dzięki weekendowym usługom kurierskim. Sąsiedzi wychodzili na dwór w piżamach i kaszląc, wnosili pudła do środka.

To, na co Elliott czekał, zaczęło się w południe w niedzielę.

W telefonach komórkowych włączył się alarm podobny do Amber Alert i Ostrzeżenia Pogodowego. Ale ta wiadomość była inna. Zachęcała właściciela telefonu do kliknięcia linku lub włączenia telewizora.

Minutę później Elliott z rodziną zasiedli przed odbiornikiem i słuchali orędzia prezydenta wygłoszonego zza biurka w Gabinetie Ovalnym.

*Bracia Amerykanie, dzisiaj nasz naród staje przed nowym zagrożeniem. Po pierwsze, chcę wam powiedzieć, że jesteśmy przygotowani na to zagrożenie. Mamy plan i wdramy go w życie. Zwracam się do was, ponieważ ten plan będzie miał wpływ na was i waszych bliskich. Ponadto potrzebujemy waszej pomocy. Wasi rodacy, Amerykanie, będą potrzebowali waszej pomocy.*

*Departamenty na poziomie stanowym i federalnym z uwagą śledzą rozwój X1, przypominającego wirusa grypy, którym zaraziły się miliony Amerykanów. Uznaliśmy, że przypadków X1 jest tak wiele, iż stanowią zagrożenie dla naszego narodu. Dlatego też postanowiłem wdrożyć program zwany BioTarczą. BioTarcza ma na celu jedną rzecz: ochronę was i waszych rodzin w tym trudnym czasie.*

*Zanim omówię kroki, które poczynimy, chcę was zapewnić, że te środki są tymczasowe. Są również wynikiem ostrożności oraz pragnienia, by każdy Amerykanin otrzymał odpowiednią opiekę.*

Elliott słuchał, jak prezydent omawia BioTarczę. Tak jak się spodziewał, ogłoszono stan wyjątkowy, a także stan wojenny oraz godzinę policyjną rozpoczynającą się o osiemnastej. Każdy Amerykanin powinien udać się do domu i od tej chwili tam przebywać. Bezdomni mieli zgłosić się do najbliższego schroniska lub na stację metra, gdzie zostanie podstawiony dla nich transport.

Połączony personel Gwardii Narodowej, wojska i Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego (FEMA[\[15\]](#)) otoczył większe miasta. Na każdej drodze międzystanowej i głównej powstały punkty kontrolne. Wstrzymano ruch lotniczy, kolejowy i autobusowy. Każdy, kto znajduje się poza strefą kontrolowaną, zostanie skierowany do jednego z wielu schronisk utworzonych na terenach wiejskich w szkołach, na stadionach i w budynkach sądów.

Rząd federalny tymczasowo znacjonalizował każdy zakład wytwarzający kluczowe dobra w sferach telekomunikacyjnej, hostingowej, dostawczej i logistycznej, energetycznej. A także służbę

zdrowia.

Około czternastej na ulicę Elliotta wjechały autobusy szkolne. Miał się do nich zgłosić każdy z objawami wirusa X1. To była przedziwna scena, konwój autobusów, do których w niedzielę wsiadali kaszlący dorośli, nastolatki i dzieci.

W swoim przemówieniu prezydent ostrzegł wszystkich, że ten, kto nie wsiądzie do autobusu, nie zostanie uwzględniony przy podziale podstawowych usług. W nadchodzących dniach Gwardia Narodowa i wojsko będą rozdzielały jedzenie i przewoziły chorych do centrów opieki. Każdy, kto się nie zapisze, nie dostanie jedzenia ani opieki medycznej – co więcej, będzie zatrzymany i umieszczony w strefie kwarantanny o niskim priorytecie, więzieniu, gdzie dostępne będą jedynie podstawowe usługi. To będzie równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Elliott stanął przy drzwiach wyjściowych i przez szybkę przyglądał się scenie rozgrywającej na ulicy. Na wpół pusty autobus zatrzymał się przed ich domem, drzwi się otworzyły.

Obok niego stanęła Rose i chwyciła go za rękę. Mówiła szeptem, żeby nie usłyszeli jej syn i wnuk.

– Nie chcę jechać.

– Musisz, kochanie.

Elliott zwrócił się do syna, który stał w bezpiecznej odległości. Próbował mówić spokojnie, jakby wybierali się do kina:

– Powinniśmy wrócić za kilka godzin.

Ryan w to nie uwierzył.

– Nie jedźcie.

– Oni tylko chcą policzyć ludzi. Muszą określić, z czym mają do czynienia. Niedługo wrócimy.

Stojąc w kolejce do autobusu, Elliott wyczuł zapach chloru wydostający się przez otwarte drzwi. Spotkał się wzrokiem z kilkoma sąsiadami – tymi, których uwzględnił w swoim planie. Ich miny mówiły: *Miałeś rację*.

Wolały jej nie mieć.

Kierowca autobusu stanął na szczycie schodów i zaczął instruować ludzi, żeby zabrali ze sobą telefony, że jeśli nie będą ich mieli, mogą

w przyszłości nie dostać opieki medycznej i jedzenia. Kilku ludzi wyszło z kolejki i pobiegło do domów po swoje komórki.

Miejsca nadal były wilgotne od chemikaliów zabijających zarazki, którymi je zdezynfekowano, ale Elliott i Rose i tak usiedli. Objął ją ramieniem, próbując ochronić przed listopadowym chłodem.

Drogi były puste. Autobus dołączył do innych toczących się przez Atlantę, mijał zaparkowane samochody i puste chodniki, po których wiatr przeganiał śmieci. Wozy policyjne z migającymi światłami pilnowały, żeby jechali wyznaczoną trasą. Policjanci w mundurach bojowych stali na ulicach i pokrzykiwali na pieszych. To była przedziwna wycieczka przez zamknięte miasto, które jeszcze kilka godzin wcześniej było wolne. Teraz wszystko się zmieniło.

Kilka razy skręcili, Elliott wiedział, dokąd jadą.

Namioty Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego stojące przed stadionem Georgia Dome potwierdziły jego przypuszczenia.

Stadion drużyny futbolowej Atlanta Falcons był największy na świecie, kiedy otwarto go w 1992 roku. Nadal plasował się w pierwszej trójce.

Jednakże nie był już supernowoczesny. Z tego powodu miasto wznosiło błyszczący, nowy stadion po drugiej stronie ulicy – trafnie nazywany stadionem Mercedes-Benz. Miał zostać otwarty w nadchodzącym roku.

Elliott spodziewała się, że żurawie będą stały nieruchomo w niedzielne popołudnie, lecz one pracowały gorączkowo, podnosząc elementy rozsuwanego dachu stadionu. Wyglądało to tak, jakby chcieli go szybko ukończyć.

Śródmieście Atlanty było pod pewnymi względami doskonałym miejscem na przeprowadzenie kwarantanny. Mając Philips Arena po przeciwnej stronie ulicy, władze dysponowały trzema dużymi stadionami, w których mogły odizolować ludzi. Elliott wyobraził sobie namioty FEMA rozbite na terenie pobliskiego Centennial Olympic Park, posterunki i kwatery administracji ulokowane w hotelu Omni oraz centrum dowodzenia w CNN Center. Wielkie zadaszone parkingi w okolicy były doskonałym miejscem do przechowywania zapasów. A gdyby zaszła taka potrzeba, w pobliżu również znajdował się Georgia



World Congress Center – trzecie co do wielkości w Stanach centrum kongresowe o powierzchni prawie 360 tysięcy metrów kwadratowych, a także Georgia Aquarium oraz College Football Hall of Fame.

Przed sobą zobaczył postać odzianą w kombinezon ochronny, zwany również kombinezonem kosmicznym, stojącą przed namiotem FEMA i kierującą ruchem. Widok osoby w takim stroju w centrum Atlanty był deprymujący.

Kolejka posuwała się powoli, autobusy z przodu wypuszczały pasażerów falami. Kiedy autobus z Elliottem i Rose się zatrzymał, razem z sześcioma innymi, siedem postaci w kombinezonach wyłoniło się z namiotu i weszło do autobusów. Mężczyzna, który wszedł do autobusu Elliotta, pod kombinezonem miał mundur polowy – Elliott widział górę munduru przez szybę w hełmie.

Przed namiotem FEMA inny mężczyzna uniosł czerwoną flagę.

Mężczyzna z przodu autobusu mówił przez głośnik, co nadawało jego głosowi denerwujący pogłos, jakby przemawiał Darth Vader.

– Jeśli ktoś jest chory od siedmiu dni lub dłużej, niech podniesie rękę.

Powoli uniosło się kilka rąk. Mężczyzna w kombinezonie omiół wzrokiem wnętrze autobusu, jakby próbował zapamiętać ludzi. Skrzywił się, jakby coś mu nie pasowało.

– To bardzo ważne. Musimy wiedzieć, od jak dawna jesteście zarazeni, żeby udzielić wam odpowiedniej pomocy medycznej. Jeżeli kaszleliście lub kichaliście w ostatnią niedzielę, podnieście rękę. To ważne.

Dziwne, pomyślał Elliott. Podniosło się jeszcze kilka rąk.

Kątem oka zobaczył, że Rose też podnosi rękę. Chciał ją powstrzymać, ale człowiek w kombinezonie już ją zauważył.

Na zewnątrz człowiek przy namiocie opuścił czerwoną flagę, jakby dawał znak do rozpoczęcia wyścigu.

– Dobrze, jeśli podnieśliście rękę, wstańcie i wyjdźcie z autobusu. Na zewnątrz pokażą wam drogę.

Elliott zobaczył strach w oczach Rose. Mężczyzna w kombinezonie pozostał na przedzie pojazdu, obserwował i upewniał się, że wysiedli wszyscy, którzy unieśli rękę.

Elliott wstał z miejsca.

– Czy mógłby nam pan powiedzieć...

– Proszę usiąść.

– Chcę tylko się dowiedzieć...

– Proszę pana, na wszystkie pytania odpowiemy w środku. Jeśli pan nie wróci na miejsce, zostanie pan umieszczony na terenie objętym kwarantanną.

Elliott opadł na siedzenie.

Mężczyzna z kombinezonie zwrócił się do Rose:

– Proszę pani, proszę wyjść.

Popatrzyła na Elliotta.

Spojrzał na nią, próbując nie okazywać obaw.

– Już dobrze – wyszeptał. – Idź.

Na zewnątrz cała grupa została zaprowadzona do Georgia Dome.

Kiedy ostatnia osoba przeszła obok namiotu FEMA, stojący tam człowiek uniósł żółtą flagę.

Żołnierz w kombinezonie znowu się odezwał.

– Jeśli ktoś ma ponad sześćdziesiąt lat lub nie jest w stanie chodzić bez pomocy, proszę podnieść rękę.

Elliott miał sześćdziesiąt trzy lata i nie wyglądał zbyt młodo; czas spędzony w CDC nie obszedł się łagodnie z jego ciałem. Ale nie podniósł ręki.

Żołnierz zmierzył go wzrokiem, nie kryjąc niedowierzania.

Elliott wzruszył ramionami.

– Mam stresującą pracę. To postarza.

Mężczyzna pokręcił głową, ale nie upierał się, że Elliott ma wyjść.

Kiedy grupa osób powyżej sześćdziesiątki wyszła, żołnierz bez słowa opuścił pojazd. Człowiek w kombinezonie podniósł zieloną flagę i ku zaskoczeniu Elliotta, autobus odjechał.

Odwrócił się i patrzył na mijane namioty FEMA oraz kręcących się wokół ludzi w kombinezonach. Wbił wzrok w wejście do Georgia Dome, gdzie zniknęła Rose. Skąd, jak się obawiał, mogła już nie wyjść.

Autobus zatrzymał się na ogromnym parkingu. Drzwi się otworzyły

i kierowca kazał wszystkim wysiadać.

Pasażerowie wychodzili nieco oszołomieni swoją sytuacją.

Jakaś kobieta w kombinezonie kazała im wejść po schodach na poziom piąty. Ludzie przechodzili obok niej w ciszy, ale na klatce schodowej zaczęli szeptać, zadawali pytania przerażonymi głosami.

– Dlaczego tydzień? Czy ci ludzie umrą?

– Nie wypuszczą nas do domów. Wiedziałam!

– Powinniśmy stąd uciekać.

Czyjś dudniący głos dochodzący z półpiętra nad nimi uciszył ich szepty.

– Szybciej.

Mężczyzna w kombinezonie wychylił się przez barierkę, jego poważna twarz kryła się za szybą hełmu.

– Szybciej. Odpowiemy na wszystkie wasze pytania. Dalej, ludzie. Jak ktoś zostanie w tyle, zostanie skierowany do kwarantanny.

Po tych słowach wszyscy przyspieszyli, niektórzy zaczęli się rozpychać.

Na poziomie piątym stały rzędy kabin. Przypominały Elliottowi kabiny do głosowania w wyborach: każda miała cienkie nóżki i była wielkości odpowiedniej dla jednej osoby.

– Proszę wejść do kabiny. Którejkolwiek. Rozdzielcie się. Macie pięć minut na wypełnienie ankiety.

W kabinie Elliott znalazł włączony tablet, wyświetlał się na nim duży zielony przycisk z napisem START. Dotknął go i na ekranie pojawiła się grafika przedstawiająca telefon komórkowy oraz napis:

Włóż telefon do pudełka po swojej prawej stronie.

Czarne pudełko zamknęło się w chwili, gdy Elliott umieścił tam swój telefon. Usłyszał stłumiony odgłos jakiegoś silniczka.

Na ekranie pojawiła się ankieta. Wielu pytań się domyślał. Pytali o numer ubezpieczenia społecznego, nazwisko, datę urodzenia, adres zamieszkania, zawód, wykształcenie, aktualne objawy choroby, kiedy się rozpoczęły, przebyte choroby, a zwłaszcza te związane z zażywaniem leków osłabiających układ odpornościowy, oraz podróże zagraniczne,

szczególnie do Kenii, Somalii, Etiopii, Ugandy i Tanzanii. Elliott skłamał w kwestii roku urodzenia.

Niektóre pytania wydały mu się dziwne: Czy lubił korzystać z broni palnej? Czy był w więzieniu? Czy kiedykolwiek służył w wojsku lub odbył przeszkolenie wojskowe?

Co to miało znaczyć?

Pod koniec ankiety pojawiło się okienko z dużym napisem DZIĘKUJEMY. A pod nim logo firmy, którego nigdy wcześniej nie widział: Rook Quantum Sciences. Zapewne to oni opracowali ankietę i oprogramowanie bazy danych dla rządu.

Otworzyło się czarne pudełko, z którego wyjął swoją komórkę. Miała czarny ekran, na którym wyświetlało się logo Rook Quantum Sciences.

Nacisnął przycisk aktywujący.

Pojawiły się dwa okienka dialogowe:

Na dzisiaj zakończyłeś już wypełnianie ankiety.

Nie masz żadnych nowych wiadomości.

Stworzyli system operacyjny śledzący rozprzestrzenianie się epidemii. Sprytne.

Pomiędzy rzędami kabin przechadzało się kilku ludzi w kombinezonach. Od czasu do czasu zatrzymywali się przy budkach i mówili coś przez radio, wzywając wsparcie techniczne.

– Mamy niekompatybilny telefon komórkowy w tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt jeden.

– Trzeba zresetować tablet w tysiąc trzysta pięć.

Zaraz po tym, jak Elliott wyszedł ze swojej kabiny, postać w kombinezonie wytarła tablet, z którego korzystał, i pokierowała go na drugą stronę parkingu, gdzie poszczególne boksy rozdzielały białe zasłony.

W jednym z małych boksów jakaś kobieta pobrała próbki z wewnętrznej strony jego policzków oraz dwie próbki krwi, po czym włożyła je do torby z napisem „Phaethon Genetics”. Odkleiła nalepkę

z kodem kreskowym z torby z próbkami i umieściła ją na bransoletce, którą zapięła na prawym nadgarstku Elliotta.

– Po co to?

– Wyodrębnienie pana kodu genetycznego pomoże nam w znalezieniu leku.

Identyczną bransoletkę umieściła na jego drugim nadgarstku.

– Proszę nie zdejmować opasek identyfikacyjnych, będzie pan ich potrzebował, żeby dostać racje żywniowe oraz opiekę medyczną.

Skinął głową.

– Moja żona została zabrana...

– Przepraszam, odpowiedzi na swoje pytania uzyska pan w kolejnym punkcie. Proszę posłuchać, to ważne. Każdego dnia na pańskim telefonie pojawi się wiadomość. Zapyta pana o objawy choroby. Proszę odpowiadać szczerze. Może od tego zależeć pańskie życie. I trzeba mieć naładowaną baterię.

Miał już zadać jakieś pytanie, kiedy podniosła rękę i krzyknęła:

– Następny! – Po czym zwróciła się do Elliotta: – Proszę skierować się na prawo.

Odkąd wysiadł z autobusu, miał nadzieję zobaczyć kogoś, kogo znał – jakiegoś pracownika CDC lub oficera mundurowego służby zdrowia. Nikogo takiego nie spotkał. A właśnie kończył mu się czas.

Okazało się, że nie ma żadnego kolejnego punktu. Po pobraniu krwi zaprowadzili wszystkich na klatkę schodową po drugiej stronie parkingu i z powrotem do autobusu, który ich tu przywiózł. Czekał, aż ponownie się zapełni. Tak się nie stało. Wielu ludzi, którzy poszli z Elliottem na parking, nie wróciło. Autobus nie był zapełniony nawet w połowie, kiedy odjeżdżał. Elliott miał nadzieję, że wróci do Georgia Dome. Nie wrócił. Wyjechał na drogę i skierował się na ich osiedle.

Zanim wyszedł z domu, poinstruował syna, żeby nie wsiadał do następnego konwoju autobusów – tych, które miały zabrać wszystkich bez żadnych objawów. Ryan był anestezjologiem i Elliott przypuszczał, że zostanie uznany za kogoś o niezbędnych umiejętnościach i wysłany do pomocy przy BioTarczy.

Ale teraz wszystko się zmieniło. Musiał mieć pewność, że jego syn wsiądzie do tego autobusu i że zechcą go zatrzymać. Ryan mógł być jedyną szansą na dotarcie do Rose.

Zastanawiał się, jak długo nie było go w domu. Czy autobusy po zdrowych już przyjechały? Jeśli tak, szansa wymknęła mu się z rąk.

Na swojej ulicy wyskoczył z autobusu i wpadł do domu, ignorując wołających go sąsiadów, którzy pytali o wybuch epidemii.

W domu było cicho. Nawet telewizor nie grał. Przeszukał parter.

Pusto.

Piętro.

Pusto.

Zbiegł po niepomalowanych drewnianych schodach do piwnicy. Zatrzymał się, żeby odnaleźć włącznik światła w wilgotnym pomieszczeniu. Przekręcił go.

Ryan, Sam i Adam siedzieli na starej kanapie, którą Elliott zniósł do piwnicy wiele lat temu. Adam spał na kolanach u mamy.

Ryan spojrzał na niego.

– Tato.

– Zmiana planów – powiedział zasapany Elliott.

– Słucham?

– Musisz wsiąść do tego autobusu, gdy przyjedzie.

– Dlaczego? Co się stało?

– Mają twoją mamę. W Georgia Dome. Znajdź ją i wyciągnij stamtąd.

[15] Federal Emergency Management Agency

## ROZDZIAŁ 57

Desmond zupełnie stracił poczucie czasu. Jediną wskazówką, że upływał, była rosnąca góra śmieci, która otaczała trzech pajaców – ale nawet ona zniknęła, kiedy pojawiła się sprzątaczką z wózkiem i zrobiła porządek.

Nie rezygnował z ćwiczeń, za każdym razem zmuszał się do większej liczby powtórzeń, ale nie przesadzał, żeby się za bardzo nie przemęczyć. Nadal bolały go zębra, ale poznał swoje ograniczenia i słabe punkty. Przygotowywał się. Tylko to mógł teraz robić.

Jakakolwiek zmiana w rutynie dnia przyciągała jego uwagę. Kiedy więc wysoka blondynka weszła do korytarz obok celi, porzucił robienie pompek, odwrócił się i patrzył.

Stała przed trzema niechlujami i zaczęła ich wypytywać. Słowa, które płynęły z jej ust, wydawały się osaczać ich jak rój pszczół. Kręcili głowami, wyrzucali ręce w górę, wskazywali na monitory i próbowali odeprzeć argumenty. Ona też zaczęła pokazywać palcem. Czy była ich szefem? A może posłańcem szefa (Connera, jak sądził Desmond)?

Zanim wyszła, odwróciła się i przez chwilę patrzyła na niego znacząco, choć nie wiedział, jak zinterpretować jej spojrzenie, jakby zapomniał języka, którym się kiedyś posługiwał.

Zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.



Avery stała w kabinie Connera i składała raport. Uniósł jedną rękę, żeby ją uciszyć.

– Powiedz mi tylko, czy dadzą radę.

– Mówią, że to jak szukanie igły w stogu siana.

– A co z aplikacjami pisanymi przez firmy, w które inwestował Des?

– Już je sprawdzili. Jeśli ma to coś z nimi wspólnego, to musi być jakaś tylna furka. Mówią, że pamięć może być powiązana z miejscem lub uwalniana w określonym z góry czasie. Zhakowanie jej może nie dać żadnych efektów, jeśli jej uwalnianie jest tak zaprogramowane.

Conner spojrzał w sufit.

– Co chcesz zrobić? – zapytała.

– Kończy nam się czas. Musimy spróbować czegoś nowego. Drastycznego.

– Czyli?

– Czyli dam ci znać w swoim czasie, Avery.

Przewróciła oczami.

– Doktor Shaw jest zarażona – dodała ciszej.

– Wiem.

– Szczepem manderskim, a nie poprzedzającym go wirusem grypy.

– Powiedziałem, że wiem.

– Czy mamy jej podać lekarstwo?

– Nie. Dzięki chorobie będziemy mogli ją lepiej kontrolować.



# DZIEŃ 9

**3 mld 800 mln zarazonych**

**620 tys. ofiar śmiertelnych**

## ROZDZIAŁ 58

Desmond leżał na łóżku, dając kilkuminutowy odpoczynek swoim mięśniom. Zastanawiał się nad znaczeniem ostatnich wydarzeń.

Sprzed celi zniknęli trzej pajace. Przy rozkładanym stole nikt nie siedział. W miejscu komputerów leżały puste puszki i kartony po jedzeniu.

Czyżby zrezygnowali z niego? Miał taką nadzieję.

Ciszę przerwał jakiś trzask. Jakby łamana pieczęć. Guma ocierająca się o stal. Szklana ściana jego celi przesunęła się w prawą stronę, gdzie była ściana łazienki. Cella się otwierała.

Desmond podszedł do szczeliny. Przełożył ramię, potem tors. Manewrował ciałem i kawałek po kawałku przepchnął się na drugą stronę, był wolny, stał na korytarzu obok stolika.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi, lecz zamykające je koło właśnie się obracało.

Ktoś wchodził.

Desmond podbiegł do nich.

Przejście się otworzyło. Pojawił się pistolet, a potem chude, blade przedramię.

Desmond chwycił nadgarstek, wyszarpnął pistolet i wykręcił rękę przeciwnika na jego plecy, przepychając go przez przejście. Broń trzymał w pogotowiu, omiół nią pomieszczenie.

Zobaczył blondynkę. Nie widział jej twarzy, ale w jakimś stopniu ją rozpoznawał. Skupił się na tym, co ujrzał. Długi stół z czterema płaskimi

monitorami i klawiaturami, pod nim komputery stacjonarne. Na ziemi leżeli dwaj żołnierze w mundurach, nie poruszali się. Nie było krwi.

Łokiec kobiety wbił się w jego poturbowane żebra, fala bólu ogarnęła całe ciało. Puścił ją. Poczuł kolano uderzające go w przedramię i wypuścił broń. Odwróciła go i silnie kopnęła w pierś. Uderzenie o ścianę sprawiło, że przez chwilę nie mógł złapać tchu. Dysząc, osunął się na podłogę, starając się nie zemdleć.

Jego przeciwniczka podniosła pistolet i wsadziła go do kabury podramiennej, po czym kucnęła i spojrzała na niego intensywnie zielonymi oczami.

– Hej, geniuszu, ja cię ratuję. Chcesz ze mną walczyć czy wolisz się stąd wydostać?

Desmond zerknął na strażników. Byli nieprzytomni, ale żyli. Z ich szyj wystawały małe strzałki.

– To jak będzie, Des? Ja stąd spadam z tobą czy bez ciebie.

Wtedy przypomniał sobie jej imię – Avery. Kobieta, która pozwoliła mu przysłuchiwać się rozmowie z programistami. *Czy mogę jej ufać? Jaki mam wybór?*

– Jak? – zapytał pomiędzy płytkimi oddechami.

Z kąta pomieszczenia Avery przyniosła półautomatyczny karabin i plecak, wyjęła z niego stos ubrań i noktowizor.

– Włóż mundur. Nie zdejmuj noktowizora. Za dwadzieścia sekund zgaśnie światło. Siedem pięter nad nami czeka helikopter. Mamy jakieś trzy minuty, żeby do niego dotrzeć. Jeśli nie zdążymy, będziemy musieli się ostrzeliwać.

Desmond czuł się zapędzony w kozi róg, jak tego dnia, gdy Dale Epply przyszedł do domu Orville'a. Całe życie walczył o siebie i tego dnia zabił po raz pierwszy.

Podjął decyzję: będzie walczył, jeśli zajdzie taka potrzeba. Powstrzyma tych ludzi, nawet jeśli miałby przy tym zginąć.

Wziął ubrania i zaczął je wkładać.

Jego uwagę przyciągnął jakiś ruch na jednym z płaskich monitorów. Wyświetlały się na nich cztery cele podobne do tej, w której sam siedział.

Trzy puste. Jedna zajęta. Jakaś kobieta, mniej więcej w jego wieku, z ciemnymi włosami. Jej skóra miała kolor porcelany.

– Peyton Shaw – wyszeptał.

Czyli ją również porwali. Jej numer telefonu był jedyną wskazówką, jaką zostawił sobie w Berlinie. Badala epidemię w Kenii – epidemię, którą zapoczątkował Conner i, według jego zapewnień, Desmond mu w tym pomógł. Musiała mieć coś wspólnego z tym, co się działo. Może nawet była kluczem do powstrzymania tego.

Desmond wskazał monitor.

– Zabieramy ją.

– Nie. Tędy.

– Posłuchaj mnie, Avery. Ona musi iść z nami.

Avery westchnęła głęboko.

– Idzie z nami.

Blondynka pokręciła głową z frustracją, ale Desmond z ulgą zauważył, że podeszła do stołu i wystukała coś na jednej z klawiatur. Na ekranie szklana ściana celi Peyton zaczęła się rozsuwać. Ale przesunęła się zaledwie o piętnaście centymetrów, zanim zgasło światło.

## ROZDZIAŁ 59

Peyton patrzyła z niedowierzaniem na przesuwającą się szklaną ścianę. Czyżby gdzieś ją przenieśli? A może idą ją zabić? Tak, na pewno – dostali już jej hasło do sieci CDC, kiedy nafaszerowali ją narkotykami. *Już mnie nie potrzebują.*

Ogarnął ją strach. Jednak równie szybko napłynęła złość. I te dwa uczucia walczyły ze sobą, gdy patrzyła na przesuwającą się przegrodę.

Wygrała wściekłość. Jeśli miała tu zginąć, zginie na stojąco, będzie kopać, bić i wrzeszczeć. Nie stanie się łatwym celem.

Zgasły światła, pogrążając celę w ciemności i ciszy, jakby znalazła się w komorze deprywacyjnej. Zamarła. Poczowała panikę. *Czy zamierzają zabić mnie w ciemności? Muszę się ruszać.*

Wyciągnęła przed siebie ręce, znalazła szklaną ścianę i podreptała wzdłuż niej do miejsca, gdzie zaczęła się rozsuwać. Nie przesunęła się za daleko, zanim zabrakło prądu. Przełożyła lewą rękę i nogę, ale nie mogła przepchnąć klatki piersiowej. Oparła dłoń na szybie i popchnęła, próbując precyzyjnie się na drugą stronę. Wysiłek sprawił, że oddychała coraz ciężiej. Sapała, przez co jej klatka piersiowa jeszcze powiększała swoją objętość. Ból dawał znać o sobie w miejscach, gdzie gruba szyba wbijała się w ciało. To bez sensu. Nigdy nie uda jej się przejść.

Jakiś dźwięk: skrzypiący metal, a potem głośny huk otwierającego się wjazdu. W korytarzu pojawiły się dwie smugi światła, przesuwały się w przód i w tył jak światła latarki przeszukującej ciemność. Światła przestały się poruszać i zatrzymały na niej.

Znowu ogarnął ją strach. Wyswobodziła się i wróciła do celi. Ale nie miała gdzie się schować. Nawet jej łazienka była otwarta. Za chwilę umrze, była tego pewna.

Dwóch strażników biegło przez korytarz. Mieli na hełmach lampki LED-owe. Podniosła rękę, osłaniając oczy przed blaskiem, by widzieć napastników. Pierwszy strażnik był białą kobietą z prostymi włosami, które wystawały poza hełm. Miała szczupłą twarz, wyraziste oczy. Na szczycie jej hełmu znajdował się noktowizor. Drugi strażnik...

Peyton zatrzymała się na twarzy mężczyzny. *Desmond Hughes*. Jego widok przywołał mieszankę emocji, które ją sparaliżowały. Podeszedł do wąskiego przejścia.

– Peyton, nazywam się Desmond Hughes. Zadzwoń, żeby cię ostrzec.

Patrzył na nią, ale tak jakby jej nie znał. *Co tu się dzieje? Dlaczego zachowuje się tak, jakby mnie nie znał?* Podobnie było podczas rozmowy telefonicznej, zanim dowiedziała się o epidemii, z którą według Lucasa Turnera był w jakiś sposób powiązany. Jego nazwisko zostało wydrapane na ścianie w boksie stajni. A teraz był ubrany jak strażnik i udawał, że jej nie zna. Dlaczego? Czy to część jakiegoś planu? Instynkt jej podpowiadał, żeby podporządkować się tej grze, żeby zachowywać się tak, jakby go nie znała. Wyczuła, że wyjawienie jakichkolwiek informacji porywaczom może się dla niej źle skończyć.

– Pamiętam. Czego chcesz?

– Uciekamy stąd. Myślałem, że zechcesz iść z nami.

Peyton pokazała głową wyjście.

– Próbowałam. Nie zmieszczę się.

Blondynka odchyliła głowę w tył i promień światła z hełmu padł na sufit.

– Nie mamy na to czasu, Des.

Odwrócił głowę i skąpał ją w białym świetle. Skrzywiła się i przez chwilę patrzyła na niego, po czym odwróciła wzrok, jakby poddając się.

Desmond przestał ją oślepić.

– Możemy ją przestrzelić, Avery? – spytał.

Kobieta pokręciła głową.

Wyciągnął rękę w stronę Peyton.

– Przeciagnę cię.

Peyton się zawahała. To nie mogło się udać. Ale Desmond zachęcił ją ruchem ręki i pewnością siebie.

*Co mam do stracenia?*

Podeszła do wąskiego przejścia, Desmond chwycił ją za rękę, jedną dłoń położył na jej bicepsie, drugą na przedramieniu.

– Musimy się pospieszyć. To jedyny sposób. Będzie bolało – dodał ciszej.

Patrzyła na niego, starając się nie okazywać strachu.

– Wiem. Miejmy to już za sobą.

Zaparł się stopami o szkło i ciągnąc, odchylił w tył.

Peyton zamknęła oczy, bo ból był nie do zniesienia. Ból w klatce piersiowej, gdy szkło orało jej zębra. Ból pod pachą, gdy Desmond ciągnął tak mocno, że sądziła, iż wyrwie jej rękę.

Przecisnęła się i wpadła na Desmonda. Jej twarz zetknęła się z jego twarzą, ale szybko się odsunął, zamortyzował uderzenie i złapał ją, zanim upadła na podłogę.

– W porządku?

– Tak. – Każdy oddech powodował ból posiniaczonych żeber.

Avery wyprowadziła ich z części przeznaczonej na cele.

– Musimy się pospieszyć.

Z końca korytarza, zza wjazdu słychać było kroki.

Avery i Desmond szybko podnieśli ręce, żeby założyć noktowizory i wyłączyć lampki na hełmach, przez co Peyton znalazła się w całkowitej ciemności.

– Zostań tutaj – wyszeptał Desmond, stojąc gdzieś blisko niej.

Instynktownie przykucnęła przy ścianie, dzięki czemu była mniejszym celem. Z każdą mijającą sekundą jej wzrok się przyzwyczajał. Przez uchylony wąż widziała smugi światła omiatające sąsiednie pomieszczenie. Serce biło jej szybciej, przez co bolała ją klatka piersiowa, wiedziała, że ci ludzie jej szukają i prawdopodobnie zaczną strzelać, gdy

ją zauważą.

Desmond i Avery przeszli przez właz. Następnie jej uszu dobiegło pięć stłumionych strzałów. Głos Avery, ledwie słyszalny, zawołał ją z ciemnego korytarza.

– Czysto. Chodź.

Peyton ruszyła, ale zatrzymała się przy wejściu. Desmond i Avery znowu włączyli lampki na hełmach. Światło z trzech innych hełmów skierowane było w sufit, ścianę i podłogę, w zależności od tego, jak upadł zabity żołnierz. Krew płynęła z ran na głowach i piersiach, powoli zalewając podłogę, jedna plama zbliżała się do niej.

Strzały przypomniały jej o Hannah, krwi wypływającej z rany, gdy jechały na tylnym siedzeniu SUV-a w Kenii.

Avery przykucnęła za plecakiem stojącym w kącie. Jej twarz skrywał cień, ale Peyton rozpoznawała rysy. Nie widziała u niej żadnych wyrzutów sumienia, jedynie zimną koncentrację. Wiedziała kobietę, która już wcześniej zabijała i niezbyt się tym przejmowała.

Avery sięgnęła do plecaka, wyjęła telefon komórkowy i zaczęła coś pisać.

– Co robisz? – spytał Desmond zaniepokojony.

– Plan rezerwowy – mruknęła. – Mówiłam ci, że powinniśmy już tam być. Kończy nam się czas. Potrzebujemy dywersji.

Statkiem wstrząsnęły eksplozje.

– Co to było? – spytał Desmond.

– To był odgłos informujący nas o tym, że mamy dodatkowe pięć minut na wydostanie się ze statku.

– Jak?

– Dziury w kadłubie – wyjaśniła Avery. – Statek tonie. – Podeszła do kolejnego włazu. – Strzelaj do wszystkiego, co się rusza, Des. Nie wahaj się.

– Czekaj – powiedziała Peyton. – Przetrzymują moją pracownicę, Hannah Watson.

Avery zerknęła na Desmonda, bezgłośnie mówiąc: *Zamknij się.*

– Czy ona żyje? – spytała Peyton, patrząc raz na nią, raz na niego.



Desmond spojrzał na Avery, która milczała.

– Żyje? – Peyton postąpiła krok w stronę blondynki.

– Nie wiem. Jest w skrzydle szpitalnym.

Wobec tego McClain nie spełnił swojej groźby. Zakończyli operację. Jeśli statek zatonie, nie będą jej ratować. Hannah na pewno zginie.

– Musimy ją zabrać – rzekła Peyton.

– Nie ma szans – odparła szybko Avery. – Najmniejszych. Nie jestem pewna, czy nam uda się uciec.

Peyton błagalnie popatrzyła na Desmonda.

Odwrócił się do Avery.

– Będzie po nas, jak to zrobimy, Des. Serio.

– To umrzemy, próbując. Nikogo nie zostawimy na pewną śmierć.

## ROZDZIAŁ 60

Serce Desmonda waliło w piersi, co skojarzyło mu się z odgłosem ciężarówki jadącej po torach kolejowych. Chwycił karabin, żeby przygotować się na to, co miało nastąpić.

Noktowizor skąpał ciasny korytarz w zielonej poświacie. Avery szła krok przed nim, po prawej stronie, by mógł oddać czysty strzał, gdyby natknęli się na kogoś stawiającego opór.

Peyton złapała go za pasek; ciągnął ją za sobą w ciemności. Od czasu do czasu, kiedy zatrzymywali się lub zmieniali kierunek, wpadała na niego i szeptem przeproszała.

Słyszeli kroki nad sobą i pod sobą. Stłumione głosy odbijały się echem w ciemności, co sprawiało takie wrażenie, jakby porozumiewały się duchy próbujące ich otoczyć.

– Co się dzieje? – spytał Desmond.

– Chaos. Niesubordynacja – wyjaśniła Avery. Wiedział, że ma na podsłuchu radiostację okrętu. – Conner rozkazał nas szukać. Ale prawie wszyscy pobiegli do łodzi ratunkowych i statków pomocniczych.

To było coś. Może jednak mieli jakąś szansę.

Avery przyczaiła się za włazem. Uniosła swój noktowizor, więc Desmond zrobił to samo.

– Tam – powiedziała. – Trzymajcie się ścian. Szybko!

Właz się otworzył. Ciemność rozproszyło światło. W tej sekcji statku był prąd. Mieli inne zasilanie? Może awaryjny generator?

Avery przeszła na drugą stronę włazu i szybko skręciła w prawo. Ale

Desmond musiał się zatrzymać na widok wielkiego pomieszczenia. Było tak długie jak boisko futbolowe i miało niemal podobną szerokość. Sufit wisiał ponad dziesięć metrów nad podłogą. Cała sala została podzielona na rzędy boksów odgradzonych plastikowymi płachtami, w środku świeciły żółte światła jak japońskie lampiony unoszące się nad morzem z betonu.

W każdym boksie stało szpitalne łóżko, na większości leżał nieruchomy pacjent. Jakieś urządzenia cicho popiskiwały, wygrywając niemelodyjną symfonię śmierci. Wózek z workami na zwłoki stał opuszczony w centralnym przejściu.

Desmond już widział to miejsce. W swoich wspomnieniach. Myślał wtedy, że to jakiś magazyn, teraz poznał prawdę.

Statek był pływającym szpitalem, laboratorium, w którym przeprowadzano eksperymenty. Doskonale zaplanowane. Pacjenci nie mieli szans na ucieczkę. Prawdopodobnie przywożono ich i wywożono w kontenerach towarowych. Czyżby zbierali odpowiednich ludzi z całego świata? Wykorzystywali ich i potem się pozbywali zwłok? Ta myśl go przeraziła.

Wstrząśnięta Peyton stała obok niego.

Uwagę Desmonda przykuły dwa ledwie słyszalne pstryknięcia dochodzące z prawej strony. Avery przyzywała go gestem, jej mina mówiła: *Chodź, idioto*. Wyglądało na to, że doskonale radził sobie z odczytywaniem jej gestów, a ona jego. Zastanawiał się, od jak dawna ją zna. I jak ją poznał.

– Czy na statku jest lekarstwo? – wyszeptał.

– Na co?

– Na epidemię w Afryce.

Avery wyglądała na zirytowaną.

– Nie, Des. Nie pamiętasz?

Nie wiedział, co ma o tym myśleć.

– Tutaj testują coś zupełnie innego. To... nieważne. Musimy się spieszyć.

*Testują coś innego.* Desmond zastanawiał się, co to znaczy.

Poszedł za Avery do zewnętrznego rzędu. Na końcu pomieszczenia otworzyła kolejny właz i weszła w korytarz słabo oświetlony lampami awaryjnymi. Cała sekcja medyczna zapewne miała własny system zasilania. Na jednej ścianie ciągnęły się szyby, za którymi znajdowały się nieposprzątane sale operacyjne. Stoły były zakrwawione, krew skapywała na podłogę. Zakrwawione nici chirurgiczne, zaciski, szczypce i skalpele leżały rozrzucone byle gdzie.

W ścianie z nieprzezroczystego materiału po przeciwnej stronie niż sale znajdowały się drzwi. Avery szła szybko i otwierała każde z nich, trzymając karabin gotowy do strzału. Desmond krył jej tyły, omiatając karabinem raz jedną, raz drugą stronę korytarza, podczas gdy Peyton chowała się za jego plecami.

– Znalazłam ją – powiedziała Avery.

Peyton wpadła do pomieszczenia.

Hannah leżała na szpitalnym łóżku, miała zamknięte oczy, jej rudoblond włosy rozsypały się na białej poduszce. W rękę miała wbita igłę kroplówki, obok niej wisiał przezroczysty, plastikowy worek. Na monitorze wyświetlały się pomiary funkcji życiowych.

Peyton zajrzała jej pod powieki.

– Jest pod wpływem środków uspokajających. – Zaczęła odłączać kroplówkę. – Będę ją niosła.

– Nie dasz rady – odparła Avery z naciskiem graniczącym ze złością.

Peyton zamarła w pół ruchu.

– Zaniosę ją.

– Będziemy wchodzić siedem pięter po schodach przeciwpożarowych. Nie uniesiesz jej.

– Ja... – zaczął Desmond, ale Avery posłała mu wymowne spojrzenie.

– Nie, ty nie. Ty musisz walczyć. Na klatce schodowej będzie mnóstwo ludzi. Na pokładzie również.

Desmond wiedział, że tym razem nie ma miejsca na negocjacje. I że Avery ma rację.

– Albo ją wybudzisz i pójdzie o własnych siłach, albo ją tu zostawimy. Twój wybór – Avery zwróciła się do Peyton, która z kolei zerknęła na

Desmonda. Skinął głową, milcząco zgadzając się z Avery. *Decyduj.*

Peyton przez chwilę przyglądała się danym wyświetlanym na monitorze, następnie podeszła w nogi łóżka, jakby czegoś szukała.

– Czego szukasz? – spytała Avery.

– Jej karty. Muszę wiedzieć, co jej podali. I jaką dawkę.

– Karty są w formie elektronicznej – wyjaśniła Avery. Chwyciła Peyton za ramiona. – Słuchaj, jeśli chcesz ją wybudzić, to zrób to natychmiast. Dobrze?

Peyton wypuściła powietrze. Pozornie była spokojna, swoim zachowaniem nie okazywała nerwowości, ale Desmond czuł jej strach. Miał wrażenie, że dobrze ją zna – umiał odczytać skrywane przez nią uczucia, których obcy w ogóle by nie zauważył. Desmond żałował, że nie może w żaden sposób ulżyć Peyton. To, co ona zrobi za chwilę, uratuje lub zakończy życie Hannah. Jeśli ją wybudzi za szybko, dziewczyna pewnie umrze.

Peyton wysunęła szuflady, spojrzała na etykiety na ampułkach, eliminowała jedną po drugiej, dopóki nie znalazła takiej, jakiej potrzebowała. Przygotowała strzykawkę i wsadziła ją do przewodu kroplówki. Powoli naciskała tłoczek i uważnie patrzyła na Hannah. Położyła dłoń na nadgarstku młodej kobiety, żeby monitorować puls.

Na korytarzu za drzwiami rozległo się echo kroków.

Avery znieruchomiała.

Desmond się odwrócił.

Hannah poruszyła się, zaczerpnęła powietrza i cicho jęknęła.

Kroki zatrzymały się.

Avery wycofała się do rogu pokoju za drzwiami i skinęła na Desmonda, żeby do niej dołączył. Peyton schowała się za łóżkiem.

Desmond usłyszał męskie głosy mówiące po niemiecku. Coś na temat zbierania próbek.

Hannah otworzyła oczy. Przeraził ją widok Desmonda i Avery ubranych jak porywacze, z bronią w ręku.

Otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale Peyton wyskoczyła zza łóżka jak pajac na sprężynie i zatkała dłonią usta młodej lekarki. Palec

wskazujący drugiej ręki położyła na swoich ustach.

W sali słyhać było jedynie popiskiwanie sprzętu monitorującego pacjentkę. Gdy piski zwiększyły częstotliwość, Desmond poczuł, że zaczynają mu się pocić dłonie.

W korytarzu znowu było słyhać idących ludzi. Oddalali się – oprócz jednego, który zmierzał w ich stronę.

Avery skinęła na Hannah, by zeszła z łóżka. Peyton odłączyła kroplówkę i pomogła dziewczynie stanąć na podłodze.

Avery wypuściła karabin z rąk, tak że zawisł na pasku. Co ona robi? – zastanawiał się Desmond.

W tej chwili kable łączące Hannah z urządzeniem monitorującym odkleiły się od niej. Popiskiwanie zmieniło się w ciągły dźwięk w chwili, gdy drzwi się uchyliły i w szparze pokazał się karabin półautomatyczny.

Avery wyjęła bagnet z pochwy na nodze. Miał jakieś dwadzieścia centymetrów długości i gumowaną rękojeść. Gdy w drzwiach pojawiła się twarz mężczyzny, skoczyła i wbiła mu ostrze w szyję.

Zacharczał i szeroko otworzył oczy, jakby w niedowierzaniu. Podtrzymała go, gdy padał na podłogę. Przecięła mu tchawicę i kręgosłup jednym precyzyjnym ruchem.

Desmond był pod wrażeniem jej umiejętności i opanowania. Właściwie bezszelestnie wciągnęła mężczyznę za drzwi i ponownie chwyciła karabin.

Kroki pozostałych nadal się oddalały, ich echo z każdą sekundą cichło.

Avery wyjęła ostrze z szyi mężczyzny, wytarła je o jego tułów i wsunęła do pochwy.

– Chodźmy. Ja prowadzę – zwróciła się do Desmonda. – One idą za mną, ty kryjesz tyły. Ruszamy.

Sekundę później była już za drzwiami. Peyton zarzuciła sobie zdrową rękę Hannah na ramiona i pomogła jej wstać. Obie spojrzały z niedowierzaniem na trupa, lecz szybko poszły dalej.

Desmond stał na straży, gdy przemierzały korytarz, idąc za Avery w stronę klatki schodowej rozświetlonej lampami awaryjnymi podobnymi do tych w sekcji szpitalnej.

Avery zatrzymała się na półpiętrze i nasłuchiwała.

Czyjeś głosy rozbrzmiewały pod nimi, odbijając się echem od metalowych ścian. Desmond nie wiedział, czy słyszy dwadzieścia, czy sto osób, miał jedynie świadomość, że jest ich zbyt dużo, żeby się niepostrzeżenie przemknąć, i na pewno za wiele, by z nimi walczyć.

Avery sięgnęła po plecak, wyjęła z niego maskę gazową i podała ją Desmondowi.

– Załóż. Zostań tu, a potem idź za mną.

Pobiegła w górę. Ale nie pojawił się żaden gaz. Nie padły żadne strzały. Słyszał echo głosu Avery mówiącej głośno rozkazującym tonem.

– Kapralu. Mam więźniów pod opieką. Potrzebuję pomocy w pilnowaniu ich.

## ROZDZIAŁ 61

Mina Peyton wyrażała to, czego obawiał się Desmond: *Zdradziła nas*. Tłumił w sobie ten strach od chwili, gdy Avery uwolniła go z celi. Dla kogo pracowała? Jaki był jej ukryty cel? Dlaczego ich uwolniła?

Na górze wywiązała się jakaś dyskusja. Avery kłóciła się z innym mężczyzną.

– To są rozkazy McClaina. Już po tobie, człowieku. Zejdź mi z drogi.

Znowu wymiana zdań, po czym Avery wychyliła się przez barierkę i krzyknęła:

– Johnson, przyprowadź je.

Zeszła kilka schodów w dół.

– Johnson, bierz dupę w troki i chodź tu z tymi babami. Jesteśmy gotowi.

Desmond w końcu zrozumiał jej świetny plan. Wyraz twarzy Peyton świadczył o tym, że i ona połapała się, o co chodzi.

Nadal w masce gazowej, skinął na lekarki, by szły przed nim.

W sali chorych Desmond trochę się martwił tym, czy Hannah da radę wejść po schodach. Teraz z ulgą zobaczył, że nadąza za Peyton. Jej nogi wydawały się silniejsze z każdym krokiem, być może dlatego, że środki uspokajające przestawały działać.

Na półpiętrze czekali dwaj młodzi żołnierze w mundurach podobnych do tych, które nosili Avery i Desmond.

– Gdzie Hughes? – spytał jeden z nich.

– Nie żyje – powiedziała Avery beznamiętnie.



Zrobili wielkie oczy.

– Dalej, idziemy, bo nam też to grozi.

Dwaj mężczyźni ruszyli w górę.

Avery poszła za nimi, potem dwie lekarki, Desmond ponownie zamykał pochód.

Jeden z żołnierzy czekał na nich na następnym półpiętrze, odpychając innych żołnierzy i dwóch cywilów, żeby zrobić dla nich przejście.

– Odsunąć się, rozkazy McClaina – warknął.

W chwili gdy zeszli z półpiętra, znowu wszedł na schody i wysforował się na prowadzenie.

Drugi żołnierz stał na kolejnym półpiętrze i w podobny sposób torował im przejście.

Jej plan się sprawdzał. Może rzeczywiście im się uda.

Następny poziom przebyli bez żadnych problemów. I kolejny również. Tłum był coraz gęstszy. Klatka schodowa zapchana była ludźmi, głównie cywilami próbującymi dostać się na pokład.

Avery przyspieszyła. Desmond musiał popędzać Peyton i Hannah. Wspinali się po schodach, mocno trzymając się poręczy, obie kobiety głośno sapały. Bandaż na ramieniu Hannah nasiąkł krwią. Po policzkach płynęły jej łzy, gdy nieskutecznie próbowała głęboko odetchnąć, co według Desmonda musiało bardzo ją boleć.

Gdy zbliżali się do kolejnego półpiętra, wysoki mężczyzna wchodzący na klatkę schodową, krzyknął:

– Avery! Zatrzymaj się.

Wskazała na niego i wrzasnęła:

– Zdrajca! Buntownik!

Umundurowani strażnicy przez chwilę nie wiedzieli, co robić. Mężczyzna uniósł broń, ale Avery była szybsza. Pocisk trafił najemnika w klatkę piersiową, a odrzut pchnął go w tłum, który się rozstał. Ludzie krzyczeli i wybiegali na korytarz lub wbiegali po schodach – oprócz czterech żołnierzy, którzy zapewne przyszli z postrzelonym mężczyzną.

Unieśli broń, by strzelić do Avery. Jednak kapral, którego sobie

zjednała, stanął przed nią i również uniósł karabin.

– Opuścić broń – rozkazał.

– Ona kłamie – oświadczył jeden z żołnierzy. – Uwolniła ich z więzienia.

Kapral zawahał się, zerknął na Avery. To był jego błąd. Jeden z mężczyzn strzelił mu w pierś. Zatoczył się, po czym przeleciał przez barierkę, odwrócił się w powietrzu i spadł na półpiętro.

Avery zaczęła strzelać.

Dwóch żołnierzy upadło, zaraz potem przewrócił się trzeci. Ostatni z nich uciekł z klatki schodowej.

Avery ruszyła do góry jeszcze szybciej.

Gdy mijala ciała zastrzelonych żołnierzy, wykrzykiwała rozkazy do swojego człowieka na górze.

– Osłaniajcie nas, sierżancie!

Sierżant zerknął przez barierki. Wyglądał na niezdecydowanego, ale skinął głową.

Cała ich czwórka mknęła w górę schodów, które nad nimi były puste. Stanowili łatwy cel.

Avery pierwsza dotarła na półpiętro. Przez uchylony właz wpadało światło słoneczne. Tam czekała wolność. Lub śmierć, pomyślał Desmond. Wszyscy przywarli do ściany, uważając, by nikt z zewnątrz nie miał czystego strzału.

– Dobra robota, sierżancie – powiedziała Avery. – Zajmijcie pozycję piętro niżej i ubezpieczajcie nas.

Mężczyzna wyszedł bez słowa. Kiedy zniknął im z pola widzenia, Avery zdjęła plecak i wyjęła okrągłe lustro na długiej rączce. Wysunęła je w stronę włazu, by zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz.

Nie spodobało jej się to, co ujrzała.

Schowała lustro i z plecaka wyjęła trzy granaty i dwa podłużne przedmioty.

– Helikopter stoi na lądowisku na dziesiątej. Jest dobrze pilnowany. Po drugiej stronie pokładu wyladowują statek pomocniczy i szalupy ratunkowe. – Zamilkła i spojrzała na Desmonda. – Zrobi się gorąco.

Będę potrzebowała twojej pomocy.

Desmond wiedział, o co go prosi. Kiedy się odezwał, jego głos wyrażał pewność siebie, chociaż on sam nie był przekonany do tego planu.

– Rozumiem.

Rzuciła dwa granaty, a potem dwa podłużne przedmioty. Eksplozje wstrząsnęły pokładem, a przez uchylony właz wpadła fala gorąca.

– Chodźmy – ponagliła ich Avery i pobiegła przez chmurę dymu. Peyton i Hannah ruszyły za nią, Desmond trzymał się z tyłu.

Natychmiast padły strzały. Desmond słyszał, że Avery też strzela, ale widział tylko jej plecy, nie postacie, do których celowała. Wiatr podrywał dym i kręcił nim jak na prerii, gdy nie mógł się zdecydować, w którą stronę wiać.

Kula przeleciała obok głowy Desmonda. Próbował kierować się dźwiękiem, ale to nie miało sensu. Wokół niego panował chaos. W rzednącym dymie zauważył grupy krzyczących ludzi, biegnących do statku pomocniczego i szalup, w większości ubranych w kamizelki ratunkowe.

Na krótką chwilę wiatr przegonił dym, jakby kurtyna poszła w górę, i Desmond zobaczył helikopter daleko przed nimi. Avery oddaliła się od Peyton i Hannah, które poruszały się tak szybko, jak mogły. Avery zastrzeliła dwóch strażników pilnujących śmigłowca. Weszła do kabiny, a kilka sekund później wskoczyła tam Peyton i pomogła wdrapać się Hannah.

Desmond odwrócił się tyłem do helikoptera, osłaniając je podczas uruchamiania silników. Po czasie, który wydawał mu się wiecznością, wirniki ruszyły, wzbijane przez nie powietrze chłostało jego plecy, rozganiając dym i ujawniając rozmiar masakry – rannych i martwych żołnierzy.

Desmond przełknął ślinę, wiedząc, czego może się spodziewać. Kolbę karabinu oparł na ramieniu, palec położył na spuście.

Najbardziej pragnął usłyszeć głos Avery wołającej go, by wsiadał.

Jakaś postać wypadła z luku prowadzącego na klatkę schodową. Desmond miał pół sekundy, by ją ocenić. Czarna kamizelka

kuloodporną. Karabin uniesiony. Mężczyznę na chwilę oślepiło światło słoneczne.

Desmond nacisnął spust.

Pudło. Drugi pocisk trafił mężczyznę w ramię. Trzeci go zabił.

Desmond spodziewał się, że coś poczuje, ale żadne wyrzuty się nie pojawiły. Był całkowicie skupiony na trzymanej w rękach broni.

Ponad warkotem wirników usłyszał wołanie Avery.

W chwili gdy jego noga znalazła się na stopniu helikoptera, maszyna oderwała się od pokładu.

Peyton chwyciła go za rękę i wciągnęła do środka. Przez otwarte drzwi patrzył na tonący, spowity dymem statek towarowy.

Szybko sprawdził, co z Peyton. Czują się dobrze. Nie mógł powiedzieć tego samego o młodszej kobiecie. Wysięk i wzrost ciśnienia okazały się fatalne dla Hannah. Z jej rany buchała ciemna krew. Zalewał ją pot. Była blada. Zbyt blada.

Peyton przybliżyła się do niego. Jej usta zetknęły się z jego uchem, bo musiała przekrzyczeć hałas maszyny.

– Pomóż mi znaleźć apteczkę. Szybko. Ona się wykrwawia.

## ROZDZIAŁ 62

Ze stateczku dryfującego po Oceanie Indyjskim Conner przyglądał się, jak *Kentaro Maru* idzie na dno. Z każdą sekundą morze pochłaniało dymiący kadłub. W przeciwieństwie do *Beagle* statek nigdy nie zostanie znaleziony. Był tego pewien.

- Ktoś pomógł Hughesowi – powiedział kapitan.
- Cóż za dedukcja – mruknął Conner.
- Czy powinniśmy...
- Zajmę się tym. Mam to pod kontrolą.



Desmond pomagał Peyton zszyć ranę na ramieniu Hannah. Zajął się nią w skupieniu i z opanowaniem, nie marnując ani sekundy.

Desmond nie miał wątpliwości, że ocalała życie młodszej kobiety. Hannah była bardzo blada i wycieńczona. Krew pokrywała podłogę helikoptera. Wokół wałały się waciki i pudełka po środkach medycznych, wznosząc się nad krwistoczerwonym morzem jak wyspy wulkaniczne.

Peyton opadła na kolana. Ciężko oddychała, zupełnie jakby całkowicie opuściły ją siły. Desmond przeczuwał, że sama zaraz zemdleje. To musiało być dla niej niezwykle stresujące przeżycie – w jej rękach spoczywało życie koleżanki i zdawała sobie sprawę, że każdy jej błąd może zakończyć się tragicznie.

Posłała Desmondowi spojrzenie, które zinterpretował jako sceptyczne.

Następnie przysunęła się bliżej niego, jej usta znalazły się zaledwie kilka centymetrów od jego ucha, i zadała mu pytanie, którego nie mogła usłyszeć Avery siedząca w fotelu pilota.

– Co się tutaj dzieje, Des?

Ton jej głosu był inny niż na statku. Był jakby... łagodniejszy i znajomy.

– Co masz na myśli?

– Dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś mnie nie znał?

Zrobił wielkie oczy. To była prawda. Naprawdę się znali. Szybko jej zrelacjonował, jak obudził się w Berlinie i nie pamiętał, jak się tam znalazł.

– Musimy porozmawiać – oświadczyła. – Jest coś, o czym musisz wiedzieć. Ale najpierw... – Rozejrzała się wokół i znalazła słuchawki wiszące na suficie, które zaraz założyła.

Desmond wziął drugą parę.

– Avery. – Głos Peyton znowu był szorstki, prawie rozkazujący. – Trzeba zawieźć Hannah do szpitala. Straciła za dużo krwi.

Avery zerknęła na nią.

Desmond wyczuł, że zbliża się kolejna sprzeczka między kobietami. Mając nadzieję, że jej uniknie, zapytał Avery, gdzie się znajdują.

– Nad wybrzeżem Kenii, w pobliżu granicy z Tanzanią.

– Jaki jest plan?

– Wezwać pomoc – powiedziała po prostu. Desmond zrozumiał, że nie chce się nad tym rozwodzić, może dlatego, że jej ostatnie plany były kwestionowane i pasażerowie wprowadzali do nich poprawki.

– Dokąd zmierzamy? – spytała Peyton.

– Do Mombasy.

Peyton się skrzywiła.

– W Mombasie nie ma ambasady amerykańskiej. Ani nawet konsulatu. Miałam to w notatkach z CDC. W zasadzie żadne zachodnie kraje nie mają ambasad ani konsulatów w tym mieście. Jest tam zbyt niebezpiecznie; kilka lat temu zostały zamknięte.

Milczenie.

– Na dworcu autobusowym jest szafka, w której znajduje się zestaw polowy – powiedziała w końcu.

– Do czego nam się przyda? – spytał Desmond.

– W środku jest telefon satelitarny. Zadzwoń do mojego asystenta. Zorganizuje nam odwrót.

Asystent? – pomyślał Desmond.

Peyton uważnie się przyglądała Avery. Nie ufała jej.

– Nie zabrałaś ze sobą telefonu satelitarnego? – spytała Peyton.

– Nie mogłam żadnego zorganizować – odparła Avery. – Na statku obowiązywał zakaz używania radia. Widziałeś, że nawet strażnicy korzystali z telefonów komórkowych, wszystko znajdowało się pod kluczem. – Zwróciła się do Desmonda: – Ponadto mogliby wytropić telefon satelitarny zabrany ze statku.

– Zakładając, że dotrzemy do skrytki i nawiążemy kontakt, to jak wydostaniemy się z Mombasy? – spytał Desmond.

– Jest tam kenijska baza morska oraz duże lotnisko.

– Są tam również dobre szpitale – dodała Peyton. – Szpital Aga Khan byłby najlepszy.

Avery pokręciła głową.

– Słuchaj, unieruchomiłam drugi śmigłowiec na *Kentaro Maru*, ale Conner McClain jest bardzo bystry i wie, że mamy na pokładzie ranną. Zapewne już wynajął przekupnego glinę, najemnika i łowcę nagród w Mombasie i w każdym innym mieście na wybrzeżu, żeby nas namierzyli. A szpitale i lotniska będą pierwszymi miejscami, które sprawdzą.

Peyton miała zaprotestować, kiedy jej uwagę przykuł dym na horyzoncie.

Mombasa płonęła.

## ROZDZIAŁ 63

Chmura dymu nad Mombasą była tak gęsta, że nie widzieli miasta. Kilka minut później, po żarliwej dyskusji, Desmond, Peyton i Avery ustalili, że mimo wszystko trzeba lądować w mieście, bo wtedy będą mieli największą szansę na wydostanie się z Kenii.

Desmond usiadł z tyłu śmigłowca i zamknął oczy. Widok miasta na wybrzeżu przypominał mu o innym miejscu i innym życiu. W pewnym sensie przypominał mu również o Peyton, ale wspomnienie o niej było tylko przelotne. Wyczuł, że jej widok i dotyk w helikopterze podczas ucieczki był jakimś kluczem odblokowującym kolejne wspomnienie.



Tej nocy, gdy Desmond pozbył się ciała Dale'a Epply'ego w pobliżu Slaughterville w Oklahomie, zastanawiał się, dokąd jechać. Rozważał trzy miejsca: Seattle, Nowy Jork i Dolinę Krzemową. Dzięki niezliczonym sesjom na czacie poznał ludzi podobnych do siebie pochodzących z całego kraju i ze świata, ale większość z nich mieszkała wokół Doliny Krzemowej, w miastach takich jak Menlo Park, Palo Alto, Mountain View i Sunnyvale. Nie mógł się doczekać chwili, gdy tam dotrze i zacznie życie na nowo.

Jechał całymi dniami, nocą rozbijał obozowisko. Przestrzegał przepisów drogowych i unikał hoteli – nie chciał zostawiać za sobą śladów, na wypadek gdyby ktoś z Oklahomy go szukał. Dzięki skarbowi



znalezionemu w sejfie Orville'a pieniądze nie stanowiły problemu.

Był ranek, kiedy przejeżdżał obok Fremont i Newark przez most Dumbarton nad zatoką San Francisco i wjeżdżał do Palo Alto. Znalazł mały parking przy autostradzie Bayshore i zaczął rozpytywać, czy nie mają czegoś na sprzedaż. Kilka godzin później targował się z brodatym staruszkiem żującym tabakę i słuchającym radia o cenę wysłużonej przyczepy Airstream. Mężczyzna twierdził, że niedomaga na zdrowiu i niedługo będzie wachał kwiatki od spodu.

– Chcesz obrabować człowieka na łożu śmierci?

Kiedy Desmond wreszcie ustalił cenę na taką, którą mógł zaakceptować, na prośbę sprzedawcy wyłożył kilka banknotów studolarowych – powoli kładąc jeden po drugim, by mężczyzna mógł je policzyć na głos. Staruszek życzył mu szczęścia i powiedział, żeby dbał o przyczepę. Następnie przeszedł na drugą stronę ulicy i wprowadził się do innej mieszkanek parkingu – kobiety, która, jak Desmond później się dowiedział, była jego partnerką.

Desmond przyłączył przyczepę do swojego jeepa i zaholował ją w miejsce, które wynajął. Następnie ogolił się, umył i kupił jedzenie w pobliskim sklepie spożywczym.

Kiedy tylko rozstawił komputer na stole w przyczepie, podłączył się do Internetu i zaczął rozmawiać na czacie. Na szczęście parking dla przyczep udostępniał łącze telefoniczne jako jedną z usług i mógł podłączyć modem. W ciągu godziny był umówiony na trzy rozmowy o pracę w obiecujących start-upach informatycznych.

Następnego dnia rano trochę martwił się swoim wyglądem. Niedługo miał skończyć dziewiętnaście lat, ale przez większość życia pracował fizycznie na dworze. Wiatr i słońce postarzyły go trochę, ale nie wystarczająco, nadal wyglądał jak nastolatek. Był również zbudowany jak linebacker z drużyny futbolowej, a nie jak komputerowiec. Spodziewał się, że zupełnie nie będzie pasował do pozostałych i zostanie odrzucony za sam wygląd.

Żeby jakoś sobie pomóc, kupił ciemny garnitur, białą koszulę na guziki i krawat. Sprzedawca w Macy's zawiązał go dla niego. Kupił nawet

pantofle do garnituru, w których dziwnie się czuł po latach spędzonych w butach z czubkami wzmocnionymi metalem. Ogolony, umyty, pachnący i ubrany w nowiutki garnitur wydawał się sobie wystrojony jak łobuz na bal maturalny. Wciąż się denerwował.

Niepokoił się także, czy jego umiejętności programisty będą wystarczające. Bawił się różnymi językami programowania na stronie GeoCities i na innych, ale nie miał pojęcia, z jakich języków korzystają start-upy.

Jego obawy związane z wyglądem rozwiały się podczas pierwszej rozmowy. Prawie w ogóle na niego nie patrzyli. Wszyscy nosili T-shirty i sandały.

W ciasnej sali konferencyjnej dyrektor do spraw technologii, Neil Ellison, podał mu kilka stron z opisem problemu w języku PERL, który znał.

– Jeśli nie znasz PERL, możesz od razu wyjść.

Desmond wziął ołówek i zaczął pisać.

– Znajdź mnie, jak skończysz.

Desmond nawet nie podniósł głowy. Piętnaście minut później podszedł do Ellisona.

– Jakiś problem?

– Skończyłem.

Mężczyzna zerknął na kartkę, już miał ją odłożyć, gdy zobaczył coś, co sprawiło, że przyjrzał jej się uważniej.

Inny programista zerknął mu nad ramieniem.

– Źle – powiedział lekceważąco.

– Nie – zaprotestował Ellison. – To lepsze rozwiązanie od naszego.

Ellison oderwał wzrok od kartki.

– Jak się nazywasz?



Następne dwie rozmowy przebiegły w podobnym stylu. Zmieniały się jedynie języki programowania. Desmond rozwiązywał problemy w PHP,

Javascript i Phytonie. Pod koniec dnia miał na piśmie trzy oferty pracy. Najpierw wybrał obiecujący start-up o nazwie xTV, ale potrzebował pomocy: nie rozumiał połowy tego, co było w umowie.

Popytał wkoło, żeby doradzili mu dobrego prawnika i jeszcze tego samego dnia siedział w biurze Wallace'a Sinclaira, adwokata. Miał ładne biuro, więc Desmond zaczął się martwić o koszt porady.

Największym rozczarowaniem związanym z ofertami pracy było to, że nie dawały mu automatycznie udziałów w firmie. Zamiast tego udostępniały coś, co nazywało się okresem nabywania uprawnień: z czasem dostanie pakiet akcji, jeśli pozostanie w firmie. I nie był to pakiet wręczany bezpłatnie; miał jedynie zapewnione to, że będzie mógł je nabyć po ustalonej cenie.

– Co mi to da? – spytał Desmond.

– Jeśli cena wzrośnie, da ci bardzo dużo – wyjaśnił Wallace. – Pomyśl. Jeśli masz możliwość nabycia pakietu akcji po jednym dolarze, a na giełdzie są one warte piętnaście dolarów, twój zysk wynosi czternaście dolarów na jednej akcji.

Desmond to rozumiał.

– Najlepsze jest to, że nie musisz płacić podatku od akcji, które ci przysługują, zakładając, że kurs wykonania jest równy ich wartości. Są bezwartościowe, dopóki ich cena nie pójdzie w górę.

W kontrakcie były również zapisy o niejawności i zobowiązaniu do niekonkurowania. Wallace również je wyjaśnił.

– Czasami zdarzają się zapisy o zwrocie aktywów lub umowy nabycia/zbycia – wyjaśnił. – Ty tego nie masz. Ten kontrakt wygląda całkiem nieźle. Ja bym go podpisał.

Desmond podziękował mężczyźnie i poprosił o przesłanie mu rachunku. Zapisał mu adres na parkingu dla przyczep.

Wallace spojrzał na adres.

– Zapomnij o tym, Desmondzie. Pamiętaj o mnie, jak założysz firmę lub znajdziesz jakąś poważniejszą pracę.

Desmondowi to się podobało. Znaczyło bowiem, że prawnik zauważył jego potencjał i miał ochotę postawić na Desmonda na wypadek, gdyby

w przyszłości stał się grubą rybą.

Zadzwoił do xTV tego wieczoru i powiedział, że może zacząć następnego dnia, jeśli zaoferują mu większy pakiet kosztem niższej pensji. Potrzebował tylko tyle, by się utrzymać. Zgodzili się.



Desmondowi podobała się praca w start-upie. Była niezwykle podobna do pracy na polu naftowym: długie godziny, nieprzekraczalne terminy, zestresowani ludzie napędzani kawą i napojami energetycznymi, a także zwariowane imprezy co jakiś czas. Orville i on balowali w podejrzanym spelunach, klubach ze striptizem i kasynach, imprezy firmowe natomiast organizowano w eleganckich restauracjach i hotelowych salach balowych. Desmond nie umiał sobie wyobrazić, ile to musiało kosztować. To była chyba jedyna rzecz, która go martwiła w firmie.

Nie on jeden się niepokoił. Ludzie w księgowości bez przerwy przejmowali się comiesięcznymi wydatkami. Natomiast prezes wydawał się tym zupełnie niezainteresowany.

W hotelowej sali balowej w pewien piątkowy wieczór przed pracownikami i gośćmi stanął ich wizjonerski założyciel i ogłosił, że xTV właśnie zyskała milionowego użytkownika.

Rozległy się wiwaty.

Chodził po scenie z mikrofonem w ręce.

– Demokratyzujemy telewizję. Dzięki kamerom wideo, które zapewniamy, nasi użytkownicy mogą nagrywać to, co widzowie naprawdę chcą oglądać: prawdziwe życie. Mogą też wgrywać nagrania bezpośrednio na stronę xTV, dzięki czemu zarabiają pieniądze. – Na ekranie za jego plecami rozpoczął się pokaz fragmentów klipów z wyciszonym dźwiękiem. – Mamy farmera w Dakocie Południowej, który pokazuje ludziom trudy swojego życia. Nastoletnią matkę w Atlancie, która ledwie wiąże koniec z końcem. Artystę na Brooklynie sprzedającego swoje obrazy w metrze i kawiarniach. Piosenkarza w Seattle. Zawody wędkarskie w Alabamie. Tor wyścigowy w Karolinie

Północnej. Strażaka w Chicago. To jest prawdziwe życie. To są historie, które chcemy oglądać. Wraz z coraz powszechniejszym dostępem do szybkiego Internetu więcej ludzi będzie się gromadziło przed xTV i naszymi nowatorskimi treściami. Zapamiętajcie moje słowa: pewnego dnia nie będziemy potrzebować kabli. Ani satelity. Wejdziecie do Circuit City i kupicie sobie telewizor z dostępem do Internetu. I każdego wieczoru będziecie oglądać xTV. Za kilka lat będziemy więksi niż Viacom i TimeWarner razem wzięte. To my jesteśmy przyszłością telewizji. Umożliwiamy ludziom opowiadanie własnych historii. To nasza misja.

Desmond wierzył w każde jego słowo. Wszyscy wierzyli. Znowu zaczęli wiwatować. Lał się szampan i pili chyba wszyscy oprócz Desmonda.



Kilka miesięcy później Desmond został zaproszony na przyjęcie halloweenowe, które organizował jeden z programistów. Kusiło go, żeby nie iść, ale prawda była taka, że dla odmiany chciał przełamać codzienną rutynę – pracy i snu. Powiedziano mu, że będą tam niektórzy koledzy z pracy, lecz przede wszystkim studenci i niedawni absolwenci, tak jak ich gospodarz.

Rozwagał dwie możliwości. Albo się nie przebierać, albo dać z siebie wszystko. Obie były ryzykowne. Wobec tego postawił na coś pomiędzy. Włożył czarny garnitur, który kupił na rozmowę kwalifikacyjną i miał na sobie tylko raz, do tego dokupił czarną perukę za pięć dolarów. W OfficeMax nabył plastikowy identyfikator z klipsem. Na białej kartce wydrukował: FBI, a poniżej FOX MULDER, AGENT SPECJALNY. Wyglądało to na prowizorkę, ale powinno wystarczyć.

Przyjęcie odbywało się na ranchu w Palo Alto, które wynajmowali czterej programiści. Właściciele nie byli zwolennikami daleko posuniętych modernizacji, więc dom nadal miał styl lat .70, jakby żywcem wyjęty z serialu *Brady Bunch*: gruby, stary dywan w pomarańczowym kolorze, sklepiiony sufit, duże okna, brak ścianek

działowych i przesuwane drzwi prowadzące do basenu, który nie był czyszczony od przyjęcia wydanego z okazji ukończenia szkoły przez Marcję[16].

Desmond cieszył się, że się przebrał. Wszyscy byli wystrojeni. Imprezowicze nie wydali fortuny na swoje przebrania, ale było jasne, że poświęcili im sporo czasu i wysiłku. Było sporo przebrań nawiązujących do *Wojen Gwiezdnych* i *Star Treka*. W pokoju dostrzegł trzy koczeki à la księżniczka Lea. Kręciło się dwóch Darthów Vaderów, którzy po cichu podchodzili do małych grupek. Ich błyszczące stroje wykonane były głównie z czarnych worków na śmieci. Było pół tuzina Luke'ów Skywalkerów. Data i Worf ze *Star Treka: Następne pokolenie* mieli po trzech przedstawicieli. Samotny komandor porucznik Geordi La Forge pił piwo Michelob Light. Zamiast charakterystycznej osłony na oczy miał zmodyfikowaną opaskę na włosy i właśnie mówił jakiejś nastolatce, że równie dobrze może zdjąć górę ubrania, bo on jest w stanie przejrzeć jej bluzkę na wylot dzięki swojej osłonie. Kiedy podniósł butelkę do ust, uniosła bluzkę i odeszła, mamrocząc: „Założę się, że się nie spodziewałeś”.

Przy wyspie kuchennej stał blady, biały nastolatek w czepku upodabniającym go do łysielca i czerwonym mundurze ze *Star Treka*, i pilnował, co wlewane jest do blendera. Kiedy zawartość osiągnęła górną granicę, powiedział: „Do ataku”. Chwycił dół swojej tuniki, odwrócił się i prawie krzyżąc, dodał: „Macie mostek, pierwszy”. Nie wiadomo, do kogo się zwracał.

Jeden z Darthów Vaderów poprosił dziewczynę przebraną za Marge Simpson, żeby przyniosła mu piwo.

– Myślałam, że przyjechałeś autem? – spytała.

Znieruchomiał i odezwał się niskim głosem.

– Zmieniam umowę. Módl się, *żeby* jej bardziej nie zmienił.

Ludzie rozgrywali różne pijackie gry. Grała głośna muzyka (w tym momencie Green Day). Na korytarzu stały kolejki do dwóch łazienek.

Desmond poczuł ulgę, że nie zobaczył żadnego innego agenta Focha Muldera, chociaż była jedna Scully. Miała całkiem niezłe przebranie:

czarne spodnium i białą koszulę na guziki z kołnierzem wyłożonym na klapy zakietu. Wydrukowała swój identyfikator na drukarce; było na nim nawet jej zdjęcie obok dużych liter FBI. Ruda peruka miała odpowiedni odcień. Dziewczyna była szczupła, miała ciemnobrązowe brwi, jasną skórę i niecałe metr siedemdziesiąt wzrostu. Jej oczy były nieco za duże w stosunku do twarzy; Desmond uważał to za atrakcyjne.

Stała w grupie pięciorga osób i trzymała czerwony kubek, na który nie zwracała większej uwagi, kiedy zbliżył się do niej jeden z Luke'ów Skywalkerów. Jego skrzydłowym był Darth Vader.

Facet mówił nosowym tonem z wyćwiczoną swobodą.

– Przepraszam, czy mam rozumieć, że jest pani Fantastyczną Boginią Intymności?

Scully uśmiechnęła się, ale nie roześmiała.

– Dobry strzał. Wróć, kiedy wpadniesz na coś lepszego, Padawanie.

Skywalker zerknął na Vadera.

– Moc jest z nią.

To rozśmieszyło Desmonda. Żałosny dupek.

Obaj zniknęli w tłumie, Scully natomiast popatrzyła wprost na Desmonda.

Spędził niezliczone godziny w barach, był świadkiem jakichś dziesięciu tysięcy podrywów. W tym czasie nauczył się dwóch rzeczy. Po pierwsze, jeśli widzisz dziewczynę, która cię interesuje, nie wahaj się. Działaj od chwili, gdy nawiążesz kontakt wzrokowy. Po drugie, wyuczone kwestie są bezużyteczne. Kobieta albo się tobą zainteresuje, albo nie; one to wiedzą instynktownie. Nie wybierają faceta na podstawie wyuczonego podrywu. Pewność siebie jest uniwersalną cechą przyciągającą, a nic nie mówi tak dużo na temat pewności siebie jak brak wyuczonych kwestii.

Nie przerywał kontaktu wzrokowego, gdy podchodził do niej.

– Cześć.

– Cześć.

– Jestem Fox Mulder.

Wyciągnęła rękę. Była maleńka w jego dłoni.

– Dana Scully. – Miała stoicką minę; Desmond sądził, że całkiem

dobrze naśladowuje bohaterkę, za którą się przebrała. Urodzona aktorka.

– Wiem, dlaczego tu jesteś.

– Serio?

– Zostałaś tu wysłana, żeby podważyć to, co robię.

– Cóż mam powiedzieć, Mulder? Jestem kobietą nauki.

– W kontekście nauki to, co wiem, jest nieprzydatne. Znaczenie ma jedynie dowód przyjętej hipotezy.

Założyła kosmyk włosów za ucho. Zauważył jej ciemnobrązowe włosy pod peruką.

– Czym się obecnie zajmujesz? – zapytała.

Westchnął teatralnie.

– Trudną sprawą. Są doniesienia o pojawieniu się anormalnego przedstawiciela ludzi w okolicy Palo Alto.

– Jak to anormalnego?

– Anomalii, Scully. Kobiety, która nie poddaje się żadnym znanym normom ludzkości. Paranormalna inteligencja i atrakcyjność. Ostry dowcip. Może mamy do czynienia z wytworem inżynierii genetycznej. Być może palce w tym maczały istoty pozaziemskie.

W końcu wyszła z roli, uśmiechnęła się i krótko roześmiała, po czym znowu wcieliła się w swoją bohaterkę.

– Nadzwyczajne przypadki wymagają nadzwyczajnych dowodów.

– Niedawno potwierdziłem dowody.

Za rękę złapała ją jedna z jej przyjaciółek, przebrana za Umę Thurman z *Pulp Fiction*.

– Hej, tu jesteś. Chodźmy. – Dziewczyna była bardzo pijana.

– Tak, za chwilę – odpowiedziała szybko Scully.

– Nie, chodź! Paul i Ross już wyszli. Idziemy. – Dziewczyna zaczęła ją ciągnąć.

Scully się odwróciła.

– Przepraszam. Obowiązki wzywają. – Na jej ustach pojawił się skromny uśmiech. – Powodzenia w twojej sprawie.

Zerknęła na niego po raz ostatni, zanim przyjaciółka wywlekła ją przez drzwi frontowe.



W kuchni Desmond poczekał, aż blender przestanie mieszać nowy dzban margarity.

– Kim była dziewczyna przebrana za Scully? – spytał gospodarza.

Ten skupił się na przelewaniu drinka.

– Scully? To... Ach, tak. Peyton Shaw.



Desmond otworzył oczy i popatrzył na Peyton, która nadal na kolanach trzymała głowę Hannah.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Cześć, Scully.

Peyton spojrzała mu w oczy. Ku swojemu zdziwieniu dostrzegł zaskoczenie, a potem chyba strach. Na jej ustach pojawił się smutny, skruszony uśmiech.

– No co?

– Ile pamiętasz? – spytała.

– Spotkaliśmy się w Palo Alto. Na przyjęciu halloweenowym.

Skinęła głową, ale nie skomentowała.

– Powiedziałem coś złego?

Pokręciła głową.

– Hej – ponaglił. – Co zaszło między nami?

Zanim mu wyjaśniła, z kabiny pilota odezwała się Avery.

– Pobudka! Załóżcie słuchawki.

Desmond zrobił wielkie oczy, gdy zobaczył scenę rozgrywającą się przed szybą śmigłowca.

[16] Marcia – jedna z córek głównych bohaterów serialu *The Brady Bunch* nadawanego w USA od 1969 do 1974 roku.

## ROZDZIAŁ 64

Avery przyciągnęła do siebie drążek i przeleciała nad dymem unoszącym się nad Mombasą. Minutę później Peyton po raz pierwszy ujrzała obraz masakry.

Mombasa była drugim co do wielkości miastem Kenii i największym portem w Afryce Wschodniej. W centrum rozległej metropolii leżała wyspa, połączona groblami z trzema półwyspami. Teraz te groble były zablokowane samochodami i ludźmi próbującymi uciec z wyspy. Z góry wyglądali jak mrówki maszerujące przez most i uciekające przed panującym chaosem.

Płonęła rafineria ropy naftowej Changamwe, która leżała w tylnej części wyspy, czarny dym snuł się tuż przed jednym z mostów łączących ją z lądem. Zbiorniki i przewody doprowadzające ropę dostarczą ogniowi niemal niewyczerpanego źródła paliwa.

Požary to nie był jedyny problem. Jakiś tuzin dużych statków towarowych zostało zatopionych przy wejściu do zatoki, prostokątne metalowe kontenery unosiły się na wodzie, góra stali uformowała nieprzekraczalną barierę.

– Zablokowali port – powiedziała Avery do mikrofonu. – Może zrobili to sami Kenijczycy, żeby się odgradzić.

– Albo jakiś inny naród – wtrącił Desmond. – Żeby się chronić. – Patrzył przez okno, mrużył oczy. – Zbombardowali pasy startowe na lotnisku.

Peyton z lękiem obserwowała miasto. Z powietrza widziała jeden ze

szpitali. Na zewnątrz kłębił się tłum, setki ludzi chciały dostać się do środka. Na ulicach leżały ciała, ludzie umierali, byli zdeptywani.

Mombasa była jej najgorszym koszmarem: niekontrolowana epidemia w dużym mieście, miliony ludzi na łasce patogenu, na który nie ma leku i zalecanego leczenia, wszyscy skazani na cierpienie i śmierć. Peyton poświęciła swoje życie, by takie sceny nigdy się nie rozgrywały. Przyleciała do Kenii, żeby im zapobiec. A mimo to patrzyła na koszmar. Przegrała. Została pokonana.

Jeśli w Mombasie działo się coś takiego, zastanawiała się, jak wygląda Nairobi. Jak wygląda Ameryka.

W tej chwili odsunęła na bok lęk o własne bezpieczeństwo, a także o życie Hannah.

Musiała od czegoś zacząć, musiała wiedzieć, jak długo znajdowała się w rękach porywaczy, jak długo wirus szalał na wolności.

– Jaki dziś dzień? – zapytała.

– Poniedziałek – powiedziała Avery.

To był dla niej szok. Przyleciała do Nairobi poprzedniej niedzieli, cały tydzień temu.

– Jaki status ma epidemia w Kenii? – zapytała nagłym tonem.

– Nie wiem – odparła Avery.

– Jak to nie wiesz? – Peyton nawet nie próbowała ukryć niedowierzania.

– Powtarzam, mieliśmy zakaz używania radia. Wszelkie informacje na temat epidemii były ściśle strzeżone. Ludzie ze statku też mają rodziny. Słyszałam tylko plotki.

– Takie jak? – Peyton była przekonana, że Avery kłamie, a przynajmniej nie chce im przekazać ważnych informacji.

– Takie jak to, że w Kenii umarło dwieście tysięcy ludzi na wirusa manderskiego. Kolejne pół miliona na świecie umarło po zarażeniu prototypowym wirusem grypy.

*Prototypowy.* Czyli McClain powiedział jej prawdę: wirus grypy, który miał zostać zbadany przez Elliotta, był prototypem wirusa z Mandery; został zmutowany do postaci wywołującej śmiertelną gorączkę

krwotoczną, która zabiła dwóch Amerykanów, w tym Lucasa Turnera. Wcześniej miała nikłą nadzieję, że McClain blefował, żeby ją przestraszyć. Szczerze mówiąc, nie chciała znać odpowiedzi na swoje następne pytanie.

– Ilu jest zarażonych?

Avery się zawahała.

– Trudno powiedzieć. Słyszałam, że trzy miliardy. Może więcej.

Peyton zakręciło się w głowie. Przełknęła ślinę. Przez chwilę wydawało jej się, że zwymiotuje albo zemdleje. Trzy miliardy zarażonych ludzi. To niewyobrażalna katastrofa. Jeśli to, co przydarzyło się w Manderze, stało się na całym świecie, ludzkość nie podniesie się przez kolejne dekady, być może wieki. W zasadzie nie miała pojęcia, jak świat będzie potem wyglądał. W tempie, w jakim rozprzestrzenił się wirus, zasadne było pytanie, czy zostanie choć kilka milionów ludzi. Może kilka tysięcy?

Ale Conner McClain stworzył lek. Czy zamierzał podać go tylko kilku wybranym? Peyton musiała znaleźć ten lek dla własnego dobra i dla dobra wielu innych.

– McClain ma lek. Powiedział mi o nim na statku.

– To prawda – przyznała Avery. – Poinformowano wszystkich na statku, że został nam ostatnio zaaplikowany podczas rutynowych szczepień. Wszyscy pracownicy Citium go dostali. – Zerknęła na Desmonda. – Włącznie z tobą.

Skinął tylko głową i wyjrzał przez okno, wpatrując się w przerażające sceny z wyrazem winy na twarzy.

Avery wleciała w głąb lądu, oddalając się od miasta. To oczywiste, że lądowanie w Mombasie równałoby się śmierci. Śmigłowiec zostałby napadnięty przez ludzi mających nadzieję na to, że się wydostaną, lub liczących na pomoc. A gdyby znaleźli się na ziemi, nie byłoby ucieczki z miasta i ratunku dla Hannah.

Avery sięgnęła pod fotel i wyjęła mapę.

– Co robisz? – spytała Peyton.

Avery nie podniosła wzroku znad mapy.

– Próbuję się zorientować, dokąd lecieć, księżniczko.

– Nie nazywaj mnie księżniczką...

Desmond uniósł rękę.

– Drogie panie. Jesteśmy jednym zespołem. Porozmawiajmy. Co ty na to, Avery?

– Ja na to, że jesteśmy udupieni.

– Okej, nic nowego. Czego nam potrzeba? Telefonu satelitarnego i samolotu, prawda?

– I szpitala – dodała szybko Peyton. Zerknęła na śpiącą Hannah, bezbronną, płytko oddychającą na podłodze śmigłowca. *Nie pozwolę jej umrzeć.*

Desmond odezwał się przed Avery.

– Dobrze. Lecimy zatem wzdłuż brzegu, żeby znaleźć jakieś niezrujnowane miasto?

– W pobliżu jest Dani Beach – powiedziała Peyton. – Mają tam świetny szpital i pas startowy. Po drodze jest wiele innych miast. Gdy tylko przekroczymy granicę z Tanzanią, mamy Tangę i Dar es Salaam dalej na południu. Oprócz nich są też tanzańskie wyspy na morzu.

– Zestrzelą nas – zauważyła Avery beznamiętnie.

– Kto? – spytała Peyton.

– Tanzańczycy. Pomyśl, masz szalejącą epidemię na północy kraju. Pierwszym krokiem jest zamknięcie przestrzeni powietrznej i strzelanie do wszystkiego, co leci znanad Kenii. A kenijskie miasta przybrzeżne są nie lepsze. Będą zapewne w takim samym stanie jak Mombasa, poza tym jestem przekonana, że Conner wynajmuje w nich ekipy poszukiwawcze. O ile mi wiadomo, rząd amerykański nie ma przedstawicielstwa ani żadnego majątku w Dani Beach. W Dar es Salaam znajduje się placówka CIA oraz ambasada, ale nie zdołamy tam dotrzeć.

– W takim razie kierujemy się w głąb lądu – zarządził Desmond. – Może do Nairobi?

– To samobójstwo – odparła Avery. – Jeśli tak wygląda Mombasa, to wyobraź sobie Nairobi. A Conner z dużym prawdopodobieństwem założy, że tak postąpimy. Sądzę...

– Tak?

– Że jesteśmy w pułapce.

– Nie jesteśmy – wtrąciła Peyton. Miała pomysł. To był ryzykowny ruch, ale mógł się opłacić.

Desmond wbił w nią wzrok.

– Wiem, dokąd możemy polecieć. To w głębi Kenii. Jest tam pas startowy, telefony satelitarne i szpital. Domyślam się, że w tamtym miejscu epidemia jest już opanowana. I McClainowi nigdy nie przyjdzie do głowy, żeby nas tam szukać.

Gdy Peyton zdradziła im swój plan, Avery spojrzała na mapę.

– Nie wiem, czy damy radę. Mamy pięćdziesiąt procent szans, że starczy paliwa. Jak się nie uda, to po nas.

– Jaki jest czas lotu? – spytał Desmond.

– To jakieś pięćset sześćdziesiąt kilometrów stąd. Około dwóch godzin.

Peyton popatrzyła na Hannah. Nie wiedziała, czy młoda kobieta przetrwa te dwie godziny, ale wydawało jej się, że ten plan to ich jedyna szansa.

## ROZDZIAŁ 65

Desmond usiadł z tyłu helikoptera tuż obok Peyton. Przez chwilę na siebie patrzyli, potem w milczeniu spojrzeli przed siebie. Ostatnie promienie słoneczne chowały się za wznoszącymi się w oddali górami.

Rytmiczny warkot wirników śmigłowca działał niemal hipnotyzująco i wkrótce Desmond poczuł na swoim ramieniu głowę zasypiającej Peyton. Była wykończona. Próbował się nie ruszać, chciał, żeby trochę odpoczęła.

Sam nie mógł zasnąć. W głowie tłukły mu się pytania. To, czego dowiedział się na *Kentaro Maru*, było dla niego wstrząsem. Jeśli Conner nie kłamał, to on był częściowo odpowiedzialny za wybuch epidemii. Zastanawiał się, czy gdzieś w jego pamięci ukryty był klucz do jej powstrzymania. A może ukrywał się w aplikacji Labirynt Reality, którą znalazł w Berlinie. A może i tu, i tu. Zamknął oczy i skupił się, próbując przypomnieć sobie własną przeszłość.



Następnego dnia po przyjęciu halloweenowym Desmond zatrzymał się w dziale księgowym xTV. Szybkie śledztwo wykazało, że Peyton studiowała na drugim roku Stanfordu, a Andrea, stażystka w xTV, która w czerwcu ukończyła Stanford, była jej koleżanką.

Desmond znalazł Andreę w jej boksie, gdzie wpatrywała się w monitor komputera i kręciła na palcu wskazującym kosmyk piaskowo-brązowych

włosów.

– Cześć, znasz Peyton Shaw, prawda?

– Yhm. – Chyba wpisywała jakieś liczby do tabeli. W końcu się odwróciła. – O co chodzi?

Wzruszył ramionami, starając się wyglądać nonszalancko.

– O nic. Tylko zastanawiam się, czy nie byłoby fajnie, jakbyś zaprosiła ją na przyjęcie firmowe w czwartek.

Andrea się uśmiechnęła.

– Serio? Naprawdę? Poważnie myślisz, że byłoby „fajnie”?

– Andie... – Desmond westchnął.

– Ktoś tu się zadurzył – powiedziała zawadiacko.

– Oj, przestań. Na jakim szczeblu jesteś?

– Mogłabym cię zapytać o to samo, kochasiu.

– Zrobisz to?

– Nie za darmo.

Desmond stał jak wryty i słuchał tego, co miała do powiedzenia.

– To są karty, na których zapisano czas pracy pracowników zatrudnionych na godziny i kontrahentów. – Podała mu jakieś dokumenty. – Co tydzień muszę je wprowadzać do komputera i weryfikować. Chcę mieć formularz sieciowy, do którego wprowadzaliby swoje godziny i żeby można go było automatycznie wykorzystać w systemie płatniczym.

Desmond otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Andrea jeszcze nie skończyła.

– Poza tym chcę jeszcze, żeby program sprawdzał błędy i przeliczał. Znajdował nienumeryczne zapisy, weryfikował wartości poza spodziewanymi widełkami, cały zestaw. I ma działać na Netscape i Internet Explorerze.

– Czy to wszystko? Mam zautomatyzować twój staż?

– Życie jest trudne, Des. Nawet miłość ma swoją cenę. – Obrzuciła go wymownym spojrzeniem. – I to wcale nie małą.

– Jesteś szurnięta.

– Wyślij mi link mailem, żebym mogła przetestować.



Przed lunchem skończył robić formularz.



Przyjęcie xTV zostało wydane na cześć nowej rundy finansowania, wypuszczenia ich najnowszego oprogramowania oraz wielu innych ważnych projektów. Zbliżali się do osiągnięcia swojego celu, czyli przejęcia telewizji.

Desmond znalazł Peyton siedzącą przy okrągłym stole z Andrea. Przed nimi stały dwa do połowy opróżnione kieliszki szampana.

– Drogie panie. Czy mogę wam przynieść dolewkę?

Andrea spojrzała na niego z sadystycznym uśmiechem, typowym dla oprawcy.

– Czyżbyś zatrudnił się jako kelner?

– Cóż mam powiedzieć? Za opcje zakupu akcji nie da się wyżyć.

Peyton się roześmiała.

Andrea przewróciła oczami i podniosła swój kieliszek.

– Zaraz rozwalę ten kieliszek i zjem odłamki szkła. A wy, dzieci, nikogo nie zabijcie tymi swoimi spojrzeniami jak u zakochanego kundla.

Desmond usiadł, gdy odeszła w stronę baru.

– Jest niezwykle subtelna – powiedział.

– Istotnie.

– Wydaje mi się, że tłumi w sobie dużo agresji.

– W zeszłym semestrze przeżyła zawód miłosny. No i chyba nie cierpi swojego stażu. – Peyton się uśmiechnęła. – Słyszałam, że jej trochę pomogłeś.

– Ach, zrobiłem to, co należało do moich obowiązków.

– Czyli nadal rozwiązujesz *tę sprawę*?

– W istocie, proszę pani.

– Jakież nowe wątki?

– Właśnie nad jednym pracuję.

– Przedstawia się obiecująco?

Zmierzył ją wzrokiem.

- Za wcześnie na ocenę.
- Nie byłabym taka pewna.

Upiła łyk szampana.

- Podoba ci się praca w xTV? – spytała.

- Tak. Podoba.

- Dlaczego?

– Lubię rozwiązywać problemy. Wracać każdego dnia do domu ze świadomością, że zrobiłem jakieś postępy. Budzić się każdego ranka z nowym zestawem problemów do rozwiązania.

- Co robiłeś wcześniej?

- Pracowałem na polu naftowym.

Uśmiechnęła się, już miała się roześmiać, lecz spojrzała na niego uważnie.

- Mówisz poważnie, prawda?

- Tak.

- Ciekawe.

Wyczuł, że równie dobrze może grać z nią w otwarte karty, nie ma sensu podążać tą drogą, jeśli nie ma przed nimi przyszłości. Lepiej wyłożyć karty na stół.

- Nie studiowałem. Niedawno przeprowadziłem się z Oklahomy.

Wiedział, że ona studiuje biologię i chce zostać lekarzem. Jej życiorys był nieco bardziej wyrafinowany niż osieroconego wiertacza, który niedawno zabił człowieka.

- Dlaczego?

To pytanie go zaskoczyło.

- Co dlaczego?

- Co cię tu sprowadziło?

Odkąd przyjechał do Doliny, nikt go o to nie zapytał.

– Praca. – Zastanowił się przez chwilę. – Ludzie. Chciałem poznać ludzi podobnych do mnie.

- Chcesz poznać więcej takich jak ty?

- Jasne.

Znowu uśmiechnęła się przebiegle.

– Wyciągnij rękę.

Podał jej rękę. Ona otworzyła torebkę i wyjęła pióro, po czym napisała mu jakiś adres na dłoni.

– Co to?

– Kolejna wskazówka w twojej sprawie. W sobotę wieczorem odbędzie się impreza w Menlo Park. Przyjdzie tam mnóstwo ludzi takich jak ty. Myślę, że ci się spodoba.

– Będziesz tam?

– Tak.

– To ja też wpadnę.



Impreza w Menlo Park różniła się od szaleńczej zabawy podczas przyjęcia halloweenowego, na którym Desmond poznał Peyton.

Był trochę spięty, gdy wchodził do domu zbudowanego w stylu śródziemnomorskim, ale szybko pozbył się zdenerwowania, gdy drzwi otworzyła Peyton i uśmiechnęła się do niego. Była ubrana w czarną sukienkę, miała kolczyki z brylantami i jasnoszary sweter chroniący ją przed chłodem listopadowego powietrza.

Miała rację co do pozostałych gości. Desmond przekonał się, że rozmowy z nimi były niezwykle interesujące. To nie były głupawe gadki. Żadnych plotek. Żadnych rozmów o tym, co leciało w telewizji. Dyskutowali o ważnych rzeczach: technologii, nauce, polityce, historii świata. Większość gości studiowała na Stanfordzie jak Peyton lub niedawno ukończyła studia. Połowa z nich miała swój pomysł na start-up, który zmieni świat. Ich pewność siebie rosła z każdym wypitym piwem i wypaloną fajką. Mógł od wewnątrz podejrzeć, co o swoich pomysłach sądzą założyciele start-upów i co kształtowało ich wizje. Niektórzy ludzie byli tylko marzycielami, używali wielkich słów; ale, jak sądził, kiedyś naprawdę założą firmę i odniosą sukces. Nie miał tylko pojęcia, którzy to byli.

Znalazł Peyton samą na tarasie.

– Coś się stało? – zapytał.

Odwróciła się, na jej szczupłej twarzy pojawił się uśmiech.

– Jedyne zbyt dużo przesady jak na jeden wieczór.

Roześmiał się.

– Ale tobie się podoba, prawda? – powiedziała.

– Tak.

– Wiedziałaś, że tak będzie.

Przyglądał jej się przez chwilę.

– To jest twoim celem, nieprawdaż? – spytała. – Założenie własnej firmy lub zostanie częścią dużego start-upu.

– To nie jest mój jedyny cel.

Patrzyli sobie w oczy.

– A ty, Peyton? Czego chcesz?

– Teraz chcę się stąd wydostać.

Desmond stał i patrzył, jak dziewczyna podchodzi bliżej niego.

– To jest chwila, w której każdy normalny facet zaproponowałby, że zawiezie mnie do domu, Desmondzie.

– Nie jestem do końca normalny.

– Wiem.

Pokręciła głową i zeszła z tarasu. On za nią.

– Mój wóz...

– Jest przerażający. Widziałam, jak przyjechałeś.

Wsadziła rękę do torebki i rzuciła mu kluczyki, które złapał.

– Weźmiemy mój samochód.



Pocałowali się na parkingu przed jej akademikiem. Dotknęła jego twarzy i przyciągnęła go bliżej.

Drzwi frontowe otworzyła kartą.

Znowu się całowali, ona szła tyłem, prowadząc go do swojego pokoju. Desmond widział wszystko tylko w przebłyskach, zdejmował koszulę przez głowę i ponownie zaczęli się całować, zanim ona zdjęła sukienkę.

Na podłodze leżały podręczniki do biologii i chemii. Straciła z łóżka swój IBM Thinkpad. Skrzywił się, mając nadzieję, że sprzęt przeżyje upadek. W pokoju pachniało świecami i czymś słodkim, czego nie umiał zidentyfikować.

Zerknął na drzwi.

– Twoja współlokatorka...

– Jest w domu w Seattle.

Ta noc przypominała pierwszy program komputerowy, jaki napisał: była serią błędów zakończoną szybką kompilacją.

Cieszył się, że było za ciemno, by zauważyła jego blizny.

Rano jednak słońce rozświetliło pokój. Zauważył, że patrzy na jego oparzenia na stopach i nogach, na rany zadane nożem na piersi i brzuchu oraz dziesiątki mniejszych blizn.

Nic nie powiedziała, poszła do łazienki, umyła zęby i twarz i narzuciła na siebie jakieś ubranie. Była o wiele mniej gadatliwa niż poprzedniego wieczoru. Desmond zastanawiał się, czy żałowała tego, co się stało. Zastanawiał się, czy sam powinien coś powiedzieć.

– Jestem spóźniona – oznajmiła.

Usiadł na łóżku.

– W każdą niedzielę jem lunch z mamą i siostrą.

– To ja...

– Spokojnie, kowboju. Po prostu zatrzaśnij drzwi, jak będziesz wychodził.

Podąła mu jakiś świstek papieru.

– Co to jest?

– Ostatni kawałek *sprawy*, nad którą pracujesz.

Rozwinął go. Był tam jej numer telefonu.

## ROZDZIAŁ 66

Po nocy spędzonej z Peyton Desmond wpadł w pewną rutynę. Wypruwał sobie żyły w xTV, po godzinach spotykał się z Peyton i czytał, kiedy nie był z nią. Znalazł nową bibliotekę i zaczął zamawiać książki o finansach i inwestowaniu. Przeczytał *Intelligent Investor* i *Security Analysis* Benjamina Grahama i wszystko inne, co znalazł na ten temat. Jego spadek, jakieś trzysta dwadzieścia tysięcy dolarów, nadal spoczywał ukryty w worku w przyczepie Airstream. Wydał pieniądze jedynie na zakup przyczepy, garnituru oraz pokrycie kosztów prawnych związanych z nieruchomością po Orville'u. Nieustannie zastanawiał się, jak zainwestować pozostałe pieniądze.

Pewnego dnia podczas lunchu w pokoju rekreacyjnym w firmie wpadł na pewne rozwiązanie. Podśluchał rozmowę dwóch pracowników firmy zatrudnionych w niej od samego początku, programisty i programisty baz danych, którzy dyskutowali o szybujących w kosmos cenach domów i oburzających kosztach opieki dziennej. Ich pensje w firmie były niewielkie, wobec czego żony naciskały, by złożyli rezygnację i znaleźli pracę w większej firmie, takiej jak Oracle lub Sun.

Desmond przysiadł się do ich stolika.

– Panowie, myślę, że mam dla was rozwiązanie.

Tego wieczoru zdradził Peyton swój plan.

– To zły pomysł, Des.

– Pomyśl: z moimi pieniędzmi mogę nabyć sporo opcji. Oni dostaną gotówkę, której potrzebują, a ja dostanę więcej opcji. To świetny pomysł

- upierał się.
- W porządku. To dobry pomysł...
- Właśnie.
- Ale masz złe podejście.
- Co masz na myśli?
- Musisz postawić na dywersyfikację.
- Nie, xTV będzie wielkie. Muszę postawić na jeden cel.
- A jeśli xTV padnie?
- Nie padnie.
- Tego nie wiesz.

Siedział przy niej i zastanawiał się, czy nie mogłaby go bardziej wspierać.

- Bądź przygotowany.
- Słucham?
- To motto skautów. Z pewnością obowiązywało także w Oklahomie.

Wypuścił powietrze przez nos.

- Mój wuj nie był zwolennikiem zajęć pozalekcyjnych.

Odwróciła wzrok, wyczuwając, że on nie ma ochoty o tym rozmawiać.

– Podoba mi się pomysł, Desmondzie. Po prostu sędzę, że jeśli chcesz kupić opcje, powinienesz zrobić to w innych firmach. Masz już dużo opcji xTV. Mam sporo przyjaciół, którzy pracują w innych start-upach. Mogę popytać, czy ktoś z nich byłby zainteresowany.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej nabierał przekonania, że Peyton ma rację. I podobało mu się, że trwała przy swoim punkcie widzenia. Potrzebował w życiu kogoś takiego jak ona.



W następnych tygodniach Desmond spotkał się z wieloma pracownikami różnych start-upów w kawiarniach i ich domach. Jego prawnik czytał ich umowy z pracodawcami, żeby upewnić się, że mogli odsprzedać swoje opcje, i napisał szkic umowy kupna, z której korzystał Desmond, gdy w ciągu miesiąca nabywał udziały w kilku firmach. Te

firmy z chęcią współpracowały, nade wszystko chciały zadowolić swoich pracowników, którym gotówka od Desmonda pozwoliła utrzymać dotychczasową stopę życiową i pozostać w firmie.

Kilka miesięcy później zainwestował całe pieniądze. Posiadał opcje wykupu akcji w czternastu firmach. Potem był już bardziej wybredny. Każdego centa, jaki pozostał mu z pensji, wydawał na zakup opcji w najbardziej atrakcyjnych firmach. I uparł się, by Wallace wysłał mu rachunek za swoją pracę, który natychmiast uregulował.



Każdego dnia rano Desmond sprawdzał stronę „Norman Transcript”, lokalnej gazety z Oklahomy czytanej w okolicy Slaughterville. Omijał wiadomości i skupiał się na ogłoszeniach drobnych. Zgodnie z tym, co obiecał, miejscowy prawnik zamieścił zawiadomienie o wystawieniu na sprzedaż nieruchomości należącej do Orville’a Thompsona Hughesa. Kilka miesięcy później w sekcji wiadomości lokalnych pojawił się artykuł pod tytułem *Niespodziewana dotacja dla systemu bibliotecznego*.

Wczoraj system biblieczny Pionier otrzymał niespodziewaną dotację w wysokości 32 tysięcy dolarów ku pamięci Agnes Andrews, bibliotekarki, która umarła dziesięć lat temu. Jeszcze bardziej zaskakująca jest osoba darczyńcy: Orville’a T. Hughesa, niedawno zmarłego robotnika pracującego w branży naftowej. Po wpłynięciu pieniędzy na konto biblioteki dowiedzieliśmy się, że pan Hughes nie miał karty bibliecznej i nikt nie pamięta, aby kiedykolwiek odwiedził którąś z bibliotek połączonych wspólnym systemem. Co jeszcze bardziej zastanawiające, krewni zmarłej pani Andrews nie mieli pojęcia, że kobieta знаła pana Hughesa.

„To zagadka – powiedział Edward Yancey, administrator systemu bibliotecznego. – Ale na pewno nie będziemy próbowali jej rozwiązywać. Pieniądze nam się przydadzą i jesteśmy za nie niezmiernie wdzięczni”.

Desmond uśmiechnął się. Spodziewał, że niewielka farma przyniesie więcej pieniędzy, ale ucieszył się, że jest już po wszystkim, a fundusze



znalazły się we właściwym miejscu. Agnes i system biblioteczny pomogli mu, gdy najbardziej tego potrzebował, podczas najciemniejszych rozdziałów jego życia. Miał nadzieję, że pieniądze zapewnią pomoc innej osobie będącej w potrzebie.



Pewnej środy rano Desmond przyjechał do pracy, gdzie zastał grupę pracowników xTV stojących przed drzwiami frontowymi. Prawie każdy rozmawiał albo przez komórkę, albo z innym pracownikiem.

Desmond początkowo myślał, że wybuchł pożar. Albo że doszło do jakiegoś wypadku. Albo ulatniał się gaz. Ale nic z tych rzeczy.

Firmie skończyły się pieniądze. Właściciel nieruchomości w końcu zamknął im drzwi przed nosem. Inwestorzy dostarczający kapitału wysokiego ryzyka, którzy finansowali przedsięwzięcie, wyprzedawali wszystko, co nie było przymocowane na stałe: serwery, biurka, rutery. Nawet bluzy z logo xTV zostały oddane do miejscowego schroniska dla bezdomnych w zamian za ulgę podatkową.

Opcje Desmonda były bezwartościowe. Nie mógł nawet wejść do środka, żeby zabrać rzeczy osobiste z biurka.



Wiele się potem zmieniło. Bez pracy i celu Desmond czuł się zagubiony. Upadły jeszcze trzy przedsiębiorstwa, w które zainwestował. Każde bankructwo odczuł jak potężny cios.

– To jeszcze nie koniec, Des – mówiła mu Peyton.



Coraz więcej czasu spędzał z Peyton. Pomagał jej w zakuwaniu do egzaminów, a ona jemu w wyborze najlepszej pracy.

W maju, gdy skończył się rok akademicki, pomógł jej przeprowadzić się

z akademika do jednopokojowego mieszkania w Menlo Park. Większość studentów Stanforda mieszkała na kampusie i wracała do domu na wakacje lub wynajmowała coś na okres letni. Peyton podpisała umowę najmu na cały rok.

Załąpała się na letni staż w SRI, gdzie zajmowała się badaniami genetycznymi, co bardzo jej się podobało. On również był zadowolony.

W lipcu większość nocy spędzał w jej mieszkaniu. Tak było wygodnie. Lubił z nią przebywać. Ale czuł z tego powodu wyrzuty sumienia. Coś go gryzło, ale nie wiedział, jak ma jej o tym powiedzieć.



Peyton nigdy nie zapytała go o blizny ani przeszłość. I w ogóle rzadko go pytała o cokolwiek. To zmieniło się pewnego sobotniego wieczoru.

– Zrobiłbyś coś dla mnie?

– Co zechcesz.

– Moja mama, siostra i jej mąż jutro przyjeżdżają na lunch. Zjedz z nami.

Nic nie odpowiedział.

– Nie gryzą, Des.



Jej mama miała na imię Lin i była Chinką, ojciec pochodził z Niemiec. Peyton była bardziej podobna do matki niż jej starsza siostra Madison.

Lin była pracownikiem naukowym na Stanfordzie i adiunktem. Madison pracowała dla organizacji non-profit zajmującej się ochroną przyrody. Desmond zapamiętał sobie, że ma nie mówić, ile zabił jeleni, dzików, indyków i łosi.

Mąż Madison, Derrick, pracował jako bankier w San Francisco. Ukończył studia w Wharton, miejscu, o którym Desmond nigdy nie słyszał, i wydawał się bardzo poważny. To on wziął na siebie zadawanie pytań podczas lunchu. Desmond domyślał się, że po prostu starał się być

opiekuńczy, próbując przyjąć rolę ojca, skoro tata Peyton już nie żył.

– Jaka jest twoja alma mater, Desmondzie? – zapytał Derrick.

– Szkoła średnia w Noble.

– Nie studiowałeś?

– Nie musiałem.

Derrickowi nie spodobała się ta odpowiedź, chociaż Peyton się uśmiechnęła. Mężczyzna nadal drążył temat.

– Czym zajmują się twoi rodzice?

– Byli właścicielami rancza w Australii. – Łzy napłynęły mu do oczu. Zanim umarli.

– Nie masz australijskiego akcentu – zauważyła Lin.

– Przeprowadziłem się tutaj, jak byłem mały.

– W okolicy Zatoki?

– Do Oklahomy.

– Oklahomy... – Derrick obracał to słowo w ustach jak kość, którą niespodziewanie znalazł w zupie.



Gdy wrócili do mieszkania Peyton, Desmond odezwał się w kuchni.

– Znienawidzili mnie.

– Pokochali cię.

– Jestem chłopakiem ze wsi, ale niegłupim. Uważają, że nie jestem dość dobry dla ciebie, Peyton.

– To ja o tym decyduję.

– Oraz twoja rodzina.

– Może, ale oni nie podejmą decyzji za mnie. Ja to zrobię. I nie interesuje mnie, czy masz tytuł magistra. – Zanim się odezwał, dodała: – Chcę tylko ciebie, Desmondzie, niczego więcej nie potrzebuję.



Desmond otworzył oczy. Śmigłowiec wpadł w jeszcze większą wibrację.

Avery testowała granice wytrzymałości maszyny. Peyton nadal spała, opierając głowę o jego ramię. Chciał ją obudzić, żeby zapytać, co zaszło między nimi, jak utracili to, co łączyło ich wiele lat temu. Czuł, że zbliża się do końca wspomnień, które są dla niego dostępne, jakby w oddali, przez mgłę widział jakiś znak drogowy. Zastanawiał się, czy programista na statku, Byron, miał rację. Czy udostępnił sobie wspomnienia z dzieciństwa i lat spędzonych z Peyton po wystąpieniu pewnych okoliczności? Zimna w Berlinie. Celi w stajni. Zdjęcia Orville'a. Ponownego spotkania z Peyton, dotknięcia jej skóry. Każde z nich mogło otwierać drzwi do rozdziału z jego przeszłości.

Odnosił jednak wrażenie, że te naprawdę poufne wspomnienia nie będą tak łatwo dostępne – zwłaszcza dotyczące miejsca ukrycia Rendition. To ten sekret odpowiadał za jego amnezję – stał się powodem, dla którego stworzył ten labirynt.

Właśnie o to chodzi: aplikacja Labirynth Reality. To jest klucz.

Rozsypane okruszki doprowadziły go do aplikacji; miał teraz pewność większą niż kiedykolwiek, że to ona odblokuje jego przeszłość. Potrzebował telefonu, na którym mógłby ją zainstalować.

Nie wiedział jednak, czy jest gotowy na to, by ze szczegółami poznać, co zrobił i jakim był człowiekiem.

Zostało jedno wspomnienie, do którego miał teraz dostęp, więc zamknął oczy, pragnąc je poznać.

## ROZDZIAŁ 67

Po lunchu z rodziną Peyton, który uznał za tragiczny, nie spotykał się z nimi zbyt często.

Był na rozmowach kwalifikacyjnych w kilku start-upach, ale okazało się, że ma nowy problem: bał się związania z kolejną firmą. Bo co, jeśli okaże się podobna do xTV? Nie chciał popełnić tego samego błędu.

W tym tygodniu zbankrutował kolejny start-up, w którym wykupił opcje. W ciągu miesiąca skończą mu się pieniądze i nie będzie miał jak zapłacić za wynajem miejsca na kempingu. Musi wkrótce gdzieś się zatrudnić.

Za tydzień przypadało Boże Narodzenie. Bał się, że Peyton poprosi, żeby pojechał z nią do domu. Nie poprosiła. Tak jakby instynktownie wiedziała, że on tego nie chce.

– Na wypadek gdyby miało cię ponieść i zechciałbyś mi kupić prywatną wyspę na gwiazdkę, ustalmy pewne zasady – powiedziała.

– Dobrze.

– Możemy wydać na prezent nie więcej niż dziesięć dolarów.

– W porządku.

– I prezent powinien coś mówić o nas samych.

To go zaskoczyło.

– Chcę się czegoś dowiedzieć o tobie, Desmondzie. Musi opowiedzieć coś o twojej przeszłości. Mieć związek z doświadczeniem, które cię ukształtowało. Rozumiesz?

Rozumiał. I nie miał pojęcia, co jej dać. Łamał sobie nad tym głowę

przez cały czas pozostały do świąt.

Odrzucił oferty pracy. No i padła następna firma, której miał opcje. Jego stos kuponów na loterię powoli przenosił się do kosza na śmieci, gdy los wyciągał kolejne piłeczki z bębna i coraz więcej start-upów bankrutowało.

Pewnego wieczoru pojechał furgonetką do Portola Redwoods Park, przeszedł się wśród zieleni i wyciął małą sekwoję, następnie poodcinał jej gałęzie.

Zawiózł ją do domu, przez kilka dni strugał coś w niej, sprawdził kalendarz wydarzeń lokalnych i znalazł to, czego szukał.

Dwa dni przed świętami Peyton postawiła swój prezent na ławie. Był pięknie opakowany. Desmond swojego nie opakował. Natychmiast się zdenerwował.

Rozerwał kolorowy papier, pod którym było kartonowe pudełko. Otworzył je i znalazł mapę leżącą na kolejnym pudełku, które również było opakowane. Podniósł mapę i ją rozłożył. Żółtym kolorem zaznaczono miasta: Londyn w Anglii. Heidelberg w Niemczech. Hongkong. Dwa małe miasta w Szkocji, jedno w Irlandii i jeszcze jedno w południowych Chinach.

– Żółty oznacza, że stamtąd pochodzi moja rodzina – wyjaśniła Peyton.  
– Rodzice. Dziadkowie.

Desmond przyglądał się mapie. Było też ponad dwadzieścia zielonych oznaczeń.

– Zielonym zaznaczyłam wszystkie te miejsca, do których chciałabym pojechać z tobą, Des. Kiedyś.

Przełknął ślinę, milczał i wpatrywał się w mapę, jakby odczytywał wyrok śmierci. Miała wobec niego jakieś plany. I od jakiegoś czasu myślała o nim.

– Otwórz następne – powiedziała podekscytowana, nieświadoma jego niepokoju.

W następnym pudełku była miniaturowa syrenka na sprężynie. Na podstawce napisano Palo Alto.

– Najbliżej, jak się da. – Patrzyła na niego wyczekująco. – Jakies

pomysły?

– Yyy...

– No, zgaduj.

– *Mała syrenka* to twój ulubiony film?

Przyłożyła mu w ramię.

– Nie. Byłam w drużynie pływackiej. W szkole średniej.

– Aha, no tak. Jak mogłem się nie domyślić? To oczywiste.

Pod syrenką było trzecie pudełko. Nie zachęcała go do jego otwarcia. Wyglądała na nieco zdenerwowaną, jakby zmieniła zdanie. Odwróciła wzrok, gdy Desmond zrywał kolorowy papier.

Przedmiot ukryty w ostatnim pudełku był mały. Oplótł go palcami i podniósł.

Był zrobiony z czerwonego szkła i miał kształt serca.

– Kocham cię, Des – powiedziała.

Wsadził serce do kieszeni, pochylił się i pocałował ją.

– Nigdy z nikim się tak nie czułem – odparł.

Uśmiechnęła się, jakby kryła zawód, lecz przewróciła oczami, próbując zachować żartobliwą minę, jakby nie poczuła się dotknięta.

– Jezu, mówisz jak prawnik!

– Naprawdę tak myślę. – Wziął do ręki szklane serce. – Ale nie jestem taki jak ty. Moje serce nie jest takie jak twoje.

– Twojemu sercu nic nie brakuje, Desmondzie. – Patrzyła na niego.

Coraz częściej zastanawiał się, czy to prawda.

– No dobrze, a co masz dla mnie? – zapytała niecierpliwie.

Włożył rękę do plecaka, wyjął zrobiony dla niej przedmiot i podał go jej.

Trzymała rzeźbę i przyglądała się jej uważnie.

– To... wieża Eiffla? Jesteś... chcesz pojechać do Francji?

– Nie. – Pokręcił głową z frustracją. – To znaczy może. Kiedyś. Ale to miał być szyb wiertniczy.

– Och. – Ponownie się przyjrzała prezentowi. – Myślałam, że mają kształt młotów. No wiesz, takich, co opadają i podnoszą się.

– Mówisz o wahaczu albo kiwonie. A to jest wieża wiertnicza. To coś, co

wierci szyb.

Przytaknęła.

– Więc...

– Właśnie przy czymś takim pracowałem.

– Och.

– W Oklahomie. Nabawiłem się tam niektórych blizn.

Zrobiła wielkie oczy. Trzymała drewnianą rzeźbę z większą ostrożnością.

– Dziękuję, Des. Piękna. Doskonała.

– To nie wszystko.

Rozpromieniła się.

– Druga część nie zmieściła się w pudełku.

Wsiedli do jego furgonetki, której bała się już mniej, i pojechali drogą 101 do 92, a potem przez Half Moon Bay.

Zanim dojechali na plażę, ujrzeni wielkie ognisko. Desmond opatulił ją swoim płaszczem, zabrał jakieś zawiniątko z tylnego siedzenia i w ciszy poprowadził ją w stronę płomieni. Położył na piasku gruby koc, otworzył tanie wino i usiedli razem przy grzejącym ich ogniu, ona przed nim twarzą do ogniska. Co kilka minut popijała z butelki. Desmond ocenił, że było tam tylko jakieś pięćdziesiąt osób, większość w ich wieku, par i grup. Ludzie rozmawiali, pili i śmiali się.

– Chcesz trochę? – spytała.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo taką złożyłem obietnicę.

– Komu?

– Sobie.

Oparła się o niego i oboje patrzyli w ogień i rozciągającą się za nim wodę. Było niezwykle ciepło jak na grudzień, ale w powietrzu czuło się nadciągający chłód. Desmond opatulił ich kocem, żeby nie zmarzła.

– Oszukałeś – powiedziała Peyton.

– Jak?

– Limit wynosił dziesięć dolarów.



– Wobec tego wyszło mniej.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Drewno było za darmo. Praca również, bo sam je wyrzeźbiłem. Za wino dałem sześć sześćdziesiąt osiem. Wydaje mi się, że benzyna, którą spaliłem, żeby tu przyjechać, nie kosztowała trzech dolarów.

– Powinieneś zostać księgowym.

Tłum zaczął się przerzedzać, ale ogień nadal płonął. Kilka par i spóźnialskich jeszcze zostało, podobnie jak dwóch pracowników parku odpowiedzialnych za to wydarzenie.

Butelka była do połowy pusta i Desmond widział, że Peyton już nie dopije trunku. Odwróciła się i pocałowała go namiętnie w usta, pocałunek miał smak wina.

Wstał, pomógł jej się podnieść i poprowadził ją wzdłuż wydm i wysokiej trawy do miejsca, gdzie piasek się kończył i utworzyło się zagłębienie oświetlone tylko blaskiem księżyca. Rozłożył koc i położył ją na nim.

Kiedy ją pocałował, zamknęła oczy i pozwoliła mu przejąć kontrolę.



W drodze do domu zaczęła rozmowę.

– Co to miało znaczyć?

– Co?

– Ten ogień. Każdy prezent miał coś mówić o darczyńcy.

Przypomniał sobie serce, które mu dała, oraz słowa „kocham cię”.

– Ogień jest po to, byś dowiedziała się, jak zginęła moja rodzina. W Australii.

Wyjaśnił jej, jak do tego doszło, słowa toczyły się jak woda przez przerwaną groblę. Powiedział jej o Charlotte, o tym, jak przyjechał do Ameryki, opiece Orville'a, śmierci Agnes, a nawet śmierci Orville'a i o tym, co stało się później, gdy w domu pojawił się Dale Epply.

Nie wyobrażał sobie, że przyniesie mu to taką ulgę. Opowiedzenie tego osobie, której ufał najbardziej na świecie, i pozbycie się sekretów odczuł tak, jakby ktoś mu zdjął ciężar z serca, chociaż nawet nie wiedział, że go

nosi. Poczul się wolniejszy i bezpieczniejszy niż kiedykolwiek w życiu.

W jej mieszkaniu znowu się kochali, tym razem wolniej.

Potem leżeli w łóżku, gapili się w sufit i słuchali jakiejś playlisty lecącej z jej laptopa, na której były piosenki Green Day, Weezera, Stone Temple Pilots, Smashing Pumpkins, REM i Red Hot Chili Peppers.

– Jest mi tak przykro, Des. Nie miałam pojęcia.

– Dzięki temu tu jestem. To wszystko, co się teraz liczy.

– Pojedź ze mną jutro.

Jego pierwsze spotkanie z jej rodziną starczyłoby mu na całe życie, ale jakaś część jego chciała jechać.

Mimo to powiedział jej, że nie może, że chce być sam. Skłamał. Najbardziej na świecie chciał być z nią. On i Orville nigdy nie obchodzili świąt i urodzin.

Próbował wyobrazić sobie siebie w domu jej matki, jak siedzi przy świątecznym stole lub przy kominku, mając ją przy sobie. Nie mógł. Nie dlatego, że denerwował się na samą myśl; z innego powodu. Problem był większy, niż myślał.



Spędził święta Bożego Narodzenia sam w przyczepie, zagrzał sobie puszkę fasoli na kuchence, jego maleńki pokój ogrzewał piecyk elektryczny. Czytał książki z biblioteki i wymieniał maile z Peyton. Ton jego odpowiedzi nigdy nie dorównywał ciepłu jej słów. To go niepokoiło. Pisał i przepisywał każdą wiadomość, jakby układał ją z egipskich hieroglifów, których nie mógł właściwie uporządkować.

Maile nie były jego jedynym problemem. Nadal martwił go brak pieniędzy. Jego posiłki składały się z fasoli i konserw mięsnych, podobnie jak wtedy, gdy zamieszkał z Orville'em. Często myślał o właścicielu sklepu spożywczego, który pomagał mu dzielić ograniczone finanse, żeby starczyło na jedzenie. Desmond uśmiechał się na samą myśl o tym, że Orville przechowywał górę pieniędzy w sejfie umieszczonym w starej furgonetcie. Stary robotnik był żaloszny i chytry

jak lis, ale ostatecznie okazało się, że była w tym jakaś logika. Desmondowi trochę go brakowało. Martwił się także tym, że zmarnotrawił wszystkie pieniądze, które Orville tak skrupulatnie oszczędzał przez całe lata.

Po świętach zamknięto jeszcze cztery firmy, których miał opcje. Nie chcieli zrujnować urlopu swoim pracownikom, ale nie chcieli również przysparzać większych strat inwestorom.

Każdy mail przyjmował jak cios. Czuł, jak wymyka mu się zabezpieczenie finansowe. Pochłaniało to jego uwagę.

Wgryzł się w problem, próbował dowiedzieć się, dlaczego niektóre firmy przetrwały, podczas gdy inne padły. Wydawało się, że nie ma żadnego schematu. Spędził wiele godzin na myśleniu o tym, czytaniu artykułów, studiowaniu książek o historii biznesu.

Tydzień po świętach Peyton zaczęła nalegać, żeby przestał odżywiać się konserwami i fasolą.

– Nabawisz się jakiejś choroby przewodu pokarmowego i umrzesz, Des. W nekrologu napiszą: Desmond Hughes, utalentowany programista i miłośnik książek, zmarł od wieprzowiny i fasoli na kempingu dla przyrzep i kamperów w Palo Alto.

Roześmiał się i dał się uprosić, od tego czasu przygotowywała dla niego co najmniej połowę posiłków. Były o wiele smaczniejsze. Ponadto zaczął u niej sypiać każdej nocy; kolejna z jej teorii dotyczyła grzejnika elektrycznego, który miałby się wyłączyć w nocy, a Desmond zamarzyłby na śmierć w przyrzepie. Żadne z nich tak naprawdę w to nie wierzyło, ale przed Nowym Rokiem 1997 roku spędzali już ze sobą każdą noc i nie było im zimno.

## ROZDZIAŁ 68

W śmigłowcu Desmond patrzył na słońce zachodzące za góry. Peyton nadal spała z głową opartą na jego ramieniu.

Chciał ją zapytać o tak wiele rzeczy. Dlaczego nie byli już ze sobą, jak utracili to, co czuli tej nocy w Half Moon Bay? Co im się przydarzyło?

Kiedy Peyton się poruszyła, pochylił się do przodu, żeby spojrzeć jej w oczy. Wydawało się, że wyczuła zmianę, jaka w nim zaszła.

– Co sobie przypomniałeś?

– Nas.

Odwróciła wzrok, popatrzyła na Hannah, która leżała nieruchomo i płytko oddychała.

Desmond chwycił ją za rękę.

– Przypomniałem sobie przyjęcie halloweenowe, xTV, syrenkę i szklane serce, Half Moon Bay i kiepsko wystruganą wieżę wiertniczą, którą ci podarowałem. – Uśmiechnął się, ale ona nie odpowiedziała tym samym. Ku jego zaskoczeniu odwróciła wzrok.

Delikatnie dotknął jej policzka.

– Pamiętam, że byliśmy szczęśliwi. Ale nie to, co przyszło później. Opowiedz mi, proszę.

– Nie.

– A jeśli to ma jakiś związek z tym, co dzieje się teraz?

– Nie ma.

– Skrzywdziłem cię?

Peyton zamknęła oczy.

- To nie było tak.
- Co masz na myśli?
- To, co się stało... zraniło nas oboje.

*Co to znaczy?* Miał już zapytać, kiedy Avery zerknęła na nich ze swojego miejsca pilota i pokazała słuchawki.

Desmond był zawiedziony, kiedy Peyton od razu posłusznie je założyła. Niechętnie poszedł w jej ślady.

– Porozmawiajmy o tym, co zrobimy, gdy wylądujemy – zarządziła Avery.

Peyton metodycznie wyłożyła swój plan. Avery podała kilka propozycji. W zasadzie żądań, ale zgadzały się co do ogólnego przebiegu akcji.

Mając to za sobą, Desmond skupił się na Avery i zadał pierwsze z pytań, na które chciał poznać odpowiedź.

– Czym byli зараżeni ci ludzie na statku, w tym szpitalu?

– Nie wiem. Pracowałam w sekcji informatycznej. – Popatrzyła na niego przez ramię, nie umiał określić, co próbuje przekazać mu spojrzeniem.

– No co?

– To był... To był twój eksperyment, Des.

– Ja im to zrobiłem? – Desmonda aż zemdliło na samą myśl.

– To była część projektu Rendition.

– Co to jest Rendition?

– Nie wiem.

Odezwała się Peyton.

– A co w ogóle wiesz, Avery? Dlaczego nas uratowałaś?

– Nie wiedziałam, że potrzebuję oficjalnego zaproszenia, żeby ratować ciebie.

Zaczęły się sprzeczać, podnosiły głos. Desmond czekał, aż się opamiętają, co jednak nie nastąpiło. Przerwał im z wymuszonym spokojem.

– Słuchajcie... może po prostu odpuście sobie, dobrze?

Cisza.

– Jeśli będziemy się kłócić, nie damy rady powstrzymać tego, co się

dzieje.

Począł kilka sekund, mając nadzieję, że w tym czasie wszyscy zdążą się uspokoić. Następnie zaproponował, żeby każde z nich opowiedziało, co wie, i by sprawdzili, czy różne kawałki pasują do siebie.

Biorąc ich milczenie za zgodę, zaczął pierwszy.

Obie kobiety siedziały cicho, kiedy Desmond relacjonował swoją historię, zaczynając od tego, jak obudził się w hotelowym pokoju w Berlinie, a obok na podłodze leżał nieboszczyk – pracownik ochrony w Rapture Therapeutics. Powiedział o tym, że stracił pamięć i nie miał pojęcia, co mu się przydarzyło. Wspomniał, że jego jedyną wskazówką była wiadomość zapisana szyfrem Cezara, zawierająca słowa OSTRZEŻ JĄ i numer telefonu Peyton.

– Czy miałeś mnie ostrzec przed pandemią, czy ostrzec, żebym nie jechała do Kenii?

– Myślałem już o tym. Wydaje mi się, że ostrzeżenie miało dotyczyć twojego wyjazdu do Kenii. Chyba wiedziałem, że chcą cię uprowadzić i że jesteś z tym jakoś osobiście związana. Czy na statku zadawali ci osobiste pytania, niezwiązane z epidemią?

Peyton zastanowiła się przez chwilę.

– Conner pytał mnie, kiedy ostatnio rozmawiałam z ojcem i bratem.

– Dlaczego to miałyby być ważne? – spytała Avery.

– Obaj nie żyją.

Avery się zdziwiła.

Desmond zastanawiał się nad słowami Peyton. Z całą pewnością było coś jeszcze, jakiś związek, którego nie dostrzegął.

– Pytał mnie również o moją mamę. Jest genetykiem na Stanfordzie. – Peyton się zamyśliła. – I jeszcze chcieli moje hasło do CDC. Podali mi jakieś narkotyki. Sądzę, że je dostali.

Peyton opowiedziała o czasie spędzonym na statku, była dokładna, co Desmond potrafił docenić. Kiedy skończyła, on kontynuował swoją opowieść o tym, jak w drzwiach pojawili się policjanci zaraz po tym, gdy zadzwonił do Peyton. O tym, że spędził kilka dni, unikając berlińskiej policji i odszyfrowując wiadomości, które, jak mu się wydawało, zostawił

dla siebie. O tym, jak wskazówki doprowadziły go do reportera „Der Spiegel”, który zgodził się z nim spotkać w kawiarni na Unter den Linden.

– Reporter wyjaśnił, że jestem informatorem. Podobno twierdziłem, że zamierzam znaleźć dowód, który pograży sieć korporacji i naukowców pracujących nad największym eksperymentem od czasów Projektu Manhattan. Zdradził mi, że projekt nazywa się Zwierciadło i wie ode mnie, że na zawsze zmieni ludzkość.

– To ma sens – stwierdziła Avery.

– Naprawdę?

– Mnie powiedziałeś, że planujesz uczynienie ważnego kroku, by nie dopuścić do ukończenia Zwierciadła.

Desmond popatrzył na nią uważnie, zastanawiając się, czy mówi prawdę. Czy rzeczywiście była jego sojuszniczką i zausznicką?

Miał już ją o to zapytać, kiedy wtrąciła się Peyton.

– Co stało się z reporterem?

– Ludzie Connera porwali jego narzeczoną, żeby mnie dopaść. Udało im się. Przerwali nasze spotkanie i wkrótce mnie uprowadzili. Chyba możemy założyć, że reporter wypadł z gry.

– Czym jest Zwierciadło? – spytała Peyton.

– Nie mam pojęcia. On też raczej nie wiedział. – Desmond popatrzył na Avery. – A ty wiesz?

Zerknęła na niego.

– Nie. Nigdy mi nie wyjaśniono.

Desmond wyczuł, że o czymś nie mówi. Czy to ze względu na obecność Peyton? A może z innego powodu?

– Czy ja wiem, co to jest? – spytał Desmond.

– Z całą pewnością. Co więcej, uważam, że twoja praca była niezbędna do ukończenia Zwierciadła. To, czym się zajmowałeś, było ostatnim elementem, którego potrzebowali.

– Conner dał mi to samo do zrozumienia, kiedy przesłuchiwał mnie na statku. Zarówno on, jak i reporter powiedzieli mi, że są trzy składniki: Rook, Rendition i Rapture. Conner mówił, że ja zajmowałem się

Rendition, ale tego nie pamiętam. – Umilkł na chwilę. – Widziałem jednak te nazwy: są to przedsiębiorstwa, które finansowała moja firma inwestycyjna Icarus Capital.

– Sądzę, że może być w to wmieszana jeszcze jedna z firm, w którą zainwestowałeś – zauważyła Peyton. – Pierwszymi ofiarami epidemii w Manderze byli Amerykanie, dwaj mężczyźni, którzy niedawno ukończyli studia. Przyjechali do Kenii, żeby rozpocząć działalność start-upu o nazwie CityForge. Finansował ich Icarus Capital. Co więcej, zjadłeś z nimi kolację. Twierdzili, że spotkanie z tobą otworzyło im oczy.

– W jakim sensie?

– Byli pod dużym wrażeniem, opisali cię jako ekspansywnego.

Desmond dostrzegł uśmiezek na ustach Avery, ale się nie odezwał.

Peyton ciągnęła:

– Powiedzieli, że jesteś zaangażowany w ważne projekty dotyczące następnego pokolenia i wierzysz w to, że ludzkość znajduje się na skraju wyginięcia.

– Dlaczego?

– Wnioskujesz to po tym, że nie ma kosmicznych śmieci.

– Kosmicznych śmieci? Jak to...

– Sond międzygwiazdnych. Pozostałości po obcych cywilizacjach, które żyły przed nami w kosmosie. Powiedzieli, że według ciebie Księżyc powinien być międzygwiazdym wysypiskiem śmieci, pokrytym roztrzaskanymi sondami i satelitami, a jednak niczego takiego tam nie znaleziono.

– Nie rozumiem – skwitował Desmond.

– Oni również nie rozumieli. Ja też.

Desmond pochylił się do przodu i szeptem zapytał Avery, czy ona wie coś na ten temat.

– Hej, kosmiczne śmieci nie leżą w moich kompetencjach – odparła, wywołując cichy śmiech Desmonda oraz irytację Peyton.

– A co leży w twoich kompetencjach, Avery? – spytał Desmond. – Skąd się znamy?

Avery się zawahała. Desmond odniósł wrażenie, że chciałaby go



zapytać, czy nie ma nic przeciwko temu, by udzieliła mu odpowiedzi przy Peyton.

- Teraz wykładamy wszystkie karty na stół – oświadczył Desmond.
- W porządku – zgodziła się Avery.

## ROZDZIAŁ 69

Avery zaczęła swoją opowieść od krótkiego wprowadzenia. Wychowała się w Karolinie Północnej i poszła tam na uniwersytet, gdzie studiowała informatykę oraz dwa języki obce: niemiecki i chiński. Na ostatnim roku została zaproszona na rozmowę kwalifikacyjną do nowej firmy venture capital o nazwie Rubicon Ventures. Znajdowała się przy I-40 w starszym, niskim budynku w Research Triangle Park. Biuro było małe, wystrój spartański, większość ścian goła. W pierwszej chwili pomyślała, że to zorganizowana naprędce siedziba nielegalnej firmy. Uznała, że to jakiś raczkujący interes skazany na bankructwo, i miała już zrezygnować, gdy recepcjonistka zaprosiła ją do sali konferencyjnej.

Przy stole siedział mężczyzna w średnim wieku ze szpakowatymi włosami, a przed nim leżała zamknięta teczka. Przedstawił się jako David Ward.

– Nie przejmuj się siedzibą, wszystkie pieniądze inwestujemy w naszą pracę.

Ku zaskoczeniu Avery nie zadawał jej żadnych pytań. Wydawało jej się, że już wszystko o niej wie. Powiedział, że niezwykle połączenie umiejętności – języków i informatyki – byłoby wielkim atutem w pracy. Dodał, że jej liczne wygrane w uniwersyteckiej drużynie tenisowej są również zaletą. To zaciekało ją na tyle, że zapytała, czym miałyby się zajmować.

– Wielopłaszczyznową analizą przedsiębiorstwa.

Nigdy o czymś takim nie słyszała, więc szybko wyjaśnił, że miałyby

prześwietlać start-upy, w które Rubicon Ventures chce inwestować. Dodał, że są to firmy związane z nowoczesnymi technologiami, które są zdolne zmienić świat.

– Będziesz sporo podróżować. Na spotkania z założycielami i dyrektorami, by wysłuchać ich gadki i zebrać informacje.

Wszystko to wydawało jej się nudne jak flaki z olejem. Nie wiedziała jeszcze, co chce robić po studiach, ale wiedziała, że na pewno nie interesuje jej „wielopłaszczyznowa analiza przedsiębiorstwa”.

– Nie będziesz tego robiła dla samej przyjemności z pracy – wyjaśnił David, jakby czytając w jej myślach.

– A po co miałabym to robić?

– Dla pieniędzy.

Tym przykuł jej uwagę. Ostatnio robiła wiele rzeczy, które nie sprawiały jej przyjemności, ale potrzebowała pieniędzy.

Popchnął w jej stronę jakiś dokument. Wydrukiem w dół. Podniosła go i przeczytała ich ofertę. Bardzo dokładnie sprecyzowane warunki niejawności. Klauzula o zakazie konkurencji. I suma, na której widok aż uniosła brwi.

– Jeśli stwierdzisz, że to nie dla ciebie, Avery, możesz zrezygnować, kiedy zechcesz.

Dorastała w Karolinie Północnej na farmie, którą trzy lata temu zajął bank. Jej ojciec zawsze powtarzał, że darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Była przekonana, że oferta pracy, na którą właśnie patrzyła, była darowanym koniem. Miała zarabiać dużo pieniędzy za pracę, do której nie miała kwalifikacji. Coś tu nie grało.

Mimo rady ojca oderwała wzrok od kartki i za pomocą trzech słów zajrzała koniowi w zęby.

– Jaki jest haczyk?

Mężczyzna się roześmiał.

– Bardzo dobrze, panno Price. Właśnie pozytywnie przeszła pani rozmowę kwalifikacyjną.

– To znaczy?

– Jednym słowem, tupet. Ma pani tupet. – Skupił się na dokumentach

w segregatorze. – My również przeprowadzamy wszechstronne analizy. Wiemy, że jest pani jedynaczką. Pani mama zginęła w wypadku samochodowym cztery lata temu zaraz po tym, jak dostała się pani na studia. Wiemy, że pani ojciec ma zaawansowanego alzheimera, a opieka nad nim nie jest tania. Opłaca ją pani, jak tylko może. Uczy pani tenisa. Pracuje w zaniedbanej lodziarni o nazwie – zajrzał do dokumentów – „Jogurtowa Wyzerka”, która mieści się przy Franklin Street, i chociaż jest pani wzorową studentką, z całego serca nienawidzi pani informatyki. Wybrała pani ten przedmiot z jednego tylko powodu: pieniędzy. Wymyśliła pani, że po ukończeniu studiów znajdzie dobrą pracę, będzie zarabiać tyle, żeby zająć się ojcem, i pewnego dnia zacząć żyć swoim życiem, co w pani mniemaniu miałyby polegać na podróżowaniu i robieniu czegoś innego, czegoś bardzo ekscytującego.

Patrzyła na niego, nie wiedząc, co ma powiedzieć. Wszystko to było prawdą, ale nie miała pojęcia, skąd to wiedział.

– Jedna z firm, która nas interesuje, nazywa się Rapture Therapeutics. Opracowali coś, co może stać się terapią na alzheimera i inne choroby neurodegeneracyjne.

Podał jej jeszcze jedną kartkę: opis najnowszego przełomowego odkrycia Rapture.

– Czy to panią interesuje?

Począł, aż przeczytała, lecz tylko pobieżnie zrozumiała naukowy żargon.

– Jaka jest pani odpowiedź, Avery? Muszę wiedzieć od razu. Jest tylko jedno stanowisko. Pani jest pierwsza na liście, ale nie ostatnia.

– Zna już pan moją odpowiedź.

– Wobec tego witamy w firmie.



Spędziła rok na analizowaniu informacji o firmach, którymi interesował się Rubicon. Z każdym mijającym miesiącem stawała się coraz bardziej podejrzliwa. W domu zaczęła prowadzić oddzielną

dokumentację opartą na tym, co przekazała pracodawcy. Przez cały czas myślała o swojej teorii: kiedy odwiedzała ojca w domu opieki, gdy była na siłowni, podczas lotów i w niezliczonych pokojach hotelowych. Podczas każdego spotkania, w każdym przedsiębiorstwie, które musiała odwiedzić, zaczęła szukać dowodów potwierdzających jej podejrzenia lub też dowodzących, że zwariowała.

Pewnego ranka weszła do biura Davida, zamknęła drzwi i już chciała mu powiedzieć, co wymyśliła. Wyobraziła sobie jego reakcję: głośny śmiech, to, jak radzi jej, by wzięła sobie dzień urlopu albo żeby nie oglądała tyle telewizji.

Zaczęła od zdania, które przećwiczyła sobie wiele razy.

– Wydaje mi się, że w firmach, które kazałeś mi przeanalizować, dzieje się coś dziwnego.

– Niby co? – Nie wykazał większego zainteresowania.

– Wydaje mi się, że są tylko przykrywką.

Nadal nie zdradzał żadnych emocji. Ani zdziwienia, ani nawet ciekawości.

– Przykrywką dla czego?

Przełknęła ślinę.

– Terroryzmu.

Skupił się na swoim komputerze, zaczął coś pisać, jakby przed chwilą powiedziała mu, że odwołano spotkanie podczas lunchu.

– To bardzo poważne oskarżenie.

– Jestem tego świadoma – odparła niewzruszona.

– Jutro jadę na spotkanie do Wirginii. Autem. Chciałbym, żebyś mi towarzyszyła. Jesteś wolna?

Avery była zdezorientowana. Szef zachowywał się tak, jakby nie słyszał ani słowa z tego, co mówiła.

– Tak, jestem wolna. Czy... czy słyszałeś, co powiedziałam?

– Tak. Spotkajmy się tutaj o dziewiątej. Przykro mi, Avery, muszę lecieć.



Następnego dnia rano pojechali autostradą numer 1, a potem I-85. W Petersburgu skręcili na północ w I-95. Ku zaskoczeniu Avery przejechali przez Richmond. Po zjazdach na Fredericksburg David skręcił i pojechał przez wiejską okolicę.

Zaparkował przed dużym domem w stylu kolonialnym z podjazdem wysypanym tłuczniem.

Zaprowadził ją do środka, do biblioteki z boazerią, gdzie wisiało kilka tablic korkowych obwieszonych kartkami z różnymi nazwami i kolorowymi sznurkami. Znała te nazwy. Przedsiębiorstwa. Znajdowały się tam zdjęcia oficerów ochrony i inwestorów. Desmonda Hughesa. Connera McClaina. Wszystkie się łączyły ze sobą. Wszystkie były firmami, które poddawała analizie.

Podeszła do tablic, nie kryjąc zdziwienia. Jej teoria była prawdziwa.

– Gratulacje, Avery. Rubicon ma wielu agentów. Ty rozpracowałaś to o wiele szybciej niż inni.

Poczuła chwilową dumę i nadal patrzyła na zdjęcia i logo firm.

– Co to jest?

– Terroryzm nowego typu. Ci ludzie nie są idealistami religijnymi. Nie są fanatykami, którzy z pianą na ustach wymachują kałasznikowami. To naukowcy. Technicy. Ludzie racjonalni. Niezwykle inteligentni. Trzymają się w cieniu, skrupulatnie planując.

– Co planują?

– Nie wiemy. Coś dużego, Avery. Coś, co na zawsze zmieni świat. Urządzenie zwane Zwierciadłem. Firmy, które badałaś, tworzą różne kawałki, które zostaną złożone w późniejszym czasie.

– Jak w Projekcie Manhattan.

– Właśnie.

– Kim oni są?

– Są nowoczesnym wcieleniem starożytnej organizacji zwanej Zakonem Citium.

David podszedł do regału, zdjął segregator i podał jej.

– Wiemy, że organizacja została założona dwa tysiące trzysta lat temu

w greckim mieście Kition przez filozofa o imieniu Zenon. Książki historyczne nazywają go Zenonem z Kition[17]. Przybywali do niego ludzie z całego cywilizowanego świata, żeby prowadzić debaty. Ich rozmowy przerodziły się w coś większego. W ruch. Byli grupą filozofów. Myślicieli.

– O czym tak debatowali?

– O znaczeniu kosmosu. Przeznaczeniu ludzkości. Dlaczego istniejemy.

– Dość trudne tematy jak na tamte czasy.

– Wyprzedzali swoją epokę. Specjalizowali się w trzech dyscyplinach: prawdzie, etyce i fizyce. Prześladowano ich za poglądy. Byli świadkami tego, jak przez świat przechodzi fala politeizmu, potem monoteizmu. Zeszli do podziemia. I tam pozostali. Czekali, aż świat za nimi nadąży. Nigdy tak się nie stało. Widocznie zmęczeni się czekaniem. Teraz zamierzają coś z tym zrobić.

– Zwierciadło.

– Tak.

– A czym jest Zwierciadło?

– Właśnie tego chcemy się dowiedzieć.

Avery się zastanowiła.

– No dobrze. A kiedy się dowiemy, to co z tym zrobimy? Czym naprawdę jest Rubicon Ventures?

– Rubicon Ventures jest przykrywką. Jedną z kilku w programie Rubicon. Jesteśmy tajną organizacją finansowaną przez amerykański rząd. O naszym istnieniu wie jedynie garstka ludzi w rządzie. Mamy jedną misję: zatrzymać Citium.

– A ci ludzie w rządzie to kim są? CIA?

– Nie, Rubicon nie jest częścią żadnej oficjalnej organizacji rządowej. Nie mamy legitymacji z trzyliterowym skrótem. Nie zostawiamy śladów na papierze, nie ryzykujemy przecieków. Każdego miesiąca siedmiu wysoko postawionych członków rządu spotyka się, żeby rozmawiać o programie Rubicon. Tylko oni wiedzą, na czym polega nasza działalność. Zapewniają nam finansowanie i potrzebną pomoc.

– Jak powstrzymamy Citium?

Uśmiechnął się.

– To dobre pytanie. Odpowiem na nie, jak będziesz gotowa.

– Już jestem gotowa.

– Nie, nie jesteś. Twoje prawdziwe szkolenie rozpoczyna się dzisiaj, Avery.



To szkolenie zajęło dwa lata. W każdy czwartkowy wieczór jechała do północnej Wirginii, do kolonialnego domu na wsi, gdzie dowiadywała się rzeczy, które nie miały nic wspólnego z „wielopłaszczyznową analizą przedsiębiorstwa”. Nauczyła się strzelać z broni palnej. Od dziecka uczestniczyła w polowaniach, na które zabierał ją ojciec, ale nie miała doświadczenia z bronią używaną przez wojsko. Doskonaliła walkę wręcz. Dotychczas nie miała pojęcia o walce w zamkniętych pomieszczeniach, ale szybko się jej nauczyła. W pewnym sensie przypominała jej grę w tenisa – szybkie reakcje, odpieranie ataków przeciwnika, praca nogami, zamaszyste ciosy.

Z każdym mijającym tygodniem trochę się zmieniała. W końcu osiągnęła maksymalne skupienie.

W tym czasie nadal pracowała dla Rubicon Ventures. Rubicon inwestował w przedsiębiorstwa skupione wokół Citium, mając nadzieję, że dzięki temu zdobędzie więcej informacji. Każdego miesiąca Avery dodawała więcej danych do tablic korkowych. Coraz więcej punktów łączyło się ze sobą.

Citium zbliżało się do ukończenia Zwierciadła.

W końcu usiadła z Davidem przed tablicą z firmami należącymi do holdingu Citium.

– Wybieraj – powiedział.

– Co mam wybrać?

– Punkt zahaczenia. Musisz zinfiltrować Citium.

– Hughes. On jest ważny.

– Dlaczego?



- Różni się od pozostałych.
- Jak?
- Jest prawdziwym wyznawcą. Jest przekonany, że Zwierciadło ocali ludzkość. Ale wydaje mi się, że nie zna prawdy na temat tego, co robią. Jeśli uda mi się zbliżyć do niego, zyskamy dostęp do wszystkiego i możliwość ich powstrzymania.
- A jeśli się mylisz? Jeśli o wszystkim wie? Zabije cię.
- Zaryzykuję.
- Dobrze. W terenie musisz zaufać instynktowi. Dobrze oceniaj sytuację. Zadawaj właściwe pytania. Tak jak do tej pory. Nie będzie mnie w pobliżu, nie pomogę ci. Jeśli sądzisz, że kluczem jest Hughes, tak go traktuj.



Następnego dnia Avery złożyła podanie o pracę w Phaethon Genetics, jednej z firm związanych z Icarus Capital. Wymyśliła sobie, że powie im, iż kiedy przeprowadzała analizę firmy, ich produkty i technologie zrobiły na niej wielkie wrażenie. Podczas rozmowy powiedziała, że wierzy w to, co robią, i szczerze przyznaje, że według niej przedsiębiorstwo odniesie finansowy sukces i będzie warte mnóstwo pieniędzy. Miała nadzieję zatrudnić się na tyle szybko, by dostać opcje akcji i spieniężyć je, kiedy firma zostanie przez kogoś wykupiona lub wejdzie na giełdę.

Zatrudnili ją kilka dni później. Została przydzielona do zespołu programistów. Odkąd trzy lata wcześniej skończyła studia, nie zajmowała się programowaniem, ale szybko przypomniała sobie, jak to się robi.

Phaethon szybko się rozwijał. Firma zbierała dane genetyczne i przeprowadzała analizy, szukała rozwiązań, które pomogłyby przedsiębiorstwom farmaceutycznym i służbie zdrowia w podejmowaniu lepszych decyzji. Zastosowali w medycynie metodę Big Data wykorzystującą dużą ilość danych oraz chronione patentem aplikacje, którymi analizowali dane genetyczne. Ich centrum przetwarzania

danych z trudnością nadążało z analizą ogromnych ilości materiału, który im dostarczano.

Jednak największym problemem była komunikacja w firmie. Dział biznesowy nieustannie toczył wojnę z naukowcami, którzy z kolei walczyli z programistami. Według biznesmenów naukowcy nie robili postępów tak szybko, jak powinni, programiści nie byli dość wydajni dla naukowców, a programiści bez przerwy narzekali na to, że mają za mało wydajne komputery, żeby przeprowadzać symulacje, których grupa biznesowa ze względów bezpieczeństwa nie chciała przenieść do sieci komputerowej.

To stworzyło Avery okazję, żeby awansować na wyższy szczebel. Doświadczenie w analizie wielopłaszczyznowej, którego nabyła w setkach start-upów związanych z nauką i biznesem, sprawiło, że wyjątkowo przenikliwie oceniała problemy, z jakim mierzy się Phaethon. Za sprawą swoich umiejętności komunikacyjnych szybko stała się łącznikiem grupy informatyków z naukowcami i biznesmenami. Nieważne, że połowa programistów lepiej sobie radziła z kodowaniem od niej, skoro byli absolutnie beznadziejni w kontaktach międzyludzkich. Kiedy w końcu dostała awans, miała świadomość, że nie przyczyniły się do niego umiejętności nabyte na studiach, lecz to, czego nauczyła się podczas pracy w Rubiconie: jak czytać ludzi, analizować sytuację i pomagać innym w znalezieniu rozwiązania.

Tak jak się spodziewała, dzięki nowemu stanowisku mogła częściej kontaktować się z Desmondem Hughesem.



– Zbliżyliśmy się do siebie – powiedziała Avery.

Zamilkła. Desmond wyczuł, że coś ukrywa. Zastanawiał się, czy Peyton również o tym wie.

– Miesiąc temu – ciągnęła Avery – odkryłeś, że wynosiłam dane z pracy i zostawiałam je w skrzynkach kontaktowych. Sądziłeś, że to przypadek szpiegostwa korporacyjnego. Zaprosiłeś mnie na rozmowę,

a ja wykorzystałam ją do tego, by powiedzieć ci prawdę na temat programu Rubicon oraz tego, co według nas robi Citium.

Zerknęła na niego.

– To było dla ciebie coś nowego, Des. Widziałeś tylko fragmenty spisku. Dwa dni później zadzwoniłeś do mnie i oznajmiłeś, że przeprowadziłeś własne śledztwo. Przyznałeś, że to prawda – Citium planowało coś nieprawdopodobnego.

– Pandemię.

– Tak mi się wydaje. Wyjaśniłeś mi, że Citium z początku miało dobre intencje, że u zarania było szanowaną organizacją, skupiającą się na wyjaśnieniu największej tajemnicy wszech czasów, dotyczącej naszego istnienia. W ostatnich latach jednak zбочyli z drogi. Do władzy doszli ci, którzy zmienili sposób działania. Uwierzyli, że ludzkość jest w niebezpieczeństwie. Ich eksperymenty i poczynione kroki stały się bardziej radykalne. Ty chciałeś ich powstrzymać. Sprawileś, że zostałam przydzielona do pracy na *Kentaro Maru*. Twierdziłeś, że to będzie najbezpieczniejsze miejsce dla nas obojga. Dodałeś też, że jak twój plan nie wypali, prawdopodobnie zostaniesz tam zabrany. Obiecałam, że ci pomogę, jeśli tak się stanie. No i wczoraj zobaczyłam cię w celi.

– Wobec tego nie udało się – skwitował Desmond.

– Może. Wydaje mi się, że nie mamy jeszcze dość informacji, żeby to stwierdzić. Myślę, że twoim pierwszym planem było zdemaskowanie Citium, wystawienie go pod osąd opinii publicznej, skupienie na nim uwagi mediów i rządu, a w rezultacie zniszczenie tej organizacji. Ale chyba odkryli twoje zamierzenia. Masz jeden z kawałków Zwierciadła. Ukryłeś go, a może zniszczyłeś – to dlatego byli zdeterminowani, żeby schwytać cię żywego.

Desmond potaknął.

– Wymazanie pamięci było planem zapasowym.

– Tak mi się wydaje.

– Wobec tego można założyć, że gdzieś w mojej pamięci znajduje się klucz do powstrzymania Citium i pandemii.

– I klucz do realizacji ich planu – dodała Avery. – Słyszałeś rozmowę

na statku, Des. Przeskanowali twoje ciało. Masz w mózgu zaawansowany technicznie implant, który umieszczony został w hipokampie odpowiadającym za pamięć. Conner był przekonany, że implant może odblokowywać pamięć, że zostawiłeś sobie jakąś furtkę w aplikacji mobilnej, która włącza odpowiednie wspomnienia. – Zerknęła na niego. – Znalazłeś ją w Berlinie?

Peyton odwróciła się do niego i bezgłośnie powiedziała: *Nie mów jej.* Nie ufała Avery.

Jednak Desmond uznał opowieść Avery za bardzo przekonującą. Wyjaśniała, jak stała się pracownicą Citium. Jak dostała się na *Kentaro Maru*. I dlaczego ich uratowała.

Mimo to odnosił wrażenie, że w jej historii czegoś brakowało: nie poddawała się weryfikacji. Według Avery program Rubicon był ściśle tajny. Nie miał wątpliwości, że była w jakimś sensie agentem specjalnym. Nie wiedział, po której stronie tak naprawdę stoi. A jeśli zlecono jej odnalezienie aplikacji, która uwalniała jego pamięć? Albo jej opowieść była tylko opowieścią niepopartą faktami?

Wreszcie zdecydował.

– Tak, znalazłem ją.

Patrzyła na niego, spijając słowa z jego ust.

– W Berlinie znalazłem przedpłacone karty płatnicze wszyte w klapy garnituru, który zostawiłem w pralni. Numer karty naprowadził mnie na numer Google Voice. Jedna ze skrzynek głosowych przekierowywała na stronę internetową, ukrytą na stronie CityForge. Był tam link do aplikacji CityForge Tracker, która rozpoznawała lokalizację użytkownika, ale nie umiałem z niej niczego wyciągnąć.

Desmond przyglądał się Avery, żeby sprawdzić, czy kupiła kłamstwo. To był test. W tej chwili nie było sensu opowiadać jej o aplikacji Labirynth Reality. Kłamstwo wystarczyło. Gdyby ich zdradziła, nadal nie znaleźliby aplikacji.

– Dobrze – powiedziała. – Ściągniemy ją, kiedy wylądujemy, i sprawdzimy, jak teraz działa.



Po tej rozmowie lecieli w ciszy przez nocne niebo. Pod nimi rozciągała się ciemność: nie rozpraszały jej światła pojazdów ani mrugające w oddali miasta. Nad nimi jasno świeciły gwiazdy, jaśniej niż kiedykolwiek wcześniej podczas misji Peyton.

Wciąż powracała myślami do zagadki Desmonda związanej z nieobecnością kosmicznych śmieci. Co miał na myśli?

Nagle poruszyła się Hannah. Peyton pochyliła się nad nią. Młoda lekarka miała gorączkę. Czy jej przyczyną była rana postrzałowa? Peyton zbadala węży chłonne. Powiększone.

Hannah zakasłała. Peyton podwinęła jej koszulkę i ujrzała niewielką wysypkę na brzuchu.

*Jest zarażona.* Przestraszyła się. Zamknęła oczy i poczuła, że wypełniają się łzami, które z całych sił próbowała powstrzymać.

Na jej rękę spoczęła dłoń Desmonda, popatrzył jej w oczy, jakby chciał powiedzieć: *Naprawię to.* To ona zwykle była od naprawiania takich rzeczy. Ale teraz potrzebowała pomocy.

W słuchawkach usłyszała głos Avery.

– Coś jest przed nami.

Przed śmigłowcem rozciągało się miasto upstrzone kilkoma dużymi ogniskami. Z początku te ogniska ją zdezorientowały; ludzie nie marnowaliby drewna na ogniska. Drewno było tu zbyt cenne. Nie byli połączeni z siecią grzewczą, nie mieli prądu – potrzebowali drewna do gotowania posiłków.

Po chwili zrozumiała. Palili ciała. Gdy się zbliżyli, zobaczyła ludzi układających je na stosach całymi dziesiątkami. A raczej setkami. Zrobiło jej się niedobrze.

W smugach ciemności pomiędzy ogniskami pojawiały się małe źródła światła, ludzie, którzy je trzymali, uwijali się jak świetliki na jałowej ziemi. To były latarki na baterie, latarnie solarne, lampy naftowe – dawały światło w odcieniach białego i żółtego.

Helikopter zawisł nad nimi.

– Jesteś tego pewna? – zapytała Avery.

– Ile mamy paliwa? – spytał Desmond, zanim Peyton zdążyła odpowiedzieć.

– Lecimy na oparach.

Przez boczne okno Peyton zauważyła rosnący tłum, wskazujący palcami helikopter. Niektórzy mieli karabiny.

– Znajdź jakąś główną drogę i kieruj się na północ – powiedziała. – Przy rozwidleniu znajduje się pas startowy. Tam będą strażę. Zadbają o nasze bezpieczeństwo.

Śmigłowiec przechylił się, przeleciał nisko nad nieutwardzoną drogą i odnalazł pas startowy, przy którym znajdował się niewysoki budynek oświetlony dzięki generatorowi prądu.

Peyton uznała to za dobry znak.

W chwili gdy usiedli na płycie, z budynku wyszło ponad dwudziestu ludzi. Podbiegli do nich, trzymając karabiny gotowe do strzału.

Avery wyjęła swoją broń.

– Nie traćmy głowy. Wygląda na to, że mają przewagę liczebną – rzekł Desmond, gdy zobaczył, co robi.

Mężczyźni otoczyli śmigłowiec i krzyczeli coś. Peyton przyglądała się w nadziei, że zobaczy mundury kenijskiej armii. Niestety. To byli cywile w brudnych ubraniach.

Jeden z nich otworzył drzwi helikoptera. Wraz z nocnym powietrzem do środka przedostał się odór ich ciał. Nad głowami wirowały jeszcze płaty nośne. Wiał wiatr.

Czyjeś ręce chwyciły Peyton. Mocno złapały ją za ręce. Słyszała suahili oraz jakiś inny język, którego nie rozpoznawała – być może somalijski. Desmond kopnął faceta, który próbował go złapać, innego uderzył. Ktoś podsunął mu pod nos lufę karabinu, więc znieruchomiał.

Peyton usłyszała przekleństwa Avery.

Mężczyźni wywlekli Peyton na ziemię, trzymali ją, by mógł ją obejrzeć czarny, wysoki mężczyzna. Usłyszała, że wyciągają Hannah.

– Nie dotykajcie jej! – wrzasnęła, ale jej słowa zginęły w chaosie.

[17] Kition to w języku angielskim Citium.

## ROZDZIAŁ 70

Mając nad głową obracające się płyty śmigłowca, Peyton próbowała się wyrwać trzymającym ją mężczyznom. Do obezwładnienia Desmonda potrzeba było czterech dobrze zbudowanych mężczyzn, którym w końcu udało się powalić go na ziemię. Trzymali go, wykręcając mu do tyłu ręce, jednak on nie krzyczał i nie przestawał się bronić.

Tłum uzbrojonych ludzi rozstąpił się na widok czarnoskórego mężczyzny w średnim wieku. Kimkolwiek był, dowodził nimi.

Peyton widziała go tylko raz w życiu: w dużej sali w Manderze, wypełnionej umierającymi ludźmi. Leżał wtedy w kącie, pot pokrywał jego ciało, a przy nim stały trzy wiadra: na odchody, na wymioty i na mocz.

Tego dnia Peyton podała mu linę ratunkową: dawkę ZMappu. Miała nadzieję, że uda się go wyleczyć.

I udało się.

Doktor Elim Kibet kipiał energią, jego oczy były pełne życia.

Na widok Peyton wrzasnął na jednego z wysokich żołnierzy, który przekazał rozkazy swoim ludziom.

Ludzie trzymający Peyton odsunęli się w jednej chwili, jakby poraził ich prąd. Poleciała do przodu, przed upadkiem uratował ją Elim.

– Witamy w Dadaab, doktor Shaw – powiedział, przekrzykując warkot śmigłowca.





Na rozkaz Elima dwóch pomocników medycznych przyprowadziło nosze na kółkach. Zabrali Hannah do sali operacyjnej. Nie było tam sprzętu najwyższej jakości, ale panował porządek i nie brakowało zaopatrzenia. Prawie godzinę Peyton i Elim stali nad Hannah i zajmowali się jej raną. Usunęli martwą tkankę, zdezynfekowali ranę i zaszyli dziurę w ramieniu. Kiedy skończyli, Peyton przez chwilę patrzyła na Hannah podłączoną do kroplówki z antybiotykiem i lekiem przeciwbólowym.

Dziewczyna była zarażona wirusem manderskim, ale Peyton sądziła, że teraz ma szansę przeżyć. Była w dobrych rękach.

Elim wyszedł z sali operacyjnej.

Tylko Hannah została Peyton z zespołu, który zabrała ze sobą do wioski. Wyobraziła sobie młodych ludzi leżących tam w mundurach, martwych, zostawionych na suchej, jałowej ziemi na pastwę dzikich zwierząt. Wyobraziła sobie, jak ich znajdują, ręce przesuwające się nad niewidzącymi, niezamkniętymi oczami, ciała wkładane do worków. To był dla niej koszmar – ludzie, których wybrała, wrócą do domów w ten sposób. Myślała o nich tak, jakby byli jej własną rodziną, jej dziećmi.

Hannah była jedyną, którą mogła ocalić.

Peyton zrobiła dla niej wszystko, co w ludzkiej mocy. Dzięki temu poczuła się trochę lepiej, zyskała odrobinę nadziei po raz pierwszy od czasu, gdy ludzie Connera McClaina napadli na wioskę.



Obozy w Dadaab były ogromne. W ich skład wchodziło kilka obozów dla uchodźców i mały obóz dla agencji pomocowych. Peyton i Elim przeprowadzili zabieg w obozie dla agencji pomocowych.

W tym czasie Desmond nie miał zbyt wiele do roboty. Razem z Avery wyszli z podłużnego parterowego budynku i przez bramę zamkniętą na łańcuch przedostali się do obozów uchodźców.

Dobrze było rozprostować nogi. Ponad dwie godziny spędzone



w wibrującym helikopterze nie przysłużyły się jego poobijanemu ciału. Podobnie jak komitet powitalny, który wywłókł go z maszyny i rzucił na ziemię. Kilku z tych mężczyzn stało na warcie przy płocie, inni znajdowali się na terenie całego obozu. Stali przy większych budynkach, które zmieniono w szpitale. „Szpital” to nie jest właściwe słowo, pomyślał Desmond. Bardziej przypominały obozy dla rekonwalescentów – miejsca, gdzie przenoszono ludzi, którzy mieli szansę na przeżycie. Tych w poważniejszym stanie trzymano w otwartych obozach, gdzie leżeli na kocach rozłożonych na drewnianych platformach.

Zewsząd dochodziły krzyki i jęki. Przed nimi płonęło ognisko podsycane zwłokami. Po obozie jeździły ciężarówki zbierające ciała, dostarczające jedzenie, wodę, lekarstwa. Desmond zauważył, że uchodźcy walczą z wirusem, widział też, że przegrywają. To miejsce było biologiczną maszynką do mielenia mięsa, zbyt ohydne, by na nie patrzeć.

Ja przyłożyłem do tego rękę, pomyślał. W pewnym sensie był odpowiedzialny za to, co się tutaj działo i co niedługo spotka cały świat.

W Berlinie napędzało go pragnienie odkrycia tego, co mu się przydarzyło. Teraz pragnął tylko powstrzymać pandemię, ocalić tych, których jeszcze można.

Gdy popatrzył na Avery, jej mina zdradzała, co myśli.

– Jeszcze nie koniec, Des. Mamy czas, by to zawrócić.

Za nimi pojawił się człowiek uzbrojony w AK-47.

– Doktorzy skończyli operację. Prosimy, żebyście przyszli.



Peyton jadła kolację z Elimem, Desmondem i Avery, kiedy podeszła do nich jakaś Afrykanka i usiadła obok Elima. Peyton rozpoznała ją w jednej chwili: była jedną z osób, które przeżyły epidemię w wiosce. Czy to jakiś zbieg okoliczności, że znalazła się tutaj? Wioska leżała setki kilometrów stąd. Jak dostała się do Dadaab?

Elim był wyczerpany, ale miał silny głos.

– Ta młoda kobieta jest dużą szczęściarą.

– Tak – potwierdziła Peyton, wkładając do ust kawałek mięsa z gulaszu. Cieszyła się, że na konserwie nie było żadnej etykiety. – Mogłaby nie przeżyć kolejnych godzin w powietrzu.

– Niewykluczone. Ale ma szczęście, ponieważ to pani się nią opiekowała.

Peyton nigdy nie umiała przyjmować komplementów, miała wrażenie, że zaciskają się wokół niej jak lina, unieruchamiając ją i paralizując ruchy. Oblała się rumieńcem.

– Wykonywałam tylko swoją pracę – powiedziała cicho, wkładając do ust kolejny kawałek tajemniczego gulaszu. – Co się tutaj stało?

– Biologia – odparł Elim. – W obozach wirus swobodnie krążył.

– Ilu umarło?

– Po wszystkim policzymy tych, którzy przeżyli, doktor Shaw – wyjaśnił Elim.

– Przydałyby się dane szacunkowe. Wydaje mi się, że to może być pierwsze gęsto zaludnione miejsce, w którym pojawił się wirus. I proszę mówić mi po imieniu.

Skinął głową.

– Kiedy się zaczęło, mieszkało tutaj około trzystu tysięcy ludzi. Spodziewam się, że przeżyje około dziesięciu tysięcy.

Peyton zamurowało.

– Trzyprocentowa szansa na przeżycie?

– Przy lepszej opiece ta liczba może się podwoić, dojść do pięciu czy sześciu procent.

Słowa zawisły nad nimi jak miecz. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Ebola typu Zaire zabiła dziewięćdziesiąt procent zarażonych. Wirus z Mandery był jeszcze groźniejszy od niej, a w początkowej fazie był tak zaraźliwy jak przeziębienie. Zabójca doskonały.

Tylko dlaczego? Jak pandemia łączyła się ze Zwierciadłem? Czym było Zwierciadło? Co może być warte zabicia dziewięćdziesięciu pięciu procent światowej populacji? A może plan jest inny?

Conner McClain praktycznie przyznał się do posiadania leku na wirusa; tylko ten lek jest szansą dla świata. Musieli poskładać wszystkie

kawałki tej układanki.

– Naprawdę nie wiem, od czego zacząć – powiedziała Peyton i przełknęła ślinę. – Przylecieliśmy tu ze względu na Hannah, ale mamy nadzieję, że uda nam się tu znaleźć kilka rzeczy.

Elim uniósł brwi.

– Potrzebujemy telefonu satelitarnego.

Potaknął.

– I samolotu.

Uśmiechnął się w sposób, którego Peyton nie umiała zinterpretować. Zaczęła podejrzewać, że uraziła go swoją prośbą.

– Myślę, że uda mi się wam pomóc.



Kiedy skończyli posiłek, Elim poprowadził ich głównym korytarzem budynku. Wszędzie panował bałagan. Każdy pokój został splądrowany. Według Peyton przypominało to gimnazjum bez nauczycieli zdemolowane przez szalejących uczniów. W korytarzu na podłodze leżały do połowy opróżnione pudła; z biurk powyciągano szuflady, szafki z zapasami były puste.

Elim otworzył zamknięty na klucz składzik. W małym pomieszczeniu znajdowało się mnóstwo sprzętu elektronicznego – telefony komórkowe, tablety, laptopy – jak w sezmie wypełnionym plastikowymi i krzemowymi skarbami.

– Gdy wybuchła epidemia i ludzie zaczęli chorować, nikt nie pilnował porządku. Nie było już podziału na uchodźców i pracowników agencji niosących im pomoc. Tylko ci, którzy przeżyli, i ci, którzy umierali. Pracownicy złożyli tu swój sprzęt elektroniczny w nadziei, że kiedyś komuś się przyda.

– Ty nie możesz z niego korzystać? – spytał zaskoczony Desmond.

– Zaraz się przekonacie – powiedział Elim, w jego głosie można było wyczuć cień strachu.

Podeszła do nich Afrykanka.

– Doktorze Kibet, obudziła się.

Hannah, pomyślała Peyton.

Avery nie czekała sekundy dłużej. Sięgnęła po laptopa i ładowarkę solarną, dodała do tego tablet, a następnie zaczęła wybierać telefony i układać jak wieżę Jenga, która po chwili zaczęła się chwiać.

Desmond patrzył na nią z zaciekawieniem.

– Nie jestem pewna, jak daleko to zaszło – wyjaśniła blondynka. – Satelity mogą nie działać. Będziemy potrzebowali telefonów operatorów europejskich, amerykańskich i azjatyckich.

Wydawało się, że zawsze jest o krok z przodu.

Desmond również wziął kilka telefonów.

Elim wskazał im półkę, na której leżała sterta smartfonów. Miały dołączone nakładki satelitarne należące do CDC. Na ten widok Peyton zaschło w ustach, jakby odkryła stos nieśmiertelników należących do jej zmarłych towarzyszy. Gapiła się na plastikowo-szklany nagrobek. Jak się tutaj znalazły?

Wzięła dwa z nich. Jeden dla siebie, drugi dla Hannah.



Desmond patrzył, jak Peyton oddala się z Elimem w kierunku sali operacyjnej. Uważał, że jej oddanie Hannah jest ujmujące. Peyton dbała o nią z całych sił. Opiekowała się młodszą koleżanką, narażając własne życie, żeby ją ocalić. Wiedział jedno: osoba, którą opiekowała się Peyton Shaw, mogła nazwać się wielkim szczęściarzem.

Poczuł na sobie wzrok Avery, gdy patrzył na oddalającą się Peyton. W pewnym sensie uważał, że Avery jest lustrzanym odbiciem Peyton. Obie były inteligentne i zdeterminowane. Zależało im na powodzeniu misji i stawiały ją na pierwszym miejscu. Może dlatego tak często się kłóciły, że były do siebie podobne. Jednak Avery odbierała ludziom życie, a Peyton ich ratowała.

Desmond czuł nieodparty pociąg do obu kobiet, jakby on był kawałkiem metalu, a one magnesami ciągnącymi go w przeciwnych

kierunkach. Każda z nich była intrygująca w inny sposób. Każda stanowiła zagadkę, którą chciał rozwiązać.

Kiedy Peyton zniknęła z pola widzenia, Avery wróciła do sali konferencyjnej i zamknęła za sobą drzwi. To zaskoczyło Desmonda. Chciała być sama. Dlaczego?

Odkąd opowiedziała o sobie w helikopterze, a nawet jeszcze wcześniej, zastanawiał się, czy może jej zaufać. Mogła zostać podstawiona i mieć za zadanie odkrycie miejsca ukrycia Rendition.

Równie dobrze mogła jednak mówić prawdę.

Popchnęła drzwi. Rozłożyła telefony na stole i zaczęła je włączać.

– Muszę skontaktować się z asystentem – oznajmiła. Odwróciła się do niego. – Potrzebujesz pomocy?

Zatrzymał się i zastanawiał, czy zostać i sprawdzić, do kogo dzwoniła.

– Nie – odparł, nadal nie mając pojęcia, co zrobić.

– Ściągniesz aplikację CityForge? – Na jej ustach pojawił się uśmiech. Był ciekaw, czy ona wie, że skłamał w helikopterze.

Skinął głową i wyszedł z pomieszczenia, zamknął za sobą drzwi. Ale stanął pod nimi, czekając i mając nadzieję, że usłyszy jej rozmowę. Nic nie usłyszał. Zapewne pisała wiadomość.

Włączył jeden z telefonów komórkowych i ściągnął aplikację Labirynt Reality. Wpisał kod do prywatnego labiryntu, który sam stworzył. Ponownie został zapytany, czy chce być bohaterem czy Minotaurem.

Kliknął *bohater*. W oknie dialogowym pojawiło się zdanie:

Szukam wejścia do Labiryntu...

W Berlinie aplikacja nie znalazła dla niego żadnych wejść. Czekał. W końcu pojawiła się wiadomość:

Znaleziono 1 wejście.

Kliknął link. Pojawiła się mapa, na której świeciła się zielona kropka.

Zaznaczony punkt znajdował się na wyspie na północ od Szkocji, co go zaskoczyło: przecież leżał znacznie bliżej Berlina niż Dadaab. Dlaczego wejście nie pojawiło się, gdy próbował dostać się do labiryntu w Berlinie?

Uznał, że zaprogramowano je tak, żeby pojawiło się o określonym czasie lub dopiero po jakimś zdarzeniu. A może aktywował go jakiś jego partner. Ta możliwość najbardziej intrygowała Desmonda.

Powiększył kropkę na mapie. Znajdowała się na Szetlandach. Były tam jakieś farmy, kilka dróg, port morski i lotnisko.

Kropka migotała pośrodku lasu. Nie było tam budynków, domów, nawet drogi. Wiedział jednak, że coś tam na niego czekało.

Miał nadzieję, że klucz do odnalezienia lekarstwa.

## ROZDZIAŁ 71

Hannah miała otwarte oczy, kiedy Peyton weszła do biura, które zostało przekształcone w salę chorych. Dziewczyna próbowała usiąść na łóżku, ale kazała jej leżeć.

– Co się stało? – spytała ochryple.

Peyton zastanawiała się, co powiedzieć. Postanowiła zachować szczegóły na inną okazję, bo Hannah już dość się nacierpiała.

– Zostałyśmy uratowane.

Hannah zamknęła oczy, ciężko oddychała.

– Wracamy do domu?

– Kiedyś tak. Muszę jeszcze wykonać kilka telefonów. Jesteś tutaj w dobrych rękach. Zaraz wrócę.

Na zewnątrz Peyton włączyła telefon i wybrała numer komórki Elliotta. Natychmiast uzyskała połączenie.

– Dodzwoniłeś się do Operacji BioTarcza. Jeśli dzwonicz ze strefy, wciśnij jeden. Jeśli znajdujesz się poza strefą, wciśnij dwa.

Po krótkiej pauzie nagranie odtworzyło się ponownie.

Dlaczego telefon Elliotta przekierowywał połączenia do jakiegoś centrum obsługi klienta? Peyton nigdy nie słyszała o Operacji BioTarcza. Zastanawiała się, czy miała jakiś związek z aktem Kongresu Projekt BioTarcza, w którym określano zasady nabywania najważniejszych szczepionek po 11 września.

Zaintrygowana wcisnęła jedynekę, jakby znajdowała się wewnątrz strefy.

– Jeśli jesteś chory lub zachorował ktoś w twoim domu, wybierz jeden. Jeśli masz kwalifikacje do wykonywania jednego z kluczowych zawodów, wybierz dwa. Kluczowe zawody dotyczą każdego, kto odbył przeszkolenie wojskowe, jest lekarzem, pielęgniarką, policjantem, strażakiem, ratownikiem medycznym lub pracownikiem służby więziennej. Jeśli dzwonisz z centrum operacyjnego, wybierz trzy. Wszyscy pozostali dzwoniący proszę wybrać zero. Uwaga: wybór zera znacznie wydłuży czas oczekiwania. Obecnie czas oczekiwania wynosi sześć godzin i osiemnaście minut.

Peyton rozłączyła się i zadzwoniła do współpracowników z CDC. Na pamięć znała tylko kilka numerów. Jednak za każdym razem była przekierowywana na tę samą linię Operacji BioTarcza.

Wybrała numer do Centrum Operacji Kryzysowych w CDC. Usłyszała nagranie innej treści:

– Dodzwoniłeś się do Centrum Zarządzania Operacją BioTarcza. Jeśli przewozisz zapasy i potrzebujesz pomocy w wyborze trasy lub miejsca, wybierz jeden. Jeśli wykonujesz jeden z kluczowych zawodów i potrzebujesz zleceń, wciśnij dwa. Jeśli udało ci się zlokalizować osoby poza strefą wyłączoną nieprzypisane do żadnej grupy, wybierz trzy.

Ostatnia opcja przeraziła Peyton. *Nieprzypisane osoby.*

Nagranie powtórzyło się; w ogóle nie było opcji wybrania rozmowy z konsultantem.

Peyton wybrała dwa. Odezwał się mężczyzna mówiący nieprzyjemnym tonem.

– Nazwisko i numer ubezpieczenia społecznego.

Podala mu obie informacje, usłyszała, że mężczyzna wklepuje je do komputera.

– Proszę pana, mam ważne informacje...

Przerwał jej.

– Miejsce pobytu?

– Dadaab, Kenia.

Długa chwila ciszy.

– Miejsce zbiórki to Philips Arena. Proszę zgłosić się tam jak



najszybciej i odebrać zlecenie.

– Słucham?

– Philips Arena mieści się...

– Wiem, gdzie jest Philips Arena. Proszę mnie posłuchać, byłam szefem misji CDC w Kenii, tej, która pierwsza zidentyfikowała wirusa manderskiego.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza. Chyba udało jej się zwrócić na siebie jego uwagę.

– Mam informacje dotyczące jego pochodzenia oraz być może coś, co pomoże opracować leczenie. Muszę rozmawiać z CDC.

Usłyszała szybkie stukanie klawiszy w tle.

– Pod jakim numerem możemy się z panią skontaktować?

– Nie słyszał pan, co właśnie powiedziałam? Wiem, jak zaczęła się pandemia i jak można znaleźć na nią lek.

– Słyszałem, doktor Shaw. Co godzina odbieramy około stu telefonów od naukowców i lekarzy, którzy mają pewność, że są w posiadaniu informacji związanych z leczeniem. Mamy kolejkę, którą zajmuje się asystent. Oddzwonią do pani.

– Czyli zamierza pan przekazać moje zgłoszenie do kolejki i mam czekać, aż ktoś oddzwoni?

– Tak, proszę pani.

– Mówi pan poważnie?

– Tak, proszę pani.

– Z kim rozmawiam?

– Kapral Travers.

– Kiedy to się skończy, kapralu, gazety i telewizja będą zastanawiały się, dlaczego umarło tak wielu ludzi. Określą punkty zwrotne, kiedy ludzie odgrywający istotne role zetknęli się z murem obojętności, chwile, kiedy ktoś mógł podjąć decyzję, która zmieniłaby przebieg epidemii i ocaliła miliony, a może i miliardy istnień. To jedna z takich chwil. To chwila, kiedy może mnie pan połączyć z zespołem badawczym lub kimś z CDC. Zajmie to tylko kilka sekund. Może pan ocalić wielu ludzi właśnie teraz.

– Przepraszam, ale nawet nie mam do nich numeru.

Peyton zamilkła. Musiała zebrać myśli.

– Proszę pani?

– Tak, jestem tu.

– Pani numer został zablokowany; będę potrzebował innego numeru, żeby móc oddzwonić.

Peyton weszła do ustawień telefonu, z którego korzystała, i podyktowała mu numer. Travers podziękował.

– Kapralu?

– Tak, proszę pani?

– Ile osób czeka w tej... kolejce?

– Trzysta szesnaście.

Pokręciła głową.

– Jeszcze jedno, kapralu. Jestem epidemiolożką zajmującą wysokie stanowisko w CDC. Zostałam skierowana do pracy w Kenii, kiedy dotarły informacje o epidemii. Może znajdzie to pan w bazie danych, jeśli ma pan dostęp do historii mojego zatrudnienia. Jestem blisko związana z tym dochodzeniem. Osoba, która zobaczy tę wiadomość, będzie wiedziała, kim jestem. Niezwłocznie do mnie zadzwoni. Proszę przełożyć moją wiadomość na szczyt listy. Zrozumiał pan?

– Czy potrzebuje pani jeszcze mojej pomocy?

Odchyliła głowę do tyłu i jęknęła.

Kiedy zakończyła rozmowę, uruchomiła przeglądarkę w telefonie. Gdyby udało jej się skontaktować z WHO, może połączyliby ją z CDC. Nie знаła jednak numeru do WHO. Wtedy przypomniała sobie o Jonasie. Jego numer telefonu wyświetlał się w jej telefonie tydzień temu. Czy nadal by żył, gdyby rozdzielili się w Kenii? Czy to, że znalazł się blisko niej, przyczyniło się do jego śmierci? Próbowała się skupić.

Adres internetowy WHO przekierował ją na stronę o nazwie EuroTarcza. Tam kazano jej wpisać swoje dane, by mogła uzyskać adres lokalnego „centrum EuroKordonu”. Odpowiedziała na prawie identyczne pytania z tymi, które zadał amerykański operator. Wyglądało na to, że w Europie mieli podobne reguły postępowania na wypadek wybuchu

pandemii jak w Stanach.

Próbowała wejść na kilka innych stron internetowych, ale pojawiały się jedynie strony BioTarczy w Ameryce, EuroTarczy w Europie i podobne do nich portale w Azji i Rosji.

Wszystko wskazywało na to, że cokolwiek wydarzyło się w Stanach, działo się na całym świecie. Telefony i Internet zostały przejęte. Peyton zastanawiała się, czy to był świt nowej, ciemnej ery, czy może coś jeszcze gorszego.



Znalazła Desmonda przed kafejką, wpatrywał się w smartfon, oparłszy się o ścianę.

– Masz to? – spytała.

– Tak – odparł w zamyśleniu.

– Każdy adres internetowy przekierowuje do stron kryzysowych. Linie telefoniczne łączą z centrum obsługi.

– Aplikacja wciąż działa – mruknął pod nosem.

Ta informacja zelektryzowała Peyton. To mógł być przełom, którego tak potrzebowali.

– I co?

– Tym razem podała mi pewną lokalizację – rzekł Desmond. – Wyspę na północ od Szkocji. Mieszka tam garstka ludzi.

Widziała jego frustrację. Może spodziewał się czegoś konkretniejszego. A może tak na niego podziałała przechadzka po obozie.

Streściła mu rozmowę z operatorem w centrum BioTarczy. Zastanawiali się, jak wygląda teraz Ameryka, Europa, a w szczególności Szetlandy, gdzie być może czekał na nich ważny element układanki.

– Jeśli Wielka Brytania zamknie przestrzeń powietrzną, mogą nas zestrzelić w chwili, gdy wlecimy nad ich terytorium.

– Zakładasz – powiedziała Peyton – że znajdziemy się w ich przestrzeni powietrznej. Umiesz pilotować samolot?

Na ustach Desmonda pojawił się przelotny uśmiech.

– Nie wiem. Nie pamiętam. Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy mówi poważnie.

– Żartowałem – dodał z uśmiechem.

Wobec tego została Avery. Żadne z nich nie wypowiedziało jej imienia.

– Nie ufam jej – rzuciła.

– Nie lubisz jej.

– To prawda. I nie ufam. Akcja ratunkowa przebiegła zbyt gładko.

– I w samą porę.

– A ty jej wierzysz?

Desmond westchnął.

– Nie jestem pewien. Chciałbym. Ale... To dziwne, gdy nie pamiętam swojej przeszłości, nie znam prawdziwej relacji między nią a sobą. Trudno to wyjaśnić. – Spojrzał w oczy Peyton. – Chciałbym również poznać dalszy ciąg naszej historii.

Nie odpowiedziała.

– Dlaczego nie chcesz mi jej zdradzić?

– To przeszłość – wyszeptała.

Milczał przez kilka sekund, potem wyjął telefon z kieszeni.

– Potrzebuję kogoś, komu mógłbym ufać. Skłamałem Avery w helikopterze. Aplikacja, którą znalazłem w Berlinie, naprawdę nazywa się Labirynth Reality. Wziąłem dwa identyczne telefony. Zatrzymam ten bez aplikacji, chciałbym, żebyś ty zatrzymała ten z Labirynthem.

Peyton spojrzała na ekran.

– Coś się ściąga. Co to?

– Nie wiem. Wiadomość pojawiła się zaraz po tym, jak zlokalizowano wejście.

Kiedy Peyton podniosła głowę, w korytarzu była już Avery. Nie słyszała jej kroków. Zastanawiała się, jak długo kobieta tam była i ile usłyszała z ich rozmowy.

Desmond podążył za spojrzeniem Peyton.

– Udało ci się uzyskać połączenie? – zwrócił się do Avery.

– Linie padły. Sieć też. Mamy przerąbane.

Peyton wsadziła do kieszeni telefon Desmonda. Avery patrzyła.

– Czy aplikacja zadziałała? – zapytała Desmonda.

Opowiedział jej, czego się dowiedział, również o wskazanej lokalizacji na Szetlandach, ale cały czas udawał, że aplikacja związana była z CityForge.

– Szetlandy są daleko – stwierdziła Avery. – Mamy samolot?

Peyton ruszyła na koniec korytarza.

– Sprawdźmy.



Przed salą operacyjną Elim cicho rozmawiał z mieszkanką wsi, którą Peyton widziała w mesie.

– Przyszłam w związku z naszą drugą prośbą – rzekła.

Elim się uśmiechnął.

– Proszę za mną.

Wyszli przed budynek, przeszli przez obóz agencji pomocowych i skierowali się na jedyny pas startowy. Na jego końcu Peyton zobaczyła duży samolot z małą liczbą okien. Samolot dostawczy. Gdy jej wzrok przyzwyczał się do ciemności, zauważyła na nim oznakowanie Czerwonego Krzyża.

– Przybyli z zapasami na samym początku epidemii. Nie przeżyli. Jest wasz, jeśli potraficie z niego skorzystać. Nie pozostali tu żadni piloci.

Bez słowa Avery ruszyła w stronę samolotu.

Desmond posłał Peyton spojrzenie, które mówiło: Będę miał ją na oku, żeby nie poleciała bez nas.

Peyton podziękowała Elimowi, ale mężczyzna tylko machnął ręką.

– To jedyne, co mogę zrobić dla kobiety, która uratowała mi życie. Jestem pewien, że nie przeżyłbym bez ZMappu.

– Nie musisz mi za to dziękować – powiedziała Peyton. – Ta kobieta z kenijskiego Ministerstwa Zdrowia, Nia Okeke, była bardzo

przekonująca. To jej należą się podziękowania.

Elim ponuro skinął głową, jakby zasmuciło go samo wspomnienie imienia tamtej kobiety.

– Obawiam się, że nie możemy zabrać ze sobą Hannah – oznajmiła Peyton.

– Spodziewałem się tego. Zapewniam cię, że otoczymy ją najlepszą opieką.

Peyton wiedziała, że może mu ufać.

– Wiem, że tak będzie. Dziękuję.



Wróciwszy do budynku, Peyton głęboko odetchnęła, zanim weszła do pokoju Hannah. Elim i kobieta z wioski podążyli za nią.

Hannah leżała w łóżku i odpoczywała z zamkniętymi oczami. Na monitorach wyświetlały się odczyty jej funkcji życiowych, które, ku uldze Peyton, były zadowalające.

Peyton położyła dłoń na ramieniu Hannah.

– Hannah. Słyszysz mnie?

Chora powoli otworzyła oczy.

– Muszę jechać. Elim otoczy cię doskonałą opieką.

Hannah potaknęła, podziękowała Elimowi i jego towarzyszce.

– Pani pochodzi z wioski – powiedziała.

Elim przetłumaczył, a kobieta przytaknęła.

Następnie Elim zwrócił się do Hannah i Peyton.

– Wasz kolega, Millen Thomas, przywiózł ją do Mandery.

*Millen żyje.* Peyton uradowała ta wiadomość, a mina Hannah świadczyła o tym, że jest przeszczęśliwa. Po jej policzku popłynęła łza.

– Znalazł mnie w szpitalu – wyjaśnił Elim. – Żyłem, ale ledwo ledwo. Millen i Dhamiria pomogli mi w rehabilitacji. – Spojrzał na kobietę stojącą obok niego. – Dali mi powód do życia. – Zwrócił się do Hannah: – Ostatnio dowiedziałem się, jaki to silny lek.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

Hannah chwyciła Peyton za rękę. Teraz płakała jeszcze bardziej, ale nadal w ciszy.

– Dokąd pojechał Millen? – spytała Peyton, bo wiedziała, że Hannah chciałaby wiedzieć.

– Do domu. Do Atlanty. Zadzwoił do kogoś, wydaje mi się, że do jakiegoś Elliotta. I on zorganizował transport. Wyjechał kilka dni temu z dwojgiem dzieci ze wsi. Zabrał je do CDC w nadziei, że uda im się opracować lekarstwo.

Peyton szybko myślała. Millen zabrał ocalonych do CDC, co może dać przełom.

– Millen martwił się o los wszystkich, z którymi tu przyleciał, ale szczególnie martwił się o ciebie – zwrócił się do Hannah Elim.

Peyton poczuła, jak dziewczyna ściska jej dłoń.



Elim dał Peyton trochę zapasów na czas podróży: jedzenie, wodę i na wszelki wypadek, jak powiedział – leki. Peyton kasłała, lekarz musiał więc mieć świadomość, że jest zrażona wirusem manderskim. Antybiotyki, które jej wręczył, pomogą na objawy towarzyszące.

– Jest coś, o co chciałbym zapytać – odezwał się Elim, odprowadzając ich do samolotu.

– Słucham.

– Był tu młody Amerykanin, którym się zajmowałem, Lucas Turner. Przeżył?

Peyton pokręciła głową.

– Nie. Przykro mi.

– Mnie również. Był fajnym chłopakiem. I odważnym.

Przez chwilę milczeli.

– No cóż, dziękujemy za wszystko – odezwała się wreszcie Peyton.

– Powodzenia, doktor Shaw.

– Powodzenia!



W prowizorycznej sali szpitalnej Hannah otarła łzy z twarzy i zamknęła oczy. Nigdy w życiu nie była tak zmęczona. Wiedziała, że rośnie jej gorączka, że w najbliższych dniach okaże się, czy przeżyje. Była gotowa. Ponieważ teraz zmierzy się z nią uzbrojona w coś bardzo cennego, coś czego nie miała dzień wcześniej.

Nadzieję.



W innej sali Emil Kibet podłączył antybiotyk do kroplówki.

– Marnujesz go na mnie – powiedziała kobieta.

Mimo pogarszającego się stanu mówiła stanowczym tonem. Elim musiał się zgodzić z doktor Shaw: Nia Okeke była bardzo przekonującą kobietą, kiedy tego chciała.

– Wiesz co – odparł – na twoje szczęście nie jesteś tu lekarzem prowadzącym.



Samolot był podobny do maszyny wojskowej, którą Peyton przyleciała do Kenii, tylko nieco mniejszy. W kabinie załogi było sześć wysokich foteli i otwarta przestrzeń, gdzie Peyton znalazła Desmonda wyciągniętego w śpiworze. Miał na sobie tylko bokserki i podkoszulek, na którym widniały plamy potu.

Nadal był w bardzo dobrej kondycji, miał szerokie bary i budowę kogoś, kto uprawiał kickboxing i podnosił ciężary, a nie osoby, która ćwiczyła jogę i uprawiała jogging. Jej wzrok przyciągnęły blizny po poparzeniu, pokrywające stopy i obejmujące prawie całe nogi. Przypomniały jej o dniu, kiedy je ujrzała po raz pierwszy w pokoju na kampusie prawie dwadzieścia lat wcześniej. To było wieki temu, ale teraz bardziej był podobny do tamtego szczęśliwego dziewiętnastolatka niż do



znerwicowanego dorosłego, którym stał się potem. Tak samo jak tej nocy na przyjęciu halloweenowym poczuła do niego nieodparty pociąg, jakby przyciągała ją czarna dziura, z której nie ma ucieczki.

Pierwsza iskra pojawiła się, kiedy usłyszała jego głos zeszłej soboty w nocy. A potem, kiedy Lucas Turner wymówił jego imię. I kiedy zobaczyła jego imię wyryte na ścianie boksu w stajni. To Desmond uratował ją ze statku i prawdopodobnie dzięki temu ocalał życie Hannah. Z każdą taką chwilą ożywała coraz większa część jej samej, jakby budziła się z długiego snu. Ale nie mogła na to pozwolić. Mieli pracę do wykonania. Ważyło się istnienie wielu ludzi – a to o wiele ważniejsze niż ona i Desmond.

Wsunęła się do swojego śpiwora i leżeli w ciszy.

Czuła na sobie jego wzrok. Zastanawiała się, o czym myśli i kiedy sobie przypomni, jeśli w ogóle sobie przypomni. I co wtedy zrobi.



Pięć minut później samolot wzniósł się w powietrze i skierował w stronę Szetlandów.

Mimo hałasu i turbulencji Desmond szybko zapadł w sen. Z pewnością jest wykończony, pomyślała Peyton. Temperatura w kabinie spadała wraz ze wzrostem wysokości. Silniki wyły; Avery nie oszczędzała maszyny.

Peyton wetknęła kilka poduszek pomiędzy Desmonda i ścianę, żeby go zabezpieczyć na wypadek większych turbulencji. Następnie znowu weszła do swojego śpiwora i przysunęła się bliżej niego, żeby nie tracić ciepła.

Powoli stawała się coraz bardziej świadoma rosnącej gorączki. Chłód kabiny lub może samotność sprawiały, że gorąco obejmowało jej twarz. Bolała ją głowa. Ciężko oddychała. Miała nadzieję na znalezienie na wyspie jakichś wskazówek. Dla dobra swojego... i innych.

Desmond coś mamrotał, ale przez hałas silników nie słyszała co.

Odwróciła się. Wciąż miał zamknięte oczy. Odezwał się ponownie.

Pochyliła się nad nim, uchem dotykając jego ust.

– Znalazłem to. Czynniki X.

Peyton wiedziała, o co chodzi. Też tam była. Wiedziała, co będzie dalej. I od razu go pożałowała.

Wyjęła telefon, który od niego dostała. W oknie dialogowym pojawił się napis:

Operacja zakończona.

# DZIEŃ 10

**4 mld 600 mln zarażonych**

**1 mln ofiar śmiertelnych**

## ROZDZIAŁ 72

Zanim samolot Czerwonego Krzyża wyrównał lot, Desmond spływał potem. Peyton rozsunęła suwak jego śpiwora, ale na niewiele to się zdało.

Co kilka sekund rzucał głową raz w jedną, raz w drugą stronę.

Przez całe pięć minut próbowała go obudzić, ale jej wysiłki spełzły na niczym. Spał tak, jakby zapadł w śpiączkę.

Usłyszała za sobą kroki, odwróciła się i zobaczyła Avery przyglądającą się cierpiącemu Desmondowi.

Szczupła kobieta przykucnęła, otarła pot z jego czoła i objęła jego twarz dłońmi. Pochyliła się nad nim i przysłuchiwała temu, co mamrocze.

Peyton uznała ten gest za intymny, dopuszczalny między kochankami, lecz nie podczas badania. Zastanawiała się, czy Avery gra przed nią, czy może robiła to już wcześniej.

– Powinniśmy lądować? – spytała Avery, nie odwracając się do Peyton.

– Nie wiem. Gdzie jesteśmy?

– Nad Etiopią.

– Jest w stabilnym stanie. Wolałabym poczekać, aż znajdziemy się nad Europą.

Avery wyszła bez słowa. Kiedy tylko zamknęła drzwi kokpitu, Peyton starła z twarzy Desmonda nową warstwę potu i położyła swoje dłonie w miejscu, gdzie wcześniej dotykała go Avery. Poczowała kłujący zarost na wilgotnej, błyszczącej skórze.

Mogła jedynie czekać.



Dwa dni po Bożym Narodzeniu Desmond przedstawił Peyton swoją teorię.

– Udało mi się to rozgryźć.

– Co? Sens życia?

– Lepiej. Wiem, dlaczego firmy upadają.

– Och. – Właśnie czytała magazyn „People” i oglądała powtórki *Przyjaciół*.

– Chodzi o czynnik X.

– Nie nadążam.

– Pomyśl. Najpierw firma musi znaleźć zapotrzebowanie na rynku. – Zaczął chodzić tam i z powrotem, zasłaniając jej Rossa i Rachel na ekranie. – XTV dobrze sobie z tym poradziła. Jednak do sukcesu potrzebne są dwie rzeczy: wydajność operacyjna oraz czynnik X. Wszystkie start-upy dobrze radzą sobie z kwestią operacyjności. Dbają o to, by programy działały, produkt się sprzedawał, płacą czynsz i tak dalej, i tak dalej. Czynnik X stanowi większy problem. Dla firm działających w Sieci czynnikiem X jest adaptacja klienta. Każda z nich w pewien sposób zakłóca jego świat – próbuje zmienić zachowanie klienta. Pomyśl sama. Amazon chce zmienić sposób, w jaki kupujemy książki. Zamiast iść do księgarni Barnes and Noble, zamawia się je przez Internet, a książki są dostarczane do domu. Kto wie, może pewnego dnia będą dostarczać inne towary. Webvan chce w podobny sposób dostarczać zakupy spożywcze. Skończy się jeżdżenie do sklepów. WebCrawler chce zmienić sposób, w jaki wyszukiujemy informacje. Zapomnij o chodzeniu do biblioteki i sprawdzaniu faktów – po prostu wyszukasz je w Sieci za pomocą WebCrawlera. Chcesz znaleźć jakąś firmę? Nie dzwonisz pod czterysta jedenaście, nie zaglądasz do książki telefonicznej, po prostu wyszukujesz ją w WebCrawlerze. Próbują zmienić sposób zachowania klientów i skierować ich uwagę oraz pieniądze w inną stronę.

– To ma sens.

– Niewiadomą jest to, ilu klientów zmieni swoje przyzwyczajenia i kiedy to nastąpi. Właśnie tu przeliczyło się xTV. Źle oszacowali liczbę konsumentów. Skończyły im się pieniądze, zanim klienci przyzwyczaili się do ich produktu.

– No dobrze. Rozumiem. – Wciąż zerkąca na ekran. Monica właśnie odziedziczyła domek dla lalek. Desmond nie mógł zrozumieć, dlaczego ten serial zyskał aż taką popularność.

– To sprowadza się do założycieli – ciągnął. – Firmy, które odniosły sukces, mają właścicieli lub liderów, którzy rozumieją swoich klientów, czasami nawet lepiej od samych klientów. Wiedzą, czego klient chce, zanim on się dowie, że tego chce, więc opakowują to w taki sposób, by konsument nie mógł się oprzeć. I dzięki temu im się udaje. XTV miało wizję, ale brakowało dyscypliny. Nie przyglądali się swoim kontom bankowym z należytą uwagą.

– Aha. Więc co zamierzasz zrobić z tym swoim wielkim objawieniem?

– Jutro mam trzy rozmowy o pracę.

– Serio? – Usiadła prosto i odłożyła gazetę. – Gdzie?

Powiedział jej, a ona skinęła głową.

– Zamierzasz włożyć buty z metalowym wzmocnieniem na czubkach?

– Bardzo śmieszne. Ale tak. Zamierzam. Ponieważ chcę być autentyczny.



W sylwestra przyjął ofertę pracy. Kiedy zdradził Peyton, w jakiej firmie, była zaskoczona.

– SciNet?

– SciNet.

– Nie sądziłam, że tak będzie.

Firma była nudna. Dopiero się rozkręcała w branży handlu internetowego, gdzie sprzedawała sprzęt naukowy i inne produkty.

– To najlepszy wybór – powiedział Desmond. – Niski czynnik X. Nie

trzeba długo czekać na to, aż klient przywyknie. Ich klienci są naukowcami i pracownikami wyższego szczebla – ludźmi racjonalnymi, łatwo do nich dotrzeć. Bardzo łatwo przewidzieć ich wzorce zachowań.

– Nie bądź taki pewny. Zostałam wychowana przez naukowca.

– Sama wiesz, o co mi chodzi. Odniosą sukces. Nie będą zarabiać grubych miliardów, ale uda im się pozostać na rynku i osiągnąć to, co zamierzają.

– Czyli?

– Zapewnić sobie płynność finansową. Ta oferta pracy mi odpowiada. Dostanę górę opcji i dobrą pensję. Mogę na nowo zacząć skupować opcje innych firm.

– Jeszcze się z tego nie wycofałeś?

– Absolutnie nie.

Tego wieczoru poszli na imprezę sylwestrową. Nie przypominała żadnej, które pamiętał Desmond. Cały świat wydawał mu się lepszy. Przepęłniała go nadzieja związana z nową pracą, a zwłaszcza związkiem z Peyton.



W SciNet panowała zupełnie inna atmosfera niż w xTV. Podczas gdy w xTV balowano prawie jak w Hollywood, w SciNet pracowało się jak na uniwersytecie lub w laboratorium. Wszyscy byli spięci. To znaczy wszyscy oprócz kilku programistów, do których zaliczał się Desmond. Nie mogli się powstrzymać od robienia dowcipów, które miały na celu rozluźnienie atmosfery. Większość była związana z filmem *Terminator*, w którym sztuczna inteligencja o nazwie SkyNet zyskuje samoświadomość i próbuje wyeliminować ludzkość za pomocą robota, w którego wcielił się Arnold Schwarzenegger. Ilekroć jakaś baza danych lub strona internetowa dziwnie się zachowywała, ktoś mówił: „O Boże, wydaje mi się, że SciNet zaczyna zyskiwać samoświadomość”.

Kiedy wyświetlał się błąd strony, pojawiał się zdjęcie Arnolda Schwarzeneggera w ciemnych okularach i z bronią w ręku oraz napis:

„Możliwe, że strona się przeTerminowała”.

Szef w końcu przysłał im mail, w którym zakazał wszelkich żartów związanych z *Terminatorem*.

Desmond odpowiedział:

Chciałbym się upewnić, czy te żarty się przeterminowały.

Mimo ich udawanych obaw, że SciNet zyska samoświadomość, platforma wystartowała wiosną 1998 roku i szybko zyskała dużą popularność. Korzystały z niej laboratoria i centra badawcze z całego kraju, które zinwentaryzowały kurzący się stary sprzęt i wystawiły go na sprzedaż. Niektórzy wykorzystali zarobione w ten sposób pieniądze na zakup sprzętu, którego potrzebowali – wielu zamawiało go w SciNet.

Desmond był głównym programistą. Mógłby objąć stanowisko głównego specjalisty ds. technologii, ale uznał je za zbyt ryzykowne. Miałby wyższą pensję i mniejszą odpowiedzialność za kwestie techniczne. Uznał, że gdyby firma miała kłopoty finansowe lub musiała się przebranżowić, kierownicy z wyższą pensją zostaliby szybciej zwolnieni niż programiści, którzy będą potrzebni do ratowania tonącego statku.

Tymczasem statek płynął ustalonym kursem. Pierwszymi klientami znad zatoki San Francisco byli: Lawrence National Laboratory, NASA, Uniwersytet Stanforda oraz SRI International. Wieść o ich usłudze rozniosła się między naukowcami i wydziałami zaopatrzenia. Mieli mnóstwo klientów i transakcji.

Desmond wysyłał okresowe sprawozdania do kierownictwa, w których wskazywał największych klientów – organizacje, z którymi powinni mieć jak najlepsze relacje i które powinni dopieszczać. O części z nich nigdy wcześniej nie słyszał: Rapture Therapeutics, Rook Quantum Sciences czy Prometheus Technologies.

– Te trzy przedsiębiorstwa kupują więcej niż Livermore. A nawet Stanford – powiedział. – I biorą różnorodny sprzęt. Albo robią zapasy, albo przeprowadzają jakieś eksperymenty na niespotykaną na świecie



skalę.

Szef SciNet był mężczyzną po trzydziestce, ukończył Harvard i był całkowicie nastawiony na sukces.

– Nie widzę problemu.

– Cóż – odparł Desmond – chodzi głównie o to, że Rapture i Rook nie płacą za sprzęt. Transakcji dokonują za pomocą kart kredytowych. Korzystają z kart i kont bankowych związanych z dwiema firmami: Citium Holdings i Invisible Sun Securities.

Szef zaczął się irytować.

– I co z tego?

– To, że mamy dwie firmy, które kupują ogromne ilości sprzętu naukowego i wysyłają go do prywatnych firm badawczych.

– W czym problem?

– Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że powinniśmy się temu przyjrzeć. Stworzyliśmy coś nowego. A jeśli ktoś będzie chciał to wykorzystać? Jeśli posłuży się SciNet do prania brudnych pieniędzy? Jak meksykańskie kartele narkotykowe albo mafia...

– Spokojnie. Wydaje mi się, że naoglądałeś się za dużo telewizji. Nie musimy się niczym przejmować.

Zarządowi niespieszno było do sprawdzania swoich najlepszych klientów. Firma potrzebowała wielu transakcji, a Citium Holdings i Invisible Sun Securities zapewniały stały obrót.

Jednak Desmond nie potrafił powstrzymać swojej ciekawości. Sprawdził te firmy. Obie prowadziły w ślepe zaułki. Tak jakby nigdzie nie istniały oprócz kilku wzmianek w rejestrach. Nie miały biur, stron internetowych, a nawet numerów telefonów. Były jak wydmuszki dysponujące niekończącymi się zasobami pieniężnymi.

Rozwiązała się natomiast inna zagadka, związana z jego życiem prywatnym: Peyton wybierała się na studia medyczne na Stanford. Powiedziała mu o tym pewnego wieczoru podczas obiadu – lazania, którą przyrządziła, była najlepszym posiłkiem, jaki jadł od dłuższego czasu.

– Świetnie – odparł. – Ale tam bardzo trudno się dostać.

- Też się tym martwię.
- Zrobię, co w moje mocy, żeby ci pomóc.
- Wiem. To dla nas chciałam tu zostać. Nie chcę, żebyśmy musieli się rozstawać, trzeba zacząć myśleć o naszej przyszłości.

Słowa „nas” i „naszej” zawisły w powietrzu, były obecne, lecz pozostawione bez odpowiedzi.

Od tej pory Peyton używała ich częściej. I częściej mówiła o ich przyszłości. Pytała, czy on chce mieć dzieci. Gdzie chciałby zamieszkać: w mieście, na przedmieściach czy na wsi, skoro tam dorastał? Jakie życie chciałby dla ich dzieci? Jak według niego powinna wyglądać równowaga między pracą a życiem rodzinnym, gdy ma się dzieci? Czy chciałby podróżować, gdyby mieli taką możliwość?

Desmond zupełnie nie umiał odpowiadać na te pytania. Gdy mijały miesiące, zaczęła coraz bardziej naciskać, z początku subtelnie, potem już wprost. Odpowiedź Desmonda była zawsze taka sama: że w tej chwili skupia się na pracy i trudno mu sobie wyobrazić te scenariusze.

– Jakbym był pociągiem jadącym przez tunel. Nie wiem, co jest po drugiej stronie. Skąd miałbym wiedzieć, co będzie, gdy z niego wyjadę?

To ją wkurzyło.

– Nie jesteś żadnym pociągiem w tunelu! Jesteśmy prawdziwymi ludźmi. Wszystko można sobie wyobrazić.

Ale Desmond nie potrafił. Przez całe życie był na łasce kogoś innego. Ognia. Orville’a. Doliny Krzemowej. I teraz pragnął niezależności. Wolności. To oznaczało pieniądze i wydawało mu się, że kiedy je zdobędzie, ułoży sobie życie. Wówczas zdoła odpowiedzieć na pytania Peyton, które coraz bardziej mu dokuczały.

Z każdym miesiącem wymykała mu się perspektywa finansowej niezależności. Zamknęły się cztery kolejne firmy, w których wykupił opcje. SciNet spowolniła swój rozwój. Dobiegł końca początkowy ruch; magazyny zostały opróżnione ze starego sprzętu i z każdym miesiącem użytkownicy wydawali coraz mniej pieniędzy. Zarząd miał nowe pomysły: wejście na rynek europejski i wykorzystanie platformy do pomocy firmom z sektora przemysłowego w kupnie i sprzedaży sprzętu.

Oba pomysły stanowiły nowe wyzwanie.

Latem 1998 roku wszystko się zmieniło. Jedna z firm, w której Desmond miał opcje, weszła na giełdę. Miał tylko trzynaście tysięcy czterysta opcji, ale każda była warta dwadzieścia jeden dolarów w pierwszej ofercie publicznej, co oznaczało, że miały wartość prawie trzystu tysięcy dolarów.

Gdy zadebiutowały na giełdzie, tysiąc razy sprawdzał ich cenę, obawiając się najgorszego – krachu lub jakiegoś strasznego wypadku. Jednak stało się coś zgoła odmiennego: ich wartość wzrosła. Pod koniec dnia każda jego opcja była warta trzydzieści osiem dolarów dwadzieścia trzy centy. Razem pięćset dwanaście tysięcy dwieście osiemdziesiąt dwa dolary. Suma była niewyobrażalna. Fortuna. Wolność.

Pospiesznie udał się do biura Wallace'a. Prawnik połączył go z bankiem inwestycyjnym, który miał mu pomóc w sprzedaży opcji, jednocześnie zapewniając opodatkowanie zysków na poziomie kapitału długoterminowego.

– Jesteś pewien, że chcesz je wszystkie sprzedać, Desmondzie?

– Tak.

Desmond wypełnił dokument, w którym określał zasady postępowania ze swoimi akcjami: gdyby sam zamierzał kupić akcje po bieżącej cenie, zatrzymałby je. W przeciwnym razie wystawiłby je na sprzedaż. Wolał pieniądze.

Do transakcji doszło następnego dnia, po odjęciu podatku i opłat transakcyjnych zostało mu ponad czterysta tysięcy dolarów.

Znowu pojawił się w biurze Wallace'a.

– Chciałbym, żebyś napisał dla mnie pewne umowy. Kontrakty bardziej osobiste.

Opowiedział dokładnie, o co mu chodzi.

– Będzie musiała je podpisać, Desmondzie.

– Wiem. Nie będzie z tym problemu.

– Jesteś wspaniałym młodym człowiekiem, ale wydaje mi się, że musisz się jeszcze sporo nauczyć o kobietach.

Testament Desmonda był najłatwiejszą częścią planu. W klasycznym

stylu Orville'a Hughesa napisał:

*Wszystko zostawiam Peyton Adelaide Shaw.*

Pozostałe dokumenty czyniły Peyton właścicielką połowy wszystkich opcji i papierów wartościowych, które posiadał.

Tego wieczoru świętowali sukces kolacją w restauracji. Po deserze Desmond pokazał jej swój testament, który, ku jego zaskoczeniu, mocno ją zirytował.

– Chciałem tylko, żebyś była zabezpieczona na przyszłość. A jeśli padnę trupem? Potrąci mnie samochód?

– Nawet tak nie mów.

– Ale to prawda. Jesteś dla mnie wszystkim, Peyton. Jedyłą bliską mi osobą.

– Bliską? Czy to jest definicja tego, co jest pomiędzy nami? – Dopła resztkę wina.

Ta rozmowa nie toczyła się tak, jak to sobie zaplanował. Myślał, że to ją uspokoi.

W mieszkaniu pokazał jej umowy, na mocy których dawał jej na własność połowę swoich opcji i papierów wartościowych.

– To się nazywa uczciwość. Ocaliłaś mnie, kiedy chciałem wszystko zainwestować w xTV. Przedstawiłaś mnie pierwszym ludziom, od których odkupiłem opcje. Jesteś jedyną stałą w moim życiu, odkąd przeprowadziłem się do Kalifornii. Utrzymywałaś mnie po tym, jak odszedłem z xTV, dzięki tobie nie głodowałem. Jesteś moją partnerką we wszystkim, należy ci się połowa.

Niemal eksplodowała.

– Twoją partnerką? Tym jesteśmy dla siebie? Partnerami biznesowymi? Czy to wszystko, co nas łączy?

– Nie, Peyton...

– To kim jesteśmy?

– Czego ty ode mnie chcesz?

– Doskonale wiesz, czego chcę.

Rzeczywiście wiedział. Nie chodziło jej o udział w papierach wartościowych ani o żadną pisemną umowę. Chodziło o dwa słowa,

których jej nie mówił. Po kilku miesiącach ona też przestała je wypowiadać, ale wiedział, że chciała. To go również bolało.

– Czy mogłabyś tu podpisać? – spytał.

– Wyjdź stąd.

– Peyton.

– Słyszałaś, co powiedziałam. I zabierz ze sobą wszystkie swoje... umowy prawne.



Przez dwa tygodnie Peyton nie odbierała od niego telefonów, nie odpisywała na wiadomości. To były dwa najdłuższe tygodnie w życiu Desmond.

Miał również problemy w pracy. SciNet prawie się splukało. Wpadli na pozornie sprzeczny z intuicją pomysł: wejść na giełdę. Pierwsza oferta publiczna mogłaby przynieść im ponad pięćdziesiąt milionów dolarów. Co również uczyniłoby z Desmond bogatego człowieka.

W zdumieniu obserwował, jak dział finansowy upiększa raporty księgowo. Zarząd nieustannie prosił go o przygotowywanie sprawozdań, szlifując je na wielki dzień. W prospekcie należało zawrzeć różnego rodzaju informacje, rozwlekłe opisy ryzyka związanego z ich działalnością oraz z tym, co leżało poza zasięgiem ich kontroli. Jednak inwestorzy nie skupiali się na tych wypełnionych drobną czcionką sekcjach. Bardziej interesowały ich wykresy, które wskazywały szybki wzrost, i czytali te części prospektu, które opisywały duży potencjał rozwojowy firmy.

SciNet weszła w okres oczekiwania. Wszyscy w firmie się denerwowali. Desmond odnosił wrażenie, że został uwięziony w okręcie podwodnym w czasie wojny, wokół niego w wodzie unoszą się miny, cała załoga wstrzymuje oddech w oczekiwaniu na to, że w końcu którąś uderzą i zatoną lub wyjdą z tego cało jako bohaterowie.

Każdego dnia Desmond pisał kolejny mail do Peyton.

Nie odpowiadała, wobec tego czekał na nią przy drzwiach domu. Bał

się, że sąsiedzi w końcu zadzwonią na policję, ale chyba zorientowali się, o co chodzi. Patrzyli na niego ze współczuciem, gdy go mijali.

– Powodzenia, chłopie – rzucił jeden z nich.

Kiedy Peyton rano otworzyła drzwi, na jego widok natychmiast próbowała je zatrzasać, ale udało mu się je przytrzymać.

– Porozmawiaj za mną, proszę.

– Ty mówisz, ja słucham.

Stała w dużym pokoju i oparła ręce na biodrach.

– Chciałbym, żebyś spojrzała na to z mojego punktu widzenia.

Stała jak posąg.

– Coś się we mnie złamało. Gdzieś w środku. W miejscu, o którym nie miałem pojęcia, dopóki cię nie poznałem. Nigdy wcześniej tego nie potrzebowałem, ponieważ każdy, kto kiedykolwiek mnie kochał, znikał z mojego życia, zanim zdołałem go pokochać. Byłem świadkiem tego, jak spłonęła moja rodzina. Zostałem wychowany przez najpodlejszego człowieka na świecie. Nigdy mnie nie kochał. Wydaje mi się, że nie umiał kochać albo nie potrafił tego okazać. Jako dziecko nigdy nie odczułem miłości. Nigdy wcześniej jej nie zaznałem. Dopóki nie spotkałem ciebie. Nie wiem, jak się zachować, nie wiem, jak mam się czuć, bo to dla mnie coś zupełnie nieznanego. Zależy mi na tobie jak na nikim innym na świecie. Jesteś całym moim życiem, Peyton. Musisz jednak wiedzieć, że nie jestem kompletną osobą. Nie jestem taki, jakiego pragniesz.

Po jej twarzy zaczęły płynąć łzy. Objęła go, przyciągnęła, wtuliła się w niego. Czuł, że uchodzi z niego napięcie. Zalała go ulga. Zareagowały ich ciała. Kilka sekund później byli już nadzy, ona tyłem szła do sypialni, wciąż go całując jak ktoś łaknący czułości.

Stracili poczucie czasu. Nie wspomniała o swoich zajęciach, on nie powiedział słowa o pracy. Słyszał dzwonek swojej nokiai dochodzący z salonu. Nie odebrałyby za nic w świecie.

Kiedy zmęczeni leżeli na łóżku, wpatrywali się w sufit tak samo jak po pierwszej wspólnie spędzonej nocy.

– Myślałam, że mnie przeganasz. – Jej głos był ledwie słyszalny.

To go zaskoczyło. Podparł się na łokciu.

– Wydawało mi się, że dostałeś to, czego chciałeś, masz pieniądze i akcje, które uczynią cię bogatym – ciągnęła, patrząc na sufit. – Chciałeś oddać mi część z nich i odejść z czystym sumieniem, że zachowałeś się właściwie.

Prawnik miał rację: Desmond naprawdę musiał się dużo nauczyć o kobietach.

– To ostatnia rzecz, jakiej bym chciał. Chcę się tobą zaopiekować, nieważne, co się z nami stanie lub co stanie się ze mną. Przepraszam, że cię zraniłem.

Bał się, że znowu ją zrani. Obawiał się, że to była zaledwie pierwsza z pochopnych decyzji, które podjął.

– To prawda, co mówiłem: nie jestem kompletną osobą, Peyton. Twoi przyjaciele czy pary, z którymi się spotykamy, są normalni.

– To ja decyduję o tym, czego chcę. I nie jest to nic normalnego. Poza tym mam dla ciebie ważną informację, Des. Nikt na świecie nie jest do końca normalny. Wszyscy w pewnym sensie udajemy. Zwłaszcza w tej okolicy. Widzimy to, co inni chcą pokazać.

Ubrali się. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa, ale atmosfera była tak podniosła jak nigdy.

Zanim wyszedł do pracy, ponownie zapytał, czy podpisze te dokumenty.

– Muszę mieć pewność, że jesteś zabezpieczona. Proszę.

– Dobrze. – Pogładziła go po twarzy. – Jeśli tego chcesz.

Złożyła na papierach swój podpis, a Desmond pocałował ją przed wyjściem.



Ponownie zapytała go, czy pojedzie z nią na święta do matki. Tym razem zgodził się, ale nie było mu to w smak. Nadal nie czuł się komfortowo w towarzystwie jej rodziny. Jednak teraz było inaczej. Odniósł sukces, dorobił się na giełdzie i w perspektywie miał kolejną

udaną inwestycję.

Mąż siostry Peyton traktował go inaczej, chociaż, jak przypuszczał, skłoniła go do tego żona, której Peyton suszyła głowę. Derrick wypytywał go o SciNet i inne inwestycje z zapalem dziecka próbującego wysondować, co znajdzie pod choinką.

Desmond widział, że wszyscy w rodzinie byli sobie bliscy, a Peyton zdradziła mu powód: śmierć ojca bardzo ich do siebie zbliżyła. Śmierć brata siedem lat temu również wzmocniła ich więź. Peyton powiedziała, że są teraz bardziej wdzięczni za to, że mają siebie, i za każdy wspólny rok. Tragedie, które ich dotknęły, przypominały im o tym, co naprawdę ważne w życiu.

Cała rodzina nie mogła być dla niego miłsza. Nadal czuł się nie na miejscu, jak aktor w niedopasowanej roli. Po głowie wciąż chodziło mu słowo „oszust”. Wmawiał sobie, że gdzieś w środku niego jest mur, a za nim kryją się różne uczucia i czekają na moment, by się wydostać. Wszystko się ułoży, kiedy to się stanie.

Niedługo pozna prawdę.



## ROZDZIAŁ 73

Desmond poczuł, że ktoś nim potrząsa. Otworzył oczy. Zobaczył nad sobą Avery, jej bladą skórę i szczupłą twarz, które upodabniały ją do ducha w zielonej poświacie świateł samolotu.

Peyton leżała w śpiworze tuż obok niego i głęboko spała. Avery jej nie obudziła i widocznie nie miała takiego zamiaru. Mówiła szeptem.

– Jak się czujesz?

Chyba miał gorączkę i był obolały, ale nie chciał jej zdradzać, że przypomniał sobie coś nowego.

– Dobrze. Dlaczego pytasz?

Avery przyglądała mu się z uwagą.

– Wcześniej miałeś gorączkę. Mamy problem.

– Jaki problem?

– Życia i śmierci.

Avery poinformowała go, że niedługo wydostaną się poza przestrzeń powietrzną Afryki, przelecą nad Morzem Śródziemnym, a potem znajdą się nad Europą i pokierują do Szkocji.

– No i?

– I jeśli Europejczycy zamknęli granice tak jak Amerykanie i Kenijczycy, to mogą nas zestrzelić.

To rzeczywiście był problem.

– Możemy polecieć okrężną drogą?

– Za mało paliwa.

– A zatankowanie...

– Jest złym pomysłem – dokończyła Avery. – Za każdym razem gdy lądujemy, podejmujemy ryzyko. Jeśli wylądujemy na jakimś lotnisku, prawdopodobnie skonfiskują nam samolot, a nas w najlepszym razie umieszczą w strefie odizolowanej.

Avery wskazała Peyton.

– Chcesz, żebym obudziła Śpiącą Królową?

– Nie – szybko odparł Desmond. – I nie nazywaj jej tak. Jest twardsza, niż myślisz.

Avery wyglądała na poirytowaną.

– To nie jej twardość mnie denerwuje.

– Chroniła swoich ludzi na statku, zrobiłabyś podobnie.

Avery zignorowała jego słowa.

– Co robimy?

– Jaki kraj zestrzeliłby nas w pierwszej kolejności?

– Słucham? Nie mam pojęcia.

– Kto ma największe siły lotnicze?

– Nie wiem. Wielka Brytania. Niemcy. Francja. Włochy.

– A Hiszpania?

Avery zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Mają jakieś samoloty, ale niezbyt dużo pieniędzy na ich naprawę i utrzymanie w gotowości do lotu. Od lat pogrążeni są kryzysie ekonomicznym. – Skinęła głową. – W takim razie ryzykujemy i lecimy nad Hiszpanią, żeby dostać się do Szkocji.

– Skoro o tym mowa, to co tam zrobimy? Na pewno nas zestrzelą.

– Pracuję nad tym.

Zanim zdążył ją wypytać, wstała i wróciła do kokpitu.

Desmond poprawił zrolowany koc pod głową Peyton i przez chwilę przyglądał się, jak śpi.

Zamknął oczy, próbując przypomnieć sobie przeszłość.



Pierwsza oferta publiczna SciNetu była punktem zwrotnym w życiu

Desmonda, chociaż nigdy by się tego nie spodziewał. Akcje poszły w górę. Na papierze jego udziały wynoszące poniżej jednego procentu wartości firmy były warte trzy miliony dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów. W rzeczywistości wszystkie jego akcje były zastrzeżone kontraktem pracowniczym, który zakazywał ich sprzedaży przez sześć miesięcy od wejścia na giełdę.

To było najdłuższe pół roku w jego życiu, a także wszystkich innych w SciNet. Wejście na giełdę zmieniło firmę. Zarząd bez przerwy skupiał się na cenie akcji i relacjach z inwestorami. Kwartalne zarobki stały się jedynymi ważnymi wydarzeniami. Cały czas wypuszczali komunikaty prasowe w nadziei, że uda im się przyciągnąć większą uwagę mediów.

Chociaż wcześniej myśleli strategicznie, podejmowali ryzyko i próbowali budować długofalowe strategie biznesowe, teraz byli zachowawczy, próbowali zwiększyć obroty i przychody (nadal nie było mowy o zyskach). Desmond wiedział, że to początek końca. Kiedy w sierpniu skończył się okres zamrożenia, akcje poszybowały w górę. Giełdowy przyływ 1999 roku porwał za sobą wszystkie statki, wraz z nimi większość akcji firm internetowych. Jego akcje warte były siedem milionów osiemset czterdzieści tysięcy dolarów. Sprzedał je wszystkie i zwolnił się z pracy. Włącznie z opcjami akcji w dwóch innych firmach, które zadebiutowały na giełdzie, oraz jednej, która została wykupiona, zarobił ponad dziewięć milionów dolarów w ciągu roku.

Peyton twierdziła, że zrobiłaby to samo co on z udziałami w firmach. Sprzedał wszystko i wpłacił pieniądze na dwa oddzielne konta bankowe.

Ona jednak nie chciała niczego oddzielnego – ani w banku, ani w życiu. Ostatnio poprosiła go, by się do niej wprowadził. Wahał się, nadal obawiając się, że może ją zranić. Ale odmowa również by ją uraziła. Kupili mały domek w stylu wiejskim w Palo Alto. To była najłatwiejsza przeprowadzka w życiu Desmonda. Po prostu przyholował przyczepę na podjazd i wniósł do środka swoje rzeczy.

Mimo dużego przyływu gotówki Peyton ani trochę się nie zmieniła. Nadal uczęszczała na studia medyczne, uczyła się jak szalona, a w wolnym czasie urządzała dom. Pomalowała każdy pokój. Położyła

tapetę. W każdy weekend planowała jakieś przeróbki. Desmond dość dobrze sobie z nimi radził, ale jak przypuszczał, jej motywacja wpływała z chęci zapewnienia mu jakiegoś zajęcia. W miesiącach po odejściu ze SciNet głównie leżał na kanapie i czytał. Albo surfował w Sieci. Ostatnie sześć miesięcy po tym, jak SciNet weszła na giełdę, były wyczerpujące. Pracował bez przerwy, żeby wykonać niekończące się projekty. Poprzedni rok wcale nie był wiele lepszy. Miał wrażenie, że w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy napracował się za dwadzieścia lat. Był wypalony. Ale nie tylko to go dręczyło.

Sądził, że finansowe bezpieczeństwo będzie dla niego przełomem. Że poczuje się jakoś inaczej. Myślał, że po drugiej stronie tunelu wreszcie się zrelaksuje i otworzy się na życie, a zwłaszcza na miłość. Miłość bez strachu, miłość do Peyton. Ale nadal czuł w sobie mur. Czuł się jak chart, który przez całe życie musi biec za zdobyczą, gonić wypchanego królika, a kiedy wreszcie go złapał, okazało się, że wszystko było tylko wielką głupotą. Teraz znał prawdę: jego prawdziwy problem miał zupełnie inne podłoże.

Sporo czytał na temat psychologii i szukał informacji w Internecie. Peyton coraz bardziej się martwiła i wymyślała miliony rozwiązań.

– Musisz więcej ćwiczyć, Des. Przez całe życie byłeś aktywny fizycznie.

Zapisał się na siłownię i zaczął z nią biegać każdego ranka. W każdą sobotę pływali. Nic nie pomogło. Podobnie jak wychodzenie na dwór.

– Może powinieneś więcej zadawać się z innymi ludźmi – powiedziała.

– Siedzenie w domu przez cały dzień nie jest dobre dla nikogo.

Zapisał się do klubu czytelniczego. Zaczął chodzić na Stanford na wykłady z przedmiotów, które go interesowały: astrofizyki i psychologii. Co najmniej dwa razy w tygodniu chodził na lunch ze starymi kolegami z pracy. Jednak nie poczuł się lepiej.

Peyton błagała go, żeby poszedł do lekarza.

– Mam wrażenie, że jesteś gdzieś daleko, Des. Proszę, zrób to dla mnie.

U lekarza rodzinnego wypełnił ankietę. W gabinecie usłyszał:

– Po pierwsze, musi pan wiedzieć, że to, czego pan doświadcza, jest bardzo powszechne. Depresja dotyka ludzi w każdym wieku, każdej

rasy, niezależnie od statusu materialnego. Czasami ma charakter tymczasowy, czasami chroniczny i człowiek musi sobie z nią radzić przez całe życie. I jest to choroba. Przepiszę panu leki: selektywny inhibitor wychwytu zwrotnego serotoniny, czyli SSRI. W pana przypadku objawy są dość poważne, więc zalecałabym wizytę u psychoterapeuty, który pomoże zidentyfikować inne nieujawnione kwestie mogące mieć wpływ na pana stan psychiczny. Stan wielu pacjentów poprawił się po samych lekach, ale znacznie większą poprawę można uzyskać przy połączeniu leków i terapii.

Psychoterapeuta, którego mu poleciła lekarka, nazywał się Thomas Janson. Był po sześćdziesiątce, miał krótkie siwe włosy i przyjemny uśmiech. Słuchał, gdy Desmond opowiadał o swoim dzieciństwie oraz wszystkich ważnych wydarzeniach, które zaszły w jego życiu, zanim pojawił się w tym gabinecie. Mężczyzna robił obszernie notatki i kiedy Desmond skończył, powiedział, że chyba może mu pomóc. Potrzebował kilku dni na przemyślenie tego, co usłyszał.

Kiedy Desmond wrócił, mężczyzna usiadł na fotelu z notatnikiem na kolanach i mówił powoli, beznamiętnym tonem.

– Uważam, że cierpisz na zespół stresu pourazowego.

Desmond był zaskoczony.

– Podejrzewam, że stało się to po pożarze buszu, w którym zginęła twoja rodzina, a ty niemal straciłeś życie. Myślę, że nigdy się po tym nie otrząsałeś. Nigdy nie zmierzyłeś się z tą traumą. Po prostu zostałeś umieszczony w nowym środowisku, w którym czyhały nowe niebezpieczeństwa i wrogość: pod opieką wuja. Pierwsze lata spędziłeś w ciągłym strachu przed śmiercią głodową i agresją słowną ze strony wuja. W pracy na polu naftowym groziło ci niebezpieczeństwo, o czym świadczą wszystkie kontuzje. A w dniach, gdy wraz z wujem – zerknął w notatki – „upuszczaliście pary”, czyli piliście i wszczynaliście bójkę – zagrożenie i strach w ogóle nie przemijały. Nigdy nie przeżyłeś żałoby po śmierci opiekuna, to znaczy nigdy szczerze nie zmierzyłeś się ze swoimi uczuciami do niego. W chwili gdy umarł, od razu znalazłeś się w niebezpieczeństwie i musiałeś walczyć o życie, zabić człowieka, co

samo w sobie jest niewiarygodnie traumatycznym przeżyciem. Fakt, że w miarę naturalnie przeszedłeś nad tym do porządku dziennego, świadczy o wielkiej niezabliźnionej krzywdzie emocjonalnej. Nasze mózgi są jak mięsień, Desmondzie: przyzwyczajają się do ciężaru, jaki muszą znosić. Jesteśmy gatunkiem, który niezwykle łatwo się adaptuje. Zmieniamy się, żeby przetrwać w środowisku, w którym żyjemy. Dla ciebie było to życie w ciągłym zagrożeniu. Od chwili gdy pożar zabrał twoich rodziców, przez całe życie wisiało nad tobą fizyczne i psychiczne zagrożenie. Nawet po tym jak przyjechałeś do Kalifornii, bałeś się, że rozpozna cię ktoś z Oklahomy i zostaniesz aresztowany. Bałeś się, że stracisz pieniądze, które zostawił ci wuj. Jednak sądzę, że największym problemem, jaki cię dręczy, to ludzie, których utraciłeś w życiu. Twoja rodzina. Bibliotekarka – ponownie zerknął w notatki – Agnes. Wuj. Wszystkie osoby, z którymi się zżyłeś, zostały ci odebrane. Nie tylko odebrane, ale odebrane w chwili, gdy najmniej się tego spodziewałeś. Twój umysł podświadomie próbuje cię przed tym bronić. Wytworzył się bowiem pewien schemat: chcesz kochać, angażować się uczuciowo. Ale w chwili gdy to robisz, obiekt uczuć jest ci zabierany. Dlatego mózg nie chce już na to pozwolić. Walczysz z własnym umysłem.

Desmond siedział i rozważał słowa doktora Jansona.

– Rozumiem. Założmy, że zgadzam się z pana diagnozą. Jak mam to naprawić?

– Cóż, to trudniejsze pytanie. Nie da się tego naprawić z dnia na dzień. Twój stan nie poprawi się szybko. Potrzeba czasu. I wiary z twojej strony. Nadzieja jest potężnym czynnikiem.

Zachęcił Desmonda do dalszego leczenia farmakologicznego oraz regularnych sesji dwa razy w tygodniu.

Przygnębienie odczuwane przez Desmonda stało w kontraście z euforią w Dolinie Krzemowej. Każdego tygodnia jakaś firma wchodziła na giełdę, pojawiały się setki nowych milionerów. Desmond był sceptyczny. Maksyma Warrena Buffeta: „Bądź chciwy, gdy inni się boją, bój się, gdy inni są chciwi” obecnie wydawała się rozsądną poradą. Pieniądze swoje i Peyton zainwestował w obligacje. Niewielką sumę zainwestował

w zakłady przeciwko firmom, które, jak sądził, były skazane na bankructwo. Mając doświadczenie w start-upie internetowym, mógł ocenić ich technologię i wyczytać więcej z raportów oraz oświadczeń dla prasy. Całe dni spędzał na słuchaniu konferencji inwestorów i szukaniu informacji o różnych przedsiębiorstwach.

Z początku jego zakłady przyniosły straty. Jesienią 1999 roku i na początku 2000 roku stracił prawie pół miliona dolarów. Wydawało mu się, że cały świat oszalał. W 1999 roku na giełdzie zadebiutowało 457 firm, większość z sektora zaawansowanych technologii. Wartość akcji 117 z nich podwoiła się pierwszego dnia na giełdzie. Euforia nie ograniczała się tylko do nowych firm. Dwudziestego piątego listopada 1998 roku Books-A-Million ogłosiło pewną informację na swojej stronie. Wartość ich akcji podskoczyła o tysiąc procent w ciągu tygodnia.

Niektóre firmy wykorzystywały swój potencjał finansowy do przejmowania każdego dobrze rokującego start-upu. Yahoo kupiło Broadcast.com za 5,9 miliarda dolarów i GeoCities za 3,57 miliarda. Hiszpańska firma telefoniczna nabyła Lycos za 12,5 miliarda (kilka lat później pozbędą się jej za mniej niż 96 milionów, straciwszy ponad 99 procent swojej inwestycji). W styczniu 2000 roku AOL kupił TimeWarner w drugim co do wielkości przejęciu w historii. Podczas Super Bowl tego samego miesiąca wyemitowano spoty szesnastu firm działających online. Każda reklama kosztowała dwa miliony dolarów.

Na giełdzie panowała hossa. Aż w marcu 2000 roku nastąpił krach, wartość akcji spadła tak szybko, jak wcześniej wzrosła. Przez dwa i pół roku akcje straciły na wartości ponad pięć bilionów dolarów. Ludzie przeczucili się na obligacje, a spekulacyjne zakłady Desmonda się opłaciły. Ich dziewięćmilionowa fortuna pod koniec 2000 roku wzrosła do dziewiętnastu milionów, a po odjęciu podatków zostało im piętnaście. Potem już inwestował bezpiecznie, dywersyfikując inwestycje i kupując tylko pewne akcje.

Każdego tygodnia do Desmonda docierały wieści o jakimś koledze, który został zwolniony z pracy lub padł ofiarą upadku firmy, gdzie pracował. Współczuł im. Wciąż dobrze pamiętał niespodziewane

bankructwo xTV i miesiące, kiedy żył tylko na konserwach z wieprzowiny i fasoli z puszki. Zrobił jedyną rzecz, jaką mógł: zabierał znajomych na lunch, zawsze płacił rachunek i polecał ludzi do pracy, gdy dowiadywał się, że gdzieś kogoś szukają. Ich historie były przerażające. Zwolnienia były czymś okropnym. Do sali konferencyjnej zapraszano dużą grupę pracowników i mówiono im, że są zwolnieni; konsultanci wręczali im szczegółowe dokumenty. W niektórych wypadkach konsultanci nawet zaskakiwali pracowników wydziału zasobów ludzkich, także wręczając im teczki z wymówieniem zaraz po tym, jak ci zwolnili wszystkich pozostałych.

Kawiarnie, które kiedyś pękały w szwach od przedsiębiorców zapisujących na serwetkach swoje kolejne błyskotliwe pomysły, były teraz pełne ludzi piszących, dopieszczających i wygładzających swoje listy motywacyjne przed wydrukowaniem ich na grubym, eleganckim papierze, żeby się jakoś wyróżnić spośród innych kandydatów.

Szefowie start-upów, które były warte miliony na papierze, sami znaleźli się na skraju przepaści, więc wracali do domów rodziców lub teściów. Wielu pracowników, których firmy weszły na giełdę, nigdy nie sprzedało swoich akcji, bo przedsiębiorstwa upadły, zanim mogli to zrobić.

Desmond obserwował to z niedowierzaniem; wyglądało to tak, jakby na świecie były tylko dwie skrajne możliwości: albo szarżuje się pod górę razem z wiatrem, albo swobodnie spada z klifu.

On sam znajdował się w fazie spadkowej. Każdego miesiąca tracił coraz więcej optymizmu w kwestii własnej przyszłości. Leki pomagały. Sesje z doktorem Jansenem również. Jednak Desmond stał w miejscu. Nie robił żadnych postępów.

Peyton wręcz przeciwnie. Patrzył, jak stopniowo się zmienia. Była dumna ze swoich wyników na studiach, ponieważ plasowała się w ścisłej czołówce. Rozkwitała, stawała się wspaniałą kobietą. Była gotowa na coś więcej. To go martwiło. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek stanie się mężczyzną, na jakiego zasługiwała.

Boże Narodzenie 2000 roku przyszło i minęło. Mieli małą choinkę



w swoim domu w Palo Alto i tradycyjnie wręczyli sobie prezenty o wartości nie większej niż dziesięć dolarów. Chociaż Peyton oszukała: w jej pudełku znajdował się model samolotu.

– Świetny.

– Samolot nie jest prezentem, Des. – Wzięła go za rękę i ścisnęła ją. – Polećmy na wycieczkę do Australii, tam gdzie się urodziłeś. Zobaczmy pozostałości twojego domu. Udajmy się do Oklahomy, gdzie się wychowałeś.

Wiedział, czego pragnęła: zależało jej, by odwiedził miejsca, które sprawiły mu ból, żeby zmierzył się z tym, co mu się przydarzyło, i zrobił kolejny krok w życiu.

Zgodził się. Był tak zdesperowany, że zrobiłby wszystko.

W Australii przeszedł przez pastwisko, na którym się kiedyś bawił. Udał się w zarośla, gdzie tego dnia budował fort, a nawet poustawiał poprzewracane przed osiemnastu laty kamienie. Z domu zostały wypalone ruiny. Tutaj wbiegł w płomienie. Nie poczuł żadnego przełomu. Nie płakał. Dręczył go jedynie smutek.

Przez tydzień mieszkali w hotelu w Adelajdzie, gdy próbował odnaleźć Charlotte. Nie znał jednak jej nazwiska, więc nie mógł jej namierzyć. Po wielkim pożarze buszu w 1983 roku poszkodowanym pomagało ponad sto tysięcy ludzi. No i minęło prawie osiemnaście lat; mogła gdzieś się przeprowadzić albo w ogóle wyjechać z Australii.

W Oklahoma City wynajęli samochód i pojechali na południe, przez Norman i Noble aż na Slaughterville Road.

Zatrzymał się przed domem, w którym dorastał. Domem Orville'a. Nowi właściciele pomalowali go i położyli nowy dach. Dachówki błyszcząły w kwietniowym słońcu. Pod metalową wiatą parkował pikap chevroleta oraz ford. Przed gankiem stał czerwony rower. Wyglądał podobnie do tego, który Desmond kupił w lombardzie. Orville straszyl, że mu go zabierze.

Szopa była otwarta. Stary studebaker zniknął. Wzrok Desmonda zatrzymał się na skrawku ziemi, na którym Dale Epply wykrwawił się na śmierć, gdy został ugodzony ostrzem kosiarki.

Peyton objęła go ramieniem.

– Chcesz wejść do środka?

– Nie. Dość już widziałem.

Przejechali obok sklepu spożywczego, w którym się zaopatrywał w jedzenie, i wjechali na autostradę 77 prowadzącą do Noble. Miasteczko niewiele się zmieniło. Zjedli w małej kafejce na Trzeciej Ulicy i przespacerowali się trzy przecznice do biblioteki.

Za biurkiem siedziała jakaś dziewczyna, kilka lat młodsza od Desmonda, w ręce trzymała ołówek automatyczny, a przed sobą dużą, otwartą książkę. Domyślił się, że to kolejna studentka Uniwersytetu Oklahomy.

– Jak mogę pomóc? – zapytała.

– Tylko się rozglądamy.

Podszedł do półek z literaturą beletrystyczną, Peyton trzymała się blisko niego. Zauważył kilka powieści, które czytał jako dziecko: *Wyspę błękitnych delfinów*, *Hatchet*, *Hyperion*. Pamiętał nawet, gdzie przebywał, gdy je czytał.

Biblioteka niewiele się zmieniła. Jediną nową rzeczą była drewniana kabina w rogu. Stał tam komputer Gateway oraz siedemnastocalowy monitor. Na tabliczce na górze kabiny napisano: *System biblioteczny Pioneer zakupiony dzięki wsparciu otrzymanemu ku pamięci Agnes T. Andrews*.

To była najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek przeczytał w tej bibliotece.

Chwycił dłoń Peyton.

– Jedźmy do domu.

## ROZDZIAŁ 74

Siedząca w kokpicie Avery nie wierzyła własnym oczom. Oprócz kilku światełek w mieście, które chyba było Barceloną, w Hiszpanii panowały zupełne ciemności. Za samolotem Czerwonego Krzyża nie posłano żadnych myśliwców. Nie było żadnego kontaktu ze strony kontrolerów ruchu lotniczego. Zastanawiała się, co się dzieje na dole i ilu ludzi przeżyło.

Na ekranie nawigacyjnym pojawił się punkt będący celem ich podróży: Szetlandy na północy Szkocji. Myślała o tym, co zastaną w punkcie wskazanym przez Desmonda. Na mapie satelitarnej wyświetlał się tylko las. Czy to pułapka? Avery obawiała się, że tak może być. Ale nie miała wyboru.

Włączyła autopilota, wstała, rozprostowała nogi i poszła do kabiny pasażerskiej. Desmond i Peyton leżeli w śpiworach, oboje na tej samej stronie, Peyton wtulała się w Desmonda w pozycji na łyżeczkę.

Avery oparła się o ścianę przy drzwiach i patrzyła. Niedługo będzie musiała podjąć jakąś decyzję. Trudną decyzję.



Jedenastego września 2001 roku Desmond siedział w jasnym salonie domu w Palo Alto, mając obok siebie Peyton, i oboje z niedowierzaniem oglądali telewizję. Kanał nadający wiadomości pokazywał na żywo transmisję z Manhattanu. Ludzie w wieżowcach płonęli żywcem,

podobnie jak rodzina Desmonda w 1983 roku.

Ta tragedia jednak nie była katastrofą naturalną. To było przemyślane działanie ludzi – najgorszy rodzaj zła. Ohydna, okrutna rzeź niewiniątek.

– Bardzo źle z tym światem – powiedział Desmond.

– Wyjąłeś mi to z ust.

Amerykańska giełda nie działała do siedemnastego września – to było najdłuższe zamknięcie od 1933 roku, okresu wielkiego kryzysu. Kiedy ponownie została otwarta, akcje gwałtownie straciły na wartości. Rynek spadł o 684 punkty, co było największym spadkiem zanotowanym w ciągu jednego dnia w historii. Pod koniec tygodnia wskaźnik Dow Jones obniżył się o czternaście procent. Indeks rynkowy S&P stracił prawie dwanaście procent. W ciągu tego jednego tygodnia wartość rynku zmalała prawie o 1,4 biliona dolarów.

Podczas gdy inni wyprzedawali się na giełdzie, Desmond kupował. Ponownie wrócił do kryteriów określających dobre przedsiębiorstwo: założyciel powinien instynktownie wiedzieć, czego chcą jego klienci, i przeprowadzać właściwe operacje. Nakupował akcje Amazonu i Apple.

Każdego wieczoru oglądał w telewizji krzyżujące się szable, a świat szykował się do wojny. Sam również był zły jak diabli. Rozważał nawet złożenie podania do NSA lub CIA. Jednak energii starczało mu co najwyżej na wstanie z łóżka. Z miesiąca na miesiąc jego stan się pogarszał.

Peyton bardzo się martwiła.

– A może założyłbyś firmę?

– I co miałbym robić? To nie ma sensu. Nie mam pomysłów. Ani energii.

– Możesz założyć jakąś organizację non-profit. Pomoc dzieciom. Możesz znaleźć coś, na czym ci zależy, i zająć się tym.

Przez kilka tygodni myślał o tym, zbierał informacje i zaczął udzielać się jako wolontariusz w grupie w San Jose.

To pomogło mu jakoś zabić czas, ale nie dawało satysfakcji. W głębi serca znał prawdę: nigdy się nie zmieni. Nigdy nie zdoła pokochać

Peyton z całkowitym oddaniem, tak jak ona go kochała. To nie było uczciwe. Zasługiwała na więcej.

Latem 2002 roku odbył rozmowę z doktorem Jansonem.

– To nie działa.

– Potrzeba czasu, Desmondzie.

– Dałem sobie czas. Przychodzę tu ponad dwa lata. Próbowałem leków, ćwiczeń, wolontariatu. Do licha, nawet przywołaliśmy tragiczne wydarzenia z mojego dzieciństwa. I nie czuję się lepiej. Nie czuję się ani trochę lepiej niż tego dnia, gdy przyszedłem tu po raz pierwszy.

– Zrozum, proszę, że każdy człowiek ma pewne ograniczenia emocjonalne. Możliwe też, że te dwa lata to za mało.

– Chcesz wiedzieć, co czuję?

Janson pytająco uniósł brwi.

– Winę.

Doktor wyglądał na zdezorientowanego.

– Czuję się winny, bo wiem, że ona nigdy mnie nie zostawi. A ja nigdy nie uczynię jej szczęśliwą.



Jeszcze tego samego dnia Desmond spakował swoje rzeczy. Prezenty od Peyton ostrożnie ułożył w dużym kufrze. Zeskanował wszystkie ich zdjęcia i wydrukował kopie, po czym z powrotem wsadził je w ramki. Czekał w salonie i kiedy wróciła do domu, usiedli na kanapie daleko od siebie, ona zdenerwowana, w oczywisty sposób świadoma tego, że szykuje się coś złego. On powiedział swoją przeciwioną wiele razy kwestię.

– Mam pewną wizję ciebie za kilka lat. Jest lato. Siedzisz na tarasie za domem, popijasz wino z kieliszka, podczas gdy dzieci bawią się w ogrodzie. Twój mąż rozpala grilla. I bawi się z dziećmi, wie, co robić, ponieważ sam jako dziecko bawił się na podwórku z tatą, który go kochał. Wszyscy razem jecie, a on wie, jak cię traktować, ponieważ dorastał z mamą i tatą, a oni byli dla siebie dobrzy. On czyta dzieciom

bajki na dobranoc, ponieważ jego rodzice jemu również czytali. Kiedy są niegrzeczne, instynktownie wie, co robić, nie dlatego że nauczył się tego z książki, lecz dlatego że został wychowany w normalnym domu. Kocha ciebie i dzieci. Jest zdolny do miłości, bo zanim cię spotkał, nie przeżywał tragedii za tragedią. Wasze życie nie jest perfekcyjne, ale ma szansę takie być, ponieważ jedno z was nie jest tak poturbowane, że nie da się go naprawić.

– Desmond, nie zależy mi...

– Wiem, że nie. Wiem, że zostaniesz ze mną, dokądkolwiek poprowadzi nas życie.

– To prawda.

– Ale ja ci na to nie pozwolę.

– Desmond.

– Za bardzo mi na tobie zależy, Peyton. Zaslługujesz na szczęście.

– Jestem szczęśliwa.

– Nie tak szczęśliwa, jak mogłabyś być.

Objęła go i płakała bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

– Przepraszam. Przepraszam.

– Proszę, zostań.

– Zostanę na noc.

Spojrzała mu w oczy.

– Zostań do poniedziałku. Proszę.

Zgodził się. To były najbardziej niesamowite, najradośniejsze dni w całym jego życiu. Kochali się każdej nocy. I dwa razy w ciągu każdego dnia. To było długie pożegnanie. I bolesne – nawet on to czuł. Nie mógł sobie wyobrazić, przez co przechodziła ona.

Kiedy w poniedziałek rano przekroczył próg domu, objęła go tak mocno, że bał się, że połamie mu żebra.

Odsunął się na tyle, by spojrzeć jej w oczy.

– Zrobisz coś dla mnie?

– Wszystko.

– Nie czekaj na mnie. Żyj swoim życiem.

To wywołało kolejny wybuch płaczu.

Godzinę później jechał na południe, ciągnąc za samochodem swojego airstreama.

Zatrzymał się na kempingu w Parku Narodowym Yosemite, potem Sekwoi i chodził po Dolinie Śmierci. Nocami czytał. Długo i intensywnie zastanawiał się nad następnym posunięciem. Każdego dnia rozwiązanie bardziej nabierało kształtów. Jeśli nie potrafił ocalić siebie, ocali innych. To był cel, który wywoływał jego entuzjazm. Dla tego warto było żyć. Wcześniej miał pomysł założenia organizacji charytatywnej i skupienia się na dzieciach, ale nie odpowiadała mu skala działań. Pragnął czegoś wielkiego. Chciał zmieniać świat, pomagać w tworzeniu świata, w którym nikt nie musiałby dorastać w takich warunkach jak on.

Wynajął lokal na Sand Hill Road. Czysze były tam kiedyś najwyższe na świecie. Teraz biura firm, które splajtowały, stały puste. Wszystkie urządzone z przepychem. Desmond twardo negocjował warunki wynajmu, podobnie jak wtedy gdy lata temu kupował rower i targował się z właścicielem lombardu. Wprowadził się w następnym tygodniu i zaczął wydzwaniać do znajomych, żeby rozpuścić wieści, że założył firmę inwestycyjną o nowym profilu. Dzięki grze na giełdzie ma osiemdziesiąt milionów dolarów do wydania. W Dolinie brakowało kapitału. Jego skrzynka odbiorcza pękała w szwach. Telefon nie przestawał dzwonić. Ale nie znalazł tego, czego szukał.

Firmę nazwał Icarus Capital. W greckiej mitologii Ikar był synem Dedala, architekta, który zbudował Labirynt. Chcąc uciec z Krety, Dedal stworzył skrzydła z ptasich piór i wosku dla siebie i syna. Ostrzegł Ikara: „Jeśli będziesz leciał zbyt wysoko, słońce stopi twoje skrzydła. Jeśli polecisz zbyt nisko, pióra zawilgotnieją od morza i ich ciężar pociągnie cię na dół”. Ta opowieść przemawiała do Desmonda. Hossa i Bessa na rynku pasowały do mitu o Ikarze, podobnie jak całe życie. Ludzie, którzy latali za wysoko, którzy żyli ponad stan, byli skazani na porażkę. Podobnie jak ci, którzy nigdy nie wykorzystali swoich szans.

Mimo przekonania, że jego rozwój emocjonalny zatrzymał się na pewnym poziomie, Desmond rozmawiał z kilkoma psychoterapeutami. Jeden zasugerował, żeby skontaktował się z przedstawicielami firmy,

która pracuje nad nowatorską terapią. Jest eksperymentalna, powiedział, ale warto ją sprawdzić. Firma nazywała się Rapture Therapeutics.

Desmond był zaskoczony, gdy usłyszał jej nazwę. Nadal pamiętał ją ze SciNet; była jednym z trzech tajemniczych przedsiębiorstw, które finansowały Citium Holdings i Invisible Sun Securities.

Tydzień później siedział w biurze Rapture w San Francisco. Szef zespołu naukowców podniósł pigułkę.

– To jest pięćdziesięciomiligramowy antydepresant. I pan, i ja możemy zażyć tę samą pigułkę, ale pan będzie miał cztery razy silniejszą reakcję fizjologiczną na tę samą dawkę niż ja. W czym leży różnica? Chodzi o to, jak ciało reaguje na lek. Jak go przetwarza. Dla lekarzy i dla pacjentów to spory problem.

– Jakie jest rozwiązanie?

– Należy obejść stosowanie leków. W Rapture zbudowaliśmy implant, który umieszcza się w mózgu. Urządzenie monitoruje chemię mózgu i uwalnia te związki chemiczne, których mózg potrzebuje, wtedy gdy ich potrzebuje. Niech pan sobie wyobrazi świat bez schizofrenii, choroby dwubiegunowej czy depresji. Potencjał rynkowy jest praktycznie nieograniczony.

– Jestem zainteresowany. Próbowałem leków, ale na mnie nie działały. Najbardziej interesuje mnie wprowadzenie zmian w pamięci.

Naukowiec wbił w niego wzrok.

– Co ma pan na myśli?

– Chciałbym wymazać bolesne wspomnienia. Zacząć od początku, jeśli to bardziej zrozumiałe.

Na chwilę zapadła cisza.

– Obecnie nie dysponujemy taką technologią ani nie znamy możliwości medycznych, panie Hughes.

– Jednak nad czymś pracujecie.

– Nie jesteśmy jeszcze gotowi do rozmowy o szczegółach.





Desmond poddał się zabiegowi wszczepienia implantu. Nie spodziewał się po nim zbyt wiele. Jednak rezultaty pojawiły się niemal natychmiast. Depresja ustąpiła. Praca go cieszyła. Czekał na to, co przyniesie przyszłość. I bał się, że wszystko to przeminie, gdy implant zawiedzie lub gdy Rapture splajtuje. Miał obsesję na punkcie tej firmy. Dzwonił do nich, prosił o dokumentację, która nie została udostępniona publicznie. Ale nic nie osiągnął.

W końcu poprosił o spotkanie z dyrektorem ds. finansowych i dyrektorem generalnym.

– Chciałbym zainwestować – powiedział.

Dyrektor odezwał się beznamiętnym tonem.

– Mamy dobre finansowanie.

– Od kogo?

– Nasi inwestorzy wolą zachować anonimowość.

– Citium Holdings? Invisible Sun Securities?

Zapadła cisza, w której można było usłyszeć szpilkę spadającą na podłogę. Obaj dyrektorzy przeprosili i wyszli. Byli wystraszeni.

Desmond nie ustawał w szukaniu informacji o Citium i Invisible Sun. Niektóre z ich dokumentów korporacyjnych musiały zostać upublicznione. Posiadali udziały w kilkunastu firmach – przeznaczali miliony na organizacje charytatywne i fundacje, o których nigdy nie słyszał. Organizacje non-profit przekazywały wszystkie otrzymane od nich fundusze na badania prowadzone przez rząd i organizacje prywatne. Inwestowali w projekty związane z genetyką i medycyną, zaawansowanymi technologiami oraz superkomputerami. Co to znaczyło? I dlaczego byli tacy tajemniczy?

Desmondowi coraz bardziej zaczęło zależeć na rozwikłaniu tajemnicy Citium. Ale chociaż bardzo się starał, nie mógł połączyć kropek. Każda ścieżka prowadziła w ślepią uliczkę.

Przez większość czasu żył samotnie. Był właścicielem małego domu w Menlo Park, codziennie jeździł do pracy na rowerze, czasami umawiał się na lunch z jakimś starym kolegą. Obserwował wzrost swoich

inwestycji, jakby patrzył na zdjęcia poklatkowe, jego własne życie pędziło w przyspieszonym tempie i wymykało mu się z rąk.

Prawie codziennie myślał o Peyton. Ustawił sobie alert sieciowy, który informował go, gdy gdzieś pojawiła się wzmianka o niej. Otwierał wiadomości, gdy tylko przychodziły. Ukończyła medycynę. Zaczęła rezydenturę. Została przyjęta do programu EIS w CDC. To go uszczęśliwiało. Dotrzymała swojej obietnicy: żyła dalej swoim życiem.

Podobnie jak Desmond straciła wielu, których kochała: ojca, brata, a teraz jeszcze jego. Miał nadzieję, że nie podzieli jego losu. Chciał zobaczyć, jak się zakochuje, wychodzi za mąż, ma dzieci. Wiedział, że w głębi serca tego właśnie pragnęła, nieważne, że mówiła co innego.

Najbardziej obawiał się, że czas spędzony z nim sprawił, iż stała się niezdolna do miłości; że będąc z nią, zaraził ją swoim strachem przed zaangażowaniem.



W zimny listopadowy ranek jakiś mężczyzna pchnął szklane drzwi biura Desmonda i wszedł do środka. Desmond ocenił go na jakieś sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt lat, miał krótkie białe włosy i bladą twarz. Jego oczy były pozbawione życia, nie poruszały się, jakby zostały unieruchomione jakimś zabiegiem medycznym.

Desmond nie miał żadnego sekretarza, nie było dla niego dość pracy.

– NextGen Capital ma biuro po drugiej stronie korytarza.

– Przyszedłem do pana, panie Hughes.

– W jakiej sprawie?

– Citium Holdings.

Słowa zawisły w powietrzu, żaden z nich się nie ruszył.

Desmond w końcu wskazał ręką drzwi.

– Porozmawiajmy w sali konferencyjnej, panie...

– Paczenko. Jurij Paczenko.

Minął Desmonda, zasiadł przy stole i odmówił poczęstunku wodą. Zdjął wilgotny od deszczu płaszcz. Na przedramionach miał blizny po

poparzeniu podobne do tych, które pokrywały nogi Desmonda. Desmond natychmiast odwrócił od nich wzrok.

– Co pan tu zamierza stworzyć, panie Hughes? – zapytał Jurij wyważonym tonem. Doskonale mówił po angielsku z lekkim brytyjskim akcentem.

– Proszę mówić mi po imieniu. Jeśli pyta pan o Icarus Capital, to inwestuję w firmy, które mają potencjał kształtowania przyszłości. Zamierzamy...

Jurij podniósł rękę i czekał, aż Desmond dopuści go do głosu.

– Źle mnie zrozumiałeś. Chciałbym usłyszeć to, czego nie mówisz każdemu, kto wchodzi do biura. Zdradź mi swoją prawdziwą wizję, tę, która według ciebie może przestraszyć ludzi, bo jest zbyt potężna, by ją zrozumieli.

Desmond przechylił się do tyłu na krześle. Ten mężczyzna miał coś w sobie. Jakąś pogodę ducha, bezpośredniość. Natychmiast poczuł do niego zaufanie. Pozwolił, by popłynęły słowa. Był niemal zaskoczony, że je mówi.

– Chcę stworzyć świat, w którym żadne dziecko nie będzie musiało patrzeć, jak płonie jego rodzina. Gdzie żadne dziecko nie będzie wychowywane przez kogoś, kto go nie kocha. Świat, gdzie szaleńcy nie będą wbijać się samolotami w budynki, a ekonomia będzie czymś więcej niż kasynem o światowym zasięgu.

– I co jeszcze?

Desmond wahał się, odwrócił wzrok.

– To świat, jaki chcesz stworzyć. Ale czego chcesz ty, Desmondzie?

– Chcę stworzyć świat, w którym każdego da się naprawić, niezależnie od tego, jak rozbita jest jego dusza, ciało czy serce.

Kąćki ust Jurija uniosły się w uśmiechu.

– Sądzisz, że to możliwe.

– Uważam, że jesteśmy świadkami początku eksplozji technologicznej, która pewnego dnia sprawi, że wszystko będzie możliwe.

– A gdybym ci powiedział, że technologia, którą opisujesz, jest już na etapie udoskonalania?

– Czy to ją produkuje Citium?  
– Między innymi.  
– Czym są te inne rzeczy?  
– Projektami, które mogą cię zainteresować. Projektami, które dadzą ci to, czego tak bardzo pożądasz: cel, potencjał do prawdziwej zmiany świata. Jesteś zainteresowany?

– Tak.

Rozmawiali prawie dwie godziny. Pod koniec spotkania Desmond zobowiązał się wyjechać do Londynu, gdzie miałyby poznać dalsze szczegóły.

Gdy odprowadzał Jurija do drzwi, zadał mu jeszcze jedno pytanie.

– Jak to się nazywa? To urządzenie, które budujecie?

– Zwierciadło.

# DZIEŃ 11

**5 mld 200 mln zarażonych**

**2 mln ofiar śmiertelnych**

## ROZDZIAŁ 75

Samolot Czerwonego Krzyża leciał przez nocne niebo ponad Oceanem Atlantyckim w stronę Wysp Szetlandzkich, które znajdowały się jakieś dwieście kilometrów od Szkocji.

Nad Hiszpanią Avery podjęła trudną decyzję: obleci Wielką Brytanię i Irlandię. Mieli szczęście, bo nie przechwyciły ich żadne samoloty, gdy lecieli nad kontynentalną Europą; nie była tak optymistyczna w kwestii lotu nad Wielką Brytanią. Jednak lot okrężny oznaczał, że zużyją więcej paliwa, więc ta zagrywka mogła ich dużo kosztować. Gdy silniki samolotu zaczęły się krztusić, przed nimi rysowało się już południowe wybrzeże Szetlandów. Wytarła spocone dłonie o spodnie. Ujęła stery i wyłączyła autopilota.

Gdy zaczęła zniżać lot, uświadomiła sobie, że paliwo nie jest ich jedynym problemem. Ani największym.



Dźwięk krztuszących się silników obudził Peyton. Leżała w śpiworze na podłodze samolotu twarzą do Desmonda.

On patrzył na nią.

Silniki znowu się zadławiły. Samolot szybko obniżał pułap.

Desmond również to zauważył, wstał, chwycił oparcie fotela, podciągnął się i ruszył w stronę kokpitu.

Peyton szła za nim. Avery siedząca na fotelu pilota panicznie wciskała

przyciski na tablicy rozdzielczej.

– Lotnisko Scatsta, słyszycie mnie? – powtarzała do mikrofonu.

Przez przednią szybę Peyton ujrzała ścianę bieli. Chmura rozstąpiła się i po raz pierwszy zobaczyła ziemię pod nimi: ciemnozielone wzgórza wystające ponad gęstą mgłą.

Nocne niebo było poprzecinane pasmami jasnej zieleni i błękitu. Nigdy nie widziała czegoś takiego. Aż zaparło jej dech. Domyśliła się, na co patrzy: to była zorza polarna. Wyglądała tak, jakby sięgała w ich stronę i toczyła walkę z mgłą.

Uderzenie wiatru wstrząsnęło samolotem. Peyton straciła równowagę i wpadła na Desmonda, który przytrzymał się jedną ręką, a drugą ją złapał. Już jej nie puścił, tylko objął ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Jak idzie, Avery?

– Szałowo. – Nie odwróciła się. Manewrowała drążkiem sterowym, żeby utrzymać maszynę w poziomie. – Skończyło się paliwo. Nic nie widać. Wieje porywisty wiatr. Kontrola lotów nie odpowiada.

Samolot znowu się zakołysał pod naporem wiatru.

– No i powinnam również wspomnieć o tym, że jest to z pewnością największy samolot, jaki pilotowałam. Tak tylko mówię.

Desmond puścił Peyton, pochylił się, by spojrzeć Avery w oczy.

– Dasz radę. Nie spodziewamy się cudu, prawda? Po prostu zwolnij i sprowadź nas na ziemię.

Avery nie odpowiedziała, tylko kiwnęła głową.

– Jak możemy ci pomóc?

– Siadźcie w fotelach i zapnijcie pasy. Upewnijcie się, że nie ma żadnych nieprzymocowanych przedmiotów. I włóżcie hełmy oraz kamizelki. – W jej głosie nie było sarkazmu.

W kabinie pasażerskiej Desmond pomógł Peyton włożyć kamizelkę należącą do Avery. Gwałtownie wypuściła powietrze z płuc, gdy zacisnął paski; jej klatka piersiowa była nadal mocno posiniaczona od czasu ucieczki z *Kentaro Maru*.

– Za ciasno? – spytał.

Zacisnęła zęby.

– Nie, w porządku.

Włożyli hełmy, usiedli na fotelach przy przejściu, z dala od ścian samolotu, i zapięli pasy. Gdy wiatr rzucał maszyną, Peyton patrzyła na zorzę. Pasy zielonego światła przecinały niebo i zakrzywiały się, jakby jakiś artysta pomalował czarne sklepienie farbą fluorescencyjną.

Szybko tracili wysokość. Wiatr wzrastał się z każdą sekundą. Peyton zaparła się i położyła dłonie na siedzeniu przed sobą.

Za oknami nie było już widać zorzy, zastąpiła ją mgła.

Opony zaryły w ziemię. Samolotem wstrząsnęło, po czym potoczył się po pasie, podskoczył, zakołysał się. Kilka sekund później stanął.

Desmond rozpiął pas, podniósł się i otworzył drzwi kokpitu. Avery właśnie wstawiała z fotela. Złapał ją za ramiona.

– Dobry lot, A.

Peyton myślała, że będzie chciał objąć Avery, ale trzymał ją na wyciągnięcie ręki i patrzył jej w oczy.

Avery się uśmiechnęła.

– Gdyby coś stało na pasie, już byłoby po nas.

– Ale niczego nie było. Świetnie się spisałaś.

Avery wyglądała na wyczerpaną. Peyton uświadomiła sobie, że od czasu ucieczki nie widziała, by ta kobieta spała. Sprawiała wrażenie, że zaraz się przewróci.

Jednak ona weszła do kabiny pasażerskiej i zatrzymała się przed Peyton.

– Potrzebuję swojej kamizelki.

Peyton nie podobała się jej opryskliwość, ale skinęła głową i rozpięła czarną kamizelkę, zrobiła to na wpół świadomie, jakby była wstawiona. Avery włożyła ją, wzięła swój karabin i noktowizor i ponagliła Desmonda.

– Musimy zabezpieczyć wieżę i zatankować. Jeśli wpadniemy tu w tarapaty, chcę być gotowa do odwrotu.





Kiedy Desmond i Avery wyszli, Peyton wreszcie się odprężyła. Plan przewidywał, że na razie ma czekać w samolocie, co jej odpowiadało.

Czuła gorączkę, której jeszcze przed chwilą nie zauważała. Oczyma wyobraźni ujrzała ludzi w szpitalu w Manderze, cierpiących, umierających. Bez lekarstw. Prawdopodobnie niedługo podzieli ich los. Pojechała do Mandery prawie tydzień temu. Jeśli założy, że jest zarazona od pięciu do siedmiu dni...

Odsunęła tę myśl. Musiała się skupić.

Zaczęła zbierać ich zapasy i wyteęzała słuch, starając się usłyszeć odgłosy strzelaniny lub walki. Na pasie lotniska i wokół samolotu nadal była gęsta mgła.

Po upływie pewnego czasu, który włókł się jak godziny, usłyszała, że ktoś biegnie po pasie. Odgłos kroków ucichł, kiedy biegnący zboczył na trawę przy samolocie. Peyton instynktownie przeszła do kokpitu, by móc zamknąć za sobą drzwi i w razie konieczności tam się ukryć.

Buty zadudniły po schodach, w drzwiach pojawił się Desmond.

– Tęskniłaś?

Peyton odetchnęła.

– Wystraszyłeś mnie na śmierć.

Z zewnątrz dochodził warkot silnika.

– Co znaleźliście?

– Lotnisko jest opuszczone. Ale jest wóz z paliwem. Zaraz napełnimy bak, odkołujemy samolot na pas i przygotowujemy do odlotu, na wypadek gdybyśmy musieli uciekać.



Kiedy zatankowali i ustawili samolot na pasie, cała trójka zajęła miejsca w kabinie pasażerskiej.

– Jakież wspomnienia? – zapytała Desmonda Avery.

– Nic.

Peyton była zaskoczona tym, że kłamał bez mrugnięcia okiem. Trochę ją to przerażało. Avery nie zdradziła żadnym gestem, czy mu uwierzyła.

Zastanawiali się, co robić, w końcu doszli do wniosku, że Avery potrzebuje snu i że Desmond i Peyton wezmą jeden z lotniskowych pojazdów i udadzą się w miejsce, które wskazywał GPS. Jeśli będą potrzebowali pomocy, skontaktują się przez radio. Avery nie podobał się plan, ale niechętnie na niego przystała. Nie tylko potrzebowała snu, lecz wiedziała, że rozdzielenie się miało pewną zaletę: gdyby coś poszło nie po ich myśli, mogła ich odszukać i uratować.

W biurze lotniska Desmond i Peyton znaleźli kluczyki do starego SUV-a citroena i wyjechali na dwupasmową drogę, która wiała się przez zielony, górzysty krajobraz. Miejsce wskazane przez GPS znajdowało się sześćdziesiąt kilometrów od lotniska, w obszarze zalesionych wzgórz. Nad drogą unosiła się gęsta mgła rozpraszana światłami auta. Nad nimi wisiała zorza, jej zielony blask przypominał światła naprowadzające. Peyton wpatrywała się w zakrzywione zielone linie, które wyglądały jak smuga plazmy po przelatującym statku kosmicznym w filmie science fiction.

Prowadząc auto, Desmond opowiedział Peyton, co sobie przypominał. Przez długi czas chciała się dowiedzieć, co się z nim działo po tym, gdy wyprowadził się z ich domu w Palo Alto. Myślała o nim przez długie godziny. Fakt, że mogła teraz usłyszeć całą opowieść, wydawał jej się niemal surrealistyczny, jakby ktoś zapisał pustą stronę ich wspólnego życia.

Wspomnienia Desmonda urwały się w momencie, gdy do jego biura w Menlo Park wszedł Jurij Paczenko. Wygląd tego mężczyzny wydawał się Peyton jakby znajomy. Podobnie jak jego nazwisko. Ale nie mogła sobie nic więcej przypomnieć.

– Wiesz, gdzie trzymają lek? – zapytała.

– Nie. – Popatrzył na nią. – Czy wyszłaś potem za mąż?

Peyton pokręciła głową.

– Przeze mnie.

– Przez życie, Desmondzie. To nie twoja wina. Poza tym to już przeszłość.

– Nie dla mnie.

Przez chwilę jechali w ciszy.

– Przypomniałeś sobie coś o Avery? – spytała po chwili Peyton.

– Nie.

– Nadal jej nie ufam.

– Ja też. Ale jeszcze nie dała nam ku temu żadnego powodu.

– Jak się czujesz? – zmieniła temat.

– Jakby miała mi eksplodować głowa. – Uważnie na nią spojrział. –

A ty?

– Dobrze.

– Mów prawdę. Twój stan się pogarsza, prawda?

– Zachorowanie jest ryzykiem zawodowym. Zaakceptowałam je, kiedy poszłam do pracy w CDC.

– Ja tego nie akceptuję.

Peyton patrzyła na drogę przez przednią szybę.

– Nie możesz tak umrzeć, Peyton.

Pomasowała swoją obolałą szyję; turbulencje przy lądowaniu wyrządziły więcej szkód, niż jej się wydawało.

– Zwykle to ja mówię chorym ludziom, że im pomogę.

– Cóż, zasłużyłaś na tydzień urlopu.

Potem jechali w ciszy. Peyton nie zauważyła ani jednego budynku po drodze – żadnych domów, magazynów. Oprócz asfaltowej drogi, która wiła się pomiędzy wzgórzami, to miejsce nie zostało skażone cywilizacją.

– Jesteśmy blisko – powiedziała, patrząc na aplikację Labirynth Reality. – Sto metrów do celu.

Desmond zwolnił.

– W jakim kierunku?

– Mniej więcej na dziesiątej.

Droga skręcała w prawo. Nie było żadnego podjazdu ani ścieżki prowadzącej w kierunku, jaki wskazywał GPS. Desmond zatrzymał auto na poboczu.

– Zostań tutaj.

– Nie ma mowy.

– Peyton...

– Idę z tobą.

– No dobrze – rzucił zrezygnowany. Zareagował jak ktoś, kto od dwudziestu lat jest żonaty i wie, że wszelkie argumenty nie mają sensu.

Gdy wysiedli z samochodu, zagłębili się w las. Z każdym krokiem teren się wznosił, droga prowadziła przez dolinę. Otaczały ich stare drzewa. Przez ich korony i mgłę nie przedostawało się światło księżyca ani zorzy polarnej. Peyton widziała nie dalej niż na sześć metrów.

Dotknęła ramienia Desmonda, następnie pokazała mu latarkę, którą miała ze sobą, bez słowa pytając, czy ją zapalić.

Pokręcił głową. Karabin zawiesił na ramieniu, w ręce ścisnął pistolet. Drugą rękę podał Peyton i pociągnął ją za sobą w ciemny las.

Panowała tu wszechogarniająca cisza. Nie słyszała żadnych zwierząt, nawołujących ptaków. Kiedy nastąpiła na gałąź, trzask wydawał się ogłuszający. Desmond zatrzymał się w miejscu.

– Przepraszam – wyszeptała.

Czekał na jakąś reakcję, jakiś hałas. Ale w lesie nadal było cicho i spokojnie.

– Odległość?

Peyton uruchomiła telefon.

– Trzydzieści metrów. Prosto przed nami.

Desmond skradał się dalej z bronią w wyciągniętej przed siebie ręce.

Peyton wstrzymała oddech, gdy przemierzali ostatnie dziesięć metrów. Z każdej strony osaczała ich mgła.

Telefon zawibrował. Na ekranie pojawiła się wiadomość:

Wejście do Labiryntu.

Desmond wyjął latarkę z jej dłoni, włączył i omiatał światłem zamgloną okolicę. Nagle się zatrzymał.

Peyton również to zauważyła. W pierwszej chwili pomyślała: zaraz wybuchnie.

## ROZDZIAŁ 76

Desmond ostrożnie podszedł do małego metalowego pudełka leżącego na ziemi.

– Nie zbliżaj się – wyszeptał. – To może być mina pułapka.

Stanęła za drzewem dziesięć metrów dalej i patrzyła, jak Desmond wyciąga nóż. Ząbkowanym ostrzem odciął gałązkę z rosnącego tuż obok drzewa i użył jej do podważenia pokrywki pudełka.

Ku uldze Peyton, nic nie wybuchło.

Nadal zachowując ostrożność, Desmond zrobił krok do przodu. Pochylił się, wyjął ze środka jakąś małą kartkę i wypuścił powietrze z płuc.

– To nowe współrzędne dla GPS-u – powiedział.

– Gdzie? – chciała wiedzieć.

Wyjął telefon i wpisał dane.

– Nadal na Szetlandach. Jakies trzydzieści, czterdzieści kilometrów stąd. Możemy tam pojechać.

Na ekranie telefonu pojawiła się wiadomość od aplikacji Labirynt Reality:

Zlokalizowano 1 wejście.

Pokazała ją Desmondowi.

– Taka sama wiadomość jak wcześniej, gdy otworzyłem aplikację w Dadaab.

Wziął od niej telefon i kliknął w okienko. Pojawiła się mapa. Miejsce

znajdowało się w Australii, w jej południowej części w pobliżu wybrzeża. To była wiejska okolica i gdy Desmond powiększył obraz, Peyton zobaczyła ciemną kropkę w zielono-brązowym krajobrazie. Powiększył maksymalnie, a Peyton aż zaschło w ustach. Desmond milczał. Piętnaście lat temu pojechali tam razem. Spalone resztki domu Desmonda były teraz jeszcze bardziej zarośnięte, ale osmolone fundamenty starego rancza nadal wznosiły się ponad roślinnością. Nic nie wskazywało na to, że coś się zmieniło, jednak Peyton nie wiedziała, jak stare są zdjęcia satelitarne. W tej chwili mogło się tam coś znajdować, ewentualnie ktoś. Albo coś mogło zostać tam schowane.

– Co sądzisz? – spytała.

Zerknął na telefon, a potem na karteczkę ze współrzędnymi.

– Sądzę, że sprawdzimy to miejsce w pobliżu, a potem ruszymy do Australii.

– Dzwonimy do Avery? – spytała Peyton.

– Nie. Najpierw zobaczymy, o co tutaj chodzi.



Zawieszona na drzewie, aktywowana ruchem kamera włączyła się w chwili, gdy Desmond wszedł w jej zasięg. Człowiek, który monitorował przekaz, obudził się i niespokojnie wpatrywał się w ekran. To już nie potrwa długo.



Desmond i Peyton jechali w ciemności. Mgła nadal była gęsta, jednak Peyton wydawało się, że zaczęła się podnosić. Wiatr nieprzerwanie uderzał w samochód, jakby znajdowali się w gigantycznym tunelu aerodynamicznym. Szosa skręcała w lewo i w prawo, gdy coraz głębiej wjeżdżali w góry Szetlandów.

Kilometr od celu od szosy odchodziła droga gruntowa. Desmond sprawdził na telefonie, że to właśnie ona doprowadzi ich na miejsce.

Z plecaka wyjął noktowizor. Wyłączył reflektory w aucie, założył gogle i ruszył przed siebie.

Po trzystu metrach zgasił silnik.

– Dalej pójdziemy.

Szli wzdłuż linii drzew, droga wiła się przez las pozornie bez żadnego celu. Kończyła się na polanie, na której stała mała chatka. Nie było żadnych śladów życia: w oknach nie paliły się światła, z komina nie unosił się dym. Podbudówka z kamienia miała odcienie szarości, błękitu i fioletu; mech zarósł drewniany dach. Dom wydawał się bardzo stary, jakby został zbudowany w średniowieczu, a potem porzucony.

W nikłym świetle Desmond pokazał Peyton, że ma się nie ruszać z miejsca.

Nie czekając na reakcję, podał jej kluczyki do samochodu i pobiegł w stronę domku z karabinem gotowym do strzału.

Peyton wstrzymała oddech, gdy zniknął z prawej strony budynku.

Minęło dziesięć sekund. Dwadzieścia. Zapaliły się światła, otworzyły drzwi frontowe i Desmond wyszedł na ganek. Gestem zaprosił ją do środka.

– Musisz to zobaczyć – powiedział, kiedy dotarła do schodów.

Weszła do domku i zaczęła się rozglądać.

Ściany były pokryte korkiem, wszędzie wisiały przypięte pinezkami zdjęcia, artykuły i odręczne notatki. Peyton знаła niektóre nazwy: Rapture Therapeutics, Phaethon Genetics, Rook Quantum Sciences, Rendition Games. Były tam zdjęcia Desmonda i Connera. Przeczytała kilka notatek:

*Invisible Sun – osoba, organizacja czy projekt?*

*Do czego potrzeba tyle energii?*

*Trzeci Świat jako obszar testowy?*

Niektóre artykuły wycięte z gazet pochodziły nawet z lat osiemdziesiątych.

Ten, kto tutaj mieszkał, z całą pewnością latami prowadził śledztwo w sprawie Citium. I zupełnie niedawno się stąd ulotnił. W kuchni stały naczynia w zlewie. Na kredensie leżał zamknięty laptop.

– Jest prąd – powiedział Desmond i włączył mały grzejnik.

Peyton ucieszyła się z ciepła.

– Za domem jest panel solarny, być może również drugi na dachu. Dom jest niezależny od sieci dostawczej.

Przy ścianie stały trzy regały wypełnione segregatorami. Peyton właśnie sięgała po jeden z nich.

– Tutaj – przerwał jej głos Desmonda. Stał w salonie i uderzał nogą w deski podłogowe. – Słyszysz?

Peyton pokręciła głową. *Co on robi?*

Wziął pogrzebacz, który wisiał przy kamiennym palenisku, wbił go w podłogę i poluzował jedną deskę. Pod nią znajdował się sejf z tarczą. Desmond pospiesznie wyrywał przylegające deski, aż odsłonił go w całości. Zaczął kręcić tarczą.

– Znasz numer? – spytała Peyton, kucając obok niego.

– Może – mruknął.

Nacisnął rączkę, ale ani drgnęła.

– Jaki numer wpisałeś?

– Taki jak do sejfu Orville’a.

Peyton od razu podchwyciła jego tok myślenia. *Wydaje mu się, że on to stworzył, że są tu wyniki jego śledztwa.*

– Jakies pomysły? – Zerknął na nią.

Kiedy znaleźli pudełko w lesie, Peyton zastanawiała się, dlaczego ktoś ukrył tam współrzędne geograficzne, dlaczego dostali namiary na dwa miejsca, skoro mogli od razu przyjechać tutaj.

– To pierwsze miejsce, w którym byliśmy. Jego współrzędne podano w jakimś celu.

Desmond skinął głową.

– Rzeczywiście. Może chodziło o to, żeby odnaleźli je właściwi ludzie i żeby mieli klucz do tego, co tu jest ukryte.

Ponownie pokręcił tarczą, tym razem wykorzystując współrzędne GPS-u z pierwszego miejsca. Sejf się otworzył. W środku leżał stosik kartek.

Na tej z wierzchu znajdowała się tylko jedna linijka tekstu napisana odręcznie wielkimi literami.



*Jak Citium zeszło z obranej drogi.*

Desmond odwrócił kartkę i na drugiej stronie znalazł odręczną notatkę. Przeczytali ją razem.

*Jeśli to czytasz, stało się najgorsze. Świat wkrótce się zmieni. Wróg, z którym się mierzymy, ma większe możliwości niż jakikolwiek rząd czy armia.*

*Jednakże sądzę, że można go powstrzymać. Żeby to zrobić, musisz zrozumieć jego korzenie, historię i prawdziwe intencje. Na załączonych kartkach masz informacje na ten temat. Jest to najpotężniejsza i być może jedyna broń, jaką mogę ci zaoferować.*

*Po pierwsze, musisz mieć świadomość, że Zakon Citium z początku miał dobre intencje. To była szanowana organizacja. Grupa wyznawców. Mieli swoje rytuały i zasady, jednak nie uznawali żadnych świętości. Byli czcicielami nauki i wierzyli, że nauka da im odpowiedzi na najważniejsze pytania – włącznie z tym, które uznawali za najdonioślejsze: Dlaczego istniejemy?*

*Usilnie starali się znaleźć na nie odpowiedź. Jednak zeszli z raz obranej drogi. Na pustyni w Nowym Meksyku w lipcowy ranek 1945 roku wydarzyło się coś, co na zawsze zmieniło Citium. Wiem o tej transformacji, ponieważ mój ojciec był jej świadkiem; załączam jego relację, którą spisałem zgodnie z tym, co mi opowiedział. Na pozostałych stronach znajduje się moja własna historia. Mam nadzieję, że doprowadzi cię do punktu, w którym zdołasz powstrzymać Citium. Pośpiesz się.*

*William*

– William – rzekła Peyton. – Bez nazwiska. Pamiętasz go?

– Nie. – Desmond przeglądał kartki pod listem. – Ale przyjmuję, że to jeden z moich sprzymierzeńców. Może jakiś informator.

– To miałoby sens. Co chcesz zrobić? Dzwonimy do Avery?

– Nie – odparł szybko. – Sprawdźmy, co tutaj mamy, przeczytajmy to, a potem przeszukamy resztę domu.

Peyton zgodziła się, usiedli więc na wytartej kanapie w salonie. Na zewnątrz temperatura spadła prawie do zera, w środku wydawało się jeszcze zimniej. Mały grzejnik nie wystarczał. Popatrzyła na kominek, ale uznała, że rozpalenie w nim byłoby zbyt ryzykowne. Zamiast tego owinęła się grubym kocem leżącym na sofie i przysunęła bliżej Desmonda, żeby jego również przykryć. Ciepło ich ciał wypełniło ciasną przestrzeń pod pledem.

Popatrzył na nią. Wiedziała, o czym myśli: ta sytuacja przypominała mu Palo Alto, ten mały dom, w którym mieszkali piętnaście lat temu. Ona też myślała, że znowu wchodzi w rolę, jakie mieli, będąc ze sobą. Jednak teraz działało się zbyt wiele, by mogła skupić się na tej myśli. Podniosła kartki i zaczęła czytać.

## ROZDZIAŁ 77

Mój ojciec nazywał się Robert Moore. Był naukowcem w być może najważniejszym okresie i miejscu dla naukowców, w chwili gdy nauka przyczyniła się do zakończenia wojny. I zmieniła świat.

Tego dnia w lipcu 1945 roku spał tylko godzinę, ubrał się w najlepszy garnitur i pojechał na pustynię na miejsce testu. Przy bramie ochrona kazała mu wyjść z samochodu, który dokładnie przeszukała.

W całej bazie wyczuwało się napięcie. W stacji kontrolnej dyrektor projektu był o krok od załamania nerwowego. Generał Leslie Groves kilka razy musiał wyprowadzać go na zewnątrz, gdzie spacerowali w ciemności i po deszczu, podczas gdy generał nieustannie przekonywał go, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Tuż przed wpół do szóstej zaczęło się odliczanie. To były najdłuższe sekundy w życiu Roberta.

Zespół nazwał urządzenie Gadżetem. Gadżet był rezultatem trwającego przez pół dekady zbiorowego wysiłku największych naukowców. Tego ranka znajdował się na szczycie trzydziestometrowej metalowej wieży. Z każdej strony otaczała ich pustynia. Stacja kontrolna, gdzie czekali naukowcy, znajdowała się w odległości dziesięciu kilometrów. Nawet będąc tak daleko, Robert założył gogle spawacza i patrzył przez zaciemnione szkło. Widział tylko ciemność do momentu, gdy odliczanie doszło do zera.

Najpierw pojawiło się białe światło. Trwało przez kilka sekund, potem przeszła przez niego fala ciepła, pozostawiając na jego twarzy i ciele

wilgotną warstwę. Kiedy ściana światła przeminęła, dostrzegł słup ognia unoszący się nad ziemią i szybko powiększający swoją objętość.

Chmura przedarła się przez granicę inwersji temperatury na wysokości pięciu tysięcy metrów, co wielu naukowców uważało za niemożliwe. Przez kilka minut po eksplozji chmura się wznosiła, aż dotarła do stratosfery na wysokość ponad dziesięciu tysięcy metrów.

Czterdzieści sekund po detonacji fala uderzeniowa dotarła do naukowców w stacji kontroli. Zaraz potem usłyszeli huk wybuchu. Przypominał odległy grzmot, przez kilka sekund odbijał się echem od pobliskich wzgórz, jakby zbliżała się burza. Ten odgłos był słyszalny nawet sto sześćdziesiąt kilometrów dalej, a błysk dotarł na dwa razy większą odległość.

Wybuch w jednej chwili unicestwił metalową wieżę, na której stała bomba, pozostawiając w jej miejscu krater o średnicy prawie kilometra. Metalowe rury o średnicy dziesięciu centymetrów, wysokości dziesięciu metrów, zatopione w cemencie i znajdujące się cztery i pół kilometra od miejsca detonacji również wyparowały. W stacji kontroli zapadła cisza. Miejsce niepokoju sprzed próby zajął lęk. I niepewność.

Jakby wychodząc z transu, członkowie zespołu rozglądali się wkoło, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Niektórzy gratulowali sobie nawzajem. Kilka osób się śmiało. Niektórzy płakali. Wszyscy mieli świadomość, że tutaj, na pustyni Nowego Meksyku, świat zmienił się na zawsze.

Zdetonowano pierwszą bombę atomową. Mieli nadzieję, że również ostatnią.



W Los Alamos jeden z członków zespołu wznosił toast.

– Za świt ery atomowej.

Wielu obawiało się, że próba skończy się fiaskiem, wobec tego teraz odczuwali ulgę, a niektórzy strach.

Robert odezwał się po raz pierwszy od próby Trinity.

– Tak, za nową erę. Daliśmy ludzkości coś, czego nigdy wcześniej nie

miała: możliwość zniszczenia samej siebie. – Kiedy nikt nie odpowiedział, dodał: – Jak wiele czasu minie, kiedy nasze urządzenie kupi i zdetonuje jakiś szalenciec? Pięć lat? Dziesięć? Sto? Zastanawiam się, kim będzie ostatecznie pokolenie ludzi. Może to nasze dzieci, może wnuki?

Kiedy grupa się rozeszła, szef Roberta poszedł za nim do jego biura i zamknął za sobą drzwi. Robert szanował starszego mężczyznę i ufał mu.

– Wierzysz w to, co powiedziałeś?

– W każde słowo. Otworzyliśmy puszkę Pandory.

Szef przyglądał mu się przez chwilę.

– Uważaj na to, co mówisz, Robercie. Niektórzy ludzie nie są tymi, za których się podają.



Niecały miesiąc później Stany Zjednoczone rzuciły bombę atomową na Hiroszimę.

Trzy dni później druga bomba spadła na Nagasaki.

Szacowano, że liczba ofiar śmiertelnych wynosiła od 129 do 246 tysięcy.



Depresja, z którą Robert zmagał się przez całe życie, wreszcie go pokonała. Kiedy przestał przychodzić do pracy, szef odwiedził go w domu.

– Wiedziałeś? – zapytał Robert.

– Nie znałem szczegółów. Tylko to, że bomby zostaną użyte w czasie wojny.

– Zabiliśmy tych ludzi.

– Wojna ciągnęłaby się latami.

Robert pokręcił głową.

– Powinniśmy byli ją zrzucić w pobliżu Tokio, gdzie zobaczyliby ją cesarz i mieszkańcy miasta, a potem powinniśmy zasypać miasto ulotkami, w których żądalibyśmy poddania lub obalenia ich rządu.

– Obalenie rządu jest nieprzemyślaną i nieprzewidywalną propozycją. Poza tym Tokio zrujnowano bombardowaniami o wiele bardziej, niż zniszczyłyby je wybuch bomby atomowej za miastem. W ciągu dwóch dni w marcu spaliliśmy tam do gołej ziemi ponad czterdzieści kilometrów kwadratowych.

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, że decyzja, bez względu na to, co o niej sądzisz, nie należała do ciebie. Czujesz się winny. A nie powinieneś. To jest wojna. Wykonałeś swoją pracę.

– Być może. Ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nic już nie ma znaczenia. Wiem, że projekt dał mi coś, czego potrzebowałem: cel i wiarę w to, co tworzyłem. Jednak widząc jego skutki, wiem, że byłem głupcem. Kości zostały rzucone. Nasze wyginięcie jest tylko kwestią czasu.

Starszy mężczyzna przez chwilę milczał.

– A jeśli powiedziałbym ci, że jest grupa naukowców i intelektualistów z całego świata, ludzi takich jak my, którzy wierzą w to, co ty – że ludzkość teraz zagraża sama sobie? Jeśli powiedziałbym ci, że ta grupa pracuje na czymś podobnym do Projektu Manhattan, nad technologią, która pewnego dnia może ocalić całą ludzkość? To urządzenie będzie kontrolowane przez ludzi, którzy je zbudowali, intelektualistów, którym na sercu leży wspólne dobro, nie nacjonalizm, religia czy pieniądze.

– Jeśli... taka grupa istnieje, byłbym bardzo wdzięczny za szczegóły.



Kilka miesięcy później obaj mężczyźni udali się do Londynu. Obaj byli zszokowani stanem, w jakim znajdowało się miasto. Naloty zrównały z ziemią całe przecznice, wiele budynków było w ruinach. Jednak niekończące się ataki nie złamały Brytyjczyków. Już zaczęli odbudowę.

O pierwszej w nocy samochód zabrał ich do prywatnego klubu. Weszli

imponującą klatką schodową, dostali się do sali balowej, gdzie stał rząd krzeseł, a przed nim mównica. Nad sceną wisiały trzy podświetlane znaki z napisami: Rozum, Etyka, Fizyka. Uczestnicy wchodzili po cichu i siadali na krzesłach. Robert policzył, że w sali znajdowało się około sześćdziesięciu osób.

To, co tego wieczoru usłyszał w tym elitarnym klubie, na zawsze zmieniło jego życie.



Miesiąc później Robert z żoną Sarah przeprowadzili się do Londynu. Miasto miało najwięcej uniwersytetów na świecie, więc dostał kilka propozycji pracy – wszystko to dzięki członkom Citium. Wybrał posadę w King's College, gdzie od czasu do czasu coś publikował, jednak to, co go naprawdę pochłaniało, wykonywał w tajemnicy. Zasady tajności zostały w dużej mierze skopiowane z Projektu Manhattan: niezależne zespoły pracowały nad odrębnymi częściami większej całości. Nie wiedział, czym była ta większa całość, miał jednak świadomość, że miała uratować ludzkość przed śmiertelnym urządzeniem, które pomógł zbudować podczas wojny. Praca nad Zwierciadłem pomogła w zwalczeniu depresji, jakiej nabawił się po zrzuconiu bomb atomowych. Wierzył, że tworzy antidotum na truciznę, którą wstrzyknął światu.

To dawało mu nadzieję.

Jego żona również znalazła pocieszenie w swojej pracy: była wolontariuszką w jednym z wielu sierocińców. Przez lata bezskutecznie próbowali począć dziecko. Mocno to przeżywała, najbardziej na świecie chciała zostać matką.

Pewnej soboty poprosiła go, by poszedł z nią do sierocińca. Ochronka mieściła się w budynku dawnego hotelu i wewnątrz było czyste, chociaż nieco zaniedbane. Spotkał się z kilkorgiem dzieci, poczytał im bajki i dał małe zabawki i książki, o których przyniesienie zatroszczyła się jego żona. Następnego soboty znowu poprosiła, by z nią poszedł, a potem znowu, wkrótce stało się to ich rytuałem. Wiedział, że ma w tym swój

cel, nietrudno było zgadnąć jaki. Wiedział też, jaka będzie jego odpowiedź.

– Myślę, że powinniśmy go adoptować – powiedziała pewnego sobotniego popołudnia, bez żadnych wstępów, jakby po prostu chciała potwierdzić wcześniej podjętą wspólną decyzję.

– Tak, oczywiście – odparł, nie odrywając wzroku od czytanej gazety.



To ja byłem chłopcem, którego adoptowali, i żeby zrozumieć, ile to dla mnie znaczyło, musisz dowiedzieć się, co stało się podczas wojny.



## ROZDZIAŁ 78

W dniu kiedy Niemcy zaatakowały Polskę, ewakuowano dzieci z Londynu. Przez miesiące krążyły plotki o masowej ewakuacji. Tej nocy moi rodzice pokłócili się o to. Wtedy tego nie rozumiałem. Później poznałem prawdę: ojciec nalegał, żeby matka również wyjechała z Londynu. Była adiunktem na Uniwersytecie Londyńskim na wydziale orientalistyki i afrykanistyki, mówiła w trzech językach, których również nauczała: japońskim, arabskim i niemieckim. Uczelnia mamy miała się przenieść do Christ Church w Cambridge – wszystkie londyńskie uczelnie i uniwersytety zostały ewakuowane – jednak ona chciała zostać i pomagać w wysiłku wojennym. I nie przyjmowała do wiadomości żadnego sprzeciwu.

Mój ojciec nie był frajerem, tylko kapitanem Trzeciej Dywizji Piechoty, dowodzonej przez Bernarda Montgomery'ego. Jednak tej nocy nie naciskał.

Następnego dnia rano odprowadziła mnie na dworzec kolejowy. Wydawało mi się, że kolejka dzieci nie ma końca. Potem dowiedziałem się, tę masową ewakuację nazwano Operacją Pied Piper i wywieziono ponad trzy i pół miliona ludzi. W pierwszych trzech dniach września ewakuowano półtora miliona ludzi, w tym osiemset tysięcy dzieci w wieku szkolnym i ponad pół miliona matek z małymi dziećmi, trzynaście tysięcy kobiet w ciąży i siedemdziesiąt tysięcy niepełnosprawnych. Przeniesiono także sto tysięcy nauczycieli i personelu wspierającego. To była akcja na wielką skalę; wydawało się,

że cały Londyn żył tylko tym.

Do mojego płaszcza przyczepili kartkę z nazwiskiem i dali mi kartonowe pudełko, które zawiesiłem sobie na szyi. W środku była maska gazowa, co wyraźnie sugerowało, że nie jest to zwykła wycieczka na wieś. Niektóre dzieciaki wyjęły je, założyły i bawiły się nimi. Ja miałem pięć lat i muszę przyznać, że zrobiłem to samo.

Starsze rodzeństwo opiekowało się młodszymi braćmi i siostrami, pilnując, żeby ich nie rozdzielono. Mój jedyny brat zmarł dwa lata wcześniej na gruźlicę; oddałbym wszystko, by móc trzymać go za rękę. Zrobiłem hardą minę, by sprawić przyjemność mamie. Uścisnęła mnie mocno i pomyślałem, że połamię mi kości. Gdy pociąg odjeżdżał, machała do mnie z peronu. Płakała; szczerze mówiąc, nie widziałem tam ani jednej nieplaczącej osoby.

Dziewięć lat później C. S. Lewis napisał powieść pod tytułem *Lew, czarownica i stara szafa*, w której czwórka rodzeństwa jest ewakuowana z Londynu do okazałego domostwa na wsi, gdzie stoi zakurzona szafa prowadząca do innego świata. Ewakuacje nie były w najmniejszym stopniu tak romantyczne jak w opowieści Lewisa, ale nie były również tak traumatyczne jak we *Władcy much*, powieści Williama Goldinga o chłopcach wywiezionych z Londynu, którzy rozbijają się na tropikalnej wyspie.

Podsumowując, każdy w Wielkiej Brytanii robił, co w jego mocy i przygotowywał się na najgorsze – wojnę z Niemcami.

Moi rodzice zatroszczyli się, żebym mógł zamieszkać z kuzynką mamy Edith i jej mężem, George'em. Minęło kilka dni, zanim po mnie przyjechali, a ja w tym czasie widziałem, przez co przechodziły dzieci, które nie miały u kogo zamieszkać. Od czasu do czasu były wyprowadzane na zewnątrz, gdzie kazano im stać w rzędzie, podczas gdy dorośli przychodzili, by je sobie obejrzeć.

– Wezmę tego – powiedziała jakaś pani.

– My weźmiemy trzeciego od lewej – zadeklarował jakiś pan.

Za pierwszym razem było tak jak wtedy, gdy nie jest się wybranym do drużyny krykieta, nie był to koniec świata. Ale te częste selekcje odbijały

się na psychice dzieci, które nigdy nie zostały wybrane. Współczułem im. Zamieniłbym się z nimi miejscami. Ale nie mogłem nic dla nich zrobić. Większość tych, które zostały, była przerzucana z miejsca na miejsce, część została przydzielona do obozów ewakuacyjnych, które stworzył rząd, co było wielce perspektywicznym posunięciem.

Popadłem w rutynę. Chodziłem do szkoły, wykonywałem domowe obowiązki, które przydzieliła mi Edith, ponieważ mama w listach nalegała, żeby to zrobiła. Jej listy do mnie przychodziły co kilka dni. Ojciec pisał rzadziej i bardziej zwięźle, ale cieszyłem się, że mam wieści od nich obojga.

Co wieczór słuchaliśmy z Edith radia, chłonąc każde słowo z wiadomości BBC. George był w Królewskich Siłach Powietrznych, więc Edith zamartwiała się o niego, chociaż usilnie próbowała to przede mną ukryć.

W maju 1940 roku Niemcy rozpoczęli ofensywę na zachodzie. Najpierw zajęli Niderlandy. Holandia i Belgia szybko upadły, dzięki czemu Niemcy mogli obejść Linie Maginota. Przeszli przez Ardeny i rozdzielili armie francuskie i brytyjskie. Wiedziałem, że mój ojciec został powołany, ale nie wiedziałem, gdzie przebywa. Zdenerwowałem się, gdy usłyszałem, że Trzecia Dywizja Piechoty została ewakuowana spod Dunkierki.

Dwa tygodnie później przyszedł list od ojca. Tej nocy płakałem w swoim pokoju, ponieważ przeżył. Gdzieś w środku byłem przekonany, że nie żyje, i przywykłem do tej myśli.

Cztery miesiące później, na początku września, rok po moim wyjeździe z Londynu Luftwaffe zaczęła naloty na miasto. Od 7 września 1940 roku przez kolejne 57 dni zbombardowali Londyn 56 razy. Byli bezwzględni. I zabójczy. W bombardowaniach zginęło ponad czterdzieści tysięcy ludzi, drugie tyle odniosło rany, ponad milion osób straciło domy. Moja mama była w jednym z zawałonych budynków i podzieliła los czterdziestu tysięcy ofiar śmiertelnych.

Tak bałem się o bezpieczeństwo ojca, że jej śmierć była dla mnie wielkim zaskoczeniem. Przepęłniła mnie nienawiścią i smutkiem.

Miałem tylko sześć lat, więc emocje mnie przytłaczały. Martwiłem się o ojca, ale potem próbowałem się nim nie przejmować. Jednak to było kłamstwo, którym się karmiłem.

Podczas D-Day Trzecia Dywizja Piechoty pierwsza wylądowała na Sword Beach w Normandii. Kiedy o tym usłyszałem, okropnie się bałem, ale trzy tygodnie później dostałem list od ojca. Te listy przychodziły jeszcze przez sześć miesięcy. Zyskałem jakąś nadzieję. I to był mój błąd. Wiadomość o tym, że został zabity w grudniu, zniszczyła wszystko, co dla mnie cenne. Stałem się sierotą.

Następnego miesiąca do domu wrócił George. Stracił nogę i większą część ręki, jednak rany fizyczne stanowiły zaledwie ułamek jego cierpienia psychicznego. Pomagałem Edith z całych sił, ale podobnie jak ja była przytłoczona. Wiedziałem, co się zdarzy, i nie winiłem jej za to.

Sierociniec w Londynie był wypełniony dziećmi, które straciły rodziny na wojnie i nie miały dokąd pójść. Mieszkałem w pokoiku z trzema innymi chłopcami. Najmłodszy, Edgar Mayweather, miał sześć lat. Ja byłem najstarszy, bo miałem już jedenaście, razem z nami mieszkali dwaj bracia. Orville Hughes miał dziewięć lat, a jego młodszy brat, Alistair, siedem.

Sierociniec mieścił się w podniszczonym hotelu na przedmieściach Londynu, które jakoś przetrwały bombardowania. W ciągu dnia chodziliśmy do szkoły i wykonywaliśmy różne obowiązki, za niesubordynację groziły kary cielesne. Pomagaliśmy w remoncie starego hotelu. W zasadzie mogło być gorzej. Mieliśmy co jeść, zadbano o naszą edukację, ktoś nas pilnował. Ciężka praca, przynajmniej w moim przypadku, odwracała uwagę od tego, co się stało i dawała mi jakiś cel. Być może jedyne, czego nam brakowało, to miłość.

Niezależnie od tego, jak bardzo starały się to ukryć, wszystkie dzieci w sierocińcu były nieszczęśliwe. Dorastanie w cieniu tragedii zmienia człowieka, sprawia, że spodziewa się on kolejnych ciosów. W ten sposób umysł nas chroni i jest to bardzo skuteczna obrona. Nocami wiele dzieciaków płakało bez końca w ciemności. Niektóre chowały się pod łózkami. Inne wzdrygały się na każdy głośniejszy dźwięk. Nie winiłem

ich. Nasza sytuacja przypominała więzienie – ale żadne z nas nie pytało innej sieroty, dlaczego się w nim znalazła. Widzieliśmy wystarczająco dużo scen wojennych i nikt nie chciał o nich mówić.

Każdy radzi sobie na swój sposób. Niektórzy walczyli. Stawali do walki z byle powodu, czasem tylko dlatego, że ktoś im się nie spodobał. Byli wściekli na życie i na to, co się stało, i mścili się na każdym i na wszystkim. Chociaż Orville był dwa lata ode mnie młodszy, był większy i twardy jak skała. Nigdy nie widziałem, żeby prowokował bójkę, ale brał udział w wielu z nich. Jego pięści i łokcie oszczędziły mi wielu połamanych kości i podbitych oczu. Chronił swojego młodszego brata Alistaira jak klejnotów koronnych. Mnie i Edgara również. Alistair był równie silny, lecz mniej skory do bójki; był spokojny i zawsze siedział z nosem w książce.

Szybko następowały rotacje w sierocińcu; dzieciaki przychodziły i odchodziły. Widzieliśmy, że niektóre zostały przeniesione do innych, nowo otwartych placówek. Jednak większość trafiła do rodzin. Po raz kolejny posmakowałem tego, co widziałem już podczas ewakuacji: rodzice przychodzili, oglądali dzieci i podejmowali decyzje – a następnie zostawiali resztę z nas na kolejny casting, podczas którego staliśmy wymyśli, uczesani i ubrani w najlepsze rzeczy. Odrzucenie odbija się na człowieku tak, jakby od środka drążył go robak: prędzej czy później dociera do samego środka i stajesz się zupełnie przegniły.

Mnie się to nie przydarzyło, ale widziałem wiele dzieciaków, które to przeżyły.

Po śmierci rodziców powiedziałem sobie, że wszystko jedno, co się ze mną stanie. Ale to nie była prawda. Nie chciałem mieszkać w sierocińcu z przyjaciółmi, którzy przychodzili i odchodzili. Chciałem mamy, taty i domu, w którym nikt inny by nie mieszkał. Nie byłem jedynym, który o tym marzył.

Pewnego sobotniego popołudnia do sierocińca przyszła grupa zwana Braćmi w Chrystusie. Opisywali lepsze życie: pracę na polu, rodziny pragnące nas przyjąć, wspaniałą szkołę w ekscytującym miejscu zwanym Australią. Australia wydawała się o wiele lepsza niż to miejsce,

ale byłem sceptyczny. Dla mnie brzmiało to zbyt optymistycznie. Jednak wielu innych zostało przekonanych. Podniesiono ręce. Następnie poproszono o wystąpienie wszystkich chętnych. Jednym z nich był Alistair Hughes. Orville próbował zmusić go do opuszczenia ręki, ale było za późno; już go wyprowadzali z grupą dzieciaków, które chciały wyjechać. Orville dołączył do nich bez słowa. Skinął do mnie, gdy wychodził.

Później dowiedziałem się, że nic nie było takie, jak obiecywali Bracia w Chrystusie. Program był w rzeczywistości kontynuacją podobnego, który realizowano w XVII wieku, kiedy dzieci wysyłano do kolonii w Wirginii jako siłę roboczą. W XIX i XX wieku prawie sto pięćdziesiąt tysięcy dzieci wysłano do Australii, Nowej Zelandii, Kanady i Rodezji. Pracowały w trudnych warunkach, ale praca składała się tylko na część ich cierpienia. Od lat 40. do 1967 roku dziesięć tysięcy dzieci wysłano do sierocińców Australii Zachodniej, żeby pracowały na roli. Szerzyły się tam nadużycia seksualne i przemoc, co zostało odkryte dopiero w późniejszych latach. W 2009 roku premier Australii wystosował oficjalne przeprosiny skierowane do dzieci, które ucierpiały na skutek programu i, jak to zostało nazwane, „doświadczyły tragedii całkowicie zaprzepaszczonego dzieciństwa”.

Moje dzieciństwo również uciekało. Stałem się pesymistą i zakładałem, że nigdy nie znajdę domu. W tym czasie wolontariuszką w sierocińcu została pani Sarah Moore. Była miła i inteligentna. Przypominała mi mamę. Uczyła mnie francuskiego, który ku jej radości szybko wchodził mi do głowy. Jej mąż był poważniejszy, ale chyba też mnie lubił.

Pewnej niedzieli kobieta zajmująca się naszą grupą kazała mi przygotować się do wyjazdu. Byłem śmiertelnie przerażony, gdy wkładałem swoje nieliczne rzeczy do torby, którą od niej dostałem.

Kiedy Sarah i jej mąż Robert weszli do pokoju i powiedzieli, że jadę z nimi, rozplakałem się z radości, chociaż próbowałem zapanować nad łzami, ale wcale im to nie przeszkadzało. Przytulili mnie tylko i wsadzili moje rzeczy do swojego błyszczącego auta.

Przyjąłem ich nazwisko, ale zachowałem również swoje nazwisko

rodowe. Następnego roku w szkole pękałem z dumy, gdy pisałem na pierwszym sprawdzianie: William Kensington Moore.



Peyton wstała i podeszła do tablicy korkowej. Jej wzrok padł na stare zdjęcie przypięte blisko podłogi. Zdjęła je i przyjrzała się uważniej. Przedstawiało trójkę dzieci: z lewej stała mniej więcej trzyletnia dziewczynka, pośrodku starsza, prawdopodobnie siedmioletnia, a z jej prawej strony chłopiec z jedną ręką, wyglądający na jakieś jedenaście lat.

– Wiem, kto to napisał – powiedziała.

Desmond stanął obok niej i zerknął na zdjęcie.

– Naprawdę?

Wskazała najmłodsze dziecko na fotografii.

– To ja. Pośrodku stoi Madison, a z prawej Andrew. William Kensington Moore jest moim ojcem.

## ROZDZIAŁ 79

Desmond próbował przyswoić słowa Peyton.

– Sądziłem, że twój tata nie żyje?

– Też tak sądziłam – odpowiedziała. – Może tak jest. Nie wiemy, kiedy powstał ten list.

Wróciła na kanapę, usiadła koło Desmonda i zarzuciła na nich ciepły pled. Na zewnątrz kamiennej chatki wschodzące słońce przedzierało się przez mgłę. Zastanawiała się, jak długo Avery będzie spała i ile czasu mają na podjęcie decyzji. I co znajdą na pozostałych kartkach.



Z pierwszych lat po wojnie najlepiej zapamiętałem to, że Wielka Brytania była zrujnowana. Wygraliśmy drugą wojnę światową, ale zapłaciliśmy za to ogromną cenę – liczoną w istnieniach ludzkich, lecz także w pieniądzu. Ameryka nagle i nieoczekiwanie zakończyła program Lend & Lease, który nas jakoś ratował. Skarb państwa stał na skraju bankructwa. Rozpoczął się czas wielkiego ubóstwa; zdawało się, że przeżyliśmy nazistów tylko po to, by poumierać z głodu. Nie byliśmy jedyni w tej sytuacji. Cały świat marzł, głodował i nadal pogrążony był w kryzysie po największym konflikcie w historii ludzkości. W Wielkiej Brytanii trwało racjonowanie towarów oraz pobór do wojska. Zima na przełomie 1946 i 1947 roku była jedną z najzimniejszych w historii. Kopalnie i transport kolejowy nie nadążały z dostarczaniem węgla,



zamykano fabryki, ludzie przeraźliwie cierpieli.

Każdego roku było trochę lepiej. W lipcu 1946 roku Amerykanie pożyczili nam 3,75 miliarda dolarów na niski procent. W 1948 roku ruszył Plan Marshalla, co trochę poprawiło naszą sytuację finansową.

Wszyscy mieli wrażenie, że tuż za rogiem czai się kolejna wojna. Ja również. Trudno było sądzić inaczej. Jednak świat robił wszystko, by ją powstrzymać, a także by się do niej przygotować. W 1945 roku powołano Organizację Narodów Zjednoczonych, w 1949 roku powstało NATO. Wielka Brytania zaczęła przyznawać niepodległość swoim koloniom: Jordanii w 1946 roku, Indiom i Pakistanowi w 1947, Izraelowi, Birmie i Sri Lance w 1948. W latach 50. i 60. niepodległość odzyskały kolejne kraje: Sudan, Ghana, Malezja, Nigeria, Kuwejt, Sierra Leone, Tanzania, Jamajka, Uganda i Kenia.

W latach 50. kraj stanął już na nogi, jednak teraz oczy wszystkich były zwrócone na Związek Radziecki oraz pogłębiającą się zimną wojnę. Wielka Brytania przyłączyła się do Stanów Zjednoczonych podczas wojny w Korei, gdzie walczyli z Chinami i Związkiem Radzieckim w potyczkach, które, jak sądzono, były próbą generalną przed następną wojną światową. Konflikt zakończył się patem, a państwo koreańskie rozpadło się na dwie części.

USA i ZSRR zaczęły masową produkcję broni jądrowej, zgromadziły tysiące sztuk – dość, by unicestwić Ziemię, na zawsze czyniąc ją niezdatną do zamieszkania. Inne narody również tworzyły własną broń atomową: Wielka Brytania, Francja, Izrael, Indie, Chiny i Pakistan.

Chociaż cały świat ogarnęło szaleństwo, moje życie wreszcie się ustatkowało. Okres nastoletni był całkowicie odmienny od burzliwych pierwszych dwunastu lat mojego życia. Matka i Ojciec, bo tak się zwracałem do Sarah i Roberta, okazywali mi miłość, byli stanowczy i sprawiedliwi. Wydaje mi się, że miałem najbardziej troskliwych rodziców na świecie. Nie rozpieszczali mnie, lecz poświęcali mi cały swój wolny czas i energię. Matka była stanowcza w kwestii moich obowiązków domowych oraz nauki. Ojciec zawsze miał jakiś projekt, który mieliśmy wykonać – zazwyczaj związany z naukami ścisłymi. Od

samego początku zdawałem sobie sprawę, że chciał, abym poszedł w jego ślady. Nauka była dla niego najszlachetniejszym zajęciem, a fizyka górowała nad innymi dziedzinami.

Jednak podobnie jak inne dzieci stające się dorosłymi poznałem granice własnych możliwości. Jeśli chodzi o nauki ścisłe, te granice nie znajdowały się zbyt daleko. Nie była mi pisana kariera wielkiego naukowca ani nawet miernego. Mój umysł po prostu tak nie działał. Jednakże miałem uzdolnienia językowe. Być może odziedziczone po mojej biologicznej matce. Nauka języka obcego przychodziła mi z łatwością. Uwielbiałem też historię – w szczególności historię wojskowości. Czytałem wszystko, co znalazłem na temat Trzeciej Dywizji Piechoty, w której służył i zginął mój tata. Pochłaniałem historię Niemiec i imperium brytyjskiego.

Okres studiów przyszedł i minął równie szybko, moje jedyne osiągnięcie warte odnotowania wiązało się z ringiem bokserskim. Nie miałem pojęcia, co dalej robić ze swoim życiem. Podobnie jak wielu innych z tym samym problemem, wstąpiłem do wojska. Wydawało się to dobrym posunięciem, okazją do namysłu nad życiem oraz zwiedzenia kawałka świata.

To była dobra decyzja. W wojsku nabyłem umiejętności przywódczych i zarządzania ludźmi. Uniwersytet wypchał mi głowę faktami i wiedzą, nauczył mnie też, jak myśleć i rozwiązywać problemy. Jednak wtedy musiałem zarządzać tylko sobą. Wojsko niezwykle pomogło mi w tej kwestii. Dało mi też coś chyba najcenniejszego w życiu: pokazało mi, kim jestem. Sprawdziło mnie w zupełnie inny sposób niż szkoła. I okazało się, że najlepiej radzę sobie w czasie największego stresu. Nigdy nie stchórzyłem w sytuacjach kryzysowych, kiedy szybko musiałem podejmować decyzje. Żyłem dla tych chwil, podobnie jak kiedyś dla walk na ringu bokserskim. Jednak w prawdziwym życiu nie było sędziego, który rozdzielał przeciwników, nie było dzwonka kończącego rundę.

Do dzisiaj wierzę w to, że idealną pierwszą pracą dla człowieka jest takie zajęcie, jakie ujawnia najwięcej o nim samym. Świadomość tego, kim jestem, pozwoliła mi uniknąć wielu ślepych zaułków w życiu. Wiele

dróg wygląda atrakcyjnie, lecz zrozumiałem, że czasami sukces i szczęście są wynikiem tego, że wiemy, kiedy powinniśmy odmówić.

Unikałem rutyny. Lubiłem zmieniać miejsca zamieszkania, codziennie robić coś innego. Może dlatego, że w czasie wojny ciągle byłem przetrzucany z miejsca na miejsce i stało się to częścią mojego życia. Przenosiłem się ze stanowiska na stanowisko, zawsze byłem pierwszym chętnym do zmian. Nie pragnąłem stabilizacji.

Zanim skończył się pierwszy okres mojej służby, pojawił się u mnie pewien mężczyzna. Zapytał, czy interesowałoby mnie zajęcie innego rodzaju, inny sposób służby rządowi Jej Królewskiej Mości. Kupili mnie tą patriotyczną gadką. Rozmowa o pracę była skomplikowanym, dziwacznym procesem i gdybym chciał ją zrelacjonować, musiałbym napisać całą książkę. Sądzę, że dla każdego, kto został wybrany, przebiegała w odmienny sposób. Prześwietlili moją przeszłość, poddali mnie różnym testom, a potem zaczęło się prawdziwe szkolenie. Rok później, w roku 1959, zostałem pracownikiem Firmy Handlowej na Gibraltarze.

Pozornie byłem sprzedawcą antyków. Praca wiązała się z częstymi podróżami, przez moje ręce przechodziły duże sumy pieniędzy, handlowałem z obcokrajowcami i obcymi rządami, które odzyskiwały zabytki zawieruszone w czasie wojny. Naprawdę jednak byłem agentem specjalnym Secret Intelligence Service, inaczej MI6. Nigdy nie byłem bardziej zaangażowany. Ani szczęśliwszy.

Matka martwiła się o mnie, kiedy wstąpiłem do wojska. Praca w Firmie Handlowej znacząco ją uspokoiła. Reakcja mojego ojca była zupełnie niespodziewana: mieszanka rozbawienia i uznania. Wydawało się, że doskonale wie, co się za tym kryje. Nasze relacje znacząco się wówczas poprawiły. Zaczęliśmy odbywać długie rozmowy natury filozoficznej. Odkryłem zupełnie nieznaną twarz tego człowieka. Krótko mówiąc, otworzył się na mnie, zainteresował się mną jak nigdy wcześniej, a przynajmniej od chwili, gdy okazało się, że nigdy nie zostanę naukowcem. Miałem świadomość tego, że go rozczarowałem, chociaż nigdy tego nie powiedział ani nie okazał. Jak wszyscy rodzice,

pragnął, abym cenił to samo, co było ważne dla niego. W pewnym sensie chciał, bym przejął jego pracę.

Kiedy odwiedzałem dom pomiędzy licznymi podróżami, kupowałem jakieś bibeloty, które mama ustawiała na półkach w salonie, a tata na regałach w gabinecie. Pytał mnie o moje podróże, nie kryjąc rozbawienia, jakby wiedział, co jest grane.

W Wielkanoc 1965 roku dowiedziałem się, jak wiele wiedział.

Siedziałem w jego gabinecie i byłem zupełnie nieprzygotowany na to, co miał mi powiedzieć.

– Chciałabym, żebyś w przyszłym tygodniu pojechał ze mną do Hongkongu.

– Nie mogę. Mam spotkanie z nowym klientem w Warszawie.

Wstał, podszedł do regału z lewej strony biurka i zdjął kilka przedmiotów. Popchnął tylną ściankę regału, która kliknęła i otworzyła się, ukazując mały sejf. Otworzył go i wyjął zdjęcie, które następnie mi podał.

– Dwadzieścia lat temu pomogłem stworzyć to urządzenie.

Wiele razy widziałem reprodukcję tego zdjęcia. Fotografia była oryginałem – została zrobiona przez kogoś, kto był obecny podczas testu pierwszej bomby atomowej. Nie wiedziałem, że brał w tym udział.

– Żałuję tego do dnia dzisiejszego. Wiesz, ile obecnie mamy głowic jądrowych?

– Trzydzieści siedem tysięcy siedemset czterdzieści dwie. Mniej więcej – powiedziałem, nie odrywając wzroku od zdjęcia.

– I są o wiele potężniejsze niż te zrzucone na Japonię. – Zamilkł, czekał, aż na niego spojrzę. – Komunizm nie jest największym wrogiem ludzkości. Tak naprawdę to my jesteśmy największym jej wrogiem. Po raz pierwszy w historii możemy zniszczyć samych siebie. Pomagałem w tworzeniu tej śmiertelnej broni. Przez wiele lat próbowałem zapobiec temu, by ponownie jej użyto.

– Jak?

– Jestem członkiem organizacji tworzącej nowe urządzenie, które zmieni ludzkość. Będzie miało nieograniczony zasięg i wpływ na każdego

człowieka, każdy naród, rasę czy religię. Ocali nas. Może być naszą jedyną szansą na przeżycie.

Nie kryłem sceptycyzmu. Zastanawiałem się nawet, czy nie zaszkodziły mu długie godziny spędzane w laboratorium.

– Co to za urządzenie? – spytałem.

– Powiem ci we właściwym czasie. Ty jeden ze wszystkich ludzi wiesz, jak ważne jest zachowanie tajemnicy.

Już wtedy miałem pewność: wiedział, że jestem szpiegiem.

– Zwierciadło jest kulminacją pracy mojego życia. Teraz grozi mu niebezpieczeństwo. Wchodzimy w fazę projektu, kiedy nasza praca będzie bardziej widoczna na zewnątrz. Wiąże się to z większym ryzykiem. Potrzebuję kogoś, kto by je chronił. Sądzę, że jesteś właściwą osobą. – Przez chwilę nie odrywał ode mnie wzroku. – Pojedziesz ze mną do Hongkongu?

Od razu się zgodziłem. Tego dnia czułem dumę, że mnie o to poprosił, że wyrosłem na kogoś, kto może mu pomóc po tym, co dla mnie zrobił.



W 1965 roku Hongkong był w fazie rozkwitu. Ulice wypełniali ludzie, fabryki działały pełną parą. Ludzie młodzi, w moim wieku, czyli mający dwadzieścia kilka do trzydziestu lat, stanowili ponad połowę populacji.

Spacerując po zatłoczonych chodnikach, patrząc na piętrowe autobusy wypuszczające kłęby czarnego dymu i wysadzające pasażerów przy każdej przecznicy, uświadomiłem sobie, że Hongkong był azjatyckim odpowiednikiem Londynu: rząd w stylu brytyjskim plus kapitalizm, z domieszką kultury Wschodu i Zachodu.

Tego wieczoru razem z ojcem spacerowałem po mieście oświetlonym nie przez żółte światła latarni jak Londyn mojej młodości, lecz skąpane w czerwonych i niebieskich neonach, które ciągnęły się od poziomu ulicy po sam szczyt budynków i reklamowały coś w języku kantońskim. Ulice zalewały dźwięki muzyki disco mieszającej się z zapachem pieczonej wieprzowiny i wołowiny dolatującym z licznych jadłodajni. Wypiliśmy po

drinku w hotelu, a potem jeszcze po jednym podczas obiadu. Zapomniałem nazwy hotelu i restauracji, jednak zapamiętałem, co czułem tego wieczoru w Hongkongu: jakbym spoglądał w przyszłość, jakby każde miasto pewnego dnia mogło wyglądać tak jak ta kwitnąca metropolia, tygiel wielu kultur. Młodzi ludzie ciągnęli do niego z całych Chin i z reszty świata.

Hongkong był pierwszym miejscem, do którego udałem się z ojcem jako dorosły człowiek. Nasze relacje się zmieniły, było to oczywiste, gdy razem wyruszyliśmy na spotkanie tej przygody.

W porcie stał statek, który zmienił moje życie i być może wkrótce również zmieni świat. To był okręt podwodny, największy okręt nie pod wojskową banderą, który kiedykolwiek widziałem. Miał napęd atomowy oraz dodatkowo silniki Diesla i elektryczne. Zwiedzaliśmy go przez godzinę. Byłem zaskoczony tym, co tam zobaczyłem: znajdowało się tam ogromne laboratorium, które mogło opłynąć cały świat. Zatrzymałem się przy tabliczce z nazwą statku:

*RSV Beagle*

Hongkong

1 maja 1965 roku

*Ordo ab Chao*

W głowie przetłumaczyłem łaciński napis: *Z chaosu powstaje porządek*.

Dzięki swojej pracy często jeździłem za żelazną kurtynę. Panował tam porządek, za który ludzie zapłacili swoją wolnością. Zastanawiałem się, czego konstruktorzy tej jednostki zażądają za porządek, do którego dążyli. I jakiego rodzaju to był porządek.

Wróciwszy wieczorem do hotelu, ojciec powiedział mi, jaką miałbym odegrać rolę.

– Misja, w którą wyruszy *Beagle*, zawiedzie go w niebezpieczne miejsca. Do niektórych trudno dotrzeć. Inne są niebezpieczne politycznie.

– Związek Radziecki. Chiny.

– Między innymi.  
– Byłem w wojsku, ale nie w marynarce wojennej.  
– Twoją rolą będzie zabezpieczanie operacji od strony lądu. To tam kryją się prawdziwe zagrożenia. Okręt podwodny będzie dokował w portach na całym świecie. Potrzeba osoby szybko myślącej, gotowej na wszystko, umiejącej negocjować z urzędnikami celnymi i wyciągać naszych ludzi z tarapatów. – Zawiesił głos, żebym mógł przemyśleć jego słowa. – Wiem, że to, czym obecnie się zajmujesz, jest bardzo ważne. Ale nasza misja jest równie istotna. Jeśli się nie mylę, jest najważniejsza w całej historii ludzkości. Świat może uniknąć atomowego holokaustu, ale gdzieś tam powstanie kolejna broń, wybuchnie następna wojna. Sami jesteśmy swoimi wrogami. Ludzkość żyje w pożyczonym czasie. Jesteśmy zbyt nieucywilizowani, żeby posiadać tak potężną broń. Ścigamy się z czasem, podobnie jak podczas Projektu Manhattan. Pomożesz nam?

Zgodziłem się i potem w pokoju hotelowym zastanawiałem się, jakiego rodzaju urządzeniem jest Zwierciadło. Założyłem, że uzyskam odpowiedź na początku służby na pokładzie *Beagle*. To, czego się tam dowiedziałem, było jeszcze bardziej intrygujące.

## ROZDZIAŁ 80

Wokół małego domku na Szetlandach słońce rozproszyło mgłę. Wiatr nadal smagał kamienne ściany i wstrząsał starymi framugami okien.

Desmond wstał, żeby rozprostować nogi. Przy tablicy korkowej przeczytał artykuł o Invisible Sun, fundacji, która przeznaczyła dziesięć milionów dolarów na projekt genetyczny na Uniwersytecie Stanforda.

Peyton poruszyła się, chcąc do niego podejść, ale gestem pokazał jej, żeby została na miejscu.

– Lepiej czytamy dalej.

Gdy usiadł, coś przyciągnęło jego wzrok. Przedmiot znajdował się w kącie pokoju, gdzie ściana stykała się z sufitem. Dobrze ukryto go za kilkoma ozdobami na najwyższej półce, lecz nie było wątpliwości co to takiego. Kamera. Świeciła się jej czerwona kontrolka.

Desmond miał nadzieję, że kamera została postawiona przez właściciela domku do celów bezpieczeństwa. W tej chwili nie mógł wiele zrobić w tej sprawie. Mógł jedynie uciec, co na pewno dałoby do myślenia osobie, która ich obserwowała. Skupił się na pozostałych kartkach i znowu zaczął czytać.



*Beagle* był niesamowitym statkiem, jednak na mnie największe wrażenie robili ludzie na pokładzie. Pochodzili z różnych części świata: Ameryki, Wielkiej Brytanii jak ja, Niemiec, Chin, ZSRR, Japonii. Prawie



wszyscy byli naukowcami oprócz personelu, który obsługiwał jednostkę, mnie i moich trzech agentów ochrony. Muszę przyznać, że z początku osoby niebędące naukowcami czuły się tam nie na miejscu; w czasie wszystkie rozmowy dotyczyły eksperymentów. Spodziewałem się, że chodzi o jeden eksperyment. W tej kwestii bardzo się myliłem.

*Beagle* był w pewnym sensie pływającym uniwersytetem z wieloma wydziałami, każdy miał swoich specjalistów, wszyscy prowadzili jakieś badania. Pobieraliśmy próbki lodu w Antarktyce, zbieraliśmy próbki z dna oceanu i od zwierząt z całego świata. Powszechne były też testy na ludziach – wszystkich narodowości i różnych ras – którzy byli zabierani do laboratoriów niedostępnych dla personelu nienaukowego. Te działania stanowiły dla mnie zagadkę. Jak to wszystko się miało do jednego projektu?

Oczywiście nic tak nie pobudza ciekawości jak jakiś sekret. Podobnie jak marynarze, ja również snułem domysły i wypytywałem naukowców, czym się zajmują. Znałem pochodzenie nazwy statku – HMS *Beagle* zabrał młodego Karola Darwina w podróż dookoła świata, która pomogła mu stworzyć teorię doboru naturalnego. Zastanawiałem się, czy naukowcy na tym statku testują jakąś podobnie wywrotową teorię.

Nigdy nie miałem klaustrofobii, ale rejs *Beagle* sprawdził moją wytrzymałość na zamknięte przestrzenie. Kajuty personelu były małe i oddzielne dla każdej płci. Trzy łóżka stały jedno nad drugim, w każdej kajucie spało nas dwunastu. Mieliśmy wspólny prysznic, który marynarze nazywali deszczową szafą (na łóżka piętrowe mówili półki lub przekładki). Ludzie, którzy pływali okrętem, mieli własny język, który składał się głównie z przekleństw. Marynarze, którzy nie przykładali się do pracy, nazywani byli cholernymi leserami. Ci, którzy dbali tylko o siebie, pieprzonymi samolubami. Statki pływające po powierzchni i ich marynarze byli cedzakami (co było oczywiście wyrażeniem pejoratywnym). Promieniowanie było zumowaniem. Morskie zwierzęta zauważone przez sonar – delfiny i wieloryby – nazywane były biologią. Zwrot „uważaj na rufę” oznaczał: obejrzyj się za siebie. „Robienie dziur w oceanie” znaczyło, że jesteśmy pod wodą.

W jednej szafce trzymano gazetki pornograficzne i mówiono o niej szafka ze świerszczykami.

Podczas rejsu byłem bardziej zżyty z marynarzami niż z naukowcami. To się zmieniło, kiedy poznałem jedną z osób, z którymi dzieliłem łóżko, Jurija Paczenkę. Jurij miał trzydzieści trzy lata, był dwa lata starszy ode mnie, i sporo mniejszy. Jednak jego wygląd był mylący, ponieważ Jurij był silny. Nigdy nie poznałem bardziej niezwyklej osoby.

Był dzieckiem w Stalingradzie, kiedy w sierpniu 1942 roku pojawiła się niemiecka 6. Armia. Oczywiście czytałem o tej bitwie; była jedną z najzacieklejszych bitew w historii, zginęły miliony ludzi. Słyszając jego opowieść, zrozumiałem, że moje doświadczenia wojenne przypominały wakacje na wsi. Ewakuacja w dużym stopniu oszczędziła brytyjskim dzieciom horroru wojny, jednak w Związku Radzieckim nie było dokąd uciec. Jurij walczył o swój kraj i swoje życie.

Teraz chciał stworzyć świat, w którym nigdy nie powtórzy się sytuacja spod Stalingradu. Nigdy nie widziałem nikogo tak skupionego na zadaniu. Specjalizował się w wirusologii i uczył się od najlepszych na świecie, którzy naturalnie znajdowali się na pokładzie *Beagle*.

W sierpniu 1967 roku zadokowaliśmy w Mombasie. Jurij i jego zespół udali się do Ugandy, żeby zbadać wybuch epidemii. Wrócili z próbkami. Laboratoria zostały poddane kwarantannie i był ku temu dobry powód: potem dowiedziałem się, że wirus, który przywieźli na pokład, był szczepem marburskim gorączki krwotocznej podobnej do eboli (odkrytej w Zairze dziesięć lat później).

Jeden z naukowców ciekawił mnie bardziej niż pozostali: Lin Keller. Lin była córką Chinki i Niemca, podczas wojny dorastała w Hongkongu. W barwnych słowach opisywała życie podczas upadku wyspy. Tego samego dnia, gdy Japończycy zaatakowali Pearl Harbor, napadli również na brytyjską kolonię w Hongkongu. Lokalne oddziały wojskowe, a także Brytyjczycy, Kanadyjczycy i Hindusi zaciekle walczyli o wyspę, lecz przegrali w starciu z przeważającymi siłami Japonii. Poddali się w Boże Narodzenie 1941 roku, co miejscowi nazwali „Czarnymi Świętami”.

Nastąpiła japońska okupacja Hongkongu. Z hotelu Peninsula w Koulunie Japończycy rządili żelazną pięścią. Lin i jej matka zostały rozdzielone z ojcem, który był w Niemczech i został zmuszony do pracy dla rządu niemieckiego. Chociaż mógł sprowadzić rodzinę do Niemiec, uznał, że będzie bezpieczniejsza w Hongkongu pomimo panujących tam warunków. Ledwie przetrwały te trzy lata i osiem miesięcy okupacji.

Sytuacja w Chinach kontynentalnych była znacznie gorsza. Japończycy najechali je w lipcu 1937 roku, wszczynając tym samym drugą wojnę chińsko-japońską. To był konflikt na olbrzymią skalę, wielu ludzi straciło życie; straty wśród cywilów i wojska stanowiły większość ofiar podczas wojny na Pacyfiku. Zginęło od dziesięciu do dwudziestu pięciu milionów cywilów w Chinach i ponad cztery miliony żołnierzy chińskich i japońskich. Wojna w Chinach uwypukliła fakt często zapominany w kontekście drugiej wojny światowej: globalnie zginęło więcej cywilów niż żołnierzy. Cywile w Chinach i Związku Radzieckim ucierpieli najbardziej, ponadto na początku lat 40. na całym świecie panował głód i przemoc.

To był świat, w jakim dorastaliśmy Jurij, Lin i ja. To był świat, jakiego nie chcieliśmy dla swoich dzieci. Zamierzaliśmy go zmienić, nie zważając na koszty. Byliśmy bratnimi duszami, łączyły nas doświadczenia z dzieciństwa, chociaż dzieliły tysiące kilometrów i dwa kontynenty.

Lin obsesyjnie zajmowała się genetyką. Jej ojciec również prowadził badania naukowe na *Beagle*, co oznaczało, że po pracy mogła z nim spędzać czas. To było coś, co łączyło mnie i Lin: Citium stało się dla nas okazją do wzmocnienia relacji z ojcami poprzez wspólną pracę i być może nawet umożliwiało zrekompensowanie sobie lat straconych w dzieciństwie.

Genetyka była nauką, która dopiero rozwijała skrzydła. W 1953 roku Watson i Crick odkryli, że DNA składa się z podwójnej helisy, a potem rozwój tej nauki bardzo przyspieszył. Kiedy Lin mówiła o tym, co może dać nam genetyka, cała promieniała. Nie przypominała żadnej innej kobiety, jaką znałem. Fizycznie była pewną anomalią, wcieleniem samego Hongkongu: wyraźne rysy azjatyckie, a do tego brytyjski

manieryzm i zachowanie. Była bezpretensjonalna, pozbawiona ego. Przypuszczalnie to właśnie najbardziej mnie w niej pociągało. Była pracowita jak mrówka; często znajdowałem ją w ciasnym gabinecie przy laboratorium śpiącą z głową na biurku. Podnosiłem ją i niosłem przez korytarze. Marynarze stawali pod ścianami, żeby zrobić nam miejsce i nigdy nie tracili okazji, żeby się ze mną podrażnić.

– W końcu ją upolowałeś, Willy?

– Czego do tego użyłeś, Will, zatrutej strzałki czy flaszki tequili?

– Zróbcie miejsce dla Księcia Czarusia, chłopcy!

Znosiłem ich przytyki bez słowa. Odnosiłem ją do łóżka, otulałem kocami i włączałem niewielki zagłuszacz – pomagały w spaniu; kuszetki nie były oddzielone żadnymi przegrodami, a współmieszkańcy bez przerwy wchodzili i wychodzili. Twarde powierzchnie na statku potęgowały wszystkie odgłosy.

Czytanie w ludziach było częścią mojej pracy. Po kilku tygodniach wiedziałem, co Lin widziała w genetyce: obietnicę cywilizowanej rasy ludzkiej. Wierzyła, że gdzieś w ludzkim genomie kryje się odpowiedź na to, dlaczego niektórzy są źli. Dla niej kluczem do Zwierciadła było zidentyfikowanie genetycznej podstawy wszystkich cech, które upośledzały świat, a następnie pozbycie się ich.

Jurij, wręcz przeciwnie, nie wierzył w to, że zagrożenie wojną atomową jest największym wrogiem ludzkości. Pandemie, twierdził, zdziesiątkowały ludzkość o wiele bardziej niż jakakolwiek wojna. Uważał, że ze względu na globalizację i urbanizację światowa pandemia jest nieunikniona.

Wtedy dopiero uświadomiłem sobie prawdę: nikt nie wiedział, czym jest Zwierciadło – nawet naukowcy pracujący nad projektem. Potem dowiedziałem się, że cały projekt rozpoczął się od zwykłej hipotezy, że można stworzyć urządzenie, które na zawsze zabezpieczy ludzkość. Eksperymenty naukowe przeprowadzane na *Beagle* miały na celu zbieranie danych, by sprawdzić tę hipotezę, by móc dokładnie stwierdzić, jakiego urządzenia potrzebuje ludzkość. Dla naukowców Zwierciadło było abstrakcją taką jak raj. Coś, co wszyscy rozumiemy, ale nikt

dokładnie nie wie, gdzie to jest i jak wygląda. Dla jednych była to piaszczysta plaża, dla innych domek w lesie lub apartament w mieście z nieograniczonym dostępem do wina i biletów do teatru. Raj był sumą doświadczeń życiowych i pragnień. W taki sam sposób przez pryzmat własnej specjalizacji każdy naukowiec postrzegał największe zagrożenie dla ludzkości; wyobrażali sobie siebie i swoją pracę jako kluczową dla tego urządzenia. Gdyby umieścić siedmiu członków Citium w pokoju i poprosić ich o opis najbardziej prawdopodobnego scenariusza doprowadzającego do wyginięcia ludzkości, można by spodziewać się siedmiu odpowiedzi: robotyka, sztuczna inteligencja, pandemia, zmiany klimatyczne, zjawiska zachodzące na Słońcu, uderzenie asteroidy lub inwazja obcych.

Stworzenie jednego urządzenia, które ochroniłby ludzkość przed wszystkimi tymi zagrożeniami, wydawało mi się niemożliwe. Później przekonałem się, że jednak da się to zrobić, choć trzeba zapłacić za to niewyobrażalną cenę.



Peyton wstała z kanapy i odsunęła się od czytanych kartek, które leżały obok Desmond. Podniósł się i stanął obok niej, jakby wiedział, co ma na myśli.

– To, że twoja mama była kiedyś w Citium, nie oznacza, że jest wplątana w to, co się teraz dzieje.

Spojrzała mu w oczy. *Nadal mnie dobrze zna.*

– A jeśli jest?

– Jakoś sobie z tym poradzimy.

– Nie mogę...

– Ale my możemy. Razem.

Wziął ją w ramiona i przed dłuższą chwilę nic nie mówili.

Kiedy jej usta zetknęły się z jego ramieniem, wyszeptała:

– Co to oznacza, Des? Wszystkie te powiązania. Moja mama i mój tata byli w Citium. Podobnie Jurij, człowiek, który rekrutował ciebie. Twój

wuj poznał mojego ojca w sierocińcu w Londynie. To jest... wszyscy jesteśmy w to zamieszani.

– Nie wiem. Ale sądzę, że masz rację: jest tu jakiś szerszy kontekst. Ale nie umiem go dostrzec.

Puścił ją i podszedł do tablicy korkowej, jakby szukał na niej odpowiedzi. Zdjął jeden wycinek. Widniały na nim słowa: *Invisible Sun* – *osoba, organizacja czy projekt?*

Peyton myślała, że wyjawi to, o czym myśli, ale on po prostu wsunął kartkę do kieszeni i odwrócił się do niej.

– Czytajmy dalej, może dowiemy się, o co chodzi.

## ROZDZIAŁ 81

*Beagle* zawijał do portów na całym świecie. Przydawała się moja smykałka do języków, jednak nie za bardzo podobało mi się moje zadanie. Zawsze byłem w gotowości, planowałem, co złego może się stać, i nawiązywałem kontakty, na wypadek gdyby coś poszło nie po naszej myśli.

W Rio de Janeiro w 1967 roku cieszyłem się, że miałem plan awaryjny oraz kontakty, żeby go przeprowadzić. Byłem w hotelu w środowy wieczór, kiedy Sylvia z kadry biologów otworzyła szklane drzwi hotelowego holu i wpadła do środka. Miała zakrwawioną twarz i włosy. Jedno oko opuchnięte. Przebiegła obok baru, gdzie stali meldujący się ludzie i wołała moje imię. Siedziałem w holu i czytałem książkę. Wstałem, złapałem ją za rękę, zaprowadziłem do budki telefonicznej i zamknąłem za nami drzwi. W końcu uspokoiła się na tyle, żeby coś powiedzieć.

– Zabrali ich!

– Kogo?

– Jurija i Lin.

– Kto ich zabrał?

– Nie wiem. Mieli maski. – Szlochała. Kręciła głową, jakby nie chciała o tym pamiętać. – Powiedzieli, że ich zabiją, jeśli nie wrócę na przystanek za dwie godziny z dwudziestoma tysiącami dolarów.

Zabrałem ją do swojego pokoju, zadałem jeszcze kilka pytań, po czym wezwałem moich dwóch agentów operacyjnych. Jednego posłałem na

*Beagle*, żeby na wszelki wypadek wziął czterdzieści tysięcy dolarów. Mieliśmy do dyspozycji dużo pieniędzy na zakupy dla naukowców oraz na okupy w razie porwań. Drugiego agenta posłałem, by popytał wśród moich starych kontaktów w MI6 i odnalazł człowieka, którego znałem tylko ze słyszenia, lecz który – jak wiedziałem – był w stanie pomóc mi w przeprowadzeniu tej operacji.

Kiedy zostałem sam z roztrzęsioną kobietą, nalałem duży kieliszek brandy i posadziłem ją na łóżku. Skrzywiła się, gdy dotknęła alkoholu rozciętą wargą, ale chociaż drżały jej ręce, wypila wszystko.

– Posłuchaj mnie, Sylvio.

Popatrzyła na mnie zdrowym okiem, z którego wciąż płynęły łzy.

– Będzie dobrze. Odbiję ich, a ci, którzy to zrobili, pożałują, że się urodzili.



Dwadzieścia minut później siedziałem w portugalskiej restauracji i czekałem na swojego gospodarza. Wszedł, usiadł, nie przedstawiając się, i patrzył na mnie wzrokiem bez wyrazu. Był korpulentnym mężczyzną, miał długie, tłuste, czarne włosy przylegające do czaszki. Przy drzwiach prywatnej sali jadalnej stali jego dwaj ochroniarze z rękami w kieszeniach i zapewne palcami na spuście rewolwerów wycelowanych we mnie.

Znałem tylko pseudonim tego człowieka – O Mestre – jednak nie zwracałem się tak do niego.

– Mamy wspólnego wroga – powiedziałem.

Uniósł brwi.

– Początkującego gangstera Ernesto.

– Nigdy o nim nie słyszałem – odparł po angielsku z silnym portugalskim akcentem.

– Porwał moich dwóch ludzi. Chce dwudziestu tysięcy dolarów.

– To sprawa dla policji. Nie jestem policją.

– Sądzę, że możesz mi lepiej pomóc. Uważam, że jesteś gwarancją



bezpiecznego powrotu moich przyjaciół.

Odwrócił wzrok.

– W torbie jest czterdzieści tysięcy.

– Nie jestem bankiem.

– Pieniądze są za ich bezpieczny powrót. I za ochronę, na wypadek gdyby miało się to znowu przydarzyć. Tutaj, w Rio czy w São Paulo.

Ruchem głowy wezwał swoich ludzi. Jeden otworzył torbę i zaczął liczyć pieniądze. Drugi poderwał mnie z krzesła i przeszukał, następnie zajrzał mi pod koszulę, by sprawdzić, czy nie nagrywam. Nie byłem głupi, by zabierać broń na takie spotkanie.

Ten, który mnie przeszukał, skinął do O Mestre, który wstał i wyszedł. Nie zdradzałem się z tym, że mówię po portugalsku w nadziei, że to zapewni mi przewagę, lecz ci ludzie posługiwali się jakimś własnym językiem, komunikując się tylko oczami i nieznacznymi ruchami głowy.

Facet trzymający torbę wyjął z niej dwadzieścia tysięcy.

– Opłata wynosi dwadzieścia patyków rocznie. Za rok wrócisz tu i zapłacisz następną dołę – powiedział jego kumpel po portugalsku.

Skinąłem głową. Wyraźnie wiedzieli o mnie więcej, niż sądziłem.

– Dzisiaj wieczorem pójdziesz na przystanek.



Dokładnie dwie godziny po tym, jak zbiry porwały Jurija i Lin z ulicy i napadli na Sylwię, stałem w mżawce ubrany w fedorę i czarny płaszcz. W Rio przez cały rok było gorąco, jednak sierpień był chłodny i deszczowy. Wiatr znad Atlantyku niósł zimny front z Antarktyki, wokół stały żurawie budujące dziesiątki lśniących, nowych wieżowców, stawianych na starym mieście.

Ludzie z brazylijskiej prowincji napływali do Rio. Pojawiali się też nielegalni imigranci, wszyscy w poszukiwaniu pracy i lepszego życia. Niczym kolonie mrówek powstawały wielkie slumsy zwane fawelami, wydawało się, że powiększają się każdej nocy. W blasku lampy ulicznej widziałem slumsy ciągnące się w górę zalesionego wzgórze niczym strefa

biedy w wielkim mieście. Z tego miejsca domy wyglądały jak kartonowe pudła rozrzucone u stóp posągu Chrystusa Odkupiciela, który wznosił się nad wszystkimi ludźmi.

Życie w fawelach było trudne i zupełnie inne niż na Copacabana Beach leżącej kilkaset metrów dalej, gdzie stały drogie hotele, nocne kluby, bary i restauracje. Nad piaszczystą plażą po obu stronach promenady rosły palmy. Dudniła muzyka, pozbawiony melodii hymn dwóch światów, które istniały w Rio. Miałem właśnie wkroczyć do tego drugiego świata, podziemi, gdzie ludzie podejmowali się desperackich działań, by przetrwać, a może wyrwać się z biedy. Sytuacja zmusiła mnie do zrobienia czegoś, czego nie lubię, ale taki jest świat. Moi ludzie znaleźli się w niebezpieczeństwie. Co gorsza, w niebezpieczeństwie byli moi przyjaciele. To mnie tłumaczyło.

Autobus odjechał, prychając czarnym dymem, którego deszcz nie mógł przygnieść do ziemi.

Stojąca przy mnie Sylvia zaczęła się trząść. Zdawałem sobie sprawę, że nie ze względu na zimny wiatr i deszcz.

– Wszystko dobrze, Sylvio.

Widziałem, że już miała się rozplakać, ale jakoś się opanowała. Jeden z moich agentów operacyjnych był w kafejce za nami, drugi w przylegającej alei.

Podjechał rozgruchotany volkswagen, wysiadł z niego mężczyzna z bandaną osłaniającą twarz i w poplamionym białym podkoszulku. Z tylnego siedzenia inny facet celował do Sylvii z broni. Wtedy się rozplakała. Wyciągnąłem rękę przed siebie, odsunąłem ją i stanąłem pomiędzy roztrzęsioną kobietą a bandytą.

– Forsa! – krzyknął.

– Najpierw nasi ludzie. Potem zapłacimy.

Pokręcił głową. Naćpał się amfy lub innego świństwa. Miał rozszerzone źrenice, strzelał oczami we wszystkie strony.

– Nie! Najpierw kasa. Jak nie wrócę za pięć minut, zabijemy jednego.

Podniosłem rękę.

– Dobrze. Zgoda. Płacimy. Ale najpierw chcę ich zobaczyć. Pokaż, że

żyją, to zadzwonię i ktoś dostarczy pieniądze.

Facet w bandanie porozumiał się wzrokiem z kierowcą, który skinął głową. Złapał mnie i wepchnął na tylne siedzenie małego samochodu, pomiędzy siebie a zbira z pistoletem. Zbir wbił lufę w mój bok. Jego kumpel szybko mnie przeszukał, nie znalazł broni, po czym zrzucił mój kapelusz i bandaną zdjętą z twarzy zasłonił oczy. Cuchnęła potem i papierosami, przez co się rozkaszałem.

Wozili mnie na tylnym siedzeniu przez dziesięć minut; ryk silnika niemieckiego auta był ogłuszający. Zastanawiałem się, czy wyjęto przegrodę pomiędzy tylnym siedzeniem a silnikiem.

W końcu auto się zatrzymało, wyciągnęli mnie na zewnątrz i poprowadzili po brukowanej ulicy. Byli szorstcy i nie patyczkowali się, gdy się potykałem. Słyszałem otwieranie drewnianych drzwi i potem ich trzaśnięcie. Szli teraz wolniej, a w pomieszczeniu oświetlonym jedną żarówką zwisającą z sufitu zdjęli mi bandanę.

Jurij i Lin siedzieli na drewnianych krzesłach. Ręce mieli za plecami skrupowane kablem, który unieruchamiał ich nogi przywiązane do nóg krzesła. Wyglądali nieszczęśliwie. Jurij miał rozbity nos i był umazany krwią. Sączyła się spomiędzy jego włosów. Jedno oko miał opuchnięte jak Sylvia.

Na widok Lin rozboleło mnie serce. Uderzyli ją w policzek. Był spuchnięty i posiniaczony, jakby poparzyła ją meduza. Po policzkach płynęły jej łzy.

Facet z czapką w stylu Che Guevary wstał zza biurka. Dziurki nosa miał zaczerwienione od wciągania narkotyków. Miał niespokojne ruchy, gapił się na mnie z obrzydzeniem na pospolitej twarzy.

– Myślisz, że możesz sobie ze mną pogrywać? – Wyjął nóż zza pasa. – Zaraz ci pokażę, że nie blefuję.

– Zanim to zrobisz, przekażę ci wiadomość od O Mestre – powiedziałem, nie dając ponieść się emocjom.

Zatrzymał się, spojrział na mnie, nadal był rozwścieczony, ale zauważyłem wahanie.

– Jest moim przyjacielem. Chce, żebyś zadzwonił do domu.

Wywrzaskiwał obelgi pod moim adresem, ale nie zrobił ani kroku w stronę Lin i Jurija.

– Zadzwoń do domu. Sprawdź, co u rodziny. Albo O Mestre sprawi, że pożałujesz.

– Powinienem cię zabić, ty imperialistyczna świnio. I twoją kapitalistyczną kurwę!

– To nie spodobałoby się O Mestre. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, co by zrobił.

Porywacz oderwał ode mnie wzrok. Zrobił krok w stronę Jurija i Lin, ale po chwili się zreflektował. Podniósł telefon stojący na biurku, wykręcił numer i słuchał. To, co usłyszał po drugiej stronie linii, śmiertelnie go przestraszyło. Opadł na krzesło i potakiwał, jakby osoba, z którą rozmawiał, mogła to zobaczyć.

– Oczywiście. Mój błąd...

Umilkł, rozmowa została przerwana. Odłożył słuchawkę i wrzasnął do swoich ludzi, żeby uwolnili Jurija i Lin, jakby po prostu zaszła pomyłka.

Jurij stał na trzęsących się nogach oparty o krzesło. Ale kiedy uwolnili Lin, po prostu poleciała przed siebie. Rzuciłem się w jej stronę, żeby się nie rozbiła. Gdyby nie to, że była ciepła, powiedziałbym, że nie żyje.

Podniosłem ją i wyniosłem z chaty w faweli. Chyba nie oddychałem do momentu, gdy zbiry wysadziły nas z auta na przystanku autobusowym. Lin mogła już stać, ale nadal kurczowo się mnie trzymała.

Jurij również mnie objął, co było dla niego zupełnie nietypowe.

– Ocaliłeś nas.

– To należy do moich obowiązków – wymamrotałem.

– To coś więcej.

– Zrobiłbyś to samo dla mnie.

– Tak. To prawda.



Mniej więcej co trzy miesiące *Beagle* zawijał na wyspę na Pacyfiku – za każdym razem w to samo miejsce. Nie wiedziałem, gdzie się znajduje;

nikt oprócz dowódcy nie wiedział. Domyślałem się, że leży na zachód od Hawajów, na południe od równika i była niezamieszкана, kiedy zajęło ją Citium. Wszystko tu było nowe: budynki, port, drogi. Tutaj Citium rządziło, a przestępczość nie istniała. Niewykluczone, że tylko z tego powodu *Beagle* popłynął na wyspę zaraz po incydencie w Rio. Cała załoga była wstrząśnięta, nie tylko Sylvia, Lin i Jurij.

Jurij i Lin dorastali w ciągłym strachu; on w Stalingradzie podczas niemieckiego oblężenia, ona w Hongkongu podczas okupacji japońskiej. Wydaje mi się, że od dwudziestu lat, odkąd byli dziećmi, nie czuli się tak zagrożeni. Przestraszyli się, choć Jurij jak zawsze zachowywał stoicką postawę. Na okręcie podwodnym Lin powiedziała mi, jak z nimi walczył. Był dzielny, chociaż wiedział, że nie ma szans. Od tej pory lubiłem go jeszcze bardziej.

Nie znałem prawdziwej nazwy wyspy, ale na pokładzie *Beagle* nazywaliśmy ją Wyspą Citium lub po prostu Wyspą. Miała port z głębokim basenem po południowej stronie i wielki port morski, zbyt duży na tak małą wyspę. Za każdym razem gdy przybijaliśmy, jakiś statek transportowy rozładowywał przywiezione towary – głównie materiały budowlane i ciężki sprzęt. Koszt budowania na Wyspie był olbrzymi, ale widziałem w tym pewien sens. To miejsce znajdowało się całkowicie poza kontrolą i nie było łatwo do niego dotrzeć. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak ogromny jest Pacyfik. Każdy kontynent i każda połać lądu mogłyby się w nim zmieścić. Jest większy niż Ocean Atlantycki i Indyjski razem wzięte.

Wyspa była doskonałą kryjówką dla Citium i w sierpniu 1967 roku okazała się idealna do odzyskania sił. Weszliśmy do portu, wózkami golfowymi podjechaliśmy do budynków mieszkalnych i udaliśmy się do swoich pokoi. Miejsce nie było luksusowe, ale czyste i zapewniało prywatność: każda sypialnia miała własną łazienkę i mały salon. Po trzech miesiącach na *Beagle* wydawała się przestronnym apartamentem. Umycie się w samotności ocierało się o luksus. Spanie bez osoby nad i pod tobą, i trzema innymi naprzeciwko było pokrzepiające... i ciche.

Z pracy w terenie wiedziałem, że spotkanie ze śmiercią zawsze zmienia człowieka. Niektórych nie na zawsze, ale każdego na jakiś czas. To sprawdziło się u Jurija i Lin. Jurij zamknął się w sobie. Na Wyspie poświęcił się pracy. Jeszcze bardziej wierzył w jej wartość.

Lin poszła w drugą stronę. Przestała zapracowywać się na śmierć. W stołówce więcej się śmiała i dłużej zostawała przy stoliku.

Podczas ogniska na plaży widziałem po raz pierwszy, jak piła wino. Promieniała w czarnej sukience. Dla mnie tej nocy była jaśniejsza od księżyca, pochodni i świec w szklanych słojach, które stały na stołach. Z każdym drinkiem coraz słabiej się z tym kryłem.

Przy stole zostało sześć osób, kiedy wstała i pożegnała się, patrząc mi prosto w oczy.

– Piękna noc na spacer.

Wstałem i podałem jej rękę.

## ROZDZIAŁ 82

Latem 1967 roku moje życie zmieniło się na zawsze. Mijał trzeci miesiąc mojego drugiego rejsu na *Beagle*, kiedy zacząłem dostrzegać zmiany w Lin. Unikała mnie, stała się niedostępna. Chodziliśmy ze sobą (jeśli tak to można nazwać, bo znajdowaliśmy się na pokładzie okrętu podwodnego) od sześciu miesięcy. W końcu udało mi się wydusić z niej odpowiedź – zaszła w ciążę.

Szalałem z radości. I byłem przerażony. Uważałem, że ludzie, którzy mieli trudne dzieciństwo, są raczej przeciwni posiadaniu dzieci. Tak na pewno było z Lin i ze mną. Gdyby biologia nie wzięła spraw w swoje ręce, kto wie, dokąd doprowadziłoby nas życie. Ale wzięła i nigdy tego nie żałowaliśmy. Przeprowadziliśmy się do Londynu, gdzie zamieszkaliśmy w apartamencie w Belgravii, który był własnością jednego z członków Citium (wynajął go nam za bezcen). Pobraliśmy się miesiąc później. Jurij był świadkiem. Przybyli Ojciec i Matka oraz rodzice Lin.

W śnieżną marcową noc na świat przyszedł nasz syn Andrew. Od pierwszej chwili wiedzieliśmy, że nasze życie się zmieniło. Od tego czasu nic nie było ważniejszego od niego. Niestety miał amelię, wadę wrodzoną polegającą na całkowitym braku kończyny lub kończyn. Jego lewa ręka kończyła się w okolicy łokcia. Lin była zdruzgotana. Nieważne, co mówiła, czuła się za to odpowiedzialna. Obwiniiała swoje geny i nieodpowiedzialne zachowanie, czyli poczęcie dziecka na atomowym okręcie podwodnym, gdzie płodowi mogło zaszkodzić promieniowanie.

Nigdy nie powiedziałem „wada genetyczna”, jednak zdaniem Lin winę ponosiła genetyka. Po tym wszystkim Zwierciadło zyskało dla niej zupełnie inne znaczenie. Stało się obsesją. Mówiła o świecie, w którym żadna matka nie będzie musiała rodzić dzieci z wadami wrodzonymi, gdzie żadne dziecko nie będzie miało utrudnionego startu w życiu i nie będzie musiało znosić szyderstw rówieśników.

Stan Andrew nie miał żadnego wpływu na miłość, jaką go darzyliśmy. Był pojętnym dzieckiem (co według mnie odziedziczył po matce) oraz żadnym przygód (zapewne dzięki mnie). Był odważny, ciekawy i nigdy się nie wycofywał.

W Citium zachodziły zmiany. Przeprowadzano eksperymenty na większą skalę, a to wymagało coraz większych nakładów finansowych. Wobec tego rekrutowano nowych członków: miliarderów, finansistów, ludzi decydujących, jakie badania finansował rząd. Wszystkich łączyło jedno: wierzyli, że świat znajduje się o krok od katastrofy.

Przyływ nowych członków był punktem zwrotnym dla organizacji. Pozornie wszystko wyglądało tak samo. Dziesiątki komórek Citium przeprowadzały badania dla Zwierciadła, a członkowie spotykali się co kwartał na konferencji, którą nazywaliśmy konklawe. Za kulisami jednak organizacja zaczęła się rozpadać. Każdy członek uważał, że jego własny projekt jest rozwiązaniem problemów ludzkości, i zawzięcie walczył o fundusze potrzebne do realizacji swojej wizji.

W 1972 roku stałem się szefem Citium Security, nowej organizacji, która miała dbać o to, by każda komórka trzymała swoją pracę w tajemnicy. Jedynie czterech z nas, ja i moi trzej najstarsi stażem agencji, znali Citium od podszewki. Tworzyliśmy potwora.

W domu wypracowaliśmy pewną rutynę. Często mnie nie było, ale kiedy wracałem, każdą minutę spędzałem z Lin i Andrew, który szybko rósł. W 1973 roku urodziła nam się córka. Daliśmy jej na imię Madison – od nazwiska panińskiego mojej matki. Andrew był najbardziej oddanym starszym bratem, jakiego widziałem; był nawet bardziej opiekuńczy niż Orville Hughes w londyńskim sierocińcu po wojnie.

Lin znowu się zapracowywała. Martwiłem się o nią, ale nie miałem



szans z tematem, który zgłębiała, więc odpuściłem. W małżeństwie, tak jak na wojnie, w niektórych bitwach nie ma zwycięzców.

Nasza druga córka urodziła się w 1977 roku. Daliśmy jej na imię Peyton – od nazwiska panińskiego babci Lin ze strony ojca. Była poważniejsza od Madison i bardziej dociekliwa. Miała tę samą ciekawość i pasję co Andrew.

Spędzałem niezliczone godziny w samolotach i pociągach, zastanawiając się, jacy będą, jak dorosną. I w jakim świecie przyjdzie im żyć.

Podczas zimowego tajnego zebrania w Genewie w 1983 roku stało się coś niewyobrażalnego. Jedna z komórek wyjawiała plan Zwierciadła – urządzenia, które spełni nasze marzenie o zapewnieniu bezpieczeństwa ludzkości. Skala i koszt tego projektu były niewiarygodne. Większość tego, co przedstawili, opierała się wówczas na teorii (od tego czasu została ona potwierdzona), jednak było to jakieś rozwiązanie. Wojna. Głód. Choroby. Zmiany klimatyczne. Zderzenie z meteorytem. Kosmiczne wypadki. Wpływ obcych cywilizacji. Sztuczna inteligencja. Zwierciadło, które zostało opisane tego wieczoru w eleganckim domu z widokiem na Jezioro Genewskie, miało chronić nas przed wszystkimi tymi zagrożeniami i wieloma innymi. Co jeszcze bardziej budujące, mogło rozwiązać największą zagadkę Citium: jaki jest cel, do którego dąży ludzkość, oraz jaka jest natura kosmosu i ludzkiego istnienia. Naukowcy, którzy zaproponowali stworzenie Zwierciadła, postrzegali je jako kolejny krok w marszu ku naszemu nieuchronnemu przeznaczeniu.

Nie wszyscy byli przekonani.

Grupa racjonalnych, zrównoważonych naukowców zmieniła się tego wieczoru w bandę dzikusów. Ożywiona debata przerodziła się w awanturę. W końcu zrozumiałem, że graliśmy w grę o sumie zerowej. Pod koniec projektu Zwierciadła zostanie tylko jeden zwycięzca; zbudujemy jedno urządzenie. Wszystkie inne projekty zostaną zamknięte, fundusze przelane na zwycięski projekt. I ten, kto będzie kontrolował to urządzenie, zyska władzę, jakiej nikt nigdy nie miał. W rzeczywistości cała ludzkość znajdzie się pod jego kontrolą.

Ten wieczór skończył się patem. Członkowie Citium grozili sobie. Niektórzy mówili, że wystąpią z organizacji i będą prowadzić badania na własną rękę, rozpocznie się nowy rodzaj wyścigu zbrojeń. Inni grozili, że ujawnią cały projekt, jeśli ich rozwiązania nie zostaną wybrane, sprawią, że nikt inny nie zostanie zwycięzcą. Naukowcy, jak wszyscy ludzie, potrafią być mściwi.

Gdybym miał coś sobie zarzucić, byłoby to zaniedbanie. Nie wyczułem, że grunt usuwa mi się spod nóg. Słowa wykrzykiwane tego wieczoru wzięłem za czcze pogrożki. Inni tak nie myśleli.

Miesiąc później leciałem z Kairu do Londynu samolotem British Airways. I wtedy to się stało. Naukowców Citium na całym świecie zaczęto mordować. Pod sobą miałem dwunastu agentów bezpieczeństwa; wszyscy zostali zabici. Nie miałem o tym pojęcia, gdy wylądowałem na Heathrow. Kiedy jechałem taksówką do Belgravii, myślałem o przyjęciu urodzinowym Madison, które miało odbyć się w następnym tygodniu.

Drzwi do mieszkania zastałem zamknięte. Kiedy je otworzyłem, od razu zobaczyłem, że nasze mieszkanie splądrowano. Wyjąłem broń, ale było za późno. Kątem oka dostrzegłem postać w czerni stojącą w moim gabinecie, za szklanymi drzwiami, które trochę ją zasłaniały. Odwróciłem się, podniosłem broń, ale intruz był szybszy. Kula przeszła przez szkło, trafiła mnie w tułów, upadłem na stół i strąciłem ze ściany stare lustro. Ale nie wypuściłem sig sauera z ręki. Nacisnąłem spust, wystrzeliłem trzykrotnie i zobaczyłem, jak przeciwnik pada.

Dostałem się do jadalni. To ocaliło mi życie. Drugi z nich był w kuchni. Jego strzały rozległy się w korytarzu. Strzeliłem przez ścianę, na ślepo, po chwili wpadłem do kuchni przez pokój kredensowy i strzeliłem zabójcy w plecy. Upuścił broń.

Stałem nad nim, przystawiłem mu pistolet do głowy i nasłuchiwałem, czy ktoś się porusza po domu, jednak nikogo więcej nie usłyszałem.

– Kto cię przysłał?

Z ust płynęła mu krew. Był Europejczykiem, obcięty na jeża, wojskowym lub ekswojskowym.

Zacisnął zęby, jęknął. Chwyciłem go za brodę, wbiłem palce w jego policzki, rozluźniając zaciśnięte zęby, ale było już za późno. Przegryzł kapsułkę. Trucizna spłynęła mu do gardła. Chwyciłem chochlę z blatu, wsadziłem rączkę do jego gardła, próbowałem sprowokować wymioty, ale jego ciało już wiotczało.

Trzymając się za bok, pognałem do gabinetu. Ten drugi też nie żył. Zniknęły moje dokumenty. Sejf został otwarty.

Zadzwoiłem do biura Lin na uniwersytecie. Nikt nie odbierał. Próbowałem powstrzymać krwawienie w boku. Potrzebowałem pomocy lekarskiej. Wybrałem numer do moich współpracowników w Londynie. Nikt nie odebrał. W Hongkongu, Tokio, Nowym Jorku, San Francisco. Żadnej odpowiedzi.

Poszedłem do głównej sypialni. Szuflady były powysuwane. Zniknęły walizki. Dzieci także. Co uznałem za dobry znak.

Usłyszałem kroki w korytarzu. Wyjrzałem, spodziewając się policjanta, ale zamiast niego ujrzałem kolejnych dwóch byłych żołnierzy w czarnych strojach z pistoletami w rękach, którzy omiatając bronią korytarz, podążali w moją stronę.

Ukląknęłam, wyjąłem zapasowy magazynek zza paska, wystawiłem się sauera za futrynę i strzelałem raz za razem. Chciałem mieć ich żywych, ale jeszcze bardziej chciałem przeżyć.

Usłyszałem, że padają na podłogę. Włożyłem nowy magazynek i wycofałem się do łazienki Madison, znalazłem ręczne lustro i użyłem go, by wyjrzeć na korytarz. Leżeli i nie ruszali się.

Włożyłem czarny płaszcz i uciekłem w ciemność nocnego Londynu. Nie mogłem zaryzykować i pójść do szpitala. Pozszywał mnie lekarz, którego poznałem podczas służby w MI6.

Z taniego hotelu w pobliżu Tottenhamu zadzwoniłem w kolejne miejsca. Potwierdziły się moje najgorsze obawy: w Citium doszło do totalnej czystki.

Nadal miałem kilka fałszywych tożsamości; użyłem ich do wyjazdu z kraju. Nie wiedziałem, dokąd udała się Lin. Najpierw pomyślałem o Hongkongu. Myliłem się, tam jej nie było. Próbowałem wszystkiego,

żeby ją odnaleźć. Dzwoniłem do jej współpracowników, ale nikt nic nie wiedział; nikogo nie poinformowała o wyjeździe. Zamieszczałem ogłoszenia w gazetach, ale bez powodzenia. Próbowałem dodzwonić się do członków Citium, ale albo nie żyli, albo zeszli do podziemia.

Zrobiłem tak samo.

Czekałem w nadziei, że *Beagle* przybije do Nome na Alasce, jak to miał zaplanowane, ale nie pojawił się w tym porcie. Widziałem trzy możliwości. Miałem nadzieję, że okręt zarekwirowano, a załoga i naukowcy zostali zakładnikami. Albo że ktoś na pokładzie dowiedział się o czystce i *Beagle* wraz z ludźmi na pokładzie gdzieś się ukrywa. Szukałem potwierdzenia tych scenariuszy, ale żadnego nie znalazłem. Pozostawała trzecia możliwość, której najbardziej się obawiałem: zatopili okręt. Strata tej jednostki była potężnym ciosem. Miałem tam wielu przyjaciół. Badania tam prowadzone były bezcenne, ale okrętu w zasadzie nie dało się już odnaleźć.

Nie próbowałem nawet. Całkowicie skupiłem się na szukaniu Lin. Była igłą w stogu siana wielkości kuli ziemskiej, ale i tak go przekopywałem. Wynająłem domek na wsi, sto pięćdziesiąt kilometrów od Londynu, nie udzielałem się nigdzie i każdą sekundę poświęcałem wykryciu, kto przeprowadził czystkę. W 1983 roku nie stworzono jeszcze globalnego Internetu ani telefonów komórkowych. Trudniej było kogoś znaleźć, ale robiłem postępy. Powoli zaczęły wyłaniać się pierwsze kawałki układanki – komórki Citium, które nadal działały. Ich nazwy się zmieniły, ale był to jakiś ślad. Firma zwana Invisible Sun Securities wchłonęła większość Citium Security. Zacząłem widzieć pełniejszy obraz. Nigdy nie przestałem szukać Lin i dzieci.

Lata mijały, moja nadzieja nieco przygasła. W 1991 roku chciałem wdrożyć w życie operację, która pomogłaby w dojściu do prawdy o czystce. Wszystko było na swoim miejscu. Jednak tydzień przed pierwszym posunięciem na moim progu pojawiła się przesyłka dostarczona przez nieoznakowaną furgonetkę. Nie musiałem składać żadnego podpisu. Dom był jak forteca. W podziemiach miałem nawet schron przeciwbombowy.

Za pomocą wysięgnika otworzyłem paczkę.

Załamałem się, gdy zobaczyłem, co jest w środku.

Znajdował się tam artykuł z „San Francisco Chronicle” o studencie medycyny, Andrew Shaw, który tydzień wcześniej zginął w Ugandzie w pożarze buszu. Pracował dla WHO podczas kampanii zwiększającej świadomość na temat AIDS. Rozpoznałem twarz swojego syna, ale nie chciałem w to uwierzyć. Jednak pod artykułem znajdowało się kilka zdjęć jego spalonego ciała. Łzy popłynęły mi po twarzy.

W pudełku była też odręczna notatka na kawałku papieru.

*Zostaw nas w spokoju, bo pozostała dwójka będzie następna.*

Toczyła się we mnie walka szczęścia ze strachem. Andrew nie żył. Madison i Peyton żyły. A co z Lin?

Wyjechałem jeszcze tej samej nocy i zszedłem do podziemia. Usunąłem się. Nigdy nie przestałem zbierać informacji o Citium, ale teraz byłem pasywny. Założyłem teczkę dla każdej znanej sobie komórki Citium i rok po roku zbierałem coraz więcej danych. Kilka komórek przetrwało czystkę i jedna z nich ponosiła odpowiedzialność za rzeź. Nie wiedziałem która.

Zyskałem jedną rzecz po śmierci Andrew: jego nowe nazwisko. I dzięki temu jedyne dowodowi dowiedziałem się, że Lin mieszka w Ameryce. Tygodniami zastanawiałem się, czy mam się z nią skontaktować, ale w końcu postanowiłem tego nie robić. Śledziłem jej karierę na Stanfordzie. Świątowałem, gdy Peyton dostała się na medycynę. Wyciąłem z gazety ogłoszenie o ślubie Madison. A później po raz pierwszy od dwudziestu lat ujrzałem swoje dzieci – na YouTube. Czasami godzinami oglądałem nagrania z Peyton. Wyrosła na świetną kobietę, wspaniałego lekarza z pasją do pracy odziedziczoną po matce. Tak bardzo przypominała mi Andrew; zastanawiałem się, czy jego śmierć miała wpływ na wybór przez nią zawodu.

Pragnąłem być bliżej niej, Madison i Lin, ale wiedziałem, że mogę im zaszkodzić. Lata po 1991 roku były dla mnie więzieniem. Bałem się

przyszłości. Widziałem, jak życie wymyka mi się z rąk. Nie mogłem być takim ojcem i mężem, jakim chciałem. Moje życie stało się torturą, ale trzymałem się nadziei i przygotowywałem na dzień, kiedy zastopuję działania Citium albo mnie znajdą.

Niestety, najgorsze rzeczywiście nadeszło. Gdy piszę te słowa, możliwość powstrzymania ich wymyka nam się z rąk.

Zatrzymaj ich. Nie poddawaj się. Użyj wszystkiego, co wiesz, niczemu nie wierz i nikomu nie ufaj.



Desmond widział, że słowa biją w Peyton jak ciosy boksera. Przyjmowała je z zaciśniętymi zębami, dopóki mogła, ale w końcu nawet ta silna kobieta, którą dwadzieścia lat temu poznał w Palo Alto, poddała się ciężarowi emocji. Widziała, jak zabijają jej zespół, odkryła, że jest zarażona śmiertelnościami wirusem, a teraz jeszcze dowiedziała się, że Citium zniszczyło jej życie i zabiło brata oraz że jej rodzice kiedyś byli członkami tej grupy... Tego byłoby za dużo nawet dla kogoś znacznie silniejszego.

Łza popłynęła po policzku Peyton. Potem następna. Wziął ją w ramiona. Płakała, wspierając się na nim. Nigdy nie widział, żeby tak bardzo płakała, nawet tego dnia w Kalifornii, kiedy odjechał, ciągnąc za sobą przyczepę. Mocno ją tulił i złożył sobie obietnicę: ocali jej życie i zadośćuczyni krzywdom, które jej wyrządził. Zrobi to, ponieważ w pewnym sensie był odpowiedzialny za to, co się działo. I dlatego że ją kochał. Wtedy nie umiał tego powiedzieć i nie miał śmiałości mówić tego teraz, ale w tej chwili po raz pierwszy w życiu wiedział, że to prawda. Kochał ją najbardziej na świecie. Kochał ją od dawna.

Był tak pochłonięty tuleniem jej, że nie usłyszał kroków na ganku.

## ROZDZIAŁ 83

Drzwi wejściowe otworzyły się, zanim Desmond zdołał wstać. Mężczyzna wszedł szybko i od razu skierował się w stronę kanapy, celując do niego z broni. Jego wzrok spoczął na głowie Peyton spoczywającej na ramieniu Desmonda.

Odwróciła się i zamarła ze zdziwienia.

– Tato.

Wstała i zarzuciła ojcu ręce na szyję, nie zdając sobie sprawy, że trzyma on pistolet. Ścisnęła go z całej siły. Był wysoki, miał starannie uczesane krótkie, siwe włosy, pomarszczoną twarz, na zaczerwienionych od wiatru policzkach kilkuniedniowy zarost. Walczył ze łzami, gdy Peyton go obejmowała.

Wydarzenia ostatniego tygodnia potwierdziły mądrość, którą kończył się list leżący na stole: *Nikommu nie ufaj*. Wobec tego Desmond pod kocem sięgnął po broń.

William uniósł pistolet.

– Nie rób tego.

Peyton puściła ojca i spojrzała na Desmonda.

– Hej, jesteśmy po tej samej stronie.

William nie spuszczał Desmonda z oka.

– Zaraz się przekonamy. Zabierz mu broń, Peyton. Podaj mi ją.

Stojąca pomiędzy dwoma mężczyznami Peyton zawahała się. Zrzuciła koc z Desmonda i wyjęła pistolet z kabury. Stała tak, by osłaniać go swoim ciałem, odwróciła się i wyciągnęła rękę po broń ojca.

– Ty też, tato.

Zmierzył ją wzrokiem, jednak jej spojrzenie mówiło: *To nie podlega negocjacom* i było dobrze znane Desmondowi. Uśmiechnął się i oddał jej broń.

– Obserwowałeś nas – powiedział Desmond.

William przesunął się, by nie stać tyłem do okna, i oparł się o ścianę.

– Tak.

– Dlaczego?

– Przez ciebie.

– Nie rozumiem.

– Od ponad trzydziestu lat, od czasów czystki, zbieram informacje o Citium. Jestem jedyną osobą, która może ich powstrzymać. A teraz, tuż przed uruchomieniem Zwierciadła, nie mogą sobie pozwolić na zachowanie mnie przy życiu. To sensowne, że przyślą kogoś, żeby mnie zabił. Kogoś odpowiedniego. Kogoś, kto może mieć wpływ na osobę, która jest w stanie się do mnie zbliżyć. – Popatrzył znacząco na Peyton, sugerując, że Desmond wykorzystał ją, żeby do niego dotrzeć.

– Nie przyszedłem cię zabić – odparł Desmond. – Wręcz przeciwnie. Chcę ci pomóc. Powstrzymać ich. Chcę tego z całych sił. – Był coraz bardziej sceptyczny. – Potrzebuję jednak wyjaśnień. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku przysłali ci to pudełko. Wiedzieli, gdzie cię znaleźć. Dlaczego cię nie zlikwidowali?

– Myślałem o tym przez ostatnie dwadzieścia pięć lat.

– I?

– I kiedy ci zaufam, powiem ci, dlaczego, moim zdaniem, mnie oszczędzili.

Peyton odłożyła pistolety na stół kuchenny.

– Więc zacznijmy sobie ufać już teraz. Nie mamy czasu do stracenia. – Zakasłała i głęboko wciągnęła powietrze.

Pogarsza jej się, pomyślał Desmond.

William patrzył na nią przez chwilę i chyba również to zrozumiał.

– Tak. Czas jest tu najważniejszy.

– Zaczynajmy. – Peyton wskazała listy. – Tato, napisałeś list do



Desmonda. Dlaczego?

– Trzy tygodnie temu skontaktował się ze mną przez Internet. Założyłem kilka stron i miałem kilka tożsamości związanych z Citium i poprzednimi projektami. Służyły jako przynęta, gdyby ktoś wyszedł z ukrycia. Spodziewałem się, że może pojawi się jakiś naukowiec sprzed czystki. – William zerknął na Desmonda. – Ale to on mnie znalazł. Twierdził, że Zwierciadło niedługo zostanie ukończone. Że jego też okłamali i to, co planują, nie jest tym, co mu obiecali. – Teraz popatrzył mu w oczy. – Powiedziałeś mi, że chcesz ich powstrzymać. Ujawnić ich zamiary. Chciałeś się spotkać. Odmówiłem. Zaproponowałem, żebyś najpierw dotarł do mediów. Nie ufałem ci. Sądziłem, że to może być próba dotarcia do mnie, wyeliminowania mnie, zanim Zwierciadło ożyje. Podałem ci współrzędne do lasu.

– Znaleźliśmy tam metalową skrzynkę.

– Tak. Pod nią było prawie pięćdziesiąt kilo C4. Zdetonowałbym go, gdyby nie było przy tobie Peyton.

Desmond popatrzył na nią.

– Cóż, dziękuję.

– Założyłem, że przywiozłeś ją, żeby mnie zmiękczyć. Ale musiałem zyskać pewność.

– Pozwoliłeś nam przeczytać swoją opowieść i sprawdziłeś moją reakcję.

– Tak. – William podszedł do Peyton. – I chcę coś wyjaśnić. Większość tego napisałem dawno temu dla ciebie, Peyton, i dla twojej siostry. Chciałem, żebyście wiedziały, co naprawdę się stało. Z milion razy zamierzałem to do was wysłać, ale ryzyko było za wielkie. Pomyślałem, że lepiej, gdy nie dowiesz się o tym, niż miałabyś umrzeć z powodu dręczącego mnie sumienia.

– Tato... – Znowu się rozplakała, William ją objął.

Desmond skinął głową. To miało sens. Wiele kawałków układanki zaczęło do siebie pasować.

William puścił Peyton i skupił się na Desmondzie.

– Co się stało po tym, jak się ze mną skontaktowałeś?

Desmond wyczuł, że mężczyzna nadal go sprawdza i podejmuje decyzję, czy można mu zaufać. Zaczął opowiadać swoją historię, zaczynając od dnia, gdy obudził się w hotelu Concord.

– Było tam napisane *Ostrzeż ją* i numer telefonu Peyton.

– Przed czym miałaś ją ostrzec? – spytał William.

– Chyba już wiem. – Ale zanim wyjaśnił, chciał przekazać mu jak najwięcej informacji. Opisał spotkanie z dziennikarzem, uprowadzenie, więzienie na *Kentaro Maru*. Szybko streścił ucieczkę z Avery, uratowanie Hannah oraz aplikację Labirynth Reality, którą ponownie ściągnął w Dadaab. – Wcześniej, w Berlinie, aplikacja nie pokazywała żadnych wejść. Jednak w Dadaab wskazała nam współrzędne, które mi przekazałaś.

– Ciekawe.

– Zapewne zaprogramowałem ją tak, żeby uwalniała informacje jako plan zapasowy, prawdopodobnie po upływie jakiegoś czasu, gdybym nie przejął kontroli nad sytuacją. Przyjazd tutaj i połączenie sił z tobą mogło być moją ostatnią deską ratunku.

– Sprytne.

– A współrzędne wskazujące na twój dawny dom? – zapytała Peyton. – Wyskoczyły, gdy dotarliśmy do skrzynki w lesie.

– Wydaje mi się, że to był drugi plan zapasowy – odparł Desmond – na wypadek gdyby ten nie wypalił. Może uznałem, że William się nie pojawi albo nie będzie chciał współpracować.

– Rozsądnie. – William skinął w stronę Peyton. – Wróćmy do wiadomości. *Ostrzeż ją*. Przed czym?

– Wydaje mi się, że miałem ją ostrzec przed tym, że grozi jej porwanie, do czego rzeczywiście doszło w Kenii. Chyba chcieli, żeby najpierw zobaczyła epidemię, ale przede wszystkim potrzebowali jej, żeby dotrzeć do ciebie. Z powodu, o którym wspomniałaś: żeby mieć nad tobą przewagę. Jeśli rzeczywiście znasz sposób, żeby ich powstrzymać, Peyton stała się ich sposobem na powstrzymanie ciebie i zapewnienie sobie powodzenia.

Właśnie wtedy Desmond zastanowił się nad tym, do czego posunęłoby

się Citium, żeby dotrzeć do Williama. Czy pozwoliliby Peyton i jemu uciec, żeby doprowadzili ich do Williama? Czy ucieczka była sfingowana?

Sprawdził radio. Avery powinna już się zameldować. Coś tu nie grało.

Desmond wstał, ale było za późno. Drzwi już się otwarły. W szparze pojawiła się lufa karabinu, najpierw skierowała się na niego, potem na Peyton i Williama.

## ROZDZIAŁ 84

Avery nie spuszczała wzroku z Williama. Wycelowała w sam środek jego klatki piersiowej.

– Odsuń się od niej – powiedziała tonem pozbawionym emocji.

William podniósł ręce i powoli odsunął się od Peyton.

Desmond widział, że mężczyzna bez wahania gotów jest oddać życie za córkę.

– Jest po naszej stronie, Avery.

Przesunęła się, stanęła pomiędzy Desmondem a Williamem, jakby sugerowała, że może zastrzelić ich obu. Zerknęła na Desmonda, a potem na tablice korkowe wypełnione artykułami, zdjęciami i nazwami organizacji i projektów związanych z Citium.

– Co to jest?

– Trzydzieści lat zbierania informacji – powiedział Desmond. – Klucz do zatrzymania Citium.

– To mój ojciec – dodała Peyton.

Avery przekrzywiła głowę.

– Dobrze... Tego nie przewidziałam.

Opuściła karabin.

– Jak nas znalazłaś? – spytał Desmond.

– Pluskwa w twoim ubraniu. – Uśmiechnęła się. – Nie pierwszy raz biorę udział w czymś takim.

– Sprytnie.

– Pomyślałam, że jak wpadniecie w tarapaty, nie będziecie mogli się ze

mną skontaktować, a gdybym do was zadzwoniła, zdradziłabym swoją obecność.

Zrelacjonowali Avery, czego się dowiedzieli, a ona streściła Williamowi swoje doświadczenia z Rubiconem. Słuchał spokojnie, a potem zapytał, kto był szefem programu Rubicon.

– Nie wiem. Rekrutował mnie David Ward.

– Masz z nim kontakt?

– Nie. Telefony nie działają. Strony, z których korzystałam, również padły.

Desmond dość dobrze rozumiał tok myślenia Williama – Peyton z pewnością odziedziczyła po nim niektóre cechy – i teraz widział, że mężczyzna jest sceptyczny. Desmond miał świadomość, że Peyton i wielu innym nie zostało za wiele czasu. Musieli szybko stworzyć jakiś plan.

– Dobrze – odezwał się Desmond – spróbujemy złożyć to do kupy. Wiemy, że Citium wypuściło wirusa. Wiemy, że mają lek. Załóżmy, że wyprodukowali go w dużej ilości.

– Kontrola nad leczeniem dałaby im kontrolę nad światem – zwróciła im uwagę Peyton.

– Nie, jeśli pierwsi do niego dotrzemy – rzucił Desmond. – Znajdziemy lek i ich powstrzymamy. – Podszedł do tablicy. – Rapture Therapeutics. Rook Quantum Sciences. Rendition Games. Phaethon Genetics. Labirynth Reality. CityForge. Charter America. To moje firmy. Na pewno były projektami Citium. Lek może być przechowywany w jednym z tych miejsc lub w jakimś innym przedsiębiorstwie w obrębie tej organizacji.

– Możliwe – zgodził się William – ale mało prawdopodobne. Sądzę, że lek został opracowany i wyprodukowany gdzieś z dala od ludzkich siedzib. Poza terenem zamieszkanym, może w jakimś kraju Trzeciego Świata, gdzie rzadko przelatują satelity szpiegowskie.

– Wyspa Citium – powiedziała Peyton. – W dzienniku napisałeś, że *Beagle* czasami tam zawijał. Pasuje.

– To logiczny kandydat – potwierdził William – ale ja bym na nią nie stawiał z kilku powodów. Po pierwsze, ten, kto stoi u steru Citium, zdaje

sobie sprawę, że nadal żyję i wiem o Wyspie. Po drugie, oglądałem ją na publicznie dostępnych zdjęciach satelitarnych. Nie widziałem tam żadnej aktywności.

– Jeśli chodzi o miejsca uznawane za niezamieszkałe – wtrąciła Avery – ich obrazy satelitarne mogą być uaktualniane co dwa, trzy lata. Co rok w najlepszym wypadku. Są małe szanse na wytopienie przyplływającego i wypływającego statku.

– Zgadza się – rzekł William. – To powód, dla którego podejrzewam Wyspę. Mój ostatni argument jest natury praktycznej. Będzie nam bardzo trudno zbadać Wyspę. To pół świata stąd. Dotarcie tam zajmie mnóstwo czasu, prawdopodobnie trzeba będzie tankować po drodze, co może stanowić problem. Jeśli rzeczywiście lek jest produkowany i składowany na Wyspie, znajduje się tam pod doskonałą ochroną. A nas jest czworo. Będą o nas wiedzieli w chwili, gdy tam wylądujemy, i od razu natknijemy się na bardzo silną obronę.

– Moglibyśmy skontaktować się z rządem Wielkiej Brytanii – zasugerowała Peyton.

– Faktycznie – odparł jej ojciec. – Ale przekonanie ich i namówienie do działania może być trudne, jeśli w ogóle zechcą nas wysłuchać. Zapewne sami walczą o przetrwanie. Musimy działać. Potrzebujemy dowodu, zanim zwrócimy się do jakiegokolwiek rządu.

– Cofnijmy się – zaproponował Desmond. – Czy są jakieś projekty lub firmy związane z Citium, które zajmowały się chorobami zakaźnymi i można je powiązać z epidemią?

– Nie w czasie, gdy należałem do organizacji. Gdybym wiedział, że któraś z komórek Citium zajmuje się czymś w tym rodzaju, zgłosiłbym jej działalność władzom i nie byłbym odosobniony. Przecież niektórzy z nas zajmowali się właśnie zapobieganiem epidemiom i aktom bioterroryzmu.

– W jaki sposób?

– To był projekt Jurija Paczenki. Nie znałem szczegółów, ale wiedziałem, że zajmuje się badaniami nad czymś, co nazywał adaptacyjnym antywirusem: czynnikiem, który można było tak wyuczyć,

żeby rozpoznawał wirusa i go osaczał, neutralizując w organizmie. To może być ten lek Citium.

– Jurij Paczenko – powiedział Desmond. – On mnie wprowadził do organizacji.

– Więc nadal żyje. – William się spał.

– Żył w dwa tysiące drugim roku. Do tego czasu sięga moja pamięć.

– Przez te wszystkie lata zastanawiałem się, czy zginął w czystce.

– Czy jest naszym sprzymierzeńcem? – spytała Peyton.

– Niewykluczone – odparł William. – Ten, kto stoi na górze Citium, mógł przejąć badania Jurija i je ukończyć. Albo lek jest czymś zupełnie innym, a Jurij już nie żyje.

Desmond zauważył, że Avery znacząco na niego patrzy. Przez to, co powiedział o Juriju, wiedziała już, że odzyskał pamięć i nie zdradził się przed nią. Miała zagadkową minę, coś pomiędzy zdenerwowaniem a wściekłością, a może poczuciem zdrady.

– A co z Rapture Therapeutics? – spróbował nakierować rozmowę na to, co najistotniejsze. – Prowadzą badania nad bakteriofagami, które mogą wyeliminować alzheimera i parkinsona. Czy to się jakoś łączy?

William zastanowił się przez chwilę.

– Chyba na razie nie mamy dość informacji. Pandemia jest z pewnością częścią jakiejś większej rozgrywki, a ostatecznym wynikiem będzie Zwierciadło. Nie wiem, jak łączy się z tym Rapture.

– Może jest sposób, żeby się dowiedzieć. – Desmond wyjął komórkę. – Mamy współrzędne z aplikacji Labirynth Reality. Wskazują mój stary dom w Australii. A jeśli informacje, których potrzebujemy, znajdują się w jednym ze wspomnień związanych z tym miejscem?

– To dość śmiałe założenie – skwitowała szybko Avery, jakby chciała zamknąć temat.

– Muszę się zgodzić z Avery – powiedział William. – Co więcej, położenie jest problemem. Dotarcie w odludne miejsce zajmie nam dużo czasu. Jeśli w samolocie zabraknie paliwa, znajdziemy się w pułapce. Moim zdaniem to za daleko. I mamy lepszego kandydata.

William otworzył laptopa w kuchni.

– Pięć lat temu przekupiłem pracownika IT w jednej z międzynarodowych firm kurierskich. Podałem mu nazwiska filii i firm związanych z Citium. On przekazywał mi informacje o wszelkich opłaconych przez nich dostawach, które wychodziły z tych miejsc lub były tam wysyłane. Z początku sądziłem, że to na niewiele się zda. Ale jedno miejsce mnie zaintrygowało.

William otworzył jakąś nieznaną Desmondowi aplikację. Z lewej strony ekranu było kilka zdjęć satelitarnych z datami, po prawej znajdowała się mapa świata z jarzącymi się punktami. William kliknął kropkę na południu Rosji, przy granicy z Uzbekistanem i Kazachstanem. Na górze pojawiło się zdjęcie: mała wyspa na śródlądowym morzu.

– Kilka kontrolowanych przez Citium firm wysyłało towary w to miejsce: Wyspę Odrodzenia. Odpowiednia nazwa. W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku Związek Radziecki zbudował na wyspie ściśle tajne laboratorium testowania broni biologicznej. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym rozszerzyli działalność i przyjęli nazwę Aralsk-7. Poddawano tam testom najgroźniejsze patogeny. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku przypadkowo wypuścili uzbrojoną formę ospy. Zaraziło się dziesięć osób, trzy zmarły. Mogło być znacznie gorzej. Ludzie, którzy pracowali w Aralsku-7, zdradzili, że testowano tam wąglika i dzumę w odmianach, które mogły być użyte jako broń biologiczna. Laboratorium oficjalnie zamknięto w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku. Personel cywilny i wojskowy został ewakuowany. Miasto na wyspie, Kantubek, w którym mieszkało sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi pracujących w obiektach badawczych, stało się miastem duchów. To dlatego byłem zaskoczony, że Citium wysyła dostawy na wyspę. Na ogólnie dostępnych zdjęciach satelitarnych nie było widać żadnej aktywności, ale jak wcześniej zauważyła Avery, zdjęcia niezamieszkanym miejsc nie są zbyt często uaktualniane. Znalazłem satelitę komercyjnego, który dostarczał zdjęcia z określonego obszaru, i one wykazały, że na wyspie do niedawna coś się działo. – William kliknął ikonę. – To z zeszłych miesięcy.

Prawą strzałką przełączał zdjęcia. Na pierwszym budynku na wyspie



były oświetlone. Desmond zauważył pięć postaci w różnych miejscach, psy na smyczach idące obok nich i smugi dymu, zapewne z papierosów. Na następnym konwój pojazdów zbliżał się do doków. Potem ciężarówki zniknęły, ale strażnicy nadal pozostali. Na ostatnim Desmond nie zauważył żadnych oznak życia, jedynie zaciemnione budynki.

– Czy wiadomo, dokąd pojechały ciężarówki? – spytała Avery.

– Nie – odparł William. – Kontrakt z firmą satelitarną obejmował tylko ograniczony obszar. Zakładam, że załadowali towar do pociągu w Uzbekistanie.

To zaskoczyło Desmonda.

– Myślałem, że to jest wyspa.

– To była wyspa do dwa tysiące pierwszego roku. Jezioro Aralskie od lat sześćdziesiątych ciągle zmniejszało powierzchnię. Rosjanie dla celów irygacyjnych przekierowali zasilające je rzeki. Teraz ma jakieś dziesięć procent swojej pierwotnej wielkości. W zasadzie w tej chwili to cztery duże jeziora. – William zwrócił się do całej grupy. – Ogólnie biorąc, uważam, że Aralsk-7 jest doskonałym miejscem do stworzenia wirusa. Na miejscu jest cała niezbędna infrastruktura. Jest odizolowany. Można się skutecznie bronić. Ląd jest podzielony pomiędzy Uzbekistan i Kazachstan. Jeden lub oba kraje mogły go wynająć Citium. No i południowa część wyspy jest połączona z Uzbekistanem, co ułatwia transport.

Desmond wskazał na ekran laptopa.

– Chyba już stamtąd wyjechali.

– Słuszna uwaga – przyznał William. – Wiemy, że coś tam jest, a raczej było do niedawna. Ewakuacja z Aralska-7 zbiega się w czasie z wybuchem epidemii, co oznacza, że w chwili gdy wirus został uwolniony, nie potrzebowali już tego miejsca. A nasza czwórka ma sporą szansę na jego przeszukanie. Nawet jeśli pozostał tam jakiś niewielki oddział straży, pewnie sobie z nim poradzimy, bo nas się nie spodziewają.

– Skoro się ewakuowali, to po co tam się wybieramy? – spytała Peyton.

– Po informacje – wyjaśnił William. – Szukamy miejsc, w które mogli

wysłać lek. Jak je znajdziemy, będziemy mieć coś konkretnego, by rozmawiać z rządami na całym świecie. A jeśli ich nie znajdziemy, to być może wpadnie nam w ręce próbka leku. Spróbujemy go odtworzyć na większą skalę.

– Czy wiesz o innych miejscach, które by się nadały do ich celów? – spytał Desmond.

– Nie. Nie ma nic zbliżonego. Według mnie Aralsk-7 jest najlepszym wyborem. – William rozglądał się, jakby zachęcał ich do wyrażenia swojego zdania.

– Bardziej mi się podoba niż Wyspa. I znacznie bardziej niż stary dom Desmonda – powiedziała Avery.

– Popieram – rzuciła Peyton.

– Dobrze – zgodził się Desmond. Pociągało go miejsce wskazane przez Labirynt, gdzie stał jego dawny dom. Rozpaczliwie pragnął dowiedzieć się, co tam jest, co tam zostawił. Ale wiedział, że plan Williama daje im największą nadzieję na zatrzymanie pandemii. To był priorytet. Odpowiedzi na jego pytania będą musiały poczekać. – Więc jak się tam dostaniemy?

William wskazał coś, co wyglądało jak gwiazdzista aureola wryta w brązowej ziemi.

– Co to jest? – spytała Avery.

– Cztery krzyżujące się pasy lotnicze: jedyny taki port lotniczy w Rosji.

– Czemu się tak przecinają?

– Pogoda na wyspie często się zmienia. Podobnie kierunek wiatru. W zależności od wiatru, można skorzystać z innego pasa. Niełatwo tam wylądować.

Avery wzniosła oczy do nieba.

– Wspaniale.

# DZIEŃ 12

**5 mld 600 mln** zarażonych

**6 mln** ofiar śmiertelnych

## ROZDZIAŁ 85

W siedzibie CDC w Atlancie Millen Thomas udał się do laboratorium biobezpieczeństwa poziomemu czwartego znajdującego się w głębi budynku. Zatrzymał się przy skanerze tęczówki i nie ruszał głową. Kiedy zamek kliknął, popchnął drzwi.

Całe laboratorium było obudowane ścianą grubości 30 centymetrów, podłoga miała grubość 40 centymetrów i stalowe wzmocnienia. To miejsce mogło się oprzeć trzęsieniu ziemi. Na wszelki wypadek wyposażono je także we własne zasoby powietrza. Zgodnie z procedurami dekontaminacyjnymi powierzchnie spryskiwane były nadtlenkiem wodoru lub formaldehydem.

W szatni Millen włożył fartuch chirurgiczny, skarpety i bieliznę zdjęte z metalowej półki. Przebrał się i zostawił tam całe swoje ubranie. Jediną osobistą rzeczą akceptowaną w laboratorium były okulary.

Potem taśmą przylepił skarpety do nogawek spodni. Na stalowym stole rozłożył kombinezon ochronny, przyłączył go do butli z powietrzem i sprawdził, czy nie ma żadnych rozdarć. Nawet mała dziurka mogła doprowadzić do jego śmierci.

Kiedy wylądowali w Stanach, CDC zatrzymało go na lotnisku i przeprowadziło testy na obecność wirusa. CDC i agencje zdrowia na całym świecie nazywają go teraz X1-Mandera, ponieważ testy potwierdziły, że ten sam wirus, który mutuje w organizmie, odpowiada za grypę oraz gorączkę krwotoczną. Millen odetchnął z ulgą, kiedy wynik testu okazał się negatywny. W tej chwili nie zamierzał ryzykować

zarażenia.

Kiedy miał pewność, że kombinezon jest szczelny, odłączył rurę, przykleił wewnętrzne rękawiczki do rękawów i sprawdził, czy nie mają dziur, następnie włożył kombinezon i hełm. Podparł się o stalowy stół, żeby naciągnąć wysokie gumowe buty.

Wejście do laboratorium przypominało służbę na statku kosmicznym. Najpierw były drzwi z zamkiem szyfrowym. Wpisał kod na klawiaturze i czekał na zielone światło. Drzwi otworzyły się z syknięciem, Millen wszedł do środka i minął kilku naukowców pochylonych nad komputerami i mikroskopami. Podłączył swój kombinezon do zwisającego przewodu i uruchomił głośnik.

– Jak się masz?

Halima usiadła na łóżku, rozpoznała twarz Millena przez szybkę w hełmie i uśmiechnęła się.

– Nieźle.

– Dobrze cię traktują?

– Tak. – Pokazała mu przenośny odtwarzacz DVD leżący na łóżku. Na stoliku obok niej stał stosik płyt, w tym całe sezony *Kronik Seinfelda*, *Zagubionych*, *Agentki o stu twarzach*, *24 godzin* i *Teorii wielkiego podrywu*. – Przynieśli mi telewizję do oglądania. Niesamowite.

Drugi mieszkaniec wsi, Tian, chłopiec, który nie mówił po angielsku, spał na łóżku obok Halimy.

– A jak jedzenie? – spytał Millen.

– Dobrze. – Popatrzyła na ubranych w kombinezony badaczy za Millenem. – Czy są blisko wynalezienia lekarstwa?

Wiedział, że nie zrobili większych postępów i że ostatnie kilka dni były trudne dla kenijskiej nastolatki.

– Są optymistyczni – powiedział. To było trochę naciągane, ale prawda wydawała mu się zbyt okrutna. – Doceniamy to, co dla nas robisz, Halimo.

– Cieszę się, że mogę pomóc. – Podniosła odtwarzacz DVD. – Chcesz obejrzeć *Zagubionych*? Jestem w sezonie drugim. Właśnie weszli do bunkra.

– Chciałbym. Ale zaraz zaczyna się moja zmiana. Potem jeszcze przyjdę, dobrze?

Poza laboratorium, będąc nadal w kombinezonie, Millen wszedł pod chemiczny prysznic, który trwał trzy minuty. Po zdjęciu ubrań ochronnych umył się i przebrał w swoje rzeczy z szafki.

Wiele biur zostało zmienionych w pokoje, gdzie tymczasowo zamieszkali pracownicy tacy jak Millen. Zastanawiał się, jak długo tam pozostanie. Wszyscy w siedzibie CDC byli zestresowani i za mało spali, ale również niezwykle koncentrowali się na pracy. Wiedzieli, że następne dni zadecydują o losie świata. Ludzie, którzy jak Millen widzieli na własne oczy, do czego zdolny jest wirus X1-Mandera, orientowali się, że zostało niewiele czasu.

Wszyscy pracujący i mieszkający w budynku mieli ujemny wynik testu na wirusa X1-Mandera. Niektórzy byli pracownikami CDC, lecz większość stanowiła zbieraninę z Departamentu Obrony, Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej, Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i FEMA. Było wiele nowych twarzy i wszędzie panował chaos, jednak Millen cieszył się, że ma pracę. Mógł przez chwilę nie myśleć o Hannah, a przynajmniej myśleć mniej. Wciąż jednak przegrywał. Wyobrażał sobie scenariusze, w których ona nadal żyje. Wymyślał, że uciekła porywaczom. Albo że porywacze zachorowali, więc teraz to ona jako lekarz zajmowała się nimi; potrzebowali jej, więc nie mogli jej zabić. Przede wszystkim Millen żałował, że nie może cofnąć czasu i zabrać jej ze sobą do jaskini. A przynajmniej odpowiednio się z nią pożegnać.

Odpychał od siebie te myśli, wchodząc do centrum kryzysowego. Teraz musiał skupić się na pracy. Podpisał listę i minął olbrzymi ekran, na którym wyświetlały się wszystkie strefy izolowane w całych Stanach. Aktualizowane na bieżąco dane wskazywały zapotrzebowanie na zapasy i personel. Żaden z operatorów nie siedział beczynn timer; toczyły się setki rozmów. Zaczynały się od słów: „Centrum Operacyjne BioTarcza”.

Szef zmiany przekierowywał ciężarówkę pełną zapasów medycznych ze strefy odizolowanej w Durham w Karolinie Północnej do Cary.

W San Antonio wybuchły zamieszki; wysłano tam oddziały z Austin,

CDC kierowała do nich dodatkowy personel medyczny z odpowiednim przeszkoleniem.

W pobliżu Tulsy zatonała barka wioząca płyny nawadniające.

W sali konferencyjnej szefowie zmian mieli obowiązkowe zebranie, które odbywało się na godzinę przed rozpoczęciem ich zmiany. Millen psychicznie przygotował się na wieści, które zwykle były złe. Usiadł na jednym ze skórzanych foteli i czekał.

Dawniej oglądał doktorów Shaw i Shapiro odbywających spotkania w tej samej sali. Wtedy siedział na widowni i patrzył na ludzi przy stole konferencyjnym omawiających kwestie, które miały wpływ na tysiące, a może i miliony ludzi. Teraz dosłownie znajdował się na ich miejscu. Ciężar odpowiedzialności przytłaczał, ale i tak nie chciałby być w żadnym innym miejscu.

Szef zmiany zamknął drzwi. Nazywał się Phillip Stevens i był starszym epidemiologiem w CDC, który również brał udział w misji w Kenii. Phil przewodził kontyngentowi, który został wysłany na lotnisko w Manderze. Jego grupa ewakuowała się po ataku na grupę Millena. Był wysoki, miał krótkie, jasne włosy i nie owijał w bawełnę ani nie przebierał w słowach. Millen go lubił.

– Mam ważne informacje. Po pierwsze, dostaliśmy sześciu nowych szefów zmian. – Wskazał na kamerę wideo w tylnej części pomieszczenia. Podobnie jak wam, każdemu z nich przydzielono dwunastu operatorów. Ich ludzie będą pracować w auli. Dział IT pracował po godzinach, żeby przygotować ich stanowiska. To powinno rozładować nieco kolejkę oczekujących na połączenie. Ostatnia zmiana zanotowała nagły wzrost ofiar X1-Mandera. – Stevens zerknął na kartkę. – Nowy Jork, Seattle, San Francisco, Chicago i Dystrykt Kolumbii odnotowały przeszło cztery tysiące ofiar śmiertelnych w każdym z tych miejsc. W sumie w strefach izolowanych w całym kraju w ciągu ośmiu godzin umarło ponad sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Podczas zmiany wcześniejszej było dwanaście tysięcy ofiar. Prawdopodobnie jest to początek gwałtownego wzrostu śmiertelności. – Stevens zamilkł na chwilę. – To, wraz z tym, co zaraz wam pokażę, wymaga od nas zmiany

dotychczasowych procedur. Za pół godziny podczas waszych odpraw przed rozpoczęciem zmiany poinformujecie personel o tej decyzji. To może być najtrudniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek odbędziecie. Niektórzy mogą odmówić wykonania naszych rozkazów. Mamy na to plan. Najgorsze jest to, że nie możecie zdradzić im całej prawdy i dlatego zamierzamy tak postępować. Prawda jest taka: od kilku dni mieliśmy podejrzenia, że pandemia X1-Mandera jest aktem bioterroryzmu. To się potwierdziło. Wiemy, kto to zrobił, i znamy jego żądania.



## ROZDZIAŁ 86

Elliott stał w swoim gabinecie i przyglądał się konwojowi BioTarczy sunącemu po ulicy. Zwykle przyjeżdżali po południu i rozdawali jedzenie i lekarstwa. Dzisiaj zjawili się wcześniej i nie dawali jedzenia. Zabierali ze sobą ludzi, których wsadzali do takich samych żółtych szkolnych autobusów jak poprzednio. Przed autobusami członkowie Gwardii Narodowej, wojska, marynarki wojennej, piechoty morskiej i sił lotniczych studiowali coś na tabletach. Zapewne byli odporni, ponieważ nie mieli na sobie kombinezonów i nie zachowywali środków ostrożności, kiedy prowadzili ludzi do pojazdów. Ich ciepłe oddechy zmieniały się w parę.

Metodycznie jeździli od domu do domu. Nie zabierano całych rodzin; wybierali ludzi jakby losowo. Jakiś ojciec po czterdziestce, matka z włosami przetykanymi siwizną wyglądająca na starszą od mężczyzny, nastolatka, niespełna dwunastoletni bracia bliźniacy.

Elliott próbował wychwycić jakiś wzór, ale nie potrafił. Czy badania nad genomem coś wykazały? Czy ci ludzie byli potencjalnymi nosicielami przeciwciał, które mogą zwalczyć wirusa? Chciał myśleć pozytywnie o tym, co się działo, ale był zbyt racjonalny, żeby w to wierzyć.

Sam i Adam nadal byli w piwnicy. Zostali zabrani razem z Ryanem, ale tylko oni wrócili. Adam wczoraj miał gorączkę. Został zarażony, Elliott obawiał się, że Sam też wkrótce zachoruje. Robili, co w ich mocy, żeby utrzymać kwarantannę w domu, ale wątpił, żeby to wystarczyło.

Objawy pojawiały się i cofały. Przez kilka godzin Elliott czuł się dobrze, a przynajmniej na tyle dobrze, by normalnie funkcjonować, a potem wirus go dopadał, pozbawiał sił i zmuszał do położenia się i odpoczynku, póki nie minęła gorączka i kaszel. W tej chwili czuł się nieźle, chociaż był zdenerwowany. Sprawdził swoją komórkę. Codziennie odpowiadał na pytania wysyłane przez system operacyjny Rook Quantum Sciences. Musiał, bo telefon dotąd dzwonił i wibrował, dopóki nie udzielił wszystkich odpowiedzi. Ale dzisiaj nie było ankiety. Co to oznaczało? I dokąd wszystkich zabierają?



W obozie dla uchodźców w Dadaab Elim Kibet siedział w swoim gabinecie i słuchał urzędnika z Ministerstwa Zdrowia. Mężczyzna był chory. Elim uważał, że umrze w ciągu najbliższych pięciu dni. Bardzo kasłał, Elim wstał i podał mu płyn nawadniający.

– Szkoda go na mnie. – Pacjent machnął ręką. Oczy nabiegły mu krwią, białka miały wyraźnie żółty odcień. – Zrobisz to, Elim?

Elim oparł się o biurko.

– Spróbuję. To ich wybór.

– O to tylko prosimy.

– Zostaniesz?

– Muszę jechać dalej. – Chory mężczyzna pokręcił głową.

– I umrzeć w trasie?

– Jeśli trzeba. I tak jestem już trupem. Nie będę leżał i czekał.

Elim nie winił go za to. Czuł się podobnie; to dlatego wstał ze szpitalnego łóżka w Manderze.

Odprowadził mężczyznę do wyjścia i widział, jak wsiadł do samochodu z napędem na cztery koła, który skręcił w drogę Habaswein–Dadaab.

Elim wrócił do obozu drugiego, w którym umieszczono wszystkich żyjących uchodźców. Paliły się trzy ogniska, ich płomienie były mniejsze niż poprzednio. Tego ranka przeprowadzono wielkie liczenie i okazało się, że zostało 14 289 ludzi. Kiedy zaczynała się epidemia, w obozach

mieszkało 287 423 osoby; znalazł te dane w księgach. Straty były olbrzymie. I miał właśnie poinformować tych ludzi, żeby przygotowali się na więcej.

Poprosił jednego z uzbrojonych strażników, żeby zebrał mieszkańców obozu, przynajmniej wszystkich tych, którzy zdołają wstać z łóżek, a potem wyruszył na poszukiwanie megafonu. Zanim wszyscy się zgromadzili, minęła prawie godzina, lecz gdy byli gotowi, Elim wspiął się na pakę ciężarówki i popatrzył na tłum stojący na tle skalistego pustynnego krajobrazu.

– Nazywam się Elim Kibet. Jestem lekarzem i obywatelem Kenii. Urodziłem się w tym kraju i tu się wykształciłem. Przez całe życie tu pracowałem. Jak wielu z was dorastałem w małej wiosce. Moi rodzice byli biedni i często w domu nie starczało jedzenia. Dzięki hojności tego narodu zdobyłem wykształcenie. Służyłem ludziom, jak umiałem najlepiej. Los sprowadził mnie tutaj, żeby wam pomóc. Wiem, że wielu z was nie pochodzi z Kenii. Jesteście uchodźcami z sąsiednich krajów. Ten kraj was przyjął, karmił, dbał o wasze bezpieczeństwo, dał wam dach nad głową. Teraz to nasi ludzie potrzebują pomocy. Teraz my głodujemy i umieramy. Potrzebujemy pomocy, a wy możecie jej udzielić. Nasz rząd nie jest doskonały. Mógłbym dyskutować z większością podjętych przez niego decyzji w ostatnich latach. Ale ludzie, którzy płacili podatki, dzięki którym ukończyłem szkołę, którzy was karmili i gościli, ci ludzie są teraz na naszej łasce. Rząd w Nairobi upadł. Ludzie umierają nie przez wirusa, lecz z głodu i na skutek pomniejszych infekcji. Obecnie Kenijczycy, którzy przeżyli, są rozproszeni. To czyni ich potencjalnymi ofiarami małych i dużych armii. Wojna i głód mogą być naszymi kolejnymi wrogami. Żeby ich pokonać, musimy się zjednoczyć. Jutro o świcie wyjeżdżam do Nairobi. Zatrzymam się w każdej wiosce po drodze, będę zbierał ocalonych. W Nairobi ocalimy tylu, ilu zdołamy. Wierzę, że to dla nas największa szansa na przeżycie. I proszę was, żebyście do mnie dołączyli. Jeśli tu zostanieie, zrobię, co w mojej mocy, żeby przysłać pomoc, ale niczego nie mogę obiecać. Nerozdzielanie się jest według mnie najlepszą szansą na przetrwanie. I ratowanie innych

ludzi. Spotkajmy się o świcie. Zachęcam was, jedźcie ze mną. I dziękuję.

Elim patrzył, jak tłum się rozchodzi. Wielu pozostało, żeby zadać pytania tym, którzy zarządzali obozem. Nie znali odpowiedzi, nie było żadnego innego planu oprócz tego, by wyruszyć o świcie. Zastanawiał się, ilu do niego dołączy.

Poinstruował ludzi, żeby udali się do Garissy, najbliższego miasta, i sprowadzili ciężarówki. Tam zatrzymają się najpierw. Garissa przed epidemią miała około stu czterdziestu tysięcy mieszkańców – mniej więcej połowę populacji obozu dla uchodźców, lecz Elim liczył na to, że znajdzie tam wielu żywych.

Wrócił do budynku organizacji pomocowych, znalazł Dhamirę i wziął ją za rękę.

– Zrozumiem, jeśli chcesz zostać.

– Chyba mnie znasz, Elimie. Dokądkolwiek pojedziesz, będę przy tobie.

Następnie poszedł do pokoju Hannah i zbadał młodą lekarzkę. Była w stabilnym stanie, ale wirus robił coraz większe szkody. Elim leczył poboczne infekcje bakteryjne, które go mocno niepokoiły. Winił za to ranę postrzałową, która przez tak długi czas nie została porządnie oczyszczona. Pacjentka potrzebowała antybiotyków, ale on ich nie miał. Teraz spała, to dobrze; sen był dla niej ważny.

– Zabierzemy ją ze sobą? – spytała Dhamiria.

– Tak. To jej jedyna szansa.



Elim prawie nie spał tej nocy. Miał wrażenie, że powinien zrobić jeszcze jakiś milion rzeczy. Napisał mnóstwo listów do pielęgniarek, które przejmą jego obowiązki, kiedy wyjedzie (były tu jeszcze tysiące ludzi zbyt chorych, żeby wyjechać). Zinventaryzował zapasy, dzieląc je na to, co zabierze i co zostawi.

Z okna swojego małego gabinetu widział tłum zbierający się przy ciężarówkach. Stali w rzędach, mieli torby i plecaki, pchali przed sobą wózki z dobytkiem. Dym z ognisk wzbijał się w niebo, tworząc nad

oboziem czarne chmury.

Dhamiria otworzyła drzwi i stanęła przy Elimie.

– Już ją zabrali.

Skinął głową i wstał.

– Jesteś pewna?

Pocałowała go i uścisnęła jego dłoń.

– Chodźmy.

Na zewnątrz Elim przyjrzał się tłumowi. Według jego oceny były tam jakieś cztery tysiące ludzi gotowych się do niego przyłączyć.

– Będziemy potrzebować więcej ciężarówek – powiedział do najbliższej stojącego kierowcy.

## ROZDZIAŁ 87

W sali konferencyjnej w Centrum Operacji Kryzysowych w CDC Millen i pozostali szefowie zmiany słuchali Stevensa, który podawał im najważniejsze informacje, stojąc przed dużym, płaskim ekranem.

– Dwie godziny temu rząd Stanów Zjednoczonych oraz rządy na całym świecie odebrały pewną wiadomość od organizacji o nazwie Citium. Dostaliśmy tę informację zaledwie godzinę temu. Pozwolono nam puścić wam wiadomość, którą dostał Biały Dom.

Stevens usiadł i dotknął touchpada na laptopie. Z głośników sali konferencyjnej popłynął głos:

*Citium jest grupą naukowców i intelektualistów związanych wspólnym celem poprawienia jakości ludzkiego życia przez naukę. Z przerażeniem obserwujemy, jak wirus X1-Mandera dziesiątkuje świat. Dłużej nie możemy pozostać bezczynni. Mamy lek na tego wirusa – antywirusa, którego przetestowaliśmy i użyliśmy do wyleczenia tysięcy ludzi podczas testów. Oferujemy wam i waszym obywatelom ten lek.*

*W zamian prosimy tylko, abyście poczynili takie kroki, żeby podobna katastrofa nie wydarzyła się ponownie i żeby zostały usunięte inne zagrożenia. Chcemy świata bez broni, granic, dyskryminacji, gdzie każdy człowiek jest szanowany i traktowany sprawiedliwie. Zależy nam na tym i nie ukrywamy, że tego żądamy.*

*W zamian za lek na X1-Mandera domagamy się następujących działań. Wasz kongres lub parlament uchwali ustawę, na mocy której wszystkie agencje rządowe znajdą się pod zarządem międzynarodowej rady*

*o nazwie Komisja Zwierciadło. Ustawa przyzna nam również kontrolę nad siecią energetyczną i Internetem. Skorzystacie z aplikacji Rook Quantum Sciences i umożliwicie swoim obywatelom bezpośrednio głosowanie w referendum dotyczącym zmian w prawie czy wprowadzenia poprawek do konstytucji – cokolwiek jest wymagane w waszym systemie prawnym. Waszym zadaniem jest namówienie obywateli do zatwierdzenia i ratyfikowania ustawy.*

*Jeśli wcielicie w życie prawa Zwierciadła, waszym pierwszym zadaniem będzie dystrybucja leku.*

*Niektóre rządy mogą odrzucić naszą pomoc. Inne dołączą do nas, by stworzyć taki świat, na jaki zasługuje ludzkość. Jeśli wy i wasz naród odrzucicie naszą pomoc, miliony niepotrzebnie stracą życie. Nie chcemy tego. Mamy nadzieję, że do nas dołączycie. Niecierpliwie czekamy na moment, gdy wspólnie będziemy działać, by stworzyć lepszy świat dla wszystkich.*

Nagranie dobiegło końca i Stevens wstał.

– Ta grupa, Citium, nie mówi wprost, że jest odpowiedzialna za uwolnienie wirusa, ale wszyscy wiemy, że potrzeba więcej niż tygodnia na opracowanie leku przeciwwirusowego, a jeszcze więcej czasu na jego masową produkcję.

– Jak odpowiedział Biały Dom? – spytał Millen.

– Poprosili o próbkę leku. Prośba została odrzucona.

– Zakładają, że możemy próbować rozłożyć ją na czynniki pierwsze.

– Zapewne tak – potwierdził Stevens. – Biały Dom odparł, że nie może się zgodzić, dopóki na własne oczy się nie przekona, że lek jest skuteczny. Powiedziano mi, że taka demonstracja ma się odbyć w ciągu godziny.

To zaszokowało Millena.

– Chcą się zgodzić na te warunki? Oddać terrorystom wszystko, cały rząd, wojsko, Internet, sieć elektryczną?

– Nie. Będziemy walczyć. Biały Dom ma nadzieję zebrać informacje o leku i miejscu, gdzie jest przechowywany. Pokaz ma być tylko sposobem na zebranie informacji.

Głos zabrała szczupła, czarnoskóra kobieta z siwiejącymi włosami, która pracowała w Centrum Działań Kryzysowych, odkąd Millen dołączył do EIS, a teraz była również szefową zmiany.

– A co robią inne rządy?

– Wielka Brytania, Australia, Kanada, Niemcy, Japonia i Rosja zamierzają walczyć z Citium do samego końca. Francja i Grecja się nie zdeklarowały. Uważamy, że oba kraje już się poddały.

W sali konferencyjnej zapadła cisza. Millen czuł, że sytuacja właśnie się zmieniła. Wojna? Pomimo pandemii? To niewiarygodne. Zastanawiał się, co zostanie z ludzkości, kiedy wojna dobiegnie końca. I jaki świat ci ludzie odziedziczą.

Stevens zaczerpnął powietrza.

– Stany zwróciły się do Chin, Indii, Indonezji, Brazylii, Pakistanu i Bangladeszu. W tych sześciu krajach mieszka mniej więcej połowa populacji ludzkiej. Jeśli Indie lub Chiny dołączą do Citium, albo jeśli dołączą jakieś mniejsze kraje, kości zostaną rzucone. Zyskają przewagę liczebną.

– Jesteśmy doskonale uzbrojeni – powiedział jeden ze zgromadzonych.

– I wkrótce – odparł Stevens – nie będziemy mieli prawie nikogo, kto umiałby posługiwać się tą bronią.

Millen wiedział, do czego to zmierza. Inni chyba też wiedzieli. Czekali, co powie Stevens.

– W związku z tym Biały Dom rozkazał, żeby CDC i wszystkie agencje pod dowództwem BioTarczy zaczęły przygotowywać się na możliwość wybuchu wojny na amerykańskiej ziemi.

– Jak mamy się przygotowywać? – spytał Millen.

– W tej chwili siły BioTarczy gromadzą tych ludzi, którzy mają dużą szansę na przeżycie. W dalszej kolejności zapasy będą przydzielane tylko tym osobom.

Millen nie wierzył własnym uszom.

– A co z pozostałymi?

Stevens stał i nie spuszczał wzroku ze swoich podwładnych.

– Taka przyszłość się przed nami maluje. Jeśli nie wystawimy armii,



Stany Zjednoczone przestaną istnieć. Jeśli przyjmiemy lek, Stany stopniowo będą przejmowane przez Citium.

Millen pomyślał o swoich rodzicach w Cleveland. Wiedział, że znajdują się w strefie izolowanej. Żadne z nich nie odgrywało kluczowej roli.

– Co z naszymi rodzinami?

– Są na liście. Każdy członek najbliższej rodziny – żony, dzieci, rodzice, rodzeństwo oraz małżonkowie i dzieci rodzeństwa znalazł się na liście.

Na szczęście o tym też pomyśleli.

– To, co przed chwilą powiedziałem, sam usłyszałem godzinę temu i też było mi ciężko. Wiem, jak się czujecie, a będzie wam jeszcze trudniej, gdy staniecie przed swoimi operatorami. Jeśli uważacie, że nie zdołacie wykonywać rozkazów, muszę o tym wiedzieć, zanim opuścicie tę salę.

Osoba siedząca obok Millena zapytała, co stanie się z ich rodzinami, jeśli zrezygnują.

– Jeśli opuścicie strukturę BioTarczy, ich status się zmieni na taki, jaki mieli uprzednio.

Wszyscy siedzieli zaszokowani.

– Mam nadzieję, że nasze agencje wywiadu znajdą miejsce przechowywania leku – ciągnął Stevens. – Na razie otrzymaliśmy rozkazy. Przeżycie czasem wymaga od nas działania, z którym się nie zgadzamy.



Kiedy zebranie się skończyło, Millen zebrał swój zespół operatorów i rozpoczął odprawę. Nie podobało mu się to, co musiał powiedzieć, ale nie widział alternatywy. Musiał pozostać w BioTarczy dla dobra rodziców, Halimy i Tiana.

– No dobrze, mam nadzieję, że wszyscy trochę wypoczęli. Chcę przekazać bardzo ważne informacje. Nastąpiła zmiana w układzie strategicznym. Nie mogę podać szczegółów, jednak pojawiło się kolejne zagrożenie. W tym momencie BioTarcza skupia się na ocaleniu tych, których szanse przetrwania są duże, i przygotowuje się na konflikt

zbrojny.

## ROZDZIAŁ 88

Wiatr szarpał samolotem Czerwonego Krzyża jak statkiem podczas huraganu. William ustawił maszynę na jednym z czterech pasów, potem zmienił tor i zbliżył się do innego. W kabinie pasażerskiej Avery, Desmond i Peyton zapięli pasy i pochylili się do przodu, zapierając o zagłówki. Peyton siedziała na miejscu przy przejściu, najbezpieczniejszym, Desmond zajął fotel obok niej, ochraniając ją z boku. Avery siedziała po drugiej stronie przejścia.

Peyton poczuła dłoń Desmonda na swojej nodze. Położył ją wierzchem do góry i czekał. Podała mu swoją dłoń. Ścisnął ją. To pomogło jej pozbyć się napięcia. Dotyk podziałał na nią tak, jakby ktoś aktywował dawno nieużywany przewód elektryczny. Wraz z energią nadeszły emocje i wspomnienia.

Peyton patrzyła przed siebie. Kątem oka widziała, że Avery piorunuje ją wzrokiem.

Samolot zatrząsnął się, gdy koła dotknęły ziemi. W zasadzie lądowanie było lepsze niż w wykonaniu Avery na Szetlandach.

Dziesięć minut później maszyna zatrzymała się na końcu pasa, a William wyszedł z kabiny.

– Desmond i ja sprawdzimy wieżę.

Avery poderwała się, chcąc zaprotestować, ale uciszył ją, unosząc rękę.

– Będziemy potrzebowali pilota, jeśli nam się nie uda.

Peyton zauważyła jego dobór słów. Nie powiedział „zginiemy”. Pomyślała, że to przez nią. Dostrzegła też mądrość w jego planie: on też

nie ufał Avery. Odizolowanie jej w samolocie miało pewną zaletę. William i Desmond mogli porozmawiać na osobności.

Mężczyźni ubrali się, zeszli po schodach i zniknęli w ciemności. Peyton stała przy drzwiach i patrzyła, jak się oddalają. Przez kilka minut pomiędzy nią a Avery panowała niezręczna cisza.

W końcu odezwała się Avery:

– Znałaś go?

– Słucham?

– Wcześniej.

Peyton zignorowała ją.

– To przez ciebie, prawda?

– Co?

Avery podeszła bliżej i zatrzymała się o krok od Peyton.

– To przez ciebie wstąpił do Citium. I chciał zbudować Zwierciadło.

Peyton chciała przełknąć ślinę, ale się powstrzymała.

– Nie powiedziałabym – odparła beznamiętnie.

– Skrzywdziłaś go?

– Nie przepadam za babskimi gadkami, Avery.

– Nie musimy rozmawiać.

Przy samolocie, a potem na schodach załomotały buty. W drzwiach pojawił się Desmond, obrzucił wzrokiem wewnątrz samolotu i zawahał się chwilę.

– Jeśli nie zamierzacie się pozabijać, to przydałaby się wasza pomoc.



Biorąc pod uwagę, że być może trzeba będzie szybko uciekać, zatankowali i ustawili samolot w pozycji do startu. Desmond powiedział, że wieża jest pusta, ale wiele wskazuje, że niedawno ktoś z niej korzystał.

William wypuścił drona, którego zabrał ze sobą. Urządzenie było niewielkie i prawie bezgłośnie. Wszyscy stłoczyli się przy tablecie w kabine pasażerskiej i oglądali obrazy przesyłane przez kamerę do

nocnych ujęć.

Miasto było opuszczone. Budynki zostały zbudowane z kamienia, miały piętro lub dwa, w większości były zaniedbane. Przypominały Peyton zdjęcia z powojennych Niemiec. Wyglądały, jakby zostały zbombardowane. Teren opanowały chwasty i roślinność, fragmenty kamiennych ścian leżały na ziemi jak ofiary czasu, grawitacji i wiatru, który smagał tę dziwną wyspę.

Dron leciał w kierunku laboratoriów. Zespół budynków z kamienia i cegieł został zaprojektowany w kształcie podkowy, z dziedzińcem z przodu. Cały kompleks otaczała siatka zwieńczona drutem kolczastym; nad metalową bramą wisiał znak, na którym po rosyjsku napisano jakieś słowa, ale Peyton nie umiała ich przeczytać. Kompleks przypominał amerykańskie więzienia z lat sześćdziesiątych, na przykład Shawshank.

Dron obleciał teren trzykrotnie, ale nie odkrył żadnych oznak życia.

William wskazał jakiś dom na przedmieściach.

– Przeszukamy miasto, a potem spotkamy się tam. Peyton, z tego domu będziesz śledzić przekaz z drona. Niech lata, a ty ostrzeż nas, jak zobaczysz jakiś ruch. Desmond, Avery i ja idziemy się rozejrzeć.



Miasto było przerażające. Przypominało Peyton scenografię z filmu: szybko wzniesioną, wykorzystaną, podniszczoną i zostawioną na pastwę losu.

Na skraju miasta, najbliżej laboratoriów, znaleźli domy, w których pozostały ślady po niedawnych mieszkańcach. Miały nowe okna, naprawione dachy. Ale nie paliły się tam żadne światła i oprócz zawodzenia wiatru nie słyszeli innych dźwięków.

William i Avery poszli prawą stroną ulicy, Peyton i Desmond lewą, systematycznie przeszukiwali każdy budynek, żeby upewnić się, że nikt nie pozostał.

– Jesteś pewna, że chcesz zostać, jak pójdziemy do laboratoriów? –

spytał Desmond.

– Nie boję się ciemności – odparła.

– Też chciałbym się nie bać. To miejsce mnie przeraża.

W następnym domu Desmond obszedł pokoje, podczas gdy Peyton została w salonie.

– Czysto – powiedział, gdy wrócił. Ale nie ruszył ku drzwiom, tak jak się spodziewała. Zamiast tego zapytał: – O co chodziło w samolocie? Z Avery?

– O nic. – Peyton odwróciła wzrok.

– Nie wygląda mi na nic.

– Próbowała oznaczyć swoje terytorium.

– Jakie terytorium? – Desmond uniósł brwi.

– Wiesz jakie. – Uśmiechnęła się.



Po drugiej stronie ulicy William i Avery weszli do kolejnego domu i systematycznie sprawdzali wszystkie pomieszczenia. Na górze William znalazł biurko przystawione do okna mansardowego w pokoju z jednoosobowym łóżkiem. Do ściany przypięta była niewielka fotografia, wyblakła i pomarszczona, jak woskowany papier. Na zdjęciu widniała trójka dzieci. *Tak. To jest to miejsce.*

W domku na Szetlandach William zatrzymał dla siebie to, co wiedział o Aralsku-7. Musiał, dla dobra Peyton. Przyjazd na wyspę był ryzykowny. Ale teraz zyskał pewność: znajdą tu odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ 89

Kiedy skończyli przeszukanie miasta, cała czwórka zebrała się w domu na przedmieściach, który został ich punktem dowodzenia. Było w nim pusto i zimno, ale Peyton zauważyła, że na prostych meblach leżało niewiele kurzu.

– Ktoś tu niedawno mieszkał – powiedział Desmond.

W kuchni Avery otworzyła lodówkę.

– W ciągu miesiąca.

Peyton poczuła paskudny zapach, zanim Avery trzasnęła drzwiami.

– Zaczynajmy – zarządził William.

Postawił laptopa na ławie w dużym pokoju i włączył przekaz z drona, który miała obserwować Peyton. Wcześniej zaprogramował tor lotu urządzenia i teraz poświęcił chwilę, żeby pokazać jej, jak może go zmienić w razie potrzeby. Odsunęła go od laptopa.

– Rozumiem już. Idźcie. Nic mi nie będzie.

Chciała uściskać Desmonda i ojca, zanim opuścili dom, ale pomyślała, że wyjdzie niezręcznie, jeśli ominie Avery. Tylko skinęła głową, gdy wychodzili.

Patrzyła przez okno i widziała, jak się oddalają, usiadła na kanapie, zawinęła się w gruby koc i obserwowała przekaz z drona. Desmond, Avery i William skąpani w zielonym świetle noktowizora zbliżali się właśnie do ciężkiej żelaznej bramy kompleksu. Westchnęła i zakasłała – starała się tego nie robić, gdy byli w pobliżu. Wirus zwyciężał jej układ odpornościowy.



Desmond zadrżał, gdy po raz kolejny uderzył w niego podmuch lodowatego wiatru. Szedł za Williamem z pistoletem w dłoni, ubezpieczając tyły. Jedyнным dźwiękiem był chrzęst żużlu pod ich butami. Śnieg padał najpierw nieśmiało, potem mocniej. Wiatr porywał białe płatki i kręcił nimi. Byłby to piękny widok, gdyby Desmond miał czas go podziwiać i nie był tak zdenerwowany.

William zatrzymał się przy pierwszym budynku kompleksu. Drzwi wykonano z grubej stali, z której wystawała masywna klamka.

Skinął do Avery, która pojawiła się przy nim, gotowa na sprawdzenie pomieszczenia. Wszyscy założyli noktowizory. Desmond stanął za Williamem, który nacisnął klamkę. Cała trójka wpadła do pomieszczenia, omiatając je bronią, czerwone promienie celowników laserowych tańczyły po skrzyniach i owiniętych w folię paletach z zapasami.

Budynek był magazynem, jak się okazało – opustoszałym.

Desmond zrobił kilka kroków po betonowej posadzce, zbliżył się do pierwszej palety i oderwał plastik. Kartonowe pudła, rozłożone przed wysyłką. Stało tam kilkadziesiąt takich palet.

– Taśma klejąca, pewnie z tysiąc rolek! – krzyknęła Avery z innego kąta.

William i Desmond podeszli do niej. Obok zobaczyli palety wypchane plastikowymi baniakami z wodą.

– Wydaje mi się, że to był ich sposób – powiedział William. – Woda. Pudełka. Taśma klejąca. To system dystrybucji. Założę się, że w kartonie znajdziemy wirusa. Żyje w zamkniętych paletach. Uwalnia się, gdy folia zostanie przebita. W taśmie też. Zakazona woda jest prawdopodobnie mocno nasycona wirusem; baniaki z nią mieszały zapewne z dużymi baniakami używanymi w biurach lub w innych miejscach miasta. Tutaj została chyba nadwyżka. To potwierdza, że właśnie tu wytwarzali wirusa. Jeśli znajdziemy go w głównym laboratorium, zyskamy pewność.



Desmond zdumiał się geniuszem tego planu. Paczki i woda. Bardzo prosty i skuteczny sposób rozsiewania zarazy.

– Ale nie lek – zauważył Desmond.

William zastanowił się nad tym.

– Może wszystko zabrali, żeby gdzie indziej go przetestować.

– Albo produkowali go gdzie indziej – dodała Avery.

– To możliwe – przyznał William. – Chodźmy dalej.

W następnym budynku znaleźli taśmę produkcyjną, gdzie robiono kartony i taśmę klejącą i nasączano je wirusem. Nadal nie znaleźli śladu leku.

W głównym budynku, który miał aż trzy piętra, znajdowały się laboratoria. Desmond domyślił się tego w chwili, gdy przekroczyli próg. Na podłodze leżało białe linoleum, niedawno umyte. Ściany były szare, poręcze ze stali nierdzewnej. Wnętrze przypominało wyglądem szpital z lat 60., który nigdy nie został odnowiony.

Cała trójka stała tuż przy drzwiach, nasłuchując, ale panowała cisza.

William zrobił krok w głąb budynku, potem kolejny, ostrożnie, jakby białe płytki były minami i mogły eksplodować w każdej chwili.

Zatrzymał się, odwrócił głowę.

Desmond też to usłyszał: wirowanie jakiegoś elektrycznego silniczka.

William zadarł głowę i spojrział na czarną, plastikową wypukłość na suficie. Podniósł karabin i lufą zdjął osłonę, za którą kryła się kamera. Świeciła się na niej czerwona kontrolka. Kamera odwróciła się w stronę Desmonda i Avery.

William wyminął ich i wyszedł za drzwi, szeptem każąc im zrobić to samo.

Stali na zewnątrz w padającym śniegu, który przysłaniał żółte światło księżyca, jakby za białą firanką stał papierowy lampion.

– Nadal mają tu monitoring – powiedział William. – Albo jest tu ktoś na miejscu, albo robią to zdalnie.

Avery rozejrzała się wokół.

– Mogą mieć poukrywanych ludzi lub już zdążyła tu grupa szybkiego reagowania.

William przytaknął.

– Musimy się pospieszyć. Szukamy manifestów ładunkowych. – William wskazał magazyn. – Transportowali taśmy, kartony i wodę do centrów dystrybucji. Mogę się założyć, że wysyłali również lek, niezależnie od tego, czy był produkowany tutaj, czy gdzie indziej. Dowiemy się, gdzie są te miejsca, i znajdziemy lek. Chodźmy.

W środku rozdzielili się i zaczęli przeszukiwanie trzypiętrowego budynku. Buty Desmonda stuknęły o białe kafelki. Znalazł skrzydło chirurgiczne z zakrwawionymi wózkami do przewozu pacjentów, fartuchami rzuconymi na stos i splądrowanymi szafkami z lekarstwami. Wyjeżdżano stąd w pośpiechu. Na piętrze natknął się na podwójne, zamknięte drzwi. Uruchomił mikrofon.

– Tu Desmond. Zaraz przestrzelę zamek na pierwszym piętrze. Nie natknąłem się na nikogo.

Avery i William szybko odpowiedzieli:

– Potwierdzam.

Desmond strzelił w zamek i pchnął stalowe drzwi. Owionął go smród gnijącego mięsa. Zakrztusił się, zrobił krok w tył, pochylił się i czekał, starając się zwalczyć mdłości. Smród wydostał się za drzwi jak duch uwolniony z zimnego grobu.

Stopniowo Desmond przyzwyczajał się do odrażającego zapachu. Przekroczył próg i wszedł do obszernego pomieszczenia. Była to niemal kopia ładowni na *Kentaro Maru*, na całej powierzchni stały boksy oddzielone plastikowymi przegrodami. W zielonym świetle noktowizora wszystko wydawało się jeszcze bardziej niesamowite.

Odsunął mlecznobiałą zasłonę w pierwszym boksie. Leżało tam ciało jakiegoś Azjaty. Przy oczach i ustach miał strużki zaschniętej krwi. Czy tak po prostu zostawili tych ludzi na śmierć, kiedy się ewakuowali? Zamknęli ich tutaj jak zwierzęta na rzeź? Co za ludzie mogli to zrobić?

Wpadł w furję, zrobiło mu się niedobrze na myśl, że kiedyś mógł być częścią tego projektu.

Włączył radio.

– Znalazłem ciała. Coś tu testowali.

– Przyjąłem – powiedział William. – Zlokalizowałem cel.  
*Znalazł manifesty ładunkowe.* Desmond odetchnął z ulgą.  
– Poziom drugi, w lewym rogu – dodał William.  
Avery i Desmond potwierdzili i powiedzieli, że już do niego idą.



William zaglądał do biur. W biurze w samym rogu, gdzie stała kanapa i długi stół, znalazł to, czego szukał: takie samo zdjęcie, które widział w domu – jego trójkę dzieci trzymających się za ręce na londyńskiej ulicy. Zostało zrobione około 1982 roku, pomyślał. Znajdował się we właściwym biurze.

Podszedł do szafy na dokumenty, otworzył ją i zaczął odczytywać nazwy na teczkach.

Zatrzymał się przy tej opisanej *Wirusy do wyboru*. Wyjął ją i rzucił okiem na zawartość. Brali pod uwagę kilka patogenów. Zmroziło go, gdy zobaczył notatki na marginesach. Był na właściwej drodze.

Pozostałe teczki zawierały wyniki badań – dokumentację ich prób. W szufladzie poniżej leżały dokumenty opisujące metody dystrybucji. Próbowali odświeżaczy powietrza, mydeł do rąk, nawet wód kolońskich. Wszystkie okazały się albo zbyt drogie, albo mało skuteczne.

W kolejnej szufladzie były teczki z nazwami geograficznymi. Addis Abeba, Etiopia, Dakar, Senegal. Harare, Zimbabwe. Lusaka, Zambia. Bamako, Mali. Konakry, Gwinea. To jest to, pomyślał.

Otworzył pierwszą teczkę i szybko czytał. Był tam opis populacji danego miasta, ekonomii, transportu i infrastruktury. Na górze strony widniało: *Studium miejsca*. Te miejsca brali pod uwagę, gdy zastanawiali się, gdzie rozpocząć epidemię. Na jednej z teczek był napis *Mandera*.

William zatrzasnął tę szufladę i wysunął ostatnią.

Z przodu znajdowała się teczka opisana jako *Wysyłki towarów*. Wyjął ją i otworzył. W środku zobaczył manifesty ładunkowe – całe setki. Środki medyczne. Woda. Jedzenie. Czy za tymi słowami ukryli wirusa

czy lek na niego? Nie mogli napisać „wirus” lub „lek na wirusa” w manifeście ładunkowym. Nie. To musi być ta teczka.

– Desmond, Avery. Zlokalizowałem cel – powiedział do mikrofonu. Poziom drugi, w lewym rogu.

Przeglądał teczkę w zamyśleniu.

– William, jestem już prawie przy tobie. – Usłyszał głos Desmonda.

I wtedy nastąpił wybuch, który rzucił Williama na ścianę. Metalowa szafka przewróciła się i przygniotła mu nogę.



Siedząca w domu Peyton usłyszała odgłos eksplozji. Zerwała się z kanapy i wybiegła na ulicę. Największy budynek w kompleksie stał w płomieniach. Potem nastąpiła kolejna eksplozja, poleciały cegły i dachówki jak lawa wydobywająca się z wulkanu. Nie wahała się. Ruszyła biegiem, kaszląc po drodze i czując, że płoną jej płuca.

## ROZDZIAŁ 90

Podmuchi przewrócił Desmonda. Upadł na białą podłogę. Poleciały na niego płytki z sufitu. Zwinął się w kłębek i czekał.

Kiedy w budynku zapadła cisza, odetchnął. Wstał i pobiegł w stronę, gdzie nastąpiła eksplozja. Na korytarzu z sufitu na przewodach zwisały podłużne lampy jarzeniowe. Drzwi były otwarte. Na ziemi wałały się odłamki szkła z okien.

Na klatce schodowej poczuł ciepło dochodzące z góry. Wszedł po schodach i ruszył w tamtą stronę. Gdy otworzył drzwi do skrzydła biurowego, poczuł falę gorąca.

Przed nim rozciągały się boksy biurowe. Wypełniały je płomienie i dym. Było tam dużo rzeczy, które mógł strawić ogień: papier, stare drewniane meble, a przede wszystkim drewniane belki w ścianach.

– William, słyszysz mnie?

– Słyszę – odezwał się słabo. – Jestem uwięziony. Znalazłem to. Zaraz przeczytam ci miejsca, w które wysyłali towar...

– Bądź gotowy do ewakuacji.

Desmond ocenił piekło przetaczające się przez piętro, próbując znaleźć przejście do biura w rogu. Większość boksów i biurków już się paliła, ale ogień przemieszczał się powoli. Na chwilę wrócił do Australii, domu swojego dzieciństwa. Tak jak wtedy zebrał się na odwagę i był zdeterminowany, by wejść w płomienie.

Ale tym razem ktoś chwycił go za ramię.

– Nie rób tego – powiedziała Avery. Złapała go za rękę i zaczęła

ciągnąć, ale ją odepchnął.

– Idź ze mną albo zostań – odparł – ale nie wchodź mi w drogę.  
Bez chwili namysłu wbiegł w ogień.



Na dworze padał gęsty śnieg, osiadał na wysypanym żużlem dziedzińcu. Peyton zostawiła za sobą ślady na przyprószonej białym puchem ziemi, szlak prowadzący do drzwi frontowych.



Było niemiłosiernie gorąco, ale dym okazał się jeszcze gorszy. Desmond maksymalnie wstrzymał oddech, potem odetchnął i zakasłał.

Był bliski omdlenia, kiedy dotarł do biura w rogu. Eksplozja powybijała okna, do środka wpadało chłodne powietrze podsycające ogień. Przez kilka sekund tylko głęboko oddychał.

Przed sobą ujrzał Williama leżącego pod metalową szafką na dokumenty, młócaącego rękami, szukającego sposobu na wydostanie się spod przygniatającego go ciężaru.

Desmond dopadł do niego i chwycił metalową szafkę. Był zaskoczony, gdy usłyszał za sobą czyjeś kroki. Avery. Ona również złapała za szafkę i razem ją pociągnęli. Mebel nie tylko był ciężki, ale również przygnieciony gruzem ze ściany i sufitu. Jednak unieśli go na tyle, żeby William mógł się uwolnić. Wetknął teczkę pod kamizelkę i próbował wstać. Jedna noga nie była uszkodzona, ale skrzywił się, gdy dotknął ziemi drugą.

Desmond nie czekał. Pochylił się i pomógł mu wstać. William ważył z osiemdziesiąt kilogramów, więc ciało Desmonda zaprotestowało; jeszcze nie zagoiły się jego poobijane zebra. Jednak parł do przodu, stawiał krok za krokiem. Avery prowadziła, odsuwała biurka i gruz z ich drogi.

Wkrótce Desmond wypuścił wstrzymywane powietrze, wziął głęboki

oddech, jego usta wypełniły się dymem, rozkasłał się i potknął, ale nie wywrócił. Gdyby teraz upadł, Avery musiałyby wybrać, którego z nich wyciągnąć z płomieni.

Kręciło mu się w głowie, rozmazywał się obraz przed oczami. Chwiał się. Poczł rękę Avery na ramieniu, ciągnęła go do przodu.

Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Miał świadomość, że nadal idzie. Przez jego ciało przepływały fale mdłości.

Dym był jak czarna ściana. Wydawało mu się, że powinni się już z niego wydostać. Ale zapewne pożar się wzmógł, odkąd wszedł w płomienie. Stracił nadzieję na ucieczkę. Jego ciało drżało, trzęsło się, jakby wpadł do bębna pralki. Nogi ugięły się pod nim. Upadł. William poleciał na niego. Wszystko pochłonęła czerń.



Peyton zatrzymała się przed rzędem płonących boksów. Sapała, próbowała złapać oddech. Bolała ją klatka piersiowa. Ale musiała przeć do przodu. Zakryła usta i zaczerpnęła powietrza, przygotowując się na wejście między boksy.

W tej chwili zauważyła jakąś postać wyłaniającą się z dymu. Avery. Szła tyłem. Ciągnęła kogoś. Peyton przyjrzała się i zauważyła krótkie, osmolone włosy. *Desmond*.

Kiedy tylko wyszli z ognia, Avery upadła. Desmond spoczywał na jej kolanach. Avery zgięła się w pół i zakasłała.

Peyton pochyliła się nad Desmondem, zakryła usta i kasłała. Nie oddychał. Zatrul się dymem.

Resztką sił Peyton odciągnęła go od Avery i rozpięła mu kamizelkę.

Avery leżała bez ruchu i patrzyła załzawionymi oczami.

– A mój ojciec? – spytała Peyton.

Avery zamknęła oczy, ledwie mogła ruszyć głową. Peyton próbowała się skupić.

Zaczęła od uciskania klatki piersiowej, policzyła do trzydziestu, po czym zrobiła sztuczne oddychanie.

– Avery – powiedziała, sapiąc – musisz znaleźć defibrylator.

Kobieta przetoczyła się na brzuch, odepchnęła łokciami. Głowa przechylała się jej z boku na bok jak bokserowi po nokaucie. Znowu upadła, przetoczyła się na plecy, z trudem zaczerpnęła powietrza. Wyglądało na to, że zaraz zemdleje.

Zza ściany dymu dobiegło jakieś skrobanie.

Peyton podniosła wzrok i zobaczyła ojca, który kulejąc, wychodził z pożaru, jedną ręką zasłaniając usta.

Rozpoczęła kolejną serię uciśnień.

William padł na kolana obok niej i rozkaszał się.

– Wyjdź.

Peyton popatrzyła na Desmonda. Nie zdołałaby go podnieść. Żadne z nich nie miało tyle siły. Ale nie zostawi go. Już raz go straciła; nie straci go ponownie. Nie mogłaby. Nie zniosłaby myśli o tym, że stała na zewnątrz, podczas gdy on umierał w płonącym budynku.

W tej chwili wreszcie naprawdę zrozumiała, przez co przeszedł jako dziecko. To było niewyobrażalne. Wina. Wyrzuty sumienia. A przecież był jeszcze dzieckiem.

Płomienie i dym obejmowały coraz większą przestrzeń. Złapała Desmonda pod pachy i odciągnęła. William czołgał się, upadł obok Desmonda, sapał, próbując złapać oddech. Rozpiął swoją kamizelkę, wyjął teczkę.

– Avery! – powiedział. Jego głos był słaby i szorstki.

Kobieta znajdowała się kilka metrów od nich, bliżej ognia i dymu. Podniosła głowę.

– Mam miejsca. Zabierz to. Wyjdź stąd.

Oczy Avery zalśniły. Na widok teczki poczuła przypływ energii. Przeczłogała się po podłodze, wzięła teczkę. Oddychała płytko i znowu się rozkasłała.

William położył rękę na jej ramieniu.

– Idź.

Peyton przytknęła usta do warg Desmonda i pompowała w niego swój oddech.



Kątem oka widziała, jak William popycha Avery.

– Idź. Zanim będzie za późno.

Avery wstała i chwiejnie wyszła ze skrzydła biurowego.

Peyton nadal klęczała, przygotowywała się do kolejnych uciśnień klatki piersiowej. Po jej twarzy spłynęła łza. Desmond umrze w jej ramionach.

Spotkała się wzrokiem z ojcem.

– Tato, proszę, znajdź defibrylator. Umrze bez tego.

## ROZDZIAŁ 91

William był przekonany, że ma skręconą kostkę. Nie złamaną, ale promieniowała bólem za każdym razem, gdy przenosił na nią ciężar ciała. W wypełnionym dymem skrzydle biurowym, gdzie Peyton pochylała się nad Desmondem, próbując uratować mu życie, pokuśtykał do biurka i znalazł to, czego szukał: przewróconą lampę i przezroczystą taśmę klejącą. Szybko rozkręcił lampę i wsadził metalowy pręt do buta równolegle do łydki. Miał ochotę krzyczeć z bólu, ale zacisnął zęby, chwycił taśmę i ciasno owinął dolną część nogi i kostkę, żeby ją unieruchomić.

Stanął na niej, żeby sprawdzić usztywnienie. Ból był nie do zniesienia.

Odwrócił się i sprawdzał ściany w poszukiwaniu defibrylatora, podskakując jak jednonożny pirat ze starego filmu.



Z każdym krokiem Avery oddalała się od ognia, coraz łatwiej jej się oddychało. Na klatce schodowej wyjęła teczkę i przejrzała jej zawartość.



Minąwszy boksy, William przesuwiał się wzdłuż ściany. Minutę później odczytał rosyjskie litery i zdjął urządzenie. Wrócił w miejsce, gdzie Peyton nadal ratowała Desmonda. Podniosła wzrok, gdy się zbliżył. Była

zapłakana. Ten widok łamał mu serce.

Wyjęła urządzenie z jego rąk, rozdarła koszulę Desmonda i przykleiła elektrody do jego piersi. Odsunęła się i wcisnęła duży, zielony guzik na skrzynce.

Najpierw urządzenie zapiszczało, potem strzeliło, sprawiając, że ciało Desmonda wygięło się w łuk. Gwałtownie wciągnął powietrze, rzucał głową we wszystkie strony i krzyczał – jego głos był skrzypiący, zachrypnięty jak u starego palacza.

Peyton objęła dłońmi jego głowę.

– Hej.

Jego pierś unosiła się ciężko. Uchylił powieki. Na ustach pojawił się zmęczony uśmiech. Wypowiedział jedno słowo. Brzmiało jak „Scully”. William nie miał pojęcia, co to znaczy, ale wydawało mu się, że Peyton była zadowolona. Roześmiała się, łzy popłynęły jeszcze obficie. Łzy radości, pomyślał William.

– Musimy iść – powiedział. – Mogę chodzić. Peyton, pomożesz mi?

Zakasłała, próbując oczyścić płuca i złapać oddech. Następnie pomogła Desmondowi wstać i cała trójka, słaniając się, wyszła z płonącego budynku.

Za drzwiami na pokrytym śniegiem żużlu było widać ślady dwóch osób: Peyton, gdy tu szła, oraz Avery.

Zostawiła ich.

## ROZDZIAŁ 92

Conner siedział przy stole konferencyjnym i słuchał najnowszych raportów. Francja i Grecja stały się pierwszymi krajami, które dołączyły do Zwierciadła. Na dużym ekranie oglądał nagranie przedstawiające dystrybucję leku w Paryżu.

– Zatrzymajcie tutaj. Wytnijcie te pięć sekund i wykorzystajcie je.

Ktoś podszedł do niego od tyłu i podał mu kartkę.

*Doszło do zdarzenia. W związku z Hughesem. Pilne.*

Conner przeprosił i udał się do swojego biura, gdzie przy laptopie czekał na niego agent wywiadu. Chociaż rząd przejął kontrolę nad Internetem, prywatna sieć Citium przyłączona do satelity nadal funkcjonowała. Agent otworzył połączenie z siecią Citium i włączył film z przekazu satelitarnego. Na nagraniu trzy postacie otwierały żelazną bramę, która otaczała Teren 79.

– Przybliź.

Conner przyglądał się ich twarzom. Desmond. Avery. William Moore. Desmond odnalazł starego. Razem mogli narazić na szwank to, nad czym pracował.

– Kiedy to zostało nagrane?

Agent sprawdził czas.

– Piętnaście minut temu.

– Macie kamery w środku?

Mężczyzna kliknął parę razy i na ekranie pokazały się nagrania z kamer umiejscowionych wewnątrz. Na trzech filmach widzieli, jak

poruszają się po budynku i czegoś szukają.

Rozdzielili się, pomyślał Conner.

– Mamy ładunki w budynku?

– Tak. Standardowe środki ostrożności Zwierciadła. W laboratorium i archiwum.

– Wysadzić? – spytał agent.

– Nie. – Conner podniósł rękę. – Poczekajmy.

Przez dziesięć minut siedzieli w ciszy. Kiedy William dotarł do biura, zatrzymał się przy biurku i spojrzał na ramkę ze zdjęciem. Nagrywająca w ciemności kamera uchwyciła zmianę wyrazu jego twarzy. Rozpoznanie. Zrozumienie. Następnie podszedł do szafy z dokumentami i zaczął przeglądać teczki.

– Czyje to biuro? – spytał Conner.

– Nie wiem.

– Dowiedz się – warknął Conner.

Na ekranie William zatrzymał się przy ostatniej szufladzie, przeglądał teczkę i powiedział do mikrofonu: Zlokalizowałem cel.

Conner wstał.

– Gdzie jest Hughes?

Agent przełączył na nagranie z oddziału kwarantanny. Hughes podnosił plastikową zasłonę z obrzydzeniem na twarzy.

– A dziewczyna?

Teraz pojawiła się Avery w maszynowni, gdzie próbowała uruchomić generator.

– Wysadź ładunek w biurze.

– Tylko tam?

– Tak. I pokaż obraz ze wszystkich kamer.

Na ekranie pojawił się obraz z trzydziestu kamer. Uruchamiał je ruch i mogły działać do trzydziestu godzin bez zasilania.

Na sześciu obraz się urwał. Na dwóch widać było dym wydostający się na korytarz. Inna pokazywała palące się biuro.

Desmond przebiegł przez korytarz. Avery również.

Conner usiadł wygodniej, zastanawiając się, co zrobi Hughes.

Desmond zatrzymał się przy ogniu. Nie wejdzie, pomyślał Conner. Był tego pewien. Avery złapała go za ramię, ale strącił jej rękę i ku zaskoczeniu i przerażeniu Connera wbiegł w płomienie.

Conner wstał i wyszedł z biura.

– Proszę pana?

Nie mógł na to patrzeć.

– Zaraz wrócę. Nie wychodź – powiedział.

Wyszedł na dwór i zastanawiał się, czy podjął właściwą decyzję.

Dziesięć minut później wrócił do biura, gdzie agent nadal oglądał przekaz z kamer.

Trzy postacie stały przed budynkiem: Peyton, William i Desmond. Udało mu się. I była z nimi Peyton. To jeszcze bardziej komplikowało sprawę.

– Co chce pan zrobić?

– Trzeba opracować nowy plan. Taki, który musi się powieść.

## ROZDZIAŁ 93

Stojąc w padającym śniegu, Desmond, Peyton i William przyglądali się płonącemu budynkowi. Byli zbyt zmęczeni i poturbowani, by odejść.

Desmond włączył mikrofon.

– Avery, słyszysz mnie?

Żadnej odpowiedzi.

Peyton popatrzyła na niego znacząco.

– Avery...

Ciszę przerwał ryk silnika. Jakiś pojazd jechał z najwyższą prędkością w ich stronę. Desmond nie widział go wyraźnie, ponieważ na drodze podniosła się chmura pyłu.

Pojawiły się światła auta, ich żółty kolor rozmazywał się w śniegu i wietrze. Minęły żelazną bramę i znalazły się na dziedzińcu, spod kół strzelały kawałki żużlu, gdy auto jechało wprost na nich.

Pojazd okręcił się i zatrzymał.

Kierowca otworzył drzwi.

Avery wyszła i zerknęła ponad dachem czarnej wołgi GAZ-21.

Silnik turkotał jak psujący się przestarzały kaloryfer.

– Pomyślałam, że to nie jest najlepsza pora na spacer.

Desmond uśmiechnął się, gdy wsiedli do starego samochodu i oddalili się od płonącego budynku.



Postanowili, że od razu jadą na lotnisko. Jeśli ktoś specjalnie aktywował ładunki, a nie wybuchły pod wpływem ich działań, grupa zbrojna jest już pewnie w drodze. Najpierw skierowali się na północ, potem odbili na wschód, następnie na południe, chcąc zmylić tego, kto mógł ich śledzić dzięki różnym satelitom.

Kiedy znaleźli się na wysokości przelotowej, William włączył autopilota i pokuśtykał do kabiny pasażerskiej. Peyton chciała obejrzyć jego ranę na nodze, ale nie pozwolił na to. Już doszła do siebie po zatruciu dymem z płonącego budynku. Czowała się coraz gorzej, a wysiłek fizyczny ostatnich godzin jeszcze pogorszył jej stan. Bolało ją całe ciało.

William zwrócił się do Avery.

– Musimy zdecydować, dokąd lecimy. Masz teczkę?

Avery podała mu dokumenty, William otworzył je i zaczął przeglądać kolejne strony.

– Wydawało mi się, że było ich więcej – mruknął pod nosem.

– Co to jest? – spytała Peyton.

– Zapotrzebowania. Manifesty ładunkowe. Zapasy leków. Wody. Jedzenia. Namioty. Antybiotyki. Płyny nawadniające.

– Wszystko, co potrzebne, żeby przeprowadzić próbę epidemii – zauważył Desmond. – Ale żadnych dokumentów potwierdzających wysyłki leków lub wirusa? Zakładaliśmy, że korzystali z kartonów, taśmy i wody.

– Jest tu woda – powiedział William. Zastanawiał się nad czymś. – Poza tym w manifestach prawdopodobnie będą inne pozycje – leki lub wirus mogą być opisane jako coś innego.

Peyton uważała, że coś tu się nie zgadzało.

Desmond wyjął smartfona.

– Jaki jest najbliższy cel?

William podniósł głowę, jakby dopiero uświadomił sobie, że nie jest sam.

– Właściwie wszystkie wysyłki poszły w to samo miejsce.

– Może był tam węzeł dystrybucyjny. Aralsk-7 jest pozbawiony dostępu do morza i leży trochę na uboczu.



– Może. – William nie był przekonany. – Australia Południowa, w pobliżu Adelajdy. Odbiorcą jest Sojusz Pomocy Australii Południowej. – Odczytał adres, który Desmond wprowadził do telefonu.

Peyton, William i Avery zaglądali mu przez ramię.

Obok długiego metalowego budynku rozciągał się kompleks namiotów. Przypominał Peyton obóz uchodźców w Dadaab. W pobliżu wybudowano lądowisko. Desmond przesunął mapę w prawo, potem w lewo. Peyton pochyliła się nad nim.

*Czego on szuka?*

Zatrzymał się na czarnym punkcie pośród brązowego krajobrazu. Wtedy zrozumiała: to były ruiny jego domu z dzieciństwa. Drugie miejsce wskazane przez aplikację Labirynt Reality. Jego drugie zabezpieczenia, które leżało około stu kilometrów od obozu. O co tu chodzi? Jak to się łączyło? Musiało się jakoś łączyć, to byłby zbyt duży zbieg okoliczności.

– Tu znajduje się druga lokalizacja wskazana przez Labirynt – powiedział Desmond. – Chciałem tam jechać, a teraz wiemy, że Citium wysyła towary w to miejsce. Nawet jeśli te dwa wątki są niepołączone, możemy za jednym razem sprawdzić oba.

William przerzucał strony w teczce, dokładnie przeglądał adresy na każdym manifeście.

– O co chodzi, tato? – zaniepokoiła się Peyton.

– Coś się nie zgadza. Miejsce powinno być portem albo jakimś węzłem transportowym, a nie organizacją pomocową.

– Niektóre kartki mogły wypaść podczas ucieczki – zauważyła Avery.

William odwrócił wzrok.

– Prawda.

– A może mamy złą teczkę – dodał Desmond.

– Niestety nie możemy wrócić i lepiej poszukać – skwitowała Avery. – Ale wiemy, że coś tam wysyłali.

– W tej chwili uważam, że to nasza jedyna szansa – wtrącił Desmond.

Zapadała cisza.

Peyton spotkała się wzrokiem z Desmondem. Wyczuła, że chce

zobaczyć swój stary dom. Pamiętała ich wspólny wyjazd sprzed wielu lat, tłumione emocje i fakt, że nie chciał się do nich przyznać. Zgadzała się z nim: to był najlepszy wybór.

– Uważam, że powinniśmy to sprawdzić – powiedziała, zerkając na Desmonda.

– Ja też – rzuciła Avery.

William potaknął. Nadal był zatopiony w myślach. W końcu wstał.

– Dobrze. Zmienię kurs.

# DZIEŃ 13

**5 mld 900 mln** zarażonych

**9 mln** ofiar śmiertelnych

## ROZDZIAŁ 94

Millen spał od dwóch godzin, kiedy obudził go komunikat podawany przez radiowęzeł.

– Personel Centrum Operacji Kryzysowych proszę się zgłosić do auli A. Ton był ponagląjący.

Pokój Millena był małym biurem – ciemnym i zimnym, ale cichym.

Włączył lampkę na stole, zwinął legowisko i podszedł do biurka, na którym leżały jego spodnie. Włożył je i pobiegł na dół.

Aula pękała w szwach. Phil stał na środku sceny i sprawdzał coś w laptopie.

– Dobrze, słuchajcie. Biały Dom otrzymał kolejną wiadomość od Citium – tym razem film. Zaraz wam go odtworzę, a potem porozmawiamy, co robić. Proszę o ciszę.

Film pojawił się na ekranie za Stevenssem. Na ulicy jakiegoś miasta stali chorzy ludzie, kolejka ciągnęła się na całą długość przecznicy. Wielu kaszało. Niektórzy siedzieli na wózkach inwalidzkich. Na początku kolejki ludzie podciągali rękawy. Człowiek w białym kitlu z logo Czerwonego Krzyża trzymał iniektor. Przytykał go do ramienia każdej osoby, naciskał guzik, a następnie zmieniał nakładkę jednorazowego użytku.

Kobieta siedząca przy stole rozmawiała z każdą zaszczepioną osobą, wpisywała coś do laptopa – prawdopodobnie dane osobowe – a potem podawała nalepkę.

Kamera zrobiła zbliżenie na jedną z nalepek.

## X1 Guéri

Na dole wyświetliło się tłumaczenie X1 Wyleczony.

Kamera objęła teraz szerszy plan, w oddali widać było wieżę Eiffla.

Zmiana scenerii. Kolejne miasto i podobna kolejka ludzi z zakasnymi rękawami. Na wzgórzu nad nimi wznoszą się ruiny. Akropol. Millen od razu rozpoznał Partenon. Ateny.

Pojawił się również komentarz wygłoszony męskim głosem z lekkim brytyjskim akcentem:

*Dzisiaj przed południem ludzie we Francji i Grecji otrzymali lek ratujący życie zarażonych wirusem X1-Mandera. Wam zaoferowaliśmy ten sam specyfik. Odmówiliście. Aby utrzymać władzę, skazaliście na śmierć swoich obywateli. Wysyłamy to nagranie, żeby dać wam ostatnią szansę.*

*Zróbcie to, co właściwe dla dobra swoich obywateli. Ocalcie ich.*

*Prosimy o bardzo niewiele. Chcemy pokoju na świecie, gdzie żaden człowiek nie zabija drugiego, gdzie napędem świata jest nauka, nie chciwość, nie wojna, nienawiść czy egoizm.*

*Na wypadek gdybyście potrzebowali kolejnych dowodów, przemyśliśmy lek za wasze granice, abyście mogli sami się przekonać.*

Na nagraniu pojawiła się biała kobieta po czterdziestce. Razem z nią nastolatka i młodszy chłopiec, za nimi było tylko czarne tło. Kobieta patrzyła w kamerę i zaczęła mówić z akcentem z południa.

*Nazywam się Amy Travis. Mieszkam w Johnson City z córką Brittney i synem Jacksonem. Byłam chora. Moje dzieci również. W moim domu pojawił się jakiś mężczyzna. Powiedział, że należy do grupy badaczy Citium. Sprawdzają potencjalny lek. Zgodziłam się go wypróbować. Nagrywam to wideo, ponieważ chcę, żeby inni dowiedzieli się, że lek działa. Jestem dowodem. I moje dzieci też.*

Znowu zmiana planu. Tym razem przemawiał młody, czarnoskóry mężczyzna. Obok niego siedziała kobieta z kilkuletnim chłopcem na kolanach.

*Nazywam się Roger Finney. To moja żona Pamela i nasz syn Brandon.*

Głos spoza ekranu powiedział coś, czego Millen nie zrozumiał.

*O tak, mieszkamy w stanie Nowy Jork, tuż obok Rome. Dostaliśmy lekarstwo. Wypełniliśmy formularze. Nie mieliśmy wiele do stracenia. Podziałało. Poczuliśmy się lepiej jeszcze tego samego wieczoru. Ustał ból głowy i gorączka. Zaraz potem przestaliśmy kastać.*

Ekran pociemniał, ale po chwili zaczęły się pojawiać zdjęcia z całej Ameryki. Przedstawały strefy odizolowane. Drut kolczasty na ulicach. Autobusy, do których wsiadali i z których wysiadali ludzie przy Astrodromie w Houston i AT&T Park w San Francisco, ciężarówki z plandeką na pace, z których wyładowywano zapasy, Gwardię Narodową patrolującą miasta.

*W tej chwili tak wygląda wasz kraj. Ale wcale nie musi tak wyglądać.*

Pojawiło się więcej zdjęć, ale teraz przedstawiały Paryż i Ateny, zadowolonych ludzi, którzy dostawali zastrzyk. Potem znowu zdjęcia dwóch amerykańskich rodzin.

*Przyjmijcie nasze żądania. Uchwalicie przepis, który umożliwi Zwierciadłu przejęcie władzy. Jeśli nie zrobicie tego w ciągu dwóch godzin, przekażemy nasze żądanie waszym obywatelom. Oni obalą rząd. Rezultat będzie taki sam, ale dopuścicie do rozlewu krwi. Pomyślcie. Podejmijcie właściwe decyzje, odpowiedzialne decyzje. Tak jak Francja i Grecja.*

Nagranie dobiegło końca.

W auli zawrzało od pytań. Przez tłum przetoczyły się krzyki, jakby rozgrywano mecz piłki plażowej.

Stojący na scenie Stevens głośno zagwizdał.

– Dość!

– Czy to prawda?! – krzyknął ktoś z tyłu.

– Zamknijcie się i słuchajcie! – wrzasnął. – Tak. To, co widzieliście, to prawda.

Odpowiedzią było zaskoczenie oraz szept. Millen też miał nikłą nadzieję, że wideo zostało sfałszowane.

– Pięć godzin temu – ciągnął – rządy Francji i Grecji zgodziły się na warunki Citium. Citium, jak nazywają siebie terroryści, przejęło kontrolę w obu krajach nad wojskiem, siecią elektryczną

i infrastrukturą internetową. Rozdystrybuowali lek, który wydaje się skuteczny.

Przez aulę przeszedł pomruk.

– Rządy Francji i Grecji dostarczyły nam próbki leku. Dwie godziny temu przywiozły je wojskowe odrzutowce. W tej chwili naukowcy badają je w tym budynku.

Millen zastanawiał się, czy porównują je z przeciwciałami Halimy i chłopca, a także próbkami, które przywiózł od Elima i Dhamirii.

– Jak wiecie, przygotowujemy się na możliwość konfliktu zbrojnego. Obecnie ci, którzy przeżyli, i ci, którzy mają szanse na przeżycie, są w drodze do Atlanty i innych stref izolowanych. W tej chwili musicie zdecydować, po której stronie stoicie. Czy chcecie pomóc w obronie miasta, czy dołączyć do Citium i próbować obalić rząd.

Dopiero teraz Millen zauważył żołnierzy piechoty morskiej pod ścianą i przy wyjściach.

– Zastanówcie się dobrze. Ta decyzja może kosztować was życie.

## ROZDZIAŁ 95

Na pokładzie samolotu Czerwonego Krzyża Desmond, William, Peyton i Avery zastanawiali się, gdzie wylądować. W Aralsku-7 nie mieli wyboru: pas startowy był jedyną drogą na wyspę i znajdował się na tyle daleko od miasta i laboratoriów, że byli dość bezpieczni. Ale pojedynczy pas w Australii przylegał do obozu.

W opinii Peyton pozostałe możliwości również nie prezentowały się atrakcyjnie. Desmond chciał, żeby wylądowali na polu, ale obawiał się, że nie wytrzymają rozpory w podwoziu samolotu. Avery proponowała wylądowanie na drodze. Sprawdzili mapę i znaleźli kilka odpowiednich miejsc, ale William nie był przekonany: a jeśli są tam linie elektryczne, opuszczone auta, skrzynki na listy lub inne rzeczy niewidoczne na zdjęciu satelitarnym?

Mimo to doszli do wniosku, że to najlepszy wybór. Sprawdzili instrukcje samolotu, odczytali, jaki jest rozstaw kół, i ułożyli równanie. Wyszło, że koła zmieszczą się na drodze, ale ledwo ledwo. Wybrali miejsce, pokołowali nad nim i upewnili się, że na ścieżce lądowania nie ma przeszkód.

Peyton zapięła się i przygotowała na najgorsze, gdy jej ojciec ustawił samolot i zaczął podchodzić do lądowania. Koła zapiszczały po chodniku, cały samolot zawibrował, ale zaczął zwalniać, gdy znalazł się na asfalcie, poranne słońce wpadało przez szyby. Tylne koła wjechały na pobocze, ale William szybko wyrównał, zwolnił i zatrzymał maszynę.

Avery i Desmond wyszli, żeby zrobić zwiad w obozie. Peyton patrzyła,



jak kroczą po brązowej ziemi w kamizelkach kuloodpornych i z półautomatycznymi karabinami przewieszonymi przez ramię. Nie lubiła zostawiać Desmonda sam na sam z Avery – nadal jej nie ufała.

Jakby czując, że Peyton się mu przygląda, Desmond zatrzymał się i odwrócił. Na jego ustach pojawił się uśmiech, gdy zobaczył ją w drzwiach.

- Próba mikrofonu – powiedział.
- Słyszę cię – odparła. – Bądź ostrożny.
- Przyjąłem.

Peyton przypomniała im, że mają się trzymać z dala od każdego, kto nie będzie wyglądał na chorego.

Kiedy Desmond i Avery zniknęli za wzgórzem, Peyton poszła do ojca. Wcześniej zabandażowała mu nogę i sprawdziła siniaki i zadrapania, ale potrzebował prześwietlenia oraz leków przeciwbólowych silniejszych niż ibuprofen, który my podała. To będzie musiało poczekać.

- Nie ufam jej – oświadczyła.

Przeglądał teczkę z Aralska-7, przerzucał strony, jakby przeliczał talię kart.

- Ja też nie.



Dwieście metrów od obozu Desmond i Avery położyli się na ziemi i na zmianę przykładali lornetkę do oczu.

To, co zobaczył Desmond, nie miało sensu. Byli tam zdrowi ludzie. Dzieci szły do szkoły. Kobiety gotowały śniadanie na otwartym palenisku przed wiatą z cementową podłogą, metalowym zadaszeniem i wzmocnieniami z czterech stron. Mniej więcej połowa z nich była pochodzenia aborygeńskiego.

Nie było tam ani jednej chorej osoby. Żadnego personelu w kombinezonach ochronnych.

Czy to był obóz testowy należący do Citium? Czy ci ludzie byli szczęściarzami – grupą testową, która dostała działający lek?

Desmond skupił się na największym budynku, również z blachy, który był zamknięty z każdej strony i miał z tyłu małą rampę dostawczą. Nad drzwiami wisiał znak z napisem: SPAP. Pod nim dwie linijki tekstu: *Sojusz Pomocy Australii Południowej* oraz *Pomoc zamiast jałmużny*. Drzwi były uchylone i kiedy patrzył, wyszła przez nie kobieta z włosami przetykanymi siwizną i powędrowała na rampę załadunkową. Był początek lata, więc miała na sobie koszulkę z długim rękawem, która marszczyła się na wietrze.

Desmond skupił się na tym, co widzi. Zrobił wielkie oczy, gdy zobaczył jej twarz. Trochę się postarzała, ale nie miał wątpliwości, kim jest. Łamał sobie głowę, by znaleźć powód, dla którego się tu znalazła i dlaczego teczka Citium doprowadziła ich w to miejsce.

Opuścił lornetkę.

Avery zauważyła jego niepokój.

– Co się dzieje? – Wzięła lornetkę, popatrzyła na obóz, próbując znaleźć to, co go zaniepokoiło. – Co zobaczyłeś, Des?

Wstał.

Położyła się na boku i popatrzyła na niego z przestrawieniem.

– Kładź się.

– Chodź. Wejdziemy do obozu.

– Oszalałeś? Tak po prostu chcesz tam wejść?

– Tak. To nie to, o czym myśleliśmy.

## ROZDZIAŁ 96

Najkrótszą drogą szli przez pole w stronę budynku stojącego po prawej stronie białych namiotów.

Avery chwyciła Desmonda za rękę.

– Powiesz mi, o co tu chodzi?

– Sam nie wiem.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że dzieje się tu coś, czego nie rozumiem. Brakuje jednego kawałka układanki.

Patrzył wprost na rampę załadowniczą, gdzie stała kobieta. Zauważyła ich i osłoniła oczy dłonią. Wołała kogoś, kto znajdował się w środku.



W samolocie William krzywił się, gdy Peyton na nowo zakładała mu opatrunek na kostkę.

– Przepraszam – wyszeptała.

– W porządku. Trochę boli.

Podniósł jakąś kartkę i przyglądał się odręcznym notatkom na marginesie. Już był pewien.

– Bravo, Tango, zgłóście się – powiedział do radia.

Żadnej odpowiedzi.



Gdy Desmond i Avery zbliżyli się do budynku, kobieta zeszła z rampy i przeszła po szutrowym podejździe. Zatrzymała się na skraju pola, zmrużyła oczy i próbowała zobaczyć, kim są. Desmond zastanawiał się, czy go rozpozna.

Z budynku wyszedł jakiś mężczyzna, stanął obok i o coś ją zapytał. Pokręciła głową.

Avery zdjęła karabin z ramienia.

– Nie rób tego – ostrzegł ją Desmond.

– Jestem przerażona, Des. Wyjaśnij mi, co się dzieje.

– Powiedziałem, że nie wiem.

Zauważyli ich ludzie jedzący przy stołach pod zadaszeniem. Niektórzy wstali, próbując lepiej zobaczyć dwoje ludzi w kamizelkach kuloodpornych.

Kiedy do celu zostało im jakieś trzydzieści metrów, mężczyzna wyszedł im na spotkanie. Wyglądał na niespełna czterdzieści lat. Powiewające na wietrze brązowe loki upodobały go do surfera.

Kiedy się odezwał, mówił z australijskim akcentem i nieskrywaną podejrzliwością.

– Mogę wam jakoś pomóc?

Avery zerknęła na Desmonda.

– Nie, nie sędzę. Ale wydaje mi się, że *ona* może.

Wyminął mężczyznę, który również pośpiesznie ruszył w stronę kobiety. Stała bez ruchu, nie okazując zdenerwowania, jedynie ciekawość.

Desmond zatrzymał się i przyjrzał jej twarzy, gdy był dziesięć metrów od niej.

– Cześć, Charlotte.



William ponownie próbował połączyć się przez radio, ale nie uzyskał odpowiedzi. Peyton widziała, że z każdą sekundą coraz bardziej się

denerwuje.

– O co chodzi? – spytała.

– Sam nie wiem.

Zaczął nakładać swoją kamizelkę i szykować się do wyjścia.

– Zamierzasz tam pójść?

– Tak...

Oboje usłyszeli to w tej samej chwili: silnik ciężarówki jadącej po wzgórzach.

Peyton wstała i zamierzała podejść do drzwi, ale ojciec złapał ją za rękę.

– To ważne, Peyton. Jeśli rozpoznasz kogoś w obozie, nic nie mów. Najpierw powiedz mnie.

– Dobrze.

Poszła na koniec samolotu, żeby odkasłać. Gorączka i dreszcze były coraz silniejsze. Podciągnęła koszulę. Wysypka się powiększała. Na dłoni, którą zakrywała usta, pojawiły się kropelki krwi. Starła je spodnią stroną koszuli. Nie chciała, by ojciec lub Desmond wiedzieli, jak bardzo jest chora.

Kilka minut później w drzwiach samolotu pojawił się Desmond.

– Jest bezpiecznie.

– Co znaleźliście? – spytał William.

– Nie to, co myśleliśmy. Chodźcie zobaczyć.

## ROZDZIAŁ 97

Pojechali starym land roverem, Avery za kółkiem, Desmond na miejscu pasażera, odwrócony do tyłu, żeby wyjaśnić Peyton i jej ojcu, co znaleźli w obozie.

– To obóz pomocy. Przyjmują wszystkich, którzy stracili dobytek na skutek klęsk żywiołowych: huraganów, powodzi, suszy, trzęsień ziemi. Są tam również i tacy, którym się nie powiodło. Tutaj stawia się ludzi na nogi.

– Czy, twoim zdaniem, testowano tam lek? – spytała Peyton.

– Wątpię. Sama się przekonasz.

– Znasz tam kogoś? – spytał William.

Desmond przekrzywił głowę, zaskoczyło go to pytanie.

– Tak. Kobietę, która jest tam szefową. Charlotte. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku moja rodzina zginęła podczas pożaru buszu. Charlotte była jedną z wolontariuszek, które pomagały poszkodowanym. Zajmowała się mną, pomagała odszukać mojego wuja i wysłać mnie do Ameryki.

– Rozmawiałaś z nią potem? – spytał William.

Desmond się zastanowił.

– Nic o tym nie wiem. Ale to możliwe.

– Rozpoznała cię?

– Tak.

William patrzył przez szybę, trybiki obracały się w jego głowie.

– Ciekawe.



Obóz nie był nowoczesny. Każdy dolar przeznaczony był na wykarmienie wielu ludzi i zapewnienie im dachu nad głową. Jedynym zaawansowanym sprzętem medycznym był stary aparat do zdjęć rentgenowskich, który został przekazane przez szpital Royal Adelaide. Peyton chciała skorzystać z niego, żeby prześwietlić nogę ojca. Ten jednak stanowczo się sprzeciwił, chociaż kulał, gdy wchodził do pordzewiałego budynku z blachy, i krzywił się za każdym razem, gdy dotknął ziemi uszkodzoną stopą.

– To naprawdę nie jest konieczne, Peyton.

– Jest, tato.



Desmond i Avery zastali Charlotte w biurze, właśnie pisała jakąś wiadomość na komórce. Trzymali się na odległość i unikali kontaktu wzrokowego. Peyton miała poważne wątpliwości związane z ich wejściem do obozu – nadal nie wiedziała, jak przenosi się wirus z osoby na osobę – jednak Desmond i William upierali się, że informacje są ważniejsze niż kwarantanna. Musieli zaryzykować. W końcu Peyton uległa, pod warunkiem że cała czwórka pozostanie w budynku i nie będzie wchodziła w żadne interakcje z mieszkańcami obozu poza Charlotte i jej zastępcą.

Charlotte zaprosiła ich ruchem ręki, wobec tego Desmond i Avery usiedli naprzeciw niej na krzesłach z lat siedemdziesiątych, które prawdopodobnie uratowano z jakiegoś starego budynku rządowego.

– Udało się? – zapytał.

– Nie. Internet nadal przekierowuje do strony AussieCordon. Sprawdzam dwa razy dziennie. – Odłożyła telefon. – Znaleźliście swoich przyjaciół?

Desmond przytaknął i powiedział jej o rentgenie.

– Cieszę się, że możemy pomóc. To wszystko, co tutaj mamy. Połamane kości trafiają się najczęściej. – Zamilkła na chwilę. – I poparzenia.

Desmond skinął głową. Jej widok i głos ożywiały jego wspomnienia. Wyraźnie pamiętał pobyt w szkole podstawowej zmienionej w szpital i czytanie w nocy przy lampce. Była dla niego światłem w ciemności. Zastanawiał się, kim jest teraz, co ją z tym wszystkim łączyło.

– Dostałeś moje listy? – spytała.

Uniósł pytająco brwi.

Smutny uśmiech przemknął przez oblicze Charlotte, jakby potwierdziły się jej obawy.

– Kiedy wyjechałeś, wysyłałam je co tydzień. Przez rok. Potem rzadziej. Raz na miesiąc.

Desmond wyobraził sobie na wpół pijanego Orville'a podchodzącego do skrzynki pocztowej, wyrzucającego listy do śmieci i mówiącego listonoszowi, że ma nie dostarczać niczego, co jest adresowane do Desmonda. „Chłopakowi nie potrzeba jakiejś tęskniącej baby, która robi z niego jeszcze większego mięczaka”, mógłby powiedzieć.

– Mój wuj był skomplikowanym człowiekiem – wyjaśnił Desmond. – Raczej trzymał się z dala od ludzi. Mnie też kazał.

– Podejrzewałam, że do ciebie nie dotarły. Dużo o tobie myślałam, gdy wyjechałeś, zastanawiałam się, jak ci się tam ułożyło. Miałam nawet pomysł, żeby pojechać z wizytą do Ameryki.

– Szkoda, że tego nie zrobiłaś.

– Było tak strasznie?

– Nie. Wcale nie – skłamał Desmond.

Charlotte chyba i tak mu nie uwierzyła. Umilkła, wbiła wzrok w blat biurka.

– A co u ciebie? – zapytał.

– Szkoda gadać.

– Wątpię.

Pokręciła głową.

– Ta organizacja jest całym moim życiem. Ta praca. Ci ludzie.

– Jesteś w tym dobra. Zmieniłaś moje życie.



Uśmiechnęła się.

– Wyszłaś za męża?

– Nie – powiedziała cicho. – Raz było blisko.

– Z tym facetem, który był z tobą w szkole?

Charlotte musiała się zastanowić.

– Och. On. Nie. Z nim nie było blisko.

Avery zaczęła się niecierpliwić.

– Wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać o sprawie, która nas tu sprowadziła.

Desmond westchnął.

– Dobrze. Charlotte, znaleźliśmy się tutaj, ponieważ były tu wysyłane pewne towary. Chcemy cię o to zapytać. Ale najpierw musimy coś ci opowiedzieć.



Peyton oglądała zdjęcie rentgenowskie kostki ojca, na którym nie widniały żadne pęknięcia.

– To tylko zwichnięcie – oceniła.

– Mówiłem ci. Czuję się świetnie.

– Staraj się ją oszczędzać, zagoi się za kilka tygodni.

– Świat nie ma kilku tygodni. – Chciał się podnieść, ale stanęła mu na drodze i oparła ręce na biodrach. Westchnął i opadł na krzesło.

Mimo jego nieprzerwanych protestów skorzystała z zaopatrzenia apteczki, żeby fachowo unieruchomić kostkę.

Kiedy skończyła, poszli do biura Charlotte. Już w korytarzu słychać było głos Desmonda. Opisywał, co znaleźli w Aralsku-7.

Peyton otworzyła drzwi.

Kobieta siedząca za biurkiem wyglądała na pięćdziesięciolatkę, miała drobne zmarszczki i dobrze się trzymała.

Peyton spojrzała ponownie. A potem szybko się odwróciła, próbując ukryć swoje zaskoczenie.

– Przepraszam, zapomniałam o czymś.

Złapała ojca za rękę, pociągnęła go na koniec korytarza do gabinetu lekarskiego i zamknęła drzwi.

– Peyton, nic mi nie dolega...

– Znam ją.

– Słucham?

– Tę kobietę. Rozpoznałam ją. Nie mogę w to uwierzyć.

## ROZDZIAŁ 98

Kiedy Peyton i jej ojciec wrócili do biura Charlotte, Desmond właśnie rozkładał teczkę na biurku.

– To są manifesty ładunkowe, które znaleźliśmy w Kazachstanie.

Charlotte przeglądała strony.

– Wyglądają na dokładne.

Charlotte nadal wczytywała się w kartki.

– Zostały opłacone przez Fundację Zenona.

Imię przykuło uwagę Peyton. Według tego, co opowiadała Avery, Zenon był greckim filozofem, który założył Citium ponad dwa tysiące lat temu.

– Co wiesz o tej fundacji? – spytał Desmond.

– Niewiele. Są bardzo hojni. Mają stronę internetową, na której mogę zamówić zapasy, wodę, a nawet pieniądze.

– Z kim się tam kontaktowałaś?

– Z Tannerem Goodwynem.

Nazwisko nic nie mówiło Peyton.

– Czy prosili cię, żebyś przeprowadziła jakieś testy eksperymentalnych szczepionek lub leków?

Charlotte wyglądała na poruszoną tą sugestią.

– Nie. I odmówiłabym, bez względu na to, jak bardzo potrzebowałabym wsparcia.

Cała czwórka zadawała Charlotte pytania, próbując ustalić, w jaki sposób była związana z wybuchem epidemii, ale nie znaleźli żadnego

wątku. Wydawało się, że Citium naprawdę bezinteresownie wspierało jej pracę.

– Możliwe, że to ja posyłałem zapasy – rzekł Desmond. – Chociaż nie wiem, dlaczego miałbym robić z tego tajemnicę.

– Słuszna uwaga – zauważył William. – Charlotte, czy moglibyśmy zostać na chwilę sami?

– Oczywiście. Poczekam na zewnątrz.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, William podsumował:

– To na nic. Szkoda czasu.

– Jest jeszcze to miejsce w pobliżu – powiedział Desmond. – Mój stary dom. Drugi punkt wskazany przez aplikację Labirynt Reality.

– To chyba nasz kolejny ruch. – William skinął na Avery. – Wy dwoje powinniście to sprawdzić. A my nadal popytamy Charlotte.



Dziesięć minut później Peyton, William i Charlotte stali na rampie i patrzyli na land rovera odjeżdżającego pylistą drogą.

– Charlotte, czy moglibyśmy zadać ci jeszcze kilka pytań? – spytał William.

– Naturalnie. – Wskazała im drogę do gabinetu.

William zamknął za nimi drzwi.

– Niewykluczone, że gdybyśmy dowiedzieli się czegoś o tobie, zrozumielibyśmy, jak jesteś z tym związana.

Uniosła pytająco brwi.

– No dobrze. Pytajcie.

– Desmond powiedział nam, że w latach osiemdziesiątych byłaś wolontariuszką.

– To prawda. Studiowałam wtedy, ale pracowałam jako wolontariuszka, gdy tylko mogłam.

– A co robiłaś po licencji?

– Poszłam na medycynę.

– Jaka specjalność?

– Lekarz rodzinny. Dostałam tytuł magistra zdrowia publicznego. To była moja pasja.

– Gdzie pracowałaś?

– Po szkole? W WHO. – Wyparowała z niej radość, jakby to było coś, o czym nie miała ochoty mówić.

– I wtedy straciłaś kogoś bliskiego?

Zaskoczył ją tym pytaniem.

– Tak. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku.

To wówczas widziała ją Peyton. Miała trzynaście lat i stała przy grobie w San Francisco. Cmentarz znajdował się na wzgórzu za miastem. W oddali widać było wieżowce oraz zatokę. Nad wodą wisiała gęsta mgła, jej białe macki oplatały czerwone, stalowe podpory mostu Golden Gate oraz błyszczące, srebrne budynki.

Kiedy część oficjalna dobiegła końca, jakaś mniej więcej trzydziestoletnia kobieta podeszła do nich ze smutnym uśmiechem na ustach. Odezwała się do matki Peyton, potem do Madison, a wreszcie do Peyton.

Mówiła z australijskim akcentem, miała miły głos.

– Twój brat wiele dla mnie znaczył, Peyton. Powiedział mi, że chcesz zostać lekarką.

– Już nie.

Kobieta wyjęła niewielki metalowy przedmiot z kieszeni płaszcza i podała go dziewczynce.

– Był bardzo dumny z ciebie. Wydaje mi się, że chciałabyś to mieć.

Położyła na jej dłoni małą srebrną przypinkę. Nastolatka przyjrzała się jej.

– Myślałam, że się spaliła.

– Została wyczyszczona i naprawiona. – Kobieta się uśmiechnęła. – Chciałam, żebyś dostała ją taką, jak wyglądała, gdy nosił ją twój brat. Wszystko można naprawić, Peyton. Niektóre rzeczy po prostu potrzebują więcej czasu niż inne. Nie pozwól, by tragedia odebrała ci marzenia.

Kobieta w obskurnym biurze w Australii popatrzyła na Peyton dwadzieścia pięć lat później z tą samą sympatią w oczach. Oraz

z błyskiem zrozumienia.

– Jesteś najmłodszą siostrą Andrew, prawda?

Peyton przytaknęła.

– Nadal dużo myślę o twoim bracie, bardzo za nim tęsknię.

– Ja też – przyznała Peyton cicho.

– Chciałabyś go zobaczyć?

## ROZDZIAŁ 99

Desmond wszedł powoli pomiędzy wypalone ruiny domu, w którym spędził pierwsze pięć lat swojego życia. Część wypalonego terenu zarosła roślinność. Zostały jedynie kamienne fundamenty i kominek, który stał jak poczerniały nagrobek.

Poczuł wibrację telefonu w kieszeni. Wyjął go. Pojawiła się wiadomość od Labirynt Reality.

Pobieranie ukończone.

*Pobieranie, ale czego? Jakiegoś innego wspomnienia?*

Nieoczekiwanie jego oczy zaszyły mgłą. Zakręciło mu się w głowie. Zachwiał się, stracił równowagę i przyklęknął na kolano. *Co się ze mną dzieje?* Ręką podparł się o ziemię. Czuł mdłości. Próbował się skupić, ale wspomnienie uderzyło go z całą siłą.

Stał w łazience przy długim blacie z dwoma umywalkami. W lustrze widział trzy pisuary na przeciwległej ścianie, wszystkie puste. Chyba był sam. Nie wiedział, gdzie się znajduje, ale wydawało mu się, że nie było to zbyt dawno – zapewne krótko przed tym, jak obudził się w Berlinie.

Patrzył sobie w oczy w lustrze i poważnie przemawiał.

„Mam nadzieję, że już wiesz, co się dzieje. To miejsce jest dodatkowym zabezpieczeniem. Nie potrafiłem dowiedzieć się, gdzie Citium produkuje lek, ale wiem, że wysyła go w różne punkty na całym świecie. W pobliżu musi być jakieś miejsce, gdzie go przechowują, być może w Adelajdzie.

Poszukaj go. Załączam resztę wspomnienia z tego miejsca. Może ci pomóc. Ale również zaboli. Przyniesie ulgę oraz ból”.

Łazienka zniknęła, Desmond znalazł się znowu w Australii, tego dnia 1983 roku, kiedy pożar buszu zabił jego rodzinę. Tylko że to wspomnienie dotyczyło poranka, zanim ogień zabił jego mamę. Nie rozumiał tego, co widzi. Poczł słabość w rękach.

A potem pojawiła się przy nim Avery.

Zamknął oczy, prawie zwymiotował.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył kilkanaście postaci w kamuflażu, biegnących od strony drzew. Sięgnął po swój karabin, ale go nie znalazł. Leżał na ziemi dwadzieścia metrów dalej. Kto go tam rzucił?

Zerwał się na nogi, ale zanim wstał, został kopnięty w klatkę piersiową.

– Leż, Des. – Avery stała i mierzyła mu w twarz z karabinu.

– Avery...

– Nie chcę zrobić ci krzywdy. – Przyjrzała mu się. – Przypomniałeś sobie, prawda?

– Tak.



## ROZDZIAŁ 100

Peyton patrzyła na Charlotte, która grzebała w starych szafach na dokumenty stojących w magazynie.

– Gdzieś tu jest... razem z innymi rzeczami, które zatrzymałam.

Ojciec Peyton wymownie spojrział na córkę, bezgłośnie pytając: *Dokąd to zmierza?*

Charlotte wyjęła starą taśmę VHS z dolnej szuflady.

W jednym z pokoi, gdzie stał mały, stary telewizor, wsadziła taśmę do odtwarzacza i nacisnęła przycisk play.

– To z dnia, kiedy umarł Andrew. – Charlotte patrzyła na ekran. – Jest w Ugandzie w drodze do Kopchorwa, to jego ostatni postój.

Peyton zobaczyła brata jadącego na pace pikapa, który podskakiwał na nieutwardzonej drodze, ciągnąc za sobą chmurę pyłu. To niesamowite, że znowu mogła zobaczyć jego twarz. Miał ciemne włosy jak Peyton, ale rysy mniej azjatyckie niż ona; wyglądał bardziej na Brytyjczyka, jak ich ojciec i ojciec mamy.

– Kopchorwa to małe miasto we wschodniej Ugandzie – wyjaśniła Charlotte – znajduje się jakieś trzydzieści kilometrów od granicy z Kenią. Wtedy mieszkało tam jedynie kilka tysięcy ludzi, ale każdego miesiąca ściągało wielu wieśniaków z pobliskich wsi na targowisko oraz do szpitala. To był rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy. Dopiero do nas docierało, jak źle wygląda sytuacja z HIV i AIDS. Wirus się rozprzestrzenił przez dziesiątki lat, zanim został odkryty. Najszybciej pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku

dziewięćdziesiątych. Na całym świecie były miliony zarażonych, w większości zupełnie nieświadomych. Żyli przez lata, czasem dekady bez objawów i przekazywali wirusa swoim partnerom. Wirus był śmiertelny dla dziewięćdziesięciu dziewięciu procent osób, które się nim zaraziły. Jedyne dostępne lekarstwo tylko spowalniało jego namnażanie się w organizmie. Andrew był bardzo odważny. Jeździł z miasta do miasta i do wiosek, stawał przed ludźmi i mówił, że ich sąsiedzi umierają na nieuleczalną chorobę, którą oni też mogą być zarażeni. Ale musieliśmy to robić. To była jedyna nadzieja na powstrzymanie pandemii.

– Też w to się zaangażowałaś? – zapytała Peyton.

Charlotte przytaknęła.

– Byłam w Kampali. Czekałam na jego powrót.

Na filmie pojawiło się wnętrze rozpadającego się budynku. Ugandyjczycy siedzieli na drewnianych ławkach, za nimi łuszczyła się biała farba na ścianach. Nad głowami wirowały dwa wiatraki, a zgromadzeni cały czas się wachlowali. Scena skojarzyła się Peyton z wiejskim kościołkiem w jakimś rolniczym zakątku głębokiego południa Stanów Zjednoczonych, w Alabamie lub Missisipi. Analogia nie była pozbawiona podstaw, ponieważ zgromadzeni byli pewnego rodzaju wyznawcami – lekarzami, pielęgniarzami, policjantami, nauczycielami, pracownikami centrów planowania rodziny, członkami różnych komitetów, starszyzną wioskową – i wszyscy zebrali się, żeby wysłuchać informacji, która mogła mieć wpływ na to, czy zależni od nich ludzie przeżyją, czy umrą...



Ugandyjskie Ministerstwo Zdrowia przekazało tym ludziom jedynie to, że usłyszą ważne ogłoszenie dotyczące zdrowia i bezpieczeństwa publicznego. Podobnie jak w innych miejscach, które odwiedził Andrew, mieszkańcy dystryktu Kopchorwa stawili się tłumnie; w pomieszczeniu było ponad sto osób. Ci, którzy się spóźnili i nie znaleźli miejsc siedzących, stali na końcu. Andrew zajął miejsce na rozklekotanej

mównicy, którą woził ze sobą po kraju. To był jego pulpit. Zerkali na tego wysokiego, białego mężczyznę, zatrzymywali na nim wzrok przez sekundę lub dwie i odwracali oczy, gdy zauważali protezę lewej ręki.

Na widowni zrobiło się cicho, kiedy administrator dystryktu odchrząknął i podszedł do mikrofonu. Nazywał się Akia i przemawiał po angielsku z silnym akcentem.

– Panie i panowie – powiedział, po czym zamilkł na chwilę, żeby nawiązać kontakt wzrokowy z jak największą liczbą zebranych. – Dziękuję, że tu przyszliście. To, co usłyszycie, może was zaszokować. Może... zmienić to, jak będziecie postrzegać ludzi obok siebie. Zapewne was wystraszy. Ja osobiście jestem przerażony. Ale chcę, żebyście wiedzieli, że rząd Ugandy robi wszystko, by pokonać tę śmiertelną epidemię. Zwycięzimy, a wy przyczynicie się do tego zwycięstwa, które zostanie zapamiętane przez nasze dzieci i wnuki. Chciałbym powitać naszego gościa, Andrew Shawa ze Światowej Organizacji Zdrowia.

Zaklaskało tylko kilka osób. Być może dlatego, że wiele trzymało wachlarze, a może nie były pewne, czy powinny klaskać po takim zatrważającym wstępie.

Andrew podszedł i rozpoczął prezentację, którą wygłaszał dziesiątki razy wcześniej. Mówił z brytyjskim akcentem, który pozostał mu po dzieciństwie spędzonym w Londynie.

– Na początku lat osiemdziesiątych, CDC, najważniejsza agencja wykrywająca choroby w Stanach Zjednoczonych, zaczęła badania nad śmiertelną i dziwną chorobą. Atakuje układ odpornościowy. Kiedy człowiek zaraża się tą chorobą, nie jest w stanie przeżyć zwykłych infekcji. Z czasem układ odpornościowy jeszcze bardziej się osłabia. Zdrowy człowiek może zwalczyć przeziębienie, biegunkę czy malarię; zarażony – umiera. Nazywamy tę chorobę zespołem nabytego niedoboru odporności, w skrócie AIDS. I jest ona rezultatem zarażenia wirusem HIV. Wynaleźliśmy test na tego wirusa. Testowaliśmy krew w szpitalach w Ugandzie, a także próbki pobrane od innych ludzi. Na podstawie tych testów ugandyjskie Ministerstwo Zdrowia ocenia, że około czternastu procent ludzi w kraju jest zarażonych wirusem HIV. To

oznacza, że jedna na siedem osób jest nosicielem, w tej sali około piętnastu osób.

Ludzie zaczęli się kręcić na ławkach. Odsunęli od siebie. Kilka osób wstrzymało oddech. Pojawiły się pytania.

– Czy jest lekarstwo?

– Kuracja?

– Szczepionka?

Akia, administrator dystryktu, podniósł ręce, znowu zapadła cisza.

– Obecnie nie ma szczepionki ani leku – powiedział Andrew – ale jest lekarstwo, które przedłuża życie osób zarażonych. Nazywa się ATZ i niedługo będzie dostępne w Ugandzie i w całej Afryce. Poza tym w tej chwili najmądrzejsi naukowcy na świecie pracują nad innymi, podobnymi lekami, szczepionkami, a nawet lekiem. Mam nadzieję, że niedługo wyniki ich pracy będą dostępne. Jednak teraz jest jeden pewny sposób postępowania w przypadku choroby, na którą nie ma leku ani szczepionki: izolacja. Musimy odizolować wirusa, żeby się nie rozprzestrzeniał. Jeśli nie będzie mógł się przenosić, zginie. Mamy tę moc. Ludzie w tej sali mogą powstrzymać wirusa w tym okręgu. Rozwiązaniem jest edukacja i zmiana stylu życia. Właśnie to wam dziś oferuję, ponieważ chcemy, abyście nauczyli tego ludzi, którym służycie.

Akia zaczął rozdawać pakiety informacyjne. Andrew nadal przemawiał.

– Po pierwsze, powinniście wiedzieć, że nie można się zarazić, siedząc lub stojąc obok kogoś chorego. – Zmartwieni ludzie odetchnęli. – HIV nie przenosi się drogą powietrzną. Nie zarazicie się, podając komuś rękę, przytulając lub dotykając innego człowieka. Przenosi się czterema drogami: przy urodzeniu, podczas transfuzji krwi, przez zakażone igły oraz podczas seksu bez zabezpieczeń. Krew i sperma. W kwestii porodu nic nie możemy zaradzić. Ciężarna kobieta, która jest zarażona, przekaże wirusa nowo narodzonemu dziecku. Ale można się zabezpieczyć przed pozostałymi. Żeby zaradzić rozprzestrzenianiu się HIV podczas transfuzji, WHO i ugandyjskie Ministerstwo Zdrowia wprowadzają procedury badań w szpitalach i klinikach w całym kraju,

które mają na celu wykrycie wirusa. Pozostaje korzystanie z igieł i seks bez zabezpieczeń. Seks jest najczęstszym sposobem zakażenia oraz naszym największym zmartwieniem. Ludzie aktywni seksualnie są znacznie bardziej narażeni na ryzyko. Według nas osiemdziesiąt sześć procent osób pracujących w branży usług erotycznych jest zarażonych wirusem HIV. – Kilku mężczyzn zmarło bez ruchu z przerażenia. – Mniej więcej jeden na trzech kierowców ciężarówek jest chory. Osoby uzależnione od narkotyków podawanych drogą dożylną również znajdują się w grupie ryzyka. Jednakże, tak jak wspominałem, jest na to sposób. Uganda wypracowała prostą metodę powstrzymania choroby. Nazywamy ją ABCD. A jak Abstynencja. B jak Bądź wierny. C jak Chron się prezerwatywą. I D jak Dokonaj żywota. Jeśli nie jesteś w związku małżeńskim, wybierz abstynencję. Jeśli jesteś żonaty lub zamężna, wybierz wierność. Jeśli nie dochowujesz wierności, chron się prezerwatywą. A jeśli z niej nie korzystasz, dokonaj żywota. Jest jeszcze coś, co chciałbym, żebyście wynieśli z tego spotkania: współczucie. Ludzie będący nosicielami wirusa zasługują na miłość, zrozumienie i opiekę – nie dyskryminację. Nie chcą was skrzywdzić. Są tacy jak my. Proszę, nie stygmatyzujcie ludzi z HIV. Tak jak wspominałem, wielu z nich to dzieci, które przyszły na świat z chorobą. Nie mamy wpływu na to, jacy się rodzimy.

Ostatnie zdanie sprawiło, że wszyscy spojrzeli na jego lewą rękę. W pierwszym momencie, w którym to powiedział, uświadomił sobie, dlaczego to on został wybrany do tego zadania.

Ta sesja trwała prawie dwie godziny. Kiedy dobiegła końca, grupa wyszła z pobielonej sali z ulotkami w rękach i obietnicą skontaktowania się z Akią lub innymi pracownikami administracji, gdyby pojawiły się jakieś pytania.

Dwaj ugandyjscy żołnierze wyznaczeni do eskorty i ochrony Andrew zaczęli rozkładać mównicę. Pozbierał swoje papiery i wsadził je do torby.

Akia przeglądał listę obecności.

– Poszło całkiem dobrze. Tylko dwie osoby nie przyszły.

– Znasz ich?

- Tak. Są z tej samej wsi – Kasesa.
- Gdzie to jest? – zapytał Andrew.
- W Parku Narodowym Mount Elgon, przy granicy kenijskiej. Jakies dwadzieścia kilometrów stąd. Pojadę. Trzeba dotrzeć do każdego, muszą się dowiedzieć o chorobie.

Andrew zarzucił torbę na ramię.

- Pojadę z tobą.
  - Nie. To może być niebezpieczne.
  - Jadę z tobą. Jeśli to dla ciebie ważne, to dla mnie też.
- Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.
- No dobrze, w takim razie ruszajmy, póki jest jeszcze jasno.



Nagranie dobiegło końca.

– Operatorzy kamery wrócili do regionalnego punktu dowodzenia w Mbale. Od tego czasu nikt nie widział Andrew. Znaleźliśmy jego spalone szczątki, a także Akii i stu mieszkańców wioski w głębi Parku Narodowego Mount Elgon. Był odważny, że to robił. Wiedza o HIV i AIDS jest teraz szeroko upowszechniona, ale wówczas było to coś nowego i strasznego. Uganda odniosła duży sukces w walce z epidemią AIDS. Była pierwszym krajem, w którym WHO wprowadziła plan narodowy i budżet finansowany przez darczyńców. Rząd włączył się do działań. Zsynchronizowaliśmy nasz przekaz i wysiłki. Chodziło przede wszystkim o zmianę stylu życia. To była nasza jedyna broń w tej walce. I okazała się skuteczna. Amerykański Urząd Statystyczny i program UNAIDS oszacowały, że pomiędzy tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym a dwa tysiące pierwszym rokiem w Ugandzie nastąpił sześćdziesięciosiedmioprocentowy spadek zarażeń HIV/AIDS. Przeżyły miliony ludzi. Rodziło się mniej dzieci z HIV, rosły zdrowo i miały normalne życie. Sądzę, że Andrew powiedziałaby, że warto było o to walczyć... i umrzeć.

Charlotte zamilkła.

– Chcieliśmy się pobrać po wyjeździe z Ugandy. Często zastanawiałam się, jak wyglądałoby moje życie, gdyby tak się stało. – Zerknęła na starą taśmę. – Z bólem serca obejrzałam to nagranie. Powróciło do mnie wiele wspomnień.

Peyton nie mogła przestać myśleć o tym, co mogłoby się zdarzyć. Charlotte, kobieta, która wydawała się dobroduszną i zaangażowaną, mogła być jej szwagierką. Na samą myśl o tym jeszcze bardziej zatęskniła za bratem.

– Tak – odezwał się William. – Rzeczywiście podczas oglądania ma się słodko-gorzkie przemyślenia. Dziękuję, że pokazałaś nam to nagranie. To dla nas wiele znaczy.

– Oczywiście.

W ciszy wrócili do biura Charlotte. Zanim tam weszli, Peyton usłyszała szelest przerzucanych kartek. Ktoś na nich czekał.

Charlotte popchnęła drzwi. W biurze było trzech mężczyzn w leśnym kamuflażu. Dwóch trzymało karabiny wycelowane w Charlotte i pozostałych; jeden przeglądał teczkę z Aralska-7.

Peyton odwróciła się i zobaczyła jeszcze dwóch żołnierzy stojących na końcu korytarza.

– Nie róbcie niczego głupiego – ostrzegł żołnierz przekładający papiery.  
– Nikt nie musi zginąć.

## ROZDZIAŁ 101

Przez cały dzień Elliott nie miał żadnych wiadomości od władz. Nie pojawiły się konwoje BioTarczy, które dystrybuowały jedzenie. I tak jak wczoraj, aplikacja Rook Quantum Sciences nie wysłała mu codziennej ankiety.

Ludzie plotkowali. Najpowszechniejszą plotką było to, że rząd opracował lek, ale nie chce go udostępnić. Według innej teorii rząd przygotowywał się do wojny światowej, rozpoczął pobór tych, którzy przeżyli, natomiast chorych skazał na śmierć. Z każdą mijającą godziną brak dostaw jedzenia i leków uprawdopodobniał tę pogłoskę.

Elliott siedział w swoim gabinecie i zastanawiał się, co się dzieje. Wyobrażał sobie kaszlącą i rozgorączkowaną Rose, leżącą na kocu w Georgia Dome. Ludzie, którzy o nią dbali, gdzieś zniknęli; przygotowują się do ochrony odizolowanych dzielnic przed tłumami chcącymi przerwać kordon. Miasto się rozpadało. Wyobraził sobie Ryana, lekarza, którego wysłano do opatrywania rannych w bitwie, pracującego w ciągłym zagrożeniu. Myślał o swoim wnuku, Adamie, który coraz bardziej kasłał. Ibuprofen już nie zbijał jego gorączki. Sam była całkowicie pochłonięta opieką nad synem. Przestała się przejmować środkami ostrożności mającymi ją ochronić przed zarażeniem.

Elliott widział przed okno ciężarówkę poruszającą się powoli wzdłuż jego ulicy. Mężczyźni i nieliczne kobiety siedzieli na pakach z karabinami w rękach. Wyskakiwali z samochodów, podchodzili do każdych drzwi i rozmawiali z mieszkańcami.



Kiedy zapukali do jego drzwi, Elliott tylko lekko je uchylił.

Na progu stał trzydziestoletni mężczyzna z ogorzałą twarzą, długimi, brązowymi włosami i brodą. Zostawił karabin w ciężarówce; trzymał ręce przed sobą, lekko uniesione, okazując swoje dobre zamiary. Powiedział, że ma na imię Shane i jego córka jest przetrzymywana w centrum.

– Jedziemy po nią. Wielu innych również tam jedzie. Nie chcemy walczyć, po prostu chcielibyśmy, żeby zostawili naszych ludzi w spokoju. Zamierzamy wyruszyć na wieś, żeby spróbować przeżyć – wyjaśnił. – Mówię to na wypadek, gdybyś chciał się przyłączyć. – Shane zerknął na kamper. – Może zabrałbyś ze sobą kilka osób. Im więcej ludzi pojedzie, tym większe szanse, że nam się uda.

Elliott się zastanowił.

– Słyszałem, że na drogach utworzono wojskowe punkty kontroli.

Shane popatrzył na ciężarówkę.

– Tak, ale mam plan. – Odsunął się od drzwi. – Liczę, że się przyłączysz. W każdym razie życzę powodzenia.

Wróciwszy do gabinetu, Elliott patrzył przez okno, jak kilku sąsiadów otwiera drzwi swoich garaży, wyprowadza auta i dołącza do coraz większego konwoju.

Kiedy wszyscy odjechali, pojawili się u niego sąsiedzi, których Elliott zaprosił do siebie kilka dni wcześniej. Zgromadzili się w jego gabinecie, gdzie usiedli i zaczęli się sprzeczać.

– Przestańcie – uspokoił ich wreszcie Elliott. – Niech podniosą ręce ci, których członkowie rodzin są przetrzymywani w strefie kwarantanny.

Podniosły się cztery ręce.

– Niech podniosą ręce ci, którzy mają w domu osobę zarażoną.

Jeszcze trzy ręce.

Usiadł wygodniej.

– Dobrze. Przedstawię wam plan.



Millen znajdował się na szóstym piętrze w siedzibie CDC. Patrzył przez okno, jak jego współpracownicy i inni pracownicy BioTarczy wychodzą z budynku i wsiadają do podstawionych autobusów miejskich i szkolnych.

Podszedł do niego Phil. Staął obok, ale nic nie powiedział.

– Gdzie ich zabierają? – spytał Millen.

– Poza kordon. Miejmy nadzieję, że nie na pole bitwy.

Millen przyglądał się postaciom w uniformach FEMA wkładającym skrzynki z jedzeniem do furgonetki.

Dziesięć minut temu Millen usłyszał plotkę, że prezydent umarł na skutek zarażenia wirusem X1-Mandera. Albo w wyniku zamachu.

– Czy to prawda? Czy prezydent nie żyje?

– Tak.

– Kto objął władzę?

– Ten czy inny, przypuszczam, że u władzy jest Citium.



Pół godziny później Millen był już ubrany w kombinezon. Drzwi do laboratorium BLS-4 rozsunęły się z sykiem, wszedł do środka. Halima leżała w łóżku i oglądała DVD. Tian bawił się konsolą do gry.

Halima uśmiechnęła się do Millena i odłożyła na bok przenośny odtwarzacz.

– Martwiłam się. Wszyscy dokądś poszli.

Millen postawił tacę z jedzeniem na stoliku ze stalowym blatem.

– Jesteście głodni?

– Umieramy z głodu. Nikt się nie pojawił po południu. Wszyscy badacze wybiegli. Nie słyszeliśmy, co mówią.

Millen zmusił się do spokoju.

– Nic się nie stało. Mają po prostu pilne zebrania. Od teraz ja będę przynosił jedzenie. Może tak być?

Skinęła głową i ugryzła kanapkę.

– Dobrze. Wrócę za kilka godzin.

I wrócił. Złożył obietnicę, że zajmie się tymi młodymi Kenijczykami, i zamierzał jej dotrzymać. Rodzice wpoili mu, że zobowiązania należy traktować z całą powagą. Zastanawiał się, gdzie oni teraz są i czy są bezpieczni. Niewiele mógł dla nich zrobić. Ale zrobi wszystko, co w jego mocy, dla ludzi w Atlancie i dwojga Kenijczyków pod jego opieką.

Potem udał się do Centrum Operacji Kryzysowych, usiadł przy swoim biurku i obejrzał przekazy satelitarne. Założył słuchawki i napisał:

*Oddział Medyczno-Zaopatrzeniowy 227, uważajcie, grupy militarne zbierają się przy Mitchell i Central Ave, gdzie może dojść do starcia z wrogiem. Szacowana liczba dwieście uzbrojonych osób, ale więcej w drodze. Zaleca się wycofanie do punktu Gamma-Bravo.*



Elim Kibet siedział na miejscu pasażera w furgonetce, która toczyła się przez zaśmiecone ulice Nairobi. Ogień strawił budynki. Z aut zostały osmolone wraki. Dzieci z zakrwawionymi twarzami stały na tle płonących domów i patrzyły na ciężarówkę.

Elim wolał się nie rozglądać. Stolica jego kraju upadła.

Miał nadzieję, że gdzieś pomiędzy ruinami znajdzie osoby, które przetrwały, oraz antybiotyki. Hannah leżała z tyłu. Bez nich niedługo umrze.

Światła stopu nie działały. Wóz jadący na przodzie konwoju zatrzymał się przed skrzyżowaniem, bo kierowca musiał sprawdzić ulicę. Była zablokowana przez dwa spalone samochody. Elim się zdenerwował.

Jakiś człowiek uniósł głowę ponad jeden z samochodów, zerknął na ciężarówkę, po czym znowu się schował.

– Jedziemy! – powiedział Elim.

Kierowca wcisnął gaz do dechy, ale za późno. Na ulicy przed nimi pojawił się uzbrojony oddział i zablokował przejazd. Mężczyźni trzymali broń gotową do strzału. W bocznym lusterku Elim zobaczył, że podobna grupa uformowała się za konwojem.

Znaleźli się w pułapce.

## ROZDZIAŁ 102

Desmond leżał na metalowej podłodze kontenera w niemal zupełnej ciemności.

W spalonych ruinach domu żołnierze skrupowali mu ręce i nałożyli czarny worek na głowę. Nie zdjęli go, dopóki nie umieścili Desmonda w kontenerze.

Jego cela, jeśli tak ją można nazwać, miała sześć okrągłych otworów na wysokości trzydziestu centymetrów od podłogi, każdy o średnicy trzech centymetrów. Desmond domyślał się, że dzięki nim miał powietrze, mogły też służyć pracownikom magazynu do sprawdzania towaru bez konieczności otwierania kontenera. Przyłożył oko do jednej z dziur. Ujrzał rzędy i stosy kontenerów ustawionych na betonowej podłodze.

Po kilku minutach szukania na pordzewiałej ścianie znalazł nierówną krawędź. W nikłym świetle przystawił do ostrego metalu związane plastikową opaską ręce i piłował dotąd, aż je uwolnił.

Usłyszał stukanie w ścianę innego kontenera. Jakiś rytm, jakby alfabet Morse'a. Czy ktoś był w innym kontenerze? Desmond nie znał alfabetu Morse'a. Zastukał trzy razy, żeby dać znać, że usłyszał sygnał. W odpowiedzi dobiegły do niego trzy uderzenia. Potem jeszcze trzy i jeszcze trzy, ale każde z innego miejsca.

Wraz z nim było ich czworo. Bez wątpienia Avery pojmała Williama i Peyton. Zapewne to William zaczął nadawać morse'em. Ale kim był czwarty więzień? Charlotte, bo za dużo jej powiedzieli?

Ktoś zaczął wystukiwać nowy kod. To nie był alfabet

Morse'a i wydawał mu się znajomy. Skupił się, nasłuchiwał, a potem uśmiechnął. To była melodia z *Archiwum X*. Kończyła się pojedynczym głośnym stuknięciem. Położył się przy metalowej ścianie i wystukał ten sam rytm.

Dwadzieścia lat temu w każdy piątek siadywał na kanapie w salonie ich domu w Palo Alto i oglądał serial, a przy nim mościła się Peyton z kubkiem herbaty, a czasami kieliszkiem wina w ręce, gdy miała za sobą ciężki tydzień na uczelni. Desmond oddałby wszystko, żeby wrócić do tych czasów i zacząć na nowo. Zastanawiał się, czy nie jest jeszcze dla nich za późno. Wiedział, że Peyton ukrywa, jak bardzo jest chora. Ile czasu jej zostało? Ta myśl napełniła go nową energią. Musiał wydostać się z kontenera.



Conner McClain siedział u szczytu stołu konferencyjnego i czekał na połączenie. Denerwował się. Citium znajdowało się na wyciągnięcie ręki od ukończenia swojego wielkiego eksperymentu. W kolejnych dniach zwieńczył dwa tysiące lat pracy. Albo zawał.

Teraz miał ostatnie ogniwo, którego potrzebowali: Desmonda Hughesa. Jeśli Avery wypełniła swoją misję, mężczyzna odzyskał pamięć i wie, jak dotrzeć do Rapture. Wypuszczenie go było ryzykowne, ale musiał podjąć to ryzyko.

Uzyskał połączenie, na ekranie ukazał się obraz przedstawiający jakieś biuro w stylu industrialnym urządzone tanimi meblami. Okna wychodziły na magazyn pełen metalowych kontenerów. Mężczyzna z zielonym kamuflażem stał przy solidnym drewnianym biurku pełnym dziur i zadrapań, na którym leżały rozsypane dokumenty. Obok niego stała Avery z rękami założonymi przed sobą, rozpuszczonymi jasnymi włosami i zimnym spojrzeniem. Conner uważał, że jest bardzo atrakcyjna. Zastanawiał się, czy coś między nimi zaiskrzy, kiedy to dobiegnie końca. Wcześniej nie za bardzo się nim interesowała, ale wkrótce będzie drugim najważniejszym człowiekiem na świecie. To może

sporo zmienić.

– Mamy ich – powiedział mężczyzna.

– Po co polecili do Australii?

– Z powodu tej kobiety – odparła Avery. – Charlotte Christensen.

Conner nigdy o niej nie słyszał.

– Kim ona jest?

– Pracuje w organizacji pomocowej, która zajmowała się Desmondem po pożarze w środę popielcową.

– Ciekawe.

– Ją również zatrzymaliśmy, w razie gdyby była w to zamieszana. – Avery pochyliła się nad biurkiem. – Przywieziemy ich do ciebie.

– Nie.

– Musimy...

– Sam przyjadę, kiedy to się skończy.

W oczach Avery pojawił się błysk. Conner nie potrafił nazwać tej emocji, ale wydawało mu się, że jest zła.

– Mieliśmy umowę – przypomniała twardo.

– Nadal mamy.

– Chcę wejść do gry.

– Wejdiesz. Kiedy ci pozwolę. – Conner zamilkł, żeby dotarł do niej sens jego słów.

Avery westchnęła, odwróciła wzrok i usiadła na biurku.

– Dobrze go pilnujcie – powiedział Conner. – Jak wiesz, jest bardzo pomysłowy.

## ROZDZIAŁ 103

Elim otworzył drzwi ciężarówki. Kierowca krzyczał, żeby został w środku, ale on wiedział, że to, co chce zrobić, jest ich jedyną szansą, być może jedyną nadzieją na to, żeby konwój wyszedł cało z zasadzki. Przez radio rozkazał wszystkim zostać w pojazdach. Uważał, że prędzej zastrzelą człowieka z karabinem niż człowieka w białym fartuchu.

Wysiadł z kabiny, uniósł ręce i pomaszerował przed siebie. Teraz dokładnie widział oddział wysiadający z transporterów opancerzonych. Odetchnął, gdy zobaczył mundury: to wojsko kenijskie. Kiedy wpadli w zasadzkę, spodziewał się najgorszego, myślał, że to jakiś gang.

Jeden z oficerów wyszedł mu naprzeciw. Kasłał. Miał żółte i przekrwione oczy, a na klapach munduru krew.

Jego głos był silniejszy, niż sugerował wygląd.

– Kim jesteście?

– Nazywam się Elim Kibet. Jesteśmy ocalałymi. Przyjechaliśmy, żeby pomóc.



Okazało się, że kenijskie Ministerstwo Zdrowia goni resztkami sił. W Centrum Operacji Kryzysowych brakowało personelu, telefony dzwoniły bez przerwy.

– Przyrowadź tu ludzi – Elim zwrócił się do Dhamirii. – Niech zaczną odbierać telefony i mówić dzwoniącym, że pošlemy pomoc, jak tylko

będziemy mogli, i zrobimy, co w naszej mocy, żeby do nich dotrzeć. Oni chcą to usłyszeć.

W szpitalu Kenyatta National panowała jeszcze gorsza sytuacja. Na wózkach leżeli zmarli. W poczekalni kłębił się tłum. Ściany i podłoga zbryzgane były krwią. Personel miał worki pod zażółconymi oczami. Większość przypominała zombie; pracowali od tak dawna, że prawie w ogóle już nie kontaktowali. Elim polecił im odpocząć. Wysłał wszystkich lekarzy i większość pielęgniarek do pokojów socjalnych i pobliskiego hotelu. Byli zbyt zmęczeni, żeby kłócić się z nowo przybyłym.

Następnie kazał swoim ludziom posprzątać szpital. W ciągu kilku godzin najstarszy i największy szpital w Kenii z zakrwawionego, zaniedbanego budynku zmienił się w coś, co przynajmniej przypominało placówkę służby zdrowia.

Stanął nad łóżkiem Hannah i patrzył. Zanim jeszcze pierwszy mop dotknął podłogi, zanim ściany spryskano płynem dezynfekującym, Elim upewnił się, że została wniesiona do środka, umieszczona w sali chorych i podłączona do kroplówki z antybiotykiem. Przeżyje tę infekcję, ale wirus nadal niszczył jej ciało. Niektóre narządy przestawały działać jak należy. Nawet się nie obudziła, gdy ją tu wnieśli. Umrze za kilka godzin. Ta myśl go zasmuciła. Przypomniał sobie Lucasa Turnera, młodego Amerykanina, którego próbował uratować.

Stał nad nią przez dłuższą chwilę, podciągnął jej pod brodę cienki, biały koc i podszedł do okna. Przed szpitalem uformowała się kolejka. To dobrze: nadal było sporo ludzi, którzy o własnych siłach tu dotarli. Miał co robić.



CDC pogrążone było w chaosie, operatorzy kończyli rozmowy, wstawali i wybiegali z pomieszczenia. Millen stał przy swoim biurku. Na ściennym ekranie bez głosu leciała transmisja z upadku Atlanty. Tłumy nacierały na połączone siły BioTarczy, wojska, marynarki, piechoty



morskiej, sił powietrznych i Gwardii Narodowej. Wiele osób w mundurach porzucało broń i przechodziło na drugą stronę, gdzie gromadził się coraz większy tłum. Przysięgali bronić konstytucji Stanów Zjednoczonych przed wrogiem wywodzącym się z kraju i z zagranicy, ale nie uważali, żeby to usprawiedliwiało strzelanie do własnych matek, ojców, braci, sióstr, sąsiadów, którzy po prostu byli chorzy i potrzebowali pomocy. Millen nie mógł ich winić. Zastanawiał się, co zrobiłby, gdyby znalazł się naprzeciw zbuntowanych ludzi.

Podszedł do niego Phil. Millen sądził, że szef chce udzielić mu reprymendy za nieodbieranie połączeń, ale on powiedział tylko, żeby Millen poszedł za nim.

Zatrzymali się na szóstym piętrze, gdzie okno sięgało od sufitu do podłogi, i patrzyli na Clifton Road. Tłum ludzi wypełniał wszystkie pięć ulic, trzy pikapy wiozące uzbrojonych mężczyzn przedzierały się w stronę linii oddziałów BioTarczy, które otaczały kompleks CDC. Te auta były jak zapalnik bomby; czy dojdzie do erupcji, kiedy dojadą do kordonu? Czy rozpocznie się strzelanina?

– Może być gorąco – zauważył Millen.

Stevens skinął głową.

– Czy nie powinieneś czegoś zrobić?

Millen dopiero teraz zrozumiał. Odwrócił się na pięcie i pobiegł. W kuchni przy kafeterii powkładał jedzenie do worków na śmieci. Potrzebował produktów, które się nie psują, by wystarczyły co najmniej na cztery dni.

Na korytarzach było mnóstwo ludzi, wszyscy zastanawiali się, co robić. Bali się. Millen również.

Laboratorium BSL-4 znowu było puste. Włożył kombinezon, wszedł, położył jedzenie na jednym ze stołów. Halima spała. Nie chciał jej budzić, ale musiał.

Po trzecim potrząśnięciu otworzyła oczy, przetarła je i uśmiechnęła się.

Od razu dostrzegła strach na jego twarzy.

– Co się dzieje?

– Być może zniknę na jakiś czas. Musicie tu zostać. To ważne.

Rozumiesz?

Skinęła głową.

– Jeśli skończy się wam jedzenie, zanim wrócę, możecie stąd wyjść. Ale bądźcie ostrożni. Nie mówcie nikomu, że jesteście z Kenii. Mówicie, że zgubiliście rodziców, a oni zabraniają wam rozmawiać z obcymi.

Wyglądała na zaskoczoną, ale potaknęła.

Po wyjściu z BSL-4 zrzucił kombinezon i szybko się przebrał. Kiedy dotarł na parter, usłyszał strzały.

## ROZDZIAŁ 104

Aula w siedzibie CDC i tym razem była zapełniona do granic możliwości. Millen stał z pozostałymi pracownikami i słuchał Phila, który przedstawiał im plan ewakuacji. Był pomysłowy. Tory kolejowe ciągnące się za CDC nie zostały zajęte przez tłum żądający od nich leku i w ciągu dziesięciu minut pociągi mogą wywieźć personel w bezpieczne miejsce.

– Ludzie stojący na końcu zaprowadzą was do wyjścia – powiedział Phil.

Millen ustawił się w kolejce, przesuając się wraz z innymi wychodzącymi z auli. W oddali, za holem, ktoś strzelał.

Zamiast wyjść na dwór, wyłamał się z kolejki, pobiegł na górę i dotarł na piętro, gdzie mieściły się laboratoria. Tym razem nie wkładał kombinezonu ochronnego. Niedługo i tak go nie będzie potrzebował co najmniej z dwóch powodów.

W laboratorium zastał Halimę oglądającą DVD. Z jednego ucha wyjęła słuchawkę.

– Bez kombinezonu?

Pokręcił głową.

– Mogę tu zostać?

Podjął decyzję: zostanie tu i spróbuje bronić dzieci aż do końca. Pozostawienie ich oznaczałoby uratowanie tylko siebie. A to go nie zadowalało.



Ulice Atlanty były zablokowane autami – niektórzy wyjeżdżali z miasta, inni zmierzali w stronę centrum, by odszukać swoich bliskich w strefie zamkniętej przez BioTarczę. Podobnie postąpił Elliott i jego sąsiedzi – rozłączyli się. Jedna grupa wzięła kampera i wyjechała z miasta, bojąc się wybuchu strzelaniny pomiędzy oddziałami BioTarczy a mieszkańcami. Elliott usiadł za kierownicą drugiego kampera i ruszył w stronę centrum Atlanty. Jego pojazd miał ponad dziewięć metrów długości. Podczas różnych misji prowadził autobusy, czasem po błotnistych drogach Trzeciego Świata, ale żaden nie równał się z tym kamperem. Jechał zygzakiem, omijając korki i samochody stojące na I-75. Przed nimi jezdnia była zupełnie zablokowana porzuconymi pojazdami.

Odbił w bok, zjechał na Howell Mill Road. Nie był pewien, czy to on kierował wielkim kamperem, czy kamper nim. Zakołysało nimi. Dwunastu pasażerów chwyciło się stołu, ścian, czego tylko się dało.

– Przepraszam! – krzyknął Elliott, gdy wóz podskoczył na garbie drogi.

Gdy dotarł do Marietta Street, drogi były całkowicie zablokowane. Wjechał w aleję. Połowa pasażerów wstała i podeszła do drzwi. Sam i Adam znajdowali się wśród tych, którzy chcieli zostać. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zaraz wróci i odjadą razem.

Popatrzył na swoich sąsiadów i ich nastoletnie dzieci, zastanawiając się, z czym przyjdzie im się zmierzyć. Czy byli gotowi? Nie miał pojęcia, ale wiedział, że nie ma wyboru.

– Wzięliście swoje kije?

Potwierdzili, niektórzy tylko skinieniem.

– Dobrze. Spróbujmy się nie rozłączać. – Podniósł puszkę pomarańczowej farby w spreju. – Pamiętajcie o znakach, na wypadek gdybyśmy się rozdzielili.

Gdy inni wyszli, podszedł do Sam i Adama. Chłopiec leżał na łóżku razem z kilkorgiem innych chorych dzieci grających w przenośne gry wideo.

– Niedługo wrócę – powiedział do Sam. – Nie martw się.

W jej oczach pojawiły się łzy. Mocno ją uścisnął, zmierzwił włosy Adamowi, po czym wyszedł.

Wraz z sąsiadem Billem przykrył ogromny pojazd kilkoma plandekami. Dziś rano Elliott miał niską gorączkę i ku własnej uldze w tej chwili czuł się całkiem znośnie. Zapewne pomagała mu adrenalina.

Zebrał wszystkich wokół siebie. W uliczce było zimno, jego oddech zmieniał się w białą parę.

– Pamiętajcie, trzy stuknięcia, pauza, dwa stuknięcia, a potem jedno. Trzy, dwa, jeden. Będziemy tu czekać, dopóki nie przyjdą wszyscy. W kamperze jest jedzenie i koce. Korzystajcie z przenośnych grzałek i grzejnika elektrycznego, jeśli zajdzie potrzeba. Starajcie się nie odjeżdżać, dopóki nie będzie to konieczne.

Elliott popatrzył każdemu w oczy.

– Dobrze. Powodzenia.

Na budynkach po obu stronach uliczki wysprejował duże E. Stawiał ten sam znak na każdym mijanym budynku. Czuł się dziwnie, rysując graffiti w centrum Atlanty, ale miał nadzieję, że dzięki temu uda się sprowadzić wszystkich z powrotem. Spodziewał się, że kiedy powrócą, wielu będzie w bardzo złym stanie psychicznym.

Ulice wypełniali ludzie poruszający się na piechotę tak jak oni, zmierzali w stronę centrum i Georgia Dome, szukając swoich bliskich lub leku, a może jednego i drugiego. Wielu niosło broń palną i noże, inni trzymali ręce w kieszeniach, próbując je jakoś ogrzać.

W miejscu, gdzie Marietta Street łączy się z Northside Drive, Elliott usłyszał ryk ciężkiej maszynery. Po prawej stronie zobaczył dwa buldożery spychające auta na bok jezdni. Za nimi jechała furgonetka. Potem dwa pikapy. Mężczyźni siedzący z tyłu trzymali karabiny.

Jeden z nich zwrócił się do tłumu.

– Poddali się! Chodźcie za nami!

Ludzie wyskoczyli z tłumu porwani jego słowami.

Elliott przyspieszył kroku, truchtem ruszył przez Northside Drive. Ciężkie buldożery pozostawiały wyłobienia w chodniku, ślad prowadzący do Georgia Dome. Ludzie w pomarańczowych kamizelkach

stali wzdłuż drogi, by sprawdzać, czy żadne auta nie blokują przejazdu.

Na ulicę wyjechały dwa ciągniki siodłowe z naczepami, więc Elliott i jego sąsiedzi zostali zmuszeni do pozostania na chodniku wraz z innymi osobami. Tylne drzwi pustych naczep pozostały otwarte, było przez nie widać jakichś ludzi, niektórzy palili papierosy. Elliott potrzebował chwili, by zrozumieć, do czego potrzebowali takich ogromnych pojazdów: przewozili nimi całą zgromadzoną broń. Rozbrajali rządowe oddziały wojskowe.

Kilka minut później pojawiły się szkolne autobusy, odjeżdżały spod Georgia Dome. To były te same autobusy, które zabrały jego i Rose do centrum, lecz teraz wypełniali je ludzie w mundurach – Gwardii Narodowej, wojska, FEMA. Ci sami ludzie, którzy kilka dni wcześniej zagonili Elliotta i pozostałych do autobusów.

Na ulicy część osób klaskała w ręce i wiwatowała; inni, tak jak Elliott, po prostu gapili się na surrealistyczną scenę. Kilku wykrzykiwało jakieś nazwiska i biegło w stronę autobusów, ale ludzie w pomarańczowych kamizelkach ich zatrzymywali. Elliott wcześniej nie przewidział, że niektórzy idący do centrum chcieli pomóc swoim przyjaciołom i rodzinie w mundurach.

Kiedy autobusy przejechały, zszedł na ulicę i pobiegł jeszcze szybciej. Zimne grudniowe powietrze paliło go w płuca. Nie miał kondycji, nawet jak na swój wiek. Jego młodszy sąsiedzi wysforowali się do przodu, tylko ich spowalniał.

– Biegnijcie – wysapał.

– Ktoś mądry powiedział mi, że mamy trzymać się razem. – Bill uśmiechnął się.

Elliott tylko pokręcił głową. Był zadowolony z jego towarzystwa.

Trzy przecznice od Georgia Dome tłum tak zgęstniał, że nie dało się biec. Grupa zwolniła, a Elliott mógł złapać oddech.

Wyjął długi kij, który miał zatknięty za pas. Ostrożnie rozwinął transparent i przykleił go do patyka. Potem podał taśmę innym, którzy kolejno podnosili swoje transparenty. Na kartonie Elliotta było napisane: ROSE SHAPIRO. Był jednym z tysięcy uniesionych

transparentów, gdy tłumy parły w stronę Georgia Dome.

## ROZDZIAŁ 105

Desmond zastanawiał się nad możliwościami ucieczki z kontenera, kiedy usłyszał grupę ludzi idących po betonie. Kroki odbijały się echem i były coraz bliżej. Z początku brzmiały, jakby maszerowała stonoga, potem słyszał zgrzytanie i stłumione głosy. Rozpoznał tylko jeden z nich.

Później szła już tylko jedna osoba.

Drzwi kontenera Desmonda otworzyły się ze zgrzytem.

Ciemna przestrzeń wypełniła się światłem. Skrzywił się i osłonił oczy.

Avery.

Blondynka była w cieniu, jednak Desmond widział, że nadal miała na sobie kamizelkę kuloodporną. Wyglądała jak superbohaterka. W ręce trzymała pistolet, nie celowała w niego. Miała skruszoną minę, prawie przepaszającą.

– Musiałam – powiedziała.

Desmond zachowywał kamienną twarz.

– Do niczego byśmy nie doszli w SPAP. To była ślepa uliczka, Des.

Czekała, ale on nadal milczał, tylko na nią patrzył.

– To był mój plan B. Musimy wrócić do Citium. Wiedziałam, że oddział taktyczny już czekał.

– Mogłaś mi powiedzieć.

– Musiałam rozegrać to wiarygodnie.

– Podobnie jak wtedy, gdy chciałaś, żebyśmy uwierzyli, że ucieczka ze statku jest niewyreżyserowana.

Milczenie Avery wystarczyło za potwierdzenie tej teorii.



Podejrzewał, że ucieczka z *Kentaro Maru* była ustawiona. Teraz to wiedział.

– Pozwolili mi uciec, ponieważ chcieli, żebym zaprowadził ich, a w zasadzie ciebie, do Rendition.

– Tak. To ostatni element, którego potrzebują do Zwierciadła. – Odsunęła się o krok od kontenera. – Słuchaj, podjęłam ryzyko. Nie chciałam, żeby wszyscy to roztrząsali, ponieważ wiedziałam, że to jedyna sensowna opcja. Brakowało czasu na zebranie i głosowanie. Zdziałało nawet lepiej, niż się spodziewałam. – Zaprosiła go gestem do wyjścia. – Chodź, pokażę ci.

Po drugiej stronie przejścia stał inny otwarty kontener, za jego ciężkimi, metalowymi drzwiami na paletach ułożono kartony. Najbliższe pudło zostało otwarte. W środku były setki podłużnych przedmiotów wielkości mniej więcej połowy telefonu komórkowego, lecz grubszych od niego.

Avery podała mu jeden z nich.

– To iniektor.

Wskazała kolejny karton, w którym znajdowały się kartridże z dwutlenkiem węgla. Były małe i okrągłe, podobne do tych, których Desmond używał w wiatrówce jako dziecko.

– Urządzenie działa na dwutlenek węgla.

Przyciągnęła następne otwarte pudło. Było tam mnóstwo fiolek. Wzięła jedną z nich, kartridż i wsadziła go do iniektora.

– To jest lek. Zakładałam, że jeśli nas złapią w Australii, mogą nas zamknąć w magazynie. – Czekwała na jego odpowiedź, ale Desmond się nie odezwał. – Było tylko jedno wyjście, Des. Mieliśmy jedną możliwość.

Wziął od niej przyrząd. *Mamy to*. Trzymał w dłoni sposób na uratowanie Peyton i miliardów innych ludzi. Ale najpierw pomyślał o niej. Właśnie dotarło do niego, jak się o nią martwił. Nie chciał stracić ani jej, ani drugiej szansy, której tak bardzo pragnął. W ostatnich dwóch tygodniach wszystko działo się tak szybko, że nawet nie miał czasu na przetrawienie informacji. Teraz dopiero zaczął rozumieć. Znaleźli lek i mieli szansę na powstrzymanie Citium. Wyczyszczenie pamięci było

ryzykowne, ale tropy, które sobie zostawił, okazały się pomocne. Okrężną drogą doprowadziły go tutaj, do tej chwili, która, jak mu się zdawało, była przełomowa. Teraz nadeszła pora na zakończenie.

Avery się przysunęła.

– Naprawdę tak sądzę, Des. To był jedyny sposób. Wierzysz mi?

*Chce, żebym jej wybaczył.* Pomiedzy nimi był jakiś głębszy związek, ale on go nie pamiętał. To było niepokojące. Popatrzył na nią, ale nadal nic nie mówił.

– To był jedyny sposób, żeby wydostać się ze statku, jedyny, żeby nas doprowadzić do leku. Zaryzykowałam. Zrobiłam, co musiałam. Zrobiłam to dla ciebie i dla misji. Proszę, powiedz, że rozumiesz.

Ciszę przerwał kaszel; stłumiony odgłos rozwijającej się choroby. Nie suchy, nagły, lecz zwiastujący śmierć, jakby nad chorym właśnie były dzwony. Przypomniał mu, że czas nagli.

– Tak, rozumiem, Avery.

Nie uśmiechnęła się. Odwróciła wzrok, jakby słowa wybaczenia jej nie wystarczały.

Nie był gotów jej wybaczyć; najpierw musiałby jej zaufać. A teraz mógł myśleć tylko o Peyton. Nie chciał czekać ani sekundy z podaniem jej leku.

– Mamy ludzi, którzy tego potrzebują – powiedział.

Odgłos kaszlu doprowadził go do metalowego kontenera, otworzył go i pociągnął skrzypiące drzwi. Peyton leżała na podłodze, zmrużyła oczy, gdy padło na nią światło. Z trudem usiadła.

Podał Avery iniektor, wszedł do środka i złapał Peyton pod pachami. Była jak kukła, gdy ją podnosił. Bez wątpienia wykończył ją brak porządnego snu, gdy lecieli do Australii, a dochodziły jeszcze głód i choroba, która ją osłabiała.

W świetle wpadającym przez okna w dachu posadził ją na podłodze magazynu i wziął jej twarz w swoje dłonie. Opadały jej powieki, włosy miała wilgotne, pociła się albo z powodu gorączki, albo upału typowego dla Australii Południowej o tej porze roku.

Avery podciągnęła rękaw Peyton i już chciała przytknąć urządzenie do

jej przedramienia, kiedy Desmond wyjął je z jej ręki. Sam chciał podać Peyton lek. Uświadomił sobie, ile to dla niego znaczy i dlaczego. Dwadzieścia lat temu spędzili ze sobą najważniejsze lata jego życia. Możliwe, że jej też. Odkrył, kim jest. Zanim ją spotkał, nie miał pojęcia, jak bardzo został zraniony w dzieciństwie. Był złamanym człowiekiem. Nie czekał na wygojenie się ran. A potem ją opuścił, ponieważ uważał, że w ten sposób ją ocali. Sądził, że daje jej życie, na jakie zasługuje.

Teraz wiedział, że nie miał racji.

Przytknął urządzenie do jej ramienia i nacisnął guzik.

Trzask uwalnianego dwutlenku węgla oraz szczypanie sprawiło, że Peyton się ocknęła. Patrzyła na Avery i Desmonda, a potem spojrzała na iniektor w jego ręce.

– Cześć – powiedział.

– Cześć. – Uśmiechnęła się.

## ROZDZIAŁ 106

Gdziekolwiek Elliott spojrzeł, widział śmierć. Martwi i umierający leżeli na kocach, ułożeni w rzędach pod dachem Georgia Dome. Smród był nie do zniesienia. Zanim przywykł, dwa razy prawie zwymiotował. Maszerował z wysoko podniesionym transparentem, szukał twarzy swojej żony i nasłuchiwał jej głosu. Z każdym krokiem coraz bardziej się bał. Na próżno próbował nie myśleć o tym, co zrobi, jeśli znajdzie ją martwą.

Elliott kilka dekad przepracował w szpitalach polowych. Leczył ofiary epidemii, takie jak ci ludzie leżący wokół niego. Nic jednak nie przygotowało go na to, co czekało po drugiej stronie: dotychczas nie wiedział, jak to jest być członkiem rodziny osoby zarażonej, która może umrzeć. Czuł się całkowicie bezradny. Po jego twarzy spływały łzy. Niedługo dowie się, czy wirus X1-Mandera odebrał mu miłość jego życia. Bał się nawet o tym pomyśleć, a jednocześnie bardzo chciał wiedzieć. Brak pewności co do tego, czy Rose żyje i cierpi, czy odeszła w pokoju, rozdzierał mu serce.

– Tato! – usłyszał dobrze znany głos.

Odwrócił się i zobaczył syna, który machał ponad tłumem.

Kiedy trzydziestoletni lekarz dotarł do Elliotta, starszy mężczyzna przyciągnął go i uściskał z całej siły.

– A mama?

– Żyje.

Elliott ujrzał na twarzy syna słowa, których ten nie wypowiedział: *Ale*

*ledwie, ledwie.*

– Czy Sam i Adam są z tobą?

– Są w kamperze. Bezpieczni.

– Dzięki Bogu. Czy są...

– Sam nie ma objawów. Adam jest zarażony, ale to początkowa faza.

Przykro mi, synu...

Ryan ścisnął ojca za ramiona.

– To nie twoja wina. Poradzimy sobie. Chodź, idziemy po mamę i spadamy stąd.

Elliott przełknął ślinę i próbował się nie rozklejać, gdy Ryan prowadził go do biur Georgia Dome. Niepokoił się i bał, ale także nie mógł się doczekać, kiedy znów ją zobaczy.

Rose leżała na łóżku polowym w małym biurze, miała zamknięte oczy i słaby puls. Elliott szybko ją zbadał. Wysypka na brzuchu pociemniała i objęła również szyję. Rose miała poszarzałą twarz i ciemne worki pod oczami. Ale żyje, pomyślał. Był wdzięczny, że mógł ją znowu zobaczyć, potrzymać za jeszcze ciepłą rękę, chociażby po to, żeby się pożegnać.

Odwrócił się do syna i powiedział, co powinni zrobić.

Prawie godzinę później dotarli do kampera, którego Elliott zaparkował przy Marietta Street. Zapukał trzy razy, potem dwa, potem jeden i czekał. Trzy sekundy, cztery. Drzwi się uchyliły i zobaczył w nich twarz sąsiada.

Ryan zdjął koce otulające Rose. Podniósł ją z wózka inwalidzkiego i zaniósł do domu na kółkach. Dzieci leżące na łóżku zerwały się na jego widok i zrobiły miejsce, by mógł ją delikatnie położyć. W chwili gdy ją puścił, w jego ramiona wpadła Sam, oboje szlochali, obejmując się z całych sił. Adam dołączył do nich, tulił rodziców, oni obejmowali jego oraz Elliotta, który przez chwilę starał się pomieścić całą trójkę w ramionach, po czym wsunął się do łóżka obok Rose. Przynieśli leki i płyn nawadniający, ale w zasadzie mogli jedynie czekać.

Elliott przyciągnął jej marznące ciało bliżej siebie. Łzy płynęły mu coraz obficiej.

– Będzie dobrze, Rose. Jestem tutaj. Naprawimy to. Wszystko się

ułoży, słyszysz?

Nic nie powiedziała, ale na swoim policzku poczuł jej łzę.

Przytulili się.

– Nie poddawaj się. Proszę.

## ROZDZIAŁ 107

Po tym jak Desmond podał lek Peyton, razem z Avery znalazł Williama w innym kontenerze i również zrobił mu zastrzyk.

Tak jak się spodziewał, Charlotte również została uwięziona.

Avery odpowiedziała na jego pytanie, zanim je zadał.

– Kazałam pojmać ją tej grupie w SPAP. Wydaje się, że jest jakoś powiązana.

– Dobrze myślałaś.

Uwolnili Charlotte, a ona podziękowała Desmondowi za podanie leku.

Magazyn był duży, wielkości boiska futbolowego, pod sufit wyładowany kontenerami przygotowanymi do transportu morskiego. Według Avery budynek znajdował się w Port Adelaide, na północno-zachodnim przedmieściu Adelajdy. Zaprowadziła ich do biura nad magazynem, gdzie leżało dwóch żołnierzy z ranami postrzałowymi klatki piersiowej, ich szklane, niewidzące oczy patrzyły w sufit.

– A gdzie jest reszta żołnierzy? – spytał Desmond.

– W kontenerze – odparła Avery. – Byli bardziej skłonni do współpracy.

Desmond nadal nie wiedział, co o niej sądzić, ale wiedział, że jest śmiertelnie niebezpieczna.

Cała ich piątka zgromadziła się wokół dużego stołu, którego firma wysyłkowa zapewne używała do planowania tras i weryfikacji manifestów ładunkowych. Okna wychodziły na magazyn i rzędy kontenerów stojących poniżej. Okno na przylegającej ścianie wychodziło

na port, w którym dokowały kontenerowce.

William skupił się na Desmondzie.

– Czy dotarłeś do miejsca wskazanego przez Labirynth, zanim cię złapali?

Kątem oka zobaczył, że Avery przewierca go wzrokiem.

– Tak. – Zawiesił głos, zastanawiając się, co powiedzieć.

– I co? – ponaglał go William. – Co znalazłeś?

– Wspomnienie.

Peyton zmarszczyła brwi i wpatrywała się w niego.

– Nie było... – Desmond szukał właściwego słowa. Jeśli zdradziłby im prawdę, rozpoczęłaby się dyskusja zmierzająca do odsunięcia go od sprawy. Nie mógł na to pozwolić. Zatrzymanie Citium było ważniejsze niż kiedykolwiek. – Wspomnienie z dnia pożaru. To osobista sprawa... niezwiązana z Citium i pandemią.

– Jesteś pewien? – William mierzył go wzrokiem.

– Jasne.

– W takim wypadku – powiedziała Avery, otwierając laptopa – mam coś, co musicie zobaczyć.

Desmond nie mógł rozszyfrować jej miny, ale był wdzięczny za zmianę tematu.

Wyjaśniła im, że komputer należał do jednego z żołnierzy Citium, którego „przekonała” do podania jej hasła. Odtworzyła dwie wiadomości, które Citium wysłało Stanom Zjednoczonym i innym rządóm.

Charlotte i Peyton oniemiały. Desmond się zamyślił. William odwrócił się i patrzył na rzędy kontenerów, po czym zaczął mówić wyważonym tonem.

– Mamy tu potwierdzenie. Wyprodukowali mnóstwo leku i rozesłali go w różne miejsca na świecie, aby w razie czego szybko rozdać. Rządy muszą rozpocząć poszukiwania takich magazynów w portach i terminalach.

Avery pisała coś na klawiaturze laptopa.

– To może być problematyczne.

Nagranie wideo zrobiono z drona latającego nad ulicami głównych



miast. Desmond rozpoznał most Golden Gate. Trwały zamieszki, ludzie maszerowali w stronę AT&T Park. Podobne sceny rozgrywały się w Chicago, Nowym Jorku, Londynie, Moskwie, Szanghaju.

Peyton założyła ręce.

– To globalna wojna domowa.

A Citium wygrywa, dodał Desmond w myślach. Jeśli ludzie, którzy zapoczątkowali pandemię, przejmą kontrolę nad rządami światowymi, co potem zrobią? Byli zdolni do wszystkiego. Ale jaki był ich ostateczny cel?

– Dlaczego próbują przejąć rządy na całym świecie? – spytał Williama.

– Nie jestem pewien. Mam kilka teorii. Jeśli nadal próbują stworzyć takie samo Zwierciadło jak to z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, potrzebują ogromnej mocy oraz sieci komunikacyjnej – na przykład Internetu. Kontrola nad rządami światowymi zapewni im jedno i drugie. Chaos ma służyć innemu celowi. Dzięki niemu rządy nie mogą zająć się szukaniem miejsc, w których przechowywany jest lek. Mogą znaleźć kilka z nich, ale nie wszystkie i nie dość szybko.

– Musimy im pomóc. Musi być jakaś lista tych miejsc – powiedział Desmond. Zwrócił się do Avery: – Możesz poszukać?

Palce Avery już szaleńczo śmigały po klawiaturze.

– Nie, w tym laptopie są tylko informacje dotyczące tego miejsca. To standardowa procedura Citium.

William podszedł do okna z widokiem na molo i port.

– Nie byliby tak niechlujni. Ci ludzie są bardzo, ale to bardzo inteligentni. I wydajni.

Pokazał palcem kontenerowiec stojący w porcie.

– Jeśli uda nam się znaleźć statek, na którym przypłynął lek, i sprawdzimy, do jakich zawijał portów, może uda nam się dowiedzieć, gdzie został wyprodukowany. A tam zapewne będzie lista wszystkich miejsc, w które go wysyłano. – Odezwał się do Avery: – Czy są tu dane o statkach, które zacumowały w porcie?

Znowu zaczęła pisać.

– Wygląda na to, że dane nawigacyjne ładują się automatycznie, kiedy

statek nawiąże kontakt, ale personel magazynu potem je kasuje. – Uniosła brwi. – Czekaście. Nie skasowali danych o statku, który przyplłynął ostatni, *MV Ascension*. – Czytała coś z ekranu. – Nadal stoi w porcie.

Desmond poczuł przypływ nadziei.

– Odczytaj porty, w których się zatrzymywał.

– Hongkong. Singapur. Port Klang. Shenzen. Ho Chi Minh. Kaohsiung. – Avery podniosła głowę. – To nie ma sensu. Statek jest zawsze pełny, kiedy dociera do portu, ale nigdy nie bierze żadnych kontenerów.

William podszedł bliżej.

– Szukamy jakiegoś powtarzającego się miejsca. Będzie pojawiało się po każdym porcie.

Avery stuknęła w klawiaturę.

– Nic nie ma. Tylko jakieś *Speculum*.

– To jest to.

– Nigdy o tym nie słyszałem – rzucił Desmond.

– To łacińskie słowo. Znaczący „zwierciadło”. Na *Beagle* był to nasz kod oznaczający Wyspę. – William zamilkł. – Tak, to by miało sens.

– Co ma sens? – spytała Peyton.

– Myślę, że stworzyli wirusa w Aralsku-7 – powiedział William. Zwrócił się do Desmonda: – Widziałeś uczestników eksperymentu w skrzydle, gdzie przeprowadzano testy. Ale nie sądzę, żeby tam produkowali lek.

– Dlaczego?

– Z powodu logistyki. Pomyślcie. Wirus jest wysoce zakaźny. Nie potrzebowali go zbyt wiele, żeby rozpocząć epidemię. Może kilkaset lub z tysiąc dawek strategicznie rozmieszczonych na świecie. W Aralsku-7 z łatwością mogli je wyprodukować i przetransportować w różne miejsca, by ruszyć maszynę. Ale produkcja leku i rozwiezienie go po całym świecie... to zadanie na kompletnie inną skalę. Mówimy o miliardach dawek. Fracht morski to jedyne sensowne rozwiązanie. Jest najtańszym sposobem przetransportowania towarów w ilościach hurtowych, można

je dowieźć do każdego portu na świecie w stosunkowo krótkim czasie. – Pokiwał głową. – To Wyspa. Tam jest ich centrum produkcyjne, jestem tego pewien. Być może również ich siedziba.

– Czekał – powiedziała Charlotte. – Dlaczego przez tyle lat posyłał rzeczy SPAP? Nikt tam nie choruje.

William pokręcił głową.

– Nie wiem. Nadal nie wiem, jaki związek masz ty i SPAP. Tak jakby wasze dostawy nie były związane z pandemią. Może znaleźliśmy złą tęczkę w Aralsku-7. Przykro mi, że zostałaś w to wmieszana, Charlotte.

– Mnie nie. Jeśli SPAP jest jakoś związane w Citium, jeśli nas wykorzystywali, to chcę wiedzieć dlaczego. I co zrobili moim ludziom.

– Nie winię cię. – William zwrócił się do grupy: – Słuchajcie, musimy się spieszyć. Uważam, że możemy przyjąć za pewnik, że na Wyspie znajduje się lista magazynów.

– Dobrze – zgodził się Desmond. – Ale wspomniałeś, że będzie tam dużo straży. Więc co teraz? Czy skontaktujemy się z amerykańskim wojskiem, żeby posłali siły specjalne do ataku na Wyspę?

– Będziemy musieli jechać z nimi. – William wskazał Avery. – A przynajmniej ja i Avery. Ja znam topografię Wyspy, a ona zna się na systemach komputerowych. Trzeba się tam dostać po kryjomu, bezpośredni atak jest skazany na porażkę.

– Nie ma mowy, żeby mnie to ominęło – powiedział Desmond.

– Mnie też – rzuciła Peyton.

– Nie, Peyton. Jesteś zbyt chora. Wiem, że próbujesz to ukryć.

Spojrzała mu w oczy.

– Nie jestem całkiem zdrowa, ale czuję się lepiej. Zabili wielu moich ludzi i zabijają o wiele więcej tych, których powinnam chronić jako lekarz.

William patrzył na Peyton.

– To po prostu zbyt niebezpieczne...

– Tato, wyjazdy w niebezpieczne miejsca są częścią mojej pracy. Jestem dorosła i sama podejmuję decyzje. – Patrzyła to na ojca, to na Desmonda. – Jadę.

– Ja też jadę – oświadczyła Charlotte.

Desmond pokręcił głową.

– Charlotte...

– Ci... terroryści z jakiegoś powodu finansowali moją pracę. Przez lata wysyłali potencjalnie niebezpieczne materiały do mojego obozu. Muszę wiedzieć dlaczego. I może wiem coś istotnego, ale jeszcze nie skojarzyłam, co to takiego. Ta wiedza może nam się przydać na miejscu. Jeśli istnieje choć minimalna szansa, że moja obecność się przyda, muszę spróbować. Chodzi o miliardy istnień ludzkich. Jadę. Znam ryzyko. Akceptuję je.

Desmond szukał pomocy u Williama, ale starszy mężczyzna tylko wzruszył ramionami. Widocznie on również uważał, że to przegrana bitwa. Nie mogli wykluczyć Peyton i Charlotte niezależnie od tego, jak bardzo tego pragnęli.

– Dobrze – zgodził się Desmond. – Załóżmy, że na Wyspie najłatwiej się dowiemy, dokąd posyłano lek. – Rozejrzał się i zobaczył, że wszyscy w milczeniu potakują. – Jak się tam dostaniemy? Nie możemy polecieć, bo lądowanie na Wyspie dość szybko położyłoby kres naszej przygodzie. A zanim dotrzemy drogą morską, skończy się świat, jaki znamy.

– Chyba mogę pomóc – oznajmiła Avery. Wyjęła telefon komórkowy z kieszeni i założyła na niego nasadkę satelitarną. Desmond przyglądał się, gdy uruchamiała aplikację o nazwie North Star. Posłała mu chytry uśmiech. – Okazuje się, że ja wam również nie ufałam.

Aplikacja wydała jeden długi pisk. A potem w słuchawce rozległ się męski głos.

– Centrum operacyjne.

– Znaleźliśmy to – rzuciła Avery z uśmiechem.

## ROZDZIAŁ 108

Desmond wyciskał maksimum z silnika sześciometrowej ciężarówki, starając się nadążyć za Avery, która jechała przed nim. Pędziła przez opuszczone ulice Port Adelaide. Nie widzieli żywej duszy, ale on cały czas się przejmował, że rozjedzie jakiegoś pieszego. Peyton siedziała na miejscu pasażera i kurczowo trzymała się uchwytu przy suficie. Ona również się martwiła.

– Mogłaby zwolnić! – wrzasnęła, żeby przekrzyczeć ryk silnika.

Desmond skinął głową, ale wiedział jedno: czas nie był ich sojusznikiem. W każdej mijającej minucie umierali ludzie.

William prowadził ciężarówkę jadącą za nimi i starał się nadążyć. W lusterku wstecznym Desmond widział, że Charlotte siedząca na miejscu pasażera ma podobną minę do Peyton.

W magazynie należącym do Citium aplikacja North Star połączyła Avery z centrum dowodzenia Rubicon. Oni natomiast szybko skontaktowali się z wojskiem amerykańskim i australijskim, by wraz z nimi skoordynować plan działania. Powiedzieli Avery, żeby wraz ze swoimi ludźmi zawiozła jak największą liczbę dawek leku do bazy Royal Australian Air Force w Edinburghu w Australii Południowej i czekała na dalsze wytyczne po dotarciu na miejsce.

Bramy prowadzące do bazy były otwarte. Niezabezpieczone samoloty stały na pasach startowych. Wychodząc z ciężarówki, Avery rozmawiała przez telefon. Kiedy tylko się rozłączyła, podeszła do pozostałej czwórki.

– Marynarka Stanów Zjednoczonych ma w zasięgu lotniskowiec.

Polecimy tam i otrzymamy dalsze rozkazy. W tej chwili próbują zorganizować oddział uderzeniowy.

Weszli do baraków, które zostały przekształcone w szpital. Prawie połowa załogi opiekowała się pozostałą połową. Wszyscy wyglądali na chorych.

Dowodził mężczyzna w stopniu kapitana, który przedstawił się jako Mullins.

– Mój dowódca powiedział, że mam wam dać samolot, jaki sobie wybieriecie, i najlepszego pilota.

Po krótkiej naradzie wybrali mały samolot transportowy o odpowiednim zasięgu. Załadowali na niego tyle dawek leku, ile się zmieściło, i od razu odlecieli. Z okna samolotu Desmond patrzył, jak żołnierze RAAF rozładowują ciężarówki i wnoszą pudła z fiolkami i iniektorami do baraków.

*Uratowaliśmy im życie.*

Jeśli im się uda, ocalą znacznie więcej osób.



Peyton zasnęła w samolocie. A przynajmniej próbowała zasnąć. Nie mogła się uspokoić. W głowie kłębiły się jej setki myśli. Desmond Hughes był kimś, kogo wykreśliła z życia – zmusiła się, by o nim zapomnieć. Teraz wrócił, a wraz z nim jej uczucia do niego. Bo tak naprawdę nigdy nie zniknęły.

To samo z jej ojcem. Serce pękało jej na samą myśl o tym, że żył przez te lata i nie mógł się z nimi skontaktować.

No i jeszcze Wyspa. Jeśli ojciec miał rację, znajduje się tam klucz do powstrzymania pandemii. Pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego, bardziej niż własnego szczęścia. Zastanawiała się, co by zrobiła, jeśli musiałaby wybierać; jeśli w zaplątanej sieci, którą uwiło Citium, musiałaby wybierać pomiędzy ocaleniem wielu istnień a ocaleniem ojca lub Desmonda.



W kokpicie William patrzył na ogromny lotniskowiec. USS *Nimitz* był najstarszym amerykańskim lotniskowcem w użyciu, lecz budził szacunek: miał długość większą od trzech boisk futbolowych, szerokość ponad siedemdziesiąt pięć metrów, półtora hektara pokładu startowego oraz prawie pięciotysięczną załogę. Za samolotem RAAF-u zachodziło już słońce, kiedy przed nimi pojawiło się wielkie miasto na morzu.

William uruchomił głośnik.

– Zbliżamy się. Przygotujcie się do lądowania.

Australijski pilot skinął głową, włączył radio i wywołał wieżę na lotniskowcu.

– Old Salt, tu Rescue Bird, proszę o pozwolenie na lądowanie.



USS *Nimitz* przypominał bazę lotniczą w Edinburghu, lecz był większy. Na lądowisku stał wysoki mężczyzna, za nim około dwustu ludzi w mundurach marynarki amerykańskiej. Oficer powitał Peyton i pozostałą trójkę, gdy wychodzili z samolotu, i poinformował ich, że ludzie za nim to członkowie załogi okrętu, którzy zgłosili się do udziału w tej misji. Byli albo odporni na wirusa, albo jeszcze się nim nie zarazili. Mogli lecieć.

Kilka minut później z lotniskowca wystartowały śmigłowce i uniosły Avery, Peyton, Desmonda, Williama, Charlotte i dwustu ochotników z marynarki wojennej USA. Peyton spojrzała w dół i zobaczyła, że załoga wypakowuje pudła z lekiem. Przywieźli pięć tysięcy dawek, ilość wystarczającą do uratowania całej załogi *Nimitza*.



Wylądowali na USS *Boxer*, który według Peyton wyglądał jak mniejsza wersja *Nimitza*. Wkrótce dowiedziała się, że *Boxer* był częścią grupy

uderzeniowej amerykańskiej marynarki wojennej – okrętów, które mogły szybko wyekspediować siły szybkiego reagowania, żeby atakowały z lądu, morza lub powietrza.

W sali konferencyjnej w pobliżu mostka pułkownik Nathan Jamison, dowódca 11. Morskiego Korpusu Ekspedycyjnego, przekazał im informacje o zwiadzie, jakiego jego załoga dokonała w ciągu pięciu godzin, czyli od chwili gdy kontakt Avery zaczął współpracę z Departamentem Obrony Stanów Zjednoczonych.

Na ekranie pojawił się obraz przedstawiający jakiś port. Nad nim wisiały potężne zadaszzenia.

– Nie zaobserwowaliśmy żadnych wypływających ani wpływających obiektów. – Głos Jamisona przypominał warczenie.

William stanął obok niego przy białej tablicy.

– I zapewne nie zaobserwujecie.

Przez okna Peyton widziała kolejne nadlatujące śmigłowce, z których wysiadali żołnierze. *Boxer* zbierał wszystkich sprawnych marines oraz marynarzy z okrętów rozrzuconych na Pacyfiku. Pułkownik powiedział im, że jego oddział zwykle liczy dwa tysiące dwieście osób, ale wirus X1-Mandera zdziesiątkował podwładnych. Peyton zastanawiała się, w jaki sposób Citium dostało się na tak wiele statków. Czy korzystali z wody, taśmy klejącej i kartonów, które niedawno odkryli w Aralsku-7? A może w przypadku wojska i innych odizolowanych grup zastosowano inny sposób?

Na białej tablicy jej ojciec naszkicował mapę Wyspy, zaznaczając budynki i drogi.

– Tak Wyspa wyglądała w połowie lat sześćdziesiątych. Wtedy byłem tam po raz ostatni. – Zamilkł na chwilę. Peyton pomyślała, że coś próbuje sobie przypomnieć; zastanawiała się co. Wskazał na budynek w głębi lądu, z dala od głównej drogi. – To budynek administracyjny. Jest to ważny kompleks biurowy. Sądzę, że tam znajdziemy przywódców Citium. Jeśli tak, będzie tam także serwerownia. Dostaniemy się do środka, Avery zaloguje się i zyska bezpośredni dostęp do dokumentów Citium, miejmy nadzieję, że łącznie z listą magazynów na świecie, gdzie



przechowują lek.

Pułkownik Jamison zaczął opisywać plan. Na budynku administracyjnym mieli wylądować spadochroniarze, do bezludnych plaż oddalonych o kilka kilometrów od portu miały przybić amfibie i wysadzić żołnierzy. Wsparcie z powietrza rozpocznie akcję, kiedy tylko oddziały znajdą się na lądzie. Peyton i pozostała czwórka wysiądą dopiero wtedy, gdy w okolicy będzie bezpiecznie.

– To dobry plan – ocenił William, kiedy pułkownik skończył. – Atak przeważającymi siłami jest właściwym podejściem w normalnych okolicznościach. – Jamison wbił w niego wzrok. – Jednakże my mamy pewną przewagę.

– Jaką? – wycharczał Jamison.

– Zaskoczenie. Znajomość terenu. A przeciwko sobie mamy wroga, który jest niezwykle przebiegły. Może być dobrze przygotowany na atak w sposób, jakiego nie potrafimy przewidzieć. Zapewne stracimy wielu ludzi.

– Koszt porażki jest jeszcze wyższy – zauważył Jamison.

– To prawda. Jednak uważam, że powinniśmy wziąć pod uwagę poprawki do waszego planu. Plan poprzedzający, jeśli mogę go tak nazwać. Proponuję, żeby nasza piątka wylądowała w wyznaczonym przez was punkcie, odbyła rekonesans w strefie docelowej i spróbowała się dostać do budynku administracyjnego.

Jamison pokręcił głową.

– Zbyt ryzykowne. Jeśli was odkryją, stracimy element zaskoczenia.

– Wasz plan jest jeszcze bardziej ryzykowny, pułkowniku. Desant w porcie i na plażach daje Citium czas na skasowanie wszystkich plików, na których nam zależy. Nie, to się po prostu nie uda.

Mężczyźni zaczęli się kłócić, nikt nie był w stanie się wtrącić. W końcu William podniósł głos i powiedział:

– Nie jestem cywilem. Służyłem w Secret Intelligence Service. I zapewniam, że jej agenci są bardzo dobrzy w tego rodzaju operacjach.

To wyznanie nie zbiło Jamisona z tropu, wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej go rozzłościło. Jednak w końcu doszli do porozumienia: ich

piątka wylądowuje na plaży wraz z mniejszym oddziałem składającym się z SEALs-ów oraz marines. W pobliżu będą gotowe do ataku główne siły uderzeniowe oraz wsparcie z powietrza.

Gdy znaleźli się poza salą konferencyjną, ojciec Peyton pochylił się do jej ucha.

– Muszę z tobą porozmawiać – wyszeptał.

Kiedy zostali sami, kontynuował:

– Na Wyspie trzymaj się blisko mnie.

– Dobrze.

– I miej Charlotte na oku.

– Czy ona...

– Zaufaj mi, Peyton.

– W porządku.

– Możesz się dowiedzieć rzeczy, które... cię wzburzą.

– Tato, o czym ty właściwie mówisz?

– Mówię, że masz być gotowa. I skupiona na celu: znalezieniu listy miejsc, gdzie zmagazynowano lek.



Desmond stał na pokładzie, czuł wiatr na twarzy. Helikoptery wciąż lądowały. Oddziały szykowały się do akcji. Słońce już zachodziło, w ciągu godziny wyruszą.

Podeszła Avery, przez kilka minut towarzyszyła mu w milczeniu.

– Musimy porozmawiać o tym, co przypomniałeś sobie w rodzinnym domu – odezwała się wreszcie.

– Nie musimy – odparł, nie patrząc na nią.

– Des, przynajmniej powiedz, co z tym zrobimy.

– Nie mam pojęcia.

## ROZDZIAŁ 109

Desmond znalazł Peyton w mesie, gdzie siedziała nad talerzem z nietkniętym jedzeniem. Wziął tacę, nałożył sobie gulaszu wołowego i chleba, po czym usiadł naprzeciw niej.

– Nie jesteś głodna? – spytał.

– Umieram z głodu.

– Ja też się denerwuję.

Bawiła się fasolką szparagową.

– Jestem przyzwyczajona do niebezpiecznych sytuacji. Wysokiego ryzyka.

– Ale to coś innego.

Przytaknęła.

– I... jest coś jeszcze.

– Co takiego?

Zastanawiał się, czy mówiła o nim. O *nich*.

– Charlotte – powiedziała.

Uniósł brwi pytająco.

– Jest związana z tobą. I ze mną. Nie sądzisz, że to dziwne? I nie potrafię wytłumaczyć sobie, dlaczego ktoś posyłał jej zapasy. To po prostu... zbyt wiele zbiegów okoliczności. Coś nam umyka. Coś bardzo ważnego.

Desmond przez chwilę nic nie mówił. To nie była rozmowa, której się spodziewał. Ale był zaintrygowany. Miała rację, jak zwykle.

– Nie wiem, co to znaczy, ale coś sobie uświadomiłem. Zajęło mi to

dużo czasu. – Peyton nie ponaglała go. – Piętnaście lat temu, kiedy opuściłem cię w Palo Alto, myślałem, że postępuję właściwie. I że oboje na tym skorzystamy. Uważałem, że beze mnie będzie ci się żyło lepiej. Będziesz miała dzieci. Szczęście. Normalnego męża. – Zaczęła coś mówić, ale Desmond ją powstrzymał. – Daj mi jeszcze chwilę. Zmierzam do tego, że myślałem, że czas mnie uleczy. Tak się nie stało. Nie było mi lepiej. Chciałem, żebyś wiedziała, bo miałaś rację. Żałuję, że odszedłem.

– To przeszłość, Des.

– Chciałem to powiedzieć na wypadek, gdyby...

– Gdybyśmy nie wrócili.

– Tak.

– Powiem ci coś. Umówmy się. Jeśli uda nam się wrócić, nie będziemy rozmawiać o przeszłości. Tylko o przyszłości. I teraźniejszości.

– Umowa stoi.

# DZIEŃ 14

**6 mld 100 mln zarażonych**

**18 mln ofiar śmiertelnych**

## ROZDZIAŁ 110

Elim zszywał ranę na rękę młodej dziewczyny, kiedy odezwał się głośnik w gabinecie.

– Doktorze Kibet, proszę zadzwonić do operatora, ma pan pilny telefon z MZ.

MZ to Ministerstwo Zdrowia, a raczej to, co z niego zostało.

Asystująca pielęgniarka posłała mu pytające spojrzenie, lecz on nadal zszywał ranę.

– Jesteś bardzo dzielna – powiedział szeptem do dziewczyny.

Uśmiechnęła się. Nie pytał, w jaki sposób tak się skaleczyła, ale poinstruował pielęgniarkę, żeby dowiedziała się, czy pacjentka ma gdzie się zatrzymać, zanim wypisze ją ze szpitala.

Kiedy wychodził z gabinetu, usłyszał ponowne wezwanie.

Operator połączył go z Ministerstwem Zdrowia. Głos Dhamirii na linii był muzyką dla jego uszu; oboje pracowali bez chwili wytchnienia, a on bardzo chciał ją zobaczyć.

– Elim, właśnie dzwonili od generała.

Wyprostował się. Wojsko było w Kenii najbliższe temu, co można uznać za działający rząd.

– Mieli telefon z ONZ. Dogadali się z Grecją i Francją, każdy kraj dostanie niewielką liczbę dawek lekarstwa. W ciągu siedmiu godzin otrzymamy siedem dawek – przywiezie je grecki odrzutowiec.

– Wspaniale.

– Generał zażądał wszystkich dawek, ale powiedzieliśmy mu, że

potrzebujemy co najmniej jednej do badań, żeby uzyskać większą ilość leku.

– Sprytnie. – Elim się uśmiechnął.

Prawda była taka, że nie mieli możliwości, by prowadzić badania i produkować lekarstwo. Ale rzeczywiście potrzebował jednej dawki leku ratującego życie. Pomoże mu spełnić daną obietnicę. I spłacić dług.



Kiedy dawki leku na X1-Mandera przyjechały, Elim osobiście udał się do koszar przy Ministerstwie Obrony Narodowej w dzielnicy Hurlingham w Nairobi. Jedna dawka została już wykorzystana przez generała, który obecnie stał na czele kenijskiego wojska. Pięciu dawek potrzebował do sprawdzenia lojalności najważniejszych podwładnych i eliminacji każdego, kto mógłby mu zagrozić. Jego działania były skuteczne. Tego ranka zlikwidowano dwóch generałów i trzech pułkowników niezadowolonych z obecnego dowództwa. Ludzie ustawiali się w kolejce, a Elim wszystkimi zmysłami wyczuwał zmiany zachodzące w kompleksie wojskowym.

Kiedy tylko dostał dawkę leku, popędził z powrotem do szpitala Kenyatta National, gdzie biegiem pokonywał korytarze. Do ochrony siebie i leku przyprowadził ze sobą pięciu ocalonych z Dadaab. Budzili grozę w szpitalu, ale ich obecność była konieczna.

W sali chorych szybko podał lek. Miał nadzieję, że nie było za późno.

Próbował nie myśleć o pacjentce, kiedy wykonywał swoje obowiązki. Godziny mijały bez słowa. Zastanawiał się, czy lekarstwo na pewno jest skuteczne.

Kiedy dowiedział się, że pacjentka się obudziła, badał mężczyznę w średnim wieku z wirusowym zapaleniem wątroby typu E. Ucieszył się.

Otworzył drzwi do jej sali. Hannah siedziała na łóżku. Była zaspana, pod oczami miała sine worki. Poruszanie kończynami wymagało od niej niemal nadludzkiego wysiłku. Elim przypomniał sobie, jakich spustoszeń dokonał wirus w jego organizmie. Był zmuszony nauczyć się

wszystkiego od początku: chodzenia, używania mięśni. Wiedział, że będzie musiała pokonać taką samą drogę. Ale widział siłę w jej oczach.

– Dowiedziałam się, że to panu powinnam dziękować.

Elim pokręcił głową.

– Byłem tylko dostawcą.

– Ale to pan podjął decyzję.

– Tak. To najtrudniejsza decyzja dla człowieka: czyje życie ratować.

A szczególnie trudno ją podjąć lekarzowi.

– Pan wybrał mnie.

Elim odpowiedział na pytanie, które tak naprawdę chciała mu zadać – dlaczego. Wiedział, co będzie dalej: zacznie odczuwać wyrzuty sumienia. Hannah była lekarką i epidemiolożką; jej zawód polegał na ratowaniu innych. A teraz Elim ją wyróżnił, postawił ją ponad innymi.

– Kilka tygodni temu grupa bardzo odważnych obcokrajowców przyjechała, by pomagać moim ludziom. Umieraliśmy. Narazali życie, żeby nam pomóc. Przywieźli lek, który, jak wówczas sądziliśmy, ratował życie. ZMapp. Przywieźli go dla swoich ludzi, ale zgodzili się przekazać jedną dawkę do dyspozycji naszego rządu, który oddał ją mnie. Ona uratowała mi życie. Z początku czułem się winny, zastanawiałem się, czy podjęli właściwą decyzję. I pytałem dlaczego. Powiedzieli, że warto było uratować mi życie.

– I sądzi pan, że moje też warto?

– Wiem to.

– Skąd?

– Byłaś jedną z tych osób, które tu przyjechały, ryzykowałaś życie, żeby nam pomóc. Ale przede wszystkim, domyślam się, o czym teraz myślisz.

Odwróciła wzrok.

– Chciałabyś już wstać z łóżka, wyjść ze szpitala i zacząć pomagać innym.

Jej wzrok powiedział mu, że się nie mylił.

– Świat potrzebuje ludzi takich jak ty, doktor Watson. To trudny wybór, ale czasem musimy ratować ludzi, którzy pomogą innym.



Zrozumiałem mądrość decyzji rządu, kiedy pojechałem do obozu uchodźców. Spotkanie ze śmiercią zmienia człowieka. Dobrych ludzi zmienia w jeszcze lepszych, sprawia, że są wdzięczni i bardziej oddani rzeczom, które mają znaczenie. Minie sporo czasu, zanim wyzdrowiejesz. Od wielu dni byłeś przykuta do łóżka. Ale w końcu to nastąpi. A wtedy z chęcią przyjmę twoją pomoc. Na razie odpoczywaj.

## ROZDZIAŁ 111

Księżyc oświetlał im drogę. Łodzie były prawie bezgłośne, pasażerowie ubrani na czarno, ich twarze pomalowane odcieniami zieleni i brązu.

Słony wiatr rozwiewał włosy Peyton, szarpał nimi, gdy łódź podskakiwała na falach. Obok niej siedział Desmond i patrzył przed siebie. Peyton odczuwała spokój, gdy płynęli po południowym Pacyfiku. Myślała o wydarzeniach poprzednich dwóch tygodni. Wrócił ojciec. Wrócił Desmond. Ale wkrótce może ich obu stracić.

Naprzeciw niej siedziała Avery. Blond włosy schowała pod hełmem i na twarz nałożyła grubą warstwę farby maskującej. Jej oczy błyszczały nienaturalnie, jak u drapieżnika czającego się w dżungli, przyglądającego się ofierze tuż przed skokiem. Patrzyła raz na Peyton, raz na Desmonda, pytając wzrokiem: *Znowu jesteście ze sobą?*

Peyton miała ochotę ją kopnąć, wyrzucić za burtę. Ale potrzebowali jej. A Avery zapewne chwyciłaby nogę Peyton i złamała ją jak cienką gałązkę.

Ojciec Peyton chyba był świadomy tego, co się między nimi dzieje. On również zerknął na Desmonda i uniósł brwi. Peyton się zarumieniła. Zupełnie jak nastolatka.

Charlotte także patrzyła na Desmonda i Peyton. Uśmiechała się, widocznie była zadowolona, że siostra jej byłego chłopaka i sierota, którą się opiekowała, zeszli się ze sobą. Jedynymi, którzy nie brali udziału w wymianie spojrzeń, byli żołnierze Navy SEALs siedzący na dziobie i rufie.

Plaża przed nimi wydawała się pusta, ale Peyton i tak wstrzymała oddech, gdy małe łodzie dopływały do brzegu, podskakując na falach przyboju.

Ich łódź zatrzymała się ze zgrzytem, szorując dnem o piasek. Na plaży leżały muszle, wyrzucone przez morze drewno i orzechy kokosowe. Nie była nieskazitelna jak w miejscowościach wypoczynkowych. Ta była nietknięta przez człowieka, wyglądała tak, jak ukształtowała ją natura.

Żołnierze na migi pokazywali pasażerom, że mają wysiadać z łodzi. Kilka sekund później Peyton postawiła pierwsze kroki na Wyspie.

## ROZDZIAŁ 112

Żołnierze wyciągnęli obie łódki na brzeg i biegnąc truchtem, zanieśli je do gęstego lasu. Ukryli je pod siatkami kamuflującymi i wraz z Peyton, Desmondem, Avery, Williamem i Charlotte zagłębili się w dżunglę. Uformowali krąg wokół cywilów. Szli pochyleni pomiędzy roślinnością, trącali orzechy kokosowe leżące na ziemi, nad sobą mieli palmy, a wokół wielkie liście paproci drzewiastych. Było duszno, powietrze lepkie. Panował upał, ale co kilka sekund owiewała ich bryza znad oceanu.

Peyton wydawało się, że dżungla żyje, nieustannie się porusza jak jeden oddychający organizm. Gęsto rosnące drzewa i inne rośliny kołysały się na wietrze. Stworzenia, których nie umiała nazwać, postukiwały, nawoływały i szurały wkoło niej. Roślinność była tak obfita, że praktycznie nie widziała dalej niż trzy metry przed sobą.

Wszyscy byli podenerwowani. Kilka razy zatrzymywali się, kulili i czekali, bo wydawało im się, że nie są sami w dżungli.

Peyton odbyła kiedyś podstawowe szkolenie z dwustronnej łączności radiowej, co przydawało jej się podczas wielu misji, kiedy musiała współdziałać z wojskiem, policją, strażą pożarną oraz personelem lotniczym. Szkolenie na pewno przydawało jej się ostatnimi czasy.

Jej ojciec po raz pierwszy odezwał się przez radio.

– Cel trzysta metrów przed nami – wyszeptał.

Grupa się zatrzymała, trzej żołnierze odłączyli się i szybko oddalili. Gdy wrócili, gestem pokazali, że wszyscy mają pójść za nimi.

Las zaczął się przerzedzać. Ze wzgórza Peyton dostrzegła rząd małych

domów w stylu karaibskim: ściany z desek, metalowe dachy, okiennice chroniące przed huraganami i duże ganki przed wejściem. Ponad domami wisiał wielki baldachim, podtrzymywany przez metalowe słupki osadzone w cementowych blokach. W pobliżu jednego z domków stał elektryczny pojazd przypominający wózek golfowy z przezroczystymi bokami.

Jeden z marines odezwał się przez radio:

– Overwatch do oddziałów Bravo i Zulu. Jesteśmy przy celu Tango. Odbiór.

– Bravo, Zulu, Overwatch. Przyjąłem.

William i czterej żołnierze odłączyli się od grupy i ruszyli w stronę zabudowań. Po drodze ukucnęli i wyjęli lornetki.

Pozostali rozdzielili się i zajęli pozycje strzeleckie, większość położyła się na brzuchach i obserwowała małą osadę przez celowniki optyczne karabinów.

Ojciec Peyton upierał się na okręcie, że to on poprowadzi oddział zwiadowczy. Pułkownik Jamison nie chciał się zgodzić, ale William nalegał, twierdząc, że ma informacje z pierwszej ręki i zna teren oraz wroga. W gabinecie lekarskim kazał Peyton jeszcze raz założyć sobie opatrunek na nogę, podać zastrzyk z kortyzonu oraz doustne leki przeciwbólowe. Wsadził pigułki do kieszeni, ale nie zażył ani jednej.

William i czterej żołnierze podbiegli do najbliższego budynku i weszli do środka przez tylne drzwi. Były agent wywiadu na końcu. Obolała noga spowalniała go trochę, jednak Peyton uważała, że i tak porusza się całkiem sprawnie.

Odliczała sekundy, ale nic się nie działo. Mijały minuty. Dwóch żołnierzy wyszło przez tylne drzwi, wbiegli między drzewa i ponownie wynurzyli się z zarośli w okolicach czwartego domu od brzegu. Weszli do niego w podobny sposób.

Jeden z żołnierzy odezwał się przez radio:

– Do dowódcy Zulu. Potrzebujemy wsparcia w lokalizacji dwa.

W słuchawkach rozległa się seria rozkazów.

Poderwało się sześciu żołnierzy, przebiegli wzdłuż linii drzew i wpadli

do drugiego z domów. Peyton była zaskoczona tempem, w jakim to zrobili. Przełknęła ślinę. Jej ojciec był w pierwszym domu. Czy nic mu się nie stało?

Przestraszyła się, że mogłaby go teraz stracić; uświadomiła to sobie w chwili, kiedy ryzykował własne życie.

Desmond popatrzył na nią i żeby dodać jej otuchy, lekko skinął głową, co zauważyła tylko ona.

Avery przyczołgała się do dowódcy Zulu i coś mu szeptała, zbyt cicho, by Peyton mogła usłyszeć. Mężczyzna pokręcił głową i odepchnął ją z irytacją.

Nie odpuszczała. Kilka sekund później wstała i zbiegła ze wzgórza.

– Meduza, wracaj.

Avery się nie zatrzymała.

– Oddział Fox, uważajcie, zbliża się do was Meduza.

Dowódca Zulu popatrzył na Desmonda, który tylko wzruszył ramionami, jakby chciał pokazać mężczyźnie, że go rozumie, bo sam musiał się z tym mierzyć.

Z zalesionej ścieżki wyjechał kolejny pojazd elektryczny i zaparkował koło budynku, w którym nie było żołnierzy. Dwa inne pojazdy zatrzymały się przy kolejnych domach. Kilkoro odzianych na czarno postaci zaczęło zbliżać się do tych budynków.

Peyton nie wiedziała, co się dzieje, ale trzymała język za zębami i próbowała się uspokoić. W słuchawce rozległ się cichy głos żołnierza:

– Zulu, Bravo. Wchodzicie. Szybko.

Chyba jest ranny, pomyślała Peyton.

## ROZDZIAŁ 113

W drugim budynku były zaciągnięte żaluzje. Na drewnianej podłodze Peyton dostrzegła rozbryzgi krwi. Zatrzymała się na ten widok i powoli je obeszła. Żołnierze w ogóle nie zwrócili na krew uwagi. Chodzili od pokoju do pokoju.

– Czysto! – krzyčili, zanim wycofali się na korytarz.

Peyton odprężyła się, gdy usłyszała głos ojca dochodzący z jadalni. Był tam z Avery i dwoma marines. Zdjęli ze ściany obraz i na podobraziu narysowali mapę Wyspy oraz stojących na niej budynków.

William uruchomił radio i wyłożył swój plan wszystkim oddziałom oraz centrum operacyjnemu na *Boxerze*.

Wraz z żołnierzami przesłuchał mieszkańców domów i wiele się dowiedział. Mapa przedstawiała zaktualizowaną wersję rozkładu Wyspy, która trochę się zmieniła od lat sześćdziesiątych. W pobliżu portu mieszkało około dwustu prywatnych ochroniarzy. Na Wyspie pojawiły się również najnowsze zabezpieczenia, w tym zaawansowany sonar i radar. Te urządzenia z pewnością mogły wykryć większe łodzie, zanim te dotarły do plaży. Nie byli pewni, czy łodzie, którymi przyплыnęli, również zostały wykryte, ale mieli nadzieję, że przedostali się niezauważeni. Urządzenia były nastawione na monitorowanie Wyspy od strony portu.

Najpoważniejszym uzbrojeniem były wyrzutnie rakiet ziemia-powietrze i ziemia-morze. Citium mogło odeprzeć ataki z *Boxera*, a także samo zaatakować jednostki grupy uderzeniowej.

William upierał się, żeby nie wycofywali okrętów; jeśli już je wykryto, odsunięcie jednostek od brzegu wzbudziłoby podejrzenia, na dodatek mogłyby się rozpocząć poszukiwania na Wyspie.

William zaznaczył dwa interesujące ich obiekty: kompleks laboratoriów oraz budynek administracyjny, w którym mieściło się centrum przetwarzania danych i sprzęt komunikacyjny. Według mieszkańców, których przesłuchali, żaden z obiektów nie był pilnie strzeżony, a obecna zmiana kończy pracę za godzinę – i to będzie najlepsza pora na infiltrację.

Szybko ułożyli plan, który wydał się Peyton całkiem dobry. Oddziały SEALs-ów i marines miały dostać się do koszar i kompleksu obronnego. W pierwszej kolejności powinni opanować radar oraz wyrzutnie pocisków. Następnie mieli założyć materiały wybuchowe na transportery, chodziło przede wszystkim o to, żeby szybko zneutralizować oddziały na Wyspie w razie ich mobilizacji do odparcia ataku z lądu. Plan był sensowny, przypuszczalnie najlepszy przy tak ograniczonych siłach, choć przewidywał straty własne.

Podczas przeszukania domów natknęli się na Carla – administratora sieci komputerowej, oraz Gretchen – starszą inżynier biomedyczną. Ich zmiany miały się właśnie zacząć i dzięki nim oddziały infiltrujące dostaną się do środka. Desmond, William i Avery mieli wejść do budynku administracyjnego z Carlem, który przedstawi ich jako nowych konsultantów i da im dostęp do bazy danych. Charlotte i Peyton wejdą do kompleksu badawczego z Gretchen i poszukają informacji związanych z lekiem. Drugą grupę będą ubezpieczać dwaj żołnierze Navy SEALs. Każdy członek zespołu miał ze sobą cywilne ciuchy oraz przebranie na wypadek tego rodzaju działań.

Peyton poszła do łazienki i zaczęła zmywać farbę z twarzy. Kiedy spojrzała w lustro, zobaczyła Desmonda w drzwiach.

– Uważaj.

– Ty też – powiedziała, patrząc w lustro.

– Spotkamy się po drugiej stronie.

– Będę czekała. – Miała nadzieję, że on na nią również.



## ROZDZIAŁ 114

Peyton jechała na tylnym siedzeniu elektrycznego samochodu razem z Gretchen i Charlotte. Dwaj żołnierze Navy SEALs siedzieli z przodu w milczeniu, spoglądali przed siebie i tylko od czasu do czasu wypatrywali potencjalnych kłopotów na poboczu nieutwardzonej drogi, która wiła się przez wyspę. Małe reflektory pojazdu w minimalnym stopniu oświetlały drogę przed nimi; Peyton założyła, że to środki bezpieczeństwa uniemożliwiająca zauważenie samochodu z powietrza. Drogi nie były przykryte baldachimami maskującymi, ale po obu stronach rosły rozłożyste drzewa, które osłaniały trasę konarami.

Peyton zerknęła na Gretchen. Zirytowana blondynka miała jakieś czterdzieści pięć lat i była w dobrej formie. Peyton zastanawiała się, co się stało w domu, że udało im się ją przekonać, żeby zabrała ich do laboratorium. Sądziła, że zrobiła to pod przymusem. Jednak umysł Peyton przede wszystkim zaprzętała myśl, jak to możliwe, że osoba z doktoratem z inżynierii biomedycznej, która wyglądała na całkiem racjonalną, podjęła współpracę z Citium.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytała.

Gretchen odpowiedziała, nie patrząc Peyton w oczy. Mówiła z niemieckim lub holenderskim akcentem.

– Podważam założenie.

Peyton się zdziwiła.

– Zakładasz, że działamy przeciw ludzkości. – Dopiero teraz spojrzała na swoją rozmówczynię. – Zapewniam cię, że tak nie jest. Nasze

działania mają na celu uratowanie ludzi. Więc to ja powinnam ciebie zapytać: dlaczego?

– Uważam, że wypuszczenie śmiertelnego patogenu nie leży w interesie ludzkości.

– To krótkowzroczne myślenie.

– Zabiliście miliony ludzi w ciągu tygodnia.

Gretchen odwróciła wzrok.

– Żałujemy tego. Wiele osób straciło życie w skutek błędnych decyzji rządów. Ale końcowy rezultat będzie taki sam. I okaże się wart tej ceny.

– To znaczy....

Przerwał im siedzący za kierownicą żołnierz:

– Uwaga, drogie panie.

Samochód zjechał z drogi i znalazł się na drewnianej promenadzie zamaskowanej baldachimem. Z lewej strony ciągnął się duży, kryty parking.

– Możecie stanąć, gdzie wam wygodnie – powiedziała Gretchen.

Gdy zatrzymali się, SEALs na miejscu pasażera odwrócił się do niej.

– Chcę przypomnieć naszą umowę oraz konsekwencje jej złamania.

– Nie potrzebuję przypomnienia.

Światła LED podwieszane na baldachimie oświetlały im drogę do kompleksu laboratoriów. Szli w milczeniu, ponieważ po drodze dołączyli do nich inni pracownicy.

Strażnik za biurkiem tylko na nich zerknął. Gretchen zaprowadziła ich do windy i wcisnęła przycisk oznaczony B4. Wcześniej Peyton zastanawiała się, dokąd udać się na samym początku. Inni mieli najważniejsze zadanie: odnaleźć magazyny, gdzie przechowywany jest lek. Ale plan awaryjny przewidywał, że Peyton ma znaleźć miejsce wytwarzania leku i zebrać informacje o mechanizmie jego działania. Gdyby pozostałym się nie udało, a rządy na całym świecie musiałyby same zacząć produkować lek, te informacje byłyby na wagę złota.

Gretchen zaprowadziła ich do biura, którego okna wychodziły na dużą fabrykę. Hale produkcyjne znajdowały się pod ziemią, ale Peyton najbardziej zdziwiły maszyny.

– Co to jest?

– To, czego chcieliście.

– To tutaj produkujecie lek? Niemożliwe.

Gretchen się uśmiechnęła.

– Ponownie czynisz złe założenia.

Peyton połączyła się przez radio.

– Coś tu nie gra. – Żadnej odpowiedzi. – Desmond? Avery?

Czekała.

– Tato, zgłoś się.

Cisza.

## ROZDZIAŁ 115

Desmond i Avery szli w milczeniu po oświetlonej ścieżce. William i Carl znajdowali się kilka metrów przed nimi.

W domku Desmond się przebrał, starł farbę z twarzy i założył perukę z brązowymi włosami. Przykleił sobie wąsy, które cały czas go łaskotały. Koszulka polo miała za mały rozmiar, szorty za duży. Avery bez przerwy na niego patrzyła.

– Co? – szepnął.

– Nic.

– Powiedz.

– Wyglądasz jak gwiazdor porno z lat siedemdziesiątych – powiedziała z uśmiechem.

– Dzięki. – Roześmiał się.

– Widziałam, jak podrywałeś Peyton w domu.

Desmond popatrzył na nią, ale nie odwzajemniła spojrzenia.

– Hej.

Odwróciła się do niego.

– Zanim... – zaczął. – Co było między nami?

– Czy to ma znaczenie?

– Dla mnie tak.

– Cóż, dla mnie już chyba nie.

Desmond chciał coś dodać, ale William zatrzymał się i kazał im zamilknąć. Stali w pobliżu budynku administracyjnego.



W holu każdy przesunął przed czytnikiem kartę magnetyczną; Carl własną, Desmond, William i Avery karty, które zabrali mieszkańcom domków, gdyż ci mieli wstęp do budynków i miejsc strategicznych. Nikt stąd nie pomyliłby intruzów z ludźmi, do których należały karty. Desmond miał nadzieję, że uda im się ominąć strażnika przy biurku i nie zostaną zauważeni przez personel obsługujący kamery.

Ku jego uldze strażnik nie zwrócił na nich uwagi. W kilka sekund wyszli z holu i znaleźli się przy rzędzie wind, gdzie Desmond wreszcie odetchnął.

Budynek miał cztery kondygnacje. Carl zaprowadził ich do serwerowni na piętrze. Była bardzo duża, miała przynajmniej trzydzieści metrów długości i dwadzieścia szerokości i ciągnęła się dwa piętra w górę.

Słychać było brzęczenie niezliczonych serwerów. Jak okiem sięgnąć stały rzędy metalowych szaf i klatek. Niektóre były otwarte, wystawały z nich kable jak wnętrzności jakiegoś wybebeszonego mechanicznego potwora. Niektórzy technicy krzatali się między rzędami. Stali przy wózkach, na których leżały stosy części do serwerów, pracowali przy laptopach i wpisywali coś na klawiaturach pod rozkładanymi monitorami, które zamontowano przy samych serwerach. W pomieszczeniu nie było okien, oświetlały je lampy jarzeniowe i panował chłód. Klimatyzacja dmuchała na nich zimnym powietrzem. Plastikowe płyty ujęte w żelazną ramę tworzyły podwyższenie, a przestrzeń pod nimi wypełniały przewody, które sięgały każdego miejsca centrum danych. Kroki intruzów głośno rozbrzmiewały w pomieszczeniu.

Wielkość centrum danych zaskoczyła Desmonda, który spodziewał się czegoś znacznie mniejszego. *Na co im aż taka moc komputerów?*

W różnych punktach Avery mocowała małe kamery na końcu rzędu serwerów. Carl zatrzymał się przy jednym z nich i wpisał kilka cyfr na klawiaturze przy małych drzwiach, które otworzyły się z kliknięciem, a następnie wyjął laptopa. Przyłączył do niego kabel sieci wewnętrznej.

– Ten terminal ma uprawnienia administracyjne w sieci.

Odsunął się na bok i Avery zajęła jego miejsce. Obok laptopa położyła tablet, na którym ustawiła podgląd z zamontowanych kamer. Jak na razie nikt ich nie śledził.

W szaleńczym tempie pisała coś na laptopie. Po chwili na ekranie pojawiło się logo Rook Quantum Sciences.

– Dostałam się do środka.

## ROZDZIAŁ 116

Peyton jeszcze raz wywołała ich przez radio.

– Desmond. Tato. Avery.

Czekała.

– Proszę, zgłóście się. – Po chwili zwróciła się do Gretchen: – Dlaczego nie działa radio?

– Nie mam pojęcia.

– Nie kłam.

– To nie jest moja działka.

– To znaczy?

– Szpiegostwo przemysłowe było jednym z największych zagrożeń, z jakimi musieliśmy się liczyć. – Westchnęła.

– Co to znaczy?

Na jej ustach pojawił się uśmiech, choć jej twarz nie wyrażała rozbawienia.

Peyton się zastanowiła. Tak, zapewne mieli jakieś zabezpieczenia, żeby nikt nie wynosił informacji poza teren, w tym blokadę fal elektromagnetycznych.

– Budynek jest ekranowany, prawda? Nie połączę się przez radio.

Brak odpowiedzi był potwierdzeniem jej teorii. Jeśli budynek administracyjny również był ekranowany, Avery nie zdoła wysłać listy miejsc przez Internet satelitarny. Trzeba jej o tym powiedzieć, i to szybko.

Jeszcze bardziej niepokoiło ją to, co widziała na dole – wielkie maszyny

produkujące lek. Wszystko wyglądało nie tak. Peyton zwiedziła dziesiątki hal produkcyjnych, w których wytwarzano szczepionki, leki przeciwwirusowe i przeciwciała monoklonalne stosowane przy chorobach zakaźnych. I wszystkie miały jedną wspólną cechę: były oparte na materiale biologicznym.

Większość szczepionek była po prostu jakąś formą wirusa, na którego miała uodparniać. Szczepionki na odrę, świnkę, różyczkę, polio, ospę i półpasiec były osłabionymi formami wirusów, które zwalczały. Osłabione formy słabo namnażały się w organizmie, dzięki czemu układ odpornościowy mógł je rozpoznać i zaatakować. Potem ciało samo wytwarzało przeciwciała, kiedy więc pojawiał się wirus, układ odpornościowy mógł szybko go zneutralizować.

Inne szczepionki opierały się na procesach chemicznych, które dezaktywowały wirusa i nie pozwalały mu namnażać się w organizmie. Tak działały szczepionki na polio, wirusowe zapalenie wątroby typu A, grypę i wściekliznę. Szczepionki dezaktywujące nie miały szans na wywołanie nawet łagodnej formy choroby, na którą uodparniały, co czyniło je idealnymi dla osób z osłabionym układem odpornościowym.

Jednakże szczepionki były raczej nieskuteczne w leczeniu pacjentów, którzy już zarazili się wirusem, zwłaszcza gdy patogen łatwo ulegał mutacjom, tak jak grypa czy HIV. Dla pacjentów zarazonych produkowano leki antywirusowe.

Podobnie jak szczepionki, leki antywirusowe wytwarzano z żywej materii. Na przykład przeciwciała monoklonalne hodowano w kulturach komórek, łącząc komórki szpiczakowe z tymi pobranymi ze śledziona myszy, które zostały uodpornione antygenem. Inne leki przeciwwirusowe atakowały warstwę białkową wirusa lub enzymy.

Jednak czy to w przypadku szczepionki, czy leku przeciwwirusowego, najważniejsze w zwalczaniu epidemii było zaprzęgnięcie do procesu produkcji składnika biologicznego lub chemicznego. W tym miejscu Peyton tego nie widziała. Czy lek był nieprawdziwy? Czy nagrania z Paryża i Aten zostały sfingowane? A może lek był czymś zupełnie innym? A jeśli tak, czy jego dystrybucja przyniesie skutki?



Peyton przyciągnęła do siebie Charlotte.

– Musimy stąd wyjść i ostrzec innych – wyszeptała.

Padł strzał, potem jeszcze trzy. Żołnierze Navy SEALs, którzy im towarzyszyli, zginęli na miejscu. Krew trysnęła na białą podłogę.

Trzej mężczyźni idący od strony drzwi ubrani byli w mundury ochrony, podobne do tego, który miał człowiek przy wejściu. Omietli bronią pomieszczenie, po czym podeszli do Peyton i Charlotte, żeby je przeszukać.

Wysoki mężczyzna wsadził Peyton dłonie pod pachy i kilkakrotnie przejechał nimi po jej piersiach. Odepchnęła go, ale złapał ją za rękę.

– Nie dotykaj jej!

Jakby w nią piorun strzelił.

Kiedy Peyton ujrzała twarz osoby, która wypowiedziała te słowa, aż otworzyła usta ze zdumienia. To niemożliwe.

## ROZDZIAŁ 117

Desmond patrzył na tablet, na którym wyświetlały się ujęcia z kamer rozmieszczonych w centrum danych. Do tej pory nie zarejestrowały nic podejrzanego, tylko techników, którzy chodzili pomiędzy rzędami i od czasu do czasu otwierali urządzenia, żeby zajrzeć do środka. W pomieszczeniu mrgały światełka, zielone, gdy w sieci dochodziło do wymiany pakietów danych. Pojawiały się też żółte i czerwone rozbłyski, gdy dochodziło do kolizji pakietów lub nawalał sprzęt.

Desmond pochylił się nad Avery.

– Ile jeszcze?

– Zaraz kończę.

Kątem oka dostrzegł ruch na ekranie, ktoś biegł. Popatrzył na tablet. Nie, to tylko kolejny technik śpieszący się do jakiegoś serwera.

Przez kolejne sześćdziesiąt sekund serwerownia wypełniła się technikami. Wchodzili po dwóch lub trzech i rozdzielali się, znikając pomiędzy rzędami. To zaniepokoiło Desmonda, ale nie wiedział dlaczego. Coś mu nie pasowało.

– Mam!

Avery wyjęła pendrive z laptopa i wsadziła go do komórki, na której miała nakładkę satelitarną.

Desmond nadal przyglądał się obrazom z kamer.

*Co tu się nie zgadza?*

Czy mężczyźni poruszali się zbyt szybko? Nie – nie o to chodziło. Chodziło o ich buty. Wszyscy mieli takie same. Żołnierskie obuwie.

– Hej, mamy problem.

Avery zerknęła na telefon.

– Wiem. Nie łączy.

William chwycił Carla za rękę.

– Dlaczego?

– W całym budynku jest zakaz posługiwania się telefonami. –  
Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Musimy wyjść na zewnątrz.

Desmond wskazał tablet.

– Z tym będzie problem.

Byli otoczeni.



Postać, która przywołała żołnierzy do porządku, podeszła bliżej, przez cały czas patrząc Peyton w oczy. Nie uśmiechała się, patrzyła tylko, jakby chciała powiedzieć: *Przepraszam*.

Najpierw odezwała się do Charlotte:

– Miło cię znowu widzieć, Charlotte.

Australijska lekarka była równie zdziwiona jak Peyton. Tylko skinęła głową.

Peyton chciała zadać milion pytań. Nie miała pojęcia, od czego zacząć. Przede wszystkim chciała wiedzieć dlaczego. Dlaczego osoba, którą tak kochała, która tyle dla niej znaczyła, była w to zamieszana.

Postać zatrzymała się kilka kroków od Peyton i ruchem głowy kazała Gretchen wyjść. Żołnierze, którzy wyeliminowali SEALs-ów i przeszukiwali Peyton, również wyszli.

– Cześć, kochanie.

Peyton przełknęła ślinę.

– Cześć, mamó.

## ROZDZIAŁ 118

Desmond pchnął Carla na okablowaną ścianę.

- Ile jest wyjść z tego pomieszczenia?
- Dwa – rzucił zdenerwowany.
- Będą pilnowane – stwierdził William.

Desmond wiedział, że ma rację. Ale ojciec Peyton chyba zawsze był o krok do przodu. William już sięgał do swojej torby. Wyjął trzy okrągłe, zielone cylindry, pobiegł na koniec rzędu serwerów i rozrzucił je w różnych kierunkach. Gdy toczyły się po podłodze, wydobywał się z nich dym. Cylindry podskakiwały, gdy wpadały na łączenia dwóch płyt, co brzmiało tak, jakby ktoś walił w bęben, dając znak do rozpoczęcia bitwy.

William wrócił i podał Avery granat.

- Idź. Będziesz musiała zrobić własne wyjście. Spróbuję ich opóźnić.

Zanim Desmond i Avery zdołali coś powiedzieć, mężczyzna wskoczył w dym. Kilka sekund później wybuchła strzelanina.

Pociski wbijały się w metalowe klatki wokół nich. Sypały się iskry. Kilkanaście razy doszło do zwarć elektrycznych. Odłamki metalu i plastiku latały w powietrzu jak śmiercionośne konfetti.

– Na ziemię, Carl! – krzyknął Desmond, gdy wraz z Avery zostawili go w tyle.

Nad głowami syczał system przeciwpożarowy, pompując do pomieszczenia gaz – argon lub azot, żeby zmniejszyć stężenie tlenu i stłumić ogień.

Avery biegła przed Desmondem, rzuciła granat, wyjęła pistolet zza pasa i oddała kilka strzałów.

Desmond do niej dopadł w trzy sekundy. Większość amerykańskich granatów wybuchła po czterech lub pięciu.

Złapał Avery i wciągnął ją za metalową klatkę tuż przed eksplozją granatu, który rzucił nimi o ziemię, tak że on znalazł się na niej.

Przez chwilę było cicho – potem pojawiło się dzwonienie. Lampy zgasły. Ucichła klimatyzacja oraz system pompujący gaz przeciwpożarowy. Szczątki spadały na podłogę jak ciężkie krople deszczu na metalowy dach.

Avery zepchnęła z siebie Desmonda, wstała z bronią gotową do strzału. Spojrzała w lewo, potem w prawo i wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu wstać. Był pod wrażeniem. Ona jest nie do zatrzymania, pomyślał.

Gdy się podnosił, wszystko go bolało.

Kilka sekund później przeszli przez otwór w ścianie serwerowni, który powstał po eksplozji granatu, i znaleźli się na korytarzu części biurowej.

Po obu stronach korytarza stali żołnierze w kamizelkach kuloodpornych. Wpadli więc do najbliższego biura, a Desmond podbiegł do okna zajmującego całą ścianę.

Byli na pierwszym piętrze; Desmond oszacował, że od ziemi dzieli ich jakieś cztery i pół metra. Da się zeskoczyć, ale będzie bolało i można coś sobie złamać.

Podniósł broń i wystrzelił magazynek w szklaną tafłę.

– Oszalałeś? – warknęła Avery.

– Tak. Oszalał.

Odwrócili się i ujrzeli w drzwiach Connera McClaina.

– Rozczarowujesz mnie, Avery.

Desmond stanął przed kobietą, żeby ją ochronić. Wiedział, że Conner nie zrobi mu krzywdy. I wiedział dlaczego.

## ROZDZIAŁ 119

William skradał się przez serwerownię, rozglądał się i poruszał w takim tempie, żeby go nie wykryto. Przypominało mu to zabawę w chowanego w bibliotece, którą pamiętał z dzieciństwa w Londynie, tyle że znacznie niebezpieczniejszą.

Było dużo dymu. Widział tylko parę metrów przed sobą. Po eksplozji zapadła cisza. Miał wielką nadzieję, że Desmond i Avery są już na zewnątrz budynku. Zastrzelił dwóch żołnierzy zbliżających się do dziury wyrwanej przez eksplozję granatu, reszta się wycofała i zniknęła w dymie.

Obszedł kolejną klatkę, nasłuchiwał, ale słyszał jedynie spadający gruz i trzaski przewodów pod napięciem. Dysze na suficie uwalniały gaz mniej więcej w połowie pomieszczenia.

Jeśli nie myliła go pamięć, był już blisko wyjścia, od którego dzieliły go trzy rzędy serwerów.

Wszedł do następnego z nich, przystanął, poczekał. Potem do następnego. Już prawie. Bardzo chciał uruchomić radio i powiedzieć żołnierzom, żeby przeprowadzili akcję dywersyjną i żeby włączył się Jamison, lecz radio nadal nie działało.

Za późno, usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się, ale mężczyzna już skoczył i popchnął go na ziemię. Pojawił się kolejny napastnik i w ciągu kilku sekund skrępowali Williamowi ręce.

Postawili go na nogi, po czym wywlekli z serwerowni, przeprowadzili przez korytarze i wsadzili do windy. Ich zachowanie przypominało mu

noc w Rio, kiedy gangsterzy wyciągnęli go z taksówki i poprowadzili przez fawelę. Tamtej nocy ocalał Jurija i Lin; byli porwani przez szaleńca, trzymeni w ciemnej ruderze. A teraz to on został pojmany.

Wyszli z windy na trzecim piętrze i zaprowadzili go do pomieszczenia z urządzeniem, które przypominało mu aparat do rezonansu magnetycznego, lecz było dużo większe.

To prawda. Zrobili to, pomyślał.

Z głośnika popłynął tak dobrze znany mu głos.

– Przeszukajcie go i przyprowadźcie do mnie. Szybko.

Żołnierze położyli Williama na stole operacyjnym, uwolnili jego ręce i podobnie jak nogi przypięli pasami. Podeszła do niego jakaś kobieta w niebiesko-zielonym fartuchu i wbiła mu coś w ramię. Stracił przytomność.



Kiedy William otworzył oczy, leżał na jakimś tapczanie i znowu miał związane ręce.

Obraz rozmazywał mu się przed oczami, gdy rozglądał się po pomieszczeniu. Znajdował się w narożnym biurze z oknem od podłogi do sufitu po dwóch stronach, z których rozciągał się widok na Wyspę. Wstał, potrząsnął głową, próbując dojść do siebie.

Zza biurka wstał jakiś mężczyzna, podszedł i złapał go za ramię.

– Tutaj, stary przyjacielu. Usiądź. Odpocznij. Wszystko będzie dobrze.

Mężczyzna zaprowadził Williama na fotel stojący naprzeciwko biurka. Poczul się lepiej, gdy usiadł.

Kiedy William spojrział na twarz mężczyzny, nie był pewien, czy został uratowany, czy wpadł w jeszcze większe tarapaty.

Naprzeciw niego stał Jurij.

## ROZDZIAŁ 120

Ból, który poczuła Peyton, niemal pozbawił ją przytomności. Przypominał ból, jaki czuła tej nocy w Londynie, kiedy matka zebrała Andrew, Madison i ją i powiedziała im, że ojciec nie żyje. Przypominał ponury rozdział jej życia, który dzieliła z Desmondem. Wtedy czuła się podobnie: osamotniona i zdezorientowana.

Teraz było jeszcze gorzej. Widok matki i świadomość, że zajmowała jakieś eksponowane stanowisko w organizacji odpowiedzialnej za śmierć milionów ludzi, że była uwikłana w uwolnienie śmiertelnościanego patogenu, dopuściła się czynu, którego następstwom Peyton próbuje zapobiec... To była niewybaczalna zdrada.

Peyton nie udało się zapanować nad głosem.

– Mamo, jak mogłaś to zrobić?

Lin Shaw odwróciła wzrok.

– Nie rozumiesz wszystkiego, co tu się dzieje.

– Wobec tego wyjaśnij mi. Nie jestem już małą dziewczynką.

– Nie mamy czasu...

– Wyjaśnij mi, jak zabicie milionów bezbronnych ludzi może być uznawane za drogę do celu.

– Peyton.

– I czym jest lek? Wiem, że to nie jest szczepionka ani lek przeciwwirusowy... a przynajmniej nie taki, jakich obecnie się używa.

Lin Shaw westchnęła, ale nic nie powiedziała.

– Co to jest, mamo? Co robi ten lek? Wiem, że nie hodujecie tu wirusów



ani materiału biologicznego. Nie jest też środkiem chemicznym. Powiedz mi, proszę. Co planujecie?

Lin podeszła bliżej niej.

– Wyjaśnię ci, ale teraz musimy iść.

– Nie. Nigdzie z tobą nie pójdę. Najpierw powiedz, dlaczego to robisz.

– Nie robię tego. W Citium są dwie frakcje. Toczymy ze sobą wojnę.

Te słowa zszokowały Peyton i napełniły ją nadzieją. Bardzo chciała uwierzyć, że matka jest niewinna.

– Udowodnij to.

– Peyton...

– Mówi prawdę.

Wszystkie oczy zwróciły się na mężczyznę, który pojawił się w drzwiach. Miał na sobie biały fartuch; nosił krótko obcięte włosy, szpakowate na skroniach. Peyton zamarła na widok swojego brata Andrew – całego i zdrowego. Prawie się rozplakała na jego widok, już chciała podbiec i go przytulić, ale słowa, które wypowiedział, zdruzgotały ją i złamały jej serce.

– Ona tego nie zrobiła, Peyton. Tylko ja.

## ROZDZIAŁ 121

Czas jakby się zatrzymał. Mając za sobą Avery, Desmond wpatrywał się w poparzoną twarz Connera. Powiew wiatru poderwał jego długie jasne włosy, odsłaniając jeszcze więcej pofałdowanej skóry. Desmond już wiedział, gdzie Conner nabawił się tych obrażeń.

Przy ruinach swojego pierwszego domu, przypomniał sobie wszystko z tego dnia w 1983 roku, kiedy palił się busz.

Tego ranka, kiedy się obudził, wpadł do kuchni, gdzie mama siedziała na krześle, trzymając jego małego braciszka – Connera. Niemowlak uśmiechał się, zawsze był uśmiechnięty lub rozchichotany. Ich ojciec często mawiał, że chłopak płakał dużo mniej od Desmonda i dlatego postarają się o kolejne dziecko. Desmond miał taką nadzieję. Był równie zauroczony braciszkiem, jak jego rodzice. Jednak tego ranka nie zwracał na niego uwagi. Szybko zjadł jajka i tost z pastą Vegemite, po czym pobiegł na dwór.

Później tego samego dnia, kiedy płomienie objęły dom, zanim wbiegł w ogień, wołał Connera. Pragnienie, by wydostać mamę i brata, pchało go do przodu, podczas gdy ogień palił mu nogi, a dym go dusił i zmusił do zatrzymania. Tego dnia zawiódł ich oboje i ta porażka zaważyła na całym jego życiu.

W kwietniu 2003 roku pojechał do Australii na grób swojej rodziny, żeby położyć na nim wieniec w dwudziestą rocznicę pożaru. Spodziewał się, że na nagrobku będzie też imię Connera, ale nie znalazł go tam. To podsyciło jego ciekawość i nadzieję. Spędził kilka tygodni w Adelajdzie,

przeoglądając archiwa. Wynajął najlepszego prywatnego detektywa w kraju oraz drugiego z listy najlepszych. Koszty były ogromne. Płacił za niekończące się podróże, dostęp do archiwów, za prawników, którzy sądownie domagali się dostępu do niektórych dokumentów. W końcu dowiedział się prawdy: ich matka ocaliła Connera w akcie niezwykłej odwagi i poświęcenia. Wygarnęła z kominka drewno i popiół i wsadziła tam Connera. Następnie przyciągnęła lodówkę i oparła ją o palenisko, żeby odgrodzić je od ognia.

Podczas pierwszego przeszukania, kiedy znaleziono Desmonda, zauważono tylko szczątki matki. Została w domu, gdzie odsuwała od kominka wszystkie łatwopalne przedmioty.

Druga grupa poszukiwawcza znalazła mocno poparzonego Connera, odwodnionego, wygłodzonego. Na skraju śmierci. Samolotem odtransportowali go do Adelajdy, gdzie spędził wiele miesięcy w szpitalu pediatrycznym na oddziale intensywnej opieki medycznej, a potem na oddziale dla poparzonych.

Desmond rozplakał się, kiedy czytał dokumenty szpitalne. Spodziewano się, że niemowlę umrze, ale Conner jakoś sobie radził. Zanim wyzdrowiał na tyle, że mógł zostać wypisany ze szpitala, Desmond już od dawna mieszkał z Orville'em w Oklahomie. Desmond nie miał wątpliwości, że prawdziwa była ta część raportu, która określała wuja jako niezdolnego do opieki nawet nad pięcioletnim Desmondem, a co dopiero nad młodszym dzieckiem.

Conner trafił do domów opieki. Desmond nie mógł sobie wyobrazić, jak mu się wiodło. Był potwornie okaleczony fizycznie i psychicznie. Wyobrażał sobie, że przyszli rodzice krążyli po ochronce, patrzyli na dzieci, które mogliby zabrać, ale odwracali oczy, gdy ich wzrok padł na Connera.

Desmond był zaskoczony, gdy dowiedział się, że chłopiec został adoptowany w 1995 roku, gdy miał dwanaście lat. Tutaj urywały się wszelkie tropy. Rodzice o nazwisku McClain umarli przed 2003 rokiem. Conner nie ukończył szkoły, którą opuścił w wieku siedemnastu lat, nie ożenił się i mieszkał sam.

Desmondowi pozostała jedna rzecz do zrobienia.

Pochmurnego dnia w czerwcu 2003 roku zaparkował przed mieszkaniem Connera i czekał, powtarzając sobie to, co chciał mu powiedzieć. Tego ranka zobaczył swojego brata po raz pierwszy od dwudziestu lat. Jego widok złamał mu serce. Nie z radości, lecz ze smutku. Conner McClain miał długie, brudne włosy, nosił za duże, niechlujne ubrania. Na prawej ręce miał blizny po ukłuciach. Zapalił papierosa i wyszedł do ciężkiej fizycznej pracy w dokach.

Życie Desmonda zmieniło się, gdy siedział w wynajętym samochodzie i patrzył na swojego młodszego brata. Od tej chwili poświęcił się pomaganiu Connerowi. Kupił firmę w Australii i kazał im zatrudnić Connera. Dyskretnie dowiedział się, jakie są silne i słabe strony młodego mężczyzny, i naciskał na jego przełożonego, żeby dawał mu motywujące zadania. Przyglądał się, jak dorasta w ciągu tych kilku lat. Conner wyprowadził się z zaniedbanego mieszkania i rzucił narkotyki, ale nie potrafił przegnać ścigających go demonów. Był pusty w środku. Desmond dobrze znał to uczucie; lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał, jak czuje się jego młodszy brat.

Tej nocy, kiedy wyjawiał Connerowi, kim jest, objęli się i obiecali nie mieć przed sobą żadnych sekretów. Desmond powiedział mu wtedy całą prawdę o Citium, Zwierciadle, urządzeniu, które zmieni świat i pozwoli im obu wydobrzeć i zacząć od nowa. Dostrzegł to, co miał nadzieję zobaczyć od chwili, gdy Conner wyszedł ze zrujnowanego mieszkania: prawdziwą transformację. Nadzieję. Wiarę. Wiarę w to, że może być szczęśliwy.

Peyton miała rację: Desmond musiał mieć kogoś, kogo mógłby ratować. Pomaganie Connerowi nadawało sens jego życiu. Zwierciadło nabrało dla niego zupełnie innego znaczenia. Stało się ich projektem, ich obsesją. Dwaj bracia razem z Jurijem stali się trójcą nadzorującą projekt, a każdy zajmował się własną częścią: Desmond nadzorował tworzenie Rendition, Jurij Rapture, a Conner kończył Rook.

A potem wszystko się zmieniło. Desmond poznał prawdę o tym, co zamierzał zrobić Jurij. Dowiedział się o pandemii i był przerażony. Ale

Conner wręcz przeciwnie; uważał, że to jedyny sposób. Zamierzał zrobić, co w jego mocy, by ukończyć Zwierciadło. Desmond już nie.

W sali konferencyjnej na *Kentaro Maru* posprzeczcali się, powiedzieli sobie rzeczy, których obaj żałowali. Oficer na mostku otworzył drzwi i poinformował ich, że amerykańska ekspedycja znalazła *Beagle*, okręt podwodny Citium, który prowadził zaawansowane badania w pierwszych latach Zwierciadła. Na dnie oceanu pogrzebali w nim tajemnice, których nie chcieli wyciągać na światło dzienne, które mogły narazić ich działania.

Conner rozkazał uderzyć w amerykańską jednostkę. Desmond prosił go, by tego nie robił, ale na próżno. Conner i Jurij byli zdeterminowani w kwestii pandemii, a Desmond nie był w stanie przekonać ich, by tego zaniechali. Wobec tego stworzył plan, żeby ich powstrzymać.

Skontaktował się z Garinem Meyerem, dziennikarzem śledczym z Berlina, który przypadkiem natknął się na Citium. Zanim rozpoczęła się pandemia, Desmond próbował bezskutecznie ujawnić plany Citium, ale Conner i Jurij działali szybko.

Jednak Desmond miał też plan awaryjny: ukrycie Rendition i wymazanie swojej pamięci. Postępując w taki sposób, pozbawił Connera i Jurija możliwości ukończenia Zwierciadła i miał pewność, że go nie zabiją. Poukrywał wskazówki dla samego siebie w berlińskim pokoju hotelowym oraz w aplikacji Labirynth Reality. Jego plan awaryjny doprowadził go do Peyton, Wiliama i teraz tutaj, na Wyspę. Stojąca za nim Avery trzymała tablet, na którym była lista miejsc, gdzie ukryto lek. Gdyby udało im się przesłać dane do Rubiconu, mogliby uratować wielu ludzi.

Desmond widział na twarzy Connera to samo co tydzień temu, gdy był zamknięty w celi na *Kentaro Maru* – urazę. Desmond teraz rozumiał. Jego zdrada dogłębnie zraniła Connera.

Desmond spodziewał się, że brat będzie mu groził, ale tak się nie stało.

– Proszę, Des. Zakończ to. Zapomnijmy o tym – powiedział łagodnie.

– Wiesz, że nie możemy.

– Wygraliśmy, bracie. Świat należy do nas. Zwierciadło zostanie

ukończone w ciągu kilku dni. Zrobiliśmy to. Najtrudniejsze już za nami. Proszę, Desmondzie. Proszę.

Jego młodszy brat go potrzebował. W pewnym sensie ogień praktycznie zawładnął jego życiem i nigdy nie przestał go ranić. Ale teraz ten ból mógł się skończyć. Zwierciadło mogło go ocalić. A Desmond miał klucz do ostatniego elementu: Rendition, a wraz z nim moc uleczenia brata.

Żołnierze wyglądali zza futryny za Connerem i celowali z karabinów w Desmonda i Avery, czerwone punkty przesuwali się po ich ciałach jak pełzające robaki.

Avery pochyliła się, kryjąc głowę za Desmondem.

– Co o tym sądzisz, Des? – zapytała nerwowym szeptem.

## ROZDZIAŁ 122

William patrzył na Jurija. Drobny Rosjanin odprawił strażę, ale nie uwolnił mu rąk.

William wiedział, że musi grać na czas. To była dla niego jedyna okazja do ucieczki, a dla zespołu jedyna szansa na ukończenie misji. Jeśli przeciągnie tę rozmowę, Desmond i Avery może wydostaną się z budynku i załadują listę na serwery amerykańskiego rządu. A Peyton i Charlotte może znajdą coś, co im się przyda.

Jeśli będzie miał szczęście, przybędą im z pomocą marines.

Kiedy William przyjaźnił się z Jurijem, ten zawsze pozostawał stoikiem o kamiennej twarzy. William zastanawiał się, czy to wynikało z dorastania w Stalingradzie podczas wojny, gdzie życie było piekłem na ziemi. Dzień i noc naziści bombardowali miasto i masakrowali ludzi, w tym rodziców Jurija i jego dwóch braci.

Teraz jednak z biurze na trzecim piętrze William ujrzał łagodniejsze, bardziej refleksyjne oblicze starego przyjaciela. Miał nadzieję, że uda mu się to wykorzystać.

– Możecie to jeszcze powstrzymać, Jurij.

– Nie możemy. Obaj o tym wiemy.

– To byłeś ty, prawda? Mówię o czystce.

Jurij przysiadł na blacie biurka.

– Tak.

– To byli nasi przyjaciele, Jurij. A ty ich zarżnąłeś.

– Nie znałeś ich tak jak ja. Chroniłeś ich, ale nie byłeś jednym z nich,

nie byłeś naukowcem. Nigdy nie widziałeś tego, nad czym pracowali. Ani tego, co sprawiało im przyjemność. Maniaków. Ludzi mściwych. Okrutnych. Wiedziałem od dawna, na długo przed innymi, że może być tylko jedno Zwierciadło. Inne komórki musiały zostać powstrzymane. Stworzylibyśmy nowy typ wojny. Technowojnę. Projekty Zwierciadła konkurowałyby ze sobą, pochłaniały środki, nastawiały naród przeciwko narodowi. Rozerwałyby świat na strzępy. Ocaliłem nas. Nie żałuję tego.

– Żałujesz, że posłałeś tych ludzi do mojego domu, żeby mnie zabili?

Jurij odwrócił wzrok.

– Dlaczego nie dokończyłeś roboty? Znalazłeś mnie wiele lat później, kiedy już prawie cię namierzyłem.

Gdy to powiedział, uświadomił sobie prawdę, wiedział już, dlaczego Jurij nie mógł tego zrobić. Zabił wszystkich swoich przyjaciół oprócz Williama. On był jego ostatnim prawdziwym przyjacielem. Być może ta prawda dotarła do Jurija po czystce.

– Byłem ci to winny. Uratowałeś mnie w Rio. Spłacam swoje długi.

– Jednak odebrałeś życie mojemu synowi.

– Nie zrobiłem tego.

Na Williama spłynęła niewyobrażalna ulga. Teoria, którą wypracował wiele lat temu, była prawdziwa. Andrew żyje. Jego podejrzenia się nasiliły, kiedy zobaczył stare zdjęcie w Kazachstanie. Ale co się działo w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat?

Mógł tylko zgadywać.

– Był twoim więźniem?

– Przez jakiś czas.

– A potem?

– Moim partnerem.

William pokręcił głową.

– To niemożliwe.

– Byłbyś z niego dumny. Trzymał się znacznie dłużej, niż się spodziewaliśmy. Jego reedukacja trwała długie lata. Złamaliśmy go, pokazaliśmy mu prawdę. Znalazł w Zwierciadle to, co wszyscy widzimy: sposób na naprawienie zepsutego świata. I siebie samego.



Zaproponowaliśmy mu prosty układ: jedna ostatnia pandemia, która zakończy wszystkie choroby. A jemu zaproponowaliśmy świat, gdzie będzie miał dwie ręce, gdzie będzie taki sam jak inni, świat, gdzie żaden chłopiec nie będzie musiał siedzieć na ławce rezerwowych, kiedy inni grają w piłkę, gdzie nikt nie rodzi się kaleką.

W Williamie buzował gniew.

– Zrobiliście mu pranie mózgu. Wybraliście go, żeby usunąć mnie z drogi.

Jurij nie przejmował się gniewem Williama.

– I żeby ukończył pracę. Nie jestem już taki młody.

William szarpał plastikowymi opaskami na rękach, poranił sobie nadgarstki. Po dłoni spłynęła strużka krwi. Pragnął rzucić się na potwora stojącego przed nim, ale Jurij miał coś, czego potrzebował – informacje.

Zastanawiał się nad tym, co zrobił Jurij: zwerbował Andrew, Desmonda i Connera do ukończenia Zwierciadła. Wszyscy w pewnym sensie byli poturbowani, całkowicie oddani sprawie. Byli doskonałymi przykładami osób, które można radykalizować, sprawić, by robili okropne rzeczy w imię lepszej przyszłości. Częściowo byli lustrzanym odbiciem Jurija, Williama i Lin. Wszyscy dorastali w rozpaczliwych, niegodnych warunkach i dołączyli do Citium, szukając ukojenia dla swojego bólu, a także bólu świata.

William zastanawiał się, czy ten cykl zostanie kiedyś przerwany.

Dręczyło go jeszcze jedno pytanie, a Jurij był jedyną osobą, która mogła na nie odpowiedzieć.

– Tej nocy, gdy doszło do czystki, Lin została ostrzeżona. Wyjechała, kiedy byłem w drodze do Londynu. Leciała do Francji, kiedy ja lądowałem. To byłeś ty, prawda? Powiedziałaś jej, żeby uciekała.

Jurij uniósł brwi. Był pod wrażeniem.

– Tak.

– Jej też nie zabiłeś.

– Potrzebowałem jej, żeby ukończyć pracę.

– I ona się zgodziła.

– Do pewnego stopnia. Pomogło uprowadzenie Andrew.

– Nie wiedziała, prawda? O pandemii.

Reakcja Jurija zdradziła mu, że miał rację.

– Hughes również. To dlatego się wyłamał, gdy się dowiedział. To dlatego się ze mną skontaktował. – William naciskał, mając nadzieję, że uzyska jeszcze jakieś odpowiedzi.

– Mała niedogodność.

– Nie doceniliście jego moralności. Tym się od was różni.

– Jesteśmy zespołem z pewnego powodu. Zabrakło mu hartu ducha, żeby zrobić, co trzeba. Mnie nie. Robiłem te rzeczy w Stalingradzie. I podczas czystki. I teraz.

– To, co dzieje się teraz, nie jest aktem odwagi, Jurij. To masowe morderstwo. Świat się rozchorował.

– Świat był już chory. Po prostu o tym nie wiedział. Ja widziałem tę chorobę w sposób, jaki postrzegali ją tylko nieliczni. Podczas wojny oszczędzono ci horroru; ewakuowali cię na angielską wieś, gdzie popijałeś herbatkę i dobrze się bawiłeś. Tam gdzie ja dorastałem, śmierć i nieszczęście były na każdym progu. Po prostu chronię przyszłe pokolenia przed czymś takim. Wkrótce nasze rozwiązanie zostanie upowszechnione.

Te słowa wywołały strach w Williamie. „Nasze rozwiązanie zostanie upowszechnione”.

– Pandemia...

– Była sposobem na zakończenie.

– Lek. To jest wasz prawdziwy koniec. To dlatego zaczęliście od epidemii w Afryce.

Jurij uśmiechnął się, był pod wrażeniem.

– Tak. Chcieliśmy pokazać światu, co może zrobić patogen na małą skalę, w takim miejscu, żeby epidemia została zauważona, ale żeby ludzie nie zmienili swoich zachowań pod jej wpływem. Nie odwoływali lotów. Ani zakupów. – Jurij zamilkł. – I kiedy ten straszny patogen dotarł do ich krajów, żeby zrobili wszystko dla zdobycia leku.

– Łącznie z oddaniem wolności.

– Nie udawaj, że nie znasz prawdziwej natury wolności.

– Kto o tym wiedział? O leku?

– Tylko ja i Andrew.

Jurij zmienił jego syna w potwora.

– To koniec, Williamie. Nie ma różnicy, czy my uwolnimy lek, czy zrobi to rząd.

– Co jest w tym leku?

Jurij milczał.

– To jeden ze składników Zwierciadła, prawda?

– Tak.

## ROZDZIAŁ 123

Peyton obserwowała brata, który podchodził coraz bliżej. Od razu zauważyła, że się zmienił. Ten Andrew Shaw, którego znała, był serdeczny, oddany pomaganiu innym. Teraz miał zaciętą minę, jakby był opętany. *Co się z nim stało?*

Serce jej pękało, gdy patrzyła na niego, swojego bohatera, w takim stanie i w tym miejscu.

Spojrzał w jej oczy i przemówił, nie okazując emocji:

– Ona ma rację, Peyton. Dzieje się tu więcej, niż widzisz. Wszystko ci wyjaśnię...

– Nigdy mi tego nie wytłumaczysz.

– Nie oceniaj metody, dopóki nie poznasz przyczyny. Ta pandemia ma zakończyć wszystkie inne. To ostateczna pandemia. Wkrótce świat będzie bezpieczny. To nie jest wygórowana cena.

W tej chwili Andrew zauważył Charlotte. Jej widok go zaskoczył. Jego głos zmienił się, złagodniał.

– A co ty tutaj robisz?

Charlotte przełknęła ślinę.

– Peyton i Desmond przyjechali do mojego obozu w Australii, gdzie szukali odpowiedzi.

Andrew wyglądał na zmartwionego.

– Nie powinno cię tu być.

– Co zrobiłeś, Andrew?

– To, co należało.

– To ty posyłałeś mi zapasy, prawda?

Skinął głową.

– To do ciebie pisałam. Odpisywałeś mi przez te wszystkie lata. – Głos Charlotte się załamał. – Nigdy o tobie nie zapomniałam. I nigdy nie przestało mi zależeć.

Andrew stał jak wryty. Peyton widziała, że walczy ze sobą.

– Wiedziałem, że praca jest dla ciebie ważna – powiedział. – Chciałem widzieć cię szczęśliwą.

Charlotte zbliżyła się do niego.

– Jeśli nadal tak uważasz, to zatrzymaj to, co się tu dzieje.

– Zwierciadło...

– Nie może być warte tego, co uczyniłeś.

Andrew zrobił krok w tył, jakby wycofywał się z pola przyciągania.

– Żadna z was nie rozumie. – Popatrzył na Peyton. – Zwierciadło jest jedyną nadzieją. Dla nas wszystkich.

## ROZDZIAŁ 124

Dym z serwerowni przedostawał się przez dziurę w ścianie na korytarz i sączył do biura. Jego smugi wiły się wokół Desmonda, Connera i Avery jak demon czyhający na ich dusze. Wiatr rozwiewał dym po pomieszczeniu, wokół Desmonda i Avery i za nimi wylatywał przez rozbite okna.

Conner rozłożył ręce, żeby zatrzymać żołnierzy, którzy zbliżali się, zachodząc go z obu stron. Wbił wzrok w starszego brata, mężczyznę, który wyciągnął go z biedy, narkotyków i dał mu cel w życiu oraz nadzieję. Teraz Desmond groził, że odbierze mu to wszystko, jakby tylko pomachał mu nagrodą przed oczami, po czym zabrał ją, zanim Conner zdołał po nią sięgnąć.

– Proszę, Des. Nie rób tego. Daj mi ten tablet, który ma Avery, a obiecuję, że nie stanie jej się nic złego.

Kiedy Desmond nie zareagował, głos Connera zhardział.

– Obiecałeś mi, bracie. Przysięgałeś, że razem to skończymy.

Desmond westchnął. Dym powoli wypełniał pomieszczenie, sprawiając, że to, co widział, było zamazane, wiatr przegrywał bitwę z zadymieniem. W drodze na Wyspę wydawało mu się, że wszystko już rozumie. Teraz się wahał.

W Dadaab widział zło, jakie wyrządziło Citium: rzesze umierających bezbronnych ludzi, ciała wrzucane do ognisk, sieroty, które nigdy nie zaznają miłości, podobnie jak on. Nawet jeśli Zwierciadło miało być panaceum na problemy świata, Desmond nigdy nie kazałby światu

płacić takiej ceny.

Spojrzał Connerowi w oczy.

– Pomogę ci, bracie. Naprawdę. Wierzysz mi?

– Tak.

Desmond odwrócił się i szepnął do Avery:

– Biegnij. Teraz.

Nie trzeba jej było dwa razy powtarzać. Obróciła się na pięcie, schyliła, żeby stanowić mniejszy cel, i wyskoczyła przez okno w chwili, gdy w pomieszczeniu padły strzały.

## ROZDZIAŁ 125

Gęste krzaki rosnące pod budynkiem zamortyzowały upadek Avery, ale lądowanie z ponad czterech metrów i tak było bolesne. Jęknęła i przetoczyła się na bok, z trudem łapała oddech. Kule siekły koronę drzewa i śmigały tuż obok niej.

Wstała i zaczęła biec. Czuła ból w lewej nodze, ale się nie zatrzymywała. Włączyła mikrofon.

– Overwatch, tu Meduza, zostaliśmy wykryci. Natychmiast potrzebne posiłki, wsparcie z powietrza i wycofanie z terenu. Meduza do Bravo, Zulu. Musicie rozpętać tu piekło.

Kilka sekund później Wyspa zadrżała od eksplozji. W porcie pojawił się ogień. Avery padła na ziemię w gęstych zaroślach, wyjęła telefon satelitarny, podłączyła go do tabletu i zaczęła przesyłać pliki. Po chwili na ekranie pojawił się komunikat:

Przesyłanie zakończone.

Włączyła aplikację North Star, która od razu nawiązała połączenie. Usłyszała głos Davida Warda.

– Właśnie zauważyłem, że przesłałaś plik.

Avery nadal ciężko oddychała.

– Co tam się dzieje?

– Zostaw to nam. Postaraj się wyjść z tego w jednym kawałku.

Za jej plecami pociski wbijały się w pień drzewa i świszczwały pomiędzy



gęstymi paprociami. Padła, wyjęła broń i wystrzelała cały magazynek. Udało jej się zdjąć trzech żołnierzy. Za nimi było co najmniej dziesięciu innych. Wsunęła ostatni magazynek i zaczęła uciekać, kulejąc na jedną nogę.

Zbliżali się do niej, teraz już się tak nie śpieszyli, kryli się za pniami palm, które kołysały się na wietrze. Dym wydobywający się z budynku opadł na dżunglę i częściowo przesłaniał tarczę księżyca. Ciemność była jej sprzymierzeńcem, ale to za mało. Kończył jej się czas.

Niebo nad nią rozświetliły eksplozje – pociski wystrzelone przez grupę uderzeniową zostały namierzone przez system obrony powietrznej na Wyspie. Widok zapierał dech w piersiach, najnowocześniejsza broń rozgrywała pojedynek nad spokojną wyspą na południowym Pacyfiku. Grupa uderzeniowa wygrywała. Ich pociski zaczęły spadać na ziemię, która drżała po każdym wybuchu.

Avery miała nadzieję, że żołnierze wycofają się, widząc ich przewagę, jednak oni nie rezygnowali. Ukryła się za drzewem, żeby złapać oddech. Zapędzili ją w ślepy zaułek. Mogła zrobić tylko jedno.

– Overwatch, tu Meduza. Wzywam do ataku taktycznego na wroga w pobliżu miejsca, gdzie jestem.

– Meduza, tu Overwatch – usłyszała natychmiastową odpowiedź. – Odmawiam. Wróg jest zbyt blisko...

– Zróbcie to, bo już po mnie, Overwatch.

Grad kul wbił się w pień drzewa za jej plecami. Gdy padała na ziemię, na lewo od niej poleciały drzazgi. Zobaczyła błysk nad sobą – dron wystrzelił pocisk, który zaraz eksplodował pod nogami żołnierzy. Avery poczuła żar. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że unosi ją podmuch huraganu. Jej lot brutalnie przerwało drzewo. Tym razem już nie wstała. Bezwładne ciało leżało pod spadającymi szczątkami, które po chwili całkowicie ją przysypały.

## ROZDZIAŁ 126

W biurze Desmond ruszył na oddział strzelający do Avery. Skoczył, zderzył się z Connerem i wpadał na jednego z mężczyzn. Dostał cios w twarz. Niemal stracił przytomność. Rzucili nim o ziemię i zaczęli go kopać po obolałych zębach. Nie mógł złapać tchu, gdy czyjeś kolano przygniotło mu pierś. Ostatnie, co widział, to lufę karabinu zbliżającą się do jego czoła.



Jurij wpatrywał się w Williama.

– Kogo przyprowadziłeś ze sobą?

William stał bez słowa, wciąż miał związane ręce.

– Z pewnością nie przywiozłeś tu swojej córki. To byłoby bardzo niebezpieczne. – Jurij uważnie go obserwował. – Chociaż właściwie nigdy nie bałeś się iść na całość, zwłaszcza gdy gra toczyła się o wysoką stawkę. – Umilkł. – Czyli tak, prawda? Gdzie ona jest?

William nie odpowiedział.

– Nie ma jej w tym budynku – kontynuował Jurij. – Kamery by ją pokazały. – Wtedy dopiero go olśniło. – Ale nie mamy kamer w laboratoriach. Ryzyko szpiegostwa było zbyt duże. Jest tam, prawda?

Kiedy William nadal się nie odzywał, Jurij podniósł nadajnik z biurka.

– Majorze Reeves, tu Paczenko. Wyślijcie oddział do laboratorium. W tej chwili. Zabezpieczcie dostęp do Rapture. Macie również znaleźć

Pey...

William zerwał się i skoczył przed siebie. Jego skręcona kostka zaprotestowała, ale udało mu się przebyć dystans dzielący go od Jurija. Ręce miał nadal związane z tyłu, ale zrobił zamach głową i trafił swojego prześladowcę. Musiał go powstrzymać, żeby dać Peyton i Charlotte szansę ucieczki.

Jurij zderzył się ze ścianą i stracił przytomność, William upadł na podłogę. William wstał w chwili, gdy otwierały się drzwi biura, przez które wpadli dwaj strażnicy z karabinami gotowymi do strzału. Otworzyli ogień, a William zanurkował za biurko.



W pokoju narad w Białym Domu niedawno zaprzysiężony prezydent Stanów Zjednoczonych patrzył na śmigłowce Chinook wylatujące z baz lotniczych w całym kraju. Przekaz z drona pokazywał oddziały rezerwowe BioTarczy atakujące miejsca, które wskazał Rubicon. Jak na razie w każdym z nich znajdował się lek. Te dawki zostaną rozdane w ciągu kilku minut.

Wielka Brytania, Australia, Chiny, Rosja i Kanada również potwierdziły odnalezienie dziesiątek magazynów Citium. Udało się. Stany Zjednoczone przetrwają, ale prezydent nie mógł przestać myśleć o tym, jak naród, który tak kochał, będzie wyglądał po przejściu pandemii.



Kompleks laboratoriów zadrżał po pierwszym wybuchu. Płyty pokrywające sufit pospadały na podłogę. Zadrżały szklane szafki. Próbkę rozbiły się na podłodze.

– Musimy się stąd wydostać – powiedziała Lin.

Peyton pokręciła głową.

– Nie. Nie wyjdę, dopóki nie usłyszę odpowiedzi.

– Ja też nie – zawtórowała jej Charlotte.

– Powiedz mi, czym jest ten lek – zwróciła się do brata.

Patrzył na nią, ale milczał.

– Czy zamierzasz ryzykować nasze życie, żeby dotrzymać swoich sekretów? – Przełknęła ślinę. – Wyjaśnij nam i wyjdziemy. – Blefowała, ale musiała wiedzieć, co to za lek.

Andrew odezwał się cicho.

– To coś nowego. Nanotechnologia.

Peyton niewiele wiedziała o nanomedycynie. Ta dziedzina dopiero raczkowała i miała ogromny potencjał. Lekarze eksperymentowali z nanorobotami, które wykonywały wiele zadań: leczyły raka, transportowały leki do trudno dostępnych rejonów ciała, szukały patogenów. W zasadzie można było sobie wyobrazić, że potrafiły także zneutralizować wirusa lub bakterie.

Jej brat potwierdził tę teorię własnymi słowami.

– Nanoroboty znajdują i dezaktywują wirusa. Są również zaprogramowane tak, by w pewnym stopniu naprawić tkankę w obszarach krytycznych, dzięki czemu obniżają śmiertelność. – Jego ton zmienił się, stał się zgorzkniały. – Gdyby więcej rządów na świecie przystało na nasze warunki, byłoby znacznie mniej ofiar.

Peyton wbiła w niego spojrzenie.

– I co jeszcze robią?

Andrew nie odpowiedział.

– Właśnie o to chodziło, prawda? Pandemia miała trwać chwilę. Nanoroboty, które podajecie wraz z lekiem, to Zwierciadło.

Pokręcił głową.

– Nie. Tylko jego część.

– Jedna z trzech – wyszeptowała Peyton, jakby mówiła do siebie.

– Tak. Lek to Rapture.

– Jak działa?

Kolejny wybuch wstrząsnął budynkiem, tym razem mocniej.

*To były pociski wystrzelone z morza. Zaatakowali Wyspę.*

Lin chwyciła córkę za rękę.

– Peyton, już czas.

Wyrwała się. Nie wyjdzie. Nie może. To była kulminacja wszystkiego, przez co przeszła w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Peyton wreszcie uświadomiła sobie całą prawdę. Desmond odkrył, czym jest Rapture. Zadzwoił, żeby ją ostrzec. Chociaż nie wiedział wtedy, dlaczego ją ostrzega, zdawał sobie sprawę, że Jurij i Conner spróbują ją pojmać i wykorzystać do wywierania nacisku. Ona jedna była ogniwem łączącym wszystkich najważniejszych graczy, którzy mogli powstrzymać pandemię: Lin, Desmonda, Williama i Andrew. Dzięki niej mogli kontrolować ich wszystkich.

– Chcą użyć Rapture do jakiejś transformacji, prawda? Chcą zmienić biologię człowieka.

Andrew i Lin patrzyli na nią z niedowierzaniem, a może z podziwem, że tak szybko to przejrzała.

Andrew wbił wzrok z podłogę, gdy znowu się odezwał.

– Nanoroboty są tak zaprojektowane, żeby przechwycić kolejne instrukcje, po tym jak zneutralizują wirusa. Wielkość ogranicza pojemność ich pamięci.

Peyton zdumiała się planem. Trwały już badania nad tym, by nanoroboty przekazywały geny swojemu gospodarzowi, zmieniając jego genom. Nanocząsteczki mogły przenikać przez barierę krew–mózg, wskutek czego były zdolne do zmiany połączeń nerwowych i równowagi biochemicznej. To właśnie musiało się stać w przypadku Desmonda. Użył najważniejszego urządzenia produkowanego przez Rapture Therapeutics – nanorobota, żeby zablokować swoje wspomnienia. Rapture, czyli nanoroboty, dadzą Citium niewyobrażalną kontrolę nad ludźmi, moc zmieniania każdej osoby na poziomie komórkowym. Jedyne, co musieli zrobić, to wysłać zestaw instrukcji do swoich nanorobotów po wyeliminowaniu wirusa. To był klucz do ich zatrzymania: należało zapobiec temu, by nanoroboty Rapture otrzymały dodatkowe instrukcje. To odbierze władzę Citium.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się bratu. Stał się radykałem. Peyton nie wiedziała, czy zdoła sprawić, by ujrzał prawdę, ale musiała

spróbować.

– Andrew, pomyśl o tym, jak wielu ludzi zabiło Citium. Wyobraź sobie, co mogą jeszcze zrobić, jeśli będą mieli kontrolę nad Rapture.

– Nie rozumiesz... – Pokręcił głową.

– Rozumiem. Widziałam na własne oczy. Stosy martwych ciał. Andrew, tata żyje.

To słowa wywołały szok.

– Niemożliwe.

Ku zaskoczeniu Peyton, odezwała się matka.

– To prawda. Jurij próbował go zabić, ale udało mu się przeżyć.

Zrobił krok w tył, odsunął się od nich, skrzywił, mierząc się z tą nową informacją.

Peyton wyczuła, że to właściwy moment na zrobienie kolejnego ruchu.

– Andrew, czy możesz zdezaktywować zdalny dostęp? Powstrzymać nanoroboty Rapture przed przyjęciem dodatkowych instrukcji?

Andrew nic nie powiedział, ale Peyton знаła go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, o czym myśli. Miała rację: mógł to zrobić.

– Zrób to. Proszę. To jedyny sposób, żeby ich powstrzymać. Nie wyjdę, dopóki tego nie zrobisz.

Rzucił jej wymowne spojrzenie.

– Będę musiał cię stąd wywlec.

Budynek zakołysał po kolejnej eksplozji. Cała czwórka skuliła się, gdy z sufitu poleciały następne płyty.

– Mnie też będziesz musiał wywlec – oświadczyła Charlotte.

Lin zbliżyła się do Peyton i Charlotte, bez słowa okazując, że i ona zamierza z nimi zostać.

– Posłuchaj, co mówimy – zwróciła się do brata Peyton. – Przeszedłeś pranie mózgu. Mówimy ci prawdę. Proszę, zrób to. Nawet jeśli mnie stąd wywleciesz, nigdy ci nie przebaczę, że tego nie zatrzymałeś.

Andrew popatrzył na Peyton, potem na Charlotte i swoją matkę. W końcu wbił wzrok w podłogę.

– Zaufaj nam – przekonywała Peyton. – Nikomu nie zależy bardziej na tobie niż naszej trójce. Uwierz w to, co ci mówimy. – Odczekała chwilę. –

Jestem gotowa umrzeć, żeby powstrzymać Citium. Jego członkowie zabili ludzi, którzy byli dla mnie ważni. Próbowali zabić tatę. Odebrali mi ciebie, Andrew. To już nie jesteś ty.

– Nie interesuje mnie to, czym jest Zwierciadło – dodała Charlotte. – Ten świat nie jest doskonały i właśnie dlatego zależy mi na nim. Tak jak na tobie.

Kolejny wybuch wstrząsnął budynkiem, tym razem pocisk spadł bliżej. Szklane ściany wychodzące na potężny park maszyn na dole rozpadły się na kawałki. Przewróciła się wysoka szafka, o włos mijając Charlotte.

Andrew w jednej chwili znalazł się przy niej, żeby odciągnąć ją z tego miejsca.

– Nic ci nie jest?

Pokręciła głową i chwyciła Andrew za ramiona.

– Proszę. – Przyciągnęła go bliżej siebie. – Proszę, Andrew.

Jego zacięta mina nagle zniknęła, jakby ktoś skruszył mur. Uśmiechnął się przyjaźnie i ze skruchą. Peyton ujrzała w nim starszego brata, z którym się wychowywała, brata, który dbał o nią w tych latach, gdy stracili ojca.

– Dobrze – powiedział niespiesznie. Podeszedł do stołu z komputerem. – Mogę zdezaktywować zdalny dostęp do nanorobotów Rapture z tego miejsca i usunąć program z serwerów Rook.

Odkręcił protezę ręki i wsadził ją do kieszeni. Następnie wyjął inną końcówkę, którą miał przy pasie. Przypominała rękę, ale miała żółto-białe plastikowe palce, pod którymi widać było przewody. Przykręcił ją do swojego przedramienia. Peyton ze zdumieniem patrzyła, jak palce zaczynają drgać. Kikut musiał przekazywać jakieś impulsy protezie, która dzięki elektronice kontrolowała dłoń i palce. Po raz pierwszy w życiu Peyton widziała, jak jej brat używa swojej lewej ręki. Zastanawiała się, czy Citium sprezentowało mu tę protezę, żeby go zmiękczyć i móc kontrolować. Nie umiała sobie wyobrazić, przez co przeszedł ani jak będzie wyglądała jego droga powrotna. Był klasyczną ofiarą syndromu sztokholmskiego, kiedy ofiara zaczyna wierzyć porywaczom, a nawet czasem do nich dołącza.

Budynek trząśł się po kolejnej serii wybuchów. Światła zamrugały i wszyscy zamarli. Gdyby odcięto prąd, to byłby koniec, zostaliby tu uwięzieni pod gruzami.

– Nie przerywaj – powiedziała Peyton. – Połączę się z nimi przez radio i powiem, żeby nie celowali w budynek.

– Pójdę z tobą – zaoferowała Lin. – Jeśli będą tam jakieś oddziały Citium, załatwię to z nimi.

Wszystkie oczy zwróciły się na Charlotte. Stanęła bliżej Andrew.

– Ja nigdzie się nie ruszam.



## ROZDZIAŁ 127

Gdy Peyton zbiegała na dół, na klatce schodowej również mrugały światła. Windy były albo zepsute, albo zablokowane.

Matka szła za nią. Zawsze była okazem zdrowia, ale miała ponad siedemdziesiąt lat.

Kolejna eksplozja wstrząsnęła metalowymi schodami, Peyton prawie upadła. Lin złapała za poręcz.

– Biegnij, kochanie. Jestem tuż za tobą.

– Nieprawda. Będziemy trzymać się razem, mamó.

Objęła drobną kobietę ramieniem i razem schodziły po schodach wśród huku wybuchających bomb.

Na półpiętrze przed parterem Peyton zatrzymała się na widok dymu sączącego się przez szczelinę pod drzwiami. Położyła rękę na drzwiach, poczuła ciepło, następnie owinęła dłoń dołem koszuli i ostrożnie dotknęła klamki. Była zbyt gorąca, by ją chwycić.

*Jesteśmy uwięzieni.*



Conner przykleknął przy bezwładnym ciele brata. Twarz Desmonda była zakrwawiona i posiniaczona. Wziął go w ramiona, mocno przytulił i zakołysał.

– Des – wyszeptał.

Chwilę po tym, jak Desmond stracił przytomność, budynek został

zaatakowany z powietrza. Wydawało się, że duża jego część się zawaliła, resztę trawił ogień. Płomienie zbliżały się od strony korytarza. Żołnierze uciekli. Szczury opuszczające tonący statek, a raczej płonącą wyspę.

Conner był zbyt młody, żeby pamiętać ogień, który na zawsze go oszpecił, ale rany, jakie pozostawił, sprawiły, że przeraźliwie bał się ognia. Unikał nawet restauracji, w których był kominek, i nie postawił nogi w domu z paleniskiem. Widok ognia go paraliżował. Patrzył teraz na płomienie obejmujące budynek, z każdą sekundą pochłaniające go coraz bardziej.

Był sam z bratem, znajdował się w podobnej sytuacji, jak na początku swojego życia: musiał zmierzyć się z ogniem, którego nie dało się powstrzymać. Trzydzieści trzy lata temu płomienie zbliżały się do bezbronnego Connera. Desmond go nie ocalił. Gdyby go teraz zostawił, zamknąłby koło. Jednak Conner zawstydził się na taką myśl. Te mroczne impulsy były tym, co Desmond pomagał trzymać mu pod kontrolą. Starał się i odniósł porażkę.

Ogień był już blisko. Conner zaczął się trząść, jakby znajdował się nago na kole podbiegunowym. Nie trząśł się z zimna, lecz z przerażenia.

Usłyszał kroki za plecami, ale nawet się nie odwrócił. Naprzeciw niego przykucnął Jurij. Miał zakrwawioną twarz i spuchnięte oko.

Przyjrzał się Connerowi i bardzo się zdziwił, gdy okazało się, że nie jest ranny.

– Co się stało? – spytał ochryple.

Jurij popatrzył na zbliżający się ogień i chyba zrozumiał, co tu zaszło.

– Musisz, Conner. Każdy człowiek ma swoje demony. Twoje są tutaj. Skulisz się ze strachu i pozwolisz, żeby cię pokonały? Teraz masz swoją szansę. Pokaż mi, kim naprawdę jesteś.

## ROZDZIAŁ 128

Na półpiętrze wypełnionej dymem klatki schodowej, w awaryjnym oświetleniu Peyton zdjęła z siebie ubrania. Najpierw kamizelkę kuloodporną, potem podkoszulek z kevlaru.

W samym staniku i spodniach uklękła na swoich ubraniach i wyjęła nóż z pochwy przy pasie. Odcięła dwa długie paski kevlarowej tkaniny, jednym owinęła usta, drugi podała matce. Starsza kobieta poszła za przykładem córki.

Peyton z powrotem włożyła podkoszulek i owinęła kamizelkę wokół lewej ręki, zamierzając osłaniać się nią przed ogniem. Upewniła się, że wciąż ma na sobie urządzenie nadawcze-odbiorcze.

Przykucnęła.

– Wskakuj na mnie – powiedziała do matki.

– Skarbie.

– Mamo, zrób to. Nie mamy czasu na kłótnie.

Lin Shaw westchnęła, podchodząc do córki.

– Cóż, nie musisz być niegrzeczna – skomentowała pod nosem z silnym brytyjskim akcentem.

Gdy objęła ją rękami, Peyton wstała, uderzyła klamkę owiniętą ręką i wybiegła na korytarz.

Dym był gęsty, ale paliły się przede wszystkim drewniane wzmocnienia ścian oraz meble w biurach. Skręciła i wpadła do holu. Biurko w recepcji płonęło jak ognisko. W pomieszczeniu hulał wiatr, podsycając ogień. Fale gorąca wdzierały się głębiej do budynku, mijając

Peyton jak przypływ omywający plażę. Za biurkiem, za roztrzaskanymi szybami widać już było nocny krajobraz. Wolność. Da radę.

Peyton parła przed siebie krok za krokiem. Płuca ją paliły, kręciło jej się w głowie. Czuła podziw dla Desmonda: kilka dni temu wyciągnął jej ojca z płonącego budynku w Aralsku-7. Teraz kolej na Peyton, szła naprzód, mobilizując resztki energii.

Jej nogi poddały się dopiero wtedy, gdy minęła próg. Ugięły się, ale nie upadła. Matka chwyciła ją pod pachy i wyciągnęła z płomieni. Przez załzawione oczy widziała zwisające ciemne włosy, poprzątkane siwizną, jakby nad jej twarzą zawisła kurtyna. Odsunęła się i Peyton ujrzała płaczącą matkę. Zdarła kevlarową opaskę z ust Peyton i zbliżyła ucho do jej ust. Zaszlochała, gdy okazało się, że córka oddycha. Przytuliła ją.

– Będzie dobrze, skarbie.

Peyton powoli odzyskiwała świadomość. Z oddali dochodziły strzały. *Walczą w porcie. Zapewne wkroczyli marines.* Ryczały silniki. Waliły pociski artyleryjskie. Na niebie widziała przelatujące rakiety. Kilka eksplodowało w powietrzu, ale wiele spadło na cele naziemne, podrywając w górę ziemię, drzewa i ciała w potężnych erupcjach ognia i dymu. Wydawało się, że cała Wyspa eksploduje.

Podniosła drżącą rękę, uruchomiła radio i odezwała się chrapliwie i z wysiłkiem.

– Overwatch, tu Artemis. Przerwać ogień. Mamy ludzi w tym budynku. Potwierdź.

– Artemis, tu Overwatch, potwierdzam, wydaję rozkaz zaprzestania ataku z powietrza w twoim obszarze.

Sekundę później na linii znowu pojawił się głos operatora.

– Artemis, tu Overwatch. Uważaj, zbliżają się do ciebie. Około dwunastu. Uzbrojeni. Posiłki są w drodze. Ukryj się lub wycofaj.

## ROZDZIAŁ 129

Kątem oka Peyton widziała idących najemników.

Lin ostrożnie położyła głowę córki na ziemi i wstała. Jej postawa wyrażała niezłomność dumnej matki gotowej bronić życia swojego dziecka. Peyton bardzo chciała stanąć obok niej, ale nie dała rady. Nie miała siły. Każdy oddech palił ją ogniem.

Żołnierze zatrzymali się, gdy ujrzeli Lin.

Głos starszej kobiety był nadzwyczaj silny.

– Majorze, w budynku są nasi ludzie. Odgrywają ważną rolę w naszej misji. Uratujcie ich. Szybko.

Mężczyzna zawahał się, po czym połączył się z kimś przez radio.

– Doktorze Paczenko, tu major Reeves.

Nasłuchiwał przez chwilę.

Peyton była zszokowana. *Jest tu Jurij Paczenko*. Mężczyzna, który tak wiele jej odebrał. Aż zagotowała się z nienawiści, gdy najemnik znowu uruchomił radio.

– Doktorze Paczenko?

Lin zrobiła krok w jego stronę.

– Niech pan tam pośle ludzi, majorze. Teraz, w przeciwnym razie poniesie pan konsekwencje.

Reeves kazał czterem ludziom wejść do budynku.

Lin zwróciła się do wchodzących.

– Poziom trzeci. Mężczyzna i kobieta. Będą razem.

Major Reeves gniewnie spojrzał na Lin.

– Mój ostatni rozkaz dotyczył ochrony programu Rapture Control.  
– Sytuacja się zmieniła, majorze. My też mamy swoje rozkazy.  
– Doktor Paczenko...  
– Już tutaj nie dowodzi. Jesteśmy na przegranej pozycji. Musimy się poddać dla wyższego dobra. Jesteśmy na to przygotowani, zapewniam pana.

Najemnik powoli skinął głową, włączył radio i wydał rozkaz kapitulacji.

Peyton usiadła i spojrzała na matkę z uznaniem. *Zrobiła to.* To było zupełnie nieznanne oblicze tej łagodnej kobiety, która ją wychowała.

Peyton włączyła swoje radio.

– Overwatch, tu Artemis, przeciwnik dostał rozkaz kapitulacji.

W oddali ucichły strzały. Kilka sekund później przestały nadlatywać pociski znad morza.

Przez chwilę w dżungli zapanowała cisza. Wysokie palmy szumiały, kołysząc się na wietrze. Dobiegał ich odgłos buzującego z tyłu ognia. Gdzieś słychać było walące się budynki.

Z każdą mijającą sekundą Peyton czuła się coraz lepiej.

– Artemis, tu Overwatch, potwierdzam przerwanie ognia. Rozpoczynamy akcję poszukiwawczą i operację ratunkową. Pierwsze śmigłowce są już w drodze. Przybędą za jakieś pół godziny.

– Przyjęłam.

– Oddziały naziemne są już w drodze. Zaraz u ciebie będą.

– Przyjęłam. Dziękuję.

Peyton usiadła i patrzyła na budynek. W środku był Andrew, uwięziony za ścianą ognia. Przez lata żywiła przekonanie, że zginął w ogniu, i tysiące razy jej się to śniło. Miała koszmary, w których Andrew znajdował się w pułapce, a ona nie mogła mu pomóc. Tym razem działo się to naprawdę. Budynek zaczynał się zapadać.

Znowu położyła się na plecach. Nie mogła na to patrzeć. Chciała wrócić do środka, ale brakowało jej siły.

Ponownie uruchomiła radio.

– Tato. Desmond. Andrew. – Zapomniała, jak powinna ich wywoływać,

ale teraz to już nie miało znaczenia. Po prostu chciała usłyszeć ich głosy. Ale nikt się nie zgłosił. Wywołała ich ponownie. I jeszcze raz. Nic.

Zamknęła oczy, pragnąc, żeby to nie była prawda. Desmond. Jej tata. Andrew. W ciągu czterech ostatnich dni cała trójka wróciła do niej. A teraz znowu mogli odejść. Była przekonana, że tym razem się z tego nie otrząśnie.

## ROZDZIAŁ 130

Minęło dziesięć minut, odkąd żołnierze wkroczyli do budynku. Peyton już wstała, lepiej jej się oddychało, ale jeszcze nie odzyskała pełni sił. Patrzyła na płomienie, szukając jakiegokolwiek znaku, że ktoś próbuje się wydostać. Pulsujący ogień ogrzewał jej twarz i ciało. Co kilka sekund wiatr odpychał ogień.

W jej słuchawce pojawił się szorstki głos.

– Artemis, tu dowódca Zulu, mamy jednego żywego. Potrzebujemy pomocy lekarza. Jesteśmy w budynku administracji.

Major Reeves koordynował poddanie się swojego oddziału, które właśnie dobiegało końca.

Peyton przerwała ciąg rozkazów, które wydawał.

– Czy któryś z pana ludzi może zaprowadzić mnie do budynku administracji?

Reeves popatrzył na Lin, która przyzwalająco skinęła głową. Jednemu z żołnierzy kazał towarzyszyć Peyton. Wyruszyli po kamiennej ścieżce, szli tak szybko, jak pozwalał jej stan. Wciąż bolały ją płuca, do przodu pchała ją nadzieja.

Budynek administracyjny był wypaloną ruiną. Spłonęły całe dwa górne piętra. Smugi dymu wznosiły się nad pomarańczowym żarem. Pół tuzina żołnierzy oddziału specjalnego – członków oddziałów Zulu i Bravo – przetrząsało gruzy, lufami karabinów odwracając poczerńiałe kawałki.

Jeden z SEALs-ów przywołał Peyton do siebie. Przełknęła ślinę w obawie, co przyjdzie jej zobaczyć. W myślach powtarzała słowa



usłyszane przez radio. *Mamy jednego żywego. Żywego, ale w jakim stanie? I kogo?*

Wiedziała, kogo chciałyby zobaczyć. W tej chwili była ze sobą całkowicie szczerą. Chciała ujrzeć twarz Desmonda. Najbardziej na świecie chciała opuścić Wyspę razem z nim. W mesie na *Boxerze* był z nią całkowicie szczery, ale ona milczała. Wiedziała, że to był błąd, którego mogła pożałować.

Sześć metrów przed sobą, obok żołnierza, ujrzała wypalony krater. Otaczały go zwłoki. W ciepłych strefach na całym świecie Peyton widziała populacje zdziesiątkowane przez patogeny oraz martwych ludzi. Jednak to było coś innego.

Ci ludzie byli rozczłonkowani. Martwe oczy patrzyły na nią lub na las. Na ziemi leżały poodrywane kończyny, pozostałości bezlitosnej rzezi. Do krateru spływały strużki krwi wyglądające jak żyły na plecach ciemnego ziemnego potwora. Gdy Peyton zeszła na dół, z dna uniosła się para, jakby duchy ludzi, którzy stracili tu życie, wzleciały do księżyca.

Żołnierz powiedział jej, że jest tam jakiś sanitariusz. Powstrzymał krwawienie, ale pacjent potrzebuje transfuzji. Pomoc jest już w drodze i wiezie krew. Na *Boxerze* można przeprowadzić zabieg, ale minie godzina, zanim pacjent trafi na stół.

Gdy żołnierz się odsunął, Peyton aż wstrzymała oddech.

Na ziemi leżała Avery, do jej bladej twarzy i blond włosów przylgnęła ziemia. Płytko oddychała. Miała kilkunastocentymetrową ranę brzucha. Peyton uklękła przy niej. Sanitariusz dobrze się spisał: rana została właściwie zamknięta. Całe ciało Avery poharatały kawałki roztrzaskanych drzew. Ranna coś wymamrotała, ale Peyton jej nie zrozumiała. Sanitariusz nafaszerował ją lekami przeciwbólowymi. To dobrze. Peyton nie mogła nic więcej dla niej zrobić. Prawdę mówiąc, oficer pełniący funkcję sanitariusza był lepiej wyszkolony do zajmowania się ranami na polu bitwy niż ona. Od siebie mogła dać jej tylko jedno i z tego powodu usiadła na ziemi i czekała.

Avery otworzyła oczy i znowu coś wymamrotała. Peyton chwyciła ją za rękę.

– Będzie dobrze, Avery. Pomoc w drodze. Chirurdzy już na ciebie czekają.

Na ustach Avery pojawił się grymas rozbawienia.

– Ty się mną opiekujesz?

Peyton uśmiechnęła się do niej.

– Tak, ja. Wiesz, jaka jestem, gdy chodzi o moich ludzi.

– No to wiem, że się wylizę. Jesteś naprawdę upierdliwa.

Peyton roześmiała się nerwowo, jakby ktoś wyjął zatyczkę i z jej ciała uszło napięcie.

– I kto to mówi! – odgryzła się. Poważniejszym tonem zapytała: – Masz to?

Avery skinęła głową.

– Tak, zdobyliśmy to.

*My.* To słowo napełniło Peyton nadzieją.

Avery spoważniała.

– Co znalazłyście w laboratorium?

Peyton zastanawiała się, co powiedzieć.

– Nic, co mogłoby stanowić problem.

– Mam jeszcze jednego! – krzyknął żołnierz przeszukujący pogorzeliśko.

Peyton instynktownie odwróciła się, szukając osoby, która zameldowała o znalezisku.

Pragnęła tam podbiec, ale ponownie skupiła uwagę na Avery. Blondynka wypuściła jej dłoń.

– Idź. To ktoś z naszych. Też cię potrzebuje.

– Spotkamy się na *Boxerze*, Avery.

Omijając ciała, Peyton pośpieszyła przez ostrzelany rakietami teren i wpadła do zrujnowanego budynku. Klatka schodowa była zrujnowana. Żołnierze usuwali gruz i odkopywali ciało. Było pogruchatane. Odsłonili tors. Piers była zapadnięta. Ten człowiek nie oddychał.

W chwili gdy Peyton ujrzała twarz ojca, zamknęła oczy. Popłynęły łzy. Ugięły się pod nią nogi. Klęknęła, zapadając się w popiele pokrywającym podłogę. Jej wzrok padł na wpół spalone zdjęcie w ramce. Przedstawiało

niskiego, białowłosego mężczyznę o zimnym spojrzeniu. Pasował do opisu Jurija Paczenki, tak jak przedstawiali go Desmond i jej ojciec. Peyton nie miała wątpliwości, że właśnie na niego patrzy. To było biuro Jurija. *Zabił mojego ojca.*

Przez całe życie za stratę ojca obwiniała los i pecha. Teraz mogła dołączyć do tego imię i nazwisko: Jurij Paczenko. Odebrał jej ojca. Zapłaci za to. Jurij chciał zmienić świat, na razie udało mu się zmienić ją.

Ona będzie jego końcem. Poprzysięgła to w spalonych ruinach budynku, patrząc na zwłoki ojca.

Z ciemności dobiegł głos innego żołnierza:

– Jest jeszcze jeden.

## ROZDZIAŁ 131

Elliott trzymał głowę żony na kolanach. W kamperze stojącym przy Marietta Street było ciepło dzięki grzejnikom i stłoczonym tam ludziom. Był z nimi Ryan, a także Sam i Adam, tuzin sąsiadów Elliotta oraz ich bliskich. Przy stole jakaś matka czytała czwórce dzieci *Pajęczynę Charlotty*. Dzieci pochylały się, żeby oglądać obrazki. Dwóch nastolatków leżało na kanapie, grali na tabletach, mając słuchawki na uszach. Trzy dorosłe pary pożywiały się batonikami proteinowymi i popijały wodę z butelek, próbując znaleźć sygnał w przenośnym radjku.

Chór kaszlących nie ustawał nawet na chwilę. Wirus X1-Mandera osłabiał każdego z nich, niektórych bardziej niż pozostałych. Kwestią czasu było, kiedy ich ciała poddadzą się działaniu patogenu. Elliott obawiał się, że Rose będzie pierwszą ofiarą.

Z radia dobiegł przerywany sygnał – wstęp do ważnego komunikatu. Jeden z sąsiadów Elliotta poprawił odbiór. Szumy znikły, sygnał stał się wyraźny, po czym ustał. Wszyscy spojrzeli na radio. Nawet nastolatki wyjęły z uszu słuchawki i usiadły.

Męski głos mówił powoli, dobitnie, jakby odczytywał komunikat.

*Rodacy, Amerykanie, gdziekolwiek jesteście, cokolwiek robicie, proszę posłuchajcie tego komunikatu. Może uratować życie wam lub życie tych, których kochacie. Nazywam się James Marshall. Wielu z was zna mnie jako przewodniczącego Izby Reprezentantów. Dwa dni temu zostałem*

*zaprzysiężony na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przemawiam do was, ponieważ stanęliśmy w obliczu zagrożenia, jakiego nie było jeszcze w historii naszego wielkiego narodu. Po pierwsze, chcę nadmienić, że mam dla was dobrą wiadomość: choroba spowodowana przez wirusa X1-Mandera, która miała spustoszenie w narodzie i na całym świecie, niedługo dobiegnie końca. Stany Zjednoczone przy współpracy z naukowcami z całego świata wyprodukowały lek niszczący wirusa. Ta sama substancja działa także jako szczepionka dla tych, którzy jeszcze nie są zarażeni.*

W przyczepie rozległy się wiwaty. Niektórzy nie dowierzali własnym uszom. Elliott od razu stał się podejrzliwy.

*Najlepszą wiadomością tego dnia jest to, że lek, który opracowaliśmy, jest już dostępny w waszym mieście. W tej chwili połączone siły BioTarczy w każdej strefie odizolowanej zakładają punkty kontrolne zaopatrzone w lek. Ważne jest, żeby jak najszybciej przyjąć lek, jednak proszę o zachowanie spokoju. Osoby dopuszczające się aktów przemocy i wprowadzające zamieszanie zostaną odesłane na koniec kolejki. Obowiązuje polityka zero tolerancji dla wpychających się do kolejki lub uniemożliwiających innym otrzymanie leku. Za chwilę przełączymy się na linie lokalne, zostaną tam podane adresy punktów, gdzie dostępny jest lek na wirusa X1-Mandera. Ogłoszenie zostanie powtórzone. Życzę wam powodzenia, gdziekolwiek jesteście. Niech Bóg ma was i wasze rodziny w swojej opiece i niech błogosławi Stanom Zjednoczonym.*

W kamperze zawrzało od krzyków i pytań. Jeden z sąsiadów, domagając się ciszy, zastukał pustą puszką po fasoli w blat, jak sędzia młotkiem. Głos w radiu już odczytywał listę miejsc w Atlancie. Po usłyszeniu słów „Centennial Olympic Park” wszyscy zaczęli wkładać płaszcze i wychodzić.

Ryan podszedł do ojca.

– Co o tym sądzisz?

Elliott nie powiedział, że według niego coś tu nie gra.

Leków na nowe choroby nie produkowało się z dnia na dzień ani nawet przez tydzień. Z całą pewnością nie mogły zostać wytworzone w ilościach potrzebnych dla setek milionów ludzi i rozwiezione po całym kraju.

Ale jego żona umierała. Miłość jego życia umrze za kilka godzin. *Co mam do stracenia?*

– Sądzę, że powinniśmy się pośpieszyć – rzekł.

Podniósł Rose i wyszedł z kampera. Ryan przyniósł wózek inwalidzki, rozłożył go i przytrzymał, żeby Elliott mógł usadowić w nim żonę. Sam była już przy nich, niosła Adama, który miał wysoką gorączkę. Ryan wziął chłopca na ręce i ruszył za Elliottem.

Wyszli z alei i truchtem podążyli Marietta Street. Chłód i wiatr były bezlitosne. Niekończący się pochód ludzi zasilany był przez tych, którzy wychodzili z budynków i z sąsiednich ulic. Wkrótce tłum maszerujący w stronę namiotów stojących w Centennial Park był tak gęsty jak podczas parady bożonarodzeniowej. Metalowe ogrodzenia rozdzieliły tłum, przy każdym wejściu stali żołnierze w kamizelkach kuloodpornych z napisem FEMA.

Kiedy Elliott dotarł do jednego z nich, ten rzucił okiem na Rose i powiedział:

– Kolejka numer jeden!

Wręczył mu też czerwoną kartkę. Żołnierze pokierowali go na przód. Było pięć kolejek, ta z numerem jeden miała najwyższy priorytet. Była dla pacjentów w stanie krytycznym. Tylko ona się poruszała. Elliott rozglądał się za Ryanem, który wciąż trzymał Adama. Ryan skinął głową, zachęcając rodziców do odejścia.

Inny pracownik FEMA kierował ludzi stojących w kolejce pierwszej do boksów, gdzie pracownicy służby zdrowia obsługiwali iniektory. Przed nimi leżały fiolki z lekiem oraz podłużne przedmioty: kartridże z dwutlenkiem węgla.

Elliott próbował podejrzeć napisy na fiolkach i strzykawce, ale nie było żadnych oznaczeń. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek pozna prawdę o tym, jak ten ratujący życie lek – który właśnie podawano jego żonie –

został tak szybko wyprodukowany. Nie wiadomo dlaczego pomyślał o Peyton. Miał nadzieję, że jest bezpieczna.

Po drugiej stronie boku inny funkcjonariusz FEMA wskazywał im wyjście.

– Co mamy teraz robić? – zapytał ktoś.

– Siedzieć w cieple i dużo pić. Proszę się przesunąć i zrobić miejsce dla następnych.

Wróciwszy do kampera, Elliott ponownie położył się obok Rose. Zyskał coś, czego nie miał jeszcze godzinę temu – nadzieję. Po raz pierwszy od dwóch dni udało mu się zasnąć.

## ROZDZIAŁ 132

Peyton nadal była odrętwiała po ujrzeniu ciała ojca. Ruszyła jednak przez osmolone ruiny budynku w stronę żołnierzy, którzy przetrząsali pogorzelnisko.

Zatrzymała się, gdy dostrzegła perukę z brązowymi włosami – tę samą, którą nosił Desmond. Była na wpół spalona i przesiąknięta krwią.

Potężny żołnierz zdjął z ciała drewnianą belkę. Ani drgnęło. Było bezwładne, lewa ręka oderwana, nogi spalone. Martwy, nie było dla niego żadnych nadziei.

Peyton trzęsły się ręce. Złożyła je razem i szła dalej.

Strażnicy pracujący dla Citium, którzy również prowadzili poszukiwania, rozstąpili się na jej widok.

Wypuściła powietrze. *To nie on.*

Peyton przyjrzała się twarzy. To nie był żaden z żołnierzy, którzy weszli w skład ich zespołu.

– To żaden z naszych.

Po jej policzku popłynęła kolejna łza, tym razem z radości.

Oddaliła się od budynku, wróciła do Avery i trzymała ją za rękę do czasu przybycia pomocy medycznej. Ranna traciła i odzyskiwała przytomność, Peyton cały czas mierzyła jej puls.

Podszedł do niej strażnik z Citium.

– Skończyliśmy przeszukanie – oznajmił. – Nie znaleźliśmy żadnego... personelu nie od nas.

– Dziękuję, że przyszedł mi pan powiedzieć.



Mężczyzna zdjął słuchawkę i radio i podał je Peyton.

– Pani matka na linii.

W chwili gdy założyła słuchawkę, usłyszała głos matki wydającej rozkazy żołnierzom.

– Mamo?

– Peyton, twój brat i Charlotte są na zewnątrz.

– Czy oni...

– Są w stanie stabilnym, ale potrzebują opieki lekarskiej.

– Czy oni...

– Tak. Wydaje mi się, że przeżyją, ale musimy się pośpieszyć.

– Już idę. Zaraz będę tam z medykami.

Kiedy ratownicy wylądowali, żeby zabrać Avery, Peyton pomogła włożyć ją na nosze i wsadzić na pokład. Następnie sama wskoczyła do śmigłowca i kazała im lecieć do laboratoriów.

Kiedy ponownie wylądowali, pobiegła do brata. Jego proteza spłonęła. Zapewne używał jej jako osłony. Da się ją zastąpić, jednak jego zdrowa ręka była usztywniona wzdłuż ciała, a na czole miał głęboką ranę. I on, i Charlotte byli nieprzytomni. Charlotte miała obandażowaną klatkę piersiową.

Peyton odsunęła się na bok, gdy żołnierze zabierali go do śmigłowca medycznego. Tej nocy straciła ojca. Bała się, że może stracić także brata.

Kiedy helikopter zniknął im z oczu, Lin ruszyła przed siebie.

– Chodź, Peyton, musimy porozmawiać. Życie twojego brata zależy od tego, co teraz zrobimy.

## ROZDZIAŁ 133

Millen siedział na łóżku polowym, rozpakowując rację żywnościową, gdy otworzyły się drzwi do laboratorium.

Zerwał się na nogi, gotów do obrony kenijskich dzieci, lecz okazało się, że to tylko Phil.

– To koniec.

– My...

– Lek. Chodź, idziemy na górę. Mamy dużo roboty.

Millen dołączył do kolejki stojącej w auli, zakasał rękaw i dostał zastrzyk. W pomieszczeniu było gwarno jak na parkiecie nowojorskiej giełdy przed jej informatyzacją; wszyscy chcieli się czegoś dowiedzieć o cudownym leku. Ale chyba nie było żadnych odpowiedzi.

Po otrzymaniu zastrzyku Millen wrócił do biurka w Centrum Operacji Kryzysowych i odczytał nowe instrukcje. Doktor Stevens pisał je w pośpiechu; kilka fragmentów Millen musiał przeczytać dwukrotnie. Kiedy skończył, założył zestaw słuchawkowy.

– Punkt szczepień w Centennial Park. Potrzebujemy aktualnych danych dotyczących dawek leku i osób, którym udzielono pomocy.



Pod koniec zmiany operator poinformował Millena, że dzwonią do niego z CDC.

Głos po drugiej stronie linii należał do kogoś, kogo Millen nie

spodziewał się już nigdy usłyszeć: Elimu Kibeta.

- Mam pewne informacje, Millen – rzekł poważnie.
- Kiedy Elim skończył, Millen powiedział tylko:
- Będę tam jak najszybciej.



Millen czekał pod biurem Phila, żeby ten dokończył rozmowę telefoniczną, po czym wszedł do środka.

- Wyższy rangą pracownik CDC nie podniósł wzroku znad laptopa.
- Jak mogę ci pomóc, Millen?
  - Czy możesz mi wyświadczyć przysługę? Dużą.



Millen nie wiedział, do kogo dzwonił i jakie przysługi zostały wymienione między dzwoniącymi, ale kilka godzin później dostał informację, że wszystko zostało załatwione.

W laboratorium BSL-4 Halima i Tian oglądali telewizję.

- Pozbierajcie swoje rzeczy.

Halima pytająco uniosła brwi.

- Wracacie do domu.

Podbiegli do niego. Millen ich objął.

- Nie wiedziałam... – zaczęła Halima.
- Kiedy zgodziliście się tu przyjechać ze mną, obiecałem, że zabiorę was do domu, kiedy to się skończy. Dotrzymuję obietnic.



Najpierw polecili do Waszyngtonu, potem do bazy lotniczej Ramstein w Niemczech. Samolot zabrał personel, który nie był zbyt rozmowny, co zaintrygowało Millena. Połowa tych milczków wysiadła w Ramstein, a ich miejsce zajęli ludzie z bazy i z Centrum Medycznego Landstuhl.

Stamtąd udali się nocnym lotem do bazy lotniczej Incirlik w Turcji, skąd Millen i Kenijczycy polecieeli mniejszym samolotem na międzynarodowe lotnisko Kenyatty.

Elim i Dhamiria już na nich czekali. Przynieśli prezenty dla dzieci: piłkę dla chłopca i korale Masajów dla dziewczynki. Oboje byli zachwyceni prezentami, a także tym, że Elim i Dhamiria myśleli o nich podczas ich nieobecności.

Millen instynktownie wiedział, że zaadoptują te dzieci. Radowała go ta myśl. Sądził, że ich czwórka stworzy wspaniałą rodzinę mimo tragedii, która ich do siebie zbliżyła.

W szpitalu Millen przemierzał korytarze z Elimem. Sale były przepełnione, istne wariatkowo, ale wszystko działało bez zarzutu, Elim o to zadbał. Kenijczyk chyba znał każdego po imieniu i wiedział, czym się zajmuje. W Manderze, kiedy dochodził do zdrowia, powiedział Millenowi, że szpital był dla niego wszystkim, jego upadek podciął mu skrzydła. Teraz wróciła mu energia. W pewnym sensie pandemia, która najpierw niemal go zabiła, potem nadała sens jego życiu. Millen uważał, że to dziwne zrzędzenie losu, ale ogromnie się z tego cieszył.

Elim zwolnił, gdy zbliżyli się do sali, w której leżała Hannah. Rude włosy okalały jej spoczywającą na poduszce głowę. Urządzenia stojące przy łóżku już wyłączono.

Millen wszedł do sali. Usłyszał oddalające się kroki Elima, który wydawał już kolejne polecenia.

Chwycił brzeg białego prześcieradła i lepiej przykrył Hannah, po czym usiadł na krześle przy oknie. Zasnął po kilku minutach.



Obudził go szelest pościeli. Zaspany spojrzał na łóżko.

– Millen. – Hannah usiadła i patrzyła na niego zdumiona.

– Cześć.

– Cześć. Jak tu się dostałeś?

– Przypadkiem byłem w okolicy.

– Nie żartuj.

– Powiedziałem w CDC, że ktoś z naszych został w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło.

Jego odpowiedź nieco ją zasmuciła.

– Och.

– No i nie skończyliśmy naszej książki.

Uniosła brwi.

– A sama wiesz, jak poważnie traktuję moją listę książek do przeczytania.

– Nie masz listy książek do przeczytania. – Roześmiała się.

– Fakt. Mam listę książek do przesłuchania. – Udał, że się nad czymś zastanawia. – Ale to chyba niezbyt dobrze brzmi.

– Rzeczywiście.

– No więc... – Pokazał jej telefon z aplikacją Audible. – Słuchamy?

– Możemy. – Przesunęła się na łóżku, robiąc mu miejsce. – Mam nadzieję, że pamiętasz, jakie są zasady.

Tak jak wcześniej, położył się przy Hannah, wsadził w swoje ucho jedną słuchawkę, drugą w jej ucho i objął ją ramieniem. Ostatnim razem, gdy tak razem słuchali, pandemia dopiero się zaczynała w odległym zakątku świata. A oni byli parą ze stażem krótszym o kilka tygodni, chociaż wydawało się, że minęła wieczność. Millen dorósł w tym czasie. Podejmował ryzyko, miał nowe obowiązki i dowiedział się, co jest ważne w życiu. Nie zamierzał więcej spuszczać z niej oka. Przynajmniej na razie.

– Wiesz, tak naprawdę doglądałem pierwszego pacjenta, który wydobrzył po X1-Mandera – rzekł tonem przechwałki.

– Naprawdę? – Hannah odwróciła się do niego.

– Serio. Ten pacjent całkiem dobrze sobie poradził. W końcu ocalił także ciebie.

– Aha – powiedziała Hannah. Jakby spodziewała się, że to dopiero wstęp.

– Mógłbym świadczyć te same usługi tobie.

– Och, naprawdę?

– Tak. – Po czym niecierpliwie dodał: – Chciałabyś? Chcesz, żebym został?

– Najbardziej na świecie.

## ROZDZIAŁ 134

Słońce wstawało nad Wyspą, kiedy Lin i Peyton dotarły do wypalonych ruin budynku administracyjnego. Zespoły poszukiwawcze Citium wydobyły swoich poległych kolegów i ułożyły ich w rzędzie w workach na zwłoki.

Peyton i Lin przeszły wzdłuż ciał, patrząc na odsłonięte twarze zmarłych. Pod koniec Peyton ujrzała twarz ojca. Zamknęli mu oczy.

Lin Shaw uklękła, rozsunęła suwak i dotknęła policzka męża.

Peyton nie pamiętała, czy kiedykolwiek widziała płaczącą matkę. Teraz Lin Shaw szlochała na tropikalnej wyspie, mając za świadków pierwsze promienie słońca przesączające się przez korony drzew. Peyton uświadomiła sobie, że matka chyba zawsze spodziewała się, iż ojciec do niej wróci. Lin Shaw miała jedną miłość w swoim życiu i nigdy nie porzuciła nadziei, że ponownie się z nią połączy.

Peyton to rozumiała. Desmond był jedynym mężczyzną, w którym naprawdę się zakochała. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że zawsze czekała na jego powrót. To dlatego nigdy nie zaangażowała się w żaden związek. Podobnie jak matka, która nigdy nikogo nie szukała, gdy odebrano jej męża.

– Dawno temu wykupiliśmy w Londynie miejsca na cmentarzu – powiedziała Lin, nie zdejmując dłoni z twarzy Williama. – Chciałabym go tam pochować. I pragnęłabym, żebyście ty, twoja siostra i twój brat przyszli na pogrzeb.

Peyton skinęła głową. To pasowało. Wiedziała już, że jej rodzice nie

zakochali się w sobie w Londynie. To stało się na *Beagle*. Ale w Londynie założyli rodzinę. Tam jej ojciec został adoptowany i stał się taki, jaki był.

Lin zasunęła suwak worka na ciało, wzięła się w garść i zwróciła do Peyton.

– Ten kryzys wkrótce się zakończy. Kiedy to się stanie, w miejsce strachu pojawi się złość. Ludzie już nie będą skupieni na tym, żeby przetrwać. Będą chcieli znaleźć kogoś, na kogo zrzucą winę. Przestępców, których powieszą.

Peyton w mig pojęła, co matka chce jej przekazać: Andrew znajdował się w niebezpieczeństwie. Peyton czuła się rozdarta. Jej brat stworzył patogen, który zabił miliony ludzi. Ale wcześniej przeszedł pranie mózgu.

– Wiem, o czym myślisz – powiedziała matka. – Powinnaś wiedzieć, że Jurij Paczenko jest ocalonym. Był dzieckiem, gdy do Stalingradu wkroczyli Niemcy. Przeżył dzięki sile swojego umysłu. Kiedy wszyscy wokół niego umierali, nauczył się manipulować ludźmi, żeby dostać to, czego chciał. Każdy człowiek ma jakiś słaby punkt – coś, co można wykorzystać przeciw niemu.

– Jaki był słaby punkt Andrew?

– Jurij groził tobie.

Peyton wypuściła powietrze.

– A twój?

– Andrew i ty. I Madison. – Lin się zastanowiła. – Jeśli wydamy Andrew światu, przeprowadzą proces i zabiją go. Albo zamkną na zawsze. Nie jest całkowicie bez winy, ale nie jest też w stu procentach winny. Kiedy uświadomi sobie, co zrobił, ten ciężar będzie dla niego znacznie okrutniejszą karą niż ta, którą mogą wyznaczyć mu inni. Teraz musi odnaleźć drogę powrotną, ponownie nauczyć się żyć i kochać.

Charlotte, pomyślała Peyton. Lin przedstawiła jej swoją propozycję, potem spojrzała córce w oczy, czekając na odpowiedź.

– Dobrze. Zrobię to.

Wstały i oddaliły się od ciał. Lin mówiła cicho.

– Jest jeszcze coś. Miesiąc temu ktoś namierzył *Beagle*. Nie wiem jak;



zakładam jednak, że jego położenie znajdowało się w tajnych aktach Citium. Być może odnalazł je Desmond i przekazał Avery. Możliwe, że sama to nich dotarła.

– Skąd wiesz?

– Rubicon posłał tam lodołamacz Straży Przybrzeżnej, *Healy*. Conner zatopił statek. Nadal nie wiem, gdzie to się zdarzyło. Muszę wyciągnąć od Avery współrzędne tego miejsca.

– Po co?

– Ze względu na to, co jest na pokładzie.

– Czyli?

– To rozmowa na kiedy indziej, Peyton.

Szły w ciszy, Peyton się zamyśliła. Jej myśli wciąż wracały do Desmonda, niczym kompas zawsze wskazujący północ. Bała się odpowiedzi na swoje kolejne pytanie, ale musiała wiedzieć.

– Desmonda tu nie ma, prawda?

– Tak jak powiedziałam, Jurij jest osobą, która ocalała. Nie postawiłby nogi na Wyspie, gdyby nie miał planu ucieczki. A nie wyjechałby bez Desmonda i Connera, bo oni mają *Rendition* i *Rook*, których bardzo potrzebuje.

– Co zrobię z Desmondem?

– Spróbuję przywrócić mu pamięć.

To przeraziło Peyton.

– Odszukam go.

– Tutaj jest wiele do zrobienia – upomniała córkę.

– Nie dla mnie. Chcesz namiary na *Beagle*? Ja chcę, żeby wrócił Desmond. Pomożesz mi. I powiesz mi, co tu naprawdę się dzieje.

– To jest właśnie młoda dama, którą wychowałam. – Liz się uśmiechnęła.

## ROZDZIAŁ 135

Kiedy Desmond się obudził, Conner siedział na łóżku naprzeciw niego. Od razu domyślił się, że są na statku. Zapewne na okręcie podwodnym.

Conner przekrzywił głowę, ale nic nie powiedział.

Desmond miał poparzoną rękę i nogę. Pomniejsze oparzenia miał na całym ciele, ale w zasadzie czuł się nie najgorzej. Spojrzał bratu w oczy.

– Wyciągnąłeś mnie stamtąd?

– Zrobiłem to, czego ty nie zrobiłeś dla mnie.

– Próbowałem. Miałem pięć lat.

– A ja trzy miesiące.

Desmond siedział, milcząc i mając nadzieję, że złość się ulotni.

– Dokąd zmierzamy?

Conner uśmiechnął się i rozciągnęły się potworne blizny na jego twarzy.

– Musimy to zakończyć. Pomożesz nam. – Wstał i podszedł do drzwi. – Odpocznij. Dobrze ci to zrobi.



W korytarzu czekał Jurij.

– Nie martw się, uda nam się. Trzydzieści lat temu pomagałem mu przy twojej rehabilitacji. Zbłądziłeś, tak jak on teraz. Razem uda nam się go ocalić. I dokończymy Zwierciadło.

## ROZDZIAŁ 136

Kiedy ranna się ocknęła, Peyton, która siedziała przy Avery w małej sali szpitalnej, wstała i podeszła do łóżka.

– Cześć.

– Cześć.

Po raz pierwszy, odkąd się poznały, z ich głosów zniknęło napięcie.

Peyton nadal czuła się niepewnie.

– Słuchaj, wiem, że nie zawsze się ze sobą zgadzałyśmy...

– Doceniam kunszt twoich niedopowiedzeń.

Peyton się roześmiała.

– Dzięki. – Usiadła na skraju łóżka. – Po prostu chciałabym, żebyśmy zaczęły od początku.

Avery skinęła głową, ale nic nie powiedziała.

– Jak się czujesz?

Avery spojrzała w sufit, otworzyła usta, ale szybko je zamknęła, rezygnując ze złośliwości. Może naprawdę zaczynały wszystko od nowa.

– Dobrze – odparła, nie patrząc jej w oczy. Dopiero po chwili spojrzała na Peyton. – Co z Desmondem?

– Przeszukujemy Wyspę. Nie znaleźliśmy go.

– Nie znajdziecie – odparła beznamiętnie.

– Zakładamy, że Jurij i Conner uciekli, zabierając go ze sobą.

– Musisz ich ścigać.

– Tak. Moja matka zna Citium i Jurija lepiej niż ktokolwiek inny. A ja potrzebuję twojej pomocy. Nie, chcę...

- Chcesz, żebyśmy połączyły siły?
  - Wydaje mi się, że nie ma na świecie dwóch innych osób, którym tak zależy na jego odnalezieniu.
  - Dobrze to ujęłaś.
  - Więc jak będzie, Avery?
  - Możesz na mnie liczyć, doktorku.
- Peyton się uśmiechnęła.
- Jest jeszcze coś. Chciałabym, żebyś gdzieś dla mnie zadzwoniła.
  - Gdzie?
  - To ważne. Musimy mieć namiary na wrak *Beagle*.



Dziesięć minut później Peyton otworzyła właz prowadzący do kajuty matki.

Lin Shaw podniosła wzrok znad zeszytu.

– Masz?

Peyton położyła ręcznie zapisaną kartkę na biurku.

Lin spojrzała na namiary, jakby były starożytnym skarbem uznanym za stracony na zawsze.

– Patrzysz i patrzysz – stwierdziła Peyton.

– Istotnie.

– Dlaczego?

Matka westchnęła. Peyton dobrze знаła tę reakcję. Nie zamierzała odpuścić.

– Mamo.

Lin nic nie mówiła.

– Mamy umowę.

– No dobrze. Jeśli chcesz wiedzieć, będę musiała ci coś pokazać.

# DZIEŃ 20

**Ostateczna liczba ofiar śmiertelnych – 31 mln**

## ROZDZIAŁ 137

Na pokładzie lodolamacza amerykańskiej Straży Przybrzeżnej Peyton wdychała chłodne, poranne powietrze. Usłyszała za sobą kroki. Zbliżała się jej matka.

– Już pora.

Kilka minut później wraz z dwoma asystentami siedziały w podwodnym pojeździe ratunkowym i zbliżały się do dna Oceanu Arktycznego. Cała czwórka włożyła kombinezony ochronne, zatrzymała się przy wraku *Beagle* i wyszła.

Ciemny, zimny grobowiec przyprawiał Peyton o gęsią skórę. Tu spoczywała historia. Jej rodzice tu się poznali i zakochali w sobie i zgodnie z tym, co mówił ojciec, tutaj poczęto jej brata.

LED-owe lampy na ich hełmach oświetlały jednostkę, ukazując stopniowo jej fragmenty. Na pokładzie leżały zamrożone zwłoki. Inni ludzie umarli, leżąc na kojach, z książką na podorędziu, przykryci kołdrami.

W laboratorium znaleźli ciała tych, którzy zginęli całkiem niedawno: członków zespołu Rubicon, którzy odnaleźli *Beagle*. Umarli z głodu. Conner zatopił *Healy*, odcinając ich od świata, żeby zachować sekrety Citium. Peyton chciała wiedzieć, co było tak cenne, żeby zabijać tych dzielnych ludzi.

W ścianie laboratorium znajdował się rząd drzwi. Przypominały Peyton chłodnie w kostnicy, z tą różnicą, że w tych drzwiach znajdowały się okienka.

Matka Peyton podeszła do sejfu w ścianie i przekręciła pokrętko.

Drzwi się otworzyły, ze środka wyjęła pęk kluczy. Zwróciła się do asystentów, którzy przynieśli ze sobą kilka szczelnych pojemników.

– Gdy wsadzę do środka próbki, szybko je zamknijcie.

Potwierdzili przyjęcie rozkazu, więc Lin podeszła do najbliższych drzwiczek, otworzyła je i wysunęła szufladę, w której znajdowały się jakieś kości. Ludzkie. Nie – czaszka była inna, podobnie jak miednica.

Lin ujęła delikatnie czaszkę i włożyła ją do pierwszego pojemnika.

– Teraz szybko – powiedziała do asystentów.

Gdy szuflada była pusta, Lin ją zamknęła i otworzyła kolejną.

Znowu kości. Ludzkie, ale nie *Homo sapiens*. Jakiegoś prehistorycznego przodka, o którym niewiele wiadomo.

Zespół, który Lin zabrała ze sobą, kilkakrotnie wracał, przywożąc ze sobą puste pojemniki, napełniając je i wychodząc na powierzchnię, gdzie zostawiał okazy na statku. Peyton przyglądała się procesowi opróżniania kolejnych skrytek. Naliczyła pięć gatunków człowieka. W jednej ze skrytek znajdowały się okazy zwierząt: duży kotowaty, foka, morświn i wiele więcej.

Peyton uruchomiła radio.

– Mamo, co to jest?

– Porozmawiamy, jak skończymy. Musimy zabezpieczyć okazy.

Kiedy opróżniła ostatni schowek, Lin kazała asystentom poczekać w jednostce ratunkowej. Gestem przywołała Peyton.

Szły przez ciemne korytarze, aż znalazły się przed kilkoma ciasnymi pomieszczeniami biurowymi. Lin otworzyła szufladę biurka i przeglądała dokumenty. Otworzyła jeden z nich, pisany ręcznie po niemiecku, po czym zaczęła po cichu czytać.

– Mamo.

Lin podniosła wzrok, jakby zapomniała, że nie jest tu sama. Wyglądała prawie jak opętana.

– Czyje to są badania? – spytała Peyton.

Lin nie odpowiedziała.

– Są twoje, prawda? To ty zbierałaś te kości. Po co?

Lin wyjęła z szuflady teczkę i ułożyła je na biurku.

W końcu zwróciła się do córki.

– Przełącz na kanał siódmy.

Kiedy były same na kanale, Lin odezwała się ponownie.

– Nasza komórka Citium była niepowtarzalna. Oddana misji. Nazywaliśmy ją fundamentalnym pytaniem.

– Jakim pytaniem?

– Pytaniem, jakie w pewnym momencie zadaje sobie każdy myślący człowiek: Dlaczego żyję?

– Odpowiedź znajduje się na *Beagle*?

– Tak i nie. Nazwaliśmy okręt podwodny *Beagle* na cześć innego znanego statku o tej samej nazwie.

– Na tym statku Charles Darwin opłynął świat i doszedł do rewolucyjnych wniosków, które później stały się podwalinami teorii ewolucji.

– Właśnie. Sądziliśmy, że teoria Darwina to tylko połowiczny obraz natury ludzkości i że cała prawda była bardziej szokująca.

– I znaleźliście potwierdzenie dla tej teorii?

– Tak. Nazwaliśmy naszą pracę Aktami Wyginięcia. Sądziliśmy, że dzięki poznaniu genomów wymarłych i żyjących gatunków możemy odkryć wszystkie tajemnice rasy ludzkiej. To, co odkryliśmy, było... było czymś, czego nikt z nas sobie nie wyobrażał. – Lin zawiesiła głos, jakby zastanawiając się, co jeszcze dodać. – Ale potrzebowaliśmy więcej danych na potwierdzenie naszej teorii.

Więcej danych, pomyślała Peyton.

– W strefach odizolowanych pobierano próbki DNA od każdego pacjenta.

– Powiedziano mi tylko, że dostanę dane, ale nie wiedziałam, w jaki sposób zostaną pobrane. Niemniej w tej chwili w laboratoriach Citium badane są te miliardy próbek genetycznych. Jeśli otrzymamy te dane i połączymy je z tymi stąd, wreszcie poznamy prawdę.

– Do czego ty właściwie zmierzasz, mamó?

– Jest pewien kod ukryty w ludzkim genomie. I jeśli nasza teoria jest



właściwa, to dzięki niej zmienimy pojmowanie ludzkiego istnienia.

## EPILOG

Po zakończeniu pandemii X1-Mandera w Sojuszu Pomocy Australii Południowej pojawiło się mnóstwo uchodźców poszukujących pomocy. Na szczęście mieli teraz jeszcze jednego pracownika.

Andrew był wdzięczny za pracę. Dzięki niej nie myślał tyle o tym, co się stało i co zrobił. Nigdy sobie nie wybaczy, bez znaczenia, ilu pacjentom pomoże, ile ocali istnień ludzkich. Przez resztę życia nie spłaci długu, który zaciągnął.

Charlotte zachęcała go do zrobienia kroku w przód, ale nie potrafił. Ona twierdziła, że czas leczy rany. On nie był do końca przekonany. Ale chciał być.

Wszedł do sali chorych i zamknął za sobą drzwi. Miał prostą protezę na jednej ręce, w drugiej trzymał podkładkę z nazwiskiem pacjenta. Jego własne nazwisko sprawiało mu problem. Andrew Shaw formalnie nie żył. A gdyby ktoś go szukał, nie chciał zostać odnaleziony. Dlatego też pasował mu ten punkt medyczny na odludziu. Mógł tu jedynie pracować i spędzać czas z Charlotte. Musieli nadrobić całe życie.

– Cześć – powiedział. – Nazywam się William Moore. Jestem lekarzem. Jak się czujesz?



Avery siedziała w sali konferencyjnej w niskim budynku w Research Triangle Park, w tym samym, gdzie wiele lat temu odbyła rozmowę o pracę w Rubicon Ventures. Naprzeciw niej siedział ten sam

mężczyzna, który wtedy z nią rozmawiał, David Ward.

– Jestem z Ciebie dumny – powiedział.

– Też jestem z siebie dumna.

– Mówię poważnie, Avery. Słuchaj choć przez chwilę. To, co zrobiłaś, wykraczało poza zakres twoich obowiązków. Nie ma nagrody w tym kraju, która w pełni odpowiadałaby twoim zasługom. Próbuję ci powiedzieć, że wiem, co zrobiłaś, podobnie jak dowództwo Rubiconu. I naprawdę to doceniamy.

Avery kręciła się na krześle, nie wiedząc, co powinna powiedzieć.

– Co z moim ojcem? – spytała po chwili.

– Został objęty dobrą opieką. Przenieśliśmy go do Dean Dome. Nadal tam jest. Zadzwoń tam i powiem, że przyjedziesz.

– Dziękuję.

David rozsiadł się na krześle.

– Możemy im ufać?

Avery wiedziała, że pyta o Peyton i Lin Shaw. Ale nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Czas pokaże.

– Dobrze byłoby wiedzieć wcześniej.

– Nie mamy wielkiego wyboru.

David pozwolił, by krzesło podjechało do przodu.

– Wielu ludzi jest niezadowolonych z ugody z Lin Shaw.

– Nie winię ich. Ale muszą to jakoś przełknąć. Potrzebujemy jej.

– Jesteś pewna?

– To jeszcze nie koniec. Nie wiemy, co będzie dalej. Może być coś gorszego od pandemii. Musimy zacząć rozmontowywać Citium. Potrzebujemy kogoś, kto był w środku. Gdy z tym skończymy, rozprawimy się z innymi rzeczami.

– Dobrze. Pożyjemy, zobaczymy.

Avery wstała, David odprowadził ją do drzwi.

– Nie martw się, dobrze? – powiedział łagodniejszym tonem.

– Czym?

– Wiesz czym. Zrobimy, co w naszej mocy, żeby go odnaleźć. Masz do

dyspozycji wszystkie dostępne środki. Wiemy, ile znaczy dla ciebie Desmond.



W Dean Dome Avery maszerowała pomiędzy rzędami prowizorycznych boksów dla chorych. Oczekała, aż dojedzie do siebie, by udawać, że nic jej nie boli.

Przy jego boksie czekała przy wejściu, żeby ją zobaczył. Jego reakcja zawsze mówiła jej, w jakim jest stanie danego dnia. Alzheimer pogłębił się w ciągu ostatnich kilku lat. Dobre dni stawały się coraz rzadsze.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytał.

– Nie – odparła cicho. – Przyszłam cię odwiedzić i sprawdzić, czy czegoś potrzebujesz.

Rozejrzał się wokół.

– Nie. Chyba wszystko mam. – Przyglądał się jej twarzy. – Wyglądasz... Czy ja cię znam?

Weszła do boksu, rozejrzała się i znalazła to, czego szukała. Wyjęła składane metalowe krzesło, usiadła przy stoliku i przesunęła na środek talię kart.

– Może zagramy w remika?

Uniósł brwi i usiadł naprzeciw niej.

– Pewnie. Czemu nie? To moja ulubiona gra.

Po drugiej partyjce zapytał:

– Co robiłaś podczas pandemii?

– Ach, nic ważnego.



Peyton siedziała w aucie przed wielkim domem i czekała na połączenie telefoniczne.

Millen Thomas odebrał ze śmiechem.

– Tak, słucham? – Coś go rozpraszało, był wyraźnie rozbawiony.

– Millen. Tu Peyton Shaw.

Usłyszała, że się oddala, wychodzi z pokoju, w którym rozmawiali jacyś ludzie.

– Doktor Shaw. Co u pani?

– Dziękuję, dobrze. Słuchaj, mam mało czasu, więc od razu przejdę do sedna. Kompletuję zespół do przeprowadzenia dochodzenia nowego typu. Nie jest związane z CDC. To grupa złożona z członków kilku różnych sekcji. Byłbyś zainteresowany?

– Hm. Może. Nie wiem. Co to za dochodzenie?

– Naukowe. Mamy dość daleko idące założenia. – Peyton czekała, ale Millen nie odpowiadał. – Ma związek ze zwierzętami.

– Jakimi? – spytał.

– Wymarłymi.

Zapadła cisza, w której można było usłyszeć przelatującą muchę.

– Millen, jesteś tam?

– Tak, tak. Jestem. Kiedy by mnie pani potrzebowała?

– Jutro.

Znowu cisza. Westchnął.

– Chciałbym, ale jest coś... a w zasadzie ktoś, kim muszę się zajmować.

Peyton się uśmiechnęła.

– Rozumiem. To dobry wybór. Naprawdę dobry. Pozdrów ode mnie Hannah.

Peyton wysiadła z samochodu i zbliżyła się do budynku. Kiedy Elliott otworzył drzwi, nie powiedział ani słowa. Po prostu wyszedł i ją objął. Piętnaście minut później siedziała przy stole z Elliottem, Rose, Ryanem, Sam i Adamem.

Elliott popatrzył na każde z nich.

– Cóż, wydaje mi się, że skoro Święto Dziękczynienia przebiegło nie po naszej myśli, powinniśmy zrobić powtórkę.

Spojrzał Peyton w oczy.

– Z całą naszą rodziną. Jeśli ten rok coś nam dał, to świadomość, że mamy za co być wdzięczni.

## OD AUTORA

Dziękuję ci za przeczytanie tej książki.

*Pandemia* jest najdłuższą książką, jaką kiedykolwiek napisałem, i była dla mnie wyzwaniem większym, niż się spodziewałem. Okazało się, że poziom skomplikowania i ilość informacji do sprawdzenia podczas przygotowania do pisania serii Akta Wyginięcia przekraczały nakład pracy włożonej przeze mnie w pisanie serii Atlantis. Ponadto zbiegły się z najbardziej angażującym okresem w życiu prywatnym. Zacząłem pracę nad *Pandemią* jakieś dwa i pół roku temu. Gdzieś pomiędzy wyszukiwaniem informacji, pisaniem szkicu oraz redagowaniem powieści Anna i ja przeprowadziliśmy się z Florydy do Karoliny Północnej, urodziło się nasze pierwsze dziecko, dziewczynka, i sfinalizowaliśmy plany zakupu nowego domu. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni przespałem całą noc. Ale muszę przyznać, że nie zamieniłbym tego za nic na świecie. Wstawanie o drugiej w nocy, żeby zmienić pieluchę, przygotować butelkę z jedzeniem, zredagować rozdział, rozpakować przesyłkę czy odnieść się do nowego projektu piętra, stało się faktem podczas pisania *Pandemii*. Do wszystkiego podchodziłem z miłością i to sprawiło, że pozostałem przy zdrowych zmysłach (a kawa trzymała mnie w pionie).

Wielu z was chciałoby, żebym publikował częściej. Próbuję wyjść naprzeciw tej prośbie, dając wam książkę najlepszą, na jaką mnie stać. Bardzo zależało mi na wysokiej jakości. Mam nadzieję, że warto było na nią czekać.

Gdybyście chcieli wiedzieć, do jakiego stopnia książka jest wymysłem mojej wyobraźni, zajrzyjcie na moją stronę: [agriddle.com/pandemic](http://agriddle.com/pandemic).

Wielu z was było tak miłych i napisało recenzje moich poprzednich książek, za co jestem dozgonnie wdzięczny. Te recenzje przyświecały mi podczas pracy i z całych sił starałem się zasłużyć na waszą przychylność. Dużo mi dały recenzje oraz słowa zachęty, które z pewnością były dla mnie źródłem inspiracji podczas pisania tej powieści.

Jeśli znajdziecie czas na zostawienie recenzji, będę za nią bardzo wdzięczny. Ze względu na to, że *Pandemia* jest pierwszą książką nowej serii, recenzje pomogą czytelnikom w wyborze książki.

Jeszcze raz dzięki za przeczytanie.

Pozdrawiam,

– Gerry  
A.G. Riddle

PS: Piszcie do mnie na [ag@agriddle.com](mailto:ag@agriddle.com), jeśli macie jakieś uwagi lub pytania. Czasem potrzebuję kilka dni, ale zawsze odpowiadam na wiadomości.

## PODZIĘKOWANIA

Wiele osób pomogło mi przy tej książce.

Anna: dziękuję przede wszystkim za to, że jesteś wspaniałą matką dla naszej córki. I za pomoc we wszystkim, co niesie dla nas życie.

David Gatewood: dziękuję za doskonałą redakcję tej książki. Twoje sugestie sprawiły, że powieść jest o wiele lepsza, a twoje oko do szczegółów oszczędziło mi linczu w Internecie (a przynajmniej zmniejszyło liczbę batów).

Na stronie [www.lonetrout.com](http://www.lonetrout.com) przeczytacie więcej o pracy Davida.

Kilka osób, które przeczytały tę książkę przed wydaniem, oraz ekspertów w tej tematyce, doradziło zmiany, które znacząco wpłynęły na treść *Pandemii*. Są to: Sylvie Delezay, Carole Duebbert, Kathleen Harvey, Fran Mason i Lisa Weinberg.

Jestem wdzięczny Hannah Siebern, przyjaciółce i niemieckiej pisarce, która pomogła mi z fragmentami, gdzie pojawiał się niemiecki.

Jestem dłużnikiem fantastycznej grupy pierwszych czytelników, którzy wyłapali różne rzeczy przeze mnie przegapione. Są to: Lee Ames, Judy Angsten, Jeff Baker, Jen Bengtson, Kari Biermann, Paul Bowen, Jacob Bulicek, Robin Collins, Sue Davis, Michelle Duff, Skip Folden, Kay Forbes, Marnie Gelbart, Lisa Gulli Popkins, Mike Gullion, Aimee Hess, Justin Irick, Ajit Iyer, Kris Kelly, Karin Kostyzak, Matt Lacey, Cameron Lewis, Kelly Mahoney, Nick Mathews, Kristen Miller, Kim Myers, Amber O'Connor, Cindy Prendergast, Katie Regan, Dave Renison, Teodora Retegan, Lionel Riem, Chris Rowson, Andy Royl, John Schmiedt, Andrea Sinclair, Christine Smith, Duane Spellecacy, Phillip



Stevens, Paula Thomas, Gareth Thurston, Tom Vogel, Ron Watts, Sylvia Webb i Lew Wuest.

Nieustannie jestem pod wrażeniem intelektu i ciekawości świata następujących czytelników: Michaela Alaniza, Shannon Barker, Roe Benjamin, Matthew Blaquiere, Emily Bristol, Toma Bucknera, Jamesa Burge'a, Jima Burnsa, Sarah Cartwright, Stephanii Cheng, Jima Critchfielda, Dana Davisa, Kevina Davisa, Roberta Defibaugh, Normy Fritz, Tima Gallagher, Kelley Green, Coreya Guidry, Michaela „mooP” Haymore'a, Jonathana Hensona, Brandona Holta, Rodneya Keitha Impeya, Alexa Jonesa, Josha Klinga, Louisa Laegera, Marka Lalumondiera, Logana Lykinsa, Timothy'ego Maka, Stephen Maxwella, Carrie McNair, Steve'a McNaula, Henry'ego A. Mitchella III, Eliasa Nassera, Najara Ramsady, Joshuy Ramsdella, Gabriele Ratto, Ryana D. Reida, Ignatia Romanowa-Czernigowskiego, Mandie Russell Clem, Alfreda Sadaki III, Johna Schulza, Nicolo Sgnaolina, Jacka Silversteina, Vojtěcha Šimonki, Antonia Sonziniego, Josha Suttona, Matta Tobina, Joshlyne Villano, Maegan Washburn, Ryana White'a i Raymonda Yepa, Jr.

## O AUTORZE

A.G. Riddle przez dziesięć lat zakładał i prowadził firmy internetowe, zanim skupił się na swojej prawdziwej pasji – pisaniu książek. Dorastał w małym mieście w Karolinie Północnej i uczęszczał na uniwersytet UNC-Chapel Hill, gdzie wraz z przyjaciółmi założył swoją pierwszą firmę.

Obecnie mieszka w Raleigh w Karolinie Północnej. Można się z nim skontaktować przez stronę: [agriddle.com](http://agriddle.com)

# SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

\* \* \*

UWAGI O FAKTACH I FIKCJI

PROLOG

## **DZIEŃ 1**

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

## **DZIEŃ 2**

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

### **DZIEŃ 3**

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

### **DZIEŃ 4**

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[ROZDZIAŁ 32](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35](#)

[ROZDZIAŁ 36](#)

[ROZDZIAŁ 37](#)

### **DZIEŃ 5**

[ROZDZIAŁ 38](#)

[ROZDZIAŁ 39](#)

[ROZDZIAŁ 40](#)

[ROZDZIAŁ 41](#)

[ROZDZIAŁ 42](#)

[ROZDZIAŁ 43](#)

ROZDZIAŁ 44

**DZIEŃ 6**

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46

ROZDZIAŁ 47

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

ROZDZIAŁ 50

ROZDZIAŁ 51

**DZIEŃ 7**

ROZDZIAŁ 52

ROZDZIAŁ 53

ROZDZIAŁ 54

**DZIEŃ 8**

ROZDZIAŁ 55

ROZDZIAŁ 56

ROZDZIAŁ 57

**DZIEŃ 9**

ROZDZIAŁ 58

ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61

ROZDZIAŁ 62

ROZDZIAŁ 63

ROZDZIAŁ 64

ROZDZIAŁ 65

ROZDZIAŁ 66

ROZDZIAŁ 67

ROZDZIAŁ 68

ROZDZIAŁ 69

ROZDZIAŁ 70

ROZDZIAŁ 71

**DZIEŃ 10**

ROZDZIAŁ 72

ROZDZIAŁ 73

ROZDZIAŁ 74

**DZIEŃ 11**

ROZDZIAŁ 75

ROZDZIAŁ 76

ROZDZIAŁ 77

ROZDZIAŁ 78

ROZDZIAŁ 79

ROZDZIAŁ 80

ROZDZIAŁ 81

ROZDZIAŁ 82

ROZDZIAŁ 83

ROZDZIAŁ 84

**DZIEŃ 12**

ROZDZIAŁ 85

ROZDZIAŁ 86

ROZDZIAŁ 87

ROZDZIAŁ 88

ROZDZIAŁ 89

ROZDZIAŁ 90

ROZDZIAŁ 91

ROZDZIAŁ 92

ROZDZIAŁ 93

**DZIEŃ 13**

ROZDZIAŁ 94

ROZDZIAŁ 95

ROZDZIAŁ 96

ROZDZIAŁ 97

[ROZDZIAŁ 98](#)

[ROZDZIAŁ 99](#)

[ROZDZIAŁ 100](#)

[ROZDZIAŁ 101](#)

[ROZDZIAŁ 102](#)

[ROZDZIAŁ 103](#)

[ROZDZIAŁ 104](#)

[ROZDZIAŁ 105](#)

[ROZDZIAŁ 106](#)

[ROZDZIAŁ 107](#)

[ROZDZIAŁ 108](#)

[ROZDZIAŁ 109](#)

## **DZIEŃ 14**

[ROZDZIAŁ 110](#)

[ROZDZIAŁ 111](#)

[ROZDZIAŁ 112](#)

[ROZDZIAŁ 113](#)

[ROZDZIAŁ 114](#)

[ROZDZIAŁ 115](#)

[ROZDZIAŁ 116](#)

[ROZDZIAŁ 117](#)

[ROZDZIAŁ 118](#)

[ROZDZIAŁ 119](#)

[ROZDZIAŁ 120](#)

[ROZDZIAŁ 121](#)

[ROZDZIAŁ 122](#)

[ROZDZIAŁ 123](#)

[ROZDZIAŁ 124](#)

[ROZDZIAŁ 125](#)

[ROZDZIAŁ 126](#)

[ROZDZIAŁ 127](#)

[ROZDZIAŁ 128](#)

[ROZDZIAŁ 129](#)

[ROZDZIAŁ 130](#)

[ROZDZIAŁ 131](#)

[ROZDZIAŁ 132](#)

[ROZDZIAŁ 133](#)

[ROZDZIAŁ 134](#)

[ROZDZIAŁ 135](#)

[ROZDZIAŁ 136](#)

**[DZIEŃ 20](#)**

[ROZDZIAŁ 137](#)

[EPILOG](#)

[OD AUTORA](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[O AUTORZE](#)

[Karta redakcyjna](#)



Tytuł oryginału: Pandemic

Copyright © 2017 by A.G. Riddle  
All rights reserved

Copyright for the Polish edition © 2018 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2018

Redakcja: Jacek Ring  
Korekta: Dorota Wojciechowska  
Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-481-2

# FILIA

Wydawnictwo FILIA  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl